

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK SZÓSTY. — TOM XXII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1889.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1889.

WAŻNIEJSZA OMYŁKA DRUKU.

Str. 255, w tytule *zamiast*: »O dacie narodzenia św. Jana Kantego i o 500-letniej rocznicy Jego śmierci w roku przyszłym«

***czytaj*:** »O dacie narodzenia św. Jana Kantego i o jej 500-letniej rocznicy w roku przyszłym«.

STANISŁAW RZEWUSKI

NA PODSTAWIE JEGO ZAPISKÓW I WŁASNYCH WSPOMNIEN.

W gmachu popijarskim, na rogu ulicy Długiej i Miodowej, w którym ostatnimi czasy mieścił się sąd apelacyjny i biura rejentów, umieszczono w r. 1822 szkołę Aplikacyjną.

W. ks. Konstanty, niepospolity organizator armii, jak założył szkołę kadetów w Kaliszu, tak chciał mieć dla najzdolniejszych uczniów wyższą szkołę wojskową, która miała kształcić do inżynierii, artylerii i kwatermistrzostwa. Nie szczędził dla tej szkoły żadnych kosztów; umieszczona wygodnie, niemal zbyt kowo; miała nauczycieli to sprowadzanych z zagranicy, jak uczony Coriot, to najzdolniejszych krajowych, jak matematyk, ks. Skolimowski, fizyk Skrocki i t. d. Głównym dyrektorem szkoły był pułkownik Sowiński, który w kilka lat później zginął pod Wolą. Kierownikiem nauk był pułkownik Kołaczkowski; inspektorami kapitanowie Przedpeński i Paszkowski. Pod kierunkiem to takich ludzi miała rozwijać się szkoła, utrzymywana równie zbyt kowo jak karnie; młodzież wychodziła rzadko, odwiedzać ją można było tylko wyjątkowo. Jak powiedziałem, najzdolniejsi z kadetów kaliskich bywali do niej przyjmowani; tak wszedł Fröhlich, Małczewski, Hofman, że wielu pominę. Szczególniejsze względy w. księcia otwierały także do niej wejście młodzieży z acnej i wyższych rodów. Tak weszli dwóch książąt Czetwertyńskich, Władysław i Borys, tak Tomasz i Gustaw Potoccy, tak powróciwszy z zagranicy w r. 1824 na 25-ty, weszli Stanisław i Leon Rzewuscy. Matka ich, sławna Rozalia z Lubomirskich Rze-

wuska, córka owej uroczej piękności, Aleksandrowej z Chodkiewiczów Lubomirskiej, której głowa padła pod nożem gilotyny, a która dzieckiem będąc przepędziła jedenaście miesięcy na opiece dozorczy więzienia La Force, znana była z zasad monarchicznych, a równie przez urok osobisty jak i zasady doświadczała względów wielkiego księcia. Mąż jej Wacław, tak zwany Emir Rzewuski, od wielu lat rycerskie życie prowadził na Wschodzie, i właśnie miał do swoich dóbr Sawrańskich, ale nie już do żony powrócić. Pani Rozalia, przebywając często w Wiedniu w kole ograniczonym, ale w najświetniejszym towarzystwie: ks. Metternicha, ks. de Ligne, Jana i Maurycego O'Donellów, Hammera i Genza, dała synom wychowanie domowe, ale systematyczne i ściśle naukowe, pod kierunkiem najzacniejszego kapitana Hübnera. Po skończeniu nauk gimnazjalnych, pod tym samym kierunkiem pojechali do Paryża, gdzie w znanym podówczas domu p. Emanuela Bailly, który co zacniejszą młodzież gromadził koło siebie, przebywali, uczęszczając na uniwersytet.

Wiadomo, że Rzewuskich rodzina, w ogóle wyłącznemi obdarzona zdolnościami, podniosła się w Rzeczypospolitej późno, ale szybkim krokiem przemierzyła drogę do najwyższych godności; hetmaństwo było w niej dziedziczne, niemal przez 3 pokolenia: Wacław Rzewuski cierpiał za ojczyznę ciężkie wygnanie, Seweryn tak się zespolił z dawnym ustrojem, że na szkodę ojczyzny, a jeszcze większą swoją, choć w dobrej wierze wystąpił przeciw konstytucji 3-go maja. Książę generał ziem podolskich porównywał Rzewuskich do pięknego pałacu, pełnego marmurów, brązu i złota, ale w którym straszy. Jest coś prawdy w tem dowcipnem porównaniu. Potęga zdolności u niektórych członków tej rodziny górowała nad zdrowym rozsądkiem; miara i równowaga nie była dla tych ludzi, którym szczęście służyło, łatwą, jak to się objawiło i w życiu Seweryna Rzewuskiego i w życiu syna jego Wacława; nie do wszystkich jednak da się to zastosować, a znałem najwspanialsze wyjątki: Stanisław Rzewuski o którym tu chcę mówić i siostra jego Marya, Jarosławowa Potocka.

Stanisław Rzewuski wkrótce zwrócił w Paryżu uwagę profesorów i uczonych: Cuvier, Sylvestre de Sacy, Durnouf, otaczali go łaskawymi względami. Między młodzieżą zajął Stanisław świetne stanowisko,

po dwóch latach otrzymał dyplom doktora filozofii, i z rozkazu matki powrócił do kraju. Po krótkim w Opolu wypoczynku, matka, osoba stanowczego charakteru, umieściła obydwoh synów w szkole aplikacyjnej. W czasie to swojego powrotu, Stanisław Rzewuski kreślił dorywczo, w małej książeczce, której oryginał posiadam, wrażenia podróży i myśli, które ten umysł tak czynny zajmowały. Nie jest to dziennik — są jakby memoranda wedle czasu i potrzeby duszy. Wyjątki, które podam poniżej, poprzedzę szczegółami o pobycie autora w szkole aplikacyjnej i dalszym tego pięknego a krótkiego żywota przebiegu. Wyjątki te dadzą miarę potęgi tego umysłu, który, żyjąc tylko do lat 24 rozwinięty, nie mógł jednak większych swej czynności zostawić śladów.

Do szkoły aplikacyjnej, jak powiedziałem, dostęp nie był łatwy, że jednak tam było dwóch Czetwertyńskich, a ja z Rzewuskiemi miałem zachowanie, pułkownik Sowiński pozwolił, abym po skończonych lekcjach, co sobota wieczorem przychodził. Jakoż prawie żadnej nie opuszczaliśmy, i ja i Kazimierz Czetwertyński, brat starszy dwóch uczniów szkoły, a mój najserdeczniejszy przyjaciel. Była to także wspaniała natura: doskonale wyuczony to w domu, to w Richeliowskiem liceum w Odessie, grek i łacinnik znakomity, a posiadając wybornie języki żywe, miał zamiar wstąpić do kariery dyplomatycznej, a kończył wydział prawny w Warszawie. Był to umysł jasny, miał zapal do wszystkiego co piękne i wielkie, znakomitą łatwość redakcyi, i stało przed nim duże pole pracy i zasługi, gdyby nie ta fatalność, która wszystkie zdolności u nas na zmarnowanie skazywała. Wszyscy trzej mieliśmy jedne, duchowe zasady, silne katolickie przekonanie, w których zastosowaniu do społeczeństwa, widzieliśmy i zbawienie ludzkości i własnej ojczyzny.

Jakie prądy panowały w ówczesnem społeczeństwie, wiadomo, ale wiadomo także, jak silna reakcyja duchowa objawiała się w pierwszej ćwierci naszego stulecia. Dzieła Bonalda, De Maistre'a, Lamennais'go we Francyi; Adama Müllera Stolberg'a, Schlegla w Niemczech, kierunek idealny w poezjach Lamartine'a i Manzonięgo, zwracały umysły i przekonania na drogę wiary i dogmatycznych zasad. Jak rozbrat z Kościołem wywołał rewolucyę francuską i jej następstwa w całej Europie, tak byliśmy tego przekonani

nania, a przy nim i dziś obstać, że tylko powrót do wiary i kar-ności kościelnej może ludzkość z odmetu obecnego wybawić. Nie było też pytania filozoficznego i politycznego, któregoabyśmy wieczorami w szkole aplikacyjnej nie rozbiegali, a stawały nam przed oczyma wszystkie zagadki, które do dziś dnia rozwiązane nie zostały. W rzeczy samej, choć nazwy były inne, pytania i dążności były te same. Z naszych rozpraw jedne pamiętam, drugich ślad na piśmie. Postawiliśmy raz pytanie: czy europejska cywilizacja nie jest zagrożona nie już przez barbarzyństwo zewnętrzne — bo nikt podówczas Chińczyków się nie obawiał — ale przez barbarzyństwo wewnętrzne? Socjalistów, nihilistów wprawdzie nie było, ale już były te zasady, które ich wytwarzają: równość bezwzględna, wszechwładztwo ludowe, idea prawa pochodząca nie od Boga, ale od społecznego rozumu, objawiającego się przez większość; te czynniki zwyciężając musiały koniecznie doprowadzić do obecnego stanu, do wszechwładztwa państwowego, i mniemanie w luźnej ludności, że wszystko należy jej się od państwa, a teorii rządowej, że państwo może i powinno wszystkiemu zadosyć uczynić. Pamiętam dobrze, jak przewidując te wszystkie następstwa wyrażałem obawę barbarzyństwa powstałego z wewnątrz, przywołując jako przykład stary Rzym, który jeszcze przed migracją ludów północnych, popadł był w wyrafinowane barbarzyństwo. Na to Rzewuski: Społeczeństwa pogańskie choć kulturowie wykształcone, mogły ulegać barbarzyństwu zewnętrznemu, albo wewnętrznemu, nigdy zaś społeczeństwo chrześcijańskie, które ma w sobie żywotną siłę odradzającą stosunki społeczne; po długiej dyskusji uznałem jego zdanie, ale dziś pytam, czy się ono da zastosować do narodu, który — jak francuski — pozbył się chrześcijaństwa, i gdzie systematycznie władza, postawiona przez większość, posiew chrześcijański utrudnia i wyrywa?

Innym razem znowu, upatrując w walce o stanowiska społeczne przyczynę wewnętrznego niepokoju, postawił jeden z nas pytanie: czy kastowe indyjskie lub egipskie instytucje nie były rękojmnią większego pokoju? Tu oczywiście stanęła przeciwko temu twierdzeniu zasada chrześcijańska, która otwiera każdemu zarówno przez Chrystusa odkupionemu i oświeconemu udział we wpływie i korzyściach życia, byle siły odpowiednie służyły.

Tak przechodziliśmy różne ówczesne polityczne pytania to

w kraju, to w Europie. Kończył rozprawy nieraz szanowny pułkownik Sowiński, przypominając godzinę ósmą. Wspaniała była to postać: wysoki, o jednej nodze, piękna twarz rumiana, otoczona włosiem gęstym siwym; niewiedzieliśmy wówczas, że w sześć lat zaledwo, ten sam człowiek bohaterską śmiercią opromieni męstwo żołnierza polskiego pod Warszawą.

W r. 1826, skończywszy wydział prawny na uniwersytecie, wyjechałem do Paryża, Rzewuski, który wyjątkowo dwa lata tylko przebył w szkole aplikacyjnej, w r. 1827 został oficerem artylerii i z baterią swoją przebywał w Grójcu. Obszerne jego z ludźmi najwybitniejszymi w kraju stosunki, obok wyższości wielka polubowność i prostota w obejściu, robiła go bardzo popularnym w armii. Sąsiedztwo Grójca z Małą wsią zbliżyło go do domu pani Walickiej, której córka zajęła go mocno, a w r. 1828 poślubił niepospolitą tę osobę, która rzadkim szczęściem była żoną kolejno dwóch ludzi niepospolitych, Stanisława Rzewuskiego i Zdzisława Zamoyskiego. Przydzielony do służby przy arsenale w Warszawie w r. 1829 tam zamieszkał i koło znajomych rozszerzył, bo każdy miał sobie za zaszczyt mieć z nim stosunki. Świetne to były czasy dla Warszawy, a szczęśliwe dla Królestwa, po sądzie sejmowym nastąpiła koronacya, a kraj się gotował do pierwszego sejmku za Mikołaja. Wielki książę się ułagodził, Nowosiltzowa wpływ zmalał, bo go przerósł wpływ Lubeckiego i u cesarza i u jego brata. Towarzystwo kredytowe było zorganizowane, bank powstał i dawał popęd przemysłowi fabrycznemu. Górnictwo krajowe pod genialnym kierunkiem Piotra Michałowskiego wspaniale przynosiło owoce, drogi bito, młyn parowy zakładano, słowem kraj cały podnosił się materyalnie i umysłowo. Właśnie w tym czasie powróciłem z Paryża, a jakkolwiek młodzież zdolniejsza wstępowała wówczas do służby przy ministerstwie skarbu, gdzie było pole i do karyery, i minister, który umiał zdolności ocenić; ja wstąpiłem do ministeryum oświecenia, w przekonaniu że kraj, który ma się odrodzić do życia, powinien wprzód odrodzić się moralnie. Wspomnę kilku z ówczesnych wybitniejszych ludzi: Ludwik Jelski, Andrzej Zamoyski, Tis, Aleksander Wielopolski, Gustaw Małachowski, Swiżdziński, Bagniewski, Wołowski, że wielu pomnę, byli to ludzie pierwszej klasy, którzy w każdym kraju i w każdym rządzie byłiby

pierwszorzędne zajmowali stanowiska; młodzi, czynni, bo od każdego młodego człowieka żądano wówczas, aby był zatrudniony. Rzewuski ze wszystkimi był w stosunkach, wszyscy go szukali, a kiedy sejm nadszedł, a cesarz przybywszy, oprócz sprawozdań urzędowych, od osób prywatnych i zaufanych zażądał jak zwykle gruntownych spostrzeżeń o stanie kraju, nie obeszła się ta praca bez udziału Rzewuskiego.

O tym sejmie, o głównym jego zajęciu prawem o małżeństwie, mówiłem już obszernie¹. Cesarz odjechał niezadowolony, że prawo to, do którego miał dobre chęci, nie przeszło. Wszakże nie było żadnego zdraźnienia pomiędzy Mikołajem a narodem. Dopiero wieść o dniach lipcowych w Paryżu, które jak grzmot złowrogi przeraziły Warszawę, zmienił usposobienie.

W Paryżu przebywało zawsze to kilku, to kilkunastu Polaków prześladowanych albo spiskujących. Kierował nimi Maliszewski, stary, z pierwszej rewolucyi francuskiej wyrobiony spiskowiec. Za jego pośrednictwem utrzymywała ta nieliczna emigracya, albo i podróżująca Polska stosunki z Lafayette'm Lafitte'm, również Benjaminem Constant i t. d. Przewrotu lipcowego i Ludwika Filipa nie był uznał Mikołaj; niebawem z jego zarządzeń można było oczekiwać czynnej przeciwko Francyi akcji. Ks. Lubeckiemu nakazano mieć 30 milionów w pogotowiu.

Francya potrzebowała zneutralizować zamiary Mikołaja. Tajne stosunki pomiędzy rewolucyjną Francją, a niechętnie znoszącą panowanie rosyjskie Polską, nieustaly nigdy; a że i w Warszawie było ognisko odpowiednie, wiadomo i ze spisku Łukasiewskiego i ze stosunków z Dekabrystami, niemniej jak ze spisków w czasie koronacy i ze stosunków, jakie Lelewel utrzymywał ze szkołami wojskowemi. Usposobienie kraju, nie powiem żeby się zmieniło, ale było pełne niespokojnego oczekiwania. Urzędowa i poważna część kraju była przeciwną powstaniu, i nawet nie wierzyła w jego możliwość. Ale jak zwykle w takich razach, kiedy społeczeństwo nie ma przewodnich ludzi, na których zdanie rachować może, uczucie gorowało nad rozsądkiem, zwłaszcza kiedy kilku ludzi poważniejszych, nietylko rozumem ile stanowiskiem zaczęło się z młodzieżą znosić.

¹ O historii powstania Barzykowskiego.

Od samego powrotu mego do Warszawy, kilku młodych ludzi, mających ten sam duchowy kierunek, schodziło się razem, aby pytanie bieżące rozbić w poufnej dyskusyi. Władysław i Zdzisław Zamoyscy, Tytus Potocki, uczony niemiecki Goldmann, autor później tak sławnej broszury (*Die europäische Pentarchie*), Stanisław Rzewuski i ja, widywało się co poniedziałek u Rzewuskiego, u Zamoyskiego albo u mnie. Imbardziej zbliżało się ku jesieni, tembardziej wrzało w młodzieży wojskowej i uniwersyteckiej, a rosła trwoga na prowincyi. Rzewuski był na głowę ruchowi przeciwny, a choć się z tem wcale nie tał, takiego używał wpływu i zaufania, że jeżeli nie sami spiskowcy, to najbliżsi z nimi w stosunkach robili mu zwierzenia, a żądali rady. W początku października, zasmucony powiada do mnie: „mimo wszelkich usiłowań wybuch nastąpi. Mogę powiedzieć, że ruch na ten miesiąc oznaczony, stanowczo wstrzymałem“. Kto znał jego stosunki, uszanowanie, jakie mieli dla niego oficerowie największego wpływu jak: Nieszokóć i tym podobni, a jeszcze kto, jak ja, znał jego prawdomówność i prostotę, wątpić o prawdzie tych słów nie może. Odtąd ciągle mnie utrzymywał w wiadomości co się dzieje z wojskiem; z rozpaczą patrzałem na zabiegi jednych, a brak oddziaływania u drugich, i 29, właśnie w poniedziałek, w którym się mieli u mnie zebrać, padły pierwsze strzały, których całą zrozumiałem grozę.

Przebieg dni rewolucyjnych wiadomy, wiadomo też z jaką znajomością rzeczy zorganizowany został przez Lelewela i jego narzędzia klub patryotyczny, i jak potężnie cisnął na opinią. Tu dopiero poznałem nową potężnego umysłu Rzewuskiego stronę. Maurycy Mochnacki wymową stał się panem klubu: znane jego wystąpienie do dyktatora i tegoż odpowiedź. Rzewuski puszcza wiadomość, że Chłopicki, ubóstwiany wówczas przez lud i wojsko, w skutek irytacyi wywołanej przez Mochnackiego tknięty apopleksją. Mochnacki nie mógł przez parę dni na ulicy się pokazać, a tymczasem klub patryotyczny zamknięty. Kiedy pośród wahań Chłopickiego pozostawała potrzeba myślenia o wyborze naczelnego wodza, całe młodsze grono oficerów pragnęło Rzewuskiego. Wybór ten nie stanął nigdy na porządku dziennym, ale sama myśl tak ogólnie rozsiana dowodzi jego wpływu i moralnego znaczenia. To też, kiedy przyszło wojsku i wodzowi naczelnemu opuścić War-

szawę, a należało zapewnić zarząd stolicy, polecono Rzewuskiemu wygotować instrukcję odpowiednią; znakomita ta praca 24-letniego oficera zachowała się w dziele Barzykowskiego i świadczy, czego się ojczyzna mogła po nim spodziewać. Klikki, podówczas komendant Warszawy, a po Chłopickim najzdolniejszy z naszych wojskowych, nieograniczone pokładał w nim zaufanie. Ale było już za późno, choroba nurtowała tę potężną organizację, a potęgowały ją wrażenia chwili. Zaraz po bitwie pod Dębnem musiał opuścić Warszawę i skończył życie w Krakowie przed ostatnią katastrofą. Można o nim z Ciceronem powiedzieć: *Fortunatus illius exitus, qui ea non vidit quum venerint, quae praevidit futura.*

Oto wyjątki z wspomnionego dziennika Stanisława Rzewuskiego¹. W przejeździe przez Metz, uderzony starą gotyką katedrą, pisze: „Jaka jest różnica, pod względem sztuk pięknych, cywilizacyi greckiej a średniowiecznej? Oto kilka wskazówek w tym przedmiocie. W architekturze, zasada u Greków jest prostsza, na pierwszy rzut oka, niż u chrześcijan w średnich wiekach. U Greków linia horyzontalna przeważa, w średnich wiekach — pionowa. Każda z nich zlewa się w harmonii z warunkami w kraju, w którym kwitnie. Jednak z punktu widzenia materyalnego, architektura grecka nie nadaje się do krajów północnych, gotyka zaś wszędzie równie piękna.

„W malarstwie, więcej jest prawdy w średnich wiekach, więcej życia aniżeli w wielu teraźniejszych szkołach. Często, w starych obrazach, świadectwie pobożności naszych ojców, jakiś symbol mało na pozór znaczący, obudza w nas tysiące myśli i uczuć. I tak, bywa, na tronie Bogarodzicy malarz przedstawia grzech pierwszych rodziców; albo w cieniach zakrywających tło obrazu, krzyż błyszczy. Te znaki odnoszące się do początku i rozegrania największego dramatu, na jaki ludzkość patrzała, tworzą związek prawdziwie epiczny z grupą przedstawiającą Matkę i Dzieciątko. Symbole te, mało zrozumiane przez zimnych badaczy piękna, czę-

¹ Czytając ten dziennik, trzeba mieć przed oczyma, że pisany był w r. 1824 — i przez 18-letniego młodzieńca. (P. R.)

sto krytykowane, podziwiane są przez tych, którzy wnikają w ich ducha. Ten allegoryzm, który zabarwia całe wieki średnie, ma źródło w chrystyanizmie. Jakżeż różni się on od grubej symboliki egipskiej i niesmacznych allegoryj, które wprowadziła sztuka dwóch ostatnich wieków. Szczerłość starych obrazów silnie do mnie przemawia; zwrot do tej prostoty czuć się daje w nowym pokoleniu artystów¹. Dawid wydaje mi się znakomitym rysownikiem, szkoła jego bardzo poprawna, ale prawie wszystkie postacie są raczej dekoracyjne jak żywotne; celuje w szczegółach, a chybia w całości. Ktoś słusznie uważał, że Rubens, kiedy malował, śpiewał na płótnie swoje pomysły; dzisiejsi składają ją z trudem. Szkoła obecna we Francyi otrzyma nazwę anatomicznej i błyszczącego pokostu.

„U starożytnych jest coś skończonego w wyrazie osób wchodzących do obrazu. Posągi ich, będące wzorem smaku i stylu, wyrażają różne namiętności i stosunki życia; ale jest w nich coś ograniczonego. Apollo Belwederski jestto wspaniały młodzieniec, Wenus Medycyjska precudna dziewczyna, ale nic w nich nadziejskiego nie widzę; niema tego co Niemcy nazywają: *Sehnsucht*, *Liebe*... Ten wyraz moralny przebija jednak w niektórych; w geniuszu spoczywającym widzę smutek, nie widzę nadziei!... Smutek tej postaci jest w związku z wzmiankami o śmierci, któremi Horacy i Anakreont przeplatają swe pieśni. Nie widzi ona nie po za grobem i uosabia nicość. Tak to brak prawdy duchowej odbija się nawet w sztuce.

„W wiekach średnich zaś widzę wykonanie zapewne mniej doskonałe, kształty mniej piękne, ale zato więcej wyrazu; w obrazach i rzeźbach przeznaczonych dla kultu więcej myśli, prawdy, uczucia; przemawia z nich to nadzieja, to poddanie się, rzadko spostrzeżesz tę piękność milczącą, po nad którą starożytni wznieść się nie śmieli. Poczyta, filozofia, sztuki mają u Greków jak i w wiekach średnich jednostajny charakter, każda z nich odbija cywilizację swojej epoki, bo wszystko przemawia jednym językiem, gdyż pochodzi z jednego źródła natchnienia. Popęd ku niebu jest więc cechą sztuki średniowiecznej *der Uebergang zum höheren Leben*.

¹ W tym właśnie czasie (około r. 1824) powstawała nowa szkoła malarstwa.

„Szkoła włoska, mianowicie Rafael oblekł formy starożytne w średniowieczne natchnienia; obrazy jego są doskonałe, bo panuje w nich harmonia, i każdy znawca uniesiony zgodą pomiędzy starożytnością a chrześcijaństwem. Powierzchni znawcy sądzą, że Rafael zawdzięcza swe powodzenie naśladowaniu starożytnych; ale czyż jest co wspólnego pomiędzy geniuszem a kopistą? Rafael urodził się wielkim malarzem, studyum starożytności nie stworzyło jego geniuszu, ale nadało mu cechę doskonałości...“

Przejechawszy przez Saarbrücken, Moguncję, Wiesbaden, Rzewuski pisze: „Każde niemieckie jak i włoskie miasto posiada coś znakomitego. W krajach podzielonych na drobne państwa, z których każde ma swoją stolicę, środki działalności są pomnożone, a tem samem i liczba rzeczy ciekawych. Każdy panujący, każde miasto chce zabłysnąć. We Francyi, skutkiem centralizacji jest Paryż i nic więcej. Przekładam pierwszy z tych dwóch ustrojów, byle władza centralna utrzymywała w zależności mniejsze polityczne ciała...“

W Worms, wielka liczba historycznych pamiątek nasuwa mu następujące uwagi: „Im więcej postępuje się w nauce historii, tembardziej dochodzi się do przekonania, że ludzie najmniej wpływają na bieg wypadków; nie bardziej nie przemawia za wiarą w istnienie Opatrzności, jak niemądre postępowanie tych, którzy rzekomo kierują losami świata; gdyby przez chwilę tylko ludzkość od ich pomysłów zależała, musiałyby popaść w bezdenń cierpienia.

„... Umysł przejęty wielkiem przeznaczeniem człowieka, rodziny, społeczeństwa, potrzebę i prawdę wiary, a mający cokolwiek logiki, łatwo zrozumie historię. Dla człowieka bez wiary doświadczenie milczy, gdyż uderzają go tylko przyczyny zewnętrzne i podrzędne: Takim był Montesquieu; świadczy o tem większa część jego dzieł, mianowicie: *Esprit des lois* i *Grandeur et décadence des Romains*. Bossuet niewątpliwie najlepiej zrozumiał historię.

„Müller, w wspaniałych swoich „Dzieje powszechnie“ poprzestał przeważnie na przyczynach podrzędnych; zdaje mi się, że Montesquieu miał wielki wpływ na nim. Wielu historyków zamiast pisać historię, bawią się w dysertacje filozoficzne; chcą dowieść tej lub owej tezy, i pierwszorzędne wypadki w ich oczach zamieniają się na podrzędne; to samo dowodzi, że nie wiedzą czem jest

historya. Historia podobnie jak poezya, zdobywa sama sobie byt samoistny. Trzeba pisać historię z miłości dla niej samej, dla prawdy“.

Przejeżdżając przez Heidelberg zastanawia się Rzewuski nad stosunkiem uniwersytetów różnych kraj i wpływem ich na społeczeństwo: „W Anglii głównie uniwersytety przyczyniają się do stłumienia katolicyzmu. Trzeba zauważyć, że leży w interesie tych ludzi, którzy żyją z funduszków niegdyś klasztornych, aby katolików nie dopuszczać do intratnych posad. To też dzieła ich spełnione są w ogóle płytkimi przeciw katolicyzmowi oszczerstwami. A ponieważ istnieje w Anglii przesąd, iż cokolwiek wyjdzie z Oxford albo Cambridge jest wyrocznią, dlatego fałszywe pojęcia o katolicyzmie są tak popularne.

„W ostatnich czasach uniwersytet podawał do parlamentu petycyę, przeciwko emancypacyi katolików; na tymże samym Uniwersytecie mianują dotąd profesorów do katedry fundowanej przez Wollastona, której programem jest dowodzić, że papież jest antychrystem. I to się dzieje w XIX wieku! W uniwersytetach angielskich panuje wszechwładnie nienawiść do katolicyzmu; to uczucie zastąpiło miłość do własnej religii, jeśli kiedykolwiek istniała!

„Anglicy najmniej rozumieją naukę prawa, i nie w tem dziwnego! Nauka ta, najpiękniejsza ze wszystkich, ściśle łączy się z religią, i na niej się buduje, a gdy fundament zburzony, na czymże gmach stawiać? Niema też kraju, gdzieby prawo było równie w upadku jak w Anglii; najlepszym tego dowodem polityka angielska i moralne stanowisko wielkiej Brytanii. Uczciwi ludzie, uderzeni zewnętrzną stroną angielskiego dobrobytu i ładu, wierzą w jej zdrowie moralne i dzieci swoje na naukę prawa tam posyłają, gdy tymczasem strona prawna w Anglii temu tylko korzyść przynosi, kto ma już o prawie zasady pewne i chrześcijańskie... Anglia upadnie, i wtenczas pokaże się odwrotna strona medalu.

„Gdyby Niemcy były katolickie, byłyby pierwszym krajem w świecie. Umysły Niemców oświeconych są katolickimi przez pociąg do jedności i przez miłość prawdy. Jeszcze jeden krok naprzód, a zobaczą gdzie zajdą.

„Niemiec czuje głębiej, patrzy wyżej, szuka ideału, stąd niebezpieczeństwo przesadnego mistycyzmu i fałszywego idealizmu. Zdolen odczuć piękności natury, łatwo popadnie w ekliwość. Skłonny

do zamknięcia się w sobie, zbyt ucieka od czynu, i grozi mu apatia we wszystkim, co się tyczy życia praktycznego. Dążność do połączenia wszystkiego prowadzi często Niemca do układania nowych systemów; tej dążności przypisują pewną myśli nieokreśloność, jaką np. miał i Spinoza. Jest coś wschodniego w charakterze Niemców. Jest zamięłowanie spokoju fizycznego, a ruchliwość wyobraźni. Nadto, Niemiec ma serce szczere, umysł krytyczny, w walce nie ustąpi, ale i naprzód z zapalem nie pójdzie... Ze wszystkich krajów europejskich może najwięcej prawdziwej wiedzy jest w Niemczech; ale ta nauka mniej powszechna niż we Francyi na przykład. Tam uczony mniej umie, często powierzchownie tylko; a nieuczony więcej jak w Niemczech. Niemiec często nie odróżnia formy od treści, a że dla niego treść główną gra rolę, więc podług niej sądzi; przeciwnie Francuz. Pisząc książkę o poezyi, Niemiec rozróżniłby poezję świata wewnętrznego od zewnętrznego, Francuz poezję rymowaną i nierymowaną, Anglik użyteczną i nieużyteczną.

„Francuza jakiś prąd unosi na zewnątrz, do czynu, Niemca inaczej. Ale cóżby się stało, gdyby kaźden z nich chciał swe teorie w czyn wprowadzić? Francuz często sądzi bez względu na akta procesu, Niemiec waha się przed wydaniem wyroku z obawy że mu brak dowodów. Kto wie jednak, czy u Francuzów niema więcej zdrowego rozsądku niż w kaźdym innym narodzie? Wadą Francuzów jest oschłość serca, stąd ich lekkość. W Niemczech często geniusz zabity przez naukę, we Francyi cierpi nad ich brakiem. Gdybyż to można zlać w jedno charakter francuski i niemiecki!... Na uniwersytetach niemieckich więcej się pracuje niż gdziekolwiek indziej. Zbytek, jaki panuje w Anglii, tu nie istnieje, natomiast grasują tajne stowarzyszenia. Na kaźdym niemieckim uniwersytecie jest przynajmniej jeden profesor odznaczający się w pewnym kierunku, i to ułatwia uczniom wybór miejsca i fachu. Żaden uniwersytet nie może iść w zawody z paryskim pod względem doboru profesorów; jednak mniej na nim pracują niż w Niemczech. Paryski profesor zupełnie nie dba o ucznia, nikt nie jest zniewolony do pracy, bo uniwersytet niema żadnej kontroli nad młodzieżą. Przy egzaminach nadto panuje wielka pobłażliwość. Profesorowie wykładają po kilka przedmiotów co, szkodzi wydoskona-

leniu każdego poszczególnie. Korzystać z kursów na fakultecie paryskim żadna, jeśli się samemu nie pracuje.

„Najlepsi profesorowie w Heidelbergu są: Thibaut — prawa, Kreuzer — starożytności, a Fiedeman — nauk lekarskich. Mene, profesor dziejów wieków średnich, prowadzący dalej dzieło Kreuzera, wydaje mi się uczniem systemu Schlegla. Gdy się patrzy na uczonego tej miary co Kreuzer, zatopionego jeszcze w twardej naukowej pracy, można się nauczyć pokory. Jakżesz jego wiedza jest bogata i urozmaicona, jak oświecona mądrą krytyką. Francuzcy uczeni zdają się być karłami w obec takich ludzi. A moje miejsce gdzie? o tysiąc stóp pod francuskimi uczonymi; mam jednak nadzieję, że sumienność i cierpliwość niemieckich badaczy będą mi gwiazdą przewodnią w życiu. Im więcej widzę ludzi, tem rozleglejszy a nieznanany jeszcze horyzont roztacza się przed memi oczyma. Odważnie naprzód! z tym przeświadczeniem, że nigdy się nie zrobiło dosyć, aby się godziło wypocząć.

W dalszej drodze przez Niemcy pisze Rzewuski: „Wszędzie tu skasowano klasztory; jakim prawem? prawem mocniejszego, oto jedynie teraz uznane. Pozazdroszczono bogactw klasztorom i przywłaszczono je sobie. Poczciwi filozofi deklamują przeciwko ignorancji mnichów, nadużyciom klasztorów i szkodom, jakie stąd ludność ponosi, i uważają zniszczenie klasztoru jako krok uczyniony naprzód dla dobrobytu kraju. Bezrozumni, zmateryalizowani ekonomiści! Gdyby słyszeli skargi dawnych sąsiadów klasztornych i ich podwładnych, wstydziłiby się swej beczelności. Gdyby znali użyteczność działalności klasztorów moralnej i materyalnej, gdyby choć trochę znali historję, wstydziłiby się swej ignorancji. W istocie zarzuty ich uderzają wprost na katolicyzm“...

„W rozprawie mojej o filozoficznej szkole Jońskiej, znajduję zdanie, które ma głębsze znaczenie niż mi się wówczas zdawało. Powiedziałem tam, że teorya Heraklita najbardziej jest przybliżona do wschodnich systematów emanacyi. Ideę tę mógł zrodzić kult ognia, ale obecnie nasuwają mi się uwagi, które prawdę jej uwydatnią. Widzę największą analogię pomiędzy systemem Heraklita a jedną z panteistycznych indyjskich teoryj. Wedle Heraklita ogień przedwieczny wylania sam z siebie świat widzialny, wszelako ten świat, będąc *ein Abfall von der Gottheit*, jest w przeciwień-

stwie z istotą ognia pierwotnego. Tak samo rzecz się ma w teorii indyjskiej. W obu systemach dualizm jest tylko pozorny, a ponad nim panuje prawo harmonii; jest tu niemal teoria Organizmu powszechnego. Heraklit nazywa świat: igrzyskiem Zeusa; to samo wyrażenie spotykam u Schlegla: (*Sprache und Weisheit der Indier*). Ideę, że świat widzialny jest ułudą, rozwija *Maya* indyjska.

„Dziwną analogię w wyrażeniach i myślach znajduję pomiędzy prawami Menu, a pozostałymi urywkami Heraklita. Panteizm, jak go uprawia szkoła Schellinga, nader jest zbliżony do nauki Heraklita i panteizmu indyjskiego. Wpływ filozofii indyjskiej i kabalistycznej widoczny jest u Wagnera. Dlatego sędzę, że jesteśmy w chwili najkorzystniejszej do studyowania systematów filozoficznych Wschodu. Od czasu Herdera, rozumiemy lepiej starożytność i stosunek Wschodu do Zachodu.

„Byłbym ciekaw poznać teorię liczb King'a, i porównać z nią naukę Lao-tseu i Pytagoresa. Teorie te tak nam są obce, że osądzić je bez głębszych studyów niepodobna, a potępić nie znając, byłoby nierozumnie. Teoria liczb była zawsze uprawnioną na Wschodzie i w starożytności. Wszystkie księgi mistyczne zajmują się liczbami, musi więc być coś w tem prawdy. Prawdopodobnie ludzie pierwotni mieli głębsze niż my w tym względzie znajomości“.

Przejeżdżając przez Czechy, zatrzymuje się nasz podróżnik w Maria Culm. Tu spisuje podniosłe swe uwagi o pielgrzymkach:

„Podług mego mniemania, pielgrzymki do miejsc uświęconych pobożnym wspomnieniem, są pięknym i pożytecznym zwyczajem. Wszakżeż zewsząd zbiegają się, aby zwiedzić miejsce, któremu zbrodnia jaka lub świetny czyn nadały sławę, a miałyby się zaniedbywać miejsca, gdzie łaska Boża w szczególnie sposób się objawiła? Umysł często zapala się świętym ogniem na grobach ziemskich wielkości, a serce miałyby zostać zimne w obec cudów łaski niebieskiej? Już sama podróż pielgrzymy zbawiennie może na duszę jego oddziaływać; pokuta i modlitwa czas zapełniają, a niejeden, który nie miałby czasu na duchowe rekolekcyje, chętnie bierze do ręki kostur pielgrzymy. W różnych miejscach świętych narody spotykają się pod jednym sztandarem: wiary; nie w świetnych ze-

braniach, nie wśród szczęku broni, ale w jednym duchu, w jednym celu — pokuty. Tak Kościół, czuwający zawsze nad dobrem społeczeństwa i jednością swych dzieci, przygotowuje narodom miejsca spotkania.

„Pochód różnych społeczeństw nazwanych narodami, nie jest niczem innym, jak pielgrzymką ku lepszej przyszłości; lepszej o tyle, że wszystkie ludy w niej się zjednoczą, i będzie jedna rodzina na podstawie jednej wiary. Stąd, można uważać pielgrzymki do miejsc cudami uświęconych, jako symbol tej jedności ludów. Rzym był przedewszystkiem miejscem, gdzie w ten sposób rozwiązywały się zadania narodów; tu one zewsząd się zbierały; tu stół bratniej gościnności na nich czekał, tu ludzie witali się braćmi.

„Ze słodkiem wzruszeniem będę zawsze wspominał pielgrzymkę do Maria Culm. Miejsce to bardzo uczęszczane, położone jest w pośrodku kraju górzystego i lesistego; i tu więc natura jest w harmonii z uczuciami pielgrzyma. Daleko jeszcze byłem od świątyni, a już proste, rzewne śpiewy słyszeć się dawały. Jest w naturze śpiewu, i w ogóle muzyki, że wszystko do jednego tonu dostraja; trudno oprzeć się potędze muzyki, zwłaszcza kiedy dusza nie jest owładniętą jedną dominującą ideą.

„Tak więc melodia pieśni śpiewanych przez pielgrzymów dostraja duszę moją do uczuć pobożnych i przygotowuje ją do odebrania takichże wrażeń. Wkrótce ujrzałem zbliżający się orszak; krzyż otwierał pochód, dalej chorągwie, dalej kapłani i obraz Bogarodzicy niesiony przez cztery panienki w bieli, a za niemi długi szereg dziewic idących parami i śpiewających chwałę Maryi; liczny tłum pielgrzymów zamykał orszak. Prostota tej uroczystości, pobożność i wiara wryta na wszystkich obliczach, majestat pieśni kościelnych napelniał mą duszę poszanowaniem i świętym zapalem.

„W tym pochodzie widziałem obraz życia w wyższym jego znaczeniu. Kościół, do którego szli pielgrzymi, wydawał mi się Niebem, do którego tylko po stromej górze życia ziemskiego dostać się można. Krzyż tam prowadzi, ale idziesz pod osobliwą opiekę N. Panny, to jest czystości, gdyż, jak mówi autor Naśladowania: Dwa są skrzydła, które człowiek wzbija się ku Niebu: prostota i czystość. Samże ład i niewzruszony porządek pochodu

był mi obrazem społeczeństwa duchownego, w którym każdy członek ma swe właściwe miejsce; w nim działa bez wdania się ziemskiej władzy.

„Wszedłem za procesją do Kościoła; tu w obec cudownego obrazu przesunęły mi się przed oczyma duszy wielkość dobroci i miłosierdzia Bożego, zasługi N. Panny i możliwe skutki jej przyczyny u Boga. Plany na przyszłość i postanowienia tłumnie cisnęły mi się do głowy; wyobrażenia podniesiona, serce przejęte... ze łzami w oczach wyszedłem z Kościoła“.

Praga 18 sierpnia. „Duch powierzchowności filozofii XVIII wieku pozostawił niejedyn ślad w Pradze. Kiedy w Paryżu widzisz Kościół lub pamiątkę zniszczoną, i pytasz się, czyje to dzieło, odpowiedzą ci: to lud; tu na to samo pytanie usłyszysz: to Józef II. Monarcha ten przez całe życie był w błąd wprowadzony przez swe doktryny filozoficzne, całe życie działał mimowolnie przeciwko swej władzy i przeciw religii. W Czechach także usiłował zniszczyć język i pamiątki narodowe, więc był niesprawiedliwym; chciał bądź co bądź swą wolę przeprowadzić — więc był tyranem. Serce miał szlachetne, ale głowę słabą. Ulepszenie bytu włościan w różnych częściach państwa, rozpowszechnienie i ułatwienie nauki, są niewątpliwie jego zasługą, ale ileż zboczeń zaćmiewa tę chwałę! Ile politycznych a ile religijnych błędów! Nienawiść ku wszystkiemu co dawne, walka z duchowieństwem, opieka dana zasodom wrzekomo filantropijnym, wreszcie rozbiór polski, oto co mu potomność nigdy nie wybaczy.

„W Pradze widziałem następne skutki jego fałszywych pojęć: w mieście tem było mnóstwo starych pamiątek, legendy utrwalone dłutem lub pędzlem, którym wspomnienia historyczne a zarazem cel moralny nadawały podwójną wartość. I tak, na Hradczynie pokazywano otwór, gdzie podobno królowa Drahomira zapadła się w ziemię, w chwili gdy przeklinała swego stangreta, którego klękał podczas podniesienia; stąd nauka, by zachować uszanowanie przed N. Sakramentem. W innem miejscu pokazywano posąg trzymający kamień w rękę; to człowiek skamieniały w chwili gdy chciał kamieniem rzucić na N. Sakrament. I tak mnóstwo kapliczek, kolumn, posągów, miało swoje legendy i moralne znaczenia. W ten sposób człowiek prosty znajduje pod ręką zbawienne przestrogi

i zmysły jego potwierdzają dogmata nauczone w katechizmie. Zniszczyć te ślady głębokiej wiary dla niszczenia w ogóle pamiątek, było przeciwne zdrowemu rozsądkowi; ale Józef II posłyszał, że trzeba wykorzystać przesady, i bez żadnego rozróżnienia niszczył, co mu się przesądnem być zdawało. A nadto, jeśli jest wandalizmem niszczyć stare pamiątki, to czynić to z pogardą religii, która je natchnęła, największą jest winą, jaką rząd może popełnić. Belgowie z bronią w ręku odparli innowacye Józefa II; ta odwaga wzbudza we mnie poszanowanie, a dziwię się i gorszę, że książę de Ligné mógł ten czyn w śmieszność obrócić“.

... „Młodzież w naszym stuleciu prędko się starzeje, przechodzi niemal od razu z dzieciństwa do dojrzałego wieku. Epoka, w której się człowiek sercem rządzi, trwa tylko chwilę, rozsądek zbyt wczesnie chce zapanować, i niema już poezji w latach młodości! Za wczas znamy rzeczywistość: *Das Leben nach dem Gemühte verschwindet schnell und man lebt nach Begriffen*. Dawniej młody człowiek nie wiedział o złem, i z ufnością stawał u wrót życia; dziś ledwo się z pieluch wyswobodzimy, już nam złe odkrywają; ojciec widzi się zmuszonym odsłonić w obec syna szpetne zbrodni oblicze, i w kwiatach, które jego niewinne serce przyciągają, pokazuje okrutnego węża...

... „Podzielone na dwa obozy społeczeństwo rozdziera się własnymi rękoma. Jedni walczą za powagę wiary, drudzy się przeciwko niej buntują. W zaciętej walce wiek sędziwy zapomina o godności, jaką mieć powinien, a młodzież, której pochlebiają ci, co ją pod swoim sztandarem mieć pragną, zapomina co się od niej należy starszym i uważa się na równi z nimi. W naszych czasach już nie przemawiają do serca młodego człowieka, lecz jedynie do jego rozumu; rozum wyłącznie uważają za wpływowy czynnik w jego działaniu. I tak, pokolenie nasze wychowało dzieci przejrzałe, które z uśmiechem politowania patrzą na swych kierowników. W ogólnym zepsuciu są jednak wyjątki; są młodszy ludzie, którzy głosu wołającego: idź tylko za rozumem, nie usłuchali, przenieśli uległość nad bunt, miłość nad wyrachowanie; taką jest młodzież chrześcijańska“.

Przejechawszy Cieszyn, Białą, Kętę, stanął Rzewuski u wrót starego Krakowa. Tu bolesny okrzyk wyrывa mu się z piersi: „Polsko! pomniku niesprawiedliwości przeszłego wieku, witam Cię

znowu! Nieszczęśliwa ojczyzna, stałaś się ofiarą zasad rozkładowych społeczeństwa. Wszelkie poczucie sprawiedliwości zatarte było w Europie, a panujący zamiast ugruntować swą władzę na zasadach odwiecznych sprawiedliwości, szukali jej jedynie w sile materyalnej. Targnęli się na naród będący w ucisku; sądzili, że nie naruszyli równowagi europejskiej, gdyż każdy zagrabił część niemal równą, a nie zrozumieli, że prawa narodów zostały zgwałcone, że ludy utraciły wiarę w sprawiedliwość rządzących, i że wyrachowanie czysto materyalne zakryło przed ich oczyma interes wyższej miary. Toć był godny owoc wieku Encyklopedystów, godny tryumf zasad filantropistów. Bezrozumni! głosili prawa człowieka!

„Ale jakież powody zgotowały upadek Polski? Gdyby zarodek śmierci nie był nurtował wewnątrz kraju, nigdyby nie został podbitym. Powiedzą mi, że zepsucie, przekupstwo obywateli, błędy polityczne lub przegrane bitwy zgubiły go. Ale są to wszystko przyczyny podrzędne. Ręka Boża zaciężyła nad moją nieszczęśliwą ojczyzną; jęczy pod ciężarem drugiego grzechu pierworodnego, jej właściwego. Grzech ten jest źródłem naszych cierpień przeszłych i obecnych. I któż tego nie widzi? rodzinne węzły są zerwane; niema jednej rodziny, gdzieby spokój panował; wszędzie niezgoda, węzły małżeńskie nic nie znaczą. A jeśli rodzina sama siebie rozdziera i podkopuje, jakóż się ostoi społeczeństwo, które jest zbiorem rodzin?

„Cóż więc za klątwa ciąży nad nami? Niezgoda dzieci jest karą rodziców, winy rodziców spadają na dzieci, i tak kara i wina ciągną się jak łańcuch złowrogi... Cóż to za zbrodnia ściągnęła gniew Boży? Kiedyż ją odpokutujemy? — Oby nam Niebo przebaczyć raczyło“!

Miarę tego potężnego, młodego umysłu dają przytoczone wyjątki z jego dziennika. Stanowisko zaś, jakie dwudziesto-cztero letni człowiek zajął w kraju i wojsku, daje miarę jego charakteru, którego wpływowi nie się oprzeć nie mogło. Kazał się pochować na górze św. Bronisławy. Skoro ta zajęta została na fortyfikacye, zwłoki przeniesiono do kościoła Kapucynów. Miał dwóch braci: Leona, który tyle się odznaczył w wojnie 30 r., a dobrze przed kilkunastu laty znanego w Krakowie, i Witolda, który w rozpaczliwym

usposobieniu duszy wszedł do wojska rosyjskiego na Kaukazie; podziwiano jego odwagę, bo w każdym spotkaniu z góralami szedł na przodzie, zawsze w czerwonej krakowskiej czapce na głowie. Zginął, zdaje mi się, w r. 1834. Gdzie i w jakiej chwili, nie wiadomo, jak nikt nie wie od kogo i kiedy zginął ojciec jego Wacław Rzewuski. Ostatniego widziano jeszcze pod Daszowem; później gadka tylko między kozakami krążyła, że pan ze Sawranie powrócił do Arabii. Siostra tych 3 braci, Kaliksta, której rozum oryginalny zadziwiał a odbił się w powieści: *Łaska i przeznaczenie*, poszła za Caetani'ego, księcia Sermonetti; po niej jednej zostało potomstwo, dzisiejszy ks. Sermonetti, i hrabina Lovatelli, babce i matce dorównująca rozumem, a przewyższająca obiedwie nauką.

Tak, po tej linii Rzewuskich rozum i majątek przeszły spadkowo na Włochów. Dziwne tej rodziny losy! Księżna Aleksandrowa Lubomirska, pierwsza piękność nie Polski tylko, ale Europy, ginie pod gilotyną w Paryżu; córka jej Rozalia długo chowana u kłucznika więzienia *Conciergerie*, wydobyta z tej kaźni daje rękę Rzewuskiemu, znanemu pod nazwiskiem Emira, który ginie pod Daszowem, niewiadomo od swoich czy od obcych; Stanisław młodo umiera, Witold ginie, Leon jeden z najpiękniejszych, najodważniejszych i najrozumniejszych ludzi swego czasu, biorąc udział duchowy i czynny we wszystkich sprawach ojczyzny i Kościoła, umiera w r. 1870 ostatni z linii hetmańskiej.

P. P.



ELEKCYA KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA WAZY

NA TRON MOSKIEWSKI 1609 — 1611.

Historya cieszy się u nas większem uwzględnieniem niż jakakolwiek inna nauka i dziwić się temu nie należy, bo jak z jednej strony cierpienia chwili obecnej każą szukać pokrzepienia w przeszłości, która mimo wszelkich błędów tyle szczytnych kart zawiera, tak z drugiej, dla naprawy tego co było złe, należy tę przeszłość badać.

Mimo ożywionego ruchu historycznego wiele jeszcze nader ważnych wypadków z dziejów naszych, zwłaszcza z XVII stulecia nie zostało opracowanych. Jedną z takich ciemnych stron tego stulecia jest panowanie Zygmunta III, panowanie tak ważne i płodne w tyle wielkich wydarzeń. Wśród kwestyj i zadań politycznych Rzeczypospolitej pod berłem pierwszego Wazy, wielkiej są doniosłości stosunki nasze ówczesne z carstwem moskiewskiem. Stosunki te odnoszą się na początku XVII wieku do elekcyi królewicza Władysława na tron carski.

Sprawa elekcyi Władysławowskiej należy do rzeczy nader popularnych, bo któż o niej nie wie i kto jej nie wspomina z bolesnem uczuciem, że sprawa połączenia się obudwu narodów poszła na marne. Utarło się mniemanie, że elekcyę Władysława zmarnował Zygmunt przez swój upór, fanatyzm religijny, zazdrość względem własnego syna, nieufność do hetmana Żółkiewskiego,

wreszcie przez wpływ Jezuitów, uleganie Potockim, a nakoniec przez brak rozumu, taktu i sprężystości w działaniu¹.

Największe znaczenie dla sprawy niniejszej ma książka Żółkiewskiego, który wybitny brał udział w wojnie moskiewskiej, a następnie prowadził w Moskwie z bojarami rokowania o elekcję Władysława. Na nim też oparł się Niemcewicz i inni autorowie, motywując swe bezwzględne zaufanie do hetmana doniosłością roli odegranej przezeń w tej sprawie, jak i nadzwyczajną prawością tego wielkiego męża. Nie myślimy kusić się o zmniejszenie aureoli opromieniającej tę szczytną postać, gdyż na każdym kroku spotykaliśmy ślady wielkoduszności hetmana, a nawet cudzoziemskie pióra niechętnie naszemu narodowi, oddają hołd należny wielkim jego cnotom. Zarzutu przekręcania faktów, chęci podniesienia siebie nikt mu zrobić nie może, bo mąż ten, prawdziwie chrześcijańskiej skromności, przemilczał fakta, które jego osobiście dotyczyły, a które w nadzwyczajnym blasku przedstawiają jego patryotyzm i jego cnoty. Lecz ten zarzut czyni mu historia, że w sądach swych był zbyt gorączkowym i zbyt jednostronnym, co prawdopodobnie z jego wojskowego charakteru wypływało. I tak, prawie zupełnie nie mówi o tem, jak społeczeństwo polskie zapatrywało się na kandydaturę królewicza. Powiedziawszy na wstępie, że Polacy nie życzyli sobie wojny w r. 1609, żadnej już temu nie poświęca wzmianki, nie mówi ani słowa o trudnościach finansowych, z którymi król walczył, nie uwzględnia zupełnie stosunków Rzeczypospolitej z sąsiedami, a o stronniectwach moskiewskich wspomina kilku słowy, z których żadnego sądu wyrobić sobie nie można. W kwestyi zmiany wiary, utrzymuje, że żądanie Moskali, by Władysław przyjął schyzmę, było *absurdem*, i zdradza pewną ufność, że bez tego mógłby on carem zostać². Nie dziw, że Żółkiewski, wychowany w katolicyzmie i zachodniej cywilizacyi, uważał za *absurd* przyjęcie wiary greckiej; lecz mąż stanu wiedzieć był powinien, że cerkiew była najsilniejszą dźwignią tronu, i że nigdy nie zniosłaby na nim innowierców; powinien był wreszcie liczyć się z niechęcią Moskali

¹ Niemcewicz. Panowanie Zygmunta III. Warszawa 1819, t. II. str. 489—494. Szujski. Dzieje Polski. Lwów 1861. tom III. str. 201—202.

² Żółkiewski. Pisma wyd. Bielowskiego. Lwów 1861 str. 73.

względem katolików. Zresztą książka jego, opisując obszernie bitwy i marsze wojsk, zbyt mało mówi o stosunkach politycznych.

O innych autorach mniej mamy do powiedzenia, gdyż o sprawie naszej mówią mało, a w dodatku, aczkolwiek współczesnymi byli, czerpali wiadomości z drugiej ręki. Kobierzycki¹ opowiadając dość obszernie drobne fakta, w rzeczach głównych dotyczących się układów, opiera się na Żółkiewskim, królowi nie szczędzi wyrzutów, że oblegał Smoleńsk, w czym również naśladuje hetmana — lecz o stosunkach wewnętrznych Polski i stronniectwach moskiewskich zupełnie milczy. Biskup Piasecki² i Łubieński, biskup płocki³ piszą o stosunkach moskiewskich zbyt mało, obaj grzeszą brakiem informacyj, a Piasecki nadto stronniczością. Pisarz ten znany z niechęci ku Zygmuntowi, żadnych mu zarzutów nie robi. Łubieński widzi upadek całej sprawy w machinacyach moskiewskich, nie szczędząc przy każdej sposobności pochwał dla króla. Wassenberg⁴ traktuje sprawę elekcji w przedmowie do historii Władysława, lecz zbyt pobieżnie. Marchocki i Maskiewicz⁵, współcześnie pamiętnikarze, z których pierwszy walczył pod chorągwią drugiego pseudodymitra, ostatni zaś pod chorągwią króla, mają wielkie znaczenie tam, gdzie mówią o moralnym stanie wojska i o opiniach moskiewskiego ludu. Z historii opracowanych posiada nasza literatura wspomnianego już Niemcewicza, na którym jednak polegać nie można, raz dla tego, że tak długie panowanie Zygmunta w zbyt ciasnych stosunkowo zamknął ramach; powtóre dla tego, choć czerpał z bogatych zbiorów w Porycku, to nie wyzyskał ich należycie, nie zbadał ani stanu umysłów w Polsce, ani trudności, z jakimi walczył król, na którego barki zwałił autor całą odpowiedzialność za to, że korona carska nie spoczęła na młodocianych skroniach Władysława Wazy. Rzecz dziwna, że ten Niem-

¹ Historia Vladislai IV Dantisci 1655.

² Kronika Pawła Piaseckiego, przekład Jul. Bartoszewicza. Kraków 1870. Piasecki.

³ *Lubieński*. Opera posthuma Antverpiae 1643.

⁴ *Wassenberg*. Gestorum Vladislai IV. Pol. et Sanctae regis etc.

⁵ Pamiętniki Samuela Maskiewicza. Wilno 1838. *Marchocki*. Historia wojny moskiewskiej. Poznań 1841.

cewicz, który tak wielką posiadał delikatność uczuć i tak wzniosłe pojmował obowiązek dziejopisa, w obec Zygmunta dał się uwieść złudzeniu. Widmo religijnego fanatyzmu, które encyklopedyzm zesłowieczny złośliwie wprowadził do historii, odbierało mu jasność poglądu i pozbawiało równowagi.

W obec takiego sądu współczesnych i Niemcewicza dziwić się nie można, że nawet posiadające wartość naukową podręczniki mieszczą w sobie te poglądy, któreśmy przytoczyli, poglądy, które w opinii publicznej ściągnęły na Zygmunta zarzut politycznego niedołęstwa i fanatycznego zaślepienia.

Otóż w obec nowych źródeł rzecz cała całkiem inaczej się przedstawia, a źródła są niepodważanej wartości. Historycy rosyjscy, Sołowiew, Kostomarow i Karamzyn¹ czerpali swe opowiadania ze swych archiwów krajowych, nasze też archiwa polskie posiadają bogaty materiał. W tekach Naruszewicza i w aktach ze zbiorów Czackiego² znaleźliśmy dwa egzemplarze dyaryusza sejmu z r. 1611, uniwersały i listy królewskie, nadto listy Feliksa Kryskiego, Lwa Sapiehy, Żółkiewskiego, Janusza Radziwiłła, Zadzika i wielu mniej wybitnych osób. W pismach królewskich rozróżnić należy urzędowe od prywatnych, w których Zygmunt tłumaczy się niejednokrotnie ze swej polityki moskiewskiej w tonie poufnym, lub skarży się na wielkie trudności wynikające już to z braku pieniędzy, już z niesforności żołnierza. Listy zaś wyżej przytoczonych mężów pisane do znajomych, zawierają obok rzeczy podrzędnej wartości, także poglądy polityczne, tem cenniejsze, że wypowiedziane w sekrecie nieraz, a często odnoszące się do ogólnego stanu Rzeczypospolitej.

Na mocy tych źródeł ułożyliśmy niniejszą pracę, której zadaniem jest wykazać czynniki, z jakimi musiał się liczyć Zygmunt, a które działały rozstrzygająco tak na kandydaturę Władysława,

¹ *Sołowiew*. Istorija Rossii s drevniejszych wremion t. VIII. — *Kostomarow*. Smutnoje Wremia z moskowskawo gosudarstwa w naczale XVII stol. St. Petersburg 1869 t. III. — *Karamzyn*. Historya państwa rosyjskiego tł. Grzeg. Buczyńskiego. Warszawa 1827 t. XI i XII.

² Teki Naruszewicza 101, 102, 103, 104, 105 i 106. Mss. ze zbioru Czackiego NN. 342, 343, 350, 351, 361, 363.

jak na moskiewską politykę króla. Aby się dobrze rozglądnąć w tej sprawie roztrząśniemy szczegółowo :

a) stan carstwa, stronnictw i usposobienie Moskali dla Polski;

b) usposobienie Polaków dla polityki króla i ich poglądy na elekcję Władysława;

c) stan finansów królewskich podczas wojny i

d) stosunki Rzeczypospolitej z sąsiadami, a w szczególności spisek Gabryela Batorego.

I.

Po Iwanie Groźnym, którego krwawa gospodarka rozbudziła w narodzie wspomnienie lepszej doli z czasów wiecowych, wstąpił na tron Fiedor. Niedołężny monarcha zdał brzemień rządów na szwagra swego Borysa Godunowa, który następnie zasiadł na tronie po bezdzietnym Fiedorze. Wraz z tronem nie pozyskał Borys serc Moskali, posądzali go o zbrodnię carobójstwa od czasu zgonu Dymitra.

Sprawa Dymitra ma dla rzeczy naszej znaczenie uboczne, wspominamy o niej tutaj nawiasowo, że po dzień dzisiejszy jest kwestyą niewyjaśnioną, czy ów kuchcik Wiśniowieckich, później car, był oszustem czy też rzeczywiście synem Iwana Groźnego. Borys bowiem kazał zamordować Dymitra, mordu dokonali nasłani przezeń siepacze, lecz niewiadomo, czy na carewiczu czy na dziecku, które podsunął nauczyciel Dymitra, a któremu zbójcy tak strasznie twarz pokaleczyli, że rozpoznanie zwłok stało się niepodobieństwem. Borys nie cieszył się tedy sympatją ludu, który zwał na niego odpowiedzialność za wszystko złe, co się wtedy w carstwie działo, jak wielki głód w roku 1603, częste pożary i t. p. klęski poczytywali Moskale za karę zagniewanych niebios z powodu zbrodni carskich¹. Nie dziw też, gdy się zjawił w Polsce Dymitr, gdy

¹ Prócz tego nadzwyczajne jakieś prognostyki wróżyły ludowi bliskie nieszczęścia. Karamzyn (t. XI, str. 105) przytacza wyjątki z kronik zastrzegając się jednak przed wiarą w te baśnie. Otóż często pokazywać się miały

wsparty przez Mniszcha i Wiśniowieckich wkroczył w granice carstwa moskiewskiego, lud począł się do niego garnać, opuszczając Borysa, który też niebawem nagle umarł. Fiedor syn Borysa po kilkodniowych rządach ginie śmiercią gwałtowną, a Dymitr wjeżdża do Moskwy, upojonej radością, że odnalazła potomka prawowitych swych panów.

Dymitr zasiada na tronie, lecz zaprowadzone zbyt pospiesznie nowości, sympatye okazywane wierze katolickiej i Polakom, obcowanie z Jezuitami, lekceważenie zwyczajów moskiewskich, wszystko to się składa na odwrócenie narodu od niego¹. Książę Bazyli Szujski, ujawniwszy w swe ręce ster spisku, wywołuje bunt w Moskwie (w maju 1606 r.), ofiarą którego pada Dymitr i kilkuset Polaków przybyłych z Maryną do Moskwy na jej gody weselne; i sam zasiada na carskim tronie.

Był to człowiek pięćdziesięcioletni, wyglądał jednak jak zgrzybiały starzec, nie lubiany przez lud, a w oczach bojarów parweniusz nie godzien tak wysokiego dostojęństwa. Mimo trudności, jakie napotkał u siebie w domu, występuje wrogo przeciw Rzeczypospolitej, czego dowodem, że posłów jej Mikołaja Oleśnickiego i Aleksandra Gosiewskiego wysłanych przez Zygmunta na wesele Dymitra wtrącił do więzienia. Wszystko przemawia za tem, że nowy car chciał zażegnać wewnętrzne zamieszki, przez użycie starej rady: *si vis pacem, para bellum*. Lecz nie było mu to danem, gdyż jak grzyby po deszczu wyrastali teraz samozwańcy, a ciemnota, przewrotność i zdrada równie bojarów jak ludu była nader przyjaznym gruntem dla tego rodzaju awanturników. Zjawia się jakiś chłop Bołotników, jakiś awanturnik Eliasza, jakiś kozak — wszyscy przedstawiają się za cudownie ocalonych książąt: jeden jest synem cara Fiedora, drugi Iwana — słowem na heraldyce, którą do-

dwa lub trzy księżyce lub podwójne słońca, w ciągu nocy jakieś ogniste wojska ukazywały się na widnokręgu. Wichry i burze srożyły się tak wielkie, że obalały cerkwie i domy. Niewiasty i zwierzęta wydawały na świat dziwotwory. Na ulicach Moskwy pokazywały się wilki, a lisy czarne łowiono rękami.

¹ Za wielkie zgorzelenie uważano, że Dymitr jadł cieleninę, cesał się wedle polskiej mody, rzadko chodził do łaźni i nie sypiał po obiedzie. Zarzucano mu, że zdeptał godność monarszą, albowiem chodził często bez orszaku, ujeżdżał dzikie konie, strzelał do celu i t. p. *Karamzin* t. XI, str. 193.

brze znali, opierają swą prawowitość. Aczkolwiek panowie ci w imię legitymizmu występowali, nie przeszkadzało im to palić całych wsi i miast, zrabowawszy wprzód, co się wzięść dało, trwało to zaś dotąd, dopóki wojsko cara Bazylego nie rozprószyło łotrzących tłumów, dopóki hersztowie na palu lub szubienicy nie skończyli. Zaledwie jednak tych uprzątnięto, kiedy w mieście Starodubie zjawił się nowy szalbierz, który głosił, że jest carem Dymitrem, do którego, jak mówi jeden ze współczesnych, „w niezem nie był podobny, krom tego, że był człowiekiem“, że w czasie rzezi w Moskwie nie zginął jak mylnie wieść głosi, lecz podziemnymi chodnikami uszedł i przybywa tu do Staroduba, aby od wiernych poddanych zyskać potrzebną mu pomoc. Wieść o tem nowem zjawisku rozchodzi się szeroko, liczne tłumy zbiegają się pod sztandar nowego cara, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był żydem, posuwają się ku Moskwie rabując po drodze. Nowy szalbierz był tem niebezpieczniejszy, że zagrażał nie tylko politycznym ale i socyalnym przewrotem. Rozdawał bowiem swej tłuszczy majątki a nawet żony i córki bojarów. Być może, że byłby się i z nim uporał car Bazyli, bo tłumy otaczające samozwańca nie mogły się mierzyć z armią carską, ale kiedy na pomoc szalbierzowi przybyli kniaź Rożyński i Jan Piotr Sapieha, starosta uświatski z kilku tysiącami Polaków, wtedy nowy pretendent do tronu stał się rzeczywiście groźnym dla cara. Wymienieni powyżej Polacy są smutnem zjawiskiem, przypominającem kondotierów włoskich; awanturnicy bez zasad i poczucia narodowej godności, pozostałość i owoc rokoszu Zebrzydowskiego. Wobec takiego stanu rzeczy Szujski wypuszcza posłów króla Zygmunta z więzienia wraz z Maryną Mniszechówną i jej ojcem Jerzym Mniszchem. Gdy posłowie jadą spokojnie do Polski, Maryna dostaje się w ręce oddziału żołnierzy wysłanych przez szalbierza, przyprowadzona zaś do jego obozu, rzuca się wśród objawów najczulszej radości na szyję mniemanego małżonka, jednak czyniąc zadość głosowi sumienia bierze z nim ślub potajemnie. Posłowie przybywszy do Polski oświadczyli królowi, że bardzo wielu Moskali dziwi się, czemu Polska nie korzysta z zamętu panującego w carstwie, powtarzali nadto co poprzednio już donosili w listach, że Moskale pragną wolności polskiej i dla pozyskania jej gotowi wynieść na tron swój królewicza

Władysława¹. W tymże samym czasie pisał do króla starosta orszański, dając następny wyraz usposobienia Moskali: „tak mówią (Moskale), że skoroby choćby najmniejsze wojsko W. K. M. przyszło, tedy by się wszysej jak Smoleńsk tak i przyległości Smoleńskie W. K. M. poddały².

Zaznaczyć tu należy, że podobne wiadomości były nader dalekimi od rzeczywistości, jak to zobaczymy w dalszym ciągu, bo pewnie Dymitr Szujski, brat cara, którego posłowie w liczbie stronników władysławowskich umieścili, walczył z Zygmuntem do ostatka jak i Smoleńsk z bohaterską przyznać to trzeba odwagą, bronił się Polakom. Wiadomości o sympatyach moskiewskich dla młodego królewicza nie były nowiną, gdyż już w roku 1609 objawił je w Krakowie poseł Dymitra Bezobrazow. Człowiek ten wyprawiony został do króla przez Dymitra: przybywszy do Krakowa prosił o rozmowę w cztery oczy z podkanclerzym Kryskim, król jednak uważał to za niewłaściwe i kazał oświadczyć posłowi moskiewskiemu, by sekreta swe powierzył panu Gosiewskiemu. Temu ostatniemu oznajmił Bezobrazow, że bojarzy boleją mocno nad tem, iż król pomógł do osiągnięcia tronu człowiekowi, który wcale nie jest Dymitrem lecz prostym oszustem. Żalił się na okrucieństwa i rozpusty młodego cara i zakończył, że bojarzy pragną się pozbyć samozwańca, a na tronie osadzić królewicza Władysława. Król dał Bezobrazowowi na to także tajemną odpowiedź, że boleje nad losem bojarów, nie myśli ich wstrzymywać od tego, by się nie ratowali, co się zaś tyczy Władysława, to jak sam król nie powoduje się pychą, tak też pragnie aby i syn jego był dalekim od górnych zamysłów, zresztą — zdaje się pod tym względem na wolę Boga³. Aczkolwiek kilka dziesiątek lat wstecz, podczas elekcyi Walezego, był tak silny prąd, zwłaszcza wśród szlachty litewskiej do łączenia się z Moskalami, to jednakże dziś przyjmowali Polacy wiadomości o sympatyach Moskali bardzo zimno i wojnę, którą król zamierzał rozpocząć, uważali za niepotrzebną, a nawet szkodliwą.

¹ Teka Naruszewicza 103, Nr. 112.

² Ibidem. Nr. 255.

³ Żółkiewski. Str. 9—11. Teka Nar. 102. Nr. 93.

Zygmunt bez wiedzy sejmu, naradziwszy się tylko z Radą Senatu, ze szczupłym stosunkowo, bo tylko 16 tysięcy wynoszącym wojskiem wyruszył ku granicom carstwa, aby, jak opiewa list jego do cesarza Rudolfa, pomścić się na Moskwie za uwięzienie posłów polskich i zabójstwo szlachty, zapobiedz, by zawarty niedawno alians cara ze Szwedami szkody Rzeczypospolitej nie przyniósł, lub by państwo Bazylego nie dostało się w moc Turków, których sąsiedztwo mogłoby poddać i Polskę pod sromotne bisurmanów jarzmo¹. Król ludził się sympatjami moskiewskimi i, — gdy hetman Żółkiewski w Lublinie już w ciągu marszu przedstawiał Zygmuntowi niesłychane trudności, na jakie zamierzona wyprawa napotka w obec słabości sił polskich, Zygmunt odparł, że Gosiewski, wysłany nad granice carstwa dla zbadania sytuacji, przysłał jak najpomyślniejsze wiadomości o usposobieniu Moskali. Gosiewski donosił mianowicie, że załoga Smoleńska gotową się była poddać ciągnącemu opodal tego grodu Sapiesze i powstrzymała ją od tego kroku ta tylko okoliczność, iż dowiedziała się, że Sapieha nie jest wodzem królewskim, ale zaciężnikiem szalbierza². W Lublinie wydał król deklarację do narodu, w której tłumaczył się z pobudek, jakie go skłoniły do rozpoczęcia wojny, z oburzeniem zwalcza zarzuty malkontentów, którzy śmiało głosić, że król dla osiągnięcia absolutyzmu i dla swych dynastycznych interesów rozpoczyna wojnę, przyrzeka w końcu uroczyście, że w ciągu wojny tylko dobro Polski mieć będzie na względzie i o jej korzyści wyłącznie starać się będzie³.

Taką samą deklarację wydał Zygmunt w Wilnie. Nareszcie na granicy Litwy wydał uniwersał do ludności Smoleńska i jego okolicy. W uniwersale wzywa tę ludność, by mu się dobrowolnie poddała, zapewniając ją, że wiara grecka żadnego uszczerbku nie poniesie, równie jak majątki i prawa poszczególnych stanów raczej pomnożenia niż szkody pod berłem polskim dla siebie oczekiwać mogą. Acz zręcznie był zredagowany ów uniwersał, skutku nie osiągnął: okoliczna ludność zbiegała tłumnie do warownego Smo-

¹ *Lubieński*. Str. 153.

² *Żółkiewski*. Str. 19.

³ *Teka Nar.* 104. Nr. 206.

leńska, zostawiając mienie na pastwę losu, a dowódca Smoleńska, dzielny Michał Szehin gotował się do obrony z podwójną gorliwością, postanawiając raczej zginąć, niż puścić orły polskie do wnętrza carskiego grodu.

Był to pierwszy objaw zadający kłam różowym nadziejom Zygmunta, przedstawiający w prawdziwym świetle stan rzeczy wśród Moskali. Wiele złożyło się na to przyczyn, by załogę smoleńską natchnąć tą odwagą, której przez półtora roku tyle chlubnych złożyła dowodów. W pierwszym rzędzie wchodziła w grę obawa o religię pod berłem tego monarchy, którego popi za popieranie Unii Brzeskiej przedstawiali ludowi jako potępieńca, zaciętego wroga cerkwi, dla której zniszczenia rozpoczął wojnę. Obok względów religijnych oddziaływały na załogę i inne, mianowicie wielu z mieszkańców Smoleńska miało synów swoich w armii Szujskiego, otóż odpadając od jego berła, tracili swych krewnych na zawsze. Kupcy znów smoleńscy pożyczili znaczne sumy pieniędzy carowi Bazylemu, więc w jego utrzymaniu na tronie widzieli i swój także własny interes.

Gdy Zygmunt w roku 1609, w końcu września przybywszy pod Smoleńsk, złożył radę wojenną nad planem kampanii, hetman Żółkiewski radził zostawić mały oddział wojska pod Smoleńskiem, a z całą siłą zmierzać ku Moskwie. Żółkiewski radził to z taktycznych względów, lecz Zygmunt dla względów politycznych, które w dalszym ciągu poznamy, rady tej nie przyjął i postanowił zdobywać Smoleńsk, który tak długo wśród tysiącznych przykrości więził go pod swemi murami. Ponieważ siły króla były szczupłe, a Moskale stali jedni po stronie cara, drudzy po stronie szalbierza, więc trzeba było szukać gdzieś pomocy; najwłaściwiej było odwołać się do tych zaciężników polskich, którzy wspierali szalbierza. Ludzie ci jednak żądali od Zygmunta sum tak wygórowanych, dopuszczali się takiego zuchwalstwa, że zdawało się, iż żadna siła nie zdoła im przypomnieć obowiązku. Dopiero gdy samozwaniec zbiegł z obozu pod Tuszynem, lękając się zdrady, wówczas trzy tysiące z oddziału Rożyńskiego przechodzi na stronę króla, reszta podąży do Kaługi za Samozwańcem. Umarł też i kniaź Rożyński, który z awanturniczością łączył do zuchwalstwa posuniętą odwagę i wojskowy talent. Krótco przed śmiercią opuścił on samozwańca,

wojsko jego zostało bez wodza. Sapieha zaś, który jedynie zastąpić mógł zmarłego, stał teraz z wojskiem swoim w Trojcy i zamierzał przejść na stronę króla. Dzięki tym okolicznościom więc sprawa Dymitra II poczyniała chylić się do upadku. To było powodem, że szesnastu Moskali z Sołtykowem na czele, przybyło pod Smoleńsk, aby ofiarować koronę carską Władysławowi. Król w tej ważnej sprawie kazał im naradzić się z senatorami. W obradach szło wszystko gładko, z wyjątkiem kwestyi religii, w której okazywali nadzwyczajną gorliwość, żądając, aby Władysław wyparł się katolicyzmu. Zapewniali, że ich rodacy pragną ogółem wyniesienia Władysława, że ci, którzy stoją po stronie szalbierza, czynią to tylko z nienawiści do Szujskiego, ogólnie niecierpianego. Mimo ludzących pozorów, wytrawne oko senatorów polskich dostrzegło w zapewnieniach moskiewskich wiele stron ciemnych i pod wpływem tego postanowiono działać z jak największą ostrożnością. Tak samo z niedowierzaniem przyjmował afekta moskiewskie król, i w odpowiedzi danej od tronu po zamknięciu wyżej wspomnianych narad, oświadczył, że co się tyczy syna jego Władysława to rzecz tę zostawia woli Bożej i przyszłości, przedewszystkiem zaś czekać należy na uspokojenie państwa moskiewskiego¹.

Zwrócić tu należy uwagę, że Sołtykow z towarzyszami działał w imieniu własnem, bez niczyjego upoważnienia, że ludzie ci zatrwożeni upadkiem szalbierza, wiedząc, że dostawszy się w moc Szujskiego pójdą na Szubienicę, układy z Polakami uważali za ostatnią deskę ratunku². Zwycięzą Polacy, to oni staną w pierwszym rzędzie, jako kandydaci do zaszczytów i zyskownych godności, utrzyma się na tronie Szujski, to w ostatnim razie schronią się do Polski. Zdawałoby się, że położenie Zygmunta stawało się lepszem, skoro Moskale poczynają się rzeczywiście garnąć do niego, zwłaszcza że w parę dni po Sołtykowie, przybyło pod Smoleńsk kilku bojarów i oddało w ręce polskie zamki, nad którymi mieli komendę. Były to tylko złudne pozory: król poznawszy rzeczywistość, postanowił teraz mimo tego wszystkiego z Szujskim zawrzeć pokój. Bazyli jednak odpowiedział, że żąda, aby król bez-

¹ *Kobierzycki*. Str. 176—177.

² *M. Karamzyn*. *Historja państwa rosyjskiego* t. XII str. 163.

zwłocznie wyszedł z granic jego państwa, a co się tyczy ustępstw terytoryalnych, to nie myśli ich ceną okupywać pokoju. Potęga Szujskiego, zwłaszcza teraz, gdy był zachwianym samozwaniec, poczęła wzrastać, wyprawia on 48,000 wojska pod dowództwem brata swego Dymitra pod Smoleńsk. Przeciw temu wodzowi wyrusza Żółkiewski, mając zaledwie 7000 wojska, z którym jednak odnosi pod Kluszyńnem w dniu 4 lipca 1610 r. wiekopomne zwycięstwo, które obecny w tym boju Maskiewicz w swym pamiętniku tak opisuje: „Hetman, napominając i sławę nieśmiertelną przekładając przed oczy, każe postępować do nieprzyjaciela; a za tym kapłani benedykcyę jeżdżąc dają. Dopieroż w imię Pańskie potka się rot kilka, a po nich drudzy i znowu inni według porządku. Hetman bacząc z góry, że nasi, jak w otchłani piekielną wpadłszy długo pośrodku ich się skrywając zaledwo kiedy się ukażą z chorągwią, którą coraz do sprawy wołają, już zwątpił o sobie i o wszystkich nas i jako drugi Jozue ręce do góry trzymając po wszystkiek czas o zwycięstwo prosił. Nadziei żadnej jeno w samej łasce Najwyższego *victoria* zostawała, i tenże z miłosierdzia swego świętego ku narodowi naszemu sprawić to raczył. Widząc nieprzyjaciela naszą już słabość rozkazał dwom kornetom rajtarskim by się z nami potkali, a ci sami za łaską Najwyższego zwycięstwo nam uczynili, bo jako skoczyli do nas niegotowych i wypuściwszy strzelbę uczynili odwrót dla nabijania, a drudzy następowali strzelając, my pałasze jeno w rękę mając, posunęliśmy się za nimi, a ci zapomniawszy nabijać, a drugi i nie wystrzelił, tyl podali i wpadli na wszystką Moskwę, która w bramie obozowej została i pomieszała ją wnet. Straciwszy serce Moskwa pierzchać i uciekać poczęła, a my na grzbietach ich jadąc wpadliśmy do obozu ich, a ci widząc, że i tam nas zbyć nie mogą, dziurę w kobylicach obozowych uczyniwszy pierzchać z obozu precz poczęli i w nogach ratunku i ochrony zdrowia swego szukać¹.

Zaledwie pozbierano rannych, którym zacny Żółkiewski własnej ustąpił karety, ruszono ku Moskwie, lecz przed rozstrzygnięciem sprawy orężem, postanowił hetman rozpocząć listowną agitacyę

¹ *Maskiewicz. Str. 26—27.*

przeciw carowi Bazylemu. Napisał więc do Moskwy do wybitniejszych a sympatyzujących z Polską bojarów¹, którym przedstawia, że panowanie Szujskiego ściągnęło na kraj tysiączne nieszczęścia, i że lepsza dola wtedy tylko dla ziemi moskiewskiej nastać może, gdy zdetronizują Bazylego a obiorą carem polskiego królewicza. Czy to skutkiem tych listów, czy z innych jakichś powodów, ludność niechętna od dawna carowi, poczęła się burzyć przeciwko niemu i jak zwykle w podobnych wypadkach bywa, zwać na niego winę, za wszystko złe jakie jej dokuczało. Car był bezsilny, do samych komnat jego dochodziły głosy złorzeczenia: nikt go się już nie bał, a prócz tyranii, którą nękał dotąd poddanych, niska jego natura niezdolną była równie na to, by z odwagą umrzeć, jak by łagodnem postępowaniem pozyskać niechętnych. Mylili by się jednak ten, ktoby mniemał, że stolica działała pod wpływem sympatii dla młodego Wazy, gdyż bojarzy i bogatsze mieszczaństwo ulegało śmiertelnej trwodze przed samozwancem. Stronnicy Szujskiego wiedzieli, że szalbierz będzie nieublaganym, że skoro zdobędzie stolicę, wymorduje niechętnych sobie, a w dodatku zagrabi ich mienie, pogrążając osierocone rodziny w ostatniej nędzy². Samozwaniec był obecnie dla stolicy istną gromową chmurą, tem więcej, że czerń miejska z upragnieniem do niego ręce wyciągała, bojarzy zaś sił na tyle nie posiadali, by ją utrzymać na wodzy. Samozwaniec, który niedawno zachwiany został z powodu że Rożyński opuścił jego chorągiew, teraz, gdy go energicznie poparł Jan Piotr Sapieha, nowej nabrał siły. Postępowanie Sapiehy trudne jest do zrozumienia: gdy król przyszedł pod Smoleńsk, miał zamiar z nim się połączyć, teraz przechodzi do samozwanka i trwa przy nim upornie aż do końca. Niektórzy przypuszczają, że Sapieha działał w myśl instrukcyj króla, któremu dogadzało, by do czasu nękać z dwóch stron Szujskiego. Zważywszy jednak, że Sapieha oblega Moskwę także po zdetronizowaniu Szujskiego, że hetman Żółkiewski siły przeciw niemu użyć musi, godzić się na to nie można, jak z drugiej strony trudno powiedzieć, by Sapieha działał tylko dla zysku, raczej przypuścić trzeba, że motorem jego

¹ Żółkiewski. Str. 65, *Kostomarow* t. II str. 364.

² *Kostomarow* t. II str. 364; *Sołowiev* t. VIII str. 199.

działania była żyłka awanturnicza i wygórowana duma. Sapieha, wyruszywszy z Kaługi z samozwańcem, stoczył kilka szczęśliwych utarczek i obległ Moskwę na parę dni przed detronizacją Bazylego.

„Wtem dnia 27 lipca (1610 r.) przyszli do Szujskiego tłumem wielkim dworzanie, których tam było do kilku tysięcy; wystąpił najpierw Zachary Lepunow: „Długoż dla ciebie będzie się lala chrześcijańska krew? Ziemia opustoszała, nie dobrego się w carstwie za twego gospodarstwa nie dzieje, polituj się nad upadkiem naszym, połóż posoch (tj. *sceptrum*), niech z inszej miary o sobie radzimy!“. „Ciężkie były te słowa Szujskiemu: poczał mu lajać sromotnie od matki: „Tyś mi to śmiał mówić? Bojary nie mówią mi tego“ i porwał się do noża, który wielki Moskwa zwykła nosić, na Lepunowa. Lepunów chłop był urodziwy i serca mu dostawało, zawołał nań głosem: „nie porywaj się na mnie! jak cię wezmę w ręce to cię zgniotę“. „A w tem ozwali się drudzy dworzanie przy Lepunowie, osobliwie niejaki Chomutow i Iwan Nikiticz Sołtykow, uczynili wrzask, akklamacye i gwałtem zawoławszy: „pójdźmy! pójdźmy“! wyszli z izby przed bramę, za miasto i tam abrogowali *imperium* Szujskiemu“¹!

Gdy wieść o tem doszła do Żółkiewskiego, napisał on listy do bojarów stołecznych, oświadczając gotowość udzielenia im pomocy, jeśli berło swoje oddadzą królewiczowi polskiemu. W tychże listach wzywał hetman Moskali, by pomni na wielkie zasługi położone dla ojczyzny przez ród Szujskich, otoczyli opieką i uszanowaniem zdetronizowanego władcę. Hetman chciał w ten sposób zapobiedz zamordowaniu Szujskiego, pragnąc go mieć w swem ręku, by w razie zapasów stronniczych, groźbą wprowadzenia go ponownie na tron, zaszachować stronnicze intrygi. Szujskiego nie zamordowano, wbrew narodowemu zwyczajowi Moskali, rozwiązującemu tak często za pomocą noża trudne sytuacye. Żółkiewskiemu jednak odpisano w tonie nader szorstkim, oświadczając, że stolica pomocy polskiej nie potrzebuje, a hetmanowi radzi, by się do niej nie zbliżał, bo szkodę tylko z tego ponieść może. Nie były to czece pogroźki: hetman byłby spotkał u bram Moskwy dłoń uzbrogoną

¹ Żółkiewski str. 66 - 67.

żelazem, miasto bratniego uścisku, bo górą byli w Moskwie narodowcy tj. ci, którzy pragnęli wynieść na tron rodaka, a mianowicie jedno stronnictwo Bazylego Golicyna, a drugie Michała Nikiticza Romanowa, syna Filareta metropolity moskiewskiego, potomka po kądzieli rodziny Ruryków. Stronnictwa narodowców dokonały detronizacyi Szujskiego, a gdy po zamknięciu go w monasterze naradzano się nad tem co czynić wypada, wówczas nikt nie „bąknął“ nawet o Władysławie. Narodowcy bowiem przed dokonaniem detronizacyi napisali do stronników szalbierza, zawiadamiając ich, że niebawem położą koniec rządóm Bazylego i wzywając, aby to samo oni zrobili ze swym Dymitrem, poczem całą ziemią można będzie obrać nowego władcę. Ci ostatni okazali nadzwyczajną gotowość do usunięcia samozwańca, ale żądali by stołeczni bojarzy dali pierwsi przykład i stracili Szujskiego. Gdy się to stało, wówczas partya fałszywego Dymitra zrzuca maskę obludy i oświadcza kategorycznie, że nigdy nie skała się zdradą, jakiej próbkę dała stolica, i wiernie wytrwa przy swym carze. To zmieniło postać rzeczy, bo jak słusznie mówi Kostomarow, potakiwanie Polakom było konieczne, skoro siły nie pozwalały zbrojno przeciw nim wystąpić. Teraz więc zwrócono się do Polaków, przywódczy stronnictw narodowych zeszli na drugi plan, a rządy ujęła w swe ręce *duma*, której naczelnikiem został kniaź Teodor Iwanowicz Mścisławski. Bojarzyn ten, posiadający większe niż Golicyn i Filaret prawa do tronu, szczerze pożytał królewicza Władysława na carstwo. Z jednej strony ulegał urokowi swobód polskich, z drugiej lękał się cara narodowego, przewidując, że gdyby Golicyn lub Romanow zyskali koronę, straciłaby urok w oczach tłumu a nadto ośmieliłaby ambitnych karyerowiczów do intryg. Mścisławski działał szczerze dla sprawy Władysława, lecz wielu z tych, którzy mu wtórowali, uważali kandydaturę polską za środek do osiągnięcia stronnictwowych celów, lub osobistego ocalenia, i to tak dobrze odnosi się do stronnictw Golicyna i Filareta, które teraz udają sympatye polskie, jak i do ludzi, którzy stanowią rdzeń polskiego stronnictwa. Stronnictwo polskie szczuplejsze liczebnie od dwóch poprzednich, z różnych składało się żywiołów: duszą jego i naczelnikiem był Mścisławski, który i w *dumie* przeważny wpływ wywierał; ten, jak powiedzieliśmy, działał szczerze, obok niego odgrywają pewną rolę:

Prokop Łapunow, Sołtykow i Andronow. Prokop Łapunow, człowiek prawy, patriota gorący, pragnął polskiego księcia wyłącznie i jedynie dlatego, by położyć kres bratobójczej walce i skołatana ojczyznę pokojem obdarzyć. Andronow i Sołtykow przeciwnie, byli to zwykli karyerowicze, mający korzyść własną tylko na względzie. Prócz wyżej wspomnianych reszta niczem się nie odznaczyła i dlatego ich nie wymieniamy. Z Mściśławskim zawiązuje teraz korespondencję Żółkiewski. Mściśławski zbiera bojarów na naradę i tu przedstawia konieczność polskiego królewicza obrania carem, pod warunkiem jednak, że ten przyjmie wiarę grecką. Powziąwszy postanowienie zgodne z życzeniami Mściśławskiego, wyprawiono niezwłocznie po ukończeniu narady Teodora Tieluszkina do Żółkiewskiego z prośbą, by udzielił pomocy przeciw samozwańcowi. Wódz polski, stojący w tej chwili już przy samych murach Moskwy, która mimo wszystkiego bramy swoje szczelnie przed nim pozamykała, zapewnił posła o swej życzliwości dla narodu moskiewskiego, zastrzegł się jednak wyraźnie, że czynnej pomocy przeciw pseudodymitrowi dać nie może, najwyżej tylko posle do Sapiehy z przedstawieniem, by zaprzestał oblężenia. Chciał on przez to zmusić Moskali do stanowczego kroku i w najbliższej przyszłości przekonał się o trafności swego postępowania.

Powitali posłów moskiewskich w imieniu hetmana Stanisław Domaradzki, podstoli lwowski i Aleksander Bałaban, nadający się do powyższej misji, już przez to, że obaj byli wiary dyzunickiej, mogli więc łatwiej niż ktokolwiek uspokoić obawy swych współwyznawców o los cerkwi. Posłowie moskiewscy oświadczyli im, że całe carstwo pragnie oddać koronę polskiemu królewiczowi, ciesząc się nadzieją, że rządy kierowane jego dzielną dłonią, będą złotą epoką dla wszystkich, lecz jest obok tego ogólne pragnienie, by Władysław wyparł się wiary katolickiej. Domaradzki odpowiedział, że Władysław dla tronu nigdy nie zmieni wiary, lecz zaczął ich uspokajać, że cerkiew szkody nie poniesie, co zdawali się Moskale przyjmować z pewnem zaufaniem.

Na naradzie tej nie stanowczego nie uchwalono. W parę dni później zjechał się sam hetman z Mściśławskim, lecz zaledwie zaczęli rozmawiać zagrzmiały działo, zwiastując, że samozwaniec szturm do murów przypuszcza, z powodu czego Mściśławski

wrócił do miasta. Nieprzewidziana zwłoka w rokowaniach była na rękę hetmanowi, gdyż pragnął się doczekać instrukcyi króla, o którą prosił przed kilku tygodniami, aby wiedział, jakie warunki podać w układach elekcyjnych i na co się zgodzić można. Położenie hetmana było bardzo trudne, bo z jednej strony nalegali nań usilnie bojarzy, by ułożyć i zaprzysiąc warunki elekcyi, z drugiej wojsko polskie niepłatne poczynając już objawiać swe niezadowolnienie, a on tymczasem w tej ważnej sprawie żadnej instrukcyi od króla nie otrzymał. Pojmując doniosłość sprawy, ważył każdy swój czyn i obrał drogę pośrednią, biorąc za podstawę układów warunki podane pod Smoleńskiem przez Sołtykowa. Co się jednak dotyczy zmiany wiary, odpowiadał Moskalom zawsze z tą samą stanowczością, że w tym względzie żadnych obietnic czynić nie może; nie przeczył jednak, że w przyszłości obrót taki jest możliwym. Gdy się zbliżał dzień zaprzysiężenia warunków elekcyi, hetman, próbując czyby jeszcze nie dało się zyskać na czasie, zapytał żołnierzy, czy może na nich liczyć, że kilka jeszcze miesięcy zostaną pod Moskwą bez żołdu. Gdy mu jednak stanowczo odpowiedziano, że wojsko dłużej czekać nie może, zaprzysiął w sierpniu 1610 r. następne warunki elekcyi: 1) Władysława ma koronować patriarcha Hermogen. 2) Nowy car winien szanować cerkwie i obrazy świętych. 3) Car będzie otaczał czcią duchowieństwo, do którego spraw cerkiewnych mieszać się nie może — i nie powinien dozwalać równie na porzucanie wiary greckiej, jak i na budowanie świątyń innych wyznań. 4) Żydzi powinni być wypędzeni z całego carstwa. 5) Majątków klasztornych nadanych przez poprzednich władców nie może nowy car naruszać, tak samo nie może znosić daniny pobieranej przez zakonników ze skarbu państwa; 6) bojarowie i ludzie wszelkiego stanu pozostaną przy swoich majątkach; 7) nikt z Polaków nie może piastować urzędu w carstwie; 8) sądownictwo pozostaje dawne, gdyby zaś obywatele uznali potrzebę zmiany, to car jej dokona w porozumieniu z bojarami; 9) między carstwem moskiewskiem a Rzeczą pospolitą Polską ma panować wieczny pokój i oby dwa państwa nieć będą wspólnych nieprzyjaciół; 10) mieszkańców ani z Moskwy do Polski ani z Polski do Moskwy gwałtem przesiedlać nie wolno; 11) winowajcy tylko wyrokiem sądu mogą być karani, dzieci nie są odpowiedzialne za zbrodnie rodziców; 12) po

zmarłych bezdzietnie dziedziczą majątek najbliżsi krewni; 13) za zabójstwa popełnione po śmierci pierwszego szalbierza ma być dana amnestya; 14) car nie może bez zezwolenia senatu ustanawiać nowych podatków; 15) wieśniakom i osadnikom wolno przesiadłać się z jednego państwa do drugiego; 16) samozwańca zwalczać powinien hetman Żółkiewski razem z wojskiem moskiewskiem; 17) hetman Żółkiewski nie może wprowadzać wojska do stolicy bez pozwolenia bojarów. Prócz wyżej wymienionych warunków, było jeszcze kilka innych dotyczących się handlu i zamków nadgranicznych. Poza temi warunkami umieszczono w odnośnym akcie uwagę, że ponieważ hetman nie może zapewnić, czy Władysław wiarę grecką przyjmie, więc wyprawieni zostaną przez „dumnych bojarów“¹ posłowie do króla Zygmunta pod Smoleńsk, by on sam w tej kwestyi wyrzekł stanowcze słowo. W ograniczeniach władzy nowego cara widać odbłask polskich „paktów konwentów“, to też Kostomarov mówi, że był to owoc zapoznania się z Polakami, gdyż ustrój polski był tego rodzaju, iż lekkie zetknięcie się z Polakami musiało budzić nienawiść i odrazę do samodzierżstwa. Godząc się zupełnie z tą słuszną uwagą, postawić można pytanie, czemu Żółkiewskiemu zabraniano wstępu do Moskwy? — był to może objaw odradzającej się nadziei, że jeszcze teraz bez Polaków uda się znieść szalbierza.

Niebawem nastąpiło zaprzysiężenie warunków, odbyte wśród uroczystości religijnych, bicia we dzwony „białokamiennej Moskwy“ i grzmotu dział polskich, w końcu sierpnia 1610 roku. Podczas gdy jeszcze tysiące Moskali w stolicy przysięgało Władysławowi, gdy z jednej strony Żółkiewski w swym obozie podejmuje Moskali na wspaniałych ucztach, którzy na odwrót wywzajemniają się hucznemi biesiadami, gdzie jednak nawiasem mówiąc narodowa kuchnia nie bardzo przypadła do smaku Polakom — zachodzi fakt niespodziewany. Oto przyjeżdża do hetmana z pod Smoleńska znany nam już Andronow, w ślad za nim zjawia się Gosiewski, obaj z jednako brzmiącemi poleceniami, aby hetman przeprowadził obiór na carstwo nie Władysława, ale samego Zygmunta². Hetman wiedząc, że u Moskali jest *in visum nomen* króla Jego Mości“ postanowił

¹ Dumny bojar = członek Dumy tj. Rady bojarskiej.

² Żółkiewski, str. 76.

rzecz całą zachować w tajemnicy, co także i Gosiewski uznał za słuszne, rozpatrzywszy się w położeniu. Tajemnica hetmańska nie wyszła na jaw, lecz nie udało się bojarom zataić, czego gorąco pożąдали, że w elekeyi sprawa zmiany religii nie została postanowioną. W listach bowiem, w których dumni bojarowie zawiadamiają prowincye o obiorze nowego pana i wzywają je do złożenia mu przysięgi, pominięto milezeniem kwestyę religii. Jednakże ajenci szalbierza nie tylko, że rozszerzali po prowincyi wieść, że względem powtórnego chrztu cara nie powzięto żadnej uchwały, ale jeszcze przedstawiali najstraszniejszy los cerkwi pod berłem katolika, który zdaniem ich miał obalić wiarę a „herezyę łacińską“ zaprowadzić. Pogrożki stronników szalbierza były donioślejsze od nawoływań bojarskich, bo wiele miast nawet dotąd niechętnych samozwańcowi teraz przechodzi na jego stronę, pod wpływem obawy o wiarę. Samozwaniec więc stawał się znów groźnym i z tego więc powodu i na mocy warunków elekeyi począł się hetman przygotowywać do zakończenia sprawy z nim orężem. Wpierw jednak napisał do Sapiehy, wzywając go w imię ojczyzny, by porzucił Samozwańca. Sam Sapieha gotów był to uczynić, lecz żołnierze jego spodziewając się większych zysków od Dymitra niż od goniącego resztkami własnego króla, słyszeć o tem nie chcieli. Żółkiewski więc połączył swe hufce z wojskiem moskiewskiem i z nienacka stanął przed obozem szalbierza; pragnąc jednak uniknąć bratobójczej walki zaprasza Sapiechę na rozmowę. Ten porozumiawszy się z hetmanem przyrzeka opuścić Samozwańca. I stało się tak, a Samozwaniec zbiegł z pod Moskwy. Żołnierze Sapiehy mogliby byli stać się bardzo przydatnymi dla hetmana, którego siły nie wystarczały do przywrócenia pokoju. Lecz hetman, znając niesubordynacyą zdemoralizowanych Sapieżyńskich rębaczy, świadom, że ich wybryki równie zniechęciłyby Moskali dla Polaków jak i stały się zgorszeniem dla hetmańskich hufców, pozbył się ich, odsyłając do ziemi siewierskiej. W parę dni później przybywa do hetmana jeszcze dotąd za murami Moskwy stojącego poselstwo od Mścisławskiego z prośbą, by zapobiegając przewidywanym przez bojarów buntom pospółstwa, stanął kwaterą wewnątrz miasta.

Hetman wahał się jakiś czas, czy ma te prośby wypełnić, gdyż lękał się ażali wojsko jego sprostą siłom pospółstwa w razie

ulicznej walki. Naradziwszy się jednak ze starszyzną, wszedł do Moskwy, ale wojsko tak rozstawił, by w każdej chwili mógł je skupić w celu obrony, a obok tego z największą gorliwością przestrzegał porządku i najmniejszy wybryk żołnierza z całą surowością karał. Co zostawało czasu, użył na utrwalenie rozpoczętego przez siebie dzieła, wiedząc że patriarcha Hermogen, starzec ośmdziesięcioletni jest zaciętym wrogiem Polaków, wszedł z nim w stosunki, a odwiedzając go często, rozwinął taki zasób serdeczności, że obawy o wiarę usunął i pozyskał serce naczelnika cerkwi. Pozyskawszy moralną siłę w patryarsze, skierował uwagę na strzelców, których znaczenie podówczas na carstwie z wielu względów z pretoryanami rzymskimi i janczarami padyszacha porównać można. Hojnością iście pańską działał tyle, że strzelcy sami doń przychodzili, prosząc by im wskazał, „czy nie czuje gdzie o zmiennikach, że ich są gotowi zaraz imać“? Korzystając z takiego usposobienia strzelców, zamianował ich dowódcą Polaka Aleksandra Gosiewskiego.

Żółkiewski jak na polu walki celował odwagą, tak w czasie pokoju rozwijając niezmordowaną działalność, rzadką uprzejmością, zmysłem dyplomatycznym i cnotami iście chrześcijańskimi budzi podziw i podnosi wartość Ojczyzny która go wydała. W czasie pobytu w Moskwie składa on tego na każdym kroku dowody za co i Kostomarov cześć mu należną oddaje. Gdy też hetman objawił zamiar wyjazdu z Moskwy, wywołał tam żal nieklamany. Bojarzy lękali się, że w czasie jego nieobecności wojsko polskie rozpocznie nadużycia, a obawa ta w obec gwałtów, jakie popełniali awanturnicy polscy, posiłkujący szalbierza były całkiem uzasadnione. Hetman uspokajał, podając różne powody zmagające go do odjazdu. Jechał on, by się osobiście porozumieć z królem, a było *periculum in mora*, bo już przed paru tygodniami wyjechało poselstwo moskiewskie pod Smoleńsk do Zygmunta, by układy hetmańskie potwierdził.

(C. d. n.)

Kozłowski.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Miał więc — jak widzimy — istny nasz w todze profesora św. teologii Alkabicius polski i gospodarz-teoretyk, ks. Procopiades, mąż zresztą wysoce zacny i godny¹, obok zasadniczych powodów także prywatnej natury względy osobiste, dla których z całej siły, rzekomo pod hasłem „doktor nie bakałarz!“, do końca razem z drugimi, wyborowi opierał się ks. Leonarda na kustosza. Niestety, z wielkim i jego i innych kolegów wyborców żalem, zwyciężyły wpływy postronne, ks. Kościańczyk i w kancelaryi biskupiej i na posiedzeniach całego Uniwersytetu wyborczych znakomicie rolę odegrał swoje, a wszyscy malkontenci z faktem dokonanym radzi nieradzi, choć z niemалą w sercu goryczą a większą jeszcze do nowego kustosza niechęcią, pogodzić się musieli. Najbardziej naturalnie czuł się pokrzywdzonym ks. Prosiński i tuż za nim w porządku idący dr. Napachańczyk, innym także całej sprawy

¹ Przemawiają za tem liczne bardzo, szczęśliwie dotąd w ówczesnych Metrykach i innych rękopisach uniwersyteckich, nie mniej też w najrozmaitszych drukach biblioteki Jagiellońskiej przechowane własnoręczne jego zapiski, w których z największą zawsze poczciwością, do przesady nawet niekiedy posuniętą, wyraża się o różnych osobach i rzeczach, i w ogóle o wszystkim, co tylko przeszłości Uniwersytetu krakowskiego lub jego stanu ówczesnego dotyczyć mogło. Owe też zapiski liczne, jak „columna Universitatis“ i t. p., któreśmy wyżej poznali, po większej części jego są pióra.

przebieg i wynik nie mógł być na rękę, a i ks. dziekan i prokurator w jednej osobie nie miał także z czego się radować. Połknąwszy wszakże w pierwszej chwili, choć widocznie nie wedle „aspektu planet“ zadaną gorzką „pilulę“, jeden ze wszystkich jeszcze oddawać się mógł chwilowo nadziei, że przecież, byle stanowczo tylko umiał sobie postępować z świeżo wybranym przybocznym kolegą swoim, którego na śmiało ze względu na tyloletnie zasługi swoje kalendarzowe¹ uważać mógł za prostaka bez wyższej inteligencji naukowej, szyków sobie od niego łamać nie da, ani też nie dozwoli sprowadzić się z ekonomiczno-finansowej drogi, na którą za wiedzą i zgodą całej wstąpił kolegiaty.

Jakoż nie dziw, że pierwsze jego z nowym kustoszem spotkanie, gdy w późnej jesieni r. 1541 ks. Wisneczanin na stałe już z Olkusza do Krakowa zjechał był mieszkanie, choć przyzwoite, jak na ludzi starszych i wysokie już zajmujących stanowiska przystało, mimo to chłodne być musiało i nie bez wyraźniejszych niechęci oznak. Ale i dalsze ich od tej chwili w murach kolegiaty stosunki wzajemne i pożycie przez długie a długie tygodni i miesiące miłe i spokojne być nie mogły: młodszy wiekiem lecz starszy godnością dziekan kolegiacki i prokurator-teoretyk w doktorskiej todze, długo stał niechętny wobec starszego wiekiem ale młodszego stanowiskiem kustosza-intruza², który po odbyciu 15 letnich na rolach i niwach olkuskich kursów praktycznych gospodarstwa wiejskiego, obecnie, choć jeszcze nie dr. św. teologii a tylko bakałarz, na wyższą w kolegiacie, ubocznymi krocząc ścieżkami, zdołał się wśliznąć posadę.

Były też kantor św. Floryański i pleban olkuski niechęć się na wyraźniejsze narażać nieprzyjemności objawy ze strony i tak już niechętnych sobie kolegów, usunął się na razie — jak już powiedziano — od właściwego w Uniwersytecie i kolegiacie życia, i pod różnymi pozorami ani na posiedzeniach Uniwersytetu i fa-

¹ Oprócz kalendarzy, których na liczbę, od r. 1517 począwszy, razem z przechowanymi w rękopisach, opracował i ogłosił był przeszło 30, dopiero w r. 1560 wydał w Krakowie u Łazarza „Parvum catechismum catholicorum“ jedyne dziełko nienależące w zakres astrologiczno-astrologicznych nauk ówczesnych. Jocher, *Obraz*, II 196 i n., nr. 2773.

² Procopiades liczył w r. 1541 lat 52, Wisneczanin zaś 60.

kultetu teologicznego, ani na posiedzeniach kolegiackich udziału nie brał. Od koniecznych wszakże z ks. dziekanem i prokuratorem stosunków wymówić się nie mógł, i tu właśnie na gruncie całkiem realnych spraw św. Floryańskich, załatwiając jedne, jak tego zwyczaj wymagał, w dwójkę we własnym zakresie, inne zaś i co ważniejsze przysposobiając na gremialne całej kolegiaty posiedzenia, znaleźli obaj przeciwnicy łatwo sposobność po wielokroć stanowczo zetrzeć się ze sobą i cisnąć sobie wzajemnie w oczy pełnymi gorzkiej prawdy garściami.

— Carissime! — z przekąsem przy pierwszej sposobności ważniejszej zauważył więc dr. Procopiades, zdecydowany z góry stanowczością pokonywać przeciwnika, gdyby mu się w czemkolwiek sprzeciwić poważył, lub zbyt uporczywie przy swoim obstawał quamquam — tyś nie doktor a jedno bakałarz!

Pierwszy ten jednak, być może nawet wedle „aspektu planet“¹ zadany pocisk wymowniejszy, chybił właściwego celu, ks. Wisneczanin, który go może już i od którego innego goręcej kapanego kolegi swego był usłyszał, rad nierad, choć z bolem i przykrością, wytrzymać go musiał, ale z drogi, jaką sobie wytknął, nie ustąpił; rzekomo bowiem zasadniczego przeciwnika swego dokładnie już był przejrzał i liczył na to, że tylko pomалу ale nie mniej zimno postępując z nim sobie, pokonać go, a nawet zjednać sobie do tego zdoła stopnia, że mu sam sprawę uzyskania doktoratu teologicznego ułatwi i tym sposobem od razu krzywe jego w Uniwersytecie i w kolegiacie stanowisko wyrówna i naprawi.

— Reverendissime! — zauważył dlatego niezrażony przy innej sposobności — cena, za jaką św. Floryańskie w różnych miejscowościach sprzedajesz dziesięciny, nie zdaje się być słuszną, możnaby je z większą dla kolegiaty korzyścią o wiele spieniężać lepiej². Przy innej zaś sposobności, po upływie kilku tygodni a po-

¹ I na takie bowiem wypadki ówczesna „nauka gwiazdeczna“ różne umiała podawać środki.

² Dziesięciny n. p. w owych siedmiu miejscowościach, za które szlachcic Socha w r. 1539 zapłacił był tylko 53 grzywien, przynosiły przedtem kolegiacie zawsze razem 64 marek i 20 groszy, mianowicie: „Gaiącicz 20 m., Dworżysze 14 m., Cruplin 8 m., Dupicze 8 m., Chorzow 6 m., Sziedlec 8 m., Sczithi 20 gr.“. Beneficia colleg. s. Floriani, nr. 9602.

tem miesiący, raz, drugi i trzeci w podobny uderzył sposób także na cenę i porę sprzedawania w kolegiackich posiadłościach zboża, bydła i innych artykułów góropodarstwa rolnego. I z tych — dodawał — gdyby odpowiednio sobie z nimi poczynać, daleko większe dla dobra kolegiaty możnaby ciągnąć zyski.

— Carissime! — bronił się już później nasz gospodarz-teoretyk, który osobiście na roli nigdy nie pracował, ani też podobnymi rzeczami nigdy się przedtem nie zajmował — wszak co do pory sprzedawania zboża, koni, byków i innych zwierząt pisze Alkabcicus w nauce gwiazdecznej...

— Reverendissime! — zimno i z rozwagą ciągnął rzecz swoją dalej wiekiem starszy były pleban olkuski — wszelki szacunek przed powagą i nauką astrologa arabskiego, ale co powiadam, mówię z własnego doświadczenia, przecież w Olkuszu mieszkając, siałem na roli i zbierałem, kupowałem i sprzedawałem, i sprawy te dobrze są mi znane. A zresztą rzetelność uwag moich każdej chwili potwierdzić mogą mieszkający tu ze mną w kolegiacie swak mój i kumoter, którzy przez lat 15 na łąkach i niwach olkuskich gospodarować mi pomagali.

W ten też sposób od czasu do czasu zamiast bez wyższej inteligencji naukowej przeciwnika, jak to z góry sobie roił, przyciskać do muru, sam przed nim z wolna w ciągu r. 1542 ustępować zaczął dr. Procopiades, naszemu zaś kustoszowi, który jakby odosobiony w kolegiacie żywot prowadząc, użycie innej jeszcze, o wiele nawet, jak to dobrze sobie w duchu obliczał, skuteczniejszej na przeciwnika broni, do stosowniejszej odkładał pory, coraz nowiej z miesiącem każdym przybywało otuchy i pewności, że ostatecznie wygrana po jego będzie stronie. Przy schyłku jednak r. 1542 widoki jego nie były jeszcze do tego dojrzały stopnia, ażeby do ponownych egzaminów i promocyj doktorskich, a tylko uzyskanie doktoratu św. teologii, jak to bardzo dobrze rozumiał, krzywe jego stanowisko od razu zdolne było naprawić, mógł się być zgłosić, i z przykrością patrzeć musiał, jak właśnie w tym czasie¹, w pó-

¹ Rękopis bibl. Jag. pod nrem 2579, k. 29, i Szujskiego Statuta i matrykuły, str. 22: „Fr. Vittus de Biała, prior ord. Prædicatorum, et fr. Michael Hillebrant, ordinis Minorum reg. obs.“.

źnej jesieni r. 1542, dwaj inni jego koledzy, z którymi przy końcu półroczu letniego r. 1541 bakalarstwo teologiczne był uzyskał, Dominikanin o. Albanus de Biała i Bernardyn o. Hillebrant, do egzaminów tych się zgłosili. Fakultetu też teologicznego „patres conscripti“, jak zwykle bardzo łaskawi na wszelkiego rodzaju mniichów, jużto dlatego, że zakonnicy ówczesni w rzeczy samej o wiele bieglejszymi od profesorów uniwersyteckich byli teologami, już z powodu, że po przyznaniu im laurów doktorskich żadnymi ich Alma mater nie potrzebowała opatrywać beneficyami uniwersyteckimi, z ochotą i bez trudności przy egzaminach ich przepuścili, i zaraz w miesiącu styczniu lub w pierwszych dniach lutego r. 1543 obydwom stopnie drów św. teologii w uroczysty przyznali sposób¹.

Ale i dla ks. Wisneczanina, dzięki umiarkowanemu z jego strony postępowaniu, zbliżyć się już miała nareście tyle upragniona przez niego chwila, która mu lepsze wkrótce i znośniejsze tak w kolegiacie jak i w Uniwersytecie zapewnić miała położenie. Nastręczył mu ją znowu sam ks. dziekan i prokurator-teoretyk, któremu się zdawało, że przyznawszy ks. kustoszowi w bardzo wielu wypadkach słuszość i poczyniwszy różne według jego wskazówek a zawsze na korzyść kolegiaty obmyślane ustępstwa, może już z nim wspólnie przystąpić do omówienia i przygotowania na gremialne kapituły posiedzenia projektu wydzierżawienia także i innych włości św. Floryańskich, dla których już prawdopodobnie odpowiednie upatrzył był sobie osoby.

— Carissime! — zauważył zatem, konferując, jak zawsze, w dwójkę z ks. Leonardem — miałbym już kandydata na Krępę i Czaple², możeby rozpatrzyć cenę przez niego ofiarowaną i na gre-

¹ Przeor Albanus był już wtenczas spowiednikiem nadwornym króla Zygmunta I, Hillebrant zaś bawił także jeszcze przez czas pewien w Krakowie, i obydwa już odtąd jako drowie św. teologii różne przedmioty teologiczne z katedr Uniwersytetu Jagiellońskiego wykładali. Ostatni wydał zresztą w dwa lata później, r. 1545 u Floryanowej wdowy w Krakowie, dla potrzeby oo. Bernardynów dziełko treści teologicznej p. n. „Exhortatio ad consacerdotes“, na którem się już nazwał „doctor“. Joher, *Obraz*, III 466 nr. 8729.

² Obydwie te posiadłości, jak niżej usłyszymy, pierwsze z rzędu po Wisnce wydzierżawił potem w imieniu kolegiaty prokurator Procopiades. Co do Krępy pod Czapłami małymi nie zawadzi tu zresztą dodać, że do jesieni r. 1539 posiadała w niej kolegiata tylko dziesięcinę i niewielki kawał ziemi, reszta zaś tej

mialną kapitułę sesją wygotować do przyjęcia akt wypuszczenia mu włości tych w dzierżawę?

— Reverendissime! — oczekując od dawna tej chwili, zimno odparł na to kmiecy syn z Wisnki — co do mojej osoby nie chciałbym do smutnej tej sprawy przykładąć ręki, ani przykrych jej następstw na swoją brać odpowiedzialność.

— Carissime! — aż na tak stanowczą nieprzygotowany opozycją wtracił dr. Procopiades — dlaczego „smutnej” i czemu „przykrych”, wszak opracowany przeze mnie plan powolnego na wzór Wisnki wypuszczenia w dzierżawę wszystkich rozleglejszych i dalej od Krakowa położonych włości św. Floryańskich dawno już kolegiata, widząc w tem i liczne i niewątpliwe dla siebie dogodności i korzyści, w zasadzie przyjęła.

— Reverendissime! — uwagami tymi niezrażony bynajmniej a od dłuższego już czasu na to przygotowany ciągnął dalej ks. kustosz — co do dogodności, to jeszcze zgoda, choć tylko częściowa, ale nie co do korzyści, te i wątpliwej są natury i w żadnym nie zostają stosunku do wielkiej straty i krzywdy moralnej, na jaką i dobre kolegiaty i dobre Uniwersytetu całego imię dla smutnej tej i przykrej sprawy narażamy.

— Carissime! — „wielkiej straty i krzywdy moralnej”? skąd i dlaczego?

— Reverendissime! „skąd i dlaczego”? A czyżto wiadomą dostatecznie nie jest rzeczą, co się w biednej Wisnce nie dzieje, i jak tam sobie z kmieciami naszymi szlachcie nie poczyną Socha?

— Carissime! A toć chyba były z ramienia kolegiaty wło-

miejscowości była własnością katedralnej kapituły poznańskiej. Dopiero 8 października r. t. („feria 4 post festum s. Francisci”) — według Beneficia temporalia eccl. s. Floriani, str. 27, i według aktu ogłoszonego przez Paulego in Codice, IV 171 i nn. — odstąpiła kolegiacie kapituła poznańska, za zezwoleniem króla Zygmunta I, także resztę Krepy, otrzymawszy za nią drogą zamiany od kolegiaty dziesięciny we wsiach Glinno i Szewce w Poznańskim. Zamiana ta o tyle jest ciekawą, że wyraźniejsze trochę rzuca światło na właściwe ekonomiczno-finansowe plany prokuratora Procopiadesa. Ażeby uprościć dosyć drobiazgową i powikłaną administracyą dóbr kolegiackich, zdażał on widocznie do tego, ażeby za daleko od Krakowa położone dziesięciny pomniejsze i t. p. kolegiackie należności pomieniać pomału na bliżej od siedziby św. Floryańskiej leżące obszary ziemi.

darz wisnecki, kmić tamtejszy Baran¹, niezadowolony z nowego rzeczy porządku, przy którym dawne swoje potracił obrywki, podobne rozgłasza wieści?

— Reverendissime! Nie tylko sędziwy Baran na nowy narzeka porządek rzeczy, ale inni kmiecie tamtejsi coraz głośniej żalą się na ucisk, jakiego przedtem nie doznawali.

— Carissime! „aż na ucisk“ powiadasz?

— Reverendissime! A tak, aż na ucisk. Ni to onego patryarchy Jakuba syn Judasz i bracia jego za marne srebrniki młodszych w Wisnce Józefów w niewolę sprzedaliśmy egipską². Zasięgnij jeno, proszę, lepszego stamtąd języka, czego to od nich nie wymaga dzierżawca Socha i ustanowiony tam przez niego a w nahajkę uzbrojony „urzędnik“³, jakicito nie nakładają na nich robocizn i innych nie domagają się od nich niebywałych tam przedtem powinności, że aż co raz głośniej na Almę mater i kolegiatę wyrzekać poczynają?⁴. „In Christo Jesu per evangelium ego vos genui“, powiada św. Paweł apostoł⁵. A czyż na to on wiekopomny król kmiotków, Kazimierz W., założył nam Uniwersytet, późniejszy zaś godny jego następca, niemniej wiekopomny król Jagiello, odnowił go świetnie i tak hojnie kolegiatą opatrzył św. Floryańską, żebyśmy my Almae matris miejskiego i kmiecego rodu magistrowie i profesorowie, na hańbę własną a niesławę tak Uniwersytetu jak kolegiaty dobrze zasłużonego imienia kmieci naszych, bez jakichkolwiek powodów wyraźniejszych, a jedynie dla jakichśtam dogodności czy niedogodności, w tak rozpaczliwe pograżać mieli położenie? I wobec tego mielibyśmy obecnie w dodatku jeszcze Krępę i Czaple, a z czasem i resztę naszych posiadłości, Igołomię, Książnice, Łubieńko i inne, w dzierżawę wypu-

¹ Były „villicus Baran“ żył jeszcze nawet w r. 1547. Percepta eccl. in Pajęczno, j. w.

² Genesis, XXXVII 26 i nn.

³ Urzędnikami nazywano u nas pospolicie w w. XVI i później szlacheckich we wsi wóldarzy. Linde w Słowniku.

⁴ Conclusiones et rationes antiquae capituli s. Floriani, str. 78: „Conclusio pro cometonibus in Visnka“. — Akt ten przytaczam niżej pod r. 1547 w całości.

⁵ Prima ad Corinthios, IV 15.

szezać wieloletnią, ażeby im także podobny los gorzki w najbliższej zgotować przyszłości?

Prostak bez wyższej inteligencji naukowej, za jakiego go początkowo miał dr. Procopiades, przysposobiwszy się od dawna w zaciszu i odosobieniu do tego rodzaju zajęcia, przesadzał może trochę w barwach, ale w gruncie rzeczy argumentował silnie i nie bez słuszności, a co ważniejsza, za jednym cięciem uderzał od razu aż w dwie słabe przeciwnika swego strony, w jego pochodzenie mało-mieszczańskie, nie o wiele już w owym czasie od kmiecego różne i lepsze¹, i w cały jego, od kilku już lat w teorii gotowy a za wolą i zgodą kolegiaty w zasadzie już nawet przyjęty plan wypuszczenia oprócz Wisnki w dzierżawę także i innych św. Floryańskich posiadłości. Alkabcicus też polski i nasz prokurator-teoretyk w todze św. teologii profesora, człowiek zresztą — jak się już powiedziało — z kośćcami i szpikiem zacny i w wysokim stopniu o dobrą Uniwersytetu i kolegiaty sławę zawsze dbały, jakby nieprzewidzianym jakim rażony gromem, nie wiedział nawet w pierwszych chwilach, co obecnie począć mu wypada. Jako autor i twórca ekonomiczno-finansowych planów wydzierżawiania dóbr kolegiackich, których pierwszy z prokuratorów św. Floryańskich przyjęcie ze strony kapituły w zasadzie był spowodował, jak każdy autor, wielką dla dziecka swego czujący słabość, miałby się teraz z nimi rozstawiać i sam od nich odstąpić, a nawet po upływie trzechlecia i Wisnkę z dzierżawy wycofać? A jeżeli tego nie uczyni, usuwający się zaś dotąd od kolegiackich i uniwersyteckich posiedzeń ks. Wisneczanin, co obecnie za kulisami niejako i w cztery tylko prawil mu oczy, zrzucawszy żal i pychę z serca i jawiwszy się na kolegiaty lub Uniwersytetu posiedzeniach, głośno tam całą wytoczy sprawę i w podobny ją omawiać będzie sposób? Cóż wtedy? Czy owa z Pisma św. zaczerpnięta a do stosunków św. Floryańskich przez niego zastosowana „niewola egipska“ złowrogiem nie zatętni odgłosem w kmiecych i mieszczańskich uszach profesorów, doktorów i magistrów krakowskich, między którymi szlachty prawie nie było, a jeżeli się jaki przypadkowo znajdował, to podejrzanej już wartości chudopacholek, który z niedostatku i konieczności między

¹ Bobrzyński, Dzieje Polski, II 42 i nn.

Almae matris zaciągnawszy się magistrów i z nimi razem biedę klepiąc, dolę i niedolę z poddaniem się znosił wspólną i nie czuł już zgola potrzeby stawać w obronie kieszeni i nadużyć szlacheckich? Plan więc wydzierżawiania dóbr św. Floryańskich, jako bez należytej poczęty i przyjęty rozwagi, sam przez się wobec tego upaść gotów...¹.

W fatalnej zatem — jak widzimy — znalazł się po zajęciu tem sytuacji, mniej więcej w drugiej już połowie r. 1543, uczony dziekan kolegiacki. Ale od czegoż dobry i szczerzy znajomy, jakim był właśnie profesor św. teologii, od niedawna już kanonik katedralny krakowski i wicekanclerz Uniwersytetu, pocziwy ks. Fridel z Kleparza, nie tylko Procopiadesa serdeczny przyjaciel, ale i ks. Wisneczaninowi, jako swemu koledze szkolnemu, wcale życzliwy, którego w dodatku, jak nikt inny może, znał słabą i dotkliwą stronę, a mianowicie gorące jego i skryte pragnienie uzyskania, choćby za jakąkolwiek cenę, doktoratu św. teologii, byle raz z krzywego, w jakim się od tyłu już miesiący znajdował, wydobyć się położenia.

— Doctissime! — zauważył więc na żale², z których uczony

¹ Żadne nie dochowały się ślady, a przynajmniej nie powiodło mi się ich odszukać, ażeby już przed Procopiadesem który z ks. prokuratorów podsuwał był kolegiacie myśl wydzierżawiania na większe rozmiary dóbr św. Floryańskich. Wyjątkowo tylko część wsi Lubieńko w Podgórzu karpackiem, bez dziesięcin, trzymał w dzierżawie około r. 1534 i 1535 niejaki „dnus Iohannes Gamrath“, jak to z fragmentarycznych rachunków ks. Burcardiniego, poprzednika naszego Procopiadesa, przechowanych w zbiorze Beneficia eccl. colleg. s. Floriani pod nrami 9603 i 9604, wypława. Za czasów Procopiadesa, od r. 1538 począwszy, prowadziła już tam widocznie gospodarkę kolegiata we własnym zarządzie, gdyż tylko „decimas circa Biecz et Lubienko“ w kilkunastu miejscowościach sprzedał był w r. 1539 nasz prokurator-teoretyk „pro centum martis dno Iohanni Gorskij“. W jakim zresztą ów Gamrat z r. 1534 i 1535 zostawać mógł stosunku do prymasa i biskupa krakowskiego, wielce przez królową Bonę ulubionego ks. Piotra Gamrata, trudno powiedzieć; nie zaszkodzi wszakże przy tej sposobności przypomnieć, że już współcześni, niechętni mu bardzo za tak szybkie wyniesienie, co nie tylko wybitnym niezaprzeczenie swoim zdolnościom i sprytowi miał do zawdzięczenia, podejrzywali bardzo ród jego i dosyć głośno szerzyli o nim powieść, że „jako owczarezyk za młodu w krypcach góralskich z Podgórza karpackiego przybył do Krakowa“.

² Regestrum supellectilis, str. 65, w zapisce pośmiertnej chwali prof. Fridla, że był „in familiaritate affabilis, modestus et humilis“, i że zawsze „super delictis aliorum ex animo condolebat, suspirabat et contrita corripibat, cupiens omnium salutem et gloriam Dei in omnibus apportare“.

nasz astrolog odpowiednego dla siebie nawet w nauce gwiazdecznej znaleźć nie umiał na razie wyjścia — na wszystko est modus in rebus. Kustosz ks. Leonard, jak dotąd, wcale cicho i tylko w cztery oczy ze swoimi wystąpił spostrzeżeniami, głośno ich jeszcze nigdzie i przed nikim nie objawił, a chodzi mu przecież przede wszystkim o doktorat św. teologii. Gdyby ot tak jakim sposobem egzamina ułatwić mu doktorskie i akt przeforsować dla niego promocyjny, zdania swego o owej „niewoli egipskiej“ albo wcaleby już może nie wypowiadał, albo przynajmniej nie w tak rażący sposób.

— Clarissime! — wtrącił na to zacny dziekan św. Floryański — ależ w każdym razie krzywda niewątpliwie dzieje się nie-mała kmiotkom wisneckim, a czyż po takiej próbie wypadłoby już teraz na podobne narażać skutki także Krępę, Czaple i inne nasze włości?

— Doctissime! na wszystko jest sposób. Od planów swoich, przez kolegiatę w zasadzie już przyjętych, odstępować nie potrzebujesz, na przyszłość należałoby tylko przy zawieraniu umów z dzierżawcami, albo ustnie, albo nawet, gdyby to nie wystarczało i skutków nie odnosiło pożądaných, choćby piśmiennie zabezpieczyć kmieci naszych od ich samowoli i nadużyć.

— Clarissime! — ciągnął więc dalej trochę już uspokojony ks. Procopiadés — ależ drowie Prosiński z Piotrkowa, Napachañczyk i ci inni. Toć wszyscy kustoszowi naszemu niechętni, wpędzić go przy egzaminach gotowi w pułapkę, w pomoc im przyjdzie niewątpliwie ten, jak go już nazywać zaczynają, „theologus“, bakalarz ks. Koźmiñczyk¹, ks. Leonard nie tęgi sobie, zapomnieć gotów języka w gębie i wszystko przepadło. Nawet na dra Kościańczyka, który go przy wyborach we wrześniu r. 1541 dla innych całkiem popierał względów, liczyć w tej sprawie nie można.

— Doctissime! — prawil znowu ks. Fridel — jak zawsze i wszędzie tak i na to est modus in rebus. Nie taki to straszny

¹ Bakalarze św. teologii i cursorowie fakultetu teologicznego obowiązani byli jawić się i brać udział przy egzaminach doktorskich. Głosować po skończonem rygorozum wprowadzić nie mogli, ani też w czasie egzaminu zadawać kandydatowi od siebie pytań, w dyskusyi wszakże nad postawioną przez starszych doktorów kwestyą udział brać mogli i powinni byli, a nawet zřęcznie przy tej sposobności wolno im było kandydata w zastawioną wpędzić łapkę.

i nieprzeblagany ten Piotrkowczyk, a zresztą w zamianę za ustępstwo, żeby przy rygorozach nie tak bardzo dojeżdżał Wisneczaniowi, możnaby dla niego także jaką naprzód już obmyśleć promocyą...

— Clarissime! — zauważył z porządku Alkabcicus polski — promocyą, powiadasz, a jaką? Wszak w jesieni roku zeszłego, gdy św. Mikołajskie opróżniło się było probostwo, pchaliśmy go wszelkimi siłami na intratną tę i wpływową posadę, ale się nie udało. Wydziału jurydycznego doktorowie i profesorowie, choć bardzo zresztą mu radzi i krzywdy, jaka go przez wybór ks. Leonarda spotkała, zapomnieć nie mogą, stanęli twardo przy twierdzeniu, że z rzędu probostwo to po teologu dostać się powinno należącemu do ich fakultetu kandydatowi, i wybór dra i profesora dekretów, ks. Sanoczanina, preforsowali¹. Świeżo zaś znowu, gdy po zgonie dra i profesora prawa, św. p. Wonsama², zamierzaliśmy ofiarować mu probostwo kolegiackie u św. Anny, odparł z niechęcią i dumą, w czym zresztą nawet pewną mógł mieć racyą, że jako kanonik św. Floryański nierównie większe od proboszcza od św. Anny dochody ma i znaczenie, probostwa też tego nie przyjął, i nadaliliśmy je, a od nas to najwięcej zależało, bakałarzowi św. teologii ks. Kaufmanowi³. I jakąż tu możnaby jeszcze obecnie obmyśleć dla niego promocyą?

— Doctissime! — ciągnął jednak dalej spokojnie i z rozwagą wicekanclerz uniwersytecki — na wszystko, jak powiadam, a więc i na to jest sposób. W rzeczy samej ten Piotrkowita, niewiedzieć nawet dlaczego, trochę sobie zanadto nadęty i dumny, ale właśnie

¹ Mogło to być na początku jesieni r. 1542, o czem już poprzednio w dłuższym przypisku była mowa.

² Erazm Wonsam z Krakowa, drugi z rzędu od św. Anny proboszcz kolegiacki, od jesieni zaś r. 1541 do końca lata r. 1542 po dwakroć rektor Uniwersytetu, zmarły według Paulego in Codice, IV 186, o czem już była wzmianka, w ciągu r. 1543, był nie tylko drem prawa kanonicznego ale także i św. teologii. Pierwszy stopień, co już z zapisek kalendarzowych ks. dra Wieliciusa wiadomo, otrzymał był w Krakowie, razem z Cichoszem z Szamotuł i Zygmuntem Steżyczaninem, jeszcze 22 września r. 1524, ale kiedy został drem św. teologii, nie jest znane. Do fakultetu wszakże teologicznego nigdy nie należał, tylko do jurydycznego czyli kanonicznego, dlatego też niema go na liście ówczesnych wydziału teologicznego profesorów, ogłoszonej przez św. p. Szujskiego w Statutach i matrikułach tego fakultetu.

³ 27 lipca r. 1543, j. w.

dlatego możeby go ot tak, choć tylko kanonikiem jest św. Floryańskim, przy nadchodzących wyborach jesiennych, a na wydział teologiczny właśnie teraz przychodzi kolej, na rektora pchnąć *Almae matris*? Co? he? Fakultet lekarski nie przeciw niemu mieć nie może, jurydyczny z ochotą kandydaturę jego przyjmie, a na teologicznym od nas obydwóch przecież wszystko zależy¹. Dochody wysokiego tego dostojęństwa sownie mu wynagrodzą straty, jakie przez nieotrzymanie kustodyi św. Floryańskiej mógł być ponieść, berło zaś rektorskie i tytuł „*Magnificus*“ w sam raz próżności jego pochlebiać będą, poda więc z radością rękę ks. Wineszczaninowi, nieprzeblągani pogodzą się przeciwnicy, kustosz zaś nasz jakoś nie tak bardzo czarno na „niewolę egipską“ zapatrywać się odtąd będzie, a ekonomiczno-fnansowe plany twoje, choć z pewnością na korzyść kolegiackich kmieci modyfikacją, przecież pomalu w najbliższej przyszłości w życie wejść będą mogły.

Jakoż i uczony nasz astrolog-teolog, przed chwilą jeszcze skwaszony i zbity, odetchnął jakoś swobodniej i ledziej po tych serdecznego przyjaciela uwagach i zupełną im przyznał słusność. Na ks. Leonarda natarli też niebawem obydwaj:

— *Carissime!* — mówili do niego — o dzierżawach św. Floryańskich później pogadamy, a teraz do egzaminów na termin zimowy sposób się doktorskich i czytaj jeszcze, co tylko można, ażeby, jak zwykle, w styczniu lub w pierwszych dniach lutego r. 1544 uroczysta promocya twoja odbyć się mogła. A ciekawe to dla wiele względów — dodawali — będą rygoroza i promocye; razem z tobą bowiem, o ile już wiadomo, zasiędzie do nich także proboszcz od św. Jadwigi, dotychczasowy fakultetu naszego cursor i kaznodzieja maryacki, gładki i usłużny Bożogrobiec miechowski, o. Leonard Słoneczewski², wielki przyjaciel biskupa kamienieckiego,

¹ Na wydział filozoficzny przy wyborze rektora nie bardzo się oglądano. Wprawdzie starsi fakultetu tego magistrowie i profesorowie w wyborze tym udział brali, ale żaden z nich, jeżeli nie był jeszcze drem św. teologii, prawa lub medycyny i do jednego z tych trzech wydziałów nie należał, rektorem zostać nie mógł, a to dla tej przyczyny prostej, że fakultet filozoficzny nie był jeszcze Uniwersytetem, lecz wstępna tylko czyli przygotowawczą do niego szkołą. O wydawnictwie *Liber dilig.*, str. 7 i nn.

² „*Predicator ecclesie parochialis s. Marię Cracouię*“ był już w czerwcu r. 1543, wkrótce zaś potem został także „*prepositus s. Heduigis in Stradom*“.

Andrzeja Zebrzydowskiego¹, szczególniejszy Najjaśniejszej naszej Bony gagatek, pożądaný nawet bardzo w komnatach fraucymeru królewskiego gość i przyjaciel. Aż dwóch zatem zasiądzie nam do egzaminów i promocyi doktorskich Leonardów, ty plebejusz z Wisnki, a z tobą w habicie zakonnym h. Kościesza szlachcic Altipolita z Wyszogrodu.

— Reverendissimi! — zauważył wszakże na to, niewiedząc, jak właściwie rzeczy stoją, ks. kustosz -- ależ ciężki mój wróg Prosiński i jego przyjaciele?

— Carissime! — przerwali mu jednak obydwaj — nasza już w tem, nie twoja sprawa. I rozeszli się, powiadając:

— Promoveantur Piotrkowita et Wisnecensis! — żywo mówił kontent ze siebie kanonik katedralny krakowski i wicekanclerz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

— Promoveantur Prosiński i Wisneczanin! — wtórował mu z ochotą, uspokojony już na duchu, w todze profesora św. teologii Alkabicius polski.

— Promoveantur! Promoveantur! — dowiedziawszy się o wszystkim i podrzucając buławą błazeńską, żartował sobie zaraz potem z naszych mieszczyków i kmieci wiary także mieszczyk sobie z rodu i pochodzenia, choć w czasach już naszych z całą powagą, jak przystało, na sprawiedliwego przestrojony szlachcica², wnuk lub prawnuk małomieszczanina Stana, syn zaś Stańca i były żebrzący żak krakowski, obecnie zaś od dłuższego czasu nie młody już trefniś królewski Stańców alias Stańcowicz lub Stańczyk³, popolicie też przez wszystkich Stańczykiem nazywany i powszechnie pod tem nazwiskiem znany.

(C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

Probostwo to stale wówczas należało do Bozogrobców miechowskich, od których je też otrzymał po poprzedniku swoim, o. Janie Przedborczyku de Przedborz. *Conclusiones Univ.*, str. 173 i nn.

¹ *Acta histor.*, 101 i nn., nry 192 i nn.

² Bobrzyński, Stańczyk, odczyt publiczny, str. 1 i nn. Idąc za drugimi uważa przytem Sz. profesor „wyraz Stańczyk tylko za przekształcenie imienia Stanisław“, mianowicie podług skali: Stanisław-Stanko-Stanek-Stańczyk.

³ Stan (lub Stano)- Staniec- (Stańców, Stańcowicz) Stańczyk = chłop- chłopiec-chłopczyk, pan- panie(panicz)- paniczek(paniczek, paneczek).

STANISŁAW STWOSZ ZŁOTNIK I RZEŹBIARZ

(ur. około r. 1464, † 1530).

Przed niewielu laty, bo w r. 1881, wydał dr. K. Hoszowski broszurę o Wicie Stwoszu, w której rozpiął się o rodzinie tego genialnego rzeźbiarza. W niej czytamy na str. 32 (w. 4 od dołu) następujące słowa: „Żył wreszcie w r. 1504 w tutejszem mieście drugi Stwosz tego samego imienia, Stanisław, poświęcający się złotnictwu, jak to z ksiąg cechowych okazuje się. Był on prawdopodobnie krewnym Wita Stwosza“. Według naszego zaś widzenia rzeczy jest on jego synem. Zbadawszy albowiem wiadomości o Stanisławie Stwoszu złotniku i tegoż imienia rzeźbiarzu, nabraliśmy przekonania, że mamy tutaj z jedną i tą samą osobą do czynienia. Wykonywanie dwóch rzemiosł lub przerzucanie się z jednego w drugie było w średnich wiekach zupełnie naturalnym objawem, i zwyczaj ten przeciągał się aż do połowy wieku XVI. Ułatwiały go nie mało cechy zbiorowe, łącząc w jedno ogniwo kilka rzemiosł zazwyczaj pokrewnych. Twierdzenie dra Hoszowskiego dało i daje asumpt innym autorom do powtarzania tej wieści i zastrzeżenia się, iż Stanisław złotnik nie jest synem Wita¹. Na razie zauważę, że rok podany przez dra Hoszowskiego jest błędny, — zapewne nie żyjący dziś a czcigodny autor zbyt zawierzył pamięci, i stąd pochodzić się zdaje owa omyłka.

¹ Julian Kołaczkowski „Wiadomości dotyczące się przemysłu i sztuki w dawnej Polsce“. Kraków 1888. Str. 699.

Pracując nad ułożeniem słownika złotników krakowskich napotkałem w księdze cechowej opatrzonej nrem 167, karta 11, wiadomość o Stwoszu ze zwykłą utartą formułą umowy zwanej w XVI wieku „ujednaniem“:

Item Stoschs hot vorsproche seym hern Woitken czu dine vj jor angetraben vo sunte Johanness. In dem leeiij Jore.

coby znaczyło:

Stwosz przyrzekł swemu panu Wojtkowi służyć lat 6, począwszy od św. Jana r. 1474.

Jeżeli weźmiemy na uwagę ową epokę niedostatecznego i skąpego w słowa prowadzenia ksiąg XV stulecia i nie zapomnimy, że te zapiski kreśli ręka złotnika, jak, że również Wit Stwosz rzeźbiarz najrozmaiciej bywa pisany, to mimowolnie przychodzimy do niezbitego przekonania, iż w powyższej notatce wymieniony Stosch jest identycznym z późniejszym złotnikiem Stanisławem Stwoszem, w tejże samej księdze w następnych latach zapisanym.

Z powyższej notatki nie tylko wycytujemy, u kogo odbywa naukę syn genialnego snycerza, ale prócz tego w przybliżeniu, choć nie z całą dokładnością, da się podług niej oznaczyć rok urodzenia. Przypuszczając, że wiek na naukę przyjętego młodego Stanisława, jak to po dziś dzień jest zwyczajem, wynosi 10 do 12 lat, to przez odjęcie tej liczby od roku wstąpienia na naukę otrzymamy rok jego urodzenia. Późniejsza jego działalność i ruchliwość uprawnia nas do przypuszczenia, iż chłopczyzna był wcześniej rozwinięty, z tego powodu skłaniamy się przyjąć rok 1464 za rok jego urodzenia. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa Stanisław był pierworodnym synem Wita Stwosza (ur. 1438, † 1533)¹, który wówczas, tj. w chwili gdy późniejszy złotnik i rzeźbiarz przyszedł na świat, mógł liczyć lat 26. Ta okoliczność może służyć również za wskazówkę, iż mistrz Wit ożenił się po raz pierwszy około r. 1463.

W Krakowie urodzony² otrzymał syn Wita przy chrzcie św. imię

¹ Według Jana Neudorfera Wit dożył 95 roku życia, że zaś jest kwestyą nie ulegającą wątpliwości, iż umarł w r. 1533, przeto uważamy, że rok 1438 jest rokiem jego urodzenia, w którym mniemaniu umacniają nas i nasze dane. Uwaga ta stosuje się do tych pisarzy, którzy przypisują krótszy wiek Witowi.

² Dowodu na to szukaj w komentarzu 9.

patrona miasta, które zapewne jego matka, krakowianka rodem¹, wiedzioną pietyzmem dla miejscowego świętego męczennika obrała za patrona swego pierworodnego. Kwestya miejsca urodzenia Stanisława jest nie mniej ważna dla życiorysu sławnego ojca, bo wskazuje nam, iż około r. 1463 Wit bawi w Krakowie². Stosownie do umowy musiał Stanisław Stwosz odbyć sześcioletnią naukę u swego mistrza w zawodzie złotniczym, poczem tj. w r. 1480 zostaje „towarzyszem“ i w nowym charakterze powinienby przebyć rok jeszcze u złotnika Wojtka, bo tak było przyjętem w zwyczaju, który przetrwał w następne wieki.

Odtąd jednak znika na dłuższy czas wszelka wieść o nim, tyle jednak pewne, iż nie siedział próżno, ale pilnie pracował i kształcił się w nabyciu potrzebnych wiadomości — o czem poucza jego późniejsza działalność, jednająca mu u współobywateli poważanie i honorowe urzędy. Przyjąłby należało, iż nasz młody złotnik pod kierownictwem swego ojca wyuczył się rzeźbiarstwa i nieodłączonego z niem malarstwa. Również jest pewnem, iż musiał odbyć zwyczajem nakazaną wędrówkę, w której starożytna Norymberga była niezawodnie celem, gdzie się spodziewał udoskonalić w wyuczanej w ojczyźnie sztuce; później wraca do rodzinnego miasta, a pierwszy alegat w księdze cechowej³ jego powrotu mówi:

Item Her Stenczel Stvossz hot an knabn vordyng Stenczel Hynek auff vij Jor von synt Mychel. In Jore 1495.

to znaczy, iż „Pan Stanisław Stwosz ujednał chłopca imieniem Stanisława Hynka na 7 lat zaczawszy od św. Michała. Dan w roku 1495“.

A zatem w tymże roku (mając lat wieku około 31) jest on mistrzem cechu złotniczego; przynajmniej już od roku znajdować się musiał w Krakowie — gdyż tego żąda porządek cechowy:

¹ E. Rastawiecki. „Słownik malarzów polskich“ II 237 prawdziwie żałować wypada, iż Rastawiecki nie podał na jakim dokumencie opiera swe twierdzenie.

² Arnold Ipolyi w swoim dziele o historii zabytków sztuki w Neu-sohl powstaje przeciw twierdzeniu o wpływach Stwoszowych na powstanie pomników rzeźbiarskich na Spiżu, a jako główny argument używa utarte mniemanie, że Stwosz r. 1466 (tj. od chwili głównej akcji nieznanego mistrza tamże) bawi w Norymberdze. Sprawę tę omówimy obszerniej innym razem, a to przy studyum nad Witem Stwoszem.

³ Nr. 167, p. 22.

„Który towarzysz chce zostać mistrzem, musi między nami co najmniej rok jeden pracować“, a dopiero potem może sztukę mistrzowską robić złożoną „z srebrnego kubka, pierścienia i kamienia w złoto oprawnego“¹.

Ulubioną przez złotników krakowskich ulicą była Bracka; tu urządzali swe kramy, tu mieściła się ich gospoda cechowa i mieli swe domy, — tu też osiedlił się Stanisław Stwosz, by swoją pracownię otworzyć, gdyż czytamy znów w zapiskach cechowych², iż roku 1497 złotnik *Stenczel von d'brud'gasse* (Stanisław z ulicy brackiej) umówił sobie ucznia. Do przyjęcia owej suppozycji, że owym Stanisławem jest nie kto inny jak syn Wita, skłania nas ta okoliczność, iż podobnie samo jego imię znajdujemy w cechu malarskim. Te powyższe zapiski dotyczące jego osoby są w porównaniu do innych złotników nadzwyczaj skąpe, co znów przemawia silnie za tem, iż Stanisław Stwosz równocześnie gdzieindziej był zatrudniony, a mianowicie w pracowni swego ojca.

Rok przedtem (1496) przeniósł się ojciec jego do Norymbergii, a Kraków stracił przeto znakomitą artystyczną siłę. Powstałej luki nie mógł nikt wypełnić lepiej jak jego uczeń, a uczniem Wita musiał być syn jego wzrosły wpośród rodziny na wskrós artystycznej, skoro nazwisko Stanisława Stwosza znika w archiwalnych zapiskach cechu złotniczego zupełnie; zajmuje ono opuszczone stanowisko przez sławnego w świecie ojca, w dziale snycerstwa, aby sławną ojca pracownię dalej prowadzić, której byt i rozwój pod urokiem znakomitego imienia był zapewniony³.

Naturalnie musiał nowy snycerz, jeżeli mu szczególniejsze względy nie zjednały ułatwień, odbyć statutami cechowymi z r. 1490 zastrzeżone 4 lata nauki i 2 lata wędrówki w cudzych krajach, a potem wyrzeźbić sztukę mistrzowską: Najświętszą Pannę z dzieciątkiem, Zbawiciela na krzyżu i św. Jerzego na koniu, zanim mógł objąć pracownię rzeźbiarską⁴. Wpływowych osobistości w po-

¹ Baltazara Bema Codex z r. 1505 fol. 257. Statut złotników z r. 1475.

² Nr. 167 p. 23.

³ O znaczeniu pracowni artystycznej owych czasów czytaj Spraw. kom. hist. szt. II 1884 M. Sokołowski „Hans Sues von Kulmbach“ str. 78.

⁴ A. Essenwein „Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau“.

łączonym cechu rzeźbiarzy, malarzy i szklarzy z pewnością nie brakło, gdy w nim zasiadał ojciec, teść i szwagier, — więc i zwolnienia znaczne mogły mu być przyznane.

W roku 1505 pracuje Stanisław Stwosz już wyłącznie jako snycerz¹ i w nowym zawodzie uśmiecha się mu szczęście, talent zyskuje uznanie i dorabia się majątku, gdyż już po czterech latach jest w możności kupienia od Zygryda Bethmana domu położonego przy ulicy szerokiej za sumę 220 złotych, licząc po pół kopy groszy za złoty². Zaś roku 1516 sprzedaje S. Stwosz złotnikowi Maciejowi inny, wyraźnie wymieniony jako jego własny dom obok kościoła św. Piotra w ulicy Grodzkiej za kwotę 260 złotych po pół kopy groszy, a zamiast tego nabywa w latach 1516 i 1519 w częściowem kupnie dom od rodzeństwa swej żony³, która mu zapewno część domu jako wiano wniosła i staje się wyłącznym właścicielem tegoż.

Wzięcie i poważanie u braci cechowych sprawiają, iż bywa obieranym seniorem cechu malarskiego a mianowicie w latach 1515, 1516, 1522, 1524 i 1527⁴.

O jego życiu familijnem wiemy bardzo niewiele: żona jego Magdalena była córką malarza Marcina a siostrą również malarza imieniem Mikołaja⁵, przez to małżeństwo połączyły się dwie artystyczne rodziny krakowskie węzłem pokrewieństwa, który wzmoćnił się jeszcze zmianą zatrudnienia i przejściem S. Stwosza do cechu malarzy.

Żona S. Stwosza obdarzyła go dwiema córkami, starsza Anna

Leipzig 1869. Str. XXI albo Fr. Piekosiński „Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa“ str. 465.

¹ A. Grabowski „Skarbniczka naszej archeologii“. Lipsk 1854 str. 92 (również Essenwein na str. XXIV):

„Stenczel Stosh Snyczer, jus habet. Hic oriundus, literam testim. non indiget, quia pater suus Veyt Snyczer jus civile resignaverat.

² A. Grabowski. „Starożytności historyczne polskie“. Kraków 1840, I 446: A. D. 1509. Der ersame herr Zeyfred Bethman unser mitpruder hat bekanth, das her seyne haws awff der breutengassen gelegen, verkawft hat Stanislaos Sthos dem Schnitzer, vor 200 unde XX guld zu halben schocken“.

³ A. Grabowski. „Starego Krakowa zabytki“. Kraków 1850, str. 160.

⁴ Tamże.

⁵ Tamże p. 160 i 161.

wyszła za mąż za Hanusza Plattnera mieszczanina krakowskiego, młodsza zaś Małgorzata w chwili śmierci ojca była jeszcze małoletnią¹.

Nieszczęśliwy tymczasem był los sędziwego rozgłośniej sławy Wita²; w r. 1526 umiera mu druga żona, on sam zapada na oczy i ta choroba wytrąca mu z rąk dłuto, czyniąc go niezdolnym do pracy. W procesy zawikłany i od współobywateli omijany nie mógł znaleźć nawet pomocników w pracy, by zobowiązaniom zadość uczynić, bo u piętnowanego człowieka tylko w ostatecznym razie i z niechęcią szukano zajęcia. Przy takim stanie rzeczy jest niewątpliwem, iż pragnął pomocy syna rzeźbiarza i zmuszony był powołać go do Norymbergi.

Nie można tu w żaden sposób pominąć milczeniem tej okoliczności, iż ku końcowi drugiego dziesięciolecia XVI wieku, w skutek małżeństwa Zygmunta I z Boną Sforcą (1518) wpływ artystów włoskich³, (którzy, co prawda, zaszczepiają na ziemi polskiej najczyściejsze formy renesansu) odbiera rodzinnym żywiołom, które hołdowały manierze Stwoszowskiej, poparcie króla i dworu królewskiego. W ten sposób i dochody Stanisława Stwosza musiały doznać bardzo niekorzystnej zmiany, i to musiało być jednym więcej powodem, nakazującym opuścić Kraków i szukać gdzieindziej obfitszego zarobku.

Zaznaczamy tutaj nasze zapatrywanie, iż przyływ Włochów był zanadto gwałtowny, nie naturalny, by oddziałał zbawiennie na tubylców, odebrał im chleb, zanim ich czego nauczył, zrujnował ich i zrobił sługami i pomocnikami przybyszów, bo każdą znacniejszą pracę i każde wybitniejsze stanowisko, dostępne do teraz mieszczaństwu polskiemu, oddawano współrodakom Bony.

¹ Tamże, str. 157 i 160, — toż samo, ale według źródeł norymberskich w D. G. W. K. Lochnera „Johann Neudörfer's Nachrichten von Künstlern und Werkleuten Nürnberg 1547“ Wien 1875 (Quellenschriften X.) str. 98.

² Porównaj Dra Hollanda „Deutsche Charakterbilder“. München 1864, str. 129 i 131.

³ O wpływach włoskich na sztukę odrodzenia u nas porów. pod tym tytułem broszurę Dr. Maryana Sokołowskiego, jakoteż tegoż autora „Die italien. Künstler der Renaissance in Krakau“ w Repertorium für Kunstwissenschaft 1885 tom VIII p. 411.

Po roku 1527¹ lub przy końcu jego opuścił rzeczywiście S. Stwosz Kraków, aby obowiązkowi synowskiemu zadosyć uczynić — opuścił rodzinne miasto, by już nigdy tu nie powrócić, — bo w prastarej macierzy niemieckiej sztuki, która w średnich wiekach wywierała tak donośny wpływ na sztukę i życie Krakowa, — zamknęły się jego powieki snem śmiertelnym².

Żona Magdalena występuje już w r. 1530 jako wdowa³. A więc ledwo rok lub najwyżej dwa lata mógł Stanisław Stwosz bawić przy swoim ojcu i umarł dożywszy około 66 lat wieku.

W trzy lata później umiera sędziwy i nieszczęśliwy ojciec Stanisława a w testamencie swoim pamięta i o osieroconej rodzinie syna. Długo jednak potem toczy się proces przed ławnikami krakowskimi w sprawie spadku, w którym Hanusz Plattner (mąż starszej córki Stan.) w niekorzystnem przedstawia się świetle⁴, oświadczając roku 1534 fer. 6-ta die St. Dionisii, iż od egzekutorów testamentu w Norymberdze otrzymał tylko sumę 240 f.

Potrzebujący ale źle poinformowany brat Stanisława, złotnik Floryan z Gorlic (Szląsk), w mniemaniu, iż zmarły nie pozostawił spadkobierców, przesyła pismo do szlacheckiej rady m. Krakowa, by zabezpieczyć się co do rzekomej schedy⁵.

Pozostała wdowa po Stanisławie Stwoszu wnet uznała za lepsze zmienić swój stan wdowieński, znalazłszy dozgonnego towarzysza w osobie krawca imieniem Macieja. Rozpoczął się więc teraz o opiekuństwo nad małoletnią Małgorzatą spór, gdyż tak jej

¹ W tymże roku występuje, jak się wyżej powiedziało, jako starszy cechu malarzy i daje rękojmię za przyjmującym prawo miejskie Witem z Radomia malarzem. (A. Grabowski „Skarbniczka etc.“ str. 93.)

² A. Grabowski „Starego Krakowa zabytki“ str. 161.

³ Tamże.

⁴ Podług Lochnera (Quellenschriften X str. 98) otrzymał Hans Plattner 10-go lutego 1534 r. jako zastępcę swej żony Anny i jej siostry Małgorzaty „62 f. an Gold, 480 f. 5 Pfd. 12 Pfg. an Münz, darein die 109 f. 1 Ort, so benannter Stenzel seliger in seinem Leben empfangen gehabt, auch gerechnet und eingezogen sind, und an Silbergeschirr und Hausrat 53 f. 4 Pfd. 20 Pfg., samt etlicher Kunst und gemachten Arbeiten“, (na str. 107 wykazuje Lochner, iż 28 czerwca 1542 wskutek ostatecznego uregulowania spadku otrzymują obydwie siostry za pośrednictwem Krzysztofa Schefflera należną im jeszcze resztę: „73 f. 7 Pfd. 19 Pfg.).

⁵ „Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit“ 1879 str. 109.

matka z drugim swym mężem jako też znany, interesowny mąż jej córki Anny, Hans Plattner rościli sobie do tegoż prawo, spór, który wreszcie skłonił radę miejską do przyznania wszelkich praw opiekuńczych matce¹.

Ciekawe jest zezwolenie wdowy dane r. 1530 córce Annie w celu wykupienia z zastawu *Crucifixum ligneum, apud Mathis Goldslaer in octo flor. invadiatum*, lub również w tym czasie uczyniona wzmianka o pozostałych po Stanisławie *labores artificii* i *Crucifixus parvus ligneus*².

Oto są te krótkie zapiski donoszące nam o skulpturalnej spuściźnie długiego artystycznego żywota, i dziwno nam, iż z długoletniej czynności snycerza nie widzimy śladów w pomnikach ojczystej sztuki, gdy przecież jako zamożny mieszczanin, jako senior cechu bez najmniejszej wątpliwości był powołanym, by swym dłu-tem zająć wybitne stanowisko w dziejach ojczystej sztuki w historii królewskiego grodu. Tej zaś przyczyny, dlaczego odszukanie jego utworów tak utrudnione, niemal niemożliwe, nie gdzieindziej szukać należy jak w braku podpisu na utworach jego ręki — ten brak imienia artysty obok donatora, to powszechny u nas objaw, wywołany podrzędnem znaczeniem artysty w obec uprzywilejowanych stanów.

Za ilustracyę tego niechaj posłuży nam śpiewak z Czarnolesia, który obeznany ze stosunkami artystycznymi Włoch i Francyi, poznał niewątpliwie tę cześć i wysokie poważanie jakiego zażywali tameczni artyści, — sam patrząc przez całe lata na arcydzieła, musiał wykształcić w wysokim stopniu znawstwo i smak artystyczny. Przybywa do kraju, i umie niewątpliwie cenić dzieła sztuki, bo w swych foricoeniach podziwia portrety Maryana (9), Andrzeja Dudycza (26), Andrzeja Patrycego (40), Franciszka Masłowskiego (62) i wreszcie swój własny; ocenia ich przymioty, chwali pędzel, porównuje go czasami nawet z pędzlem Apellesa, ale nie znajduje i słowa dla samego artysty, przemilczając jego nazwisko. Dwa razy tylko odzywa się jego lutnia na cześć królewskiego muzyka (foricoen. i fraszkach) i to obcego przybysza Bakfarka.

¹ A. Grabowski dtto str. 161.

² d-tto d-tto.

Dlatego też wiadomości o artystach owej epoki nie u współczesnych pisarzy szukać nam wypadnie, ale w rachunkach i inwentarzach, które spoczywają po zakątkach archiwów naszych. To ważne źródło dotąd niewiele zużytkowane, coraz pocześniejsze miejsce zajmuje w pracach naszych badaczy i spodziewać się należy, iż także o Stanisławie Stwoszu przyniosą z czasem pożądane wieści.

Nasz dawniejszy złotnik, a następnie rzeźbiarz przypomina nam swem życiem pełnych sławy współczesnych mistrzów jak Benvenuto Cellini, Albrecht Dürer, Luca Della Robbia, Francesco Francia, Leone Leoni etc. przebywających podobne koleje życia, wznoszą się bowiem ze stanowiska zwykłego złotnika na wyższe wyżyny sztuki. Stanisław Stwosz całe lata trudni się złotnictwem, stąd wszelkie prawdopodobieństwo, iż i w rzeźbach musiał ten kierunek żywego doznać odbicia, że obznajomiony z odlewnictwem i właściwościami metalu czynność swą i w spiżowych rzeźbach rozwinał, — i uważamy to za ważną wskazówkę, która może nam być przydatną w dalszych badaniach nad pomnikami krakowskimi.

Wreszcie co do piętna stylowego, które, według naszego zdania, nosićby powinny utwory tego rzeźbiarza, to objaśnimy przykładem: W katedrze na Wawelu w nawie głównej stoją na konsolach pod baldachinkami gotyckimi Ojcowie Kościoła, pełne prostoty szlachetne postacie¹, chociaż owiane duchem stworzonym tak, iż w pierwszej chwili zdać by się mogło, iż patrzymy na dzieła mistrza Wita, — gdy jednak oko rozpatrzy się w liniach, spostrzeże już wybitne wpływy renesansowego klasycyzmu, i czujemy, iż na te szlachetne linie rysujących się z prostotą postaci tchnęły nowe prądy południa i stawily je na przelomie dwóch epok stylowych. Gdyby zaś nam przyszło koniecznie wypowiedzieć przypuszczenie co do autora tych dzieł snycerskich, to byśmy uważali za najprawdopodobniejsze, że wyszły one z pracowni owego mistrza, który piastuje godność starszego w cechu malarzy i rzeźbiarzy, a który jest zastępcą mistrza Wita, — on zdaje nam się być najgodniejszym, by przyozdobić najprzedniejszą świątynię naszego grodu.

Leonard Lepszy.

¹ Porównaj Essenwein.

KILKA SŁÓW O GENEZIE PEDAGOGII.

(Ciąg dalszy).

II.

Czem św. Bazyli był dla wychowania klasztorного, tem się stał św. Jan Złotousty dla wychowania rodzinnego. Na wychowanie rodzinne wpływa nie tyle systematyczność teoryi, ile gruntność i porywająca siła wywodów mistrza. A w jednym i w drugim względzie był św. Chryzostom rzeczywiście niezrównanym mistrzem! W rozlicznych kazaniach i homiliach swoich gromił pod koniec IV stulecia zbyt uganianie się Greków za zabawami i zyskiem, a za niedbywanie wychowania. Nie ganił on ¹wychowania klasztorного, owszem gorąco je wszystkim zalecał, jednakowoż wychodząc z istotnego ducha chrystyanizmu i z tradycyi katechumenatu przypominał, że z woli Bożej na rodzicach właściwie ciąży obowiązek starannego wychowania, że według słów św. Pawła ¹: „Jeżeli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzął się wiary i jest gorszy, niżli niewierny“, dodając, że „jeśli my kapłani mamy obowiązek czuwać nad duszami dzieci, bo zdamy za nie sprawę przed Bogiem, temci więcej ojciec, który zrodził, który wychował, który zawsze jest z nimi w domu“ ². I nie wymówią się rodzice niemożliwością dobrego wychowania, bo „przez to, że otrzymali dzieci

¹ Tym. V, 8.

² *Adversus oppugnatores vitae monasticae*. L. III. Wydania zupełnego tom I. str. 94—98. W Paryżu u braci Gaume. 1835.

w stanie delikatnym, że oni pierwsi i wyłącznie mieli ich powierzonych swej władzy, że zawsze mieli ich w domu, mogli łącno i bez trudu nimi pokierować. Zaniedbanie tego obowiązku jest, jak udawadnia, „największym ze wszystkich grzechów, dosiegającym szczytu złości“, przyczem wylicza aż 9 stopni złości jego. Wymienia też niejednokrotnie kary, jakie czekają rodziców niedbałych, powołując się wymownie na karę Helego. Zachęca do wychowania także przedstawieniem skutków, jakie dla dzieci, a przez nie i dla rodziców i dla społeczeństwa przynosi dobre lub złe prowadzenie: „Gdy ty syna dobrze wychowasz, to on znowu dobrze wychowa swego syna i t. d., i przejdzie na potomnych jakoby łańcuch i szereg dobrego prowadzenia, mający w tobie swój początek i korzeń, skąd na cię spłyną owoce za podjętą pieczę nad synami. Gdyby rodzice pilnie kształcili swe dzieci, nie byłoby potrzeba praw, ani sądów, ani kar, ani publicznego tracenía śmiercią“¹. Wskazuje wreszcie na nagrody wychowawców, na wzór Joba, Abrahama² i t. p.

Co do istoty wychowania, przypomina cel jego pierwszorzędny, którym jest zbawienie dusz, a stwierdzając potrzeby wychowania fizycznego i intelektualnego³, uwydatnia zarazem dobitnie, o ile wychowanie moralne i wyrabianie charakterów jest ważniejsze, i wręcz oświadcza, że rodzice, którzy nie tak wychowują, „dzieciobójcami są raczej, niż rodzicami“. Przestrzega zwłaszcza przed niebaczniem podsycaniem pychy, chciwości, oraz przed zaniedbaniem kształcenia cnoty czystości⁴ i podaje w tym celu szczegółowe wskazówki, uwydatniające zwłaszcza pobudki religijne i siłę przyzwyczajenia. Ocenia on trudności wychowania i dlatego każe prosić często o pomoc Bożą. Podnosi bardzo znaczenie przykładu. „Czyny ojców — mówi — są książkami, z których się uczą dzieci“. Uwidocznia doniosłość nauczania tak dalece, że każe rodzicom zawsze żądać sprawozdania od dzieci z tego, czego się nauczyły w szkole, oraz z tego co słyszały na kazaniu. Uwydatnia też w całej pełni znaczenie nadzoru. „Pilnie i do-

¹ Hom. in „Vidua eligatur“. III. 581.

² Hom. de liberorum educatione, t. XII. 837.

³ Hom. in „Vidua eligatur“ 7. tom III. 377.

⁴ De Anna sermo I, t. IV. 822. 835.

kładnie uważać trzeba na wszystkie kroki dzieci, na to, z kim przestają, z kim się zaprzyjaźniły, bo sądzę, że nie dostąpimy wcale przebaczenia u Boga, gdybyśmy to zaniedbali¹.

Prawdę tę stwierdza wieloma dowodami, i podnosi, że wówczas dopiero zauważą rodzice zawczasu zboczenia dziecka i w dzieciństwie jeszcze od nich odzwyczajają. Zły przykład i brak nadzoru od lat dziecięcych uważa za główne przyczyny złego wychowania. „Wtenczas należało kolce wycinać, gdy łatwiejsza była¹ uprawa roli; wtenczas z łatwością dały się one wyrwać, gdy lata były delikatne; namiętności nie stałyby się trudnemi do zwalczania, gdyby nie wzrosły przez zaniedbanie. Dlatego mówi mędrzec Pański: „Naginaj od dzieciństwa kark jego“¹.

Karnością poleca wspierać inne środki wychowawcze, a zwłaszcza zwalczać lenistwo, przyczem przedstawia², że „jeśli ojciec ukarze, to Bóg nie ukarze dziecka“. Poprawienie jest celem kary i od tego zawisło jej trwanie. W temże samem jednak miejscu uwydatnia, że „nie tak nie zaleca przełożonego, jak miłość ku poddanym. Bo ojcem nie czyni samo rodzenie, ale i miłość trwająca po urodzeniu“. Tamże każe rodzeństwu brać udział w oburzeniu ojca okazanem dziecku za zły postępek, „tak dla pożytku brata, jak dla współbolenia z ojcem“.

Przedewszystkiem uwydatnia bardzo św. Chryzostom pierwszorzędne znaczenie niewiasty w wychowaniu, przyczem stawia wszystkim niewiastom za wzór Annę, matkę Samuela³. Całe wychowanie ma, według jego trafnej nauki, polegać na stopniowem rozwijaniu władz, nie zaś na tresowaniu dziecka. „To wychowanie jest prawdziwe, które się najpierw zniża, a potem pociąga w górę, według przykładu Syna Bożego, który jako wychowawca ludzkości, najpierw się zniżył do rzędu ludzi, aby ich potem pociągnąć do siebie“. I jak Chrystus Pan nie odrazu Bóstwo swoje okazał, ale pozwolił się najpierw uważać za proroka i świętego, tak i wychowawca ma powoli i stopniowo wprowadzać dziecko w nauki mądrości Bożej. Znane też są słowa św. Patriarchy, wyrzeczone

¹ Eccl. 7. 23.

² Comm. in Ep. II. ad Corinth.

³ De Anna sermo IV. 877.

o wszystkich wychowawcach: „Wyżej niż każdego malarza, wyżej niż każdego rzeźbiarza, wyżej niż wszystkich artystów stawiam tego, kto umie ukształcać dusze dziecięce!“

Nie zrównane mowy św. Chryzostoma przebiegały cały świat w licznych odpisach, służyły za wzór i materiał dla kaznodziejów katolickich i tak żywe budziły zajęcie, że wnet zaczęto w osobne rozprawy zestawiać rozrzucone w nich perły, odnoszące się do kwestyj ważniejszych. Za taką zaś kwestyę uważano sprawę wychowania, bo wnet zebrano wiele upomnień wychowawczych św. Chryzostoma jasno i treściwie p. t.: *Ecloga de liberorum educatione*¹.

Niestety! dwór bizantyński niechętnem okiem patrzył na te usiłowania szlacheznego Patriarchy. Cesarze zanadto jeszcze pomnieli na tradycje pogańskich imperatorów — półbogów, to też coraz więcej usiłowali ujarzmić chrystyanizm i użyć go za środek polityczny. Opieka dana chwilowo Kościołowi, jego zakonom i całemu działaniu wychowawczemu, miała być właśnie okazją do zamieniania następców Apostołów w służbistych dworaków. Św. Jan Złotousty odgadł całą straszliwość hydry, choć ona dopiero podnosić głowę zaczęła, i kto wie, czy nie dlatego upominał tem ognściej do dobrego wychowania rodzinnego, aby wykształcić mężów charakteru, obojętnych tak na przyszłe pochlebstwa jak i na groźby dworu. Walka z dworem przyprawiła św. Patriarchę o śmierć na wygnaniu, ale nawoływania jego, równie jak duch św. Bazylego, żyjący w licznych klasztorach, przyczyniły się wiele do opóźnienia tryumfu cesaropapizmu. Zwolna jednak Wschód pod względem duchowym chylił się ku formalizmowi, aż wreszcie zasklepił się w nim przez schizmę; ożywcza praca Kościoła uwydatnia się za to tem lepiej na Zachodzie.

Nie dostawało jeszcze teorii odrębnego wychowania dziewcząt; w V w. podaje ją św. Hieronim. W liście *ad Laetam*² podaje on szczegółowe zasady wychowania młodej Pauli, poślubionej Bogu na dziewiczy żywot. Zasady te powtarza i uwydatnia św. Hieronim

¹ Zob. t. I. 837—846.

² Divi Hieronymi Stridonensis epistolae selectae t. II, str. 294—317, w Kolonii 1586.

w liście *ad Gaudentium de Pacatulae infantulae educatione*. Zestawienie tych listów pozwala wyrobić sąd o tem, które zasady św. Hieronim uważał za główne i istotne. Odnoszą się one zarówno do wychowania duchowego i fizycznego, jak i do dydaktyki. Pod względem nauczania dzieli on wychowanie na 2 główne peryody, z których pierwszy trwa do 7-go roku życia i wyklucza systematyczną naukę, drugi zaś ciągnie się aż do lat dojrzałości i jest porą właściwego nauczania. Wychowanie jednak moralne i fizyczne zacząć się musi w zaraniu dzieciństwa, a to pod grozą ciężkiej odpowiedzialności rodziców przed Bogiem. „Jeżeli za wiek dzieci dojrzały i samodzielny zdadzą rodzice rachubę, to o ileż bardziej za lata ssącego i nieudolnego niemowlęcia, które, według słów Pańskich, nie zna różnicy między dobrem a złem!“ Już na moralność mamki każe św. Hieronim zwracać uwagę. Opierając się widocznie na nauce dawniejszych Ojców Kościoła, każe szczególniej starać się we wychowaniu o dobry przykład i o staranny nadzór i każe środki te zastosować nieprzerwanie w ciągu całego wychowania. W przykładzie widzi on nie tylko pobudkę do naśladowania, ale i pouczanie. W ogóle kładzie na pouczanie bardzo wielką wagę i przestrzega niejednokrotnie, aby uczyć tylko dobrych i prawdziwych wiadomości, tylko dobrych obyczajów, tak aby wychowanka nie wiedziała nawet o złem i sądziła długo, że cały świat jest tak dobry jak ona. „Niech się nie nauczy w dzieciństwie niczego takiego, czego by ją potem oduczać trzeba!“ I dlatego nie pozwala mówić do dziecka zdrobniałemi wyrazami, dlatego również matkę napomina do wczesnego usuwania wszelkiego złego przykładu. „Niech w tobie lub w ojcu nie widzi nic takiego, czemby zgrzeszyła, gdyby to wykonała. Pamiętajcie, że więcej można ją nauczyć przykładami, niż słowem“. Nawet służba domowa i rówieśniczki mają być odcięte od wiru świata, „aby nie nauczyły Pauli w gorszym jeszcze stopniu tego złego, o którymby się same dowiedziały“. Przestrzega bardzo przed obudzaniem i podniecaniem próżności strojami, pochlebstwami, ale zarazem każe wyzyskiwać popęd ambicji, i dlatego np. przy nauczaniu systematycznym każe koniecznien przybrać Pauli kilka rówieśniczek celem obudzenia rywalizacji; do nauki też zachęcać poleca nie karami, lecz raczej nagrodami. Każe wychowywać koniecznien

w atmosferze ciepła rodzinnej miłości i zachęca wszystkich krewnych do okazywania dziecku swej życzliwości, jednakowoż uczucie miłości każe łączyć ściśle z uczuciem uszanowania. „Skinienie matki niech starczy za słowo, za upomnienie, za rozkaz. Niech ją dziecko kocha jak matkę, słucha jako panią, lęka się jako nauczycielki“. Nie pozwala także próżnować, ale każe naukę przeplatać modlitwą i zabawami. Przyzwoitości bardzo strzedz każe i dlatego nie pozwala dorastającej panience używać łaźni, „bo ona sama siebie wstydzić się powinna“. Religia ma być tłem i głównym środkiem całego wychowania. Wcześniej już powinna Paula poznać, że poświęconą jest na wyłączną służbę Bogu, i dlatego więcej musi na się zwracać uwagi, aniżeli dzieci mające w świecie pozostać. Od 7 roku ma Paula chodzić do kościoła wspólnie z rodzicami. Ze względu na nadzór każe przydać młodej Pauli oraz Pakatuli, za kierowniczkę dziewicę starszą, poważną, nieskażonych obyczajów, a zwłaszcza pracowitą i nie gadatliwą. Jednakowoż radzi matce: „Jeśli kiedy wybierzesz się na przedmieście, nie zostawiaj córki w domu: niech bez ciebie żyć nie umie“. Radzi także przyzwyczajając do zacisza domowego i chronić zwłaszcza przed towarzystwem drugiej płci. Przestrzega matkę: „Niech nigdy nie ukazuje się publicznie bez ciebie; niech bez matki nie idzie do bazylik męczenników, ani do kościołów!“ Z drugiej strony każe wyrabiać w dziecku samodzielność, i tak np. każe się starać o to, aby Pakatula już od 7 roku „wiedziała, o czym ma zamilczeć i wahała się, zastanawiała nad tem, co ma powiedzieć“. Wczas również każe Paulę uczyć wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu, i dlatego nie pozwala jej patrzeć na biesiadowanie starszych, ani brać udziału w weselnych godach służby. „Chociaż niektórzy sądzą, że większą cnotą jest wzgardzenie poznana rozkoszą, ja jednak mniemam, że pewniejszym być można swej wstrzemięźliwości, jeśli się nie zna przedmiotu pożądania“. Radzi więc Paulę zaprawiać do postu, ale każe w tem bardzo roztropną zachować miarę ze względu na organizm rosnący, i dlatego poleca dziecku dawać do czasu posilniejsze pokarmy. „Nie podobają mi się — mówi on — zwłaszcza w dziecięcym wieku długie i nieroztropne posty... Zasadą przy długich postach jest, pozostawić dość sił do długiej drogi życia, abyśmy

biegnąc zrazu nie upadli wśród drogi“. Od świeckich jeszcze mniej pod tym względem wymaga.

Przy nauczaniu każe postępować tak, aby dziecko nie znienawidziło nauki, i aby tej gorzkości, zakosztowanej w latach dziecięcych, nie przeniosło na wiek późniejszy. Dlatego to poleca przy nauce używać tylko nagród, dlatego również poleca naukę przeplatać wesołemi zabawami. „Co dogadza smakowi, co wonieje w kwiatkach, to wszystko niech szybko otrzyma. Oprócz nauki niech usiłuje praść drobnym paluszkami; niech zerwie nieraz nitkę, aby jej później nie urywała. Po pracy niech się odda zabawom: niech się wiesza na szyi matki, niech śpiewa psalmy za nagrodę; niech ukocha to, czego się musi uczyć, aby się jej wydało nie ciężką pracą, ale rozrywką, nie czemś wymuszonym, ale chętnie wybranem“. Każe dziecku dawać do rąk głoski z kości słoniowej lub z bukszpanu i wymieniać ich nazwę. „Niech się nimi bawi tak, aby zabawa była już nauką“. Z tych głosek niech składa sylaby i słowa — słowa nie dowolne, lecz imiona mężów zacnych i świętych, o których się uczyć będzie. Pisanie każe uczyć wcześniej na woskowych tabliczkach, albo przez kierowanie ręką dziecka, albo przez naśladowanie wytyczonych liter. Wcześniej też poleca wybrać za nauczyciela znanego z doświadczenia, z cnoty i z wykształcenia. „Mąż uczony — jak sądzę — nie będzie się wstydził objąć względem krewnej lub szlachetnej panienki tego urzędu, jaki Arystoteles objął względem syna Filipa, mianowicie urzędu podawania osobiście początków wiedzy przy pomocy odpisywaczy książek. Nie można za drobiazgi poczytywać i lekceważyć tego, bez czego niemożliwe są rzeczy wielkie. Już samo brzmienie pierwszych głosek i pierwsze podanie reguł inaczej się wyda z ust wykształconego, aniżeli niewykształconego“. Doniosłość moralnego i intelektualnego wpływu nauczyciela uwydatnia przykładami z historii starożytnej. Poleca, aby dziecko codziennie zdawało matce sprawę z tego, czego się nauczyło. Nie ustał jeszcze podówczas zwyczaj Rzymian uważania języka greckiego za jedyny język ludzi wykształconych. Św. Hieronim więc poleca go uczyć, ale zastrzega się przeciw jego wyłączności i podnosi znaczenie mowy ojczystej, „która się skazi cudzoziemskim wygłoszeniem i zbrudzi cudzymi błędami, jeśli się

do niej od początku nie włożą usta dziecięce“. Pod względem treści każe uczyć z ksiąg Pisma św. i z dzieł Ojców Kościoła, przyczem podaje szczegółowe rozkłady stósownie do wieku i postępu; o innych zaś dziełach mówi: „niech je czyta tak, aby je raczej osądzała niż naśladowała“. Wielką wagę kładzie na kobiece roboty ręczne: „Niech się uczy wykonywać roboty wełniane, tkąć siatki, trzymać na łonie koszyczek, robić wrzecionem i poruszaniem palca wydobywać nici“.

W końcu radzi matce, aby w porze, kiedy uzna nieudolność własną do przeprowadzenia tych wszystkich zasad, wysłała Paulę do klasztoru Betleemskiego na resztę wychowania, tembardziej że w tym klasztorze była Paula, doświadczona babka i Eustochium, ulubiona ciotka małej Pauli. W tym razie przyrzeka sam uczyć Paulę.

Z tych pism św. Hieronima poznajemy najlepiej stan ówczesnej dydaktyki i pedagogii. Jeśli pierwsza dopiero rozwijać się zaczyna, krępowana powijakami od starożytnych przejętymi, to druga stanęła już nieporównanie wyżej ponad całą pedagogią starożytnych. Św. Hieronim ma na oku przedewszystkiem wychowanie na zakonnice; a przecież jakże dalekimi są jego zasady od surowości starożytnych! O ileż bardziej owa łagodność zasad przeważać musiała w chrześcijańskim wychowaniu dziewcząt w świecie zostających! Powaga starożytnych ożywia się tu najwyraźniej duchem chrześcijańskiej miłości.

Przypatrzwszy się u św. Bazylego teorii wychowania klasztornego, a u św. Chryzostoma i Hieronima zasadom wychowania domowego w ogóle, a w szczególności wychowaniu dziewcząt, nie możemy pominąć męża pierwszorzędnego znaczenia w Kościele i w historii wychowania, jakim jest współczesny św. Hieronimowi biskup hipponeński św. Augustyn.

Słynny ten doktor Kościoła i filozof skupił w jedno niemal wszystko, co pisali przed nim i współcześni z nim Ojcowie Kościoła, sięgnął także podobnie jak oni do doświadczenia starożytnych, ochrzcił, jak się wyrażają — Platona i doprowadził teorię pedagogii do naukowego rozkwitu. Jego „Wyznania“ są pierwszym dziełem psychologiczno-pedagogicznym, skarbem nieocenionym dla

wszystkich wychowawców, a zarazem niedościgłym dotąd pod wielu względami wzorem podobnych dzieł XVIII i XIX wieku. On także zestawia zwięzłe środki wychowania wymienione przez poprzednich Ojców Kościoła i podobnie jak św. Bazyli podporządkowuje je pod dwa ogólne pojęcia: *Correctio* tj. karność, polegająca na uczuciu bojaźni, i *Instructio*, tj. pouczanie połączone z uczuciem miłości¹. Tło religijne wszystko na wskrós przenikające i środki nadnaturalne chrystyanizmu dokonywują reszty wychowania.

Nie poruszamy tu już szczegółowej metodyki nauczania religii i słynnych na tem polu pism św. Cyryla Jerozolimskiego i Grzegorza Nysseńskiego, omówić jednak musimy św. Augustyna *De catechisandis rudibus*, bo daje nam ono poznać najlepiej dydaktykę ogólną owych czasów.

Wiadomo, ile rozgłosu miała katechetyka arcybiskupa Grubera, oparta na dydaktycznych zasadach św. Augustyna. Zadaniem nauczania jest, według św. Augustyna, podanie całości prawd odpowiednio do celu wychowania, co zapobiega nauczaniu jednostronnemu. Każe on jednak zrazu podawać istotę całości w krótkich wyciągach, a później dopiero w miarę okoliczności rozszerzać zakres owych wyciągów. Odpowiada to nowoczesnej rzekomo zdobyczy nauczania w kołach koncentrycznych. Poleca także zastosować się do indywidualizmu uczniów; inaczej uczyć jednego, inaczej kilku razem; inaczej prostaczków, inaczej ludzi wykształconych². Wszystkich jednak każe nauczać na podstawie historii z uwzględnieniem ówczesnego położenia Kościoła. Stosownie do tego metoda jest wykładowa, połączona jednak z częstem wypytywaniem, celem przekonania się o zrozumieniu rzeczy i celem poprawienia mylnego zrozumienia. Każe się uczyć na pamięć prawd istotnych, ale każe się też starać o to, aby uczeń rzecz zrozumiał i często używać powtarzania. Zuanem jest jego prawidło: *ut veritas pateat, placeat, moveat!* aby uczeń prawdę jasno zrozumiał, polubił i wolę

¹ De moribus Ecclesiae.

² Porównaj z tem de civitate Dei libr. XII: „Jeśli wiek dziecięcy zasilany będzie nauką odpowiednio do sił jego w miarę wzrostu coraz więcej pojmie, przeciwnie zaś, w razie natężenia ponad siły zamiast postępowania naprzód będzie się w tył cofał“.

do niej nakłonił. Każe też uczyć w sposób przyjemny, zajmujący, a zwłaszcza tak, aby poruszyć wolę ku cnotom najbliższym i ostatecznym celom wychowania — tj. zbawienia; *ut audiendo credat, credendo speret, sperando diligat Deum*. Gdy zważymy, że św. Augustyn w dziele wymienionem ma na myśli mniej więcej dorosłych katechumenów, a przecież żąda takiego ułatwienia nauki i ścisłego trzymania się zasad wychowawczych, to łatwo pojąć, o ile ściślej i szerzej owe zasady dydaktyczne musiały być stosowane przy nauczaniu dzieci. Duch św. Augustyna żyje dziś jeszcze w Kościele, w wielu regulach zakonnych osnutych na tle jego wskazówek, a to już jest najlepszą wskazówką, ile on dobrego zdziałał w wychowaniu ludzkości.

Na św. Augustynie nie kończy się szereg pism pedagogicznych owego czasu. Wiele cennych wskazówek podają głośnie listy Izydora Peluzyoty. Przypomina on żywo św. Bazylego W. w poglądach na klasycyzm, a św. Chryzostoma w uwydatnieniu wychowania rodzinnego. Z VI wieku doszły nas pisma pedagogiczne św. Ennodjusza, oraz Boecjusza, który do zasad zaczerpniętych z dawniejszych Ojców Kościoła dodał potrzebę uwzględnienia temperamentów i trzech stopni uzdolnienia, oraz potrzebę osobnego przygotowania się do nauczania dzieci. Wiele jego dzieł służyło za podręczniki szkolne. Często używano także podręczników Kassiodora: *De septem disciplinis*.

Z epoki Ojców Kościoła pozostały jeszcze i inne podręczniki szkolne, świadczące o ówczesnym rozwoju szkół, lubo o nich nie mamy źródłowych wiadomości. I tak, używano dystychów Dyonizjusza, Katona i gramatyki Donata (z IV w.) oraz Pryscyana (z VI w.) lub Diomedesa. Słynnem było „Satyricon“ Mareyana Capelli (z V w.) uczące siedmiu sztuk wyzwolonych. Dydaktycy owi nie liczą się jednak w poczet pisarzy i Ojców Kościoła.

W ogóle dydaktyka, lubo nie była zapoznaną ani zaniedbaną, stanowi słabszą stronę owej epoki. Ojcowie Kościoła kładli główny nacisk na pedagogię, na dobre religijno-moralne wychowanie i w tym zakresie pozostawili skarbiec prawd głęboko sięgających w naturę duszy dziecięcej. Ich sposób dowodzenia polega przeważnie na przytaczaniu ustępów Pisma św., przykładu P. Jezusa i innych osób biblijnych i pism dawniejszych Ojców Kościoła. Jeden Boecyusz

w pismach swoich używa dowodzenia czysto rozumowego, spekulatywnego i w tym względzie jest niejako poprzednikiem scholastyków. Niezawodnie też teoria wychowania i nauczania doszłaby do najwyższego rozkwitu, gdyby wojenne burze nie zwróciły myślicieli więcej na pole czynu i ofiar.

III.

Dwie ważne okoliczności wpływają na wybitny rozwój wychowania i dydaktyki w IX wieku, a to: poparcie Kościoła przez państwo, a jeszcze pierwszej urzędzenie w łonie Kościoła zorganizowanej instytucji wychowawczej na wzór wychowania zakonnego według reguły św. Benedykta. Mamy tu na myśli kollegia kanoników zaprowadzone przez Chrodeganga, biskupa Metz (742—766). Zaprowadził on między duchownymi świeckimi, żyjącymi przy boku biskupa albo przy większych Kościołach parafialnych, życie wspólne (t. z. kolegiaty) w celu udoskonalenia się duchowego, a zarazem w celu wychowywania i nauczania młodzieży. Zadaniem tych szkół zwanych powszechnie katedralnemi było przede wszystkim wykształcić i wychować Kościołowi dobrych kapłanów, jednakowoż instytucja ta oddziałała nader dodatnio na cały rozwój szkolnictwa. Pominąwszy bowiem tę okoliczność, że szkoły klasztorne nie zobowiązywały jeszcze nikogo do stanu kapłańskiego i wychowały wielu dzielnych mężów najróżnorodniejszego stanu, nie można nie uwzględnić, że dla braku innych czynników całe wychowanie i nauczanie było wówczas wyłącznie w ręku Kościoła, że więc szkoły klasztorne, będąc rodzajem seminaryów dla kapłanów, były temsamem rodzajem seminaryów nauczycielskich. Szkoły katedralne nie były jednak oryginalnym pomysłem Chrodeganga. Czytaliśmy już o nich przy omawianiu pierwszych wieków chrześcijaństwa. Św. Augustyn np. założył w swym ogrodzie konwikt dla kapłanów i tam na wzór Apostołów spędzał z nimi dni na modlitwie, postach i kształceniu się w umiejętnościach. A tak wielką kładł wagę na te konwikty wychowawcze, że nie chciał nikogo wyświęcić na kapłana, kto w tym konwikcie się nie wychował. Przewroty wojenne niweczyły te usiłowania Kościoła, ale ka-

ždy niemal nowy sobór przypomina zazwyczaj biskupom obowiązek ich ponowienia. Tak np. drugi (r. 531) i czwarty (r. 634) sobór w Toledo, sobór w Tours (r. 663) i inne. Z pism Grzegorza turońskiego, Wielebnego Bedy i innych znać też w rzeczy samej, że szkoły katedralne istniały we Włoszech i we Frankonii. Zasługą Chrodeganga było, że im dał ściślejszą organizację i zapewnił staranniejszą, systematyczną opiekę. Reguła św. Benedykta, stanowiąca podstawę całego *vita communis*, daje wskazówkę, w jakim duchu wychowywano przyszłych kapłanów i nauczycieli. W myśl chryścjanizmu kładzie ona większy nacisk na wychowanie niż na samo nauczanie i technie podobnie jak cała pedagogika Ojców Kościoła duchem miłości chrześcijańskiej złączonej z powagą i uwzględniającej indywidualizmy dzieci. I tak (cap. 37) wyraźnie zarządza: „Choć natura ludzka sama przez się skłonna jest do litości i poślizgnięcia względem wieku dziecięcego, to jednak powaga reguły zakonnej chce wyraźnie zająć się dziećmi. Trzeba u chłopców uwzględniać zawsze ich słabość i żadną miarą nie wolno ich karać zupełnem odjęciem potraw, jakie w innych razach przepisuje reguła“. Gdzieindziej zaś (cap. 30) mówi: „Każdy stopień wieku i rozwoju umysłowego musi mieć swe właściwe kary... Wykroczenia chłopców karać należy ujęciem potraw lub różgami, aby się poprawili“. Wreszcie (cap. 63) orzeka: „Chłopcy mają być we wszystkim i przez wszystkich w karności wychowywani. Młodzi więc powinni czcić starszych, starsi zaś powinni kochać młodszych... Mali chłopcy i młodzieńcy mają być pod nadzorem i w karności także poza obrębem klasztoru, gdziekolwiekby byli“. Jak co do zasad wychowawczych tak i pod względem dydaktycznym szkoły a raczej konwikty katedralne urządzone były na wzór benedyktyńskich szkół klasztornych, przeto zarys dydaktycznego postępowania w tych ostatnich, jaki wkrótce podamy, odnosi się do pierwszych. To samo powiedzieć można i co do nadzoru szkół katedralnych. Jak u Benedyktynów osobny *magister scholae* kierował całem wychowaniem uczniów i wszystkimi nauczycielami, tak i Chrodegang ustanowił z pomiędzy kanoników osobnego mistrza, którego zwano *scholasticus* albo *scholaster*. Oto odnośny ustęp reguły Chrodeganga: „Przełożeni Kościoła mają pilnie czuwać nad tem, aby chłopców i młodzież powierzoną ich

opiece tak starannie prowadzono przy pomocy kościelnych środków wychowawczych, iżby wiek ich płochy i do wykroczeń skłonny nie znalazł pory ani okazji do wpadnięcia w rzeczywiste grzechy. Dla ustrzeżenia przed złem należy z pomiędzy przełożonych wybrać brata wypróbowanej cnoty, aby z największą troskliwością czuwał nad uczniami“ ... (cap. 48).

Jak ściśle to urządzenie wynikało z ducha i potrzeb Kościoła, wskazuje najlepiej fakt, że wnet przyjęło się ono na całym Zachodzie. Szkoły klasztorne równie jak katedralne ze swoim *trivium* i *quadrivium* odpowiadały dzisiejszym szkołom średnim, jednakowoż miały tę odrębną cechę, że w ich skład istotny wchodziły także szkoły elementarne, bo naukę rozpoczynano od pierwszych początków. Nauka elementarna w szkołach parafialnych różniła się zatem od nauki elementarnej w szkołach klasztornych i katedralnych tem, że w pierwszych miała cel samoistny, miała wystarczyć na całe życie — w drugich zaś była przygotowaniem tylko do *trivium*¹.

Zdarzało się jednak, że tu i ówdzie znalazł się duchowny, który nie chciał usłuchać zawezwań swego biskupa, lub nawet biskup, który nie chciał iść za przykładem innych biskupów i nagiąć się do woli soborów. Ci i owi wskutek zamieszek wojennych nie dość starannie wychowani woleli prowadzić życie dworne lub nawet kusić się o wawrzyny wojenne, niż wypełniać obowiązki stanu kapłańskiego. Ciężko bolał Kościół nad owymi niedbałymi opóźniającymi dzieło zbawienia ludów, ścigał ich swemi upomnieniami a nawet klątwami, ale nie miał t. zw. *bracchium saeculare* na skuteczne przeprowadzenie swych upomnień. Dlatego też szukają Papieże dynastyi, któraby mogła zrozumieć i wprowadzić w czyn ideę imperatorów chrześcijańskich, ideę streszczoną w nazwaniu „obrońcy Chrystusa“, *defensor Christi*, podobnie jak idea papieska streszcza się w tytule „Zastępcy Chrystusa“, *Vicarius Christi*. Skierowali wzrok swój na młodą, dzielną a pobożną dynastję Karolingów. Serdeczna przyjaźń łączy Adryana I z Karolem

¹ Iluż to nawet antykościelnych pedagogów XIX wieku po wielu doświadczeniach przemawia za podobną organizacją szkół elementarnych! Rzadko jednak mówią, że taka organizacja była już w początkach średniowiecza. Czyżby o niej rzeczywiście nie wiedzieli?

Wielkim. Rzutki ten i nieustraszony a przytem prawy wojownik uważa Papieża za ojca swojego i, postępując według rad jego, opierając się na potężnym, wskrós serca uszlachetniającym wpływie Kościoła, staje się Wielkim, staje się cywilizatorem i organizatorem całego niemal Zachodu. Zwołuje on sejmy, powołuje na nie biskupów i należyty wpływ im zapewnia, wciela uchwały synodów biskupich równocześnie w Akwizgranie odbywanych między inne ustawy państwa, ogłasza jedne i drugie pod wspólną nazwą kapitularzy (ogółem 1126¹) i czuwa nad ich ścisłym wykonaniem. Już w kapitularku z r. 768 znosi Karol zwyczaj powoływania duchownych pod sztandary. Jak zaś pojmował obowiązek władcy chrześcijańskiego, daje najlepiej poznać list jego napisany w r. 795 do papieża Leona III, następcy Adryana I. „Pragnę — pisze Karol W. — aby Wasza Świątobliwość taką samą miłość mi okazywał, jakiej doznawałem od Jego dostojnego poprzednika. Obowiązkiem moim jest, przy pomocy miłosierdzia Bożego bronić na zewnątrz święty Kościół Chrystusów od wszelkich napaści pogańskich i zamachów bezbożnych, a na wewnątrz utwierdzać go wyznaniem wiary katolickiej. Do Ciebie, Ojczyści, należy wznieść jak Mojżesz ręce ku niebu i moje służenie Kościołowi modłami swemi wspierać“². Łatwo pojąć, jak skutecznie mógł Kościół w takich warunkach rozwinąć swą potrojną działalność: nauczycielską, kapłańską i pasterską, a temsamem jak szybkim krokiem musiała naprzód postąpić cywilizacya Zachodu. Nie były odtąd czczymi zarządzenia Kościoła, bo kapitulark z r. 772 c. 15 rozporządza: *Sacerdotes, qui rite non sapiunt adimplere ministerium suum nec discere iuxta praeceptum Episcoporum suorum pro viribus satagunt vel contemptores canonum existunt, ab officio proprio sunt submovendi, quousque haec pleniter emendata habeant*. Cesarz rozmiłowany sam w nauce, a zwłaszcza w dziełach św. Augustyna i Hieronima, pragnie zapewnić nauczanie wszystkim swym poddanym, i dlatego używa skutecznego poparcia w kapitularkach uchwałom wymienionych już soborów i życzeniom Stolicy Apostolskiej. W r. 787, kiedy to po raz czwarty odwiedził Adryana I, nakazał, aby przy każdym

¹ Zob. Holzwartha Historia Powsz. t. III str. 518. Warszawa 1880.

² Tamże str. 520.

klasztorze i przy każdej katedrze biskupiej urządzono szkoły na wzór szkół Chrodeganga. Przechował się aż do naszych czasów list okólny Karola W. w egzemplarzu wysłanym do Baugulfa, opata we Fuldzie, który tak się wyraża o przymiotach potrzebnych nauczycielowi: „Takich zaś mężów wybierać trzeba na nauczycieli, którzy mają chęć i zdolność do nauczania drugich i zamiłowanie w nauczaniu“. Podobne zarządzenie wydaje także kapitularz z r. 789 rozciągając obowiązek nauczania wyraźnie i na dzieci poddanych. W tym samym duchu wydał rozporządzenie Tassyló II, książę bawarski, na synodzie odbytym w Neuchung w r. 774. Theodulf, biskup w Orleans, przypomina około r. 801: *Presbyteri per villas et vicos scholas habeant et si quilibet fidelium suos parvulos ad discendas litteras eis commendare vult, eos suscipere et docere non renuant... et nihil pretii pro hac re exigant a parentibus, nisi quod sua voluntate obtulerint*. Bezpłatnie nauczać każe w szkołach parafialnych.

W takich warunkach można było pomyśleć o zniewoleniu niedbałych rodziców do wypełnienia obowiązku chrześcijańskiego wychowania. I w rzeczy samej, kapitularz z r. 806 zaprowadza poniekąd przymus szkolny, bo za zaniedbanie nauki grozi karami cielesnemi lub surowym postem, polecając ściśle ówczesnym *missi dominici* wykonanie tej ustawy. O ten sam obowiązek starannego posyłania do szkoły zapytuje wiernych synod akwizgrański w r. 802, a gorąco przypomina go sobór moguncki w r. 813, którego decyzję jako ustawę państwa¹ Karol W. ogłosił. Widocznie nakazano także, aby duchowni, o ile sami są zbyt zajęci pracą parafialną, utrzymywali zdatnych nauczycieli, bo Eugeniusz II w r. 826 upomina: „Dowiadujemy się, że w niektórych miejscowościach niema nauczycieli, i nauka jest zaniedbana. Dlatego polecamy wszystkim biskupom i podwładnym im parafianom, aby starali się o nauczycieli, którzy powinni nauczać pilnie czytania, sztuk wyzwolonych i prawd religijnych“. Widzimy tu, jak Kościół, pomny swej misyi wzniosłej, ale ograniczonej właściwie na zakres nauczania i pasterzowania pod względem religijnym, przekazuje chętnie resztę nau-

¹ Zob. kard. Hergenröthera „Handb. der allg. Kirchengeschichte“. I. 736. Freiburg 1884.

czania innym nauczycielom, skoro tylko można było ich dostać. Nie usuwa się zaś od ciężaru utrzymywania szkół jedynie dlatego, bo w tym razie szkoły musiałyby zupełnie upaść. Hinkmar, biskup z Reims, wzywa dziekanów wiejskich, aby się dowiadywali, czy każdy proboszcz utrzymuje szkołę i czy ma odpowiedniego kleryka do udzielania dzieciom parafialnym elementarnej nauki. Herard, arcybiskup z Tours¹, nakazuje w r. 858 swym proboszczom, aby o ile możliwości utrzymywali szkołę, używali ulepszonych podręczników i uczyli także rachunków. Podobnie postąpili biskup Haytho w Bazylei (r. 827) i biskup Walter w Orleans (r. 871) oraz synod w Nantes (r. 895). W ten sposób starano się o szkolnictwo ludowe i o szkoły średnie.

Szkoły średnie, a zwłaszcza studium siedmiu nauk wyzwolonych stanowiły dla kandydatów stanu kapłańskiego przygotowanie do studium teologicznego, które polegało na badaniu Pisma św. i Ojców Kościoła. Z tych ostatnich najwięcej uwzględniano św. Augustyna, a w dziełach praktycznych Grzegorza Wielkiego². Baczni Karolingowie dodali jeszcze rodzaj uniwersytetu, słynną *schola Palatii*. Wiele z pomiędzy szkół średnich nabyło wielkiego rozgłosu przez ulepszoną metodę i pedagogiczny takt swych kierowników. Szkoły takie służyły za wzór innym. Za Karola W. zasłynęła z pomiędzy zakładów klasztornych szkoła w Anianie założona przez mnicha Benedykta († 821), szkoła w Tours, w Orleans i szkoła we Fuldzie. Karol Wielki zreorganizował także lub założył słynne szkoły śpiewaków w Metz i w St. Gallen, oraz w Einsiedeln, we Fuldzie, w Trewirze i w Moguncyi. Są nawet ślady wychowania dziewcząt w tym czasie w klasztorach żeńskich³. Tak np. słynny Paschasius Radbertus, opat z Corvey (844—851), pobierał pierwszą naukę w Soissons u zakonnic. Podobnie Maurycy, arcybiskup z Rouen, uczył się zrazu u zakonnic w Troyes. Niezawodnie więc tem pilniej uczyły zakonnice dziewczęta. W klasztorze westfalskim Herse nosiła jedna z zakonnic tytuł scholastyki. Słynął w tym względzie klasztor Benedyktynek w Bischofsheim, którego przeło-

¹ Zob. Stöckla: „Geschichte der Pädagogik“ str. 115. Moguncya 1876.

² Zob. kard. Hergenröthera, l. c. I, 739.

³ Zob. Kellnera, l. c. I, 179.

żoną była jeszcze za św. Bonifacego św. Lioba. Z umysłu przytaczamy główne fakty, nie zaciekając się jednak w obfite szczegóły, aby dać poznać, jak olbrzymim i wszechstronnym był wówczas na Zachodzie chrześcijańskim ruch na polu wychowania i szkolnictwa, lubo dalecy jesteśmy od twierdzenia, jakoby ów ruch doprowadził już wszystko do doskonałości. Zupełnie podobne stosunki zapanowały i w Anglii od wypędzenia najezdców przez Alfreda Wielkiego. Rozwój ten jest najlepszem uwypatnieniem, ile państwo i społeczeństwo zyskuje na ścisłym oparciu się na zasadach chrystyanizmu i jak głęboko odpowiada istocie wychowania chrześcijańskie pojęcie tak zakresu działania jak wzajemnego do siebie stosunku czynników wychowawczych. (Dok. nast.).

Ks. Gadowski.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich a szczególnie w archiwum watykańskim.

- 1) O materyałach do dziejów polskich w wiekach średnich. Przez dra Władysława Abrahama. (Kraków, 1888. Odbitka z Archiwum Komisji hist. T. V).
- 2) O materyałach do dziejów polskich w XVI i XVII wieku. Przez dra Bronisława Dembińskiego. (Kraków 1886. Odbitka z Archiwum Komisji hist. T. IV).

Rzecz to godna zapisania i objaw wielce pocieszający w obecnych warunkach, że w chwili, kiedy zagasły dwa światła polskiej nauki historycznej, a w żalu za nimi pod gromem straty dał się słyszeć z piersi pozostałych głos smutny: „któż je zastąpi“ — wstąpiły w ich miejsce zbiorowe siły i wielkie ich dzieło prowadzą dalej. W istocie, przebiegając myślą ostatnie lata naszego ruchu dziejopisarskiego zaznaczyć i podnieść koniecznie należy dwa w nim pierwszorzędnej doniosłości fakta: założenie *Towarzystwa historycznego* we Lwowie i organ tegoż *Kwartalnik historyczny* pod red. Ksaw. Liskego, i krakowską *wyprawę naukową do Rzymu* za staraniem i pod przewodnictwem prof. Stan. Smolki, o której znaczeniu i owocach podał w swoim czasie obszerną wiadomość jeden z pięciu jej uczestników, dr. St. Windakiewicz. Łączność tych faktów, ta kontynuacja dzieła mistrzów widoczna. Jak pierwszy bowiem uwzględnieniem historyi Rusi spełnia myśl założyciela, który

poświęcił jej świetne swe pióro i resztę żywota, tak znowu tym drugim przez zwrócenie się szkoły krakowskiej do Rzymu złożono hołd nieśmiertelnej pamięci Szujskiego, urzeczywistniając jego zasadę: zawsze z Zachodem. I powiedziećby można, że nie mogło być inaczej; wiele już bowiem, bardzo wiele dokonano w umiejętnem badaniu dziejów naszych, lecz najmniej, prawie nic w dwóch tych kierunkach. Obecnie zwrócimy się do Rzymu, „który — jak dobrze powiedziano — jest kopalnią dla historyka, chcącego poznać dzieje ojczyzny, o ile one pozostały w związku z Europą, a szczególnie z tem ogromnem ogniskiem, jakim dla cywilizacji chrześcijańskiej była, jest i będzie stolica Namiestnika Chrystusowego“, kopalnią dziś otworzoną, lecz przez nas nie wyzyskaną jeszcze. Otóż wstępem, przewodnikiem i utorowaniem drogi dla „wyprawy do Rzymu“, tak pierwszej jak i następnych są powyżej przytoczone *Sprawozdania z poszukiwań*, bo „podają — mówi autor pierwszego we wstępie — jak najwięcej wskazówek informujących co tu jest, czego i gdzie szukać należy i co znaleźć można; na tej podstawie dopiero będzie można ułożyć więcej szczegółowy program dalszej, systematycznej już w pewnym oznaczonym kierunku pracy“. Stąd znaczenie nieznaczących objętością tych prac (str. 53 i 70). Jeżeli zaś nie wyczerpują zupełnie przedmiotu swego ani też nie są systematycznym przedstawieniem wszystkich materyałów według treści i wartości, tłumaczy się to krótkim, bo pięciomiesięcznym zaledwie pobytem autorów w Rzymie, a więcej może utrudnieniem badań tego rodzaju w najbogatszej źródł skarbownicy, lecz też i najmniej uporządkowanej. Teraz należy się słowo każdej z osobna.

1) Sprawozdanie pierwsze podaje materyał do dziejów polskich w wiekach średnich, znajdujący się w archiwach rzymskich przedewszystkiem w arch. watykańskiem (*Archivio segreto di Santa Sede*). Zawarł go autor w czterech częściach na podstawie rozmaitej formy aktów i ich treści; idą więc najprzód *Dyplomata i dokumenta oryginalne* (str. 5—9), następnie *Regesta* (9—35), potem *Akta skarbowe* (35—49) wreszcie *Varia*, do żadnego z poprzednich działów nie należące (49—50). *Regesta* znowu jak i akta skarbowe wedle przyjętego podziału rozpadają się na kilka kategorii, pod każdą zaś z wymienionych rubryk następują dokumenta w porządku chronologicznym z oznaczeniem wydania, jeżeli odnośny dokument

już był drukowanym. Podział ten słuszny i przejrzysty jest wielką *Sprawozdania* zaletą — zwłaszcza jeżeli porównamy je z „Wiadomością bibliograficzną“ Przezdzieckiego, — lecz nie jedyną ani też główną. Autor bowiem sumiennie spełnił swe zadanie, kiedy z wyjątkiem niewielu i drobnych niedokładności wyczerpujący podał nam spis dokumentów, jakie miał w rękę a przeglądał ich tyle, że małą zostawił innym nadzieję znalezienia czego nowego. Przekonał się piszący o tem np. na regestrach Honoryusza III (tom 9 fol. 169, t. 10 i 11), bo nie ma ich więcej w archiwum nad te, które p. *Abraham* podał (str. 11, 12); obecnie wydał je *Pressuti* pod n. 850, 1301, 1302, 1353, 1439, 1477, 2947—53 i 3335. Wyliczenie pojedynczych aktów poprzedzają nie skąpe objaśnienia. Uwagi te nie schodząc do szczegółów, spornych przeważnie, dostateczny podają obraz materyału, kreślą burzliwe jego losy w przeszłości i stan obecny, w części jego stronę paleograficzną, w końcu zaś — co najważniejsza — pełne są dokładnych wskazówek „gdzie szukać należy i co znaleźć można“. Zdaje mi się, że pierwszy to naukowy spis watyk. źródeł archiwalnych w naszej literaturze. Niechaj jednak wolno tu będzie dołączyć dwie uwagi. Na str. 3 podaje autor najważniejszą literaturę o archiwum wat. — do wymienionych tamże dzieł dodać teraz potrzeba monumentalną pracę Rossiego *De origine historia, indicibus scrinii et Bibliothecae Sedis Ap.* (Romae Typ. Vat. 1887), dalej *Prolegomena* do pierwszego tomu *Regestum Clementis Papae V* (ib. 1885), wreszcie najnowsze *Denifla* i *Ehrlego* prace w ich wydawnictwie *Archiv für Literatur — und Kirchengeschichte des Mittelalters* (r. 1885 do 1887).

Powtóre, czytamy na str. 9: „Zwyczaj regestowania ekspedycyj z kancelaryi papieskiej datuje się z bardzo dawnych czasów, bo niemal od końca wieku VI“ — atoli wedle badań Rossiego sięgałby jeszcze dawniejszych. Zajmujący ten wywód o początku archiwum w ogóle i pierwszych śladów regestowania tak się przedstawia w streszczeniu (Cfr. *Costituzione dell'archivio vaticano e suo primo indice sotto il pontificato di Paolo V di Michele Lonigo*. Przez *F. Gasparolo* w *Studi e documenti di storia e diritto*. Roma 1887, fasc. 1^o e 2^o p. 3—64): Zawiązkiem archiwum i najdroższą jego zarazem perłą było Pismo św., jak św. Ignacy zaświadcza:

„ἀρχεῖα ἐστὶν Ἰησοῦς Χριστός, τὰ ἀδικτα ἀρχεῖα ὁ σταυρὸς αὐτοῦ“ (ad Phil. VIII, 2, ap. *Funck* Tubingae, 1881, I, p. 230, 231). *Scrinium* to zawierało nadto dokumenta, dotyczące najważniejszych spraw Kościoła i wzrastało ciągle za każdym pontyfikatem *propter potentiolem principalitatem*, wyrażając się słowami Ireneusza. Już sama rozmaitość nazw archiwum wskazuje na pierwotną jego zawartość; tak: dzieła doktorów i pisarzy kościelnych, świadectwa wyznania wiary lub jej *emendatio* jak np. Oryginesa do Fabiana i Dyonizego Aleksandryjskiego, do Papieża tego imienia; następnie listy biskupów *salutatoriae* i *commendatitiae* wydawane wiernym, również według *Blante'a* akta męczeńskie przez notaryuszy spisywane, na koniec kopie wszelkich pism papieskich, które później przybrały nazwę *regestów* (Cfr. de Rossi l. c. p. XXI) od słowa *regero*, *regestus* czyli *transcriptus*, stąd *regesti* (-orum). *Res multae in unum collectae et in tabulis et commentariis relatae quae vulgo corrupte registra dicunt* (*Forcellini*). Wszystko to jednak przepadło w płomieniach pożaru Dyoklecyanowego (303 r.) — ocalały tylko ułamki Enzebiuszowe wraz z martyrologium (Cfr. *Jaffé*, *Reg. Pont. Rom.*, n. 1517). Właściwy tedy początek dzisiejszego archiwum przypada pod koniec IV w., kiedy Papież Damazy (366—384) *juxta theatrum Pompei* (gdzie dzisiaj Kancelarya apost.) buduje bazylikę św. Wawrzyńca i podnosi zarazem z gruzów nowe *scrinium*, archiwum apostolskie na miejscu pierwotnego. Dowodem na to wspaniały napis tegoż papieża nad bramą bazyliki: *Archibis, fateor, volui nova condere tecta* (Cfr. de Rossi *Inscr. Christ.* II, p. 134, 135 i l. c. p. XLI). W drugiej tej epoce (od pokoju Konstantyna W. do Innocentego III) już częstsze znajdujemy wzmianki o archiwum, w którym składano teraz akta soborów, dekretały i regesta, a które po dawnemu nazywano powszechnie *chartarium* lub *scrinium*, *scrinia Sedis Apostolicae*, *venerabile scrinium*, *scrinium sanctum* (Cfr. *Lib. Pont. ed. Duchesne* I, 205). Z dziejów archiwum tego okresu wspomnieć należy o dwóch zmianach, jakie się dokonały w tej instytucji w w. VII. Dotychczas bowiem *Biblioteka* nie istniała jeszcze oddzielnie, lecz wraz z archiwum stanowiła jedno ciało, stąd też rozmaite owe nazwy archiwum: *Bibliotheca*, *Scrinium*, *Chartarium*, *Chartularium*, jedno i to samo oznaczają. Zostawało ono pod zarządem t. zw. *primicerii notariorum*, prawdopodobnie od czasów papieża

Juliusza I (337—352), który to urząd piastuje później (pierwszy raz za Sergiusza II 844—847) stale jeden z kardynałów z nazwą *Bibliothecarii S. R. E.*

Prawie równocześnie (data dokładna oznaczyć się nie da) zostaje przeniesionem archiwum do Lateranu, gdzie istniały już od czasów Papieża Hilarego (461—468) dwie specjalne biblioteki dla użytku uczonych. *Scrinium* to *Lateranense sacrum* nadzwyczaj było bogate, obfitowało nawet w podwójne i potrójne egzemplarze dzieł pojedynczych, które innym bibliotekom rozsyłało, otrzymując w zamian cenne niekiedy kodeksy. Przykładem sławny *Cod. Amiatinus* ofiarowany Kościołowi rzymskiemu przez Ceolfryda opata, nauczyciela Bedy, o którym de Rossi nader ciekawą pomieścił rozprawę w jubileuszowej publikacyi „Biblioteki wat. “. Za Grzegorza W. (590—604) *scrinium* papieskie było otwarte *ut... quae in scrinio sanctae ecclesiae nostrae retinentur... omnes hic inveniant, unde in his, quae emendata sunt, certiores fiant* (Cfr. Opera Greg. M. ed. Maur. Paris. 1705, I, p. 1434). A zatem Leon XIII odnawia tylko tradycje wielkich swoich poprzedników. Po Grzegorzu W., jak wiadomo, smutne następują czasy, wiek ogólnego upadku. To też i archiwum apol. ciężkie przechodzi próby. Daremnie buduje Jan VII (705—707) t. zw. *Episcopium*, pałac papieski po prawej ręce *Via sacra*, idąc z forum w stronę Kolosseum, u stóp Palatynu (*juxta Palladium*) i daremnie na miejsce to przy łuku Tytusa przenosi archiwum lub przynajmniej część jego najważniejszą, bo ta *Turris chartularia* — chociaż przez biografa pap. Gelarego *locus tutissimus Curiae* nazwana — nie była wcale bezpieczną wśród ciągłych a srogich zaburzeń w w. XI i XII. Tutaj pod opieką Frangipanich przechowywać się miały regesta Aleksandra III i innych współczesnych papieży (Cfr. de Rossi l. c. p. XCVIII). Dalsze losy archiwum skreśla nasz autor, dokąd odsyłamy ciekawego czytelnika. Na tejże stronnicy (piątej w *Sprawozdaniu*) powiada p. A.: „Jak nowsze badania Rossi’ego wykazały, pierwotne archiwum papieskie nie znajdowało się, jak dotąd mylnie sądzono, w Lateranie lecz u stóp Palatynu w papieskiem *palatium*“ ; jak rozumieć to zdanie należy, dostatecznie objaśniliśmy.

2) Niemniej mozolną a sumienną lecz wdzięczniejszą i w rezultacie poszukiwań bogatszą była praca p. Dembińskiego, już nie

tylko na samem archiwum wat. ograniczona, ale obejmująca prawie wszystkie dostępne rzymskie biblioteki. Wdzięczniejszą, bo strumień materyału dziejowego dopiero z połową XVI w. obficie płynąć poczyną. To też, jeżeli Polska średnich wieków nie ma jeszcze specjalnych działów swoich aktów, to teraz zwłaszcza od r. 1564, tj. za przybyciem *Commendoniego* na dwór Zygmunta Augusta i ustanowieniem stałej nuncyatury, posiada już dział swój osobny: nuncyaturę. Lecz i inne działy tych czasów wielkie bogactwo źródeł przedstawiają; był to bowiem wiek t. zw. reformacyi, kiedy z natury rzeczy stosunki Kuryi z Polską stać się musiały częstszymi i ściślejszymi. Z drugiej zaś strony nie przechodziły dokumenta tylu smutnych kolei, jak poprzednio, np. licznych podróży i przenosin w okresie awiniońskim, ani też nie uległy strasznym pożarom — ostatnie bowiem, najdotkliwsze może, *Sacco di Roma* przypada na r. 1527.

Właściwe sprawozdanie poprzedza autor krótkim przeglądem i oceną nielicznych i niedostatecznych wskazówek o materyałach odnoszących się wyłącznie do historii Polski w archiwach wat. Należą tu: *Index* nuncyusza Garampiego, czyli inwentarz rzeczy polskich, zwłaszcza kościelnych ułożonych alfabetycznie — cenna jego *Synopsis* legatów i nuncyuszów w Polsce zaginęła — *signature* Theinera w Monumentach, które jednak, gdzie nie dotyczą regestów, regularnie, jakby z zasady są mylne, wreszcie *Odczet* Wierzbowskiego, bynajmniej nie zadawalniający. Ot to wszystko. Jakąż tedy autor poszedł drogą? Stawił sobie dwa pytania: 1) jakie posyłano akta z Kuryi, 2) jakie odbierano w Rzymie i jak je tu zachowano. Pomija pierwsze: bulle i brewia a raczej ich regesta i minuty; do regestów bul bowiem wystarcza najzupełniej *Manuductio* O. Grzegorza Palmieriego, kustosa archiwum, brewe zaś dla ogromu i trudności pracy wymagają za przykładem niemieckich i austriackich uczonych osobnego studium. Początek już dany przez prof. Smolkę, który badał bliżej dział ten brewiów z lat 1480—1590. Drugie: akta i listy przysłane do Rzymu na trzy dzielą się części: a) *Litterae Principum* (str. 8—14), przez pierwszą wyprawę wyzyskane; b) *Litterae Episcoporum* i c) *diversorum* nietknięte jeszcze (str. 14—15). Po aktach soboru trydenckiego (16—20) następuje dział najważniejszy: *Nunziatura di Po-*

lonia (21—37). O jego bogactwie i znaczeniu tak mówi autor: „Listy nuncyuszów stanowią dla dziejów nieocenioną skarbnicę. Jest ich razem z regestami listów do nuncyuszów mniej więcej około 100 woluminów, które odnoszą się do nuncyatury, a między nimi przeszło 80 tomów samych oryginalnych listów nuncyuszów do Rzymu. Oryginały listów królów, biskupów i dygnitarzy świeckich można liczyć na tysiące“. To też obfity ten a niewyczerpany materiał źródłowy głównym był celem dotychczasowych poszukiwań zrazu p. Wierzbowskiego (Vincent *Laureo* évêque de Mondovi, nonce apostolique en Pologne 1574—1578. Warszawa 1887), następnie dwukrotnej wyprawy naukowej w latach 1886/7 i 1887/8. Pierwsza przypadająca w 300 letnią rocznicę śmierci Stefana Batorego zajęła się przedewszystkiem zbadaniem epoki jego panowania, do której najlepsze źródła w tem archiwum zawarte. Przepisano więc depesze i relacye nuncyuszów *Caligarego i Bolognetta* z lat 1578—84 wraz z ich obszerną korespondencją z najwybitniejszymi osobistościami w Polsce. Podczas drugiej dr. Korzeniewski prowadził dalej rozpoczęte poprzedniej zimy prace. Prócz doniosłej korespondencji Possewina, Bolognetta i Hieronima Bovio, nuncyuszów w Polsce za Stefana (1581—86), odpisał jeszcze znaczną część koresp. Hozyusza, Commendonego, Winc. dal Portico i Laurea, oraz wiele innych ważnych dokumentów z tych czasów. Tak więc w krótkim przeciągu czasu dokonano wiele, lecz nierównie więcej a wdzięcznej pracy pozostaje dla następnych wypraw, które, daj Boże, aby stale przybywały do Rzymu w interesie nauki, Kościoła i społeczeństwa naszego. Jakie skarby tu nieprzebrane do dziejów wieku złotego, dowodem sprawozdanie niniejsze. Przeznaczone dla szczupłego grona historyków, zwraca się ono zarazem do ogółu: wskazując pierwszym źródła do poznania własnej historii w najświetniejszej jej epoce, zachęcając drugich do ofiarności na ekspedycję; w czem piękną i budującą rzeczą byłoby, aby zachętę i przykład dało duchowieństwo, bo choć podobnego ciężaru, jak kler węgierski wydawnictwa pomnikowego *Monumenta Ungariae Vaticana* na własnych barkach udźwignąć nie zdoła, przecież mogłoby może skromnym datkiem tej wspólnej narodu potrzebie nie mało dopomódz.

Część druga sprawozdania (str. 39—66) jest uzupełnieniem materyałów watykańskich, bibliotek książęcych tych rodów, które w dziejach Kościoła wybitne zajmowały stanowisko: *Borghese* (Pawel V, 1605—21), *Barberini* (Urban VIII, 1623—44) i *Chigi* (Aleksander VII, 1655—67); następnie z innych archiwów papieskich: a) Propagandy ważne dla spraw ruskich, b) Konsystorskiego, c) Roty; wreszcie z archiwum państwowego i bibliotek rządowych, nie pominęta też biblioteka watykańska. Praca w nich znacznie ułatwiona, bo prawie wszystkie posiadają katalogi, na które się autor słusznie powołuje. Zamyka się dzieło poglądem na całość, przedstawieniem źródeł cenniejszych w chronologicznym porządku i zaznaczeniem zarazem, o ile niektóre ważniejsze momenta historii polskiej w drugiej połowie XVI w. i na początku XVII w. trzeba będzie na podstawie nowych materyałów daleko dokładniej zbadać i w należytem przedstawić świetle. Nie wspominamy o nieodłącznych od tego rodzaju poszukiwań usterkach np. pominięcie I t. A nuncyatury, która zresztą najdokładniej skonsygnowana, bo sprawozdanie to spełnia wybornie zadanie swe informacyjne i wiernym pozostaje towarzyszem a częściej jeszcze przewodnikiem niezawodnym w owej niezgłębionej, z lekka dopiero przez nas poruszanej kopalni archiwów i bibliotek rzymskich.

Ks. J. F.

Collegium nobilium Stanisława Konarskiego. Przez Flor. Łagowskiego.
Warszawa 1888. Str. 114.

Ważną jest rzeczą dla autora, jeżeli ukochać może opisywanych przez siebie bohaterów, czyny ich i dzieła; jednego tylko w tym razie chronić się musi niebezpieczeństwa, aby miłość ta nie podyktowała mu raczej panegiryku, niż historii, nie popełnęła go do niesprawiedliwości czy w naganach, czy w pochwałach. Niebezpieczeństwa tego p. Ł. ominąć nie umiał, i w tem główna wada obrazu przezeń skreślonego. Dla podwyższenia zasług swego bohatera przedstawia on nam stan oświaty w Polsce przed Konarskim w czarnych i o wiele za czarnych barwach; zasługom Konarskiego, ułożonemu przezeń planowi nauk i wychowania oddaje hołd bezwzględny; chwali i podnosi to nawet, co możnaby może wytłumaczyć ówczesnymi stosunkami, wzorem z Francji zaczerpniętym, skrajną reakcją przeciw dawnym niedostatkom, ale co, rzeczy bezstronnie sądząc, wcale na pochwały nie zasługuje. Tak np., aby parę szczegółów wymienić, trudno się nie żdziwić, czytając jakich to autorów, wcale nie najgłówniejszych i nie najlepszych, polecano w *Collegium nobilium* do studyów teologicznych, trudno pochwalić nadzwyczajne ustępstwa, tak nadzwyczajne, że sam nawet autor lekkie zastrzeżenie w tym względzie uczynił —

dla francuszczyzny, francuskich autorów, francuskiego ducha. W ustawach Konarskiego znajdujemy wiele dobrych, chrześcijańskich przepisów, które dziś radziłyśmy do szkół naszych wprowadzić; ależ te właśnie przepisy nie były i być nie mogły, nawet w myśli swego twórcy, czemś nowem, we wszystkich innych ówczesnych szkołach nie znanem i nie praktykowanem. Nie mało światła rzuca na ówczesne szkolne stosunki przytoczony dokładnie przez autora rozkład nauk, porządek dni powszednich i świątecznych, spis używanych w szkole podręczników. Nie rozumiemy tylko zupełnie, jak można zarzucić gramatykom z przeszłego stolecia, iż były daleko bardziej „obszerne, drobiazgowe, zawile“ niż dzisiejsze; kto widział choć raz w życiu dajmy na to okrzyczanego *Alvara*, ten wie, jak jest krótkim, łatwym i prostym w porównaniu do dzisiejszych przez Niemców, wedle niemieckiej filologicznej metody opracowanych gramatyk.

Dewajtis. Przez *Maryę Rodziewiczównę*. Warszawa 1889.

Z dalekich kresów otrzymujemy książkę owianą miłością ziemi rodzinnej a rodzonej, urobioną „z klęsk, strat, i ciągłej walki“. Placówka to wiecznie zagrożona, a stąd rolnictwo dziś rycerstwem prawdziwem, pług orężem w rękę dzielniejszych. Nie wszyscy niestety znajdują się na wysokości świętego posłannictwa, nie każdy rozumie misję obrony tej części ojczyzny, która się ojcowiskim nazywa zagonem. Bohater opowiadania, którego tytuł wypisujemy powyżej, odzywa się na jednym miejscu: „Każdy naród ma myśl swoją i urząd w porządku świata. My od wieków dwóch rzeczy strzeżemy: Boga swego i ziemi! I ustrzeżliśmy“! Świadcstwo to oddane świętej Żmudzi słusznie jej się należy, nie wszędzie jednak dałoby się w równe zastósować miarę. Ale bo ziemię ustrzedz i obronić, to nie dziecinna zabawka, lecz trud trudów, ogarniający życie, całą duszę człowieka.

Marek Czerwan, bohater powieści uwieńczonej na zeszlórocznym konkursie *Kuryera Warszawskiego*, otrzymuje od umierającego ojca najmniejszy dział spadkowy, aczkolwiek od lat dziesięciu czynnie starca wyrecał w chodzeniu około roli. Ale jakkolwiek drobną otrzymuje schedę, on jeden z rodzeństwa ziemię kocha jak należy, i stale w jej służbie pozostaje. To też, gdy tamci marnieją sami i marnują swą ojcowiznę, on jeden powoli odkupuje wszystkie działy i skupia je w swej pracowitej dłoni. A jednocześnie ojciec ciężką mu powierza odpowiedzialność, dobrowolny zarząd majątności przyjaciół i sąsiadów, Orwidów, zagnanych hen daleko krajowemi nieszczęściami. Jeśli wrócą, jeśli się znajdzie dziedzic ich wioski, niechże zostanie wszystko w porządku i ładzie, i odbierze rachunki z dobrego włodarstwa. Wyglądany daremnie i długo spadkobierca pojawia się nareszcie, jest to dziewczyna, wychowana w Ameryce, i przypadkowo uwiadomiona o czekającym ją w rodzinnym kraju dziedzictwie. Ma się rozumieć, Marek Czerwan zaczyna kochać się w Irence Orwidównie, i po przydłuższej walce dumy z miłością, on niepokonany w walkach życia bohater, zwyciężonym zostaje.

Oto romansowa osnowa powieści, której wartość polega daleko bardziej na niezłomnem uczuciu wierności zaprzysiężonej ziemi rodzinnej, aniżeli na czemkolwiek innem. Świętość ziemi i świętość pracy, dwa to przewodnie tętna tego niepospolitego utworu, gotowego zbudzić w duszach szlachetne zobowiązania, pobudzić do ich złożenia. Opowiadanie nie wiedzie nas między ludzi,

nie wyprowadza na rynki miejskie, zacieśnia się w kilkomilowej przestrzeni nad Dubissą, prowadząc z ojcowskiego dworu w Skomontach do macierzystego zaścianku w Sandwilach, stamtąd do Orwidowego, pańskiego Poświęcia, a najczęściej na Dewajcie, świętą dąbrowę, nad którą góruje olbrzym *Dewajtis*, dąb gaduła, świadczący dawnym wiekom i bojom. Z jego to szumu i tajemniczej mowy zaczerpnął Marek Czertwan świadomość wysokości swego rolniczego powołania; tu niegdyś w obronie kraju i świątyni starożytni legli rycerze, stąd też ich spadkobiercy wynoszą iskrę zagrzewającą do dzielnych czynów. Wśród tylu rysów swojskich i opisów znajomych, fałszywą brzmi nutą nieprzeparta żądza wiedzy w cichej siostrze Czertwana, która ostatecznie wymyka się z rodzicielskiego domu, aby zostać studentką medycyny w Paryżu. Obce to nam prądy, szkoda by naszych kobiet i naszych ognisk, gdyby się przyjać i upowszechnić miały. To też w ściśle rodzinnych ramach *Dewajtisa*, nie mile razi ten okolicznościowy epizod. Zresztą charakterzy wybornie pochwycone, a jest ich cały poczet, oryginalny i różnorodny, nad którym góruje, podobnie jak dąb zaklęty, tytaniczna postać Marka Czertwana, silnego sumieniem i duchem a tkliwego sercem, pracowitego i wicherzącego, jak przystało plemieniu Jagielly. Przyznana Litwinom i Żmudzinom dzielność, promienieje tu najpiękniejszym światłem, zatwierdza się najwymowniejszym przykładem.

Dlatego książka ta, prócz literackiej, ma pewną hartowną wartość, udzielającą się czytelnikowi, i stąd życzyć tylko można — aby ją ogólnie u nas poznano i oceniono. W zawodzie rolniczym dziś więcej niż kiedykolwiek mnożą się zawody i zniechęcenia. Coraz więcej rozczarowanych usiłuje innego chwycić się rzemiosła, odbiegając ziemi, zaniedbując jej straży. A jednak trudno przekształcić rolnicze plemię w naród kupiecki, trudno kmieci na handlarzy przemienić, odstąpienie zaś właściwego powołania zwykło niepowetowane za sobą pociągać straty i niepowodzenia. Po dawnemu trzeba nam strzedz „Boga swego i ziemi“, a wszystkim tym, którzy nam tę podwójną przypominają powinność, wdzięczność prawdziwa się należy, zwłaszcza gdy talent potęguje moc głoszonej z rzadkim wdziękiem i siłą prawdy.

M.

Ostatnia starościna Zwinogródzka. Zarys dziejów kresowego miasteczka. Przez Jana Iglowskiego. Kraków 1889. Str. 48.

Niedługa ta, ale starannie, z pewną widoczną miłością dla „kresowego miasteczka“ i jego mieszkańców spisana „notatka“, oparta na dokumentach, przechowywanych w archiwum zwinogródzkiego kościoła. W pierwszej części kreśli autor dzieje miasta Zwinogródki i starostwa Zwinogródzkiego; w drugiej stara się odtworzyć postać ostatniej starościny zwinogródzkiej: Salomei z Brzozowskiej Sołtykowej, która po śmierci męża, zamieszkawszy w dalekiem tem ustroniu, pochowawszy w niem młodą a piękną jedynaczkę, Joannę, poświęciła cały swój czas i majątek na dobroczynne i pobożne cele. Jej staraniem i za jej pieniądze stała w Zwinogrodce po dziś dzień istniejący kościół, koło którego zamysłała nawet postawić olbrzymi gmach i przenieść do niego seminarjum z Żytomierza. Myśl to była niepraktyczna, nie dziw, że się urzeczywistnić nie dała; natomiast starościna złożyła 100.000 złotych polskich na utrzymanie pięciu kleryków w seminarjum żytomierskiem dla archidyakonatu kijowskiego,

i uposażyła Siostry Miłosierdzia w Żytomierzu. Dobre te, rozumnie obmyślane uczynki tem większej nabierają wartości, że sama starościna pędziła życie już nie pańskie, ale niemal ubogie, w domku, który wprawdzie zwał się „palacem“, ale składał się z kilku małych pokoików, z chrustu i gliny ulepionych.

Miłą tę, starannie i ciepło napisaną a wykwintnie wydaną broszurkę zdobią sztychy, przedstawiające samą starościnę, jej córkę Joannę, zbudowany przez starościnę kościół i gmach przeznaczony na seminarjum, wreszcie dawny i nowy herb Zwinogrodki.

Z.

Dzieje narodu polskiego w krótkości i przystępnie streszczone dla dzieci ludu polskiego. Przez Wielkopolankę (Wandę z Szymańskich Reichsteinową). Poznań 1889. Str. 123.

Krótki ten podręcznik historii polskiej bardzo dziś w porę przychodzi, i z prawdziwą radością zjawienie się jego zapowiadamy. Pisany on — jak chciała Autorka — „treściwie, jasno, a nie rozwlekle“; pisany, co jeszcze może ważniejsza, z serdeczną miłością dla kraju i ludu naszego, nie w innym celu, jak w tym tylko, aby „dzieci polskie poznały historię swojego kraju“. I my łączymy się z pragnieniem, „aby książeczka ta znalazła przystęp do każdego domu polskiego“; łączymy się tem chętniej, że część dochodu ze sprzedaży „Dziejów“ przeznaczoną jest na „Czytelnie ludowe w Poznańskim, a wspierać te „Czytelnie“, — nawiasem mówiąc, nie mogące nastarczyć żądaniom czytelników, ale zbyt mało mające funduszu na kupowanie książek — jest, śmiało powiedzieć można obowiązkiem każdego Polaka.

Skalka z Kościołem ŚŚ. Michała i Stanisława w Krakowie, źródłowo opracował Ludwik Zarewicz, członek kom. hist. Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków 1889. Str. 84.

Kto z najodleglejszych nawet kresów ojczyzny naszej przybędzie do Krakowa, ten przedewszystkiem pyta się i zwiedza te dawne historyczne świątynie, które tak ściśle z dziejami Polski spleły się, są prawdziwą arką przymierza, w której kryją się pamiątki lepszej przeszłości, złożony zadatek lepszej, da Bóg, przyszłości. Katedra Wawelska, kościół Panny Maryi, Skalka ze swemi pomnikami i pamiątkami, to niby księgi otwarte, uczące jak kochać wiarę i kraj swój rodzinny, jak świetną mieliśmy historię, i do czego historia ta nas obowiązuje. Świątynie te tak wielkiego dla nas znaczenia, będące własnością i chlubą całego kraju, pochyliły się z biegiem lat do upadku; utraciły w niejednym względzie pierwotną swą cechę; należało więc i prawdziwem było obowiązkiem od upadku je zabezpieczyć, a w granicach możliwości dawną świetność im wrócić. Poczucie tego obowiązku doprowadziło do myśli — która w czyn się już zamienia — restauracyi Katedry i Panny Maryi; to samo szlachetne poczucie natchnęło OO. Paulinów, odwiecznych stróżów Skalki, zamiarem odnowienia Skalecznego kościoła. Czem dla nas ten kościół, jaką rolę w historii naszej zajmował, jakie losy przechodził, jaki dzisiaj jego stan i potrzeby? na pytania te równie umiejętnie jak interesująco odpowiada p. Zarewicz w pięknej rozprawie, która umieszczona pierwotnie w *Kalendarzu krakowskim* „Czecha“, wyszła następnie w osobnej czterema starannie wykonanemi

illustracyami ozdobionej odbitce, pod tytułem w nagłówku podanym. Kto Skalki nie zna, a bardziej może jeszcze, kto zna ją tylko powierzchownie, ten powinien rozprawić tę przeczytać, a przykłaśnie z pewnością zamiarowi restauracji tego drogiego nam z tylu względów kościoła, i całem sercem podpisze słowa, któremi czcigodny Autor pracę swą zamyka. Powtarzamy je tu, aby słowom tym i zawartej w nich odezwie i prośbie nadać jak najszerzy rozgłos: „*Biedny ludu, szanuj pamiętki po-ojcowskie, bo to twoja arka narodowości, — wołał niegdyś głośny O. Marek, Karmelita bosy. I te jego słowa przychodzą nam na myśl, dowiadując się, że pamiętkowa świątynia Skaleczna na gwałt wymaga odnowienia i częściowej restauracji. Aby dalszemu niszczeniu skutecznie zapobiedz, obecny O. Przeor, wielce szanowny Ks. Ambroży Federowicz, mimo nader szczupłych i ograniczonych konwentu funduszy, z silną w Bogu nadzieją powziął myśl chwalebna, z nadchodzącą wiosną przystąpić do odnowienia tego domu Bożego. Nie wątpimy ani na chwilę, że troskliwe o zachowanie religijno-narodowych pamiątek umysły i szersze koła wykształconej publiczności, nie ustępując przodkom swym w gorliwości i nabożeństwie do św. Stanisława, patrona Królestwa Polskiego, nie omieszkają goręcej zainteresować się losem Skalecznej świątyni, i że odezwa o pomoc szanownego O. Przeora nie będzie głosem wołającego na puszczy. Niech więc Opatrzność błogosławi rozpoczęciu tak zbożnego dzieła, a ludzie dobrej woli niechaj wspierają jego wykonanie!*”

Ks. J. Badeni.

Obrazy cudowne w dawnym powiecie łowickim — (Łowicz, Domaniewice, Miedniewice). Warszawa. W drukarni Stan. Niemiery 1888. Str. 210.

Z krótkiej przedmowy, a raczej suchego wyliczenia dzieł, z których autor czerpał wiadomości do napisania niniejszej książeczki, dowiadujemy się, że wyszła ona z pod pióra R. Czykowskiego b. księgarza w Łowiczu, którego staraniem i nakładem wyszło niejedno pobożne dziełko jak np.: *Pomoc cierpiącym: Nabożeństwo żałobne za dusze zmarłych*, przez W. Tar. *Przechadzka po Łowiczu*, przez *Księgarza z prowincyi* i t. d. We wszystkich tych dziełkach starał się p. Czykowski zastósować do *motta*, które na początku wymienionej w nagłówku książeczki położył:

Śłużmy pocziwiej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże;

— drukując w Łowiczu zadowalniać się musiał lichymi czcionkami i papierem, przeniósłszy się do Warszawy w daleko przyzwoitszą zewnętrzną szatę ubrał swą pracę, a co ważniejsza, do pokaźniejszej zewnętrznej szaty i wewnętrzna treść odpowiednio się dostosowała. Wiadomości o cudami słynących obrazach w Łowiczu, Miedniewicach i Domaniewiczach zebrane są starannie, a dla przyszłego historyka cudownych miejsc w naszym kraju podają niejedną cenną, przez samego autora odszukaną, lub sprawdzoną wskazówkę. Wiadomości te zajmują 136 stronnic; na następnych kartkach znajdujemy niezapowiedziane w tytule: Nabożeństwo podczas Mszy św.; modlitwy przed i po spowiedzi i Komunii św., naukę o pielgrzymach, i różne krótsze i dłuższe pieśni i mo-

dlitwy. Całość obrachowaną jest widocznie na pobożnych pielgrzymów, zwiedzających podane w tytule święte miejscowości.

Spowiednik dzieci i młodzieży. Przez *Le R. P. L. J. M. Cross*. Przełożył na język polski *Ks. M. Nowakowski*. Częstochowa 1888. 12-o str. 358. Nakład i własność tłumacza. Cena kop. 75.

W *Przeglądzie Katolickim* nr. 38 była już wprawdzie ocena tego dziełka, lecz recenzent przez jakieś dziwne powiązanie wyobrażeń sądził, że to jest książka dla „młodych“ spowiedników, gdy tymczasem „Spowiednik dzieci i młodzieży“, jak brzmi tytuł, raczej starszych księży niż młodszych ma na celu, co zresztą i z całego toku rzeczy jest widoczne. W skutek innego znów *qui pro quo*, mianowicie, że cytaty, jakie autor przywodzi, uważane są niekiedy za słowa jego samego — recenzja tak dalece chybiła celu, że redakcja *Przeglądu Katolickiego* uznała za stosowne w nrze 45 bardzo ją złagodzić i prawie odwołać. Wiadomo wszystkim, którym nie obcy jest ruch umysłowy na polu literatury religijnej, jaką ks. Cross ma powagę w pedagogice katolickiej, i dlatego nie należy jego pracy tak lekko traktować, jak to w całej tej recenzji jest widoczne. Prawda, iż w kraju, gdzie jest wielki brak księży, o częstej Komunii nie chętnie się mówi, bo i tak konfesjonały obleżone, a niema komu słuchać; nie idzie jednak za tem, aby i prawdziwego, zdrowego poglądu na nią unikać. A taki właśnie pogląd doskonale można sobie wyrobić ze „Spowiednika dla dzieci i młodzieży“.

Jak do wyświeślenia dogmatów wiary wielce się przyczynia badanie przeciwnych im herezji, tak też i do zrozumienia i przejęcia się prawdziwym duchem Kościoła pod względem jakiejś pobożnej praktyki, niezbędna jest rzeczą poznać naukę temuż duchowi przeciwną. Tej właśnie zasady trzymał się ks. Cross w swoim dziełku; zestawia bowiem wszędzie pojęcia czysto-katolickie z jansenistowskimi. Za pomocą takiej metody otrzymał zarazem tę znakomitą korzyść, że książka jego jest zajmująca.

Jak ciekawą jest zaraz w pierwszym rozdziale krótka historia jansenizmu, ileż to można z niej wynieść poznania ducha Kościoła i zamiłowania tegoż. Dalej przedstawia autor dwa trybunały pokuty: jansenistowski, ponury, z prawdziwymi torturami sumienia — i katolicki, łagodny, którego opis kończy temi pięknemi słowy św. Ligorego: „Kapłan w konfesjonałe powinien mieć łagodność Serca Jezusowego... a dla dzieci powinien zachować jeszcze słodsze skarby łagodności“. W ten sam podwójny sposób mówi się w następnych rozdziałach o wyborze spowiednika, o oskarżaniu się z grzechów, o pokucie i rozgrzeszeniu, o Komunii pierwszej i tygodniowej, i o usposobieniu do niej. Dalej, jakież to zajmujące owe listy przełożonych zakładów naukowych i samych wychowawców, o częstej Komunii! Widać z nich jak na dłoni jak błogie skutki ona może wydawać, jeśli tylko spowiednik umie do niej zachęcić i roztropnie pokierować. Po listach następuje rozwiązanie trudności stawianych tak przez jansenistów i rygorystów jakoteż przez same dzieci. I na tem kończy się właściwie szesnaście rozdziałów „Spowiednika“. To, co jeszcze następuje, jakoto: „Przeciwnicy częstej Komunii“, „Uwagi O. Moliny o częstej Komunii“, „Komunia wynagradzająca“ i „Zakończenie“ — dobre jest co do treści, ale brak jednolitej formy.

Taka jest treść „Spowiednika“. Co do kwestyi czy spolszczenie jego było na czasie lub nie? — rozwiązujemy ją twierdząco. Nie trzeba się ludzi, że jansenizm nie miał do nas nigdy przystępu. A najprzód józefinizm, który co do nauki dogmatycznej i moralności był tylko inną postacią jansenizmu, niedość że tu w Galicyi niedawno jeszcze grasował, ale aż do Wilna sięgał. Powtóre mamy jeszcze teraz swój rodzimy jansenizm, nie co do nazwy wprowadzie, ale co do rzeczy. A jest nim ta szczególna i dowolna surowość, z nieroztropnej gorliwości pochodząca, z którą tak często można się w konfesjonale spotkać. Bo czyż nie jest to czysto jansenistowski duch chceć penitenta odstraszyć od grzechów wielkimi pokutami? W rzeczywistości odstrasza się go tylko od spowiedzi.

Często zdaje się wprowadzie, że autor, chcąc uniknąć nawet cienia rygoryzmu, za daleko posuwa łagodność co do grzechu powszedniego, chociaż zawsze na najlepszych powagach oparty — ale uważny czytelnik łatwo dostrzeże, iż w tych miejscach chce on wykazać prawdziwą teorię, czyli część dogmatyczną nauki Kościoła o grzechu powszednim odnośnie do Komunii św. Tym sposobem daje się spowiednikowi, z jednej strony wielką pewność siebie, a z drugiej szerokie pole dla jego ojcowskiej roztropności w pozwalaniu, zalecaniu lub zabranianiu swoim penitentom częstej Komunii.

Co do samego przekładu, ten w ogólności mówiąc, jest dobry. Trzeba jednak przyznać, że wiele znajduje się w nim zwrotów, których szanowny tłumacz nigdyby nie był użył pisząc oryginalnie, a nie pod wpływem francuszczyzny.

Tak więc mamy przyswojoną literaturze naszej teologicznej nową pożyteczną książkę, którą nie tylko kapłani, ale i świeccy, posiwiali w pracy pedagogicznej mężowie, z wielkim pożytkiem mogą przeczytać. „Przewrócenia w głowie nauczycielom i nauczycielkom, jak się wyraża recenzent *Przeegl. Kat.* z czytania tego przekładu, nie ma się co obawiać. Zdrowa nauka Kościoła nikomu jeszcze w głowie nie przewróciła. Owszem niech pedagogowie czytają „Spowiednika“; skąd bowiem inąd mają się dowiedzieć jak nieocenionym czynnikiem i dźwignią w wychowaniu młodzieży jest roztropnie urządzona częsta Komunia św.?

Apostoł Warszawy czyli Żywot Bł. Klemensa Maryi Hofbauera, Wikarego generalnego zgromadzenia Redemptorystów. Napisał Ks. Bernard Lubiński, członek tegoż Zgromadzenia. W Mościskach. 1889. Str. 257.

Znaną już jest czytelnikom *Przeglądu* z drukowanych w roku zeszłym artykułów: „OO. Redemptoryści w Polsce“, wspaniała a tak pociągająca postać Apostoła Warszawy, świeżo na ołtarze wyniesionego *Klem. Maryi Hofbauera*, a właściwiej mówiąc *Dworzaka*. Ale w artykułach tych musiał autor rad nie rad ograniczyć się na rzuceniu kilku rysów, nie odtwarzających dostatecznie budującego obrazu życia i cnót nowego tego naszego patrona; obraz taki daje nam obecnie jeden z zakonnych współbraci błogosławionego, obraz piękny, w szczegółach wykoniony, miły i pożyteczny, dla dusz pobożnych, a i dla historyka porozbiorowej Polski ważny i pouczający. Autor osnuł w pewnej części swą pracę na tle obszernego, po niemiecku i po wło-

sku wydanego dzieła *O. Haringera*; całą wszakże działalność Bł. Hofbauera w Polsce i stosunki łączące go do końca życia z Polską i Polakami nakreślił zupełnie oryginalnie, opierając się na rękopiśmiennych źródłach, rodzinnej tradycji, z wielkim mozołem po różnych polskich pamiętnikach i rozprawach, wyszukanych i misternie w jedno splecionych szczegółach. Przyszli zagraniczni biografowie Błogosławionego będą musieli — jeśli na dokładności będzie im zależeć — wcielić do swego opowiadania niejedną kartkę z pięknej tej polskiej pracy; czy nie dobrze by było dla ułatwienia im tego zadania, dla rozszerzenia czci Bł. Hofbauera i hojniejszego jeszcze spłacenia długu wdzięczności, który Polska względem niego zaciągnęła, postarać się o przekład książki ks. Lubieńskiego na język niemiecki, a raczej może jeszcze francuski? A jeśli już nie cały ten żywot, to w każdym razie całą część odnoszącą się do Polski, na oryginalnych źródłach opracowaną, należałoby koniecznie podać do wiadomości licznych, po świecie całym rozproszonych czcicieli Bł. Apostoła Warszawy.

Dziś już osiedleni w Mościskach współbracia Błogosławionego idąc jego śladami pracują wedle sił dla polskiej ziemi, a z owoców znać, że modlitwy świętego patrona wiernie im towarzyszą. Daj Boże! aby jak najprędzej apostołować mogli nie tylko w tym samym kraju, ale i w tem samem mieście; aby jak najprędzej spełniły się słowa, które wyrzekł Leon XIII, błogosławiąc krzyż misyjny jednemu z polskich Redemptorystów: *Benedico hanc crucem pro missionibus in regno Poloniae*, jak spełniają się już wyrzeczone poprzednio, a odnoszące się do pracy podjętej w Galicyi słowa tegoż Papieża: *Corragio, reuscirà!* — Nowym dowodem spełnienia tych słów ostatnich, nowym zadatkiem spełnienia w przyszłości poprzednich, to piękny ten, cnót, nabożeństwa, ufności w Bogu, „z bliskiego a domowego przykładu“ uczący nas zyciorys.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

O pomocy dla ludności wiejskiej w 19 wieku (De l'assistance des classes rurales au 19 siècle) p. *Leon Lallemand*. Paris. A. Picard 1889 — 8-o 162.

Stuletnia rocznica W. Rewolucyi, którą Francya gotuje się obchodzić tak głośno w r. b., podaje poważnym myślicielom sposobność do obrachunku, o ile jej zdobycze wpłynęły na uszczęśliwienie społeczeństwa. Wśród prac w tym kierunku, wymieniona w nagłówku książka p. Lallemand, stanowi nielada dokument do rubryki pasywów, — tem cenniejszy, iż wychodzi z pod pióra szczerego wyznawcy zasad demokratycznych.

Wolność indywidualna zdobyta tyloma przewrotami i wysiłkami w okresie tym coraz więcej utracą z istotnych zasadniczych swych atrybucyj — pomimo głoszonych wielkich frazesów, a często w imię właśnie popularnych liberalnych hasel. Upadek ducha moralności i religijności osłabił stopniowo pokolenia, pozbawił je hartu niezbędnego do dźwigania odpowiedzialności indywidualnej, jaką indywidualna wolność konsekwentnie za sobą wiedzie. Społeczeństwo też coraz skłonniejsze do wyczekiwania coraz więcej i coraz bierniej — do szukania oparcia i ratunku nie w inicjatywie indywidualnej i nie w stowarzyszeniach, co zdawały się powołaniami do jej spotęgowania, ale wprost z góry — od państwa. Bożyszcze to nowożytnie z każdym dniem niemal zagarnia w sferę swej kompetencji, a nieraz monopolu dziedziny działalności indywidualnej. Społeczeństwo powolnym ale ciąglem krokiem zdąża do państwowego socjalizmu, którego logiczną konsekwencją — despotyzm państwowy ze wszystkimi jego skutkami.

Przeciwdziałać temu kierunkowi europejskiego, a zwłaszcza francuskiego prawodawstwa, przekraczającego elementarne granice atrybucyj państwa także i we względzie niesienia pomocy biednym, to główne założenie autora. Uzbrojony bogatym materiałem wieloletnich własnych studyów, posilkuje się też najświeższymi pracami polityków, ekonomistów i statystyków swego kraju, a oraz i statystyką urzędową, by przedstawić smutny stan społeczeństwa i błędy zasadnicze prawodawstwa, powodującego się coraz bardziej sekciarską namiętnością. P. Lallemand ostrzega przed rozkładowo działającą protekcyjną państwową i rozwiązać się stara na szerszych podstawach kwestję usunięcia ubóstwa, polecając nie już tylko bezpośrednią pomoc niedoli, ale przedewszystkiem skombinowaną zapobiegawczą działalność. Tylko bowiem ona, groźniejszy od chwilowej nędzy — pauperyzm jako stan stały odwrócić potrafi.

Praca p. Lallemand w formie memoriału nagrodzona świeżo na konkursie przez Akademię nauk moralnych i politycznych jest ułamkiem obszerniejszego niewydanego jeszcze dzieła tegoż autora p. t. „Historia dobroczynności w różnych epokach cywilizacji”. Przejrzymy ją pokrótce nie trzymając się porządku rozdziałów dla

ułatwienia zapoznania się czytelnikom z poglądami i wnioskami autora.

Stan ludności wiejskiej we Francyi w najogólniejszych tylko zarysach przedstawia autor na podstawie tak własnych studyów, jak ankiet rządowych z lat ostatnich i wygotowujących się dla akademii raportów p. Baudrillart.

Po wielkich wojnach z początków bieżącego wieku i pamiętnym głodzie 1816 r. nastąpiła epoka pomyślniejsza od „restauracyi“ do końca panowania Ludwika Filipa. Ulepszone komunikacye — powstanie wielkich centrów konsumcyjnych na produkty rolne — przybytek znaczny ziemi w ręku pracujących, a ponad to wszystko najdodatniejszy objaw postępu — podniesienie się pracowitości włościanina, oto charakterystyka tego czasu. Potrzeby chłopa: pożywienie, odzienie, mieszkanie przeistoczyły się powszechnie niemal. Wartość i rentowność ziemi w lat 40 więcej niż zdwoiły się. Kwitnący stan ten rolnictwa przetrwał z chwilowemi przerwami, a ciężkie klęski 1870—1 r. i niepamiętnie wielka kontrybucya wojenna niepotrafiły zadać mu ciosu. Bogactwo kraju dosięgło szczytu w 1875 r. Odtąd upadek stały zaczyna się przejawiać, a przyczyny jego liczne i różnorodne. Klęski elementarne jak: choroba jedwabników, oliwek i winnic (ta ostatnia np. corocznie 900-miljonową szczerbę powoduje w dochodzie), konkurencya zagraniczna, wreszcie głębsze przyczyny jak: ułatwienie wykształcenia i pociąg ku centrom miejskim, wiele najzdolniejszych rąk od roli oderwało; zadłużenie ziemi w epoce pomyślniejszej dla rozszerzenia posiadłości; uciążliwe podatki, wśród których „istny wir zbytkowych wydatków na szkoły“ pochłaniają blisko połowę czystego dochodu (ankieta 1879 r.). Wzrost zbytku, pijaństwa i rozpróżniaczenia nawet drobnego właściciela — obniżyły nie tylko szacunek ziemi o 30% do 40%, ale i sam zawód rolniczy zdyskredytowały.

Wszystkie te niepowodzenia tem snadniej i zgubniej wpływają w obec osłabiania z umysłu uczuć religijności. Usuwanie podstawy moralnej pozbawia ludność energii w działaniu i odporności w niedoli — podnieca żądzę używania, próżność — zaciera uczucia sąsiedzkie, ba nawet rodzinne. Niemal też złego sieje coraz wadliwszy system nauczania, który w szkółce wiejskiej podaje stale we wzgardę niemal zawód rolniczy, a zachęca emigracyę do miast.

Położenie to poważne bardzo, ale nie rozpaczliwe, a wyjście zeń nie w protekcyonizmie, ale w powrocie do dawnego obyczaju pracowitości, rządności, oszczędności, prawodawczo popartym dla odtworzenia na nowo zanikającego „kapitału moralnego“ narodu.

Prawodawstwo w okresie tym ciężkich dopuściło się błędów, krzywdząc ludność wiejską. Pomoc publicznie niesiona jej, nie rozmiarami cyfr urzędowych, lecz zakresem istotnego korzystania z niej mierzoną być musi. To też autor dotyka po kolei historii i stanu obecnego: 1) szpitali i przytułków, 2) biór dobroczynności, 3) pomocy lekarskiej w domu, i w końcu 4) walki z żebractwem i włóczęgostwem.

Co do 1). Centralizacya niezliczonych drobnych fundacyj (przed Rewolucyą było ich 2183 — w 1851 r. 1270 a obecnie 339 tylko w gminach!) i uznanie ich zasobów za „własność narodową“ doprowadziła fatalnie lecz konsekwentnie do wyzucia gmin z najkonieczniejszej pomocy na rzecz wielkich, zbytkowych a nieraz pustych szpitali centralnych. Wadliwość zasadnicza w przyjmowaniu chorych pociągnęła za sobą niedorzeczność niezliczonych formalności. 2) Dawne bióra miłosierdzia (przechrzczone po rewolucyi na b. dobroczynności), których zadaniem jest nieść pomoc ubogiemu w domu jego, wyrosły wprawdzie w liczbę (w. 1833 r. — 6275 a w 1885 — 14.564) i rozdają ogromne sumy (około 15 milionów fr. na prowincyi), ale korzystają z nich głównie centra fabryczne. Co piąta gmina zaledwie posiada taką instytucyę i to najczęściej na papierze tylko. 3) Pomoc lekarska nie uorganizowana dotąd wcale systematycznie, kosztuje kraj blisko pół miliona rocznie, a ludność wiejska żadnej z niej prawie nie ma korzyści. Na szczęście zastępuje ją i stokroć przewyższa miłosierdzie prywatne, ale i tu prawodawstwo, stawiając namiętność sekciarską ponad uczuciem litości dla niedoli, krępuje i dotyka ostracyzmem zakony, „odejmując wydziedziczonym podporę całych tysięcy istot szlachetnych, co poświęcili wszystko, aby się im oddać na usługi“. 4) Usiłowania wreszcie prawodawcze pohamowania żebractwa i włóczęgostwa, poczynawszy od energicznej inicjatywy Napoleona I (domy schronienia i poprawy pierwotnie założone w liczbie 65 zeszyły dziś do 36 a połowa tylko z nich prawidłowo funkcjonuje) i rozporządzeń rządów późniejszych, całkiem przeciwny założeniu rezultat osiągnęły. Przyrost

tej falangi jest stały a w ostatnich latach nawet zatrważający; od 1879 do 1886 r. bowiem podwoiła się liczba „włóczęgów“ (sądząc po cyfrze odnośnych procesów 18.600—33.900).

Skreśliwszy taki obraz stanu obecnego kwestyi, zestawia autor w rozdziale II zasady ogólne „o obowiązkach państwa w zapobieganiu nędzy u ludności wiejskiej“ — rozpoczynając od scharakteryzowania znaczenia coraz bardziej ważącego na szali społecznej ludności pracującej. Istotnie, wszystkie dotychczasowe przewroty i przemiany polityczne stale wzmagają wpływ klasy robotniczej. Postęp ten niepowstrzymany nie tamować, ale w karby stosowne ująwszy, należy osłaniać przed mętnymi i groźnymi pierwiastkami a wieść drogą sprawiedliwości i prawdy. Zadanie to polityków, co nie na ruchomym piasku rewolucyj, lecz na stałym gruncie gmach przyszłości społeczeństwa pragną budować.

Działalność tedy zapobiegawcza państwa w następujących objawiać się ma kierunkach: 1) Wychowanie ludności wiejskiej należy z gruntu przeistoczyć. Dziś usiłowania wszelkie kierowano ku wykształceniu z pominięciem wychowania. Przeładowanie nad miarę programów szkolnych wywołało już nawet reakcyę w prawodawstwie. Wypadałoby rekrutować nauczających nie z młodych wychowañców miasta, co tęsknią doń i to uczucie w działwę wiejską nieraz bezwiednie wpajają, ale z ludzi bodaj mniej wykształconych a praktyczniej zdolnych krzewić zamilowanie rolnictwa. Przywrócić moralności i religii znaczenie podstaw wychowania, skoro się bowiem chce osiągnąć rezultaty cywilizacyi wytworzonej przez chrześcijaństwo, to i wychowanie głęboko chrześcijańskim być musi. 2) Represya niemoralności za słaba jest w prawodawstwie. Podwyższenie lat pełnoletności dziewcząt, zwiększenie kar za uwiedzenie, zakaz bezecnych publikacyj, widowisk i t. p. wreszcie roztropniej prowadzona walka z pijaństwem a zwłaszcza z alkoholizmem, oto co najpilniejsze do poprawy w kodeksach. 3) Kwestya ciężarów państwowych nastęrcza autorowi sposobność gruntownej krytyki kosztownej maszyny administracyjnej francuskiej, która odbudowana na dawnych wzorach przez I konsula, stłumiła życie prowincyj wygórowaną swą centralizacyą. Wzrost kamarylli i kosztów jej utrzymania (1854 pensye urzędników wynosiły 12½ mil. — 1885 aż 34 mil.). — Umorzenie sinekur — skra-

canie lat kwalifikujących do emerytury. Uciążliwe nad miarę podatki od przechodzenia własności, dzięki „podziałowi przymusowemu“ z kodeksu Napol. oraz podatek na szkoły, które rząd obecny w zapamiętaniu stronnictwem budować każe niepotrzebnie w gminach, gdzie już po parę szkół bezpłatnych, lecz nie bezwyznaniowych istnieje i t. d. Wszystko to spowodowało zatrważający przyrost rządowych ciężarów. W samym nadto ustosunkowaniu takowych, krzywdą znów jest po stronie ludności wiejskiej. Własność bowiem narodowa, z powodu potężnego rozwoju przemysłu i handlu, przeniosła punkt ciężkości notorycznie z własności nieruchomości na ruchomą — rozkład jednak opodatkowania nie poszedł w ślad za tą przemianą (dziś od 100.000 fr. nieruchomości płaci się np. 9000 fr., od takiejże wartości ruchomości tylko 100 fr. ! własność nieruchoma wiejska ponosi 25% podatków, miejska 17% wtedy gdy przemysłowa 13% a ruchoma 4%). 4) Zagadnienie chwili obecnej kwestya militarizmu, który najdotkliwiej daje się we znaki ludności wiejskiej zabierając od roli największy procent najlepszych sił w szeregi, rozwiązać pragnie autor w duchu wielkich statutów współczesnych inaugurowaniem trybunału międzynarodowego, przytaczając praktyczną w tym względzie próbę przez Bismarka inicjowaną, gdzie w sporze z Hiszpanią pośrednictwo Papieża grożący konflikt pokojowo zakończyło. 5) Wreszcie środkiem przewencyjnym to rozumnie prowadzona polityka kolonialna, dająca ujście zbytecznemu wzrostowi ludności.

W powszechnie wadliwym systemie kolonizacyjnym autor widzi przyczynę gwałtowności obecnego przesilenia rolniczego. Kolonie bowiem przechodzą pewne fazy, których roztropne stosunkowanie cechuje mądrą kolonialną politykę. W fazie pierwszej kolonia wymaga kosztu, nakładu od metropolii, w następnej staje się silnym źródłem zbytu dla niej, w dalszych sama eksportuje, wreszcie walczy na polu konkurencji z metropolią. Brak równowagi w fazach tych wywołał zalanie rynków europejskich zbożem za bzezen. Skuteczniejszymi choć na pozór mniej ogólnymi, mniej w oko wpadającymi od środków państwowej kompetencji, są wyliczone przez autora w rozdziale III p. t. Środki płynące z inicjatywy prywatnej a zmierzające do zażegnania nędzy w ludności wiejskiej.

Na pierwszym planie stawia tu autor ścisły stosunek między właścicielem ziemskim a robotnikiem rolnym i drobnym posiadaczem, zachęca do prowadzenia gospodarki we własnej administracji, co i patronaż klas oświeconych wskrzesi i dochód większego właściciela na miejscu pozostawi. Gdzie to niemożliwe poleca system połowników (metayage), długoterminowych dzierżaw o niskim czynszu. Tym tylko sposobem wynagrodzą się szkody z wyczerpania ziemi w ostatnim peryodzie od spadku cen zboża, kiedy dzierżawca zmuszony był wysoki czynsz, mimo cen niskich, z ziemi wyciągać. Zmniejszona rentowność majątków zapewni za to trwalszą przyszłość własności większej. Drobną zaś własność, dzięki obniżeniu cen ziemi, wytworzyć może łatwiej ów rdzeń ludności w narodzie — silny, oszczędny, przywiązany do ojczyzny, z którego wychodzą najlepsi obywatele i najlepsi żołnierze.

Zamieściwszy na innem miejscu działalność bezpośrednią patronażu (ob. R. I), tu autor zaledwie jej dotyka, konstatując tylko jako dodatnią stronę przesilenia powrót coraz liczniejszy właścicieli większych na wieś.

Sam przemysł rolny, przy rozdrobnieniu ziemi, nie jest w stanie korzystnie zająć rodziny przeciętnego rolnika we Francyi. Trzy hektary ziemi mogą wprowadzić wyżywić rodzinę, ależ ona może dokładnie uprawić 25—30 hektarów bez najemnika. Tymczasem we Francyi liczy się 1,800.000 posiadających mniej niż 5 hektarów, 1,200.000 mających 5—20 a tylko 400.000 takich, co posiadają 20—40 hektarów. Zbывający przeto czas od zajęć przy swej roli i zarobków u większego właściciela musi zająć wieśniak rękodzielami. Autor przytacza towarzystwa panów i pań w Szwecyi uczące chłopą przemysłu, oraz przykłady z „Ouvriers Européens“ Leplaya. Kwestyę zaś konkurencyi, trudnej do wytrzymania dla rękodzielnika z przemysłem wielkim, ma nadzieję, że postęp nauki i wynalazków rozstrzygnie na korzyść pierwszego, umożliwiając odтворzenie udoskonalonego warsztatu domowego, oraz małych wiejskich fabryk o taniej produkecyi.

Reorganizacya kredytu dla rolników staranna i umiejętna, to dalszy środek przewencyjny. Istniejące towarzystwo kredytu rolnego od 1861 r. nie wystarcza, a proponowane w 1869 r. banki kantonalne nie zostały zatwierdzonemi. W Niemczech i we Włoszech

kasy oszczędności mają prawo dawać pożyczki rolnikom, we Francyi, powiada autor, zapasy kas oszczędności służą rządowi do zamaskowania w zestawieniach budżetu państwowych pożyczek. Jako dodatni objaw samopomocy cytuje związek syndykatów rolniczych po prawie z 1884 r. powstałych (jest ich 120 z górą) pod kierownictwem towarzystwa rolniczego.

Zawiazywanie spółek do budowy mieszkań wieśniaczych do najęcia z amortyzacyą, oraz mało przyjmujące się po wsiach towarzystwa wzajemnej pomocy opiekujące się chorymi, sierotami, dostarczające lekarstw i funduszu na pogrzeb, gorąco autor poleca. Z długoletniego doświadczenia przekonano się, że działalność tak kas oszczędności jak i towarzystw ubezpieczeń, jako instytucyj rządowych, jest jałową, sfera to bowiem z natury, inicjatywy prywatnej. W pierwszych stopa procentowa niska obecnie, powinnyby być znacznie podniesioną dla drobnych wkładek. Drugie zaś unikać mają charakteru instytucyj filantropijnych np. kasy ubezpieczenia starości. Bezwzględnie wreszcie fałszywą jest zasada Bismarkowskiej ustawy przymusu legalnego, który powierzchownie będzie niby ratuje, a zabija w gruncie u ludności godność i odpowiedzialność osobistą — lub jeszcze dalej od pruskich idący projekt Dr. Grünfelda z Paryżu w 1880 r., który żąda, aby nowonarodzone dziecko wносиło 5 fr. jednorazowie, za zebrany stąd fundusz państwo byłoby w stanie każdemu dochodzącemu 60 lat obywatelowi zapewnić dożywotnio 1 fr. dziennie. Potępiając te i tym podobne trujące społeczeństwo socjalistyczno-państwowe instytucye, zachęca p. Lallemand do obniżenia opłat i rozpowszechniania ubezpieczeń od klęsk elementarnych: gradu, zarazy, ognia oraz ubezpieczeń życiowych.

Laicyzacya szkółki wiejskiej większą jeszcze krzywdę ludności wiejskiej pod względem tamowania miłosierdzia prywatnego przynosi. Nauczycielka świecka ani tej powagi ani poufałości i zaufania mieć nie może nigdy co siostrzyczka zakonna; chorych pielęgnować, lekarstwo i pociechy roznosić nie zawsze zechce i potrafi — to nie jej sfera, ona tylko uczyć obowiązana. Pociesza się jednak p. Lallemand tem, że prąd dzisiejszy to przejściowa gorączka. „Rządy mijają — a ubodzy zostają“ — reakcyja ku lepszemu prędzej czy później nastąpić musi.

Na końcu książki w rozdz. 7 zamieścił autor własny projekt do prawa o organizacyi ogólnej dobroczynności publicznej i prywatnej we Francyi. Ujęte tu są w artykuły zasady i poglądy wyłożone w toku książki a więc: organizacya i atrybucye proponowanych rozszerzonych komisyi, legalne przywrócenie zgromadzeń zakonnych do obsługi zakładów dobroczynnych (z wyjątkiem całkiem niechrześcijańskich), projekt reorganizacyi domów dla żebraków, uchylene nowej ustawy nadającej „prawo do pracy“ i „prawo do pomocy“ — wreszcie projektu biór wywiadowczych ułatwiających wyszukanie zarobku — przytułków nocnych zwłaszcza po wsiach — oraz surowość i radykalniejsze kary za włóczęgostwo, jak np. praca w koloniach — a także ochrona dzieci włóczęgów od zgubnego wpływu rodziców — zamykają pracę p. Lallemand.

Jak obalenie cesarstwa rzymskiego i najazd barbarzyńców wywołały z konieczności wytworzenie się feodalizmu, tak dziś widzi autor u schyłku XIX wieku gotujące się nowe przeobrażenie — przewidując, iż wiek XX-ty rozstrzygnie kwestyę przyjscia bezpośrednio do władzy klasy pracujących. Człowiek i ziemia używają już legalnej jeśli nie zawsze rzeczywistej swobody; rola coraz powszechniej staje się własnością tego, co ją bezpośrednio uprawia — należy dążyć wszelkimi siłami do tego, aby i machina, o ile to być może, stanowiła własność robotnika. Jestto położenie poważne, narzucające się z nieprzepartą siłą. Rządy więc, bez względu na swą formę, jedyny winny dziś cel mieć społeczny: zorganizowanie po chrześcijańsku demokracji. Nie przesądzając daleko sięgających przewidywań autora, zupełnie się z nim zgodzić można we względzie zapatrywań na wzrastający z dniem każdym socjalizm państwa i podzielać szczere jego rady i uwagi co do otrąśnięcia się społeczeństwa z indolencji, która nowe to jarzmo nakładać na się zezwala.

Niezręczna opieka państwowa łatwo społeczeństwu zaszkodzić zamiast pomódz jest w stanie, a prawodawstwo, usiłując nieroztropnie z czasowej nędzy wydźwignąć, krzewi stan stałej nędzy — pauperyzm. Jak dla odwrócenia klęsk powodzi zalesianie sztuczne się nakazuje, tak i w kwestyi nędzy środki zapobiegawcze skuteczniej i dalej sięgają niż bezpośredni ratunek. Rozpowszechnianie zasad

moralnych i religijnych zamiast wykrzywionego wychowania dla zabicia ducha religijnego, roztropna gospodarka groszem publicznym, prawodawstwo istotne swobody a nie sekciarski prozelityzm popierające — a z drugiej strony patronaż klas zamożniejszych, zwrot do obyczaju, rzadności i oszczędności, dotychczas pomimo wszystko tkwiących jeszcze w zdrowej części narodu francuskiego — słowem praca narodowa powolna a gruntowna ubezwładni agitacye, odwróci lub przynajmniej osłabi wstrząśnienia społeczne i dobrobyt utrwali.

Złe prawa i zły obyczaj podsycają wzrost ubóstwa, żadne lekarstwa nie są w stanie działać skutecznie, dopóki ład, bezpieczeństwo i zaufanie nie zapewnią pracującemu słusznego za trud jego zysku.

Ojczyzna moja, woła też p. Lallemand na zakończenie, dopóty nie zazna tych dobrodziejstw, dopóty nie ujdzie z objęć socyalizmu i nie ujrzy zmniejszenia się nędzy — dopóki nie potrafi zharmonizować prawidłowego wykonywania wolności politycznej i społecznej z poszanowaniem nieprzedawnionych praw Bożych. Wiekowe doświadczenie stwierdza dobitnie ową prawdę, zawsze i wszędzie jednakowo żywotną: *Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eam*. Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali którzy go budują. (Ps 126. w. 1

A. B.

Del Paradiso. P. Secondo Franco D. C. d. G. Modena. Tip. dell' Immacol. Concezione 1888, 16-o, p. 317.

Autor znany we Włoszech z wielu dzieł ascetycznych, które i za granicą na wiele języków są dziś już tłumaczone, obdarzył literaturę ascetyczną nowem dziełkiem o niebie. Nie łatwą to rzeczą w sposób popularny a przecież nie powierzchowny w tej materji pisać, skoro kto chce podać w tej mierze gruntowną naukę Kościoła. Autor jednak tak dobrze umiał wywiązać się ze swego zadania, najgłębsze prawdy teologiczne w tak zajmujący i łatwy sposób przedstawił, że każdy czytający nie tylko znużenia nie czuje, ale nie spostrzega niemal, kiedy dobiegł do ostatniej kartki. Dotychczas pisarze, którzy pozostawili nam w literaturze ascetycznej większe lub mniejsze traktaciki o niebie, nie wiedząc, jak popularnie przedstawić główną i pierwszorzędną rozkosz niebieską, polegającą na widzeniu Boga, paru ledwie słowami zwykli byli tę materję poruszać; wysuwając niemal na pierwsze miejsce i długo się rozwodząc o szczęśliwości, że tak ją nazwę, drugorzędnej, której określenie i zrozumienie dla zwykłego czytelnika o wiele jest łatwiejszem. O. Franko chciał tę trudność

przełamać, i dlatego główną kładzie wagę na samą istotę szczęścia niebieskiego, a mówi o niem tak jasno i wdzięcznie, że czytający mimowoli z żalem pyta: kiedyż wreszcie to szczęście stanie się moim udziałem?

W sześciu pierwszych rozdziałach tłumaczy autor na czem głównie zależy istota wesela niebieskiego; wesele to płynie z oglądania Boga, około którego niby wieniec tworzą i widokiem swym mieszkańców niebieskich uszczęśliwiają: Jezus Chrystus, Najświętsza Marya Panna i całe zastępy chorów anielskich i Świętych Pańskich. W Bogu widzą święci wszelką mądrość, poznają cudowne tajemnice Sakramentów; śledzą, jak cudownemi ścieżkami Bóg ludzi, do zbawienia prowadzi; jak Kościołem swym opiekuje się. Oglądaniu istoty i źródła nieskończonego dobra odpowiada drugi akt szczęśliwości doskonałej, miłość niebiańska. Aktowi temu poświęca Autor pięć rozdziałów. Największe szczęście człowieka polega na ścisłym połączeniu się jego woli, pragnącej kochania z przedmiotem nieskończenie dobrym, pięknym, który zaspokaja wszystkie jego pragnienia. Jaka piękność Boga, jaka Jego dobroć i miłość, którą Bóg wynagradza Świętych za ich miłość na ziemi; jaką jest w szczególności miłość Chrystusowa — oto treść następnych rozmyślań i badań. Trzecim aktem doskonałej szczęśliwości mieszkańców nieba jest radość: radość z uwolnienia się od wszystkiego co jest złem, radość z posiadania nieskończonego dobra, radość w końcu z pewności, że to posiadanie, a zatem i szczęście z posiadania tego płynące trwać będzie na wieki.

Lecz człowiek nie jest samą duszą, i nie dusza tylko, ale dusza z ciałem złączona, wysłużyła sobie niebo; jakąż nagrodą zgotowana jest w niebie ciało, zmysłom? Rozwiązanie tego pytania zajmuje cztery rozdziały. W ostatnich wreszcie dwóch rozdziałach schodzimy niejako z nieba na ziemię, i praktycznie rozważamy, co nam tutaj czynić, czego wystrzegać się należy, aby zabezpieczyć sobie to szczęście, które autor dał nam choć przez mgłę poznać ściśle zawsze na nauce wiary, na Piśmie św. i kościelnej tradycji się opierając. Wdzięczna to i miła książeczka, nie tylko dla prawd, które odsłania, ale i dla przystępnego a pięknego sposobu, w jaki odsłania pocieszające te prawdy.

Ks. M. C.

Sacramentum Poenitentiae secundum omnes decisiones Sacrarum Rom. Congregationum. Januarii Bucceroni e Societate Jesu Theologiae Moralis Professoris in Pontificia Universitate Gregoriana Collegii Romani, Commentarius in Constitutionem Benedicti XIV. Editio altera. Romae ex Typographia Polyglotta S. C. de Prop. Fide 1888.

Niniejsze dziełko autora. dobrze już znanego z licznych prac teologicznych, które utorowały mu drogę do objęcia katedry teologii moralnej na największym uniwersytecie teologicznym, jaki dziś posiadamy, równą przynosi chwałę samemu autorowi, jak i Uniwersytetowi Gregoriańskiemu, który go na profesora powołał. Cieszyć się tylko można, że *Bucceroni* nie ustaje w podjętej pracy na niwie teologii moralnej, bo istotnie na tem polu nie łatwo znaleźć mu równego. Wśród tylu komentarzy znanej konstytucji Benedykta XIV *Sacramentum Poenitentiae* (de sollicit.) żaden zdaje się nie wyrówna powyższemu traktatowi w gruntowności, jasności, a przytem zwięzłości. Łącząc głęboką naukę z by

strym sądem, podał *Bucceroni* komentarz bardzo użyteczny nie tylko do studyów prywatnych i do użytku w szkołach publicznych, ale także i dla doświadczonych nawet spowiedników.

Idąc wiernie za tekstem konstytucji Benedykta XIV *Sacramentum Poenitentiae*, autor dzieli swój komentarz na dwie części. W pierwszej omawia kwestyę *denuntiationis* w drugiej *de absolutione compl.* W pierwszej części systematycznie tłumaczy każde z pojedynczych zastrzeżeń konstytucji, dodając do każdego z nich bardzo ważne kwestye, mogące rozwiązać możliwe trudności, które przytem wyjaśniają coraz dokładniej ową bullę papieską. Dzieli autor tę część pierwszą na kilka artykułów, mówiąc z kolei o samej naturze karygodnego czynu, o wynikających stąd obowiązkach, o przyczynach, które w niektórych wypadkach zwalniają od tego obowiązku, o sposobie jak ma być uwiadomienie odnośnej władzy podane, jak władza postępować winna w obec obwinionych, wreszcie oszczerstwo w tej materyi. W drugiej części autor przedstawia i tłumaczy nieważność *absolutionis compl.*, zastanawia się i wyjaśnia powód ekskomuniki w szczególny sposób Ojcu św. zastrzeżonej, jak daleko rozciąga się natura zastrzeżonego grzechu, i jasno przedstawia ograniczenie jurysdykcji wyłącznie co do tego grzechu wedle praw wydanych przez Benedykta XIV. Ta druga część kończy się rozstrzygnięciem kwestyi, wielkiej w praktyce doniosłości, o prawomocności konstytucji *Sacramentum Poenitentiae*, tak ze względu na obowiązek *denuntiationis* jak i *absolutionis compl.* Obok wielu dekretów dawniejszych i nowszych przytacza prawie w całości uczoną instrukcyę Świętego Oficium daną dnia 20 lutego 1867 r. biskupom i spowiednikom. Pomijając inne wielkiej doniosłości punkta, na szczególniejszą uwagę zasługuje wyjaśnienie słów *temerarius ausus*, w czym autor powołuje się na powagę dekretów kongregacyi Świętego Oficium z 1 lutego 1871 i 22 grudnia 1880 r. Spowiednicy łatwo już ze słów powyższych poznać mogą, jak ważną jest ta książka dla wytworzenia sobie jasnej a praktycznej normy postępowania w danym wypadku.

Ks. M. Czerwiński.

Der Unterschied zwischen der katholischen und evangelischen Sittlichkeit. Von Schulze. Strier. Halle 1888.

Protestanci, widząc że spuściznie po Lutrze zagraża ze strony katolicyzmu niebezpieczeństwo, a „Tryumfy Rzymu“ wykazały, że to niebezpieczeństwo dosięga nie tylko narodowych interesów Niemiec, ale i najwyższego dobra każdego człowieka — zbawienia jego duszy, — zabrali się rażno do dzieła, aby to niebezpieczeństwo uchylić i powołali do życia związek ewangelicki, (Evangelischer Bund), na czele którego stoją sami prawie protestanczy pastrowie jako to: dwaj bracia Beyschlag „Nieprzyjaciele Rzymu“, dr. Warnek doskonały znawca misyj katolickich, dalej profesor Witte, jak się sam wyraża „oczekujący napaści z Rzymu“ i w końcu historyk i rywal Janssena — Bärwinkel. O publicznej działalności związku poinformowały już nas *Politische Blätter*, tu zaś podajemy, w głównych przynajmniej rysach, polityczne onegoż dążenia.

Prócz czasopisma *Evangelische Blätter*, przeznaczonego wyłącznie dla wykształconej klasy protestantów, wydaje związek dwie inne jeszcze broszury: *Mittheilungen über die konfessionelle Verhältnisse in Württemberg*. (Wiado-

mości o stosunkach wyznaniowych w Würtembergii) — dotychczas dziesięć zeszytów i *Flugschriften des evangelischen Bundes* (Kłatwy ewangelickiego związku) — dwanaście zeszytów. Charakterystyczną cechą tych pism jest to, że wszystko, co i o czem piszą, zaprawione jest silną dozą kłamstwa i jadu. Powiadam „kłamstwa“, nie błędów, gdyż z góry obmyślane gadki i stokrotnie zbite już niemądre zarzuty podawane są w tych piśmidłach jakby one były pierwszej wody, a co gorsze jeszcze, że to czynią ludzie uczeni, którym nie brak gruntownych wiadomości o traktowanych przedmiotach — a czynią to jedynie z niczem nieusprawiedliwionej nienawiści ku katolicyzmowi.

Według ich zdania, Kościół katolicki jest z gruntu złym, a droga przezeń wskazywana jest drogą do jaskini zbójców wiodącą. Nie można im się dziwić, gdyż protestanci w ogóle, prócz kilkunastu lub kilkudziesięciu pism przepelnionych kłamstwem i dyszących nienawiścią ku katolicyzmowi, nie mają żadnego prawie innego sposobu do gruntownego poznania ducha Kościoła katolickiego, że prawdy wiary naszej świętej wydają mu się jeśli nie wprost głupstwem, to przynajmniej niedorzecznością, skutkiem czego czują odrazę do nich i staje się moralnem dla nich niepodobieństwem jej poznanie i umiłowanie.

„Aby dobrze smakowało ciasto, dodaje się rodzenków“ — powiada p. Schulze. Powodując się tą zasadą, zmyśla autor ciekawe i jaskrawe anegdoty, w które zaprawia swe teologiczne ciasto, aby ono lepiej smakowało jego wyznania religijnego czytelnikom. I tak pisze np., że Bellarminowi i innym Jezuitom zawdzięcza się to, że Papież zowie się Wice-Bogiem (Vice-Gott). Stanowisko tego Wice-Boga jest nader ciekawe: obowiązkiem jego jest troszczyć się o sumienie przeszło 200 milionów katolików i to tak dalece, że każdego z osobna katolik otrzymuje zupełną dyspensę od swego sumienia. „Katolik nie ma własnego, niezależnego sumienia“ — poucza p. Schulze. I pyta się dalej: „Ale czy nie zachodzą wypadki, gdzie to sumienie zaczyna się budzić i chce działać? Przecież! Papież bowiem ma pod ręką dwa wypróbowane na to środki. Jednym z tych środków jest stłumienie poczucia prawdy w liczbie 100.000 uczonych mężów (kapłanów) i to za pomocą modlitwy. Każdy bowiem kapłan katolicki dla własnego zbudowania i uświęcenia obowiązany jest odmawiać brewiarz. W historycznych ustępach brewiarza znajdują się liczne legendy o życiu świętych, których fakta historyczne częścią niczem nie mogą być udowodnione, częścią zaś są zupełnie niemożliwe (unmöglich). Ci zaś księża mają być kierownikami sumienia wszystkich wiernych. Katolikowi nie wolno mieć przekonania o własnem sumieniu, owszem, nie powinien mieć żadnego własnego sumienia! Na miejsce sumienia występuje probabilizm — drugi środek i narzędzie na zabicie sumienia pojedynczych wierzących“. Dla lepszego zrozumienia tego, co wyżej powiedział, przytacza następującą, niby katolicką naukę o kłamstwie: „Czy wolno kłamać? — w ogóle nie, odpowiada, lecz jeśli tego wymaga twój honor i doczesny, majątkowy interes — wolno“.

Że p. Schulze więcej zna naukę katolicką, niżby się chciał do tego przyznać, zdradzają to wyżej przytoczone jego wywody — wprawdzie z gruntu fałszywe, ale fałsz ten pochodzi nie z nieświadomości rzeczy, lecz z rozmysłu.

„Jeśli katolicy nie mają własnego sumienia, konsekwentnie więc może i grzechu nie mają“ — pyta dalej p. Schulze. „Nie inaczej, odpowiada, z wyjątkiem jednego, a to wtedy, gdy katolik w zupełności i niewolniczo nie poddaje się woli Papieża. Brak własnej woli w ścisłem tego słowa znaczeniu jest

moralnością u katolików, gdyż tak oni sobie tłumaczą słowa Chrystusa Pana u św. Mateusza w r. XVI w 24 o zaparciu się siebie. Cóż więc pozostaje w katoliku człowieczego! Wcale nie! Moralna osobistość niknie w zupełności. Prawdziwy katolik nie jest wolną, niezależną i moralnie odpowiedzialną osobą — lecz pozostaje zawsze dzieckiem, nie rozumiejącem wcale tego, co Apostoł Paweł wyraźnie pisze w liście swym do Efezów w r. I, IV, w. 13 przeciw probabilmizmowi⁴.

Na tej podstawie i przy pomocy zmyślanych anegdotek autor usiłuje dalej wykazać różnicę między doskonałością protestancką a katolicką. „Dobre uczynki, powiada p. Schulze, według katolickiego sposobu zapatrywania się, nie jest to wypełnienie obowiązków stanu, do którego kto został powołanym, ani praca wykonywana w posłuszeństwie względem Boga i miłości względem bliźniego, lecz jedynie modlitwa, post, pielgrzymki, jałmużna i pokuta — stanowią dobre uczynki — przeciwnie, każda ludzka praca, każde zadośćuczynienie obowiązkowi swego stanu nie jest doskonałą, a przeto nie ma u nich żadnej wartości. Tymczasem najzupełniej wystarcza choćby tylko umrzeć i być pogrzebanym w habicie zakonnym, aby w królestwie Bożem osiągnąć wyższy stopień moralnej doskonałości⁴.

Pan Schulze jest to prawdziwy obraz Don Kiszota, który napotkawszy na drodze wiatrak, zwalczał go z różnych stron, z tą jednak różnicą, że p. S. naukę, którą usiłuje zwalczyć, kłamliwie nazywa katolicką.

Dalej pyta się autor, jak pojmują katolicy pracę? „Najlepiej to nam tłumaczy, odpowiada, św. Tomasz z Akwinu, zalecony przez Leona XIII: „Praca nie jest niczem innem, jak tylko środkiem do podtrzymywania ciała“. W równej mierze nie podoba się autorowi to, że małżeństwo Kościół katolicki wynosi do godności Sakramentu — i to tak dalece, że w tem widzi ujmę i profanację małżeństwa, a następującą do tego podaje przyczynę: „Kobiety uważają katolicy za drzwi, któremi wchodzi djabeł“.

Te i tym podobne niedorzeczności w połączeniu z fałszywymi cytatami o św. Alojzym, o wielkiej śmiertelności dzieci katolickich i kilku ciekawymi anegdotkami protestanckimi — stanowią nieprzeparty upór, przeciw któremu żaden Papież z całą logiką nic nie jest w stanie dokazać.

Pan Schulze wziąłby się chętnie do inkwizycji, lecz ponieważ nie egzystuje ona, muszą na jej miejsce wystąpić przynajmniej Jezuici. Lecz jak wystąpią? czy jako „oswojeni“, czy jako „dzicy“? Schulze zdecydował się na drugie, aby w końcu dowieść, że katolicki Kościół zarówno niebezpiecznym jest i dla państwa. „Jezuici, powiada, jak wszystkim wiadomo, łączą w sobie jad z gwałtem. Państwo zarówno jak i małżeństwo, z katolickiego punktu widzenia, nie jest bezpośrednią instytucją Bożą, lecz staje się taką dopiero za pośrednictwem Kościoła. Kościół katolicki z samej natury swojej jest przeciwnikiem wszelkiej władzy świeckiej... Panujący są poprostu tylko lennikami i wasalami Papieża“. Koniecznem następstwem tego jest: że „kiedy protestant, w wypadku jeśli jakie prawo państwowe lub rozkaz ludzki chce go zmusić do wykonania czynu, który się sprzeciwia wyraźnej woli Bożej, chociaż nakazanego czynu nie wykonuje, następstwa jednak swego biernego nieposłuszeństwa cierpliwie znosi, Kościół katolicki tymczasem przypisuje sobie prawo odsądzania od tronu książąt — i to według własnego upodobania i w ten spo-

sób sam Papież uświęca rewolucyę, a Jezuici z swoją teorią o mordzie panujących przychodzą mu w pomoc. etc. etc.

Te główne rysy katolickiej moralności podane przez p. Schulze są aż nadto wystarczające, aby wydać sprawiedliwy sąd o naukowej wartości, o kierunku i o zgubnych skutkach pism, jakimi się posługuje związek protestancki.

Ks. Arndt.

Disquisitiones scholastico-dogmaticae, quas legebant Valentinus Casajoa
S. J. pluribus in academiis hispanis et exteris et nuper in Universitate pontificia Gregoriana Collegii Romani Theologiae Dogmaticae Lector. Vol. I. De Fundamentalibus. Disquisitiones tres: 1. Prolegomena; 2. De Religione revelata; 3. De Ecclesia. Barcinonae 1888. apud Subirana.

Hiszpania, ojczyzna tak znakomitych filozofów i teologów, jak: *Suarez, Valentia, Lugo, Vasquez, Molina*, od bardzo dawnych czasów trzymała niezaprzeczenie prym w dziedzinie Teologii, a że i dzisiaj nie ustępuje pierwszeństwa zdobytego długowiekową tradycją, tego dowodem powyższe dzieło O. Casajoany, który w ostatnich latach (1879—1884) zadziwiał swemi wykładami bardzo licznych słuchaczy, miewał ich równocześnie około 300 w Uniwersytecie Gregoriańskim. Jasny ten, a zarazem subtelny profesor, towarzysz w wykładach O. *Mazzelli*, dziś zaliczonego w poczet kardynałów, podawał swoim słuchaczom litograficzne streszczenie swych wykładów, obecnie, ulegając licznym prośbom i żądaniom, streszczenie to uzupełnił, a dopełniwszy je traktatami wykładanymi w kilku francuskich i hiszpańskich Uniwersytetach, oddał na użytek publiczny.

Wiele mamy wprowadzić obszernych podręczników teologicznych, nawet z czasów ostatnich, jak np. *Perrone'go, Franzelina, Kleutgena, Mazzelli*, są one jednak, albo ułożone przed Soborem Watykańskim, albo nie zawierają wszystkich traktatów teologicznych (z wyjątkiem *Kleutgena*), stąd brak w nich całości lub wyjaśnienia tych kwestyj, które przez *Sobór Watykański, Syllabus Piusa IX*, i późniejsze dekreta *Leona XIII i Kongregacyi* bliżej określone zostały. Braki te uzupełnia niniejszy podręcznik. Pierwszy tom teologii O. Casajoana dzieli się na trzy części; w pierwszej wylicza i omawia źródła teologiczne odpowiadające traktatowi zwanemu zazwyczaj *De locis theologicis*; w drugiej mówi o religii objawionej: tłumacząc co koniecznem jest do udowodnienia istnienia religii objawionej, jaką ona jest samą w sobie, i jakie błędy jej przeciwne; w trzeciej wreszcie podaje naukę o Kościele Chrystusowym. Układ cały jest logicznie pomyślany i przeprowadzony, styl zwięzły, a jasny, rozumowanie gruntowne i przekonujące, polemika pełna siły, i bardzo interesująca.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje *Corollarium* umieszczone na końcu drugiej części. W tem *Corollarium* autor rozprawia obszernie o liberalizmie, jako o herezyi dzisiejszego wieku. Wprowadził już przed nim *Msgr. Sarda y Salvani* osobną nawet o tem książkę napisał, potwierdzoną w punktach zasadniczych przez kongregacyę Indeksu, dla niezmiernej jednak aktualności tej sprawy należało ją bardziej rozwinąć, a mianowicie dać

praktyczną konkluzję, jak katolik powinien zachować się wobec *liberalizmu*. O. Casajoana znakomicie się z tego zadania wywiązał, dając przytem naukową definicyę liberalizmu, co nie było rzeczą łatwą w obce niepochwytności tej nazwy i rozmaitego znaczenia jej przypisywanego. Błędy dzisiejszego wieku: *Nihilizm, Anarchizm, Socyalizm, Kommunizm*. jakkolwiek w wielu punktach różnią się między sobą i wzajemnie się zwalczają, to jednak są bezwątpienia wypływem nadużycia wolności i w jednym zgadzają się: w srogim despotyzmie i apostazji od Boga.

W podręczniku teologicznym nie można było naturalnie liberalizmowi zupełnie osobnego działu poświęcić, dlatego autor zadowolnia się zwalczaniem tego błędu przy danej sposobności w ciągu całego traktatu, a na końcu podaje czytelnikowi spis miejsc, w których o liberalizmie jest mowa, ułatwiając przez to samoistne badania, gdyby kto w tym kierunku chciał pracować.

X. M. Czermiński.

Clare Vaughan. By *Lady Lovat*. 1888.

Milo jest w naszych czasach czytać żywoty Świętych, zwłaszcza Świętych dzisiejszych, których aureola nie jeszcze nie zapożyczyła blasku od legendarnej tradycyi. Takim jest żywot młodej Angielki, Clare Vaughan, którego krótkie dzieje podaje nam *Lady Lovat* w ślicznym osobnym tomiku. Nasza święta nie jest kanonizowaną i może nią nigdy nie będzie; nie mniej przeto robi ona wrażenie młodszej siostry św. Stanisława Kostki lub Alojzego Gonzagi. Córka znanego a nawet zaprzyjaźnionego w Polsce pułkownika Vaughan, Klara młodo bardzo straciła świętobliwą matkę, której gorąca modlitwa — aby całe jej liczne potomstwo poświęciło się służbie Bożej — została dziwnie wysłuchana. Starszy syn jej jest obecnie biskupem Salfordskim, drugi umarł jako arcybiskup w Sidney; inni bracia i siostry do różnych powstępowali zakonów. Nie wiedzieć tu czy bardziej podziwiać gorliwość dzieci czyli pobożność ojca, który z radością i spokojem dziękował Bogu za błogosławieństwo na rodzinę jego zesłane. W tej atmosferze świętej a zarazem wykwintnej i wesołej — o ile ciężkie troski na wesołość dozwolić mogły — wyrosła Klara. Wyrosła ale nie dla ziemi; całe jej życie było jednym hymnem miłości Bożej, jednym porywem świętego uniesienia. Przy pierwszej Komunii św. uczyniła ślub poświęcenia się życiu klasztornemu, i odtąd ani na chwilę nie zawahała się w przedsięwzięciu. Listy jej do przyjaciółki i krewnych pełne są wyrazów owej miłości, której przepelnione serce zamilczeć nie mogło. Godziny wolne od obowiązków spędzała wiernie u stóp. Najśw. Sakramentu, a gdy kaplicę zastała zamkniętą, klękała u drzwi na progu. Później do modlitwy ustawicznej przyłączyło się surowe umartwianie ciała, „ze wszystkiego umie korzystać“, pisze o niej przyjaciółka, „każdy przedmiot nasuwa jej nowy pomysł do zamęczania biednego jej ciała“. Celem jej w życiu było zadosyćuczynienie, *expiacya* za obrazy, jakich miłość Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie doznaje. W 18-tym roku Klara wstąpiła do nowicyatu Klarysek w Amiens i od tej chwili gorąco błagała o śmierć, o połączenie się z nim na wieki. Nie długo też czekała na spełnienie tej prośby — po kilku miesiącach rozwinęła się choroba piersiowa, a za nią suchoty. Na parę dni przed zgonem Klara złożyła zakonne śluby a zara-

zem przyjęła ostatnie Sakramenta modląc się — nie już o przyspieszenie końca ale o długie i ciężkie konanie. Przytomność i słodycz anielską zachowała do ostatniej chwili; w dzień śmierci, zrana po przyjęciu Komunii św. oświadczyła przełożonej, iż dziś Pan Jezus po nią przyjdzie, i w istocie parę minut przed zgonem twarz jej zajaśniała nagle blaskiem niebiańskiej radości, a cała postać przybrała postawę najgłębszego uszanowania, przyczem dawała znaki obecnym, aby uklekli. Śnać oczom jej odsłaniał się widok dla wzroku innych zakryty. Całe dziełko Lady Lovat mile i podnoszące robi wrażenie; styl w niem jasny i wspaniały — miejscami może zbyt obciążony cytatami z Pisma św., co zresztą cechuje wszystko, cokolwiek Anglicy, katolicy czy protestanci piszą w przedmiotach religijnej treści.

Renaissance physique. Par Philippe Daryl. Paris-Hetzel.

Rozstrojone społeczeństwo francuskie szuka empirycznych środków, aby się dźwignąć z uwydatniającego się coraz jawniej upadku. Każdy inne podaje lekarstwo, nie bacząc, iż gdy naród stare Boże odbiega przykazania, na nie mu się nie zdadza sztuczne podmioty. Zte trzeba wykorzystać, aby chorobom ducha i zarazom społecznym zapobiedz. Cechą tych dowolnych lekarzy bywa przedewszystkiem bezprzykładna duma. Każdy z nich mniema, że odkrył Amerykę, że proch wymyślił i nieznane otworzył światy. I tak, piszący pod pseudonimem Daryla autor, Paschalis Grousset mniema, iż pierwszy nowe rzuca edukacyjne hasła, zalecając młodzieży ubieganie się o równowagę fizycznego i umysłowego wysilenia lub trudu. Zdrowie ciała i duszy tylko na tej podstawie gimnastycznej odzyskać przyjdzie. Materyalistyczny kierunek nowoczesnych pedagogów stwierdza się tu raz więcej. Ale co ciekawsze, autor, ubolewający nad przeciążaniem umysłów młodzieży, nad nie higienicznem jej prowadzeniem, przenosi się do Anglii, sławi jej systemat edukacyjny, z podziwem przykaskuje grom i zabawom uczącej się młodzi, zapominając, iż nie potrzeba było tak daleko szukać wzorów, skoro mistrze wychowania, Jezuiti i Domikanie, w swoich kolegiach i zakładach przechowali w pełni wszystkie te ćwiczenia, i igrzyska, które na angielskim gruncie zachwycają pisarza republikańskiego i prawdopodobnego stronnika laicyzacji wszystkich we Francyi szkół i instytucyj wychowawczych. Cokolwiekbaż, opis studenckiego w Anglii życia, zajęć i zabaw, wypadł barwnie i ciekawie, mnożąc rysy i przykłady zachęcające. Rozmaite warianty palanta, wyścigi piesze i wodne, przeróżne gry i mocowania się, niezawodnie wielce bywają pożyteczne dla studentów, zbyt wyłącznie myśląną zajętych pracą. Najlepiej nam się podobał ustęp zalecający upowszechnienie zimnych kąpiel. Stary obyczaj łaźni, już za Chrobrego ogólny, poszedł w zaniechanie, a istotnie, bodaj czy upadek sił i zdrowia w narodzie, nie tylko we Francyi, lecz i u nas spowodowanym bywa tak częstym u dzieci i u młodych wodowstrętem? Ranne ablucye nigdy nie mogą być dość obfite i pełne, autor zaś niniejszej książki z właściwą przesadą nazywa gumowe wanny, ułatwiające kąpiel codzienną, chrzcielnicami odrodzonej fizycznie ludzkości. Oczywiście, szumne te i brzmiące zapewnienia trochę śmiesznie wyglądają. Trafniejszą i prawdziwszą jest uwaga odnosząca się do przemagającego dziś w całym świecie militaryzmu. Przyszłe zwycięstwa i przewagi zale-

żeć będą od wytrawniejszego i wytrzymalszego żołnierza. Oto tedy chodzi, aby każdy naród kształcił odpowiednio młode pokolenia. Zbyt wyłącznie dotąd zajmowano się mózgową tylko kulturą, z uszczerbkiem zdrowia i fizycznej siły. Umiejętnie kierowane ćwiczenia ciała wytworzą karne i twarde, a krzepkie i dzielne zastępy obrońców ojczyzny. U nas, gdzie zbyt mała liczba młodzieńców chwyta się dziś żołnierskiego pod obcemi znaki zawodu, rady i wskazówki autora osobną powinny mieć wagę. Pewna tresura konieczną jest mu-szkułom, niechże gimnastyka zastąpi mustre, ale nie w jałowej formie nauko-wego ćwiczenia, lecz w kształcie wesołej zabawy i spółzawodnictwa. Przykłady silnego pięścią a zdrowego duchem John Bulla, jak wraz zachęcić mogą kie-rowników młodzieży do zastosowania na innym gruncie hartownego systematu wychowania publicznego w Anglii.

M.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wniosek szkolny Windthorsta. — Rozprawy o szkole i Kościele w parlamencie wiedeńskim. — Nowe ministeryum we Francyi i we Włoszech. — Mowa Ojca św. do kardynałów. — Broszura o kwestyi rzymskiej hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych. — Uchwała parlamentu w Ekwadorze. — List prezydenta ekwadorskiego i odpowiedź Papieża.

Jak przeszłego roku w tych samych mniej więcej miesiącach i tygodniach tak i obecnie stanęła kwestya szkolna równie w berlińskim jak w wiedeńskim parlamencie na pierwszym planie, domagając się natarczywie rozwiązania zgodnego z najświętszemi przekonaniami milionów rodziców, żądających słusznie, aby chrześcijańskie dzieci chrześcijańską naukę w szkole otrzymywały. W sejmie pruskim przyszedł pod obrady szkolny wniosek Windthorsta, mający na celu zapewnić Kościołowi należący mu się nadzór nad nauczycielami wykładającymi katechizm i nad sposobem udzielania tej nauki; wniosek, któremu w zasadzie i w pewnej przynajmniej mierze mowcy wszystkich niemal stronnictw przyznać musieli i przyznali słuszność, a który jednak, dziwną niekonsekwencyą, nie mógł liczyć, jak dobrze to z góry wiedziano, na poparcie większości. „Wiem, odezwać się miał zasłużony wódz *Centrum*, że na obecnej sesyi wniosek mój przepadnie; ale pomimo tego pragnę z nim wystąpić, bo na razie chodzi mi tylko o przygotowanie opinii, o poruszenie tej sprawy w jak najszerszych kołach, o zlustrowanie nie-

przyjacielskich szyków i rozpoznanie terenu do przyszłej decydującej walki“. Cel ten w zupełności osiągnięty został; mowy wygłoszone w imieniu *Centrum* przez Windthorsta, Mostera, Reichenspergera, a w imieniu Polaków przez Ks. Stablewskiego wykazały tak jasno słuszność postawionych żądań, że choć ostatecznie bitwa przegrana została, to „przegrana ta, wedle wyrażenia Windthorsta, podobnie jak tyle innych pozornych klęsk dawnemi laty przez *Centrum* poniesionych jest tylko etapem wiodącym do koniecznego „zwycięstwa“.

Zwycięstwo to tem pewniejsze, że rząd w danym razie, chcąc np. pozyskać sobie głosy *Centrum* w innej jakiej sprawie, nie będzie prawdopodobnie stawiać zasadniczych trudności przeciw partemu przez wielu nawet protestantów, szkolnemu wnioskowi Windthorsta. Tak przynajmniej sądzićby należało z bardzo dyplomatycznej mowy ministra wyznań Gosslera; wystąpił on wprawdzie przeciw wnioskowi, ale nie dlatego jakoby się nie zgadzał z wyrażonemi w nim zasadami, lecz ponieważ w obec istniejących już praw, zostawiających Kościołowi zupełny nadzór nad wykładem religii w szkołach ludowych, niema — zdaniem jego — żadnej potrzeby do mnożenia w tym kierunku nowych postanowień i przepisów. „Wszak dziś już, mówił minister, całą naukę szkolną przenika i owiewa „gorące, religijne przekonanie“; dziś już nauczyciele pobierają wychowanie i wykształcenie ściśle w duchu kościelnym. Katechizm wykładają księża lub świeccy nauczyciele poleceni przez księży i mile przez nich widziani, a wszystkie bez wyjątku podręczniki używane w szkołach katolickich, poddane zostają poprzednio do aprobaty biskupa każdej w szczególności dyecezyi“. Ważne to oświadczenia i zapewnienia tem ważniejsze, że dotychczas nie wszędzie podobno były zachowywane z równą skrupulatnością; słusznie też gazety katolickie podnoszą, że choćby usiłowania Windthorsta nie miały innego skutku prócz zmuszenia ministra do głośnego przypomnienia tych zasad i praktycznych wskazówek, mogą katolicy śmiało mówić o odniesionem przez siebie plodnem w skutki zwycięstwie.

W parlamencie austriackim wniosek *Liechtensteina*, a właściwiej mówiąc różne wnioski, dążące do zaprowadzenia szkół wyznaniowych, dostać się nie mogą, i kto wie, kiedy dostaną się pod

obrad, tymczasem, choć zdawałoby się na długie miesiące pogrzebane, stają wciąż niby upiory przed ministeryalnemi fotelami, są ciągle na ustach wszystkich niemal mówców i siłą rzeczy stały się osi, koło której obracają się wszystkie inne sprawy i rozprawy. Debaty budżetowe rozpoczął, jak rok rocznie, nie brany zbyt na seryo nawet przez własne swe stronnictwo liberal *Carneri*, a widząc, że posłuchu zjednać sobie nie może, uderzył z całą siłą wymowy przeciw *Liechtensteinowi*, który wnioskiem swym odebrał chce wojsku austriackiemu „rozum i naukę“. „Czy to prawda, pytał *Carneri*, że rząd, chcąc uspokoić *Liechtensteina* i jego spółników, przygotowuje ze swej strony wnioski, mający być pierwszym krokiem do oddania szkoły pod przewagę Kościoła? Powiecie mi, że tu chodzi o krok nieznaczny, niemal niewidzialny; ale homeopatyja poucza nas przecie, że są trucizny, któreby nieszkodliwymi były w większej ilości, w małej dozie wzięte przenikają cały organizm... I my chcemy, aby Austria była państwem zdolnem do obrony swych granic, i ofiarujemy w tym celu z radością ostatni grosz, ostatnią kroplę krwi, ale zdolność tę do obrony stanowi nie sama broń, nie samo wojsko, lecz wspólnie z niem samoistność ludzi wykształconych, a właśnie Kościół i arystokracja *à la Liechtenstein* ścierpieć nie mogą tej samoistności... My chcemy światła; oni chcą ciemności! My chcemy ludzi wolnych; oni niewolników! Naszą ojczyzną jest Austria — ich ojczyzna leży po za Alpami! Nowoczesna szkoła, to sztandar, koło którego kupią się wszyscy prawdziwi Niemcy; to mur, którego nikt i nie nie zburi, którego broni każdy, komu szczerze chodzi o wolność, o postęp i o przyszłość Austrii“.

Z większym talentem, choć nie z mniejszą złością wystąpił *Herbst* przeciw szkołom wyznaniowym. „Rozchodzi się o to, czy szkoła ma być i zostać *politicum*, jak tego chciała nawet pobożna bez wątpienia cesarzowa Marya Teresa; czy też przekształcić ma się w *ecclesiasticum*? Prezes ministrów widzi, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi, chciałby je od siebie oddalić na czas jak można najdłuższy; ale jak długo udawać mu się będzie ten program na zwłaczaniu i uciekaniu wyłącznie polegający? Czy nie wpadnie ostatecznie do przepaści, bo wpaść w nią będzie musiał?“ „Co nazywacie przepaścią, odpowiedzieli zwolennicy szkoły

wyznaniowej, to nie przepaść, ale jedyny port zbawienia dla gabinetu *Taaffego*, który, jeśli żyć chce, musi choć w części spełnić żądania katolickich ludów Austrii. W tym względzie jednakowo i równie jasno wyrazili się *Dr. Ebenhoch*, walczący za opartym na autonomistycznym gruncie wniosku *Liechtensteina*, jak centralista *Lienbacher*, autor znanego na innych zupełnie podstawach sformułowanego projektu „O szkołach wyznaniowych”; jak do żadnej dotychczas partii nienależący *Zallinger*, który radby — z czem się zresztą wcale nie tai, utworzyć w parlamencie wiedeńskim odrębne, czysto katolickie interesów katolickich broniące stronnictwo, na kształt berlińskiego *Centrum*. Projekt ten, z uwagi na konieczne z wielu względów ugrupowanie się stronnictw w austriackim parlamencie, nie łatwo mógłby być w życie wprowadzony i dlatego nie wzbudził żywszego odgłosu; natomiast wielki a słuszny interes obudziły polemiczne, na tle szkoły wyznaniowej obracające się mowy *Lienbachera* i *Ebenhocha*.

„Powrót do szkół wyznaniowych, mówił *Lienbacher*, otrzymując na przemian oklaski to z prawicy, to z lewicy, uważalibyśmy za prawdziwe szczęście. Jesteśmy przekonani, że ludność gorąco sobie tego życzy, a z drugiej strony pojąć rzeczywiście nie mogę, jakaby mogła wypłynąć szkoda dla państwa austriackiego, gdyby szkoły nasze były prawdziwie chrześcijańskimi tj. religijnymi i moralnymi, jak się tego chrześcijaństwo domaga. Przestarzałe zarzuty, jakoby szkoły wyznaniowe przynosić miały państwu jakąś szkodę, od dawna i gruntownie są usunięte, bo przecież i te np. wojska, które pokonały Francję, wyszły ze szkół wyznaniowych. A wzorowo urządzona Saksonia czy nie ma może szkół wyznaniowych? Pojąć nie mogę, jak można traktować w ten sposób sprawę tak delikatną, która — a wszyscy dobrze to wiecie — tak bardzo i o wiele liczniejszej części ludności austriackiej leży na sercu“!

Szkoda, że wrażenie, wywołane temi z siłą przekonania wypowiedzianemi słowy, popsuł *Lienbacher* kilku niepotrzebnemi wycieczkami, zwłaszcza przeciw katolickiej prasie w Austrii i niekoniecznie zgrabnie utoczonymi komplementami dla lewicy. Na wycieczki te i komplementa odpowiedział zaraz nazajutrz występujący po raz pierwszy w parlamencie, a jak się okazało w całym słowie tego znaczeniu, równie ze względu na treść, jak i na formę znany katolicki mówca *dr. Ebenhoch*; ale biorąc w obronę rząd dzisiejszy, wyłożył zarazem bez ogródek, czego katolicy, przedewszystkiem niemieccy katolicy po rządzie od lat dziesięciu spodziewają się i mają prawo się spodziewać, a czego doczekać się nie mogą.

„Kiedy dzisiejsze ministeryum przyszło przed mniej więcej dziesięciu latami do steru rządów, wzniesiło wielkie nadzieje między całą austryacką niemiecko-konserwatywną ludnością. Spodziewano się, że nowy rząd nałoży wędzidło liberalizmowi, że odąd rzeczywiście zakwitnie wolność religijna, społeczna i polityczna, która za liberalnej ery na tem wyłącznie zdawało się zależeć, że wolno było obchodzić się z Kościołem katolickim jak ze sługą i z więźniem, wolno było księży katolickich wysydząć, a prawowiernym katolikom szkodzić pod każdym względem, nawet pod materyalnym. (Tak jest! Prawda! po prawicy. Oburzenie po lewicy i głosy: „To są frazesy! Nie! to nie frazesy! Czasy, w których rządziłiście Panowie z lewicy pozostaną jeszcze na długo, bardzo długo w sercach i pamięci konserwatywnych Niemców; dopokąd zaś pamięć ta przetrwa, a przetrwa zawsze, dotąd możecie być pewni, że nie pozyskacie sobie wśród nas ani jednego stronnika. (Oklaski z prawicy)... Lecz przyznając to, spytajmy, jakiż stan rzeczy po upływie lat dziesięciu? Nie jest tu moim zamiarem, ani powołaniem wyliczać te pomysne rezultaty w tym kierunku przez rząd osiągnięte; natomiast poczuwam się do obowiązku wyrażenia rozlicznych życzeń i obaw austryackiej ludności. W tej mierze wczoraj już Radca dworu *Lienbacher* przedstawił wybornie i dokładnie żądania katolickiego ludu zwłaszcza co do szkoły wyznaniowej. Żądanie to katolickiego ludu dotychczas spełnionem nie zostało, spełnionem w rzeczywistości, bo na obietnice — Wysoki Rząd darować zechce, że jasno myśl swą przedkładam — nadal rachować nie mogę, gdy spojrzę na ubiegłe lat dziesięć, w czasie których rozmaite słyszeliśmy obietnice, żadnej nie widzieliśmy spełnionej. Ale katolicko-konserwatywna ludność nie tylko szkoły wyznaniowej doprosić się nie może, rząd tak czasem sobie postępuje, jakby miał zamiar obrażać w najjaskrawszy sposób uczucia katolickiego ludu. Dowiedzieliście się wczoraj Panowie, z wniesionej tu interpellacyi, że w jednym z okręgów Górnej Austrii zakazano dzieciom katolickim odmawiać *Zdrowaś Marya*, ponieważ między 150 do 200 dzieci znajdowało się w szkole pięć czy sześć uczniów protestanckich. (Słuchajcie! po prawicy)... Niedawno znów temu toczył się proces, w którym wyszły na jaw rzeczy prawdziwie nie do uwierzenia! Pewien ksiądz miał mieć kazanie o wyznaniowej katolickiej szkole; wysłano więc do Kościoła miejscowego nauczyciela, a następnie pod służbową przysięgą, powtarzam: pod przysięgą służbową, zażądano od niego złożenia świadectwa o tem kazaniu. Rzeczywiście, w tym względzie rzeczy nie idą tak, jakbyśmy sobie tego mogli życzyć, ale tak, jak się tylko tego obawiać możemy. — A jakie stosunki panują w naszej prasie; czy nie przekraczają wszelkich możliwych granic? Osobiście jestem zwolennikiem wolności prasy; dziennikarstwu przyznaję niezależność, wolność najzupełniejszą. Ale kiedy prasa dochodzi do granic zakreślonych kodeksem karnym, wtedy, zdaniem mojem, ustaje wolność, a rozpoczyna się swawola. Proszę wziąć do ręki pierwszy lepszy liberalny dziennik, poczynszy od *Neue Freie Presse*, aż do świstka wychodzącego w małym jakim prowincjonalnem miasteczku, przerzucajcie dzienniki te dzień po dzień, a nie znajdziecie wiele numerów bez szkalowań i wybieczek przeciw katolickim księżom, katolickiemu Kościołowi, zwłaszcza przeciw spowiedzi. Walczy tu o lepsze z liberalną prasą, pokrewna z nią, co prawda zasadami i rodem prasa urzędowa. (Oklaski po prawicy.) Gdyby jaki cudziowiec, nie obeznany z panującym w Austrii stanem rzeczy, tutaj się zja-

wił i wziął do ręki pierwszy lepszy urzędowy dziennik, musiałby wnet przyjść do przekonania, że większość parlamentarna siedzi po lewicy, a opozycja po prawicy. Zważając np. jakie stanowisko zajęła prasa liberalna, zwłaszcza prasa żydowska i prasa oficjalna, względem wiedeńskiego stowarzyszenia „Zjednoczonych chrześcijan“, które w ostatnim czasie tak doniosłymi rezultatami swej działalności poszczycić się może, musi każdy chcąc nie chcąc przyjść do przekonania, że w ogóle w Austrii ale przedewszystkiem na ławie ministrów nie dalekośmy zaszli w kierunku chrześcijańskim“...

Znakomitą mowę *Ebenhocha* poparł jeszcze krótko *Dr. Pscheiden* z tych samych wychodząc zasad i dochodząc do tych samych praktycznych wniosków: „Pod Taaffem nam źle, ale pod jego następcami byłoby prawdopodobnie jeszcze gorzej. Wielkie pytanie, czy u dzisiejszego rządu zaważą co miliony podpisów ojców rodzin, domagających się szkoły wyznaniowej, to pewna, że pod rządem złożonym z członków lewicy, nicby nie zaważyły. Wolę więc źle istniejące od gorszego, któreby przyjść miało, a zarazem wyrażam nadzieję, że rząd zechce wreszcie coś zrobić, aby zadośćuczynić najsluszniejszym żądaniom ludności katolickiej“! Poprzednio już *Pscheiden*, polemizując z *Plenerem* wystąpił bardzo energicznie przeciw gwałceniu niedzieli zwłaszcza w godzinach przedpołudniowych, w czem niestety! rząd, zwłaszcza sądy, najlepszego przykładu wcale nie dają; w tym względzie należałoby przecież coś zrobić! Należałoby, i rząd bezwątpienia dawno już uchyliłby najbardziej w oczy wpadające nadużycia, gdyby katolicy austriaccy domagali się byli tego z równą energią jak obecnie, a z większą jeszcze łącznością, jeśli nie we wszystkich, to przynajmniej w ściśle kościelnych, katolickich sprawach. W każdym razie rozprawy z kilku ubiegłych tygodni w parlamencie wiedeńskim pocieszającym są znakiem, bo choćby na razie innych praktycznych skutków nie miały, świadczą o rozbudzeniu się ducha i energii między niemieckimi katolikami w Austrii; o poznaniu, jakie Kościół katolicki powinien w państwie Habsburgów miejsce zajmować, i szczerzej chęci doprowadzenia do tego, aby miejsce to w rzeczywistości zajął.

W bardzo krótkim odstępie czasu upadły dwa wręcz Kościołowi wrogie ministeria: *Floqueta* w Paryżu, *Crispiego* w Rzymie. Jaką pozycję wyrażniej czy mniej wyrażnie Kościołowi nieprzyjazną zajmie nowe ministerium *Tirarda* — ministerium „huśtające się“,

„niepopularne“, „niemożliwe“; „wystawy powszechnej“, ministerium „rozczarowania“, „nieznanego *x*“ — to dziś naturalnie trudno jeszcze dokładnie określić. *Journal des Débats* nadał mu nazwę ministerium „przeróżnych względów“, a nazwa ta i odnośnie do postępowania z Kościołem bodaj czy nie najtrafniejsza. Ze względu raczej na katolickich wyborców, których nowy rząd radby pozyskać w walce przeciw *Boulangeryzmowi*, niż na najprostszą sprawiedliwość skasował minister *Constans* seryą dekretów, wypędzających zakonnice z kilku znów szkół i szpitalów; ze względu na wolnomularzów podał Carnotowi do podpisu równą, jeśli nie większą liczbę dekretów, wymierzonych przeciw zakonnikom i zakonnicom pracującym w innych szpitalach i szkołach. Ale we Francyi, choć nie na zmianę prześladowczego systemu, to zanosi się przynajmniej na chwilową ulgę; we Włoszech pozostał Crispi przy rządach, a choć sobie parę nowych kreatur przybrał do boku, nie przeszkadzają mu one bezwątpienia do prowadzenia dalszej, prawdziwie sekciarską zacięłością natchnionej walki przeciw Kościołowi. Inne pytanie, czy odnowione ministerium Crispiego potrafi długo ostać się przy rządach; dziś nazywają go już z szyderstwem „ministerium postnem“, a choć Crispi użyje pewnie i nadal, jak używał dotychczas, wszelkich możliwych, i zdawałoby się niemożliwych środków, byle władzy z ręki nie puścić, to wielu jednak sądzi, że mimo nawet potężnej niemieckiej protekcyi, mimo że *Nord Deutsche Allgemeine Zeitung* nazwała go z wielkim przyciskiem „człowiekiem niezbędnym“, dni wszechwładztwa jego już policzone.

Trudnoby się z tego nie cieszyć, bo spodziewać się można nie bez podstawy, że jak ustąpienie *Floqueta* stało się hasłem do pewnego przynajmniej zwolnienia prześladowania Kościoła we Francyi, tak stanowcze ustąpienie *Crispiego* stałoby się, choć zapewne w równie tylko ciasnych granicach, podobnem hasłem we Włoszech. „Obecnie, niestety! jak gorzko skarżył się Papież w mowie wypowiedzianej drugiego marca do kolegium kardynalskiego, systematyczne prześladowanie Kościoła i Papieżstwa we Włoszech nie tylko nie traci, lecz raczej zyskuje na sile. Ci sami, którzy zagrabili Papieżowi władzę doczesną, usiłują mu też przeszkodzić w należytem wykonywaniu władzy duchownej: odmawiają przez długie miesiące z wyraźną złą wolą tak zwanego *Exequatur* zamianowa-

nym przez nas biskupom... i owszem, nieraz już odważyli się zaprzeczyć prawa do biskupich dochodów prałatom zasługującym na wszelką cześć, których zamianowaliśmy po głębokim namyśle ze względu na pewne ważne potrzeby odnośnych dyecezyj. Co więcej, kilka nominacyj z większemi jeszcze spotkało się przeszkodami pod pretekstem praw przywiązanych do patronatu, lekcważonych i puszczonych w zapomnienie przez wiele lat z rzędu, następnie szorstko i bezwzględnie wykonywanych. Pretensye te, których w żaden sposób uznać nie możemy, albowiem brak im wszelkiej, prawnej podstawy i warunków przez święte kanony przepisanych, do tego prowadzą, aby nie mała liczba dyecezyj pozostała bez pasterzów i to na czas nieograniczony. Rzeczywiście i dziś już nie mało dyecezyj od lat kilku osieroconych, a wszystkie te dyecezye bez wyjątku pragną powitać i ujrzeć między sobą oddawna przez nas naznaczonych biskupów. Nie dość na tem! Przypominamy tylko trudności stawiane młodzieńcom, czującym w sobie powołanie do stanu duchownego; coraz dotkliwszy brak pracowników ewangelicznych, naturalny skutek rozproszenia zakonów; wykluczenie Kościoła ze szkoły; przepisy nowego kodeksu karnego przeciw duchowieństwu; konfiskatę znacznej części własności kościelnej; dokonane już i w bliskiej przyszłości grożące czyny wymierzone przeciw dziełom miłosiernym, pobożnym zgromadzeniom, i wszelkiego rodzaju instytucjom katolickim; jawną protekcję udzielaną sektom, zaprzysięgłym wrogom chrześcijaństwa. Czyż to może wszystko dowody nieograniczonej owej wolności, której obecnie używać ma Kościół we Włoszech?

Włosi zabierając Rzym mówili: „Uwalniając Papieża od władzy doczesnej, nie tylko nie myślimy się targnąć na władzę jego duchowną, lecz owszem, dopomagamy mu do tego, aby mógł wyłącznie urzędowi swemu apostolskiemu się oddawać, a z naszej strony nigdy i w niczem przeszkadzać mu, nawet mieszać się do wypełniania tego urzędu nie chcemy. Mowa Papieża w ostatnich ustępach wykazała raz jeszcze, jak wyglądają w praktyce te obłudne zapewnienia; w pierwszych ustępach wyjaśniła, jak koniecznie Głowie Kościoła potrzebną jest zupełna niezależność od wszelkiej innej, choćby nawet nie nieprzyjaznej władzy. Bijącą tę w oczy prawdę wybornie uzasadnia zredagowany jeszcze w r. 1884, ale w osta-

tnich dopiero tygodniach ogłoszony memoriał hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych, margrabiego *de la Vega de Armijo* p. t. „Stosunek Stolicy św. do Królestwa Włoskiego“. Memoriał ten, a raczej poważna rozprawa przedłożona pierwotnie madryckiej *Academia Real* z okazji współcześnie ogłoszonego w *Revue des Deux Mondes* artykułu o kwestyi rzymskiej przez *Leroy Beaulieu*, jest obecnie równie na czasie, jak przed pięciu latami, a ogłoszenie dziś właśnie tego dokumentu, gdy autor jego tak ważne zajmuje stanowisko, nie małe ma w każdym razie znaczenie.

„Rzeczą jest niemożliwą, pisze hiszpański minister, aby kwestya wolności Papieża stać się miała kiedy kwestyą wyłącznie włoską. Niezależność Głowy Kościoła nie może się opierać na efemerycznem istnieniu, zmiennej woli większości parlamentarnej. Katolicy zgodzić się nigdy nie mogą na poddanie Głowy swego Kościoła politycznym kaprysom, mniejsza o to, którego kraju. Nigdy przewodzcy europejskich ludów nie będą mogli na tym punkcie nie zwracać uwagi na licznych swych katolickich poddanych. Dlatego jest obowiązkiem Europy upomnieć się o swe prawa w kwestyi, która nie same tylko Włochy obchodzi“...

Łatwo się dorozumieć, jak niemiłym musiało być urzędowym Włochom ogłoszenie tej broszury, z takiego pochodzącej pióra, a wręcz uznającej, że Europa popełniła błąd nie do darowania puszczając Włochów do Rzymu; domagającej się wręcz naprawienia tego błędu, najwłaściwiej za pomocą międzynarodowego Kongresu. Crispi nie mógł zataić gniewu i z oburzeniem wyraził się wobec korespondenta *New-York-Heralda* „o pseudo-dyplomatach zajmujących się kwestyą tak dawno zapomnianą i pogrzebaną, jak jest nią kwestya Rzymska“. „Ale właśnie sam gniew Crispiego, zauważa słusznie *Défense*, najlepszym jest dowodem, że nie zupełnie to jeszcze i niestanowczo pogrzebana kwestya. Nie tylko paru *klechów* nią się zajmuje, ale i ministrowie i pierwszorzędni uczeni; nie tylko *klerykali*, bo margrabia *de la Vega de Armijo* uchodził zawsze i jest jednym z najbardziej wpływowych członków liberalnego stronnictwa w Hiszpanii. Daremna rzecz, i nawet najostrożniejsze rozporządzenia Crispiego, najzawilsze intrygi, najsilniejsze przymierza nie tu nie pomogą: kwestya rzymska coraz gwałtowniej domaga się rozwiązania, a wszystkie oznaki wskazują, że coraz bardziej zbliża się do rozwiązania opartego nie na rabunku i kradzieży, jak w r. 1870, lecz na sprawiedliwości“.

Rzeczpospolita *Ekwadoru*, zwana także urzędownie „Rzeczpospolitą Serca Jezusowego“, nie przestaje składać dowodów, że na nazwę tę zasługuje, i że tradycje zaszczone przez nieśmiertelnego *Garcia Moreno* kwitną w niej i coraz piękniej się rozwijają. Jednym z tych dowodów jest uchwalony przed kilku miesiącami prawdziwie chrześcijański dekret parlamentarny, który niedawno temu rząd Ekwadoru zakomunikował urzędownie Ojcu świętemu:

Kongres rzeczypospolitej Ekwadorskiej uchwała:

1) Władza wykonawcza uda się do Stolicy św. z pokorną prośbą o utworzenie czterech Wikaryuszów Apostolskich na wschodnim terytorium Rzeczypospolitej, a mianowicie: w Napo, w Macas i Canelas, w Mendez i Quilicura, w Zamora; a jednocześnie uprosi, aby dwa pierwsze Wikaryaty pozostały, jak zostają dotychczas, pod zarządem OO. Jezuitów i Dominikanów; trzeci Wikaryat, aby został poruczonemu OO. Salezjanom, lub innemu zakonemu stowarzyszeniu, a czwarty misjonarzom Franciszkańskim.

2) Zanieśie zarazem prośbę, aby misye pozostające w obrębie trzech ostatnich Wikaryatów wymienionych w poprzedzającym artykule poddane zostały pod najwyższy zarząd i opiekę kongregacji *De Propaganda Fide* i podlegały osobnym prawom kościelnym, przysługującym tego rodzaju misjom.

3) Uzyska nadto przywilej, aby urząd Wikaryuszów Apostolskich w wyżej wzmiankowanych misjach sprawowali zawsze Biskupi diecezjalni, lub *in partibus*, nie zaś zwykli księża.

4) Dotację roczną każdego z trzech pierwszych Wikaryatów stanowić będzie suma 6000 *sucres* (30,000 franków); dotację czwartego Wikaryatu 3000 *sucres* (15,000 fr.). Z sum tych opędzone być mają koszta utrzymania Wikaryuszów, potrzeby kościelne i t. d.

5) W razie gdyby powyższe sumy z dziesięcin przypadających Kościołowi spłacone być nie mogły, państwo użyje w tym celu dziesięcin dla siebie pobieranych.

6) Władza wykonawcza zda sprawę z wykonania tego dekretu w czasie najbliższego peryodu obrad parlamentarnych.

Dan w Quito, stolicy Rzeczypospolitej, dnia 7 sierpnia 1888 r.

Prezes senatu, *Augustyn Guerrero*. — Prezes izby poselskiej, *Remigiusz Crespo Foral*. — Sekretarz senatu, *Emanuel M. Polit*. — Sekretarz izby poselskiej, *Józef M. Banderos*.

Pałac rządowy w Quito, 11 sierpnia 1888. Ma być spełnionem.

Piotr Józef Cevallos. — Minister spraw wewnętrznych i kościelnych: *Józef M. Espinosa*.

Do uchwały tej dołączył prezydent Rzeczypospolitej, *Franciszek J. Salazar*, osobne pismo do Ojca św., w którym w własnym imieniu i w imieniu całego kraju upraszał o przychylenie się do prośb powyższych. „Żądanie Wasze, odpowiedział Papież w *Brewe*, wysłanym do Prezydenta pod datą 30 stycznia b. r., zdążające do

tego, aby królestwo Chrystusowe w państwie Waszem coraz bardziej się szerzyło, przyniosły nam największą pociechę; Wam cześć i chwałę przynoszą... Poleciliśmy już roztropnym, bogobojnym mężom, których pomocy i rady w tego rodzaju sprawach używamy, aby dokładnie zastanowili się, w jaki sposób możnaby najlepiej i najpraktyczniej życzeniom Waszym odpowiedzieć. Mamy więc pewną a pocieszającą nadzieję, że stanie się zadość Waszym pragnieniom, że wydadzą one obfite a zbawienne owoce... Starając się o zapalenie ewangelicznego światła a zarazem o zaprowadzenie prawdziwej cywilizacji między dzikimi ludami, zamieszkującymi Wasze prowincye, dobrze zasługujecie się Rzeczypospolitej, postępujecie sobie tak jak przystało na dobrych chrześcijan, na prawdziwie mądrych rządców państwa“.

Ks. Jan Badeni.

Z chronologii biblijnej.

W artykułach, które się ukazywały w niniejszem piśmie pod tytułem: „Źródła historyczne Wschodu“, a które z uzupełnieniem wyszły w osobnej książce, zaznaczono ogólną zgodność chronologii biblijnej z dokumentami asyryjskimi¹. Zgodność tych dwóch tak różnych źródeł w głównych punktach jest o tyle uderzająca, iż sami racjonalści biblijni zmuszeni byli do jej uznania, jednakże uznanie to starali się sprowadzić do *minimum*, wykazując liczne różnice liczebne lat między wypadkami współczesnymi. Otóż pp. racjonalści popadli tu w swój zwykły błąd, mianowicie w zbytne kwapienie się w wyprowadzaniu wniosków. E. Schrader wykazuje w swem dziele² rażącą niezgodę między datami biblijnymi i asyryjskimi i wnioskuje, iż należy dać wiarę datom asyryjskim, a odrzucić biblijne. Nie będziemy tu wchodzić w ocenę, o ile ten wniosek byłby słusznym, w razie gdyby przesłanki, na których się opiera, były prawdziwe, zaznaczamy jedynie, że ten ostatni waru-

¹ Ob. *Źródła historyczne Wschodu*, p. Ks. W. Zaborskiego, str. 198.

² KAT³, str. 458 i następ.

nek nie jest dopełniony. Uczony niemiecki jest niezaprzeczalnie wybornym znawcą języków wschodnich, doskonale oзнакомиł z biblią i odkryciami asyryjskimi, zapomniał jednakże, iż odczytanie tekstów asyryjskich, szczególnie zaś imion własnych wyrażonych znakami obrazowemi, nastąpiło skutkiem przypuszczeń, które wymagały sprawdzenia. Otóż, sprawdzenia te w wielu razach zawiodły. Dokładniejsze badania wykazały, iż należało sprostować niektóre nazwy władców asyryjsko-babilońskich; te sprostowania pociągnęły koniecznie za sobą nowe zestawienie spółczesności. Najnowsze badania zmieniły dawniejsze poglądy na chronologię biblijną i coraz więcej wykazują, iż różnice wyzyskiwane przez racjonalistów były obłudne. Dr. Neteler zamieścił w zeszycie lipcowym r. z. w czasopiśmie *Der Katholik* nader cenną rozprawę, którą czytelnikom naszym tu podajemy.

„Ponieważ odczytanie i dokładne oznaczenie asyryjskich imion przedstawia wielkie trudności, zatem w czasie, kiedy próbowano odtworzyć imiona asyryjskich królów, powołać się musiano w celu rozwiązania trudności na imiona tychże królów, zachodzące w drugiej księdze Królewskiej. Asyryologowie tuszyli, że w spełnieniu tak trudnego zadania znajdują punkt oparcia w sprawozdaniu Sargona o zdobyciu Samaryi. Przypuszczali, że stwierdzone przez Sargona zdobycie Samaryi, wiąże się z końcem panowania Ozeasza, a nie wiedzieli lub nie chcieli uwzględnić, że księga Izajasza (r. IX w. 9 i r. XXVIII w. 1—4) zdaje się stwierdzać dwukrotne zdobycie Samaryi. Przypuszczano dalej, że Sargon dokonał tylko dzieła zdobycia, ale że już poprzednik jego rozpoczął oblężenie, a miał nim być Salmanassar; nie wiedziano znowu, że według zaznaczonego w 2 księdze Królewskiej pomiaru czasu i wyraźnych świadectw Tobiaszowych, Salmanassar poprzedzał bezpośrednio Sennacheryba, a zatem nie mógł być bezpośrednim poprzednikiem Sargona. Umieściwszy chronologicznie Salmanassara bezpośrednio przed Sargonem, przypuszczano, że poprzednikiem tegoż jest Teglat-phalasar, o którym nadmienienia 2 księga Królewska; nie wiedziano jeszcze wówczas, że to przypuszczenie prowadzi do zlania dwóch odrębnych postaci Teglat-phalasara i Phula w jedną. Skoro zaś odszukano króla, któremu z porządku chronologicznego należy się bezpośrednie miejsce przed Salmanassarem, poprzednikiem Sargona,

a którego imię brzmi teraz Tuklathabalissara albo Tukultipalisarra, domagamy się słusznie, by dowiedziono autentyczności imion dowolnie postawionych, zaznaczając równocześnie fakt, że zbywa nam jeszcze na pozytywnym ze strony pp. asyryologów dowodzie wrzecznej autentyczności.

Phul nie miał przez dłuższy czas pewnego stanowiska w historii; dopiero babilońska lista dynastyi i kronika wykazały, że Tukultipalisarra, ten który wziął Babilon, tamże jako pan Babilonu nazywanym był Phulu i Tukultipalisarra, i że jest Porusem ptolomeuszowskiego Kanonu. Skoro Tukultipalisarra-Phulu na jednym napisie stwierdza, że w ósmym roku swego panowania (738) otrzymał haracz od Manahema (Minhimmi z Samaryi) a z drugiej strony znajdujemy w świętym tekście (2 Król. XV, 19–20) świadectwo, że Manahem poważną sumę wyliczył asyryjskiemu królowi Phulowi, to już chyba o tożsamości biblijnego Phula z Tukultipalisarra wątpić nie możemy.

Zespolenie obu tych imion w jednej osobie powinnyby w oczach pp. asyryologów zdyskredytować do reszty wspólność imion Tukultipalisarra-Phulu i Teglat-Phalasara jako imion jednego i tego samego podmiotu, ale ci panowie nie wdają się w wątpliwości; oni chcą historję królów Judy i Izraela znać lepiej od samych autorów Ksiąg królewskich i współczesnych tymże kronikarzom, i stawiają gołosłowne, na żadnym dowodzie nieoparte twierdzenie, że ciż autorowie z jednego asyryjskiego króla ulepili dwóch różnych od siebie; asyryologowie zadali sobie nawet tyle pracy, że starali się, ich zdaniem, oddzielone części zestawić w jedno, lecz tej próbie przeszkadzała wcale nie małej wagi okoliczność: mianowicie wzmiankowane części stały zbyt daleko od siebie, by się mógł poddać podobnej operacyi, co widocznem jest z następujących danych. Poprzednik Sargona Salmanassar, którego imię czyta się teraz Sulmanassarid, a którego jedność z Ululajem tj. z Iluleusem ptolomajskiego kanonu pozytywnymi dowodami jest stwierdzoną, żył według asyryjskiego i ptolomajskiego kanonu tylko do r. 722 tj. do 16 roku po spłaceniu haracz przez Manahema (738); gdyby zatem Salmanassar-Ululai był rozpoczął oblężenie Samaryi w jednym z ostatnich 3 lat panowania Ozeasza, należałoby w zbyt szczupłym okresie 16 lat zmieścić tak wielką ilość rządów Izraela i Judy, że po-

wstałe stąd sprzeczności i zagadki, o których rozwiązanie daramoby się kto kusił, wymownie dowodzą mylnego pomieszania w jednej osobie dwóch odrębnych postaci, z których jedną jest Salmanassar-Ululai, a drugą Salmanassar 2 Księgi królewskiej.

Salmanassar-Sargon.

Podobnie jak starozakonnemu Phulowi odpowiada asyryjski Tukultipalissara, a oba imiona należą do tego samego asyryjskiego króla, i jak Salmanassarid zwał się w Babilonie Ululai, tak i Sargon w 2 królewskiej Księdze mógł się zwać Salmanassarem. Tenże Salmanassar w swem piśmie walcowem robi uwagę (Lyon s. 36), że imię, które nosi, nadały mu bogi, by bronił słuszności i prawa, a tem samem daje do zrozumienia, że królewskiego imienia Sarrukin nie dzierżył przed rozpoczęciem rządów; jakie zaś imię nosił przed wstąpieniem na tron, dowiadujemy się z księgi Tobiasza, która asyryjskiego króla Sennacheryba nazywa wyraźnie synem Salmanassara. Przyznano zaś powszechnie, że znaleziony chaldejski tekst księgi Tobiaszowej jest nadzwyczaj starem tłumaczeniem hebrajskiego oryginału; ponieważ nadto tłumaczenie księgi Tobiasza dokonane przez siedemdziesięciu, zgadza się z podaniami chaldejskiego tekstu, to już nie da się zaprzeczyć, że świadectwo księgi Tobiasza, podług którego asyryjski król Salmanassar jest ojcem Sennacheryba, sięga odległej starożytności.

Podług świadectw Fl. Józefa (A. IX, 13, 1, i 14, 1—2) dostało się Sargonowi nazwisko Salmanassar, ponieważ Józef każe Salmanassarowi żyć aż do 7 roku panowania Ezechiasza, a na 14 rok rządów Ezechiaszowych oblicza wymarsz Sennacheryba, to już chyba w tak szczupłym okresie czasu, który dzieli rządy Salmanassara od wymarszu Sennacheryba, nie ma miejsca dla rządów Sargona; wszelkie zatem aspiracje asyryologów, pragnących zdobyć grunt pod rządy Sargona w tak ograniczonym czasie, są wyraźnie bezpodstawne.

Nie małej zaś wagi jest ta okoliczność, że Salmanassar u Józefa zwie się również Salmanassarem u Menandra; wprawdzie asyryologowie pospieszyli co tchu z twierdzeniem, że świadectwo Józefa jest nieprawdziwem, lecz przez to nie tylko stali się nam

winni dowodu na umotywowanie swego twierdzenia, ale nadto nie raczyli uwzględnić, że Józef przez wiele udzielonych nam z Menandra wyjątków, dosadnie dowiódł gruntownej znajomości Menandrowego dzieła.

Jeżeli asyryologowie pod imieniem Salmanassara z 2 Księgi królewskiej chcą rozumieć mniejszą lub większą gromadę królów asyryjskich, tem samem nie mogą tracić z oczu związku, w jakim imię Salmanassara występuje w tejże księdze z treścią całej opowieści. Z tego związku pokazuje się, że Salmanassar figurujący w drugiej Księdze królewskiej (w. 18) panował jeszcze w 10 lat przed wyprawą Sennacheryba, i że w obec takich względności czasowych jest stanowczo bezpośrednim poprzednikiem Sennacheryba, a oblężenie Samaryi, które zaczął w 10 lat przed wrzekomym wymarszem Sennacheryba, przypada dopiero na wiele lat po wstąpieniu na tron Sargona.

Dowiodłszy już pozytywnie tożsamości Salmanassara z 2 Księgi król. z asyryjskim Sargonem, pozbawiliśmy asyryologów ostatniej nadziei połączenia Teglát-Phalassara i Tukultipalisarra-Phulu w jedną osobę.

Teglát-Phalasar.

Pomieszanie Teglát-Phalassara z 2 Ks. król. z Phulem, jakiego się dopuszczają asyryologowie we własnym interesie w nieuzasadnionem przekonaniu tożsamości tych imion między sobą, stoi w sprzeczności ze świętą księgą, która daninę Manahema odnosi do czasów Phula, a Teglát-Phalassara wprowadza na scenę z końcem 20-letniego panowania Phaceuszowego (Phakee), a w pierwszych latach Achaza, nie mówiąc o tożsamości tychże asyryjskich królów. Tej identyczności sprzeciwia się i ta okoliczność, że w okresie 11 lat, który sięga trybutu Manahema (738) do śmierci Tukultipalisarra (728) niepodobna zamieścić ani chronologii Izraela od Manahema do końca rządów Phaceusza, ani współczesnej chronologii królestwa Judy. Kronika też biblijna i Fl. Józef odróżniają Teglát-Phalassara od Phula.

Asyryologowie zaś, wbrew osiągniętym zdobyczom naukowym na tem polu, twierdzą, że podstawa jedności Teglát-Phalassara

i Phula z wszelką pewnością tkwi w napisach Tukultipalissara-Phulu; niniejsze jednak studium tychże napisów, któremu za podstawę posłuży tłumaczenie G. Smitha¹ dostarczy dowodu na to, że asyryologowie wrzekome napisy przypisują jednemu i temsamemu królowi, będąc sami w sprzeczności z ich treścią i dalekimi od umotywowania swych twierdzeń jakimkolwiek pozytywnym dowodem.

Wątpić o prawdziwości głównego napisu, w którym Tukultipalissarra konstatuje wypadki zaszłe w ciągu swego panowania od 1 do 17 roku, nie mamy chyba powodu, skoro Tukultipalissarra sam się po swem imieniu nazywa; co do 13 ułamek, które Smith umieszcza po głównym napisie, nie mamy znikąd zapewnienia, że Takultipalissarra jest ich autorem; ta okoliczność, że pochodzą z jednego z jego pałaców, nie upoważnia nas bynajmniej do przypisywania mu autorstwa, gdyż mogą być zarówno dziełem jego syna lub wnuka, którym nie mniejsze przysługiwało prawo przekazania potomności w martwej literze pamięci swych świetnych czynów. Jeżeli zawartość ułamek stoi w ścisłym związku z głównym napisem lub z innemi danemi należącemi do osoby Tukultipalissarra, jak to ma miejsce przy ośmiu pierwszych i przy 13 fragmencie, wtenczas o autorstwie Tukultipalissarra wątpić nie możemy, gdyż w tym wypadku samo dzieło wskazuje widocznie swego autora; jeśli zaś wątek pewnych ułamek stoi w opozycji lub sprzeczności ze świadectwem tak zwanej listy administracyjnej, to już te ułamki, których autor nie jest nazwany, pochodzą od innego króla asyryjskiego, i Tukultipalissarze przypisywane być nie mogą.

Stosunek fragmentów 10, 11 i 12 do oryginalnych napisów Tukultipalissarra jest bardzo wyraźny; ich przynależność mianowicie do jego osoby da się z wszelką dokładnością oznaczyć.

Fragment 13 wiąże się ściśle z liczbami od 51 do 56 głównego napisu, a z ich łączności wyzyskujemy na korzyść historii tę nową wiadomość, że królowa arabska Samsi na widok pochodu asyryjskiej załogi, który skierowany był i na Izraela, uległa dobrowolnie przewadze Asyrii i przyjęła jej zwierzchnictwo nad sobą. Pod cyfrą 57 i następnemi aż do 63 umieszczony jest wykaz

¹ G. Smith Assyr. Discov. s. 254—286.

książąt składających hold Asyrii, który odczytany przez Smitha tak się przedstawia:

„Kustaspi z Kumuhy, Uryk z Qua, Sibittibihil z Gubal, Piziris z Gargamis, Eniil z Hamath, Panammu z Samhala, Tarhulara z Gaugamy, Sulumal z Milid, Dadilu z Kaski, Vassurmi z Tubal, Ushitti z Tuny, Urpalla z Tuhany, Tuhammi z Istundy, Urimmi z Huzinny, Mattanbahil z Arvad, Saeipu z Bit-ammana (Ammon), Salamannu z Moab, Mitinti z Askalon, Jauhaci z Judah, Qavusmalaka z Edom, Muz, Hannu z Gazy“.

Ponieważ Askalon i Gaza figurują na tej liście, wynika stąd, że powstanie listy przypada na czas po pochodzie na Filistę odbytym r. 734, a ponieważ lista przystaje dokładnie do opowieści o podjętym wymarszu, opowiedzianym w granicach pięciu numerów głównego napisu (51—56), to sam fakt wymarszu przypada na czas między latami 733—732 i zgadza się z pochodami na Damaszek, których opis znajdujemy na liście administracyjnej, a które przedsiębrano w tym samym okresie czasu.

Podług wykazu spłaconego haraczu (pod cyframi 57—63) wymienienia Tukultipalisarra dwa w obrębie wojskowej dyscypliny zasze wypadki, mianowicie złożenie z urzędu dowódcy Wassurmiego z Tabal (Tubal) i zażądanie haraczu od Tyru; koniec głównego napisu i zarazem historyi wypadków, zaszłych od 1 do 17 roku panowania, stanowi sprawozdanie z budowy pałacu, jak się to dzieje w licznych pismach asyryjskich królów.

Ósmy fragment zawiera listę danin z r. 738, w której między innymi występują Razin (Rezin) z Damaszku, Manahem z Samaryi i Hiram z Tyru. Ta okoliczność, że ci drobni władcy nie figurują na liście z lat 733—732, znajduje swe usprawiedliwienie w opisie równoczesnych pochodów na Damaszek (733—732) opowiedzianych w liście administracyjnej, która ich również nie wspomina; że zaś wówczas Samaryja i Tyr w przyjaznym do Asyrii stały stosunku, znać to z 13 fragmentu. W okresie walk staczanych od r. 733 do 732 stali książęta figurujący w liczbie 22 na wykazie danin, (num. 57—63) w charakterze wasalów po stronie Asyryjczyków. Jedyny, o którym Tukultipalisarra w swym głównym rękopisie wspomina, jest Wassarmi z Tabal, o którego porażce dowiadujemy się z ustępu 65. Gdyby Tukultipalisarra był pokonał innego jeszcze z wrzekomych sprzymierzeńców, byłby to umieścił w swem piśmie, tak jak to zrobił z osobą Wassurmiego.

Co do wyniku wojny pomiędzy r. 733 a 732 dowiadujemy się z 13 fragmentu, że królowa Samsi poddała się zwierzchnictwu asyryjskiemu, i że Samarya pozbawioną została opieki rządu. Czy Tyr płacił winny haracz, nie jest wiadomem dotychczas, że zaś ówczesna wojna z Damaszkiem nie zakończyła się w ten sposób, jak tego chcą asyryologowie, przekonać się można z treści 3 fragmentów, mianowicie od 10—12, z których następujący stan rzeczy da się wyprowadzić.

Arabska królowa Samsi powstaje przeciwko Asyrom, zostaje jednak pokonaną przez asyryjską armię, i zmuszoną ratować życie w pustyni; Mitinti z Askalonu podnosi również oręż na Asyrow, lecz patrząc na zniesienie wojsk Razinowych (Rezin) z Damaszku, cofa się z obawy podobnego losu, a syn obejmuje po ojcu berło Askalonu; Hanno z Gazy chroni się do Egiptu przed żołnierzami asyryjskimi w tym właśnie czasie, kiedy Samsi uciekała przed obliczem asyryjskiego bożka wojny; Gaza przechodzi w ręce Asyrow; panowanie Phaceusza (Pekach) się kończy, a Ozeasz (Hosea) zostaje zarządcą Izraela.

Gdyby te wszystkie wypadki były zaszły w ostatnich latach Tukultipalissara, byłby on je zapewne umieścił w swem piśmie, tak jak umieścił złożenie z urzędu Vassurniego; nadto dokonane wypadki nie godzą się bynajmniej z charakterem ostatnich lat panowania Tukultipalissara; ponieważ zaś wrzekome wypadki łączą się z porażką Razina z Damaszku, to w przypuszczeniu, że upadek Damaszku przypada na czas między rokiem 733 a 732, byłyby się mimowoli powiązały z wojną Asyrow z Damaszkiem; wszelako lista administracyjna, prócz rzeczy całkiem odmiennej natury, nie umieszcza między r. 731 a 728 żadnej wojny z Samaryą, Askalonem, Gazą lub Arabią. A więc Razin z Damaszku i Phaceusz z Izraela bynajmniej nie giną jeszcze w r. 732, ale nieco później, wtenczas kiedy Hanno z Gazy uciekł do Egiptu, a pewnem jest, że od r. 731 do 728 nie miał on bynajmniej powodu uciekać do Egiptu; trzebaby dopiero stworzyć na prędcę powód, ale to już za późno; temu już i asyryologowie nie poradzą.

Fragmenty zatem od 10 do 12 włącznie nie mogą pochodzić od Tukultipalissara; autorem ich jest jeden z następców, a tym znowu nie jest kto inny jak Teglat-Phalasar; dowodem tego jest ścisły

związek, w jakim fragment 10 aż do 12 stoi ze świadectwem Ksiąg królewskich (2 Król. XV, 29 i XVI, 5—6), w którym to miejscu znajduje się wyraźna wzmianka o Teglát-Phalasar.

Ponieważ zaś tenże Teglát-Phalasar tak podług świadectw Starego Zakonu jak i napisów asyryjskich nie może być brany za jedno z Tukultipalisarra-Phulem, wzrasta pomimowolne pytanie: czy jego imię da się oznaczyć w kanonie asyryjskim? To pytanie zasadza się wprawdzie na mylnem przypuszczeniu, że każdy król, który panował w okresie asyryjskiego kanonu, musi być w tymże kanonie po imieniu nazwany; ponieważ wspomniany kanon nie jest spisem królów, ale tylko eponymów, zatem nie dziw, jeśli król, który niewiele lat panował lub do tego może przez naganne zachowanie się nie zasłużył sobie na eponymat, pominięty jest w kanonie. Zresztą i nie wszystkim eponymom przysługiwało prawo nieśmiertelnego życia w świętej księdze kanonu, bo jeśli, co jest prawdopodobnem, do walki o tron stawały dwa przeciwne sobie obozy eponymów, niewątpliwie zwycięski tylko obóz znaleźć mógł poczesne, innym śmiertelnikom niedostępne miejsce w kanonie. Ponieważ zaś Sargos był prawdopodobnie uzurpatorem, który się nawet targnął na poważne imiona swych poprzedników i dowolnie je poprzeręcał, nie byłoby zgoła dziwnem, gdyby nie zostawił w historii żadnych śladów po sobie.

Ponieważ 19 wiersz rozdziału 15-go i 5 wierszów (5—9) 16-go rozdziału 2 Księgi królewskiej sięgają poza rządy Salmanassarida, jak to znać z historycznych notat w przedmiocie rządów Phaceusza, a dziesiąty fragment aż do dwunastego nie przystają bynajmniej do osoby Sargona, to dla rządów asyryjskiego króla, któremu autorstwo tychże fragmentów bezsprzecznie należy, wypada czas między r. 721 i 720. To też i w III kanonie asyryjskim widzimy ten okres uwydatniony jako okres osobnych rządów, który bardzo dobrze odpowiada Teglát-Phalasarowi. Może być że tenże król miał imię, które tak różne było od imienia Teglát-Phalasara, jak się różnią Tukultipalisarra i Phul między sobą, lub Salmanassarid i Ululai, lub wreszcie Sargon i Salmanassar; a ponieważ trzechletni okres pomiędzy rokiem 722 i 720 jest normalnym czasem rządów dla eponymu z r. 721, zatem Nabutaris może być łątwo, i jest prawdopodobnie królewskim imieniem Teglát-Phalasara.

W skutek pomieszań i poprzekręcań imion z tego okresu w kanonie III, nie da się na pewne rozstrzygnąć, czy nazwisko Nabutarisa poprzedzał znaczek służący do wyrażania królewskiej godności (sarru król); brak zaś onego znaku, który się spostrzega w 1 kanonie przy nazwisku Nabutarisa, zgadza się z tą okolicznością, że tenże egzemplarz kanonu oblicza panowanie Sargona na rok 722 przedłużając je do roku 720, i z faktem uzurpacyi Sargona najdokładniej się zgadza.

Na podobne rozgraniczenie rządów, jakie znajdujemy w III kanonie, godzi się najzupełniej pismo przysądzone Sargonowi¹ które rok 711 zowie 9 rokiem panowania Sargona, a zatem pierwszy rok jego rządów oblicza na rok 719. Eponymat Sargona z r. 719 zgadza się z podanemi wyżej okolicznościami, i nakazuje sądzić, że przed r. 719 nie był jeszcze Sargon prawdopodobnie obwołany powszechnie królem. Zresztą nikt nam nie broni przypuścić, że między r. 722 i 720 był Sargon tylko zarządcą bez charakteru królewskiego, i że dopiero w niejaki czas potem zaczął się ubiegać o wakującą koronę.

Podane wyżej fragmenty (10—12) i odpowiednie im miejsce królewskiej księgi (2 Kr. XV, 19 i XVI, 5—9) w połączeniu z wywierającemi naówczas potężny wpływ okolicznościami, których naturę jużesmy bliżej poznali, zapewniają rządowi Teglath-Phalasarowi w asyryjskim kanonie okres czasu między r. 722 i 720; dla lepszego zaś rozpatrzenia rzeczy podajemy katalog królów dzierżących królewskie jabłko Assura od r. 745 do 705.

Tukulti-palisarra-Phul 745—728.

Salmanasarid-Ulaki 727—723.

Teglat-Phalasar-(Natabaris) 722—700.

Sargon-Salmanassar 722—720 rządcą 720—705 samorządcą.

Ponieważ tedy na podstawie niezmiennych świadectw starego Zakonu i jego chronologicznych danych udało nam się zestawić i wypełnić listę królów Judy i Izraela, zasiadających na tronie w 4 dziesiątkach lat (745—705) a która stoi w ścisłym związku z danymi asyryjskimi, to już pochlebiać sobie możemy, żeśmy dowiedli zgody między datami biblijnymi a rachubą czasu asyryjską.

¹ Smith. 11, Assyri. Discov. s. 279.

Chronologiczna tablica królów Judy i Izraela od r. 749 do r. 705.

Bezwzględny r. 738, a 6smy panowania Phala jest niewątpliwie rokiem haraczu Manahema; rok zatem możliwie najwcześniej kładący koniec 20 letniemu panowaniu Phaceusza (Pekach) jest r. 717; ponieważ zaś śmierć Phaceusza i Razina (Rezin) jakoteż ucieczka Hanna z Gazy miały miejsce w jednym i tym samym roku, a Hanno już w r. 720 wziętym został przez Sargona w niewolę, wynika więc, że r. 721 jest najpóźniejszym, w którym Phaceusz mógł być zabitym. Jeżeli zaś śmierć Phaceusza obliczamy na r. 720, to ostatni rok trzechletniego obleżenia Samaryi nie przypadnie więcej na czas panowania Sargona Salmanassara; jeżeli zaś śmierć Phaceusza odłożymy na r. 722, tem samem pozbawiamy chronologiczną tablicę panowania Judy związku, jaki ma z 588 rokiem obleżenia Jerozolimy.

Ponieważ śmierć Phaceusza przypada na r. 721, zatem 20-letnie jego panowanie zaczyna się w r. 740, i sięga aż do rządów Manhema, który w r. 738 spłacił haracz Phulowi; początek zatem panowania Phaceusza po śmierci Phaceja, w 52 r. panowania Azaryasza, nie był początkiem legalnych, ale tylko samowładnych jego rządów, Phaceusz mianowicie był przedtem anti-królem, a jego rządy przeciwstawione rządowi jego współzawodnika. Dla rządów Manahema, które się zaczynają w 39 r. Azaryasza, przeznacza 2 Królewska księga (r. XVII w. 17) tylko lat 10, z których ostatni tj. 48 jest rokiem panowania Azaryasza, chociaż ta sama księga na innem miejscu (r. XV w. 22—23) przyznaje temuż Manahemowi 2 jeszcze lata tj. do wstąpienia na tron jego syna i następcy w rządach w 50 roku Azaryasza. Ponieważ zaś to ograniczenie czasu panowania Manahema do lat 10 przypada jednocześnie z rządami przeciwstawionymi przez Phaceusza, to dla antirządów zaczynających się w r. 740 wypadnie peryod czasu od 48 do 52 r. Azaryasza, tak że pierwszy rok Azaryasza przypada na r. 787, a rok 740 jest 48-mym rokiem Azaryaszowym.

Juda.

Azaryasz 787—736; czas trwania rządów 52 lat.

Joathan 739—724. Początek 2 roku Phaceusza. Trwanie rządów 16 lat.

Achaz 724—709. Początek 17 roku Phaceusza. Trwanie rządów 16 lat. Ezechiasz 710—682. Początek 4 (izr. 3) roku Ozeasza. Trwanie rządów 29 lat.

Izrael.

Samorząd Manahema 749—740. Początek 39 roku Azaryasza; 2 inne lata niedostające do 50 lat Azaryasza wynikają z 2 księgi Królewskiej (XV, 22—23). W przeciągu tych dwóch lat antykrólestwo Phaceusza. Phaceja 738—737. Początek 50 roku Azaryasza 2 letnie trwanie rządów; tym ostatnim współczesne anti-królestwo Phaceusza.

Phaceusz 740—707 anti-król. Samorząd 736—721. Pierwszy rok samorządu Phaceusza odpowiada 52-u Azaryasza 20 lat współnych rządów.

Ozeasz. Powstanie w 20 roku Joathana z uwzględnieniem regencji Joathana. Namiestnik Izraela 721—713. Królestwo 713—705. Początek 12 roku rządów Achaza. Trwanie rządów 9 lat.

Ponieważ 4 rok Ezechiasza odpowiada 7-mu Ozeasza, a 6 Ezechiasza 9-mu Ozeasza, wynika stąd, że 1-szy rok Ezechiasza przypada na 4 rok panowania Ozeasza. Czemu zaś w 2 księdze Król. (XVIII, 1) znajdujemy 3 rok Ozeaszowy w miejscu 4-go, tłumaczy się to zaszłą u Żydów zmianą w obliczaniu roku, i stąd owa różnica w rachubie czasu.

Nie nadto nie sprzeciwia się przypuszczeniu, że Achaz został wysłany przez ojca swego Joathana r. 732 w poselstwie do Damaszku do króla Tukultipalisarra, w takim zaś razie wystąpienie osoby Jankhazi na liście haraczu między r. 733 i 732 da się łatwo wytłumaczyć.

W ten sposób podana lista królów Judy i Izraela między r. 749 i 705 zgadza się najdokładniej ze znanym wykazem królów asyryjskich, którzy zasiadali na tronie Asurowym między r. 745 i 705, świadectwa zaś asyryjskie co do pomiaru czasu z danymi biblijnymi uzupełniają się wzajem i potwierdzają; za to czas rządów Ezechiaszowych przedstawia pewne trudności, których zbada nie osobnego studyum wymaga.

Okres rządów Ezechiasza.

Roku przed Chrystusem Panem 696, a w 15-tym swych chwalebnych rządów powalony Ezechiasz ciężką chorobą na łożę, musiał pomyśleć o rozporządzeniu swym domem; odebrany od Pana rozkaz nie pozwalał mu sprawy zwlekać, a chodziło mu głównie o zamianowanie następcy a tymczasem spółnika w rządach; był nim syn jego Manasses, którego wstąpienie na tron ojcowski, skutkiem rychłego zamianowania, oblicza historyja na r. 696. Że kreacya królewska Manasses nastąpiła w 15 roku rządów Ezechiaszowych, znać to z przedłużonego przez biblijnego pisarza wieku Ezechiasza, mianowicie autor ksiąg królewskich zwykł przy obliczaniu lat panującej głowy brać w rachubę te także lata, których bardzo nieznaczna nieraz część należała do lat wstąpienia lub ustąpienia z tronu. Że zaś Izajasz nie pierwej odstąpił od łoża chorego króla i przyjaciela, aż się Pańskiemu rozporządzeniu zadosyć stało, nie ulega wątpliwości.

Trzeci pochód Sennacheryba miał miejsce w r. 701 tj. w 10 roku Ezechiasza, a skierowanym był na królestwa Judy, Egiptu, Etyopii, Filisty i Fenicyi. Królowie Egiptu i Etyopii zostali pokonani, Ezechiasz musiał, jak to stwierdza 2 księga Królewska (XVIII, 14—15) i napisy Sennacheryba, spłacić 100 talentów srebra i 20 złota, a do tego uleść zwierzchnictwu Asyryi (2 Król. XVIII, 7).

Po ustąpieniu Asyrów wypowiedział Ezechiasz posłuszeństwo Asyryi, i wydarte mu przez nich miasta podbił na nowo pod swą władzę (2 Król. XVIII, 7—8). W 14 roku Ezechiasza tj. r. 697 lub raczej z wiosną r. 696 przed zmianą żydowskiego roku, obrócił Sennacheryb po raz wtóry swój oręż na państwo Judy, lecz ta wojna nie zakończyła się, jakby się zdawało, za czasów choroby Ezechiasza, gdyż ten wraz z uzdrowieniem odebrał obietnicę, że i on i Jerozolima zostaną uwolnione z niewoli asyryjskiej. Podług przepowiedni, którą opiewa 2 księga Królewska (XIX, 29) trwała wojna Asyryi z Judą aż do r. 694 bez żadnych widoków dla Asyryi, gdyż Asyrowie nie mieli zbierać plonu z pierwszego roku walki, a drugi rok jako rok szabatu czyli święta Pańskiego miał rzucić wszystkie owoce i korzyści walki pod nogi ludu Bożego. Ponieważ r. 588, który był rokiem zdobycia Jerozolimy, był rokiem

szabatowym, to musiał nim być i rok 693, gdyż żaden inny prócz niego nie odpowiada lepiej warunkom i stosunkom ujętym w ramy przepowiedni.

Z upadkiem i zniesieniem wojska asyryjskiego, wiąże się nader ściśle wystąpienie Merodacha Baladana, który podług ptolomejskiego kanonu zdobył r. 693 berło Babilonu, i panował tam aż do r. 689.

W świadectwie 2 księgi Królewskiej odnoszą się wiersze 14—16 rozdziału 18-go do pierwszego pochodu podjętego w r. 701, o którym Sennacheryb w swych pismach szeroko rozpowiada, zaś to samo świadectwo od 17 w. 18 rozdziału do 37 w. 19 r. odnosi się, zgodnie z kronikami i świadectwem Izajasza, do drugiego pochodu.

Ponieważ 13 wiersz rozdziału 18 drugiej księgi Królewskiej, który jest wstępem do całej tej opowieści, podaje 14 rok Ezechiasza w miejsce 10-go, powstaje trudność i pytanie, w jaki sposób dałaby się ona rozwiązać.

Rozwiązanie trudności polega na przypuszczeniu, że w Królewskiej księdze (2 Król. XVIII, 13) stała pierwotnie liczba 10, i że porównanie świętego tekstu z 36 rozdziałem Izajasza, dało pochop do zrobienia słusznej, jak sądzono wówczas, poprawki, mianowicie do zmiany liczby 10 na 14; możliwem jest też i to, że wiersze Królewskiej księgi (2 Król. XVIII, 14—16) wciągnięto jako parantezę sięgającą w odleglejsze czasy, w historię drugiego pochodu; nieuwzględnienie zaś czasu zaprzeszłego, którego niema w hebrajskim języku, spowodowało niejasność, i uniemożliwiło dokładne oznaczenie czasu. Zapatrywanie to potwierdza wyrażenie Królewskiej księgi (2 ks. Kr. XVIII, 16) *ba'eth habi*, „w tym samym czasie“.

Że zaś Sennacheryb nie zrobił w swych pismach żadnej zgola wzmianki o zniesieniu i zupełnej klęsce swego wojska, jest łatwem do zrozumienia.

Tablica chronologiczna królów Judy od Manassesa do wzięcia Jerozolimy.

Manasses 696—642. Trwanie rządów 55 lat. Amon 641—340. 2 lata samorządu; wspólne rządy — ich trwanie 12 lat

podług siedemdziesięciu, z których 10 lat przypada na regencyę spowodowaną niewolą Manassesa; początek niewoli przypada zatem na r. 651, w którym lydyjski Gyges i egipski Psametych skojarzyli się przeciwko Asyryi¹.

Assurbanipal mówi przy końcu swej trzeciej wyprawy o koalicji Gygesa z Psammetrychem, o wyniku zaś rozprawy na korzyść Asyryjczyków nie wspomina. Asyryjczycy w skutek powstania Psammetrycha z Egiptu wypędzeni, uprowadzają w czasie odwrotu Manassesa ze sobą, w skutek zaś uprowadzenia Manassesa do Babilonu, Samassumukin brat Assurbanipala i zarządca Babilonu nie może połączyć się z Psammetrychem. Z powodu powstania Samassumukina musiano Manassesa wypuścić z więzienia babilońskiego. Po powrocie Manassesa pozostał Amon współrządcą. Prawdopodobną jest rzeczą, że wskutek regencji Amona, zmiana roku nastąpiła pomiędzy ostatnim rokiem rządów Manassesa, a pierwszym samorządu Amona, przyjąć zaś zmianę roku zmusza nas czas rządów Jozyaszowych, który z rokiem zdobycia Jerozolimy dokładnie się zgadza.

Joziasz 640—610. Początek roku śmierci Amona; trwanie rządów 31 lat.

Joahaz 610. Początek w roku śmierci Jozyasza; trwanie rządów 3 miesiące.

Joakim 609—599. Trwanie rządów 11 lat. Z Jeremiasza (XXV, 1—3) daje się wywnioskować zmiana roku pomiędzy rokiem śmierci Jozyasza, a początkowym rokiem rządów Joakima.

Joachin 3 miesiące i 10 dni.

Sedecjasz 598—588. Trwanie rządów 11 lat. Podług ksiąg Królewskich (2 król. 24, 12; 25, 8) i kronik (2 Kron. 36, 10) miała nastąpić zmiana roku pomiędzy rządami Joakima i Sedecjasza.

Zdobycie Jerozolimy 588.

Rok 518 odpowiada, podług ptolomajskiego kanonu, 4 rokowi rządów Daryusza I; podług Aggeusza rozpoczynają się rządy Daryusza w Palestynie równocześnie z rządami Nizana, a zdobycie Jerozolimy miało miejsce podług Zacharyasza (VII, 1—5) 70 roku przed 4 rokiem rządów Daryusza.

¹ Porównaj Floigl, Cyrus i Herodot. S. 126—131.

Poczet królów od Azaryasza do Jozafata.

Z rokiem 740, który odpowiada 48-mu Azaryasza, wiąże się następujący szereg królów od Azaryasza do Jozafata, w którym wypadnie nam zauważyć współczesność niektórych królów Asyryi i królów Izraela i Judy między sobą.

1 rok Azaryasza 787 = 4 rok Jeroboama II.

1 „ Jeroboama II, 790 = 15 Amazyasza.

1 „ Amazyasza 804 = 2 r. Joasza z Izraela.

1 „ Joasza z Izraela 805 = 37 Joasza z Judy.

1 „ Joasza z Judy 841 = 7 rok Jehu.

1 „ Jehu 847 = 12 Jorama z Izraela.

1 „ Jorama z Izraela 858 = 18 Jozafata.

858 r. = początek współrządów Jorama z Izraela.

5 r. Jorama z Izraela 854 = 1 Jorama z Judy.

2 r. Jorama z Judy 853 = 1 Jorama z Izraela.

853. Początek samorządu Jorama z Izraela, a koniec rządów Achabowych, co też potwierdza jego współczesność z Salmanasarem II.

Jehu 847—820. Wojna Salmanasara II z Hazaelem; roku 842 składa Jehu daninę Salmanassarowi II.

Azaryasz 787—736; współczesny Tukultipalisarra-Phulu między r. 745 i 736.

Dokładna zgodność 2 odrębnych chronologii asyryjskiej i biblijnej, pomimo ich wzajemnej niezależności, jest dowodem ich prawdziwości. Ponieważ zaś dla okresu pośredniczącego między rządami Jozafata i Salomona niema dotychczas po stronie asyryjskiej żadnych współczesnych danych, mógłby dla uzupełnienia historii tego okresu posłużyć badaczowi związek rządów Salomona z historią Tyru.

Wykaz rządów od Jozafata do Salomona.

1 rok Jozafata 875 = 4 rok Achaba.

1 „ Achaba 878 = 38 Azy.

1 „ Azy 915 = 20 Jeroboama.

1 „ Jeroboama 954 = 40 Salomona.

1 rok Salomona = 973.

4 „ Salomona 970 = 12 Hirama z Tyru.

Współczesność 12 roku Hirama z rokiem 970 da się w następujący sposób wykazać:

Ponieważ 1-szy rok po założeniu Rzymu odpowiada 753 rokowi przed Chrystusem, to rok założenia Rzymu przypada na rok 754; ponieważ zaś, według Justyna, Kartagena została założoną 72 lat wcześniej od Rzymu, to założenie Kartaginy w 7 roku tyryjskiego króla Pygmaliona przypada na r. 826. Józef Flawiusz w swem dziele (c. A. 1, 18) oblicza początek budowy świątyni Salomona na 12 rok rządów Hirama, a na podstawie rządowej chronologii królów Tyru, udzielonej mu od Menandra przebieg czasu między 7 rokiem Pygmaliona a 12 Hirama oblicza na 143 lat i 8 miesięcy. Po takim rozumowaniu dowodzić współczesności 12 roku Hirama i 4 Salomona z r. 970, już więcej nie potrzeba.

Skorośmy już rozwiązali wszystkie znane nam dotychczas trudności, pozostaje nam tylko streścić osiągnięte zdobycze, w celu łatwiejszego poglądu na nie; do tego posłużą następująca tablica.

Chronologiczna tablica biblijno-asyryjska.

Salomon 973.

970; początek budowy świątyni w 4 roku Salomona, a 12 Hirama.

Salmanassar II 858—824.

Achab 878—853.

854. Wojna Salmanassara II z Achabem i Benhadadem; bitwa pod Karkar.

Jehu 847—820.

842; wojna Salmanassara II z Hazaelem; Jehu płaci haracz Salmanassarowi.

Azaryasz 787—736.

Tukultipalisarra-Phulu 745—727.

742—740; Phul współczesny Azaryaszowi.

Manahem 749—738.

738. Manahem z Izraela, Razin z Damaszku, i Hiram z Tyru płacą haracz. Phake izraelskim anti-królem.

Phaceasz (Pekach) 740—721.

Joathan 739—724.

734. Pochód Asyrów na Filistę.

733—732. Wojny Tukulti-palisarra-Phulu z Razinem z Damaszku, z Phaceuszem z Izraela, z Tyrem i z Arabią. Arabska królowa Samsi poddaje się asyryjskiemu zwierzchnictwu.

Na liście haraczu, która jest częścią głównego pisma Tukulti-palisarry wymienieni są: Sanib z Ammonu, Salman z Moab, Mitinti z Askalonu, Jaukhazi z Judy, Kamusmalak z Eden, Hanno z Gazy.

Salmanassarid-Ululai 727—722. Tenże Salmanassar jest prawdopodobnie identycznym z Salmanem księgi Ozeasza (10, 14), i 9 fragment, podług Smitha, jemu należy przypisać¹.

Achaz. 724—709.

724—723. Wojny Razina z Damaszku i Phaceusza z Izraela z Achazem.

Teglat-Phalasar 722—720.

Sargon-Salmanassar 722—720; 720—705.

722. Teglat-Phalasar ciągnie na Damaszek, a Sargon zdobywa Samaryę.

721. Razin i Phaceusz zostają zabici; królowa arabska zmuszona szukać bezpieczeństwa na pustyni; Hanno z Gazy ucieka do Egiptu; Mitinti z Askalonu popada w wielką obawę z powodu porażki Razina; Ozeasz zostaje zarządcą Samaryi.

720. Sargon pod Rafą pobija na głowę egipskiego króla i uprowadza Hanna z Gazy.

Ozeasz królem Izraela 713—705.

711. Azuri z Azotu, który się połączył z ościennymi książętami, pokonany przez Sargona i z tronu złożony. Prawdopodobnie w okresie lat 713—711 odpadł Ozeasz od Asyrii; musiał się na nowo poddać Sargon-Salmanassarowi.

Ezechiasz 710—682.

707. Sargon-Salmanassar rozpoczyna oblężenie Samaryi.

705. Zdobyć Samaryi. Śmierć Sargon-Salmanassara.

Sennacheryb 705—782.

¹ Smith, Assyr. Discov. p. 281.

701. Trzeci pochód Sennacheryba; królowie Egiptu i Etyopii pokonani; Ezechiasz zmuszony poddać się Sennacherybowi i spłacić znaczny haracz.

697 lub 696. Wymarsz Sennacheryba, który w 14 roku Ezechiasza, prawdopodobnie jeszcze przed żydowską zmianą roku, zwrócił się przeciwko Judzie 696.

696. Choroba i uzdrowienie Ezechiasza; obietnica ocalenia Jerozolimy; początek współrządów Manasses.

Manasses 696—642.

694. Asyryjskie wojsko zniesione, gdy król etyopski był jeszcze daleko.

Merodach-Baladan czyli Mesesi-Mordak 693—689. Poselstwo babilońskiego króla Merodach-Baladana do Ezechiasza (prawdopodobnie nie przed rokiem 982 tj. w 10 lat po haraczu Ezechiasza).

Asarhaddon 691—668. Manasses wymieniony na liście haraczów Asarhaddona, pomiędzy innymi 21 książętami.

Assurbanipal 668—626. Manasses jako obowiązany do płacenia haraczu, wymieniony na liście Assurbanipala pomiędzy 21 innymi książętami.

Saosduchin czyli Samassumukin, namiestnik Babilonu od 668 do 648.

651. Liga lidyjskiego króla Gygesa z Psammetychem przeciwko Asyrii. Prawdopodobnie początek niewoli Manasses i wspólnych rządów Amona.

648. Powstanie Samassumukina przeciwko Assurbanipalowi, i, jak się zdaje, uwolnienie z więzów Manasses.

Amon 641—640.

Joziasz 640—610.

Necho król Egiptu 610—594.

Joachaz 610.

Joachim 609—599.

Joachim.

Sedecyas 598—588.

588. Zdobyć Jerozolimy roku szabatowego, w 70 lat przed 4 rokiem panowania Daryusza I.

Wiara w autentyczność dat podawanych przez księgi Królewskie została u niektórych egzegetów z powodu poszukiwań i poglądów asyryologicznych tak dalece nadwątloną, że stawiano sobie już pytanie, czy historyczny wątek tychże ksiąg nie jest może pozbawionym natchnienia, które przyznajemy Pismu świętemu; jak zaś silny wpływ wywarły twierdzenia asyryologów na prace egzegetów, wiadomem jest zbyt dobrze znawcom nowej literatury teologicznej. Aby zatem usunąć wszelkie wątpliwości, ubliżające wielce świętości ksiąg biblijnych a nam samym bardzo szkodliwe, stawiliśmy dowód, który nie tylko silnie przemawia za wiarygodnością ksiąg Królewskich, ale nadto zapewnia historyi biblijnej 2 silne punkta oparcia, mianowicie rok 970 jako początek budowy świątyni i r. 1449 jako rok wyjścia Izraelitów z Egiptu“.

Z Palestyny.

Nieżyczliwe sądy o Palestynie. — Czy prawdziwe? — Różne zwyczaje. — Zaręczyny i wesele. — Małżeństwa mieszane. — Chrzty. — Nabożeństwa. — Postać i ubiór. — Ruiny. — Starożytne pamiątki. — Litwin w Tyberyadzie. — Tabor. — Karmel. — Wiadomości bieżące.

Nasz poeta, nieśmiertelny Adam Mickiewicz w księdze *Narodu polskiego* wzniosłe poświęcił uwagi kolebce naszego Zbawienia; czyż nie słuszną, abyśmy idąc za dobrym tym przykładem czasami przynajmniej myśli w tę stronę zwracali. Dziś nie idzie o to, aby się bić o Palestynę, ale o to, aby Ziemia św. nie wyszła z pamięci i ze serca naszego. Są tacy, którzy w najgorszem świetle przedstawiają Palestynę, czynią dorywcze porównania już to na niekorzyść tutejszych zakonników św. Franciszka Seraf., już to chrześcijan katolików. Zamiast uczynić Ziemię św. miłą i do jej zwiedzania zachęcić, wstręt ku niej wzbudzają. Czy dobrze robią i rzecz godziwą spełniają, nad tem się nie zastanawiają. Nie wchodząc w bliższy rozbiór rzeczy, na razie to mogę śmiało powiedzieć, że wiele notatek o Ziemi św. rozsiewanych bywa jednostronnie, dorywczo. Jak wszędzie tak i tutaj są cienie i światło, są lu-

dzie dobrzy i źli, są okolice czarujące jakoteż i takie, które na smętny i poważny ton nastrajają. Że Judea, Samarya, Galilea zawierają wiele osobliwości godnych widzenia, są tego dowodem obfite i bogate albumy we Francyi wydawane z widokami Ziemi św. Same ruiny dawnej sztuki chrześcijańskiej na Wschodzie, a których tak gęsto jest w ziemi św., powinny być bodźcem dla naszych archeologów, konserwatorów, aby je zwiedzali i naszą polską publiczność z niemi zaznajamiali.

Na Judei najbardziej wycisnęła chłosta Boża swoje piętno, za to Samarya a jeszcze więcej Galilea obfitują w wdzięki przyrody. Ostatnia jest w całym tego słowa znaczeniu ogrodem Palestyny. Przekonałem się o tem naocznie, kiedy niedawno wszedłem i wzdłuż objechałem całą Palestynę. Pod względem moralności, trzeźwości i innych cnót, katolicy zasługują na życzliwą ocenę. Już ten jeden szczegół, że się trzymają wiernie Kościoła św., że w pośród schyzmy i fanatyzmu Muzułmanów przechowali w głębi duszy perłę ewangeliczną, tj. wiarę św., że dla niej cierpieli prześladowania i życie dla niej poświęcali, ten szczegół, powiadam, wystarcza, aby katolików palestyńskich sumiennie sądzono.

Przypatrzmy się niektórym tamecznym zwyczajom. Zaczniemy od zawiązku familijnego. Oto zaręczyny nigdy nie odbywają się bez współudziału proboszcza. Narzeczona od chwili zaręczyn nie może widywać swojego przyszłego męża, a kiedy wychodzą zapowiedzie, z domu nawet na krok się nie wydała. Wesele obchodzi się przez kilka dni przed ślubem, ale w ten sposób, że u panny młodej bawią się same niewiasty, a u nowożeńca sami mężczyźni. Do ślubu idą również osobno. Pannę młodą, całkiem zasłoniętą prowadzą same niewiasty, pana młodego, jego towarzysze. Na ślubnym kościele nowożeńcy się nie widzą dla grubej zasłony, która pokrywa pannę młodą. Od ołtarza z tym samym ceremoniałem odchodzą poślubieni do domu. Panna młoda wciąż zasłonięta postępuje w gronie niewiast śpiewających, a pan młody z swoimi towarzyszami wśród śpiewów i wystrzałów o ślepych nabożach a nawet tańców zdąża ku domowi swojemu. Po weselu zakończającym ślub, odprowadzają pannę młodą do domu jej męża. Ten to zwyczaj sprawia, że narzeczeni daleko godniej niż u nas przygotowują się do św. sakramentu małżeństwa. Stosunek dzieci do rodziców

jest iście patryarchalny. Córka zwłaszcza objawiając swoją wolę co do wyboru męża zwykle powiada: „jeśli mój ojciec lub matka na to zezwoli“. Mieszanych małżeństw tu niema. Do tego przyczynia się surowa karność, nad którą czuwa patryarcha jerozolimski. Nie dawno na jedną betleemitankę publicznie interdykt rzucono za to, że poważyła się poślubić schyzmatyka¹. Namowa do zawarcia małżeństwa mieszanego należy do rezerwatów patryarchy. Tym sposobem zapobiega się indyferentyzmowi, wzrostowi schyzmy, która inaczej łatwoby się mogła dostać i do katolickich domów. Chrzty dzieci odbywają się w samym dniu narodzin lub najdalej do dnia ośmiu i zawsze w kościele. Dzieci chrześcijańskich rodziców są starannie wychowywane i przyjemnie odbijają od zaniedbanych dzieciaków muzułmańskich. Te ostatnie po wsiach proszą o bakszysz i są natrętne, tymczasem kiedy dzieci katolików nie występują nigdy z czemś podobnem.

Do spowiedzi tak mężczyźni jak i kobiety przystępują częściej w roku. Nabożeństwo i cześć ku N. Maryi Pannie jest bardzo gorąca. W Betleemie np. niewiasty umieją całe officyum o Matce B. na pamięć i modlą się wspólnie przez cały miesiąc maj w Grocie mlecznej. Melodya pieśni arabskich ku czci Maryi jest pełna rzewności. Z uszanowania ku Matce Bożej żadna niewiasta nie poważy się powąchać bukietu, który przygotowała ku ozdobie Jej ołtarza. Na mszę parafialną schodzą się tłumnie. Niewiasty zajmują jedną a mężczyźni drugą stronę kościoła. Przy wyjściu z kościoła przestrzegają tego porządku, że najprzód wychodzą mężczyźni, a potem niewiasty. Rzadki też wypadek, aby ktoś umierał bez św. sakramentów. Ciało wnoszą zawsze do kościoła, a żałobni przyjaciele lub krewni przez cały czas pogrzebu odmawiają Różaniec. Niewiasty publicznie w towarzystwie mężczyzn się nie okazują i zawsze są zasłonięte, chociaż w Jerozolimie i Jaffie od tego zwyczaju odstąpiono; również w Betleem i Nazarecie kobiety twarzy nie zasłaniają: wyjątek w tym względzie stanowią Turczynki. Najbardziej malowniczym jest ubiór betleemitanek. Na całym Wschodzie a więc

¹ Ambasada francuska przeniosła przed paru miesiącami kanclerza konsulatu francuskiego w Jerozolimie do Egiptu, że się poważył poślubić katoliczkę.

i w Palestynie malowanie twarzy i rąk należy do powszechnie przyjętego zwyczaju. W Jerozolimie, w Betleemie, Nazarecie i t. d. katoliczki używają tej okrasy rzadko i skromnie, ale Turczynki w haniebny sposób się szpecą. Jerozolemitanki kochają się w branzoletach, betleemitanki w naszyjnikach z monet srebrnych układanych. Turczynki ozdabiają czoło swoje gęstym zwojem srebrnych dużych monet. Stroje mężczyzn są gustowne i poważne. Ulubioną ich zabawką jest koronka perłowa lub bursztynowa. Bez niej nawet w czasie przechadzki żaden Arab się nie obejdzie.

Pod względem pamiątek biblijnych w Samaryi na szczególną uwagę zasługują ruiny miasta *Sebasty*; rzeczoznawcy orzekli, że w całej Palestynie równych im niema. W Galilei: Seforis, Tabor, Betsaida i Kafarnaum ruinami swojemi przypominają nam dawną swą świetność. O dwie godzin od Jerozolimy, we wiosce *El-bire* są dość dobrze zachowane resztki kościoła z czasów krzyżowców; niemieckie towarzystwo *Palestina Verein* nosi się z myślą zakupu tych ruin. Do *El-bire* przywiązana jest tradycja, że tu spotrzągała N. Marya Panna nieobecność 12-letniego syna swego. Między Jerozolimą a tą wioską są dość znaczne ślady dawnej rzymskiej drogi. W jednym zaś miejscu leży kawał słupa milowego.

Oprócz wyżej wspomnianego miasta *Sebasty* bogaty materiał do pobożnych rozmyślań podaje Samaryja w następujących punktach: w Sila, gdzie tyle wieków stała arka pańska, studnia Jakubowa czyli Samarytanki, wraz z polem Jakóba patriarchy, i grobowcem jego syna „Józefa egipskiego“. Tuż w pobliżu studni Samarytanki wznoszą się góry: *Garizim* i *Hebal*, na których niegdyś lewici wobec ludu izraelskiego głosili błogosławieństwa i przekleństwa. Również w Samaryi leży dolina Sanur wraz z górą tegoż imienia, z którą podanie łączy wypadek opowiedziany w historii o Judycie i Holofernesie. Ksiądz atoli z patriarchy jerozolimskiego, G. Khalil Marta, wydał zeszłego roku broszurkę, p. t. *Intorno al vero sito di Betulia* drukowaną we Florencyi, gdzie tej tradycji dość silnie przeciwstawia argumenty, i upatruje Betulię bliżej Esdrelonu, w miejscowości zwanej, „Harajeq el Mallah“. Wszakże autorowie w tym punkcie nie zgadzają się. Na pograniczu Samaryi i Galilei leży miasto Dżenin. Tu Chrystus Pan uzdrowił dziesięciu trędowatych. Poza Dżeninem leży prześliczna dolina Esdrelonu, otoczona ze-

wsząd górami, a Cison srebrną swoją wstęgą dodaje jej uroku i użyźnia ją. Po prawej ręce doliny witają nas góry *Gelboe*, pamiętne śmiercią Jonaty i Saula, dalej mniejszy *Hermon* z ewangelicznym miastem Naim, nareszcie osobno stojąca a urocza góra Tabor. Po lewej ręce wspomnianej doliny ukazuje się Karmel, a przed nami góry Nazaretu. Nim wpoprzek przebyliśmy urodzajną dolinę Ezdrelonu upłynęło pięć godzin.

Nazaret na górze położony, amfiteatralnie zbudowany, swojemi domami ku wschodowi zwrócony, przywodzi na pamięć „owo Słońce sprawiedliwości, owo Słowo odwieczne, które tu z Maryi Panny weszło“. W kościele naszym, który jest zarazem i parafialnym, dary naszego Monarchy, a zwłaszcza ołtarz marmurowy N. Maryi P. (wartości 40,000 franków), i obraz Błg. Ziomka naszego, Jana z Dukli mile wywołały wspomnienia. Blisko Nazaretu znajduje się Seforis, miejsce mieszkania św. Anny i Joachima, Kana Galilejska z pięknym kościółkiem i hospicyum, a na drodze ku Tyberyadzie, po lewej ręce mamy górę błogosławieństw, górę rozmnożenia chleba i dolinę Hattin, pamiętną nieszczęsną dla krzyżowców bitwą w r. 1187. Tyberyada z przyległym jeziorem leży w dolinie. Gorąco też tu panuje nie do wytrzymania. Łacinników mieszka tu tak niewielu, że ich na palcach policzyć można. Między nimi jest litwin, Piotr Ginwıld. Jako lekarz osiadł tu ze swoją matką przed laty piętnastu. W chwilach wolnych od praktyki zawodowej, przygotowuje materyał do historyi o Wenedach. Spotkanie moje z tym staruszkim było bardzo serdeczne. W kościele naszym godne są widzenia trzy nowo ustawione ołtarze marmurowe, dar kilku dobrodziejów francuskich i statua bronzowa św. Piotra, na kształt takiejże w Rzymie będącej, upominek pielgrzymów bawarskich. Kościół nasz stoi na miejscu, gdzie św. Piotr odebrał od Chrystusa Pana najwyższy urząd w Kościele bożym.

Na okół Tyberyadzkiego morza leżą miasta: Kafarnaum, Betsaida i zamek Magdal, skąd pochodziła M. Magdalena. Magdal jest dziś wioską muzułmańską, a położenie jej jest bardzo urocze. Na barce rybackiej puściliśmy się przez morze, aby oglądać ruiny Kafarnaum i Betsaidy. Ile wspomnień ewangelicznych stanęło żywo przed oczyma, łatwo się domysleć.

Morze Tyberyadzkie i cała okolica na każdym kroku przypomina nam ważne wypadki ewangeliczne. Rybacy prości porzucili sieć materyalne, aby w sieć duchowną łowić ludzi. Jakże nie zdumiewać się, jeśli się rozważy, że ci prości rybacy z nad jeziora Genezaret czyli Tyberyadzkiego, dali początek Kościołowi, który dziś liczy około dwieście pięćdziesiąt milionów katolików! Zaiste cudowna potęga Boża. Jezus, który ucizył na tem morzu burzę, ileż razy w przeciągu XIX wieków osłonił swój Kościół od groźniejszej jeszcze burzy!

Z Tyberyady podążyłem na Tabor. Góra, co się zowie, piękna. Widok z niej iście zachwycający. Całą okolicę najwygodniej oglądać stąd można. Góry Karmelu, Nazaretu, większego Hermonu, górę błogosławieństw, część szyby morskiej Genezaretu, dolina Ezdrelonu, góry Gelboe, mniejszego Hermon, wszystko to razem stanowi tak piękną panoramę, że trudno od niej oczy oderwać. Tu na Taborze Chrystus się przemienił. Ojcowie naszego zakonu otrzymali z niemałym trudem przed 14 laty od rządu tureckiego kawał gruntu, na którym zbudowali kaplicę i hospicyum dla pielgrzymów. Obecnie rezyduje tu z dwoma braciszkami polak O. Alfons Dombrowski, rodem z Cieszkowa. Jak w Nazarecie z O. Jakubem Kałczyńskim, tak tu w Taborze z O. Alfonsem nadarzyła się sposobność mówienia, o drogiej naszej ojczyźnie. Na jej też intencję odprawilem mszę św. Oby Bóg, który tu w obec apostołów okazał Bóstwo swoje, moc swą okazać nam raczył, a po dniach smutku i niewoli pozwolił odetchnąć nam swobodniej.

Z Taboru podążyłem ku Naim, gdzie w r. 1880 ojcowie naszego zakonu wznieśli obszerną kaplicę na miejscu cudownego wskrzeszenia młodzieńca. To niech będzie wyjaśnieniem, na co obracają zakonnicy nasi jałmużnę z całego świata nadesłaną. Wypłacać miejsca święte z rąk muzułmańskich, upiększać je kaplicami lub kościołami i hospicyami było i jest zadaniem naszego zakonu. Ułatwić pielgrzymom zwiedzanie miejsc ewangelicznych, dać sposobność kapłanom, aby tamże odprawiali msze święte, oto co stanowi pociechę naszą.

Ostatnie miejscowości, które zwiedziłem, były Kaifa, Akra i Karmel; wszystkie te trzy miejscowości są w bliskim sąsiedztwie a nadto położone są nad samem morzem śródziemnem. Karty hi-

storyi tych miejsc krwawemi są zapisane głoskami. O ile Kaifa się w ostatnim dziesiątku lat podniosła, dzięki kolonii Wirtemberskiej, o tyle Akra niezem osobliwszem poszczycić się nie może. Nadto w Akrze osiedli niedawno Babiinie. Jest to sekta, wypędzona z Persyi, licząca około 80.000 członków. Nauka tej sekty jest zlepkiem idei chrześcijańskiej, żydowskiej i tureckiej. Najdziwaczniejszem jest to, że cci Boga widomego w osobie człowieka, którego bóstwo przechodzić ma z ojca na syna. Ojcowie naszego zakonu mają tu parafię i szkołę. W Kaifie, ojcowie Karmelici bosi spełniają urząd pasterski. Bracia szkolni utrzymują kilkuklasową szkołę, a niedawno też przybyły tu Boromeuszki; Nazaretanki zaś mają pensjonat i dom sierót. Na Karmelu, w bazylice pociąga serce i oko pielgrzyma cudnie piękna rzeźba Matki Boskiej Karmelitańskiej. Zakonników obecnie tu mieszka 18 i należą do różnych narodowości. Tylko polskiej brakuje. Czyby nasza Czarna na to zdobyć się nie mogła, aby wysłała choć jednego kapłana na tę świętą górę? Pielgrzymi polscy, tak bardzo łaknący na tem miejscu spowiedzi św. i pociechy, będą wdzięczni swojemu rodakowi, któryby się na tę misję poświęcił. W klasztorze wyrabiają zakonnicy z ziół góry Karmelu ekstrakt zwany „melissą“, który ma być bardzo skuteczny na różne choroby wewnętrzne, a zwłaszcza w czasie cholery. Smak tej *melissy* jest prawie taki sam, jak znanego u nas balsamu Vectoriniego. Oglądając pyszną bazylikę, obszerny klasztor wraz z przyległą willą, nad którą wznosi się latarnia morska, patrząc na morze u stóp góry rozlane, doznaje się niezwykłego a błogiego uczucia. Latarnia morska stąd światło morzu i okrętom poselająca, jakże harmonizuje z tą czcią, jaką P. Marya tu odbiera!! Po tylu krwawych napadach, rozbojach „Gwiazda morska“ — Marya swojemu światłu na górze Karmelu zgasnąć nie dała¹.

Pożegnawszy Karmel podążyłem wzdłuż wybrzeża morskiego ku Jaffie, a stąd do Jerozolimy. O drogach powiem tyle, że jeszcze

¹ Ktoby obszerniej chciał zaznajomić się z historią góry Karmelu, temu polecić mogę książkę po francusku napisaną p. t.: *Le sanctuaire du Mont Carmel... par le R. P. Julien de s. Therese, Carme dechaussé. Marseille 1876.* Lektura tej książki wiele korzyści przynieść może, a zwłaszcza kapłanom i pielgrzymom.

wiele do życzenia pozostawiają, chociaż rząd turecki energicznie się do tej pracy zabiera. Obecnie na wielu miejscach buduje drogi np. z Tyberyady do Nazaretu, z Nazaretu do Kaify, z Jaffy i z Jerozolimy ku Napluzie (Sychem), z Jerozolimy do Ajn-Karem, z Betlejemu do Hebron i t. d. Na przybycie książąt rosyjskich i w samej Jerozolimie kilka ulic na nowo wybrukowano i kanalizację powiększono. Obaj wielcy książęta Sergiusz i Paweł swoim zachowaniem się na miejscach św. dali budujący przykład. Bez zaprzeczenia lepsze zrobili wrażenie, niż pamiątnik zmarłego Fryderyka pruskiego. Opis jego co do miejsc św. tyle zawiera fikcyi na niczem nieopartej, tyle szczegółów nieprawdziwych, taką niechęcią oddycha ku zakonowi naszemu, że cały ten materiał zasługuje na wiekuiste zapomnienie.

Z wiadomości bieżących notuję następujące wypadki: Rząd turecki chce usunąć pocztę austriacką z Jerozolimy. Byłoby to kłeską, bo tureckiej poczcie nie bardzo zaufać można. Konsulat francuski swoje depesze i korespondencye Francuzów przesyła osobnym posłańcem do Jaffy, a stąd na okręt francuski. W Aleksandryi po rezygnacyi ks. Anakleta Chicaro, nowym delegatem apostolskim został mianowany były kustosz ziemi św. a do ostatnich czasów gwardyan klasztoru w Assyżu, *O. Gwido Corbelli*. Od czasu erekcyi delegacyi w Aleksandryi za Piusa IX, *O. Gwido* jest piątym, bezpośrednio z rzędu zakonnikiem naszym, którego Stolica apostolska na tę godność wynosi. Oprócz niego z zakonu naszego są delegatami apostolskimi: *O. Ludwik Piawe* z rezydencyą w Bejrucie i *O. Gaudenty Bonfigli* mieszkający w Aleppo. Z pielgrzymek zanotować należy, że we wrześniu przybyli tu Francuzi w liczbie 28, a Austriacy w liczbie dwudziestu. Z dyecezyi tarnowskiej byli: ks. dr. *Jacek Tylka*, profesor seminarium teologicznego i ks. *Karol Fonferko* proboszcz. Niedawno bawiło dziesięć osób z okolic Warszawy. Pocziwy ludek polski! Czy z Galicyi będziemy kiedy mieli zastęp pielgrzymów? Do smutnych wiadomości należy wypadek śmierci ks. *Edwarda Petit'a*, wikaryusza jeneralnego dyecezyi paryskiej. Nieboszczyk przybył do Jerozolimy, aby na Kalwaryi i Grobie Chrystusowym uprosić u Boga albo zdrowie albo śmierć, ta druga dostała się mu w udziale.

Kiedy właśnie dokończałem tę korespondencję, nadeszła do Jerozolimy radośna wieść, że W. Porta wydała ferman na budowę kolei żelaznej z Jaffy na Jerozolimę ku Betleemowi i Hebronowi oraz na zbudowanie nowej przystani Jaffskiej. W dwóch latach mają być roboty skończone. Daj Boże!

O. Norbert Golichowski,
zakonu OO. Bernardynów.

Z dziedziny nauki i odkryć.

Przyczyna samobójstw. — Stan umysłu konających. — Pochodzenie nafty.

Samobójstwa przybierają zastraszające rozmiary, i to w całej Europie; każdy niemal dzień przynosi wieść o nowym wypadku, nawet kilka ich naraz, a są to jakieś wybitniejsze postacie; doroczne sprawozdanie statystyczne różnych krajów podaje przerażające liczby. Żaden jeszcze wiek w historii nie przedstawiał nic podobnego, samobójstwo jest specjalnie chorobą XIX-go wieku. Socjolodzy zajęli się badaniem przyczyn tej nowej plagi.

Pierwszym wynikiem ich poszukiwań było, iż nie można stwierdzić, aby nie prawidłowo rozwinięte zwoje mózgowe, wady i zboczenie organizmu mogły wywołać samobójstwa; należało szukać przyczyn gdzieindziej. Jeden z „niezależnych“ filozofów Durkheim ogłosił w jednym z ostatnich zeszytów *Revue philosophique* artykuł pod tytułem „Suicide et natalité“, w którym zestawia przyrost ludności z liczbą samobójstw, i wykazuje liczebnie, iż te dane statystyczne znajdują się w stosunku odwrotnym, przynajmniej we Francyi. W departamentach, w których przyrost ludności jest większy, mniejszą jest liczba samobójstw i odwrotnie. Jakie są przyczyny tej zależności? Płodność, mówi autor, bardzo mało zależy od ras i szczepów, jestto prawdą dowiedzioną w demografii; nie mniej też jest pewnem, iż wzrost ludności zawisły jest nie od warunków organicznych, ale raczej i przede wszystkim od obyczajów i idei społeczeństwa. Niepłodność indywidualna może być wynikiem stanu fizyologicznego, ale niepłodność mas ma cał-

kiem inne i innego rodzaju przyczyny, przyczyny mianowicie moralne. Durkheim stwierdza statystycznie, że okolice, w których najmniej urodzeń a najwięcej samobójstw, posiadają też najwięcej umysłowo chorych jednostek, to jest obłąkanych.

Z tego faktu wywodzi autor wniosek, że obłąkanie, jakkolwiek jest następstwem zбочenia organizmu, pośrednio jednak wypływa z przyczyn moralnych. Obłąkanie nie przekazuje się dziedzicznie z tej prostej przyczyny, iż obłąkani nie mają, będąc w tym stanie, potomstwa; nadto nie jest rzeczą dowiedzioną, iż dzieci spłodzone przed obłąkaniem otrzymują nadwyreżony organizm i stają się obłąkanami.

Dane statystyczne doprowadzają Durkheima do dalszych wniosków. „Małżonkowie, pisze on, daleko mniej podlegają zgubnej tej manii, niż bezzenni; ojcowie licznych rodzin mniej niż bezdzietni. Okolice, w których familie są silne, i gdzie tradycje rodzinne są tak potężne, iż opierają się walkom wewnętrznym, które gdzieindziej targają węzły małżeńskie, wolne są też od plagi samobójstw. Jednem słowem, gdzie rzadkie rozwody, rzadkie są i samobójstwa, a gdzie często powtarzają się pierwsze, licznie występują i drugie“.

Durkheim nie idzie dalej, nie rozwiązuje zagadnienia, a zaznaczywszy, że samobójstwo idzie w parze z małym przyrostem ludności, ten ostatni kładzie na kark wadliwych praw normujących spadkobierstwo; od filozofa „niezależnego“ żądać więcej nie możemy, przyczyny jednak poszukamy gdzieindziej.

Samobójstwo zdarza się tylko u ludzi, nigdy wśród zwierząt; wszystko co mówiono o samobójstwach skorpionów i innych zwierząt, jest wierutną bajką; samobójstwo jest dowodem wolnej woli i rozumu: przewrotna wola używa rozumu do spełnienia zbrodniczego zamachu. Samobójstwo wydarzało się we wszystkich wiekach, wydarzało się i wydarza u wszystkich ludów; żadna rasa, żaden stopień oświaty, płeć i wiek nawet, nie stanowią tu wyjątku. Jakkolwiek może być przyczyna bezpośrednia, która skłania samobójcę do pełnienia tej zbrodni, przyczyna pośrednia dla wszystkich jest jedna i ta sama, mianowicie niedowiarstwo. Możemy być wdzięczni Durkheimowi, iż wykazał ścisłą zależność między samobójstwem, a występem ograniczeniem liczby dzieci w rodzinie, nadto

iż zaznaczył, że obydwie te czynniki destrukcyjne jaskrawo występują we Francyi od czasu wielkiej rewolucyi.

Wnioski Durkheima są dowodami dla naszej tezy. Zbrodnicze objawy, tak jednego jak i drugiego rodzaju istniały tam przedtem, jako istniały u nas i gdzieindziej, lecz nie dały się ująć w wybitną liczbę. Znikały tam rody, jak znikały lub znikają u nas, albowiem *Semen impiorum peribit*, jednakże zgubne następstwa uwydatniały się groźnie wówczas skoro niedowiarstwo zstąpiło do warstwy najliczniejszej, skoro lud stracił wiarę. Francya jest jedynym ludem w Europie, gdzie lud, z wyjątkiem niektórych prowincyj, jest bezwyznaniowym, Francya też jest jedynym państwem, w którym przyrost ludności jak najmniejszy. Według statystyki z r. 1886 na 10 milionów małżeństw, 2 miliony nie mają ani jednego dziecka, $2\frac{1}{2}$ mają jedno, jedyne dziecko, 2 miliony dwoje dzieci tylko; podczas gdy w największej liczbie krajów europejskich liczba nowo-narodzonych dzieci dochodzi do 40 na 1000 mieszkańców, we Francyi jest tylko 25; przyrost bezwzględny (t. j. nadwyżka urodzonych nad umarłymi) we Francyi lat temu 100 było 13 na 1000 ludności, obecnie zszedł do 3, i zmniejsza się coraz więcej: obliczono, iż od roku 1884 liczba nowonarodzonych zmniejsza się rocznie o 12000! Nadto liczba 25, jaką podaliśmy wyżej, jakkolwiek niska jest jednakże taką dzięki katolickiej Bretanii, gdzie dochodzi do 34,3; są departamenta, w których średnia nie przekracza 15. W ciągu ostatniego pięciolecia, od 1881 do 1886, w 11 departamentach liczba ludności zmniejszyła się o 110838, a jednakże nie było w tym czasie ani wojny, ani cholery. Te liczby wymowne są następstwem bezwyznaniowem, a ponieważ danymi skąd inąd czerpanymi dowiedzionem zostało, że mały przyrost ludności idzie w parze z liczbą samobójstw, wywnioskować słusznie możemy, że samobójstwo jest owocem niedowiarstwa.

Zresztą takby *a priori* można było twierdzić. Kto targa się na swe życie, uważa się za zupełnie niezależnego, odrzuca myśl, iż będzie musiał zdać natychmiast po dokonanym zbrodniczym zamachu liczbę ze swego wóldarstwa, że stanie przed strasznym Sędzią. Co jednakże tak występnie odrzucają samobójcy, nad czem lekkomyślnie nie chcą zastanowić się w życiu, w czem fizjologdy

zdają się stwierdzać, a przynajmniej ciekawe zapisują pod tym względem objawy.

W chwili śmierci, jak w księgach ascetów czytamy, przychodzi na pamięć konającemu cały szereg zdarzeń ubiegłego żywota. Wywody mistrzów życia duchowego stwierdzają i mężowie nauki. Niedawno p. Fèrè, jak donosi *Revue scientifique*, przesłał francuskiemu towarzystwu biologicznemu nader ciekawą notę o stanie umysłowym konających.

Osoby tonące prawie jednomyślnie stwierdzają, iż w tych krótkich chwilach strasznego zapasu ze śmiercią przedstawił się im przed oczy ogólny rys spędzonego tu życia; to samo dzieje się z osobami, które uległy atakom apopleksyi lub epilepsyi. Podobne objawy zdarzają się u osób umierających śmiercią naturalną, stwierdzono to mianowicie u tych, którym na chwilę przed zgonem zdolano przywrócić działalność organizmu. Z przykładów podanych przez Fèrè przytaczamy następujący.

Niejaki NN. umierał na zapalenie mózgu. Siły go już zupełnie opuściły, stracił władzę poznawania, słowem konał. Podrażniony dwoma wstrzyknięciami eteru konający podniósł zlekka swą głowę i szybko wymówił słów kilka całkiem dla otoczenia niezrozumiałych, gdyż mówił po flamandzku. Po kilku poruszeniach, widząc, że nikt go nie rozumie, dał znak ręką, iż chce coś napisać. Podano mu ołówek i kartkę papieru, na której napisał dwie czy trzy linie również językiem flamandzkim. Umierający pochodził z okolic Antwerpii, długi jednak czas w Paryżu mieszkając, mówił i pisał po francusku. Na kartce, jak później sprawdzono, znajdowała się wzmianka o długu piętnastu franków, zaciągniętym jeszcze roku 1868 u pewnej osoby w Brukseli, o którym umierający sobie przypominał w chwili śmierci.

Fèrè przytacza jeszcze inne przykłady, ale pomija cały szereg dobrze znanych i tyle razy stwierdzonych. Lekarze i kapłani powoływani do łoża umierających wielokrotnie zauważyli, że zboczenia umysłowe obłąkanych ustępują zupełnie na jakiś czas przed zgonem, zdarza się również, iż ciężko chory straciwszy wskutek gorączki wszelką przytomność, przed wyzonięciem ducha powraca do zmysłów, z całą świadomością czyni ostatnie rozporządzenie ma-

jątkowe i przez Sakrament Pokuty zapewnia sobie miłosierdzie na czas sądu.

Przechodzimy obecnie do rzeczy mniej poważnych, ale ciekawych, dla nas szczególnie w Galicyi, gdzie nasze nafcjarstwo zaczyna przybierać z dniem każdym coraz większe rozmiary; zastanowimy się nad tem, jakim sposobem i z czego powstać mogła nafta.

Różne dotąd były zdania uczonych badaczy. Chemicy przypisywali jej pochodzenie roślinne, geologowie uważali ją za produkt zwierzęcy, w ostatnich czasach nowe światło rzucili na sporną zagadkę pp. Höfer i Engler w rocznikach niemieckiego Stowarzyszenia chemików. Höfer w rozprawie swej o nafcie i jej pokrewnych produktach kopalnych na mocy danych geologicznych dowodzi, że nafta zawdzięcza swój początek królestwu zwierzęcemu, Engler zaś chemicznymi doświadczeniami popiera wywody swego poprzednika.

Nafta miała powstać z destylacyi materyi tłustych przy niezbyt wysokiej ciepłocie, ale pod znacznem ciśnieniem. Engler przedystylował 429 kilogramów tłuszczu wielorybiego pod ciśnieniem czterech do dziesięciu atmosfer przy 320 do 400 stopniach temperatury. Zebrane stąd produkta przedstawiły ciecz o dwu warstwach jedna z nich była wodnistą, druga tłustą. Ostatnia posiadała nadto kolor ciemnobrunatny, gęstość nie wielką, a po zielonej fluorescencyi łatwo było poznać wielkie jej podobieństwo do nafty. Ciężar gatunkowy wynosił 0,815, ciężar zaś gatunkowy brunatnej nafty amerykańskiej waha się między 0,8 a 0, 92. Doświadczenie zatem stwierdziło hipotezę geologiczną.

E. Wersczyński.

Korespondencya Redakcyi.

Redakcyja otrzymała rękopis pod tytułem: „Miłosierdzie i racjonalizm socyalny“, bez żadnego listu ani adresu. Prosimy autora o słówko bliższych wiadomości.

DAWID URQUHART I KWESTYA WOJNY.

Dziś, kiedy surma wojenna choć głucho ale nieustannie grzmi po Europie, kiedy brzemie militarizmu nieznośnie ludzkości dokuca i cywilizację naszą przygniata, wraca znowu na porządek dzienny kwestya pokoju powszechnego. Jedni spodziewają się choć częściowego rozbrojenia od układów dyplomatycznych; drudzy wyobrażają sobie, że sam postęp uzbrojeń i strategii doprowadzi wkrótce do niemożliwości prowadzenia wojny. Inni marzą o jakimś trybunale rozjemczym, któryby wszystkie spory narodów polubownie rozsądzał. Zakładają się w tej myśli międzynarodowe stowarzyszenia i ligi pokojowe, we Francyi, w Belgii, w Szwajcaryi. Francuska *Société d'arbitrage international* postanowiła odbyć kongres w Paryżu w czasie wystawy. Dlaczegożby narody, mówią zwolennicy tego rozjemstwa, nie miały porzucić wreszcie, podobnie jak uczyły jednostki w przedhistorycznych czasach, stanu dzikości w wzajemnych stosunkach? Dlaczegożby nie miały zrozumieć, że panowanie sprawiedliwości i prawa jest lepsze dla wszystkich, niż chwilkowa korzyść, jaką przewaga siły zapewnia? A zrozumiawszy to, dlaczegożby nie miały powierzyć swych sporów bezstronnym sędziom zobopólnie obranym?

Niestety, między tym ideałem a rzeczywistością jest przepaść, na którą teoretycy powszechnego pokoju nie dość zwracają uwagę. Małe państewka, jak Belgia i Szwajcarya, najchętniej się zgodzą na międzynarodowe rozjemstwo, bo na niem egzystują. Większe państwa zgodzą się jeszcze na nie, kiedy im mało iść będzie o przedmiot sporu, a więcej o wyjście z honorem ze zatargu, jak Niemcom

w sprawie wysp Karolińskich. Ale któż powstrzyma potężne państwo, w chwili kiedy upatrzy sposobność zgnicenia niechybnie i bezkarnie rywala, zaokrąglenia swych granic, zdobycia paru prowincyj, do których jakkolwiek upozorowane rości sobie pretensye? Prywatni nie uciekają się zwykle do siły dla urzeczywistnienia swych roszczeń, bo stoi nad nimi prawo — prawo stoi, bo je podtrzymuje siła państwa; — ale samo państwo, ten olbrzym, który nie ma nad sobą władzy, który dzierży w jednym ręku swe pretensye, w drugim miecz do torowania im drogi, jakimież względami da się nakłonić do oddania swej sprawy cudzemu sądowi, kiedy on sam czuje się mocen rozsądzić ją po swojej myśli i wyrok swój przeprowadzić? Słusznie Valbert¹, pisząc świeżo o swym projekcie trybunału międzynarodowego, kiwa głową nad nim i mówi: „piękne marzenia poczciwych ludzi“!

Nie brak też zdań i teoryj skrajnych o tej kwestyi. Z jednej strony angielscy Kwakrowie utrzymują, że wojna w żadnym razie nie jest godziwą, że raczej trzeba wszelkie krzywdy ponieść, niż miecza dobyć przeciw bliźniemu. W tym samym duchu predykuje Lew Tolstoj i inni marzyciele. Z drugiej strony — co dziwniejsza — są ludzie, którzy w wojnie jako takiej upatrują czynnik umoralniający, potrzebny dla dobra ludzkości. Podobne zdania znajdują się u De Maistra, jako paradoksy na tle mistycznym; ale znajdują się także u takich realistów i ludzi czynu, jak marszałek Moltke. „Wojna, pisał Moltke do prof. Bluntschli'ego, jest jednym „~ czynników porządku świata, postanowionym od Boga. W niej „się wyrabiają najszlachetniejsze cnoty człowieka: męstwo, zaparcie „się, wierność obowiązkowi, duch ofiary; żołnierz poświęca życie. „Bez wojny światby gnił w materyalizmie“. — Kiedyindziej ten sam Moltke wyraził się o projektach powszechnego pokoju: „To sen! i nawet niedobry sen“². Jak widać, poza sztuką wojenną jest u takich ludzi filozofia wojny — i kult religijny wojny.

Niektórzy nakoniec publicyści i filantropi, zwątpiwszy o możliwości zniesienia wojny, myślą przynajmniej o złagodzeniu jej okru-

¹ L'arbitrage International. Revue des Deux Mondes. Mars. 1889.

² *Civilisation de la Guerre* par M. Ch. Lucas membre de l'Institut du droit international. 1881.

cieństw. Już kongres dyplomatyczny odbyty w Petersburgu po wojnie krymskiej zakazał używania kul eksplodujących. Później konferencya brukselska, zebrana za inicjatywą cara Aleksandra II, postanowiła różne ograniczenia i złagodzenia. Akademia dyplomatyczna, zwana *Institut de droit International*, wydała głośny *Podręcznik praw wojennych*, który dotychczasowe humanitarne zwyczaje i układy dyplomatyczne skodyfikował. Ale generałowie pruscy, mający dzisiaj pierwszy głos w tej materii, orzekli wręcz: że najłagodniejszy sposób prowadzenia wojny jest ten, który zadaje nieprzyjacielowi jak największą szkodę, bo go zmusza prędzej do żądania pokoju. Wreszcie wojna 1870 r. zaala te wszystkie papiery czerwoną strugą, cofając o półwieku wstecz zwyczajowe prawo wojenne. Wszystkie wymysły dyplomatów i filantropów padają jak domki z kart przed brutalnym pochodem dzisiejszego militarizmu.

Był jednak człowiek, w pierwszej połowie naszego wieku, który do tegoż rezultatu dążył, — a prostemi, mniej sztucznemi, i naturalniejszymi drogami, — więc też z większem prawdopodobieństwem osiągnięcia celu. Nie był to właściwie filantrop rozczulony nad cierpieniami ludzkiemi, ale był czemś więcej jeszcze. Główną jego myślą nie było ulżenie doli ludzkości — ale sprawiedliwość. Nie mówił: znieście wojnę, szukajcie jakiegoś środka, żeby się godzić bez przelewu krwi — ale hasłem jego było: nie róbcie wojen niesprawiedliwych, a prawie żadnych wojen nie będzie. Środka zaś na to nie szukał daleko: w was samych, mówił, w narodach wszystkich tkwi to poczucie sprawiedliwości — dziś zagłuszone, więcej niż kiedykolwiek, które jednak rozbudzić i uświadomić można i trzeba, a wówczas opinia publiczna okiełzna ambicje rządów, narody same zmuszą swych władców do szanowania prawa natury. — I temu to zadaniu, tej myśli jednej poświęcił ten człowiek całe życie swoje i cały zasób energii i odwagi cywilnej, do prawdy niepospolity.

Jakim sposobem ta myśl się wykluła, i jakie miała rezultaty?

Było to w r. 1827. Wojska rosyjskie wkroczyły do Turcyi bez wypowiedzenia wojny, a pułki tureckie patrzyły na ten zamach, żadnego nie stawiając oporu. Widział to z zdziwieniem młody 22-letni *attaché* ambasady angielskiej, Dawid Urquhart, i zapytał je-

dnego z żołnierzy tureckich, czemu nie broni ojczyzny. „Nie możemy dobywać broni, odpowiedział Turek, bo nie jest ogłoszona *„fetwa*; gdybyśmy zabili wroga w tych warunkach, byłibyśmy mordercami“. Fetwa jestto wyrok władzy duchownej Islamu, Ulemy, orzekający, że wojna jest sprawiedliwa, i że przeto można zabijać bez grzechu. Ten przykład prawości Muzułmanina w stosunkach międzynarodowych, ten głos sumienia wśród wojny i to identyfikowanie wojny nielegalnej z morderstwem, zrobiły niezmierne wrażenie na szlachetnej duszy młodego Anglika. Powziął on stąd dla Jslamu cześć — którą niekiedy może aż do przesady doprowadzał — ale stąd też poczęła się rozwijać myśl przewodnia jego życia.

Spostrzegł on, że w otaczającej nas atmosferze duchownej krąży mnóstwo miazmów fałszywych doktryn, które puszczone zostały w świat w różnych chwilach, dla chwilowych interesów, dla wymówienia pewnych gwałtów, pokrycia płaszczykiem teorii pewnych zbrodniczych zamachów — a które zostają poniekąd zawieszone w powietrzu Europy, a wykrzywiają i fałszują sumienie publiczne, mimo podstawy chrześcijańskiej nauki, na której ludy europejskie wychowane zostały. Do tego przyszło, że mamy poniekąd dwa sumienia: jedno do życia prywatnego, wedle którego sądzimy, że nie wolno zabijać bez konieczności samoobrony, nie wolno cudzej własności zagrabić, jakkolwiek onaby była dla nas pożyteczną, nie wolno oszukiwać, krzywoprzysięgać, kontraktów nie dotrzymywać — i brzydzimy się temi występkami, jako plamą i zbrodnią, gdziekolwiek je w życiu prywatnem spotykamy. Drugie sumienie do życia publicznego, wedle którego te same postęпки, wykonane zbiorowo, przez stowarzyszenie wielu ludzi, zwane państwem, sądzimy zupełnie inaczej i podług całkiem odmiennych zasad: najniegodniejszy najazd z rozbojem i mordem zdobimy nazwą wojny; przewódzców takich najazdów, którzy przeciwnika niespodzianie napadli i zgnietli, chwalimy jako dzielnych generałów; dyplomatów, którzy go oszukali, jako biegłych polityków. W ocenianiu wojennych wypraw i ludzi, którzy w nich brali udział, my — nie mężowie stanu, ale prywatni i sumienni, jak nam się zdaje, ludzie — uwzględniamy tylko przezorność, taktyczną biegłość, siłę — o słuszność przyczyn wojny, o legalność jej wypowiedzenia mało, albo wcale nie pytamy; albo wreszcie poprzestajemy na takich powodach,

z jakichbyśmy się śmiali na całe gardło, gdyby się niemi złodziej lub morderca przed trybunałem tłumaczył. Do usprawiedliwienia wojny wystarcza nam tak zw. potrzeba zdobycia granic naturalnych, konieczność osłabienia rywala, niezbędność jakiegoś portu, jakiejś kolonii. Racye dostateczne znajdują się, jak nie w historii to w geografii, jak nie w geografii to w etnografii, jak nie w etnografii to w językoznawstwie, w filozofii, w teoriach ewolucyi, konieczności dziejowych, misyi narodów i t. d., i t. d. Jak widać, niema ani jednego kąta na kuli ziemskiej, do którego by kilka państw nie mogło sobie wyszukać prawa w jednej z tych szufladek — a niema żadnego między temi wrzekomymi prawami, któreby nie służyło do usprawiedliwienia rozlewu krwi w obec dzisiejszej opinii.

Otóż Urquhartowi stanęła przed oczyma ta prosta i wielka prawda: że ludzie podlegają temu samemu prawu moralnemu, czy działają jako jednostki, czy zbiorowo jako narody, że co jest zbrodnią, mordem, łupiestwem, oszukaństwem dla pojedynczego człowieka, to nie staje się czem innem, gdy milion ludzi łączy się do zrobienia tego samego czynu; — słowem, że tak samo narody jak jednostki podlegają prawu moralności, czyli zakonowi przyrozonemu.

Ta prawda uderzyła najprzód Urquharta w Koranie, ale nibawem spostrzegł, że ona nierównie dawniej i głębiej wykładana była przez Ojców Kościoła, sankcyonowana w najstarszych pomnikach prawa kanonicznego, uzasadniona rozumowo przez filozofów chrześcijańskich, od św. Tomasza do Grocyusza i Vattela; wreszcie najwyraźniej zawarta w dziesięciorgu Przykazań Bożych: *Nie zabijaj, Nie kradnij, Nie mów fałszywego świadectwa, Nie pożądaj rzeczy cudzych* — czem oczywiście Bóg obowiązuje narody niemniej jak jednostki.

Odrywszy to jajko Kolumba, Urquhart przyszedł do walnego wniosku: że zapoznanie tych przykazań Bożych w stosunkach międzynarodowych jest właściwą przyczyną tego nieznośnego stanu gwałtu i cierpienia, w jakim znajduje się Europa, i że jedynym sposobem przywrócenia zdrowia i pokoju publicznego, jest powrót do Dekalogu w prawie publicznem. A zatem i ja sam, powiedział

sobie Urquhart, i każdy kto o tem wie, powinniśmy pracować nad tem, żeby świat o tem przekonać.

W tym wniosku — jestto fakt uwagi godny — spotkał się Urquhart z drugim wielkim duchem, który równocześnie w innym kraju i po innej drodze do tej samej mety trafiał. Le Play badał życie domowe, stosunki ekonomiczne cichych, pracujących ludności, obserwował je we Francyi, w Hiszpanii, Niemczech i aż za Uralem, odróżniał szych powierzchownej cywilizacyi, kryjący nieraz dzikie i niezdolne pożycie, od warunków prawdziwej pomyślności i szczęścia ludów; i zaczawszy sam od zupełnego ateizmu i nihilizmu zasad — dochodził na tej drodze empirycznej do konkluzyi: że głównym warunkiem wewnętrznej pomyślności narodów jest zachowanie Dekalogu: i że ludy są szczęśliwe lub nieszczęśliwe w tej samej proporeyi, w jakiej Dekalog zachowują lub gwałcą.

To na pozór przypadkowe, ale tak głęboko w naturze rzeczy leżące spotkanie się tych dwóch myślicieli — jednego badającego stosunki ludów wewnętrzne, domowe, drugiego stosunki zewnętrzne, polityczne, a trafiających do identycznego wniosku: że Dekalog jest kluczem szczęścia ludzkości — zbliżyło ich do siebie. Zaprzyjaźnili się, i później udzielali sobie swych myśli i popierali się w swych przedsięwzięciach.

W tymże czasie tj. r. 1839 zdarzył się wypadek, który objawił Urquhartowi potęgę jego wpływu na sumienia. Pod zatrutym podmuchem Internacyołału tworzył się w Anglii straszny spisek socyalistyczny, znany pod nazwą Chartystów. Wszyscy czuli, że coś złowrogiego pod ziemią nurtuje, ale nikt nie mógł uchwycić wątku spisku, ani zamachów przewidzieć. Istotnie Londyn i 20 innych miast Anglii miało się stać jednego dnia pastwą grabieży i płomieni. Okropny niepokój panował. Policya otrzymywała ciągle ostrzeżenia i wskazówki — które się potem okazywały mylnemi. Oddziały wojska maszerowały, to w jedną to w drugą stronę, zawsze na próżno — aż opadały na siłach. Generał lord Wellington oświadczał rządowi, że ze szczupłemi siłami wojskowemi, jakimi rozporządza, nie może odpowiadać za bezpieczeństwo kraju. Przebiegłość spiskowców zdawała się żartować sobie z wszelkich wysiłen stróżów publicznego porządku. W rzeczy samej, między pięcioma

hershztami konspiracyi był tajny agent policyi angielskiej, któremu nie trudno było policyę i armię ustawicznie zwodzić. Pośród tych niepokoju, wypadają wybory do Parlamentu; Urquhart, ubiegając się o mandat z Marylebone, przemawia do wyborców z całą potęgą swych przekonań, o uczciwości w polityce i o knowaniach Północnego państwa, które podaje rękę Internacyonalowi w obcych krajach, aby je podkopać i o zgubę przyprowadzić. Po przemowie, o 2-iej w nocy, stawia się w mieszkaniu Urquharta trzech ludzi. To są trzej z pięciu hersztów spisku. Wyznają mu, że im oczy otworzył, że się dali użyć za narzędzie Rosyi — i rozbija się spiszek — w trzy dni przed wybuchem. Urquhart ma jeszcze czas obiedz główne punkta spisku i przekonać szaleńców. W jednym tylko miejscu, gdzie nie zdążył dojechać, krew się polała. Przyznali mu ci trzej, co mu się zwierzyli, że piątym, który wszystkiem kierował, był niejaki Beniowski, Żyd polski w tajnej służbie Rosyi. Ten Beniowski zrobił później zamach na życie Urquharta; ale potężna protekcyja zagraniczna zasłoniła go przed pościgami sądu.

To moralne zwycięstwo nad Chartystami, które uratowało Anglię od strasznej klęski, wpoilo Urquhartowi przekonanie, że jest więcej prawości w ludziach, niż się wydaje, i że można się oprzeć na ich sumieniu, byle sprostować ich zdania. Rozpoczął więc na wielką skalę propagandę swych myśli. Nie był to wcale człowiek giętki i składny w obejściu. Tak w salonie jak w hali wiecowej miał on zwyczaj stawiać każdą kwestyę w sposób rogaty, argumentował pytaniami i zaczepnie, lubiał najprzód tego, z kim rozmawiał, upokorzyć, pokazując mu, że nie zna kwestyi. Dla nikogo przytem nie okazywał sympatyi, tylko dla sprawiedliwości. Ale wnet opanowywał wielkim rozumem, siłą prawdy, jaką posiadał, i kryształową szczerością charakteru. Wybornie go scharakteryzowała pani generałowa Zamoyska w liście do przyjaciółki, datowanym z Paryża r. 1862, który mi uprzejmie został użyczony.

„Pewnie Cię już doszło imię pana Urquharta. Ten człowiek, to fenomen, a poznanie się z nim mogłoby rodzaj epoki w życiu stanowić. Nie umiem ani opisać, ani sama zrozumieć, jakie na mnie robi wrażenie. Pierwszy raz, co go widziałam, pomyślałam sobie: nędzna figurka. Drugim razem: nie wiem czy waryat, czy komedyant. Trzecim razem tak mnie rozniewał, że za ledwie odpowiadać mu mogłam. Myślałam sobie, żebym go za drzwi wyrzu-

ciła, że trzeba być głupim, aby z takim dzikusiem mieć do czynienia. Czwartym razem powiedziałam sobie: gałgan! chciał mnie nastraszyć, żebym go poważała, nie udało mu się, teraz mi podchlebia, żeby mnie ujeździć. Piąty raz słyszałam prelekcję jego o prawach międzynarodowych. Mówił blisko trzy godziny, i żał mi było, kiedy przestał. Zdaje mi się, że ani razu się nie zakąsał, ani razu tej samej myśli nie powtórzył. Kilka razy mu przerwano, kilka razy ściągnięto go z toru, którym szedł, i wprowadzono go na inny. Ciągłe płynęły myśli nowe, pełne, a nie miał czasu ich rozwijać, ani nawet wiązać dla tych, co by nie byli bardzo uważali. Szedł po nich jakby po schodach, prosto, nie zbaczając, ale za każdym krokiem jakiś nowy horyzont pokazywał. Myślałam sobie, że ten człowiek ma geniusz, ale mimo to jest nieznośnym. Mieszkał u nas trzy razy po kilka dni. A chociaż mam w głębi duszy wielką skłonność do niecierpienia go, zaczynam się domyślać, że w nim są głębiny, i że coś w nim jest, co zapewne musiał Pan Bóg w duszę człowieczą wlać na początku świata, a co cywilizacya nasza zniszczyła. Uczony on jest jak leksikon; to mu służy, ale nie tem on walczy. Jego myśl główna — sprawiedliwość, a raczej prawość. Mówi, że wszystkie zamieszania na świecie pochodzą z zamieszania w duszy każdego człowieka, dobrego i złego; że najwięcej do tego zamieszania na świecie przyczyniła się Rosya; że dawniej ludzie źle czynili, ale że był o tem sąd, że dzisiaj nikt nie ma sądu niepodległego, że Rosya zepsuła całą politykę i służbę dyplomatyczną całego świata... Stąd pochodzi jego znajomość z moim mężem. Mówi o sobie, że on jeden na świecie prawy. Pojmujesz, jak miłe sprawia o sobie wrażenie! Ale jak zacznie wytykać każdemu jakąś nieprawdę, jakieś tchórzostwo, jakieś zboczenie z prawej drogi, jakieś ustępstwo złemu, czy jakiś pokłon złotym bogom, czy jakiś przesąd i t. d., i t. d., to chcąc niechcąc zagląda się do własnego sumienia, jakby z nowem światłem. I nie można nieprzyznać mu wiele a wiele prawdy... Te odcienia złego czy dobrego, które się ma w głębi duszy, jakoś delikatnie naznaczone i ukryte, na jego zakłęcie wychodzą na wierzch. Ale napróżno bym o nim pisała, nie mogłabym Ci go opisać. Obraca się jak kometa z ogromnym ogonem ludzi najrozmaitszych stanowisk, którzy wierzą w niego jak w Ewangelię. A wszyscy, co nie z nim, są przeciwko niemu, zowią go waryatem, szarlatanem, nie wiem czem. Wszyscy o nim wiedzą, ale samo nazwanie go w towarzystwie tutejszem jest jakby daniem sobie świadectwa głupoty. W twarz ci się każdy roześmieje i powie: ha! Pan jesteś Urquarcista! Co więcej, nie tylko za głupiego, ale za szpiega w obozie go mają, bo go się boją. On wydobywa na jaw i rozwiesza na widok świata wszystkie podłości i przekupstwa i t. d. i t. d. ministrów angielskich. Gotów będzie dnie i noce, zdrowie i majątek dla Polski poświęcać, ale jak mu o Polsce coś powiesz, to huknie ci jak z armaty: „Co mi do Polski? Polska mię nie obchodzi, ja dla sprawiedliwości pracuję“. Pytał się go ktoś, skąd jego przyjaźń z moim mężem. „My się nie zawsze zgadzamy, odpowiedział, ale jestto człowiek, który dla sprawiedliwości wyrzeka się wszelkich względów osobistych, i dla tego jestem jego przyjacielem“...

Taki to człowiek począł jeździć od miasta do miasta, zbierał ogromne mitingi robotników, przemawiał do nich z niezrównaną werwą i siłą; przekonywał ich najprzód, swoim zwyczajem, że są ignorantami w interesach swego kraju, że nawet Dekalogu nie znają, że powierzają sprawy publiczne w ręce ludzi niezdolnych i niesumiennych¹; a dopiero zawstydzwszy słuchaczów, przyparłszy ich do muru przez pytania i odpowiedzi, przedstawiał im наконец jak na dłoni prawdę i okazywał obywatelskie obowiązki. Dyskusye te trwały do 12 godzin, przerywane co chwila, to gniewnymi wrzaskami i podnoszeniem się kroci pięści przeciwko mowcy, to okrzykami: niech żyje! i noszeniem go na rękach. Przeprawy te bywały tak ciężkie i niebezpieczne, że nikt nie chciał towarzyszyć Urquhartowi w jego misjach. Lecz on sam dotrzymywał placu. I gdy wieczorem wracał do hotelu na spoczynek, szły za nim najtęższe głowy z pomiędzy słuchaczów, ażeby jeszcze pewne punkta przedyskutować i rad praktycznych zasięgnąć. Urquhart z tego korzystał, żeby zakładać po różnych miejscach t. zw. Komitety do spraw zagranicznych, tj. stowarzyszenia robotników dla dalszego badania tych kwestyj. I w ten sposób od miasta do miasta, z taką odwagą i wytrwałością prowadził tę propagandę, że w jednym roku między innymi, pięć kroć sto tysięcy robotników słuchało jego mów. Chciał on jakimbądź kosztem oświecić lud, podnieść go aż do zrozumienia związku polityki z sprawiedliwością, a przez lud zmusić rządy do uczciwości w polityce i poszanowania prawa narodów.

Jak dalece zaś udało mu się tych ludzi wykształcić, pokazało się to później, gdy w roku 1872 deputacya prostych robotników angielskich stanęła przed Zgromadzeniem prawodawczem Francyi *l'Assemblée nationale* w Wersalu i przedłożyła, nie projekt ograniczenia godzin pracy, nie taksę dziennej płacy — ale petycyę o ustanowienie trybunału, któryby warunki wojny określał i *casus belli* sądził: „ażeby nadal, jak się wyrażały motywa petycyi, kaprys

¹ Główna przyczyna małego wpływu Urquharta na politykę leżała w tem, że miał do walczenia z Palmerstonem, który był wówczas bożyszczem opinii publicznej Anglii, a Urquhart go oskarżał, z dowodami w rękę, o zdradę stanu i zaprzędanie się Rosyi.

„jednego ministra lub gabinetu nie mógł rozporządzać potajemnie „losami całego narodu, a przez to i całej ludzkości“. Petycja taka w ustach robotników nie małe na prawodawcach francuskich zrobiła wrażenie. Książę De Pasquier, który przyjmował uroczyste deputacyę, pytał ich, jaki związek może mieć ta kwestya z interesami klasy roboczej, której są przedstawicielami. Odpowiedzieli mu poważnie, że ustawy celne i ograniczenia godzin roboty są sztucznymi i przejściowymi półśrodkami, podczas gdy wojny niesprawiedliwe i nierozsądne są zbrodniami, które nieszczęście sprowadzają na całe społeczeństwo, powodują szalone wydatki, stagnacye interesów, ruiny fabryk, co się i na losie robotnika najgorzej odbija. Dalej wykazali, że największa część wojen naszego czasu były niesprawiedliwe i niepotrzebne. W ciągu dyskusyi dali dowód francuskim mężom stanu, że znają doskonale dyplomatyczne dokumenta tego wieku, i wytknęli im nawet, że ostatnia wojna, od której oni tyle ucierpieli, była przez nich niesłusznie i z pominięciem prawa narodów wydana.

Francuzi wyszli z tej rozmowy zdziwieni takim wykształceniem tych prostych ludzi w zagadnieniach, które zwykle małej garstki wybrańców bywają udziałem, a co ważniejsza, wyszli uderzeni prawdą ich poglądów i skłonni zająć się seryo przedłożonym projektem. Na nieszczęście, już kwestye polityki wewnętrznej i walki stronnictw brały górę nad wszelką inną myślą, i wnet przygłuszyły pamięć o tym wniosku.

Urquhart nie poprzestawał na ustnem nauczaniu. Po krótkim czasie uczuł potrzebę organu, któryby łączył te wszystkie umysły grawitujące naokoło jego potężnego ducha. W roku 1853 założył Przegląd dyplomatyczny, *Diplomatic Review*, pismo, które sam niemal redagował po angielsku, a oprócz tego robił osobne francuskie wydania, w złej francuzczyźnie, ale w jędrnym, zmuszającym do myślenia stylu. Co się mieściło w tym Przeglądzie? Po trochu z wszystkiego. Dokumenta dyplomatyczne, zwłaszcza dotyczące spraw bieżących, a mniej znane; sprawy tajnych agentów różnych państw, które Urquhart z rzadkiem szczęściem umiał wyławiać, i bez żadnego względu wywlekał przed publicznością; listy stare i nowe mężów stanu, wyjawiających swe nieczne plany, albo czasem wyznających swe polityczne błędy; ciekawe polemiki, urywki

z rozmów; przy tem ustępy z historyi rzymskiej, z Ojców Kościoła z sławnych kanonistów, — to wszystko jedno za drugim, połączone tylko jedną wielką Urquharta myślą, tryumfu sprawiedliwości.

Dwa kraje szczególnie miał na uwadze nasz publicysta. Z jednej strony śledził uporczywie dyplomacyę i tajne agitacye Rosyi, pilnował jej emisaryuszów od Hiszpanii aż do Chin; jej przypisywał główną rolę w przewrotnej polityce dzisiejszej, i twierdził, że od kilkudziesięciu lat wszystkie rewolucyjne ruchy, które obalały rządy i podkopywały potęgę państw, przez nią bywały bądź wzniecane, bądź popierane. Może w tym zdaniu szedł za daleko, ale niema co mówić, dowodów i dokumentów przytaczał bardzo wiele. Ta niechęć do Rosyi zbliżyła Urquharta do Polski. Był w serdecznej przyjaźni z generałem Zamoyskim, jakieśmy slyszeli, z Karolem Bodenhamem i jego żoną polką, pisał nawet do *Czasu*, 8 listopada 1872¹; zawsze sprawę Polski, jako wielką krzywdę dziejową, miał żywo na sercu. Ta sympatya udzieliła się widocznie jego dostojnej małżonce i córkom, które Kraków miał zaszczyt ugościć tej jesieni.

Z drugiej strony Urquhart zachował całe życie szczególny pociąg i cześć dla Turcyi, wciąż zwyczaje i prawa Mahometan, ich uczciwość i wierność w traktatach kładł przed oczy chrześcijanom, podziwiał instytucyę ich sądu religijnego o powodach wojny, uroczyste formy jej wypowiedzenia... Wyglądało to może na manię; ale w gruncie tego poglądu jest, sędzę, głęboka prawda. Islam, ze swemi przystępnemi pojęciami religijnymi i ze szczupłą miarą swych wymagań etycznych, stawia łatwo ludzi na tym poziomie, który, acz niski, jest w ich oczach wypełnianiem prawa, ideałem. Chrystyanizm stawia swój ideał tak wysoko, że ludzie albo się ku niemu wspinają, przy pomocy łask Bożych i środków, jakie tenże chrystyanizm podaje, i wtedy przewyższają wszystko, co na świecie widziano — albo, tracąc z oczu ideał i zakon Chrystusowy, spadają niżej Mahometan pod względem wiary, uczciwości i nawet obyczajów. A wówczas Islam, podług zamiaru Opatrzności, raz ich karze mieczem, drugi raz zawstydzają i smaga swym przykładem.

¹ Odcinek *Czasu* pod wymienioną datą, choć bez podpisu, jest przez niego napisany, ale w tłumaczeniu znacznie skrócony. Między jego pismami znajduje się oryginał francuski, jako artykuł pisany do *Czasu*.

Ale wśród tych wszystkich szczegółowych kwestyj, polemik, cytat, dokumentów zapełniających szpalty Przeglądu *Diplomatic Review*, główna wielka myśl Urquharta coraz wyraźniej się zarysowuje, coraz potężniej opanowuje czytelnika. Prawo narodów, *le droit des gens*, to nie zbiór traktatów, jak dzisiejsi legiści utrzymują. Dziwna rzecz, uważa Urquhart, że właśnie w tym wieku chcą zastąpić prawo narodów traktatami, kiedy żadnych właśnie traktatów nie dotrzymują. Traktat, jak kontrakt między prywatnymi, suponuje obowiązek wierności, dotrzymania umów, opiera się więc na jakimś uprzednim, wyższem prawie, z którego ten obowiązek płynie. Prawo narodów nie jest też zbiorem zwyczajów międzynarodowych, bo i zwyczaj nie może się stać obowiązkiem, jak tylko mocą jakiegoś prawa, nakazującego szanować zwyczaje, bądź jako preskrypcyę, bądź jako domyślne umowy. Prawo narodów jest tedy przede wszystkim samym zakonem przyrodzonym, prawem moralnem w sumieniach ludzkich wrytem, o ile ono dotyczy stosunków między gromadami ludzi, które narodami nazywamy — jednym słowem: sprawiedliwością między narodami, w prostem i zupełnem tego słowa znaczeniu. Ten zakon, będąc prawem natury człowieka, obowiązuje go bezwzględnie i powszechnie, tak w prywatnej, jak w publicznej sferze, tak w jednostkowym, jak w zbiorowym czyli państwowem działaniu. Czynieć w tym zakonie wyjątki na korzyść państwa, przypuszczać, że mniemany interes jednego narodu może usprawiedliwić krzywdzenie drugiego, że racya stanu może być jedyną kierownicą władców z pominięciem sprawiedliwości, jest to zupełnie zapoznać istotę prawa moralnego — które albo jest bezwzględnem, albo niczem nie jest.

Na tym zaś dopiero zakonie przyrodzonym, jako podstawie i zasadniczej normie wszelkich stosunków między państwami, układają się w ciągu wieków warstwy zwyczajów międzynarodowych, które wyszczególniają i poniekąd uzupełniają ten zakon — i na nim wreszcie budują się traktaty, tak samo jak na nim opierają się w prywatnem życiu wszelkie umowy. I tak, ten zakon przyrodzony i Boży, z piętrzącemi się na nim zwyczajami i umowami ludów między sobą, stanowi gmach prawa narodów.

Czy ten zakon pozwala na wojnę? Niema żadnej wątpliwości, że wolno siłą bronić prawa, czyli odpierać zamachy siły przeciwko

prawu. Ludzie mający nad sobą wspólną wyższą władzę, jej powinni zostawić rozsądzenie ich praw i użycie siły w ich obronie, gdyż ta jest główna racja bytu władzy społecznej; państwa, tj. uspołecznienia ludzkie nie mające już władzy nad sobą, same bronić muszą praw swoich; więc, jak długo zdarzają się wśród ludzkości zamachy na prawo, dzięki napaści narodu na naród, tak długo prawo moralne upoważnia wojnę w ich obronie. W czem Urquhart oddziela się, bardzo słusznie, od Kwaków i innych marzycieli, nie uznających w żadnym przypadku godziwości wojny. Ażeby jednak wojna w obec prawa natury była godziwą, powinna mieć, jak dowodzi Urquhart, trzy warunki:

1^o Musi być sprawiedliwą, to jest podjętą w obronie prawa niewątpliwego, czyli ku odparciu jawnej i niewątpliwej krzywdy — inaczej jest po prostu zbiorowym rozbojem.

2^o Musi być wojna konieczną, to jest dla powodów nie tylko słusznych, ale odpowiednio ważnych, i po wyczerpaniu wszelkich innych środków do ocalenia swego prawa. Wojna bowiem jest tak wielkiem nieszczęściem, tak olbrzymią sumą gwałtów i cierpień ludzkich, że zbrodnią jest ją wszczynać dla interesów mniejszej doniosłości, albo mając jeszcze możność załatwienia jakimkolwiek innym sposobem zatargu z ustrzeżeniem swych praw.

Wreszcie 3^o wojna powinna być legalną, tj. otoczoną wszelkimi formalnościami przez zwyczaje międzynarodowe uświęconemi: wydaną przez najwyższą władzę, wypowiedzianą wrogowi po właściwych wezwaniach i ultimatach, aby zadość uczynił, ogłoszoną własnym poddanym, a zwłaszcza żołnierzom, z wyluszczeniem powodów, aby zapewnić ich sumienia, że rozlew krwi, do którego mają rękę przyłożyć, jest sprawiedliwy i nieuchronny. Ta legalność wojny, choć na pozór tylko formalna, jest też warunkiem koniecznym i ściśle obowiązującym, bo jest uświęconą odwiecznym prawem zwyczajowem wszystkich narodów cywilizowanych i nawet barbarzyńskich — bo zwłaszcza, jest wyrazem i sankcją i jaką taką rękojmnią dwóch pierwszych warunków: sprawiedliwości i konieczności wojny. Ażeby użycie gwałtu było czynem moralnie godziwym, trzeba żeby ci wszyscy, którzy w nim biorą udział, nie tylko prawo do tego mieli, ale też wiedzieli o tem, że są w swem prawie.

Wojna, której brak jednego z tych trzech istotnych warunków, nie jest wcale wojną, tylko rozbojem, piraterią. Urquhart brał słowa na seryo. Po wojnie chińskiej, w r. 1842, która ani uzasadniona, ani nawet legalnie ogłoszona nie była, zażądał od biskupów anglikańskich, aby wyznaczili dzień pokuty dla ekspiacyi, i żeby wyklęli królowę — a tak sprawę wyświecił, że gdy następnie powstał proces o odszkodowanie za utratę towarów, które asekurowane były od przypadków korsarstwa, a nie od przypadku wojny — najwyższy trybunał angielski orzekł, że dana wyprawa chińska, z powodu której owe towary przepadły, istotną wojną nie była.

Ale czy państwo, zapyta niejeden, może się kierować innym prawem jak interesem swoim? Czy mężowie stanu mogą mieć cokolwiek innego na względzie? — Na to Urquhart odpowie drugim pytaniem: Co powiecie rozbojnikowi, który wymawia swe kradzieże i mordy tem, że widział w nich swój interes? Powiecie mu, że sprawiedliwość i moralność są ponad wszelkim interesem. Urquhart nic więcej nie powie; ja dodam drugą odpowiedź, dla tych moralistów dzisiejszych, którzy stracili z oczu pierwiastek bezwzględny prawa moralnego. Cóż wy powiecie, zapytam ich, takiemu zbrodniarzowi, by go przekonać, że źle zrobił? Powiecie mu, że kradzież i mord są złymi interesami, że przez zbrodnie cały ustrój społeczeństwa cierpi, co musi się i na jednostkach niekorzystnie odbijać, a przez poszanowanie sprawiedliwości ogólny dobrobyt i pomyślność kwitnie. — Doskonale! ale któż nie widzi, że to samo zarówno i państw dotyczy? Poniewieranie prawa i sprawiedliwości w polityce między państwami musi sprowadzać dzikie między niemi stosunki, ciągle uzbrojenie, ciągłą niepewność jutra, jak między czerwonoskórcami Arisony — co też każde państwo dotkliwie odczuwać musi. I dziś, kiedy prawo narodów jest najwięcej poniewierane i zapomniane, zdarza się właśnie, że ta dzikość stosunków międzypaństwowych zaciężyła nad całą Europą w sposób nieznośny i przerażający. Więc państwa, więc mężowie stanu, którzy się powodują tak zwanym interesem państwowym z pominięciem prawa moralnego, źle robią podwójnie: najprzód, bo pogwałcenie prawa moralnego w rzeczach tak ważnych jest zawsze zbrodnią — po drugie, bo takie

szukanie własnego państwowego interesu kompromituje najwyższe interesa ludzkości i samego kraju, któremu przewodniczą.

Zestawiając zasady z historią, Urquhart konstatuje z tą rozległą znajomością aktów dyplomatycznych, jaką posiada, że wojny niesprawiedliwe zawsze bywały prowadzone, podobnie jak zawsze się zdarzały zbrodnie prywatne, ale mimo tych przekroczeń, powszechne poczucie prawa i sprawiedliwości w kwestiach wojny istniało; rozpoczynając wojnę, powody przekładano zwykle poważne, ci, którzy byli niesłusznie napadnięci, odwoływali się do prawa narodów, a w danym razie napastników karali jak zbójców. Kiedy r. 1602 książę Sabaudyi bez wypowiedzenia wojny najechał z wojskiem rzeczpospolitą Genuęńską, Genuęńczycy, oburzeni tym rozbójniczym napadem, powiesili na murach swego miasta wszystkich sabaudzkich żołnierzy, których pojmać zdołali — książę Sabaudzki nie śmiał się nawet pomścić, a inne państwa pochwały ten dzielny wymiar sprawiedliwości, który ocalił Genuę. Juryści zaś, jak Vattel, zapisali ten fakt jako uznania godny precedens.

W naszym dopiero wieku, zdaniem Urquharta, wojny niesprawiedliwe, niepotrzebne, nawet nielegalne zaczynają być systemem. Pierwszym wybitnym okazem w tym rodzaju jest wojna, a raczej napaść Anglii na Afganistan r. 1838, bez należytego wypowiedzenia, bez innego pretekstu, tylko że jakiś wódz Afganów, Dost Mohamed miał być nieprzychylny dla Anglii. I ta też wyprawa skończyła się klęską Anglików. Ale za nią poszedł nieprzerwany szereg tak europejskich jak zamorskich wojen, w których prawo narodów coraz więcej było poniewierane, a różnica między wojną a korsarskim rozbojem coraz więcej się zacierała. Nawet napadnięci niesłusznie nie myślą już o odwołaniu się do prawa narodów; i nawet ludzie, sumienni w prywatnem życiu, przyklaskują publicznym rozbojom i ludziom, którzy im przewodzą.

To zaślepienie oburza w najwyższym stopniu szlachetną duszę Urquharta. Jest to serwilizm, mówi, względem władz wykonawczych, nawyknięcie słuchania ślepo ich rozkazów, kiedy się powinno je sądzić — zwłaszcza w rzeczy tak bardzo obchodzącej sumienie. Całe społeczeństwa za to odpowiadają, bo całe przykładają do tego rękę, pieniędzmi, krwią swych synów, głosami danemi ministrom, którzy wszczynają takie wojny i posłom, którzy ich za to pod sąd

nie oddają. A mogłyby społeczeństwa temu przeszkodzić, byleby sobie uświadomić chciały prawo moralne, i trzymać w karbach piastunów władzy wykonawczej, ciągle kuszonych ambicyą, manią wielkości, i tak pochłoniętych troską o bieżące trudności, że tracą z oczu kardynalne bytu społeczeństwa podstawy.

Od tych obowiązków ogółu wypadło niebawem Urquhartowi przejść do jeszcze trudniejszych obowiązków jednostki; spotkać się musiał z kwestyą: kiedy wojna jest niegodziwa, co ma czynić żołnierz do niej powołany? Urquhart, który nie zna transakcyi w zasadach ani lęku przed ich konsekwencyami, odpowiada stanowczo i absolutnie, że wojskowy, żołnierz czy generał, powinien w takim wypadku odmówić posłuszeństwa, narazić się, jak będzie trzeba, na wszelkie następstwa — dać się zabić, raczej, niż przyłożyć rękę do niegodziwej wojny — zupełnie tak samo, jak każdy prawy człowiek w prywatnych stosunkach powinien raczej dać się zabić, niż zaciągnąć do kradzieży i morderstwa. I za przykład stawia Urquhart dawnych chrześcijan, mianowicie żołnierzy Legii Tebańskiej, którzy odmówili posłuszeństwa, nie dlatego, jak zwykle mówią, że im kazano bogom ofiary czynić, ale dlatego, że ich chciano użyć do mordowania niewinnych chrześcijan. „Gotowe są ręce nasze, „Imperator, przeciw wszelkiemu wrogowi, ale za zbrodnię sobie po- „czytujemy, maczać je w krwi niewinnych obywateli“, tak pisali z swego obozu do Maksymiliana w liście, który się przechował¹, — i nie dobywszy miecza, dali się do jednego wyciąć za sprawiedliwość.

„Dziś, mówi Urquhart, setki tysięcy ludzi wystawiają i po- „święcają życie dla tak zwanego punktu honoru — a ani jeden nie „narazi życia dla sprawiedliwości“². A jednak, niech tylko mała liczba na to się odważy, a niechybnie zrobi wyłom w tym systemie nieprawości, który sumienia całego chrześcijaństwa przygnębia.

Tu powstała przeciwko Urquhartowi gwałtowna opozycya ze wszystkich obozów. Generałowie angielscy, miesząc do dyskusyi w gazetach, wołali, że to jest podkopanie karności wojskowej, że

¹ Rohrbacher, Ruinart, Acta Sanctorum.

² Urquhart. Rétablissement du droit canon.

szaleństwem jest czynić każdego żołnierza sędzią czynów jego przełożonych. Jeden patetycznie dowodził, że ojczyzna, żądając od żołnierza ofiary życia, obdarza go w zamian wolnością sumienia — istotnie miał powiedzieć, że odbiera mu sumienie, zwalniając go z odpowiedzialności moralnej. Urquhart odpowiadał z uśmiechem, że nie o to chodzi, żeby spotęgować siłę i karność wojska do każdego użytku, ale o to właśnie, żeby mu odjąć możność czynienia zła. Żołnierz nie powinien sądzić wodza co do taktyki, marszów i ataków; ale co do uczciwości lub nieuczciwości czynów, jakie mu nakazują, każdy człowiek jest sędzią — i odpowiedzialności za to nikt na świecie z niego zdjąć nie może.

Ale wstąpili niebawem w szranki tej polemiki teologowie katolicy. Przewodził pewien Dominikanin O. Suffield, za nim stał cały szereg duchownych, nawet wyższych godności, którzy listami i artykułami go popierali. Lecz i po stronie Urquharta znaleźli się teologowie, choć zrazu nieliczni, jak O. Ramière i proboszcz z Baumont en Argonne, sławny później publicysta, ks. Dufourny. Spór się zaostrzał, bo Urquhart stawiał kwestyę w sposób konkretny: twierdził, że wszyscy księża katolicy, którzy rozgrzeszali żołnierzy idących na wojnę chińską, sprzeniewierzyli się swemu kapłańskiemu obowiązкови. O. Suffield kładł z początku wielki nacisk na przysięgę, która wiąże żołnierza z wolą dowódcy; mówił, że aby jej nie dotrzymać, potrzebaby mieć taką pewność, tak niezbite dowody niesłuszności wojny, jakich w praktyce żołnierz mieć nie może. — Lecz Urquhart zwycięsko mu odparł, że przysięga sankcjonuje tylko obowiązki służbowe, a w niczem ich nie zmienia; co grzechem byłoby zrobić bez przysięgi, to i po przysiędze jest grzechem. Żadna przysięga nie obowiązuje do słuchania władzy ludzkiej poza granicami uczciwości i prawa Bożego. W zagadnieniu więc: co jest moralnie godziwem a co niegodziwem, powoływanie się na przysięgę jest nie na swoim miejscu. Żołnierz czasem ocenić nie może słuszności wojny, ale generał, ale oficer może. A kiedy wojna jest nawet nielegalną, bez form i bez ogłoszenia racjonalnych powodów, to i prosty żołnierz wiedzieć powinien, że nie o wojnę, tylko o rozbój chodzi.

Przyznać trzeba, że w początkach tej polemiki, jak O. Suffield nie uznawał faktycznie, żeby żołnierz mógł kiedykolwiek być

pewnym o niesłuszności wojny, tak znów Urquhart nie uznawał, żeby mógł być kiedykolwiek niepewnym. W ciągu jednak dyskusyi, przy pomocy teologów, Urquhart doszedł do prawdziwego i dokładnego sformułowania rzeczy: że kiedy wojna co do formy jest legalną, co do słuszności jej powodów mogą zachodzić praktyczne wątpliwości; a wtedy w zasadzie podwładny powinien iść za zdaniem władzy: *praesumptio stat pro superiore*. Kiedy jednak O. Suffield zwalniał zupełnie wojskowych od obowiązku zastanawiania się nad słusznością sprawy, Urquhart zawsze tego zastanawiania się i badania bezwarunkowo wymagał, ponieważ o życie bliźniego chodzi. Owszem twierdził, że w dzisiejszym stanie stosunków międzynarodowych, preumpcyja jest raczej przeciwko sprawiedliwości każdej wojny — jak za czasów pogańskich, kiedy papież Syrycyusz z tego właśnie powodu zakazywał chrześcijanom przypasywać oręż. A opierał to twierdzenie na słowach Piusa IX: „Polityka międzynarodowa rządów teraźniejszych jest niechrześcijańską, i niechrześcijańskie są powody wojen, jakie podają“.

Kiedy O. Suffield wspominał o ślepem posłuszeństwie, które Kościół pochwała w zakonnikach, Urquhart przytaczał reguły i konstytucye zakonne, w których zawsze jest zastrzeżone, że to posłuszeństwo obowiązuje tylko w granicach prawa Bożego i reguły. Zakonnik zresztą ma moralną pewność, na podstawie wypróbowanego ducha i tradycyi zakonu, że mu przełożony nie grzesznego nie rozkaże, a w wojskach niestety nakazy zbrodniczych czynów są aż nadto częste. Nie na tem wreszcie zależy ślepe posłuszeństwo, tak w wojsku, jak w zakonie, żeby zamykało oczy na moralność czynu, ale na tem, żeby nie patrzyło na jego trudności i niebezpieczeństwa. „Jak zakonnik, mówi pięknie Urquhart, leci na rozkaz „starszych do łoża cholerycznych, tak żołnierz biegnie na skinienie „wodza zająć niebezpieczny posterunek. Zakonnik nie mówi przełożonemu: niech inny tam pójdzie; żołnierz tak samo. Żołnierz „naraża bohatersko swe życie; zakonnik zarówno — obaj przez „ślepe posłuszeństwo. Obaj są piękni, Ojciec Suffield! strzeż się byś „nie oszpecił żołnierza, odejmując sumienie, którego Kościół w zakonniku chroni. Piękno i dobro są w czynach ludzkich nierozdzielne... Co stanowi wartość ofiary zakonnika? — niezawodnie „wysoka moralność jego poświęcenia. Niechby na rozkaz przełożo-

„nego obranego z rozumu rzucił się z alpejskiej skały, z perspektywą zabicia się i zgniecenia w dodatku niewinnego pastuszka — „jakież uczucie wzbudzi w nas taki czyn posłuszeństwa, ślepego po „nowożytnemu, tj. szalonego i zbrodniczego? Tak samo się rzecz „ma z żołnierzem. Skoro mu odejmujecie moralną wartość jego po „święcenia, skoro on wypełnia biernie rozkaz, sprawiedliwy „czy niesprawiedliwy, który go śle zabijać, to chociażby „on cudów waleczności (miałem powiedzieć dzikości) na placu boju „dokazywał, już nie może we mnie innego wzbudzić upodobania — „jak wzbudza dzik wśród oblawy. Jako człowiek, wywołuje on we „mnie obrzydzenie; a ponieważ brzydę się nim jako człowiekiem, „już nie mogę w nim ani tego podziwiać, co podziwiam w zwierzu“¹.

Zdecydowało wreszcie o wygranej Urquharta przeniesienie sporu na pole tradycji kościelnych i prawa kanonicznego. O. Suffield rzucił był dość nieogłędnie twierdzenie, że prawo kanoniczne milczy w tym przedmiocie i wcale warunków wojny sprawiedliwej nie określa. Podniósł Urquhart tę rękawicę i z wielką erudycją, nie bez pomocy oczywiście światłych teologów, wytoczył cały szereg orzeczeń Ojców Kościoła i wyroków papieskich i synodalnych, należących po wielkiej części do *Corpus juris*, które potępiają wojny niesprawiedliwe, określają często ich warunki w przypadkach zupełnie konkretnych, stanowią różne kary kościelne, nie tylko przeciw książętom, którzy niegodziwe wojny prowadzą, ale przeciwko wszystkim ich baronom i rycerzom, którzy im w tych wyprawach towarzyszą; postanawiają nakoniec ten kanon, który do dziś dnia obowiązuje, a który wszystkich żołnierzy biorących udział w wojnie niesprawiedliwej piętnuje *irregularitate*, tj. nieudolnością do święceń kapłańskich, i to nie z tego tytułu, że materialnie krew ludzką przelali, *ob defectum mansuetudinis*, ale z tego tytułu, że się zmazali zbrodnią publiczną — *irregularitate ex crimine*².

Z pomiędzy wszystkich kanonistów najbardziej wyczerpująco traktuje o wojnie Ferraris, pierwszorzędną powagą w prawie ko-

¹ Revue Diplomatique vol. XIX. Avril 1871.

² W wojnie sprawiedliwej, ci tylko, co sami krew przelali, stają się *irregulares ex defectu mansuetudinis*; w wojnie zaś niesprawiedliwej całe wojsko i wszyscy uczestnicy wyprawy stają się *irregulares*, i to *ex crimine*.

ścielnem. Tego też Urquhart zna na wskrós, i cytując jego obszerne teksty i niezbite teologiczne dowody, potwierdza to wszystko, co on sam zdrową logiką z prawa natury wyprowadził.

Te myśli rozwijał Urquhart nie tylko w *Diplomatic Review*, ale też równocześnie w niezliczonych broszurach, które zwykle w dwóch językach, po angielsku i po francusku wydawał¹. Wpływ jego coraz więcej w Anglii zdobywał gruntu. Ministrowie go się bali jak mściwego geniusza, śledzącego ich kroki. Na kontynencie nawet myśli jego zaczęły kielkować; Le Play'ści je propagowali; w Grenobli zawiązywało się towarzystwo zawołanych prawników, dla badania zasadniczo prawa narodów i jego zastosowań. I do dziś dnia to towarzystwo wydaje znakomity swój organ: *Revue catholique des institutions et du droit*... W tem nadszedł r. 1869. Pius IX zapowiedział światu sobór powszechny.

Ten objaw potęgi moralnej i żywotności Kościoła katolickiego wzniecił nowy prąd myśli w duszy Urquharta. Jakkolwiek inno-

¹ Appel d'un protestant au Pape, pour le rétablissement du droit public des nations, 1869. — Parallèle entre la Chrétienté et l'Empire ottoman, 1869. — Les Musulmans en exemple aux Chrétiens, 1869. — Le serment militaire et le Christianisme, 1869. — Les Comités des affaires étrangères aux évêques de l'Orient, 1869. — Les trois thèses du Père Suffield sur le droit des gens, etc., 1869. — Prédiction de la crise actuelle, 1869. — Le Pape, le sultan et le czar. — Islam as a Political system and the Greek and Russian Churches. — Correspondance entre M. Urquhart et l'évêque d'Orléans, 1870. — Mémoire sur les relations de la Russie et de l'Europe, 1870. — Rétablissement du droit canon, 1870. — Adresse au sultan, 1870. — Du besoin d'établir dans chaque pays un tribunal pour décider sur la nécessité et la justice d'une guerre, 1871. — De l'effet des mots sur le caractère des hommes et sur le sort des nations, 1871. — Désolation de la Chrétienté par suite de la substitution de la familiarité à la politesse, 1871. — Un tribunal pour connaître des cas de guerre. Adresse à l'Assemblée nationale à Versailles, 1872. — Sur les procédures pour la guerre parmi les nations civilisées, à l'appui de l'Adresse à l'Assemblée nationale, 1872. — Le patriarche Hassoun, 1872. — La question arménienne. Appel aux gouvernements d'Europe, 1872. — Adresse anglaise à l'Assemblée nationale de la France, 1873. — La nécessité pour d'Europe de revenir au Droit des Gens, 1873. — Ce qu'il faut pour former un homme d'Etat, 1873. — La force navale supprimée par les puissances maritimes, 1873. — Des quatre guerres de la Révolution, etc., 1874. — Les Catholiques et le Pape, 1874. etc. etc.

wierca, powiedział on sobie, że Papież jest bądź co bądź największą powagą duchową na świecie, że nad czym on z takim mozolem od tylu lat pracuje, tego jedno orzeczenie Soboru daleko skuteczniej dokaze. Napisał więc sławną w onym czasie broszurę w trzech językach: po łacinie, angielsku i francusku, p. t.: *Odezwa protestanta do Papieża, o wskrzeszenie prawa narodów*. W tej odezwie, streściwszy najprzód swój pogląd, któryśmy poprzednio omówili: — identyczność prawa narodów z prawem moralności, dzisiejsze tego prawa zapoznanie w wojnach niepotrzebnych i niesprawiedliwych, historyczna progresja tego upadku prawa narodów w ciągu naszego stulecia — przechodzi następnie autor do wniosków praktycznych: prawo narodów musi być wskrzeszone, i wskrzeszone być może, ale nie przez rządy, tylko przez społeczeństwa, które zrozumiałwszy raz, że Dekalog powinien być podstawą prawa publicznego, mogą do tego zmusić swoje rządy. Społeczeństwom wreszcie nikt inny lepiej pod tym względem oczu otworzyć nie może, jak władza nauczająca Kościoła katolickiego. Długo ona ten obowiązek zaniedbała, zdaniem Urquharta, ale teraz, kiedy Sobór zwołany, najwłaściwsza jest do tego chwila. Jestto najważniejsze zadanie, jakie przed Soborem Watykańskim staje.

Ale nie dosyć Urquhartowi na tem ogólnem orzeczeniu zasad; twierdzi on, że Kościół powinien także w ich zastosowaniu i w pojedynczych ważnych przypadkach sumienie wiernych oświecać; gorszy się tem, że Kościół poświęca sztandary i rozgrzesza w konfesyjale idących do boju, a po zwycięstwie śpiewa *Te Deum*, tak po jednej jak po drugiej stronie walczących, choć widoczną jest rzeczą, że z jednej strony przynajmniej jest niesprawiedliwość i gwałt. Żąda więc, żeby było w Rzymie kolegium dyplomatów duchownych — na kształt *Collegium Fecialium* w starym Rzymie i Ulemy w państwie Padyszaha — któreby śledziło bieg wypadków i intryg politycznych, a ile razy zanosi się na wojnę, rozstrzygało, czy wojna jest potrzebna i słuszną, i po której stronie jest sprawiedliwość — i żeby Papież swą najwyższą powagą, nie czekając prośby stron o rozjemstwo, wyrokował: po tej stronie jest niesłusznosc, nikomu się nie godzi brać broni do ręki, żaden ksiądz nie powinien rozgrzeszać idących na tę wyprawę, ani chorągwi błogosławić. Papież, sądzi Urquhart, ma do dziś dnia tak decydu-

jący wpływ na sumienia 200 milionów katolików, taki ma nawet urok i powagę moralną wśród reszty świata chrześcijańskiego, że wyrok jego, w ten sposób wypowiedziany i uzasadniony, rozbroiłby faktycznie stronę niesprawiedliwie broń podnoszącą. A choćby też mała garstka tylko ludzi miała Papieża usłuchać, choćby rządy w ten sposób dotknięte miały się mścić na Kościele, ten wzgląd, zdaniem Urquharta, nie powinien w żaden sposób Papieża wstrzymywać. Jego rzeczą jest oświecać sumienia, bronić sprawiedliwości, a z resztą — dziej się co chce. Nakoniec, ponieważ takich dyplomatów i sędziów spraw ludzkich się nie improwizuje, wnosi Urquhart, żeby Papież założył w Rzymie szkołę dyplomatyczną, w którejby prawo narodów i cała jego historia były gruntownie i wszechstronnie wykładane i badane.

Co sądzić o tej myśli Urquharta? Co do możliwości i potrzeby uroczystego orzeczenia zasad prawa narodów i warunków godziwości wojny, w czasie kiedy świat o nich tak bardzo zapomniał, niezawodnie Urquhart miał słuszność; i nie wątpię, że gdyby sobór nie był nieszczęśliwie przerwany, rzecz przyszlaby do skutku. Między aktami soboru znajduje się wspaniały postulat Patryarchy Cylicyjskiego Hassuna i dwudziestu biskupów całej Armenii katolickiej, *De re militari*, zredagowany pod wpływem a może własną ręką Urquharta, w którym wszystkie zasady i warunki dotyczące wojny są podług jego myśli orzeczone¹.

Ale czy jest praktycznie możebnem, ażeby Papież w każdym poszczególnym przypadku wojny, o jej godziwości rozstrzygał — to już rzecz mniej oczywista. W razach widocznej napaści, bez racjonalnego powodu lub bez zachowania legalnych form, najezdca już byłby z góry potępiony przez orzeczenie ogólnych zasad, i nie potrzebaby osobnego wyroku papieskiego, aby duchowieństwo miejscowe zastósowało się do nich i pouczało wiernych. W razach zaś zawilszych i niejasnych sporów, dekret papieski musiałby mieć, już nie tylko charakter orzeczenia nauczyciela moralności o godności czynu, ale charakter wyroku sędziego, który sprawę sporną rozstrzyga. A to, czy jest właściwem w czasie, kiedy państwa nie

¹ *Omnium Concilii Vaticani documentorum collectio per Conradum Martin. De rebus dogmaticis Postulatum 11, pag. 98.*

uznają wspólnie Papieża, jak w średnich wiekach, za swego sędziego nawet co do spraw doczesnych? Czy nie możnaby przeciwstawić takiemu sądownictwu tego, co Chrystus odpowiedział komuś, żądającemu, żeby kazał jego bratu podzielić się z nim dziedzictwem: „Człowiecze, któż mię postanowił sędzią nad wami“¹? Ludzkość ma w papieństwie gotowy od Boga dany trybunał, który może jej spory i waśnie najbezsronniej i najsprawiedliwiej rozsądzać i wiele przelewu krwi i łez jej oszczędzać, ale musi ona zapewne stać się tego godną i tego chcieć. Ostatecznie w kwestyi tak doniosłej a trudnej, nie śmiem stanowczego zdania wyrazić. Powiem tylko, że gdy Urquhart złożył swą odezwę u stóp Piusa IX, Papież mu powiedział: „Synu, masz poglądy najprawdziwsze o kwestyach najważniejszych“.

Urquhart pozostał w Rzymie przez cały czas soboru, i oczywiście tam nie próżnował. Zbliżył się jeszcze więcej duchem i sercem do Kościoła — i nawet, rzecz dziwna, ten protestant przysłużył się soborowi. Skoro powstała kwestya nieomyłności papieskiej, Urquhart stanął gorliwie po jej stronie. Zrozumiał, że ten dogmat logicznie wynika z katolicyzmu, i że jego orzeczenie spotęguje powagę Papieża, której potrzebę dla spraw międzynarodowych tak doskonale oceniał. Kiedy pewien biskup francuski, z poparciem swego rządu, począł agitować w wielkim sekrecie między biskupami wschodnimi obecnymi w Rzymie, aby ich przeciągnąć ryczałtem do opozycji przeciwko nieomyłności, Urquhart, który miał między nimi wiele stosunków osobistych, wykrył te tajne roboty, i do tego doprowadził, że cały episkopat wschodni stanął właśnie po stronie nieomyłności.

Pius IX wielką okazywał Urquhartowi życzliwość; zaszczylił go osobnem *breve*; zanosilo się na to, że sobór zajmie się jego projektami, gdy nagle zaskoczyły smutne wypadki. Sobór musiał się zawiesić, Włosi wkroczyli do Rzymu, Francya, którą Urquhart szczególnie kochał, padła pod ciosami okrutnej wojny; stronnicy Urquharta w Anglii, zrażeni jego przychylnością dla Papieża i sprawy nieomyłności, po większej części go opuścili. Tyłoma klęskami razem przygnębiony, nie ustawał jednak dzielny szermierz,

¹ Łuk. XII, 14.

owszem, mnożył się w pracy, coraz więcej puszczał w świat ogni-
stych broszur, piętnując niegodziwość zaboru Rzymu i zbrodnie
wojny niemiecko-francuskiej. Aż wreszcie siły jego, jakkolwiek
wielkie, wyczerpały się do ostatka.

Umarł Urquhart w Neapolu 1877 roku, zabity literalnie nad-
miarem pracy. Umierając błogosławił żonę i dzieci, które za jego
pozwoleniem przechodziły na katolicyzm. Sam katolikiem nie zo-
stał. Dlaczego? Bogu jednemu tajniki sere wiadome; ale może dla-
tego, że patrzył tylko na Kościół, jako na narzędzie najzdolniejsze
do przeprowadzenia swych myśli dla dobra ludzkości, a może ni-
gdy mu się nie przypatrzył, jako matce, której trzeba się po syno-
wsku poddać, i od której trzeba żądać drogi i środków do wła-
snego zbawienia.

W każdym razie Urquhart żył i walczył całe życie dla spra-
wiedliwości, i padł ofiarą w tej walce. O. Ramière mógł go
nazwać męczennikiem sprawiedliwości. W naszych czasach, kiedy
wszystko w utylitaryzmie i w relatywizmie się rozkłada, kiedy
i w religii i w zasadach moralnych i we filozofii i na innych po-
lach wszystko wydaje się względnem, zmiennem, i wszędzie się
tylko pytają: na co się to przyda? — ta granitowa postać, która
broni sprawiedliwości bezwzględnej dla niej samej, nie ogląda się
na żadne następstwa, nie zna żadnych tranzakcyj, wznosi się jak
pomnik, który zawstydzia nasz wiek. A prawdy przez nią posiane,
choć w tej złej chwili kiełkować nie mogą, doczekają się jednak
wiosny. Kiedy ludzkość będzie miała dosyć tych gwałtów, tych
przelewów krwi, tego wszechładztwa siły, wtedy przypomni sobie,
że istnieje wieczyste prawo, które pokój światu dać może i narody
podług myśli Bożej w harmonii skojarzyć.

Ks. M. Morawski.

KILKA SŁÓW O GENEZIE PEDAGOGII.

(Ciąg dalszy).

IV.

Od stosunków zewnętrznych czas jednak przejść już do wewnętrznego ustroju wychowania i nauczania w tym peryodzie. Sposób wychowania miał już podstawę w tradycyi wychowawczej Ojców Kościoła, w regule zakonnej św. Benedykta i w regule Chrodeganga. Tradycja Ojców Kościoła, kładąca główny nacisk na dobre wychowanie i uważająca naukę tylko za jeden ze środków wychowawczych, znalazła dobitny wyraz w kapitularku pytań wydanym przez Karola W. w r. 811. Zapytuje on (c. 11) proboszczów i magistrów, czy nie więcej starają się o to, aby ich podwładni dobrze śpiewali i czytali, niż o to, aby dobrze i sprawiedliwie żyli. „Chociaż bowiem Kościół nie lekceważy wprawdy w śpiewaniu i w czytaniu, to jednak znośniejszą jest rzeczą źle śpiewać niż źle żyć. I chociaż wypada, aby Kościoły były piękne i zdobne, to przecież nad budowę przenieść trzeba wyrabianie dobrych i gładkich obyczajów. Wznoszenie świątyń jest poniekąd zabytkiem ze Starego Zakonu, zaś poprawa obyczajów jest właściwą cechą Nowego Zakonu i chrześcijańskiego życia... Często też sobory kładą nacisk na wychowanie rodzinne i przypominają rodzicom chrześnym ich obowiązki. Tak np. sobór w Arls VI w r. 813 (r. 19), sobór moguncki r. 813 (r. 47), ogłoszone w kapitularku z r. 818. Sobór paryski VI z r. 829 zakazuje (r. 7) dopuszczać na rodziców chrześnych ludzi nieumiejących prawd wiary, boby

nie mogli nauczyć chrzestników, — zakazuje też dopuszczać publicznych pokutników, boby ich nie zdołali dobrze wychować. Zasady wychowawcze św. Benedykta i Chrodeganga są nam już znajome. Nie w nowe też zasady, ale w doświadczenie, usposabiające do lepszego użytkowania zasad w stosunku do indywidualizmów, bogacił się ówczesny system wychowawczy. Pierwotna szorstkość obyczajów, jaką uczniowie z domu przynosili i w świecie napotykali, wymagała jednakowoż surowszych kar; dlatego też kary cielesne miały wówczas częstsze lubo jeszcze nie przesadne zastosowanie. Bliższy sposób prowadzenia i nauczania ówczesnego daje nam poznać pamiętnik Willibalda Strabona, zrazu ucznia, później opata i nauczyciela w Reichenau, ogłoszony w *Jahresbericht über die Erziehungsanstalt des Benedictinerstiftes Mariä Einsiedeln* za rok 1856—1857¹.

Podajemy tu niemal w całości tłumaczenie owego pamiętnika, nie zamilczając wcale ustępów świadczących o mniejszym postępie ówczesnej dydaktyki w tym lub owym kierunku. Chcemy bowiem dać każdemu możność wyrobienia sobie samodzielnego sądu i poprzestajemy jedynie na dodaniu tu i owdzie niektórych uwag. Nie zrobimy w tem krzywdy średniowiecznym szkołom, bo prawda nie krzywdzi, a zresztą sądzymy, że nikt nie może ich sądzić według dzisiejszego postępu dydaktyki tak, jak po dwustu latach nikt nie będzie miał prawa oceniać naszego szkolnictwa według niezawodnego późniejszego postępu i innych warunków społecznych. Oto co pisze Strabo: „Byłem zupełnym prostaczkiem i zdziwiłem się bardzo na widok wielkich zabudowań klasztornych, w których od-tąd miałem zamieszkać; ucieszyłem się na widok mnóstwa rówieśników i towarzyszy zabaw, którzy mię przyjaźnie powitali. Zresztą i ja nie mało narobiłem im uciechy, bo wszystko wydawało mi się nowem i niezwykłym, więc często naśladowałem niezręcznie i nie w porę to, co widziałem u innych. Po kilku dniach jednak lepiej się rozpatrzyłem. Zaledwie zacząłem się przyzwyczajać do nowego ładu, powierzył mię scholastyk Grimald pewnemu magistrowi, u którego miałem się nauczyć czytać. A nie byłem sam; było jeszcze u tego mistrza wielu chłopców w moim wieku wyższego i niższego stanu, którzy już mię wyprzedzili w nauce. Dobrotliwa pomoc mego

¹ Zob. Kellnera l. c. I. 149—164.

nauczyciela, oraz miłość własna pobudzały mię naprzemian do uczenia się z zapalem i po kilku tygodniach doszedłem do tego, że z pewną biegłością potrafiłem czytać nie tylko to, co mi pisano na woskowanej tabliczce, ale i łacińską książkę, którą mi do rąk dano. Potem dostałem książeczkę niemiecką, która mi przy czytaniu wiele sprawiała trudu, ale za to miałem z niej serdeczną uciechę, albowiem odrazu rozumiałem, skorom co przeczytał; przy czytaniu zaś łaciny nie mogłem słów rozumieć i zrazu nawet dziwiłem się bardzo, jak to można czytać i przeczytane zarazem rozumieć¹.

W jesieni, w czasie zbioru owoców, nie było przez kilka dni szkoły; pływaliśmy do woli z naszym nauczycielem po jeziorze, lub też zbieraliśmy jabłka pod obciążonymi owocem drzewami, które otaczały klasztor. Gdy upłynęły dni tej wesołej uciechy, musiałem zacząć na mojej tabliczce pisanie syllab, które już poznałem i umiałem łączyć. Praca ta wcale mi się nie podobała. Z nudów począłem szukać innych rozrywek i drażnić towarzyszy, co mi ściągnęło upomnienia, a czasem i kary cielesne. Tymczasem przez zimę nauczyłem się pisania i na wiosnę r. 816, w dziesiątym roku mego życia, dostałem się do nauczyciela gramatyki, magistra Gerarda.

Rok 816. Pierwszem, co musiałem uczynić, było, żem się nauczył na pamięć kilku łacińskich zwrotów mowy, abym się mógł po łacinie porozumieć z mymi kolegami. Większa część moich współuczniów już daleko postąpiła w nauce; jedni byli na drugim, inni na trzecim i czwartym roku gramatyki. Wyjawszy czas wytehnienia, musieli oni zawsze mówić po łacinie; nam zaś początkującym wolno było, o ile tego zachodziła potrzeba, porozumiewać się ze sobą po niemiecku. Po niejakiem czasie dano mi do rąk gramatykę Donata i polecono jednemu starszemu uczniowi, aby mię z niej tak długo wypytywał, aż się nauczę na pamięć wszystkich ośmiu rodzajów mowy i reguł ich odmieniania. Przez kilka pierwszych godzin sam nauczyciel starał się mi pokazać, jak

¹ Język ojczysty zatem nie był zupełnie zaniedbany, a refleksye Strabona każą wnosić, że umiejac należyćie oceniać jego doniosłość, niezawodnie później jako nauczyciel i kierownik zakładu większą polecał zwracać nań uwagę.

mam postępować przy uczeniu się tych słów i form mowy; później jednak przychodził tylko pod koniec lekcji, aby zapytać mego kierownika, jak się wywiązałem ze swego zadania. Ten mógł być, co prawda, zadowolonym z moich postępów w Donacie, umiałem zawsze dobrze wszystkie pytania i odpowiedzi, ale znalazłem przytem czas na płatanie rozmaitych figlów, czem przeszkadzałem kolegom. Wiedziałem, że uczniowi, który mną kierował, nie wolno mię bić, i że on zanadto mię kocha, i z pewnością nie powie nic nauczycielowi na końcu godziny. Niekiedy jednak zdarzało się, żem się tak daleko we figlach posunął, iż nawet ci, co w innej części sali uczyli się drugiej i trzeciej części gramatyki, spostrzegali to i śmiechem swym zwracali na mnie uwagę nauczyciela, który ich nauczał. Pierwszym razem skończyło się na ostrem, poważnem spojrzeniu, drugim razem przyszedł do mnie, zapytał, czy rzeczywiście tak prędko wszystko zapominam i pogroził mi palcem; gdy jednak to wszystko nie pomagało, kazał mi ująć jedną część obiadu lub też zdejmował ze ściany różgę.

Codziennie popołudniu musieliśmy uczyć się zastosowania tych reguł, którecheśmy się przed południem na pamięć wyuczyli. Uczeń a niekiedy i sam nauczyciel przepowiadał nam po niemiecku dłuższe i krótsze zdania, a my musieliśmy je odrazu po łacinie pisać na tabliczkach; wyrazy znane nam były częścią z Donata, częścią z codziennych rozmówek; wolno nam było także zapytać o nie nauczyciela. Ponieważ jednak pisaliśmy ze słuchu, nie widząc owych wyrazów, dlatego pisałem je nieraz w dosyć dziwaczny sposób. Wieczorem opowiadano nam ustęp z historyi biblijnej, któryśmy zawsze nazajutrz rano opowiedzieć musieli¹.

Gdyśmy Donata po raz wtóry i trzeci wspólnie powtarzali, ukończono w pobliżu nas budowę kościoła. Pomiedzy naszym budynkiem szkolnym a klauzurą zakonników wzniesiono wspaniałą świątynię. Była ona już zbudowana, gdym przybył do Reichenau; nad zupełnem jednak upiększeniem wnętrza niezmordowanie praco-

¹ Widać stąd, jak wielką wagę kładziono na wyrobienie wprawy przez częste ćwiczenia, a zarazem jak wiele baczone na gruntowność nauki, według zasady: *non multa sed multum*. Jasną jest także rzeczą, że takie postępowanie musiało wyrabiać samodzielność w uczniach. Braki zaś tego postępowania już Strabo spostrzega, i niezawodnie starał się im później zaradzać.

wali jeszcze bracia. Wreszcie nadszedł upragniony dzień poświęcenia wspaniałego kościoła. Niezliczone tłumy ludu przybyły na tę uroczystość; już na dwa dni przedtem jezioro było pokryte statkami, na których wespół z ludem nadpływali panowie i rycerze z okolicy i z dalszych stron, przybyło także wielu biskupów, i posłowie z dworu Ludwika, bo opat był zażyłym przyjacielem Karola, jego wielkiego ojca. Na cześć Maryi, naszej najmiłszej Pani, poświęcił kościół opat i biskup Hatto, w obecności wszystkich biskupów, którzy wystąpili w swym pełnym stroju. Był to przecudny widok: siedmuset braci, stu wychowanków internatu, i czterystu wychowanków eksternatu tworzyło chór, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem, ani nie słyszałem; podczas Sumy wszystkich lud odpowiadał na modlitwy biskupa. Wtedy to po raz pierwszy w życiu odezwało się coś niewypowiedzianego w sercu mojem, ogarnęła mnie jakaś niezmierzona, rzewna tęsknota, napęliła mą duszę majestatyczna wielkość i dobroć Boga, — i powziąłem postanowienie poświęcić się całkiem i wyłącznie Jego służbie.

Od tej chwili byłem poważniejszy i spokojniejszy w całym zachowaniu się, z czego się bardzo cieszyli moi nauczyciele, zwłaszcza *dominus* Grimald, a dziwili się wszyscy moi współtowarzysze. Opat Hatto chciał być na naszym egzaminie szkolnym przed swym powrotem do Bazylei, swej biskupiej stolicy. Był on szczególnie zadowolony z moich odpowiedzi, a ja z dziecięcym zaufaniem mówiłem do dostojnego i uprzejmego męża, którego przed kilku dniami widziałem tak wspaniałym wśród biskupów, hrabiów i rycerzy, a który teraz jak dobrośliwy ojciec, siedział między nami. Polecił mię osobliwszej opiece Grimalda.

Rok 817. Przez następną zimę uczyliśmy się drugiej części gramatyki — ortografii, i odtąd musieliśmy i my zawsze mówić po łacinie, przyczem oczywiście zaszło niejedno, co do wielkiego rozweselenia pobudzało nauczycieli i współuczniów. Każdego dnia czytano nam ustęp z psalterza, pisaliśmy go na swoich tabliczkach, a potem każdy musiał poprawiać błędy pisarskie swego sąsiada; jeden z tych, co już czwarty rok uczyli się gramatyki, musiał potem przejrzeć wypracowania. Następnie przechodziliśmy słowo za słowem i wszystko nam wyjaśniano; nazajutrz zaś zrana musieli-

śmy się nauczyć całego ustępu na pamięć¹. W taki sposób w ciągu zimy i następnego lata wyuczyliśmy się na pamięć całego psalterza. Odtąd mogliśmy² wspólnie z innymi wychowankami brać udział w chórowym śpiewie braci. My jednak, wychowankowie ekster-natu, czyniliśmy to tylko w niedziele i we święta, wychowankowie zaś internatu zarówno jak bracia zakonnici podzieleni byli na 24 oddziały i śpiewali chwałę Panu naprzemian przez cały dzień. Mogli oni stać w samym chórze, my zaś mieliśmy wyznaczone miejsce tuż obok chóru, bo nie nosiliśmy sukienki zakonnej, a bez niej nie wolno nikomu wejść ani do chóru, ani do klauzury.

Rok 818. W tym roku zasadzono na wyspie pierwszą winną latorośl, i skorośmy z pomyślnym skutkiem zdali egzamin wobec Erlebalda, który kierował internatem, wolno nam było pierwszych gron skosztować. Z nową ochotą zabraliśmy się do czytania Alkuina i dystychów Katona, które wymagały z naszej strony uczenia się metryki. Dostał mi się egzemplarz, w którym były obok siebie gramatyka Alkuina i metryka Bedy. Inni dostali metrykę Victorina, przyczem musieliśmy sami między sobą w obecności nauczyciela omawiać reguły prozodyi, a później i sztuki wierszowania. Na poematach Prospera i Juven-cusa oraz Sedulliusa, któreśmy po dwóch razem czytali, ćwiczyliśmy i reguły i pamięć swoją i zdawaliśmy z tego kolejno wieczorem sprawę nauczycielowi. Dla ćwiczenia pamięci musieliśmy się uczyć na pamięć kościelnych hymnów brewiarza, któreśmy już umieli w skutek częstego powtarzania³. Od lata polecono nam także wspólnie z innymi po kolei czytać przy stole, do czego przygotowywaliśmy się zrazu pod kierownictwem starszego ucznia. Za pierwszym razem ogarnęło mię przytem uczucie zaleknienia, w skutek czego popełniałem wiele błędów i byłem tak często poprawiany

¹ A więc i wówczas rzeczy ważniejsze i trudniejsze pierwszej wyjaśniano, a potem dopiero memoryzowano. Krzywdę przeto ówczesnym nauczycielom wyrządzają ci, którzy prawią o bezdusznym mechanizmie przy nauczaniu religii.

² Przy śpiewie zatem wymagano pierwszej zrozumienia i dokładnego przyswojenia sobie rzeczy, a potem dopiero uczono melodyi.

³ To odłożenie na później memoryzowania trudniejszych rzeczy wskazuje — jak w ogóle cały stopniowy rozwój nauki — jak bardzo uważano w praktyce na zasadę elementarności.

przez korektora, — który nie pominął milczeniem żadnego drobiazgu, — iż niemal zupełnie straciłem odwagę. Właśnie w tym czasie postradaliśmy kierownika naszej szkoły Grimalda, którego razem z Tattonem — jednym z naszych nauczycieli — posłał opat Hatto do klasztoru w Aniane. Przy jego odejździe napisałem pierwszy list łaciński, w którym mu objawiałem swą dziecięcą miłość i wdzięczność; zakończyłem go dystychem mozolnie zestawionym. Podarował mi odpis *Eklogów* Wirgilego, który we wolnych godzinach po setne razy czytywałem i przerabiałem. Kierownikiem szkoły został Watin, brat Grimalda, i był nim aż do śmierci, której osobliwsze okoliczności — jak to potem powiem — opisałem w hexametrach.

Rok 819. Celem uzupełnienia naszych wiadomości gramatycznych polecono nam uczyć przez zimę nowowstępujących uczniów mówienia i pisania w ten sam sposób, jak nas pierwiej inni uczyli. Zajęciu temu oddałem się z wielkiem zamięłowaniem i z pomyślnym skutkiem, przez co sobie zjednałem w wysokim stopniu przychylność Watina. Równocześnie nauczyciel gramatyki, magister Gerard, zaznajamiał nas z figurami i przenośniami mowy, przyczem wskazywał nam je najprzód w Piśmie św., a następnie domagał się, abyśmy mu przytaczali wzory i przykłady odpowiednie z poetów dotąd czytanych, oraz ze *Statiusa* i *Lukana*, których obecnie czytaliśmy. Ci z nas, którzy nie mieli daru ani chęci do nauczania drugich, zatrudniali się pod kierownictwem nauczyciela przepisywaniem gramatyk *Pryscyana*, *Mariusza Victorina* i *Kassiodora*, oraz ćwiczyli się w zestawianiu zdań łacińskich i niemieckich, zaczerpniętych bądź z codziennego życia, bądź z dziejów biblijnych lub z czytanych autorów. Mogliśmy przytem używać słownika synonimów, który tymczasem ułożył dla nas mistrz Gerard. Słownik ten był nam także wyborną pomocą przy układaniu wierszy.

Wśród takich zajęć nadeszła pora, kiedy to wszyscy ci — ogółem 32 — którzy z gramatyki przechodzili do retoryki, mieli być do tego usposobieni przez egzamina końcowe. Pod koniec lata przeto powtarzaliśmy wspólnie z nauczycielem trzy części gramatyki: etymologię, ortografię i metrykę, oraz naukę o figurach i przenośniach.

W oznaczonym dniu przyszedł *dominus* Erlebald z resztą uczniów internatu do wielkiej sali naszego gmachu i stawiał każdemu z nas wiele pytań z przedmiotów, których się uczyliśmy, i z autorów, których czytaliśmy. Z tych ostatnich musieliśmy na każdą regułę podawać przykłady. Żądano także zdania sprawy z dziejów biblijnych Starego i Nowego Testamentu, którychśmy słuchali przez cztery lata, oraz z ich wewnętrznego znaczenia. Tym, którzy w jakimkolwiek punkcie w tyle pozostali, kazano się jeszcze dokładniej w tej mierze pouczyć, ci zaś, którzy okazali jakąś obojętność lub niedbalstwo, otrzymali ostrą naganę od Erlebalda, który się nam wydał wówczas mężem nader poważnym i surowym. Nie wszyscy jednak współuczniowie moi przeszli do retoryki; wiele młodej szlachty wróciło do domu, albo sami zabrali ich rodzice, ażeby zrobić z nich giermków i wyuczyć sztuk rycerskich, do których w klasztorze wcale nie wprawiano. Chociaż bowiem każdego dnia widzieliśmy rycerzy i hrabiów wysiadających w przyległym domu gościnnym, to przecież nie mieliśmy z nimi żadnej styczności; duchowni tylko i biskupi przychodzili niekiedy do naszego pokoju, aby nas egzaminować, albo też nacieszyć się naszymi wesołymi zabawami. Dobrze jeszcze teraz pamiętam, jak bardzo wstydziłem się, gdy przy wyścigach, urządzonych w obecności jakiegoś biskupa, upadłem na ziemię i za to jeszcze byłem wyśmiany. Od tego dnia zabawa ta już mi się nie podobała i wołałem grę w kości i przy drażku¹.

Podczas dni rekreacyjnych, które nam w tym roku stały się podwójnie miłymi przez odbywanie małych wycieczek do folwarków klasztornych, przybyli napowrót do Reichenau ku wielkiej naszej radości obydwa nauczyciele *dominus* Grimald i *dominus* Tatto. Pierwszemu polecono zaprowadzić w porządku klasztornym zmiany, które uzna za konieczne na podstawie doświadczeń nabytych w Aniane;² Tatto zaś podjął się wprowadzić nas w tajniki retoryki.

¹ Ta gra, zwana „Stockspiel“, polegała na tem, że dwa oddziały chłopców starały się wydrzeć sobie drąg, ujęty na przeciwnych końcach.

² A więc o szablonie w średniowiecznem nauczaniu i prowadzeniu uczniów nie może być mowy. Zatrzymywano wszędzie tylko ogólny rozkład lat nauki i ogólne nazwy jej działów; w szczegółach jednak dążył każdy klasztor na wyścigi do możliwego udoskonalenia tak formalnej jak merytorycznej

Rok 820. W dzień św. Pirminiusza, naszego założyciela i pierwszego opata (3-go list.), rozpoczęliśmy studia retoryczne. Podręcznikiem naszym był Kassiodor, znany nam już prawie wszystkim, bo przy nauce gramatyki polecano nam do lektury jego pisma odnoszące się do tego przedmiotu. Obok tego wyjaśnialiśmy i czytaliśmy w szkole retoryczne pisma Cyccerona; natomiast czytanie Kwintyliana było każdemu z nas do woli zostawione. Aż dotąd, oprócz mniejszych listów, nie mieliśmy żadnych zadań do wypracowania¹, teraz zaś musieliśmy prawie codziennie uczyć się przeprowadzania w czyn różnych form retorycznych, o których była mowa w podręczniku. Wypracowania te trwały przez całą zimę. Na wiosnę zaczęło się studyum historyi, z której mieliśmy już niejaki wiadomości bądź to z martyrologium, bądź z czytania przy stole, bądź wreszcie z rozmowy z naszymi nauczycielami. Za podstawę służyło nam Chronikon Bedy, a do powtarzania dano nam książkę, w której kronikarz Reginbert kazał spisać kroniki Euzebiusza z Cezarei, św. Hieronima, Prospera, Kassiodora, biskupów Jorrandesa i Mellitusa. Obok tego czytaliśmy w szkole najpierw Sallustiusa, a później Tyta Liviusa, w którym mieliśmy nadto wyszukiwać retoryczne formy i reguły. Czytałem również w tym czasie, za poradą Tattona, dyalog Alkuina o retoryce i o enotach, który przyniósł ze sobą, i miałem zeń wiele pouczenia i zadowolenia.

Dla urozmaicenia wyjaśnialiśmy niektóre ustępy z Eneidy Wirgilego oraz z Prudentiusa i Fortunata i od czasu

strony nauczania. W każdym wieku też napotykały klasztory cieszące się wielkim rozgłosem w skutek znamienitych reform wychowawczych i dydaktycznych, poczynionych przez zdolniejszego i głębiej w duszach czytającego przełożonego. Stawały się one zawsze modelem, według którego ulepszano inne szkoły klasztorne, bądź to posyłając do nich braci na praktykę, bądź też sprowadzając z nich słynnych nauczycieli. Ten fakt jest zarazem źródłem późniejszego tworzenia się uniwersytetów i nadzwyczajnego napływu do nich uczniów w pewnych czasach. Twierdzenia więc o zupełnym zastoju szkolnictwa, o zasklepieniu się w dogmatyzmie szkolnym, są co najmniej historycznymi mrzonkami.

¹ Mowa tu widocznie o zadaniach domowych, bo czytaliśmy już, jak wiele wagi kładziono na dyktanda i tak zwane *extemporalia*.

do czasu pisaliśmy sami małe poemata łacińskie. Do tych ostatnich nie wszyscy byli obowiązani¹, ja jednak pisałem je z taką ochotą, iż nieraz zaniedbałem przez to inne wypracowania. Wreszcie musiał sobie każdy z nas odpisać jedną z kronik, aby ją później w danym razie zawsze mieć pod ręką.

Rok 821. Przez następną zimę zajmowała nas dyalektyka pod kierownictwem Tattona. Kształcił nas w niej według pisma Alkuina, które przyniósł z Francji; ponieważ jednak na razie był tylko jeden odpis tego dzieła, dlatego dano nam do rąk Kassiodora i wstęp Porfiryusza, a później także Boetiusa i pismo Bedy o dyalektyce Arystotelesa. Musieliśmy teraz naprzemian prowadzić ze sobą rozmowy o różnych przedmiotach dyalektyki. Tatto lubił zwłaszcza każdemu z nas kazać sobie utworzyć o jednym i tym samym przedmiocie własną definicyę, a następnie bronić jej przeciw zarzutom przeciwników. Gdyśmy przytem popadli w zbyt wielkie uniesienie, przerywał Tatto natychmiast dysputę i pozwalał ją dopiero nazajutrz dokończyć. Mnie najbardziej podobala się logika, i często usiłowałem do wzorów, które Alkuin z poematów Wirgilego przytaczał, wyszukiwać inne jeszcze przykłady, do czego mię osobiście Tatto zachęcał. Trwało bowiem bez przerwy czytanie autorów i studyum historii, i co tydzień musiał każdy z nas zdawać sprawę z obydwu przedmiotów w dniu na to wyznaczonym.

Przez lato zaznajamiał nas Tatto ze zbiorami ustaw, które nas miały wprowadzić w życie praktyczne i dostarczyć najobfitszego materiału do ćwiczeń dyalektycznych i retorycznych. Ci z nas,

¹ W całym postępowaniu z uczniami widać ściśle przeprowadzenie chrześcijańskiej zasady, że kto otrzymał pięć talentów, od tego drugich pięciu wymagać należy, komu zaś jeden talent dostał się w udziale, ten otrzyma tę samą nagrodę, jeśli przynajmniej jeden talent przyrobi. Przy uczniach mniej zdolnych ograniczano się na minimum koniecznych wymagań, od uczniów zaś zdolniejszych żądano nierównie większych i gruntowniejszych postępów. Łatwo ocenić, ile postępowanie takie przyczyniało się do rzetelnego rozwoju władz duszy. Kto wie, czy pedagogika XIX wieku nie mogłaby się w tym względzie wiele pouczyć od dydaktyki średniowiecznej?! Niewątpliwie bowiem temu urzędzeniu głównie zawdzięcza średniowiecze owe zastępy mężów dziwnie rozległej wiedzy i nadzwyczajnej bystrości myślenia, którego to faktu wytłumaczyć sobie nie mogą protestanci.

którym dyalektyka przedstawiała więcej trudności, już wcześniej brali do rąk te zbiory i czytali pilnie kodeksy Teodozyusza, Franków salijskich i ripuaryjskich oraz Longobardów¹. Teraz jeszcze raz wszyscy je czytaliśmy, przyczem Tatto z bogatego swego doświadczenia dodawał najwspanialsze wyjaśnienia. Spędził on młode lata swoje w cesarskim Palatynie i dlatego był niewyczerpanym we faktach różnego rodzaju, przez które chciał wszystko dobrze uzmysłwić, przyczem mógł nawiązywać mądre rady na przyszłość. Pomędzy wielu duchownymi i biskupami, którzy tego lata odwiedzili naszą szkołę, był także Thegan, sufragan z Trewiru, dawny przyjaciel naszego opata Hattona, który prawie co drugi lub trzeci rok z reguły odwiedzał Reichenau.

Rok 822. Całą zimę użyliśmy teraz na wyćwiczenie się w regułach retoryki i dyalektyki, któreśmy w ostatnich dwóch latach słyszeli i zapamiętali. Ćwiczenia te były dwojakiego rodzaju, najpierw ustne, potem i pisemne. Wyznaczano nam temata z historii, z życia codziennego lub z kodeksów, które mieliśmy opracować we formie oracyj i replik. Przytem ćwiczyliśmy się w sztuce dowodzenia, a zarazem kształciliśmy naszą wymowę. Zazwyczaj musieliśmy przedłożyć nauczycielowi nasze dowody najpierw we formie ściśle dyalektycznej, a potem dopiero przyoblekać je w szatę retoryczną, przyczem nierzadko domagano się, abyśmy to samo w sześć, siedm, lub więcej różnych sposobów równie dobrze wyrazili. Musieliśmy także opowiadać nieraz wolno życiorysy świętych, albo też pisać i wygłaszać charakterystyki i panegiryki. Od czasu do czasu układaliśmy także i niemieckie wiersze na wzór zbiorów pieśni i podań ludowych, które nam Tatto czytywał. Opata Hattona zawezwał po dwakroć Karol Wielki do położenia w szkole większego nacisku na język niemiecki. Stósownie do tego polecenia dawał nam Tatto wskazówki, najpierw jak układać niemieckie słowniki, a następnie jak pisać tłumaczenia i mowy. Te ostatnie wielce się nam udawały,

¹ Przedewszystkiem więc uczono praw, obowiązujących w imperium frankońskiem, co świadczy korzystnie o pielęgnowaniu narodowego wychowania. Pisma Wiel. Bedy i w ogóle ówczesna literatura angielska, zajmująca się pilnie dziejami i właściwościami Anglii, dają tej prawdzie jeszcze dobitniejszy wyraz.

nawet lepiej niż łacińskie, tylko z ortografią nie mogliśmy dojść do ładu, bo wiele brzmień niemieckich nie da się wyrazić głoskami łacińskimi, a nadto każdy z nas, według okolicy, z której pochodził, miał swój odrębny sposób wymawiania, a więc i pisowni. Dla tego daleko lepiej udawało się nam wygłaszać wolną mowę w niemieckim języku, aniżeli napisać tłumaczenie lub zadanie.

Tymczasem zbliżała się pora, która nas miała przenieść do nowego działu przedmiotów nauki. Pierwej jednak mieliśmy złożyć egzamin¹, który nabral osobliwszego znaczenia przez całkiem niespodziewane zdarzenie. Dowiedzieliśmy się bowiem, że opat Hatto, który od urodzenia mego (806) rządził klasztorem, chce swój pastorał złożyć w młodsze, silniejsze ręce, resztę zaś życia pragnie w cichej celi poświęcić wyłącznie służbie Bożej i zbawieniu swej duszy. Po raz to więc ostatni był on obecny przy naszych egzaminach, i skoro wszystkim kazał po kilkakroć odpowiadać tak z gramatyki, jak z retoryki i z dyalektyki po łacinie, a nawet i po niemiecku, zapytał nas w końcu: „Na co chcemy użyć tego wszystkiego, czegośmy się nauczyli?“ I odpowiedział sam: „Tylko w służbie Bożej zdolacie talenta i wiadomości swoje użyć ku własnemu szczęściu i ku zbawieniu drugich. Ani potęga i znaczenie, ani bogactwo i uciechy zmysłowe nie potrafią sercu waszemu dać pokoju“.

Nie zrozumiałem jeszcze, co chce przez to powiedzieć, ale gdym nazajutrz zobaczył, jak ten sędziwy starzec zeszedł ze swego tronu w chórze kościelnym, ujął Erlebalda za rękę, wprowadził go na tron i wśród głośnego płaczu i łkań wszystkich obecnych, wręczył mu pastorał i mitrę, a następnie usunął się między szereg braci z wesołym okiem i z radosnym, rozpogodzonym obliczem, — kie-

¹ Studium gramatyki, retoryki i dyalektyki zwano *trivium*. Jak widzimy, obejmowało ono blisko siedm lat nauki. Już gramatyka (4 lata nauki) stanowiła dla siebie pewną zaokrągloną całość, tak iż większość uczniów poprzestawała na niej i oddawała się odtąd albo sztukom rycerskim albo też praktycznym zawodom. Nie wszystkich zatem kształcono na uczonych — jak to dr. K. zarzuca; owszem, jak niebawem wskaże pamiętnik, po odbytem *trivium* zaokrąglano jeszcze wiadomości przez studium arytmetyki, a potem następował drugi podział uczniów, tak iż niewielka stosunkowo część kończyła *quadrivium*.

dym ujrzał surowego Erlebalda płaczącego, — wówczas rozjaśniło się w duszy mojej, poznałem jak nigdy dotąd nicosć wszystkich rzeczy ziemskich, i uczulem w sobie siłę do podobnego zaparcia się, do podobnej ofiary. I kiedym potem współ z kolegami siadywał często późnym wieczorem w naszym ogrodzie, kiedy oni rozmawiali o swoich grodach i zamkach i o wspaniałych pałacach książęcych i o świetnych festynach i turniejach, jam patrzył w milczeniu na spokojną powierzchnię jeziora, w której odbijał się cichy sierp księżyca lub migocąca gwiazdka, i myślałem o Bogu, o Bogu serca mojego, a pożegnalne słowa opata odzywały się w mej duszy. Niektórzy z nas poukładali wiersze z okazji tego aktu uroczystego i wygłosili je przy obiedzie wśród akompaniamentu muzyki i śpiewu, a Tatto postanowił posłać je Theganowi, biskupowi trewirskiemu, któremuśmy jeszcze podczas jego pobytu w jesieni musieli przyrzec taką posyłkę. Czyniliśmy to tem chętniej, bo znaliśmy go jako dawnego, zażyłego przyjaciela naszego drogiego opata Hattona, a ja z polecenia Tattona napisałem do tych poematów mały wstęp we formie listu. Thegan odpowiedział mi wierszami, poczem aż do jego niedawnej śmierci prowadziłem z nim korespondencję poetycką i listową. W podobny sposób wszedłem w tym czasie w korespondencję, również za pośrednictwem Tattona, z Agobardem, areybiskupem lugduńskim, któremu mię już przed dwoma laty przy jego odwiedzinach przedstawiano; wysłałem i do niego list w hexametrach, który znalazł najżyczliwsze przyjęcie. Wszystko to przyczyniło się do napelnienia mię namiętnem niemal zamilowaniem nie tylko poezji ale i umiejętności. Z takim usposobieniem zacząłem w lecie r. 822 pod kierunkiem Tattona studyum arytmetyki. Najpierw wyjaśniał nam księgi konsula Manliusa Boetiusa o różnych rodzajach i podziałach, oraz o znaczeniu liczb; potem uczyliśmy się rachować na palcach i posługiwać się abakusem¹ według dzieł, które o tem napisali Beda i Boetius.

Podział czasu u Hebrejczyków, Greków, Rzymian, wskazówki do obliczenia kalendarza, złotej liczby, epaktów, indukcyi zabierały

¹ Stolik rachunkowy.

nam wszystek czas, ale też i zajmowały bardzo naszą uwagę. Dla odmiany i rozrywki rozwiązywaliśmy zagadki matematyczne, które Alkuin ułożył dla Karola Wielkiego. Próbowałem potem sam układać takie zagadki i kilka z nich wypracowałem w hexametrach. Wielu nie zdołało nadażyć za tymi obliczeniami, i zanim przeszliśmy do geometryi, wystąpili ci, którzy się nadal chcieli oddać studjom medycyny, prawa, albo też sztukom malarstwa i rzeźbiarstwa. Na najbliższą wiosnę oddano tych ostatnich braciom, którzy na drugiej stronie klasztoru mieli swe warsztaty. W nich byli przez dwa lub więcej lat. Tym zaś, którzy się chcieli oddać medycynie, udzielał odtąd nauki *dominus* Richram, który mieszkał w osobnem zabudowaniu obok mieszkania opata i utrzymywał troskliwie ogród pełen ziół leczniczych. Umiał on z rzadką zręcznością przygotowywać różne napoje i balsamy oraz — przy pomocy kilku braci — opiekować się chorymi.

Rok 823. Po tym rozdziale zostało nas około dwudziestu i uczyliśmy się dalej według Boetiusa. Najpierw przechodziliśmy jego trzy książki o geometryi, przyczem mogliśmy korzystać ze zbioru wielu innych jeszcze pism geometrycznych. Skorośmy poznali figury i ich własności, musieliśmy zaraz sami podobne rysować i określać. Zdejmowaliśmy następnie pomiary z linii, z płaszczyzn, i z ciał, i wymierzaliśmy nie tylko role klasztorne i ich oddalenie na wyspie, ale także wysokość wież i zabudowań.

Głównem zajęciem naszym było poznać ziemię, i jej różne części, kraje i morza z ich właściwościami i płodami w kamieniach, metalach, roślinach, i zwierzętach. Już wprawdzie przy historii nauczyliśmy o tem wiele wiadomości, ale teraz wiadomości te uzupełnialiśmy, wykazywaliśmy rachunkiem i wyjaśnialiśmy ich przyczyny. Do pomocy mieliśmy *itinerarium Antonina*, *kosmografią Ethikusa*, pisma Bedy w tym zakresie, oraz dzieło św. Izydora. Największą uciechę sprawiały nam karty i figury, w któreśmy sowicie byli zaopatrzeni, i nieraz też podczas rekreacyj próbowaliśmy na piasku naszego podwórza rysować we większych rozmiarach granice krajów i części świata, powierzchnię ziemi, jej strefy, rzeki i pasma gór. Wszystkie te wyjaśnienia zjawisk natury bardzo się nam podobały, i żaden dział nauki nie był do tylu

przedmiotem naszych zabaw i pytań stawianych nauczycielowi Tatonowi. Podziwiałem często cierpliwość i ochoczość, z jaką zawsze odpowiadał na nasze pytania, i czułem się dziwnie pociągnięty przez cichy pokój, jaki widziałem w jego rysach; świecił mu on z ocz, i brzmiał z jego ust. Ten pokój Boży wywierał niejako czarodziejski wpływ na nasze burzliwe głowy i niespokojne serca, i choćby kiedy najhałaśliwiej było między nami, to gdy się Tatto ukazał lub do nas przemówił, naraz stawało się cicho a jednak wesoło w naszym kółku. Umiał on także wybornie zdolniejszych z nas przez dobrze obliczone pytania i uwagi utrzymać w pokorze, a słabszych i mniej uzdolnionych zachęcać przez pytania łatwiejsze, i stopniowo postępujące¹.

Także i *dominus* Grimald, lubo już nie był naszym nauczycielem, nawiedzał nas od czasu do czasu, chcąc się przekonać o naszych postępach i zachęcić nas do pracy; tej zimy jednakże powołany został do Akwisgrauu na dwór cesarza Ludwika, gdzie go też jako archikapelana zatrzymano. Pozostawialiśmy z nim — o ile to było możebne — w ustawicznej korespondencyi, i ja sam posyłałem mu niekiedy moje poematy. Dawał on je biskupom, którzy się dopytywali o stan naszej szkoły, i to było okazyą, że musiałem i im posyłać osobne poemata. I tak posłałem jeden poemat do arcybiskupa Ebbonā z Rheims wówczas, gdy się miał udać jako misyonarz do Danii; inny posłałem Drogonowi, nominowanemu biskupowi Metzu, który musiał doznać tak dziwnej zmiany szczęścia. Z Modorinem, biskupem z Autun, poznałem się przez jego kuzyna, który niemal razem ze mną rozpoczął studia w Reichenau i dożyć do mnie przylgnął. I do niego także później pisywałem.

Z wielkanocą następnego roku zabraliśmy się do studyum muzyki. Chociaż mało mam zdolności do tej sztuki, jednak miałem do niej zamiłowanie. Z tym większym zapalem przeto studyowałem księgi Boetiusa i czytałem Bedę. Tatto sam był sławnym muzykiem i komponował różne hymny i pieśni; wykładał on nam obszernie o następstwie i o wzajemnym stosunku tonów i o prawi-

¹ I jakież wobec t. p. faktów i zasad można mówić, że średnie wieki nie uwzględniały indywidualizmu uczniów, że nie miały pedagogiki?!

dłach kompozycji. Następnie wyjaśniał nam naturę i sposób użycia różnych instrumentów, reguły śpiewu, różne znaki tonu, tudzież ich powolne powstawanie i obecne znaczenie. Prawie każdy z nas nauczył się już w poprzednich latach albo śpiewu, albo gry na jakim instrumencie; jeden grał na organach, których używano tylko do akompaniowania śpiewu w kościele, drugi grał na harfie, inny na flecie, trompiecie lub pozaunie, niektórzy na cytrze deltowej, lub na lirze o trzech strunach. Wszyscy po kolei otrzymywali potrzebne wskazówki i sporo czasu łożyli na zupełne wydoskonalenie się w tym fachu¹.

Ja zaś — mimo ponawianych usiłowań — nie mogłem się nauczyć na żadnym instrumencie, chociaż umiałem dobrze śpiewać psalmy wspólnie z innymi. Ponieważ mi zostawało wiele wolnego czasu, obracałem go zrazu na próby ułożenia melodyj do różnych pieśni. Odradzał mi to dominus Tatto, ja jednak nie ustawałem w próbach tak, iż wreszcie pozwolił mi brać udział w nauce, której w tym kierunku niektórym udzielał. Zapamiętałem sobie dokładnie reguły i próbowałem je zastosować, co mi się też udało; gdy mi jednak mistrz kazał zaśpiewać to, com ułożył, to wydawałem tony tak dziwaczne i przeraźliwe, że raz na zawsze wyrzekłem się tych zachcianek. Dominus Tatto zaprojektował mi, abym się uczył języka greckiego, a że sam nie miał czasu, przeto polecił mię Wetinowi, który z chęcią zgodził się na moją prośbę. Kilku moich kolegów nabrało też chęci popróbowania greczyzny, ale już po dwóch lub trzech tygodniach potracili ochotę, tak że ja sam tylko wytrwałem wiernie w powziętem postanowieniu. Wetin nie szczędził żadnych trudów, aby mi naukę ułatwić i uprzyjemnić. Skoro tylko nauczyłem się na pamięć istotnych zasad z gramatyki *Dosithe wsa*, zacząłem czytać *Homera*. Dominus Grimald, który bardzo lubił tego autora, a nawet przyjął jego imię, podarował mi w tym celu osobny rękopis, który kupił w Akwis-

¹ Troskliwe pielęgnowanie śpiewu i muzyki jest charakterystyczną i nie ostatnią zaletą pedagogii chrześcijańskiej. Znał Kościół wybornie potęgę tonów i umiał z niej korzystać na osłabianie gwałtownych namiętności i uszlachetnianie szorstkich obyczajów. Kształcąc śpiewy i muzykę w kierunku religijno-moralnym, zapobiegał temsamem ich kierunkowi demoralizującemu.

granie od Greka z Konstantynopola. Zresztą nie mieliśmy kłopotu o dzieła Homera, bo opat Hatto i Erlebold kupili większą liczbę egzemplarzy przed 13-stu laty, gdy jako posłowie Karola bawili na dworze cesarza greckiego w Konstantynopolu.

Na tem schodziły mi długie wieczory zimowe. Czytałem z Wetinem pierwsze pieśni Iliady, a dominus Wetin udzielał mi przytem nauki w ten sam sposób, jak ją sam odebrał wraz z Erlebaldem od Szkota Klemensa, do którego ich posłał Hatto. Opowiadał mi, jak ów Szkot Klemens i jego towarzysze Dungal dostali się do króla Karola do Gallii... Takie i t. p. historie opowiadał mi Wetin podczas nauki z niewyczerpanego zasobu swego doświadczenia; czcilem go i kochałem jak ojca i słuchałbym bez końca jego opowiadań. Zbyt prędko jednak miał mi być wyrwany; 30-go października tego roku wieczorem czułem się nieco słabym i wypiliśmy lekarstwo, które jednak do tego stopnia pogorszyło stan jego, że piątego dnia potem umarł. W tych pięciu ostatnich dniach miał on widzenie... W boleści mojej napisałem wówczas do Grimalda, zawiadamiając go o tym smutnym wypadku¹...

Rok 825. Osobliwszego rodzaju wrażenie zrobiły na mnie ostatnie dni życia Watina; zdawało mi się, jakoby razem z nim umarł. Już oddawna miałem przekonanie, że powołany jestem do służenia Bogu w Reichenau; postanowienie to naraz obecnie dojrzało i prosiłem opata Erlebalda o przyjęcie w liczbę braci. Uznał za stosowniejsze kazać mi pierwej skończyć studjum umiejętności matematycznych, i tak tedy przez następną zimę i wiosnę słuchałem wykładów Tattona o astronomii. Jednakowoż myśli moje przez pół tylko były przy owym przedmiocie, lubo mi się dawniej tak zajmującym wydawał, i byłem zmuszony później we Fuldzie prosić mego Rhabanusa o uzupełnienie w tym właśnie kierunku moich wiadomości. A i dominus Tatton nie mógł nam już poświęcać tyle czasu i uwagi, jakby sobie niezawodnie życzył, bo musiał zająć miejsce Watina i kierować teraz całą szkołą. Wy tłumaczył nam jednak szkic Boetiusa i pisma Bedy o biegu słońca, księżyca i gwiazd, nauczył nas rozpoznawać grupy gwiazd, zodiak, wyjaśnił

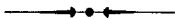
¹ Strabo dołącza tu hexametram elegijnym wcale udatnym co do formy, a przytem porywającą treść.

przyczyny zaćmień, nauczył sposobu użycia astrolabu i horoskopu, oraz zegaru słonecznego i tubusa. Kazał nam także rysować figury. Wieczorem, gdy gwiazdy świeciły, badał je wspólnie z nami i wprawiał wszystkich uczniów do tego, aby zauważali skośny bieg gwiazd w różnych okolicach nieba, tak przy wschodzie, jak przy zachodzie“.

Na tem się kończą zapiski Strabona o urządzeniu nauk w Reichenau. Z biegiem czasu może niejeden taki dokument da się odgrzebać w archiwach klasztornych, i wówczas dopiero będziemy w stanie na pewno coś orzec o ogólnym rozwoju i o postępie dydaktyki w czasach średniowiecznych i o przyczynach rozwój ten przerywających.

(Dok. nast.).

Ks. W. Gadowski.



SPRAWA WÓDCZANA ZE STRONY ŻYCIOWEJ.

Od roku, ba i więcej, sprawa wódczana jest na porządku dziennym w Galicyi. Był czas, że była nader piekącą; dzienniki zamieszczały sążniste artykuły, mówcy na umyślnie zwoływanych wiecach wygłaszali niepokojące mowy, miasta i powiaty słały do Wiednia swych posłów, a było ich tam naraz tak wielu, iż jak dowcipnie choć złośliwie wyraził się krakowski kronikarz: „od czasu odsieczy Wiednia nie było tam tyle szlachty polskiej“. Słowem wrzało u nas jak w kotle. Obecnie ucichło nieco, sprawa podobno jest na ukończeniu. I wilk ma być syty i owca cała, jeśli pod wyraz owca może być podciągnięty dochód propinacyi, który ma wpłynąć do kieszeni właścicieli. My tu o dochodzie i jego podziale nie mówić nie będziemy, lecz zastanowimy się nad inną stroną tej kwestyi, mianowicie rozbierzemy pytanie, co jest wódka, jakie są jej skutki fizyologiczne na organizm człowieka, jaki wpływ wywiera na rozwój moralny i społeczny.

Jak wiadomo, wódka jest mieszaniną alkoholu z wodą, zwykle na 100 części wódki 45—60% znajduje się w niej alkoholu. Dawniejszymi czasy znany był jedynie alkohol winny. Każde wino posiada pewną odsetkę alkoholu. Zwykle stołowe mają go 6—7%, a najsilniejsze hiszpańskie z Madery 20% alkoholu. Ten alkohol otrzymany z wina, zowie się chemicznie alkoholem etylowym, rozproszony wodą i użyty w małej dawce dodatnio działa w pewnych razach na organizm ludzki, i stąd pochodzi pierwotnie nazwa *aqua vitae*. Lecz czegoż człowiek nie nadużyje! Dawki większe i częstsze

bardzo zgubny wpływ wywierają na organizm, a skoro użycie alkoholu stało się pospolitsze, wszystkie wina na całym świecie nie mogłyby dostarczyć go w dostatecznej ilości, musiano go zatem wytwarzać z innych ciał organicznych; lecz alkohol stąd otrzymany, nie był już czysto etylowym, wrogo oddziaływał fizyologicznie, lekarstwo stało się trucizną, *aqua vitae* przemieniła się w wodę śmierci.

Chemia wykazała, że spirytus można otrzymać z bardzo wielu ciał organicznych, posiadających krochmal lub cukier, a to przez fermentację. Fermentacją nazywają szereg przemian chemicznych, odbywających się przy udziale tak zwanych fermentów albo zaczynów. Do wyrabiania spirytusu używa się płynów, zawierających w sobie cukier, mogący fermentować: takim płynem może być sok wyciśnięty ze słodkich owoców lub innych części roślin, bulw, korzeni i t. p. albo też odwar z ziarn zbożowych, ziemniaków i w ogóle mącznych produktów roślinnych, w których mączka czyli krochmal, pod wpływem fermentu zwanego dyastazem, przeszła w mieszaninę dekstryny i glukozy (cukru). W miarę zmiany materiału, z którego wyrabia się alkohol, zmieniają się też jego własności. A więc nie jeden i ten sam alkohol we wszystkich napojach gorących istnieje, lecz są rozmaite grupy alkoholowe mniej lub więcej szkodliwe dla organizmu ludzkiego. Tak obok alkoholu etylowego, znane są alkohole: propilowy, kwartylowy albo butylowy, pentyłowy czyli amilowy i t. p. o rozmaitych własnościach i skutkach.

Każdy alkohol w pewnej dozie jest trucizną dla organizmu. Najniewinniejszym ze wszystkich alkoholów jest winny czyli etylowy. Z doświadczeń robionych wynika, iż, podczas gdy ośm gramów alkoholu etylowego zabija zwierzę, ważące jeden kilogram, wystarcza dwa gramy alkoholu butylowego do spowodowania tego samego skutku, a alkoholu amylowego potrzeba jeden jedyny gram. Otóż we wszystkich wódkach, które się pędzą ze zboża czy z kartofli, znajdują się właśnie te alkohole butylowe i amylowe, i to do tego w wódkach dobrze oczyszczanych, w innych bowiem, w zwykłych, znajdują się różne aldehydy, olejki i eter, które potęgują zabójczość trunku¹. Lecz nie na tem jeszcze koniec; dziś wszystkie

¹ Baer. Der Alkohol seine Verbreitung und seine Wirkung etc. Berlin. 1878.

gorące trunki fałszują się. Podamy tu kilka danych, dostarczonych przez p. *Gadaud* Izbow francuskim.

Wiele alkoholów zawiera w sobie kwas siarczany, który producenci umyślnie zostawiają, albo umyślnie dolewają, ażeby podnieść smak trunku. Najbardziej rozpuszczona wódka przez dodanie kilku kropli witriolu wydaje się mocną. Rum, tak zwany Jamajka, nie zawiera w sobie często ani kropli płynu, pochodzącego z trzciny cukrowej. Do zwykłego alkoholu kartoflowego dodaje się witriolu, amoniaku, octanu amonowego, a nawet mydła. *Cognac* zalecany przez lekarzy jako ekstrakt winny, dziś w wielkiej ilości wyrabiany bywa ze zwykłego spirytusu kartoflanego ze sztuczną przymieszką. Ta sztuczna przymieszka otrzymuje się przez działanie kwasu saletrzanego na różne olejki i materye tłuste. Tworzą się tam różne połączenia chemiczne: kwasy propylowy, butylowy, amylowy, octowy, kozłkowy (*acidum valerianicum*) i t. p., które same przez się są już silnymi truciznami, a razem stanowią gwałtowną truciznę. Jeden centigram tej mieszaniny, służącej do nadania zapachu *Cognac*owi, po wstrzyknięciu za skórę psu Neufundlandzkiemu wystarczy do zabicia go w 11 minutach.

Jeden ze znanych i dość często używanych trunków jest *Kirsz*; wyrabia się z pestek owocowych, zawierających kwas pruski. Prawdziwy zatem *Kirsz* zawiera w sobie gwałtowną truciznę, ale fałszowany, a taki ogólnie znajduje się w handlu, zawiera jeszcze gwałtowniejsze trucizny. Dzisiaj fabrykują *Kirsz* z nitro-benzyny i odwaru wawrzynu wiśniowego (*laurier-cerèse*) i to jest zaprawa; samej zaś kartoflance nadaje się smak i barwę za pomocą pieprzu, alunu, kwasu siarczanego, kwasu octowego, chlorku wapna i oktanu ołowiu. Można sobie wyobrazić, jak ta mieszanina tyłu trucizn działa na organizm.

Nie będziemy tu wymieniać wszystkich gatunków wódek, o rozmaitej nazwie, barwie lub smaku, różnią się one głównie rodzajem trucizny, skutek jednak mają zawsze ten sam; musimy jednakże kilka słów powiedzieć o wermucie i absencie. Wermut jest mieszaniną wina białego i alkoholu, do której dodaje się zaprawa, złożona z najsilniejszych odwarów alkoholowych. Wermut pije się zwykle przed obiadem dla wzniecenia apetytu, działa on

w istocie nader silnie, drażni cały system nerwowy do tego stopnia, iż czasem wywołuje napady epilepsyi.

Koronę trucizn wódczanych stanowi absent czyli piołunówka. Dla otrzymania tego trunku nalewa się alkohol na piołun, anyż zielony i koper, następnie przecedza się stąd płyn otrzymany. Jak już wiemy, zwykły alkohol wódczany składa się z pierwiastków trujących, jeżeli nadto doda się wysokoku z wyżej przytoczonych roślin, trunek stąd otrzymany straszne sprawia spustoszenie w organizmie. Skutki absentu są takie, iż we Francyi utarło się zdanie że „w algierze więcej zginęło żołnierzy od absentu, aniżeli od kul arabskich“¹.

Aby zakończyć z pojedynczymi trunkami, to tylko jeszcze dodamy, że wszystkie wyroby alkoholowe, pod jakimkolwiek mianem znajdują się w handlu, i uchodzą czyto, jako wyroby winne, czy wódczane, wszystkie, tem więcej słodkie likiery i wódki, są szkodliwymi truciznami. Każdy handlarz win i wyrobów spirytusowych ma swoje sposoby fabrykowania trunków; mają oni swoje „sekrety“ w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, bo gdyby o wszystkich publiczność wiedziała, komissya sanitarna miałaby wiele do roboty.

Widzieliśmy wyżej stopień zabójczości różnych alkoholów, skoro dawka dojdzie pewnej miary, obecnie zastanowimy się nad skutkami, jakie użycie wyrobów alkoholowych nawet w słabszych dawkach wywołuje w organizmie ludzkim.

Nie tak dawno słyszeliśmy głosy w bardzo poważnych zebraniach, że wódka dla naszego wiesniaka jest koniecznie potrzebną; stanowi bowiem podstawę jego odżywiania. Podobne orzeczenia są wprost przeciwne wszystkim danym, jakie podaje nam nauka i spostrzeżenie. Nie jest prawdą, ażeby jakikolwiek alkohol, choćby najczystszy, winny, posiadał własności pożywne, żaden bowiem alkohol nie posiada pierwiastków azotowych, uważanych jedynie za pożywne. Prawdą, że człowiek strudzony pracą, wycieńczony głodem, wypiwszy czarkę wódki dostaje naraz sił, i zdolny jest przez pewien czas podołać wytężonej pracy, lecz fakt ten nie dowodzi całkiem, że alkohol działa odżywczo. Alkohol w tym przypadku

¹ Etudes. Octobre 1888.

otwiera tylko zapasy pokarmowe, które człowiek ma nagromadzone i takowe zużywa; skutki zatem alkoholu są wręcz przeciwnie odkarmianiu.

Zwolennicy alkoholu w Polsce utrzymują, że „przynajmniej nie da się zaprzeczyć, że kieliszek wódki wypity przed jedzeniem zaostrza apetyt“. Na ten zarzut odpowiadamy według danych, jakie nam dostarcza fizjologia.

Skoro człowiek jest zdrow, a od kilku godzin nie jadł, wówczas wyradza się w organizmie poczucie głodu, czyli pociąg do jedzenia. Nerwy zwiastują nam stan organizmu a szczególnie żołądka; zawiadamiają nas, że wszystko tam jest w porządku, gotów on jest do spełnienia swej funkcji, należy mu tylko dostarczyć odpowiednich materyałów. Jeżeli nie czujemy głodu, znaczy to, że żołądek nie jest w tym stanie, w którym z korzyścią dla organizmu mógłby przyjąć pokarm, stan jest chorobliwy. Przyczyna może być rozmaita, a stąd różne środki zaradcze. Lekarz może przepisać w pewnych razach dawkę alkoholu, który wyrze swój skutek, ale tylko w pewnym szczególnym przypadku; zwyczajnie jednakże nie alkohol, lecz inne lekarstwa mogą złemu zaradzić.

Funkcye żołądkowe są bardzo skomplikowane; ostatecznie soki żołądkowe rozpuszczające niektóre materye spożyte, wywołują w nich zmiany, i tym sposobem przygotowują potrzebny materyał do budowy lub odnowienia komórek. Obecność odpowiednich soków żołądkowych jest koniecznym warunkiem trawienia. Otóż rzeczą jest dowiedzioną, że alkohol nie przyczynia się do wytworzenia tych soków. *Klaudyusz Bernard*¹ robił doświadczenia na psach, i przekonał się, że obecność alkoholu w żołądku przeszkadza trawieniu. Czemuż tedy przypisać należy, że kieliszek wódki przed obiadem pobudza do apetytu? To pobudzenie apetytu jest uludnem. Alkohol spożyty nie wywołał zdrowotnych zmian w żołądku, lecz podrażnił tylko nerwy, które wystawiają świadomości naszej fałszywe znaki, że wszystko tam znajduje się w porządku. Potrawy spożyte w tym stanie żołądka nie są należycie przetrawione, zakwaszają się i usposabiają żołądek chorobliwie; kombinacye chemiczne, które się wytwarzają, nie są zdrowotne, przeprowadzane

¹ Leçons sur les effets des substances toxiques p. 414.

przez naczynia włoskowate do żyły wrotnej i chłonic, zalewają cały organizm i podkopują jego prawidłowość. Zresztą chociażby alkohol przez podrażnienie nerwów przyczynił się do obfitego wydzielania soków żołądkowych, sztuczne drażnienie osłabia nerwy, wytwarza anormalny stan żołądka, i jest główną przyczyną choroby chronicznej, znanej pod nazwą nieżytu żołądkowego. Taki jest pierwszy skutek, jaki sprawia używanie alkoholu, są jeszcze inne dalej sięgające.

Alkohol jest narkotykiem, działanie jego jest podobne do działania morfiny, kokainy i im podobnych. Każdy narkotyk sprowadza odpowiedni nałóg; mamy morfinizm, nikotynizm, alkoholizm, dziś nawet antipirinizm, a każdy z nich prowadzi do nieuleczalnych obrażeń organizmu. Największa część chorób chronicznych pochodzi z używania alkoholu: katar żołądka, katar kiszek, choroby nerkowe, (tj. choroba Brighth'a) wątrobiane, *delirium tremens*, szaleństwo, epilepsya, usposobienie do zapaleń płuc, do suchot, cholery i t. d.¹ Wedle danych statystycznych, na sześciu zmarłych na cholere w Nowym Yorku, pięciu używało alkoholu; w armii angielskiej jest stosunkowo trzy razy więcej chorych między tymi, którzy używają wódki, aniżeli z tych, którzy się od niej wstrzymują. Operacye chirurgiczne na żołnierzach rannych w bitwie, a oddających się trunkom, daleko częściej zawodzą; najczęściej umierają oni w skutek zakażenia krwi.

Słusznie mówi jeden z naszych posłów, że „doświadczenie kilkudziesięczonego korpusu jenerała angielskiego Wolseleya i w mrozach syberyjskich północnej Ameryki, i w żarze tropikowym środkowej Afryki, wykazało, że w tak sprzecznych warunkach klimatycznych, tak samo jak i w umiarkowanej Anglii, ci żołnierze, którzy się zupełnie wstrzymali od trunków gorących, o wiele przewyższali wszystkich innych wytrzymałością na fatygi i choroby“².

Skutki alkoholu na stan umysłowy nader wybitnie okazują się w sprawozdaniach, jakie dostarczają przytułki dla obłąkanych. Ilość obłąkanych wzrosła w każdym kraju proporcjonalnie do ilości

¹ V. Ziemssen's. Handbuch der Speciellen Pathologie und Therapie. 49 Lieferung. II Theil. I Abschnitt. I Kap. Leipzig 1881. Str. 89.

² Szczepanowski. Wódka i propinacya str. 14.

konsumowanego alkoholu. Od lat dziesięciu przyrósł ten wynosi 16%. „W jednym ze szpitali dla obłąkanych stwierdzono w r. 1872, pisze *O. Martin*¹, 302 wypadki mające źródło swe w alkoholizmie, w r. 1885 w tem samym szpitalu stwierdzono takichże wypadków 500. Dzisiaj statystyka 40% obłąkanych przypisuje alkoholizmowi“.

Alkohol nie ogranicza się w skutkach swoich na uszkodzeniu zdrowiu tym, którzy go używają, jest dziś rzeczą dowiedzoną, że skutki alkoholu odbijają się na potomstwie. We Francyi pp. *Mair-et i Combemale* robili doświadczenie intoksykacyi na psach; otóż szczenięta pochodzące bądź od psa, bądź od suki pojonej alkoholem, w krótkim czasie zdechły wszystkie, a oględziny pośmiertne wykazały wady organiczne powstałe skutkiem alkoholu. Organizm ludzki nie różni się od zwierzęcego w swych głównych funkcyjach i własnościach, skutki alkoholizmu rodziców zostały stwierdzone na ich dzieciach przez liczne spostrzeżenia: nadwreżony organizm, zarody chorób chronicznych, różne kalectwa, idiotyzm i wielka śmiertelność są jego następstwami. Profesor dorpacki, Dr. Boehm² twierdzi, że „dziś nie ulega wątpliwości, że dzieci pijaków nie tylko wielką skłonność do chorób psychicznych dostają, ale powszechnie otrzymują złe ukonstytuowany system nerwowy“. Trzy czwarte dzieci epileptycznych i nerwopatycznych zrodzone były przez opileców; na trzysta siedmdziesiąt dziewięć idiotów, których badał Dodge, sto dziewięćdziesiąt było dziećmi pijaków. Co więcej dzieci odziedziczają po swych rodzicach nałóg alkoholizmu. We Francyi stwierdzono liczbami, iż na 100 niedorostków, oddających się pijaństwu, 34 odziedziczyło nałóg po rodzicach.

Skutki alkoholu oddziałują na stan moralny człowieka. Bezpośrednia łączność niższej części człowieka z jego stroną duchową, sprawia, że stan jednej, musi na drugą wpływ swój wywierać. Szybszy obieg krwi i rozstrój nerwowy wywołany alkoholem, działa na mózg, wyobrażenia stają się niesformą, namiętności podrażnione zrywają wszelki hamulec. Człowiek pijany zdolny jest do wszelkiej zbrodni, w stanie opilstwa jest niższym od każdego bydłącia. We-

¹ *Etudes*. Decembre 1888, str. 508.

² *V. Ziemssen's*. Pathologie etc. l. c. str. 115.

dług sprawozdania kongresu w *Liège* w r. 1886, trzy czwarte procesów kryminalnych, były wynikiem opilstwa; w sprawach nawet cywilnych połowa procesów była wypływem nadużycia trunków. Statystyka kryminalna Niemiec podaje, że na 100 morderstw, 63 było popełnionych przez pijaków. We Francyi, gdzie zresztą pijaństwo mniej jest rozpowszechnione, jak w wielu innych krajach, staje rocznie 83.600 osób przed kratki sądowe, oskarżonych o zbrodnie lub mniejsze występki, popełnione w stanie opilstwa. W roku zeszłym paryska Akademia medyczna otrzymała od p. Marambat'a dane statystyczne dotyczące się pijaństwa; oto liczby:

Na 100 włóczęgów	znajduje się 79 pijaków
" " morderców i podpalaczy	" " 57 "
" " zbrodniarzy przeciw obyczajom	" " 53 "
" " złodziei i oszustów	" " 71 "
" " zadających kalectwo	" " 88 "
" " rabusiów	" " 77 "

Jedna ze zbrodni, która coraz szersze przybiera rozmiary, jest samobójstwo. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że alkohol gra tu ważną rolę, nie posiadamy jednak odnośnych danych statystycznych.

Złe moralne, jakie sprowadza alkoholizm, nie ogranicza się na samym nieszczęśliwym pijaku, rozszerza się na rodzinę i społeczeństwo.

Jeżeli ojciec rodziny lub matka oddają się temu nałogowi, jakież straszne następstwa grożą całemu domowi! Ile tam klótni, swarów, przekleństw, bluźnierstw i bijatyki, a na to patrzą dzieci; jakież uszanowanie mogą one mieć dla ojca, którego widują tyle razy w stanie gorszym od bydlęcia, jakie uszanowanie dla matki, której mąż nie szczędzi ohydnych łajañ i srogich razów! Nędza musi zawitać do takiego domu. Zarobek jest przepity, krowa poszła za długi, ostatni kozuch zastawiony jest u żyda. Człowiek odurzony trunkiem nie może pracować, a po wytrzeźwieniu niema sił ani ochoty do pracy. Wywłaszczony z roli i chaty włóczy się o zebrany chleb, a żona i dzieci idą w ostatnią poniewierkę. Jakżeż częste i bolesne są takie przykłady w naszym kraju!

Podaliśmy już wyżej dane statystyczne, odnoszące się do skutków, jakie pijaństwo powoduje w obyczajności; liczby te po-

dają tylko zdarzenia zaskarżone i wyjawione, lecz ileż ich pozostaje w ukryciu! Wszyscy, którzy z urzędu swego, lub obowiązku zajmowali się praktycznie badaniami psychiczno-moralnemi, znają dobrze ogrom zła. Skoro krewkość naturalna podnieconą zostanie jeszcze alkoholem, skoro zwiększy się obieg krwi, podniesie się ciepłota, skoro jasność rozumu zostanie przyćmioną, a siła woli sparaliżowaną opilstwem, wówczas wszelki hamulec się zrywa, wszelkie węzły obowiązku, honoru, przyzwoitości nawet się rozwiązuje, człowiek upada niżej od zwierzęcia. Rzucamy zasłonę na szczegółowe przypadki, i następstwa, jakie sprowadza alkoholizm w tym zakresie; zbyt są znane, i wstrętne, by dłużej nad niemi zastanawiać się.

Pozostaje nam jeszcze wykazać zło, jakie sprawia alkoholizm w społeczeństwie, mianowicie zaś, że podkopuje on potęgę państwa.

Potęga państwa zależną jest od ilości pracy jednostek. Każdy pijak jest osobą mało pracującą; nie pracuje, kiedy pije, jakiś czas niezdolny jest do pracy po upiciu, nadwyreża swe zdrowie i skracą życie. Im więcej jest pijaków w państwie, tem ono jest słabszem; jest słabszem jeszcze z innego względu. Dziś, kiedy miarą potęgi państwa jest ilość żołnierzy mogących stanąć do boju, państwo, w którem grasuje pijaństwo, liczy pomiędzy swemi jednostkami zbyt wiele niedołęgów. Wszyscy o tem wiedzą niestety, że w naszym kraju, gdzie przeszło siedm litrów alkoholu przypada na głowę, mięsa zaś zaledwie 10 kilo, ogromny jest procent niezdolnych do wojska. Alkohol nie karmi i sił nie dodaje, jakto niektórzy panowie publicznie głosili.

Wreszcie alkohol gra ważną rolę w zaburzeniach społecznych. Ludność skłonna do alkoholizmu jest najbardziej przydatną dla agitatorów przewrotu. Rzeczą jest wiadomą, że wszystkie te straszne rzezie w słynnej rewolucyi francuskiej, tak w r. 1789, jak i podczas *Komuny* w r. 1871, podniecane były alkoholem; *Laboulaye*¹ wypowiedział w Izbach francuskich, że pożogę w Paryżu roznieciła spojona tłuszcza. A w naszym kraju w tym nieszczęsnym 46-tym roku, wszystkie zbrodnie dokonane były w stanie zupełnego opilstwa.

¹ *Etudes*. Decembre 1888.

Wykazaliśmy pobieżnie zgubny wpływ alkoholizmu na jednostki, rodziny i społeczeństwa; dane liczebne skrętnie zebrane przez statystów pouczają nas o ogromie zła, jakie alkoholizm sprowadza. Rasa czerwona w Ameryce północnej wyginęła przeważnie w skutek alkoholu dostarczanego jej przez niecznych handlarzy; z tego samego powodu wiele wysp Oceanii wyludnione zostały do szczętu z pierwotnego szczepu, inne gasną w naszych oczach; wybrzeża zachodniej Afryki zalewane są obecnie alkoholem, którego skutki tak się dają odczuwać, że poważne głosy w parlamencie niemieckim, wbrew własnym korzyściom, żądały zakazu wprowadzania tamże tej trucizny; w państwie wolnem *Kongo* zakaz temu podobny został wprowadzony w wykonanie. Ilość konsumowanego alkoholu w Europie jest przerażającą; pieniądze wyrzucone na wódkę dochodzą tu do bajecznych sum, które się liczą na miliardy. Obliczono, że w naszym małym i biednym kraju, według dawnej wyjątkowo niskiej stopy podatkowej od spirytusu, konsumenci płacili rocznie haracz 17 milionów reńskich; a dziś przeszło 31 milionów płacić będą; w porównaniu z innymi ludźmi i bogatym krajem jest to kropla w morzu. We Francyi wydają rocznie na trunki gorące 2600 milionów franków, w Anglii jeszcze więcej; są państwa, których miliardowy budżet opędza się głównie z dochodów wódczanych; a trzeba dodać, że konsumpcya alkoholu z dniem każdym wzrasta, i te mialiardy płaci najuboższa klasa, wyrobniecy. Dokąd to nas zawiedzie!

Zapewne, w dzisiejszych naszych stosunkach, niemożliwy jest zakaz wyrobu alkoholu, ograniczenie jego konsumpcyi jest również niemożliwe, są wprawdzie prawa zakazujące nadużyć, i wymierzające stosowne kary, ale chociażby były ściśle przestrzegane nie wystarczą jeszcze, i nie ocalą ogółu. Potrzeba tu współdziału warstw kierujących. Tak już od dawna zawiązały się towarzystwa wstrzeмиęźliwości w Szwecyi, Irlandyi, Anglii, Belgii, Niemczech, i Ameryce północnej. W tym ostatnim państwie w r. 1804 sprawę alkoholową uważano, jako interes państwowy, rząd popierał towarzystwo wstrzeмиęźliwości, i wydały one świetne rezultaty; okazała się daleko mniejsza śmiertelność członków towarzystwa wstrzeмиęźliwości, gdy ludność Nowego Iorku nawiedzona została srogą cholerą. W ślad za Ameryką szła Anglia, gdzie w r. 1829 założono

podobneż towarzystwo; pomimo tego, że przechodziło rozmaite koleje, liczy ono obecnie 4 miliony członków, a głównie prowadzone jest przez kler katolicki. W Irlandyi wielką działalność w pierwszej połowie tego wieku rozwinął Ks. Matthews, a skutek był tak wielki, że w przeciągu lat pięciu 800.000 ludzi nawrócił od nałogu pijaństwa i dał początek tamże towarzystwu wstrzemięźliwości. W Niemczech również zrozumiano doniosłość podobnych stowarzyszeń; poczęły się one tworzyć pod opieką rządu, lecz już wcześniej, bo w r. 1848 wśród wewnętrznych zamieszek działalność na tem polu ustala. W Belgii po dziś dzień liga katolicka, zbierająca się corocznie w Tournai, obradowała i w zeszłym roku 1888 nad niebezpieczeństwem grożącym ze strony alkoholu, przyczem p. *Caude-lier* w wymownych słowach przedstawiał jego wpływ na społeczeństwo, zachęcając do koniecznej, energiczniejszej akcji katolików przeciw grożącemu niebezpieczeństwu ze strony alkoholu. U nas wprawdzie nie ma stowarzyszeń świeckich do propagowania trzeźwości, mamy jednak potężny czynnik w misjach ludowych i mamy bractwa wstrzemięźliwości, które tam, gdzie zostały po dobrej misyi wprowadzone i należycie podtrzymywane, niesłychane przyniosły owoce. Lud nasz jest pobożny, wiele można żądać od niego; dla miłości Pana Boga i dla swego zbawienia przezwycięża się i wyrzeka wódki. Kto chociaż raz był obecnym na „misjach“ nie mógł bez wzruszenia być świadkiem, jak ten pocciwy lud, wbrew swym nałogom, odważnie podnosił rękę i wyrzekał się trunku.

Owoce w tym względzie najwidoczniejsze są w Wielkopolsce, a pierwszy wyłom zrobiły misye Ks. Antoniewicza i jego towarzyszy. Rzadko daje się dziś spostrzegać w tych stronach człowieka pijanego; przyczyniło się to również do umoralnienia tamtejszego społeczeństwa, silnej wiary i pobożności, której nawet srogi cios *Kulturkampf* zachwiać nie zdołał. Nawet w Galicyi, gdzie misye odbyły się, a energia duszpasterzy owoc ich podtrzymywała, pijaństwo w części usuniętem, w części zmniejszonem zostało. Wyznać jednak należy, że u nas pod tym względem wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, zwłaszcza we wschodniej Galicyi. Ułatwi przyszłą dalszą pracę Misjonarzy na tem polu podwyższenie ceny wódki, w czem prawo fiskalne mimowoli przyczynia się do zmniejszenia pijaństwa. Komu leży na sercu dobro duchowe i materialne

naszego ludu, powinien, o ile stanowisko i okoliczności pozwalają, dokładać usilnych starań do wykorzeniania pijaństwa. Tak więc duchowni jak i świeccy powinni podać sobie ręce do wzajemnej działalności, która bardziej dziś jest możliwą i łatwą, skoro nawet interes prywatny w obec zniesienia propinacyi żadnej w tej mierze przeszkody nie czyni. A ponieważ kwestya alkoholowa powinna dotyczyć nie tylko ludu, ale wszystkich warstw społeczeństwa, przykład silniejszy nad słowo, powinien iść z góry, jeśli praca ma być racjonalną i skuteczną. Dzisiaj, jakkolwiek mniej się pije, jak za czasów saskich, jednak nie można jeszcze powiedzieć, że się u nas nie wiele pije. Przy sumiennym obrachunku, możnaby jeszcze wiele oszczędzić na korzyść zdrowia, kieszeni i szczęścia rodzinnego.

Ks. Marcin Czerminski.

ELEKCJA KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA WAZY

NA TRON MOSKIEWSKI. (1609—1611).

(Ciąg dalszy).

Zanim jednak przypatrzymy się pożegnaniu hetmana z ludnością stołeczną, musimy poznać nieco bliżej skład poselstwa, które hetman z „dumnymi bojary“ wysłał do Zygmunta. Żółkiewski, lękając się, by stronnicy Golicyna i młodego Romanowa nie intrygowali przeciw Władysławowi, doprowadził do tego, że i Golicyn i ojciec Nikitycza Filaret wysłani zostali jako posłowie do króla; w ten sposób uniemożliwiał im znoszenie się z ich stronnikami, szachował nadto i tych ostatnich, oddając ich przywódców w ręce królewskie¹. I Golicyn i Filaret przyjęli z pozorną radością zaszczytny dla nich, jak mówili, dowód zaufania, lecz fakta świadczą, że na jedną chwilę nie zrobili rozbratu ze swymi ambitnymi planami, których głównym celem był tron monarszy. Gdy posłowie, opuszczając Moskwę, udali się do patriarchy Hermogena z pożegnaniem, a gdy ten przedstawił im konieczność przyjęcia wiary greckiej ze strony Władysława, Golicyn oświadczył, że będą się o to starać, ale gdyby się to nie dało, to posłowie gotowi są zdać się we wszystkim na wolę króla². Po takim objawie przychylności dla Polaków

¹ Żółkiewski str. 89.

² Sołowiew str. 312.

napisał Golicyń łącznie z Filaretem zaraz na drugi dzień list z drogi do Moskwy, gdzie mówi, że Polakom wierzyć nie można, bo robią nadużycia. List cały technie wielką niechęcią do Polaków i ich króla¹. Trudno jest doprawdy zrozumieć, jak w przeciągu 24 godzin mogła się w Golicyńce wyrobić taka zmiana przekonauć; poznamy to lepiej w dalszym ciągu, teraz czas nam spieszyć za posłami pod Smoleńsk, dokąd niebawem przybędzie i hetman.

Żółkiwski, opuszczając Moskwę, zebrał swych żołnierzy i w wspa-
niałej co do treści mowie zalecił im spokój i uprzejme postępo-
wanie względem mieszkańców, „bo na waszym łonie“, mówił, „spo-
czywa korona królewicza Władysława i honor polskiego imienia.
Nie mniemajcie jednak, by najmniejsze wykroczenie uszło wam
bezkarnie. Gosiewski na miejscu mojem porządku przestrzegać bę-
dzie, i jeszcze wódz naczelny skargi poszkodowanego nie wysłucha,
a już winny ukaranym zostanie. Sądzę jednak żołnierze moi, że do
rzeczy tych nie przyjdzie. Jadę do króla, hojności Jego pańskiej,
wasze trudy, cierpienia i blizny polecę; wy zawsze sercu memu
przytomnymi będziecie“. Powiedziawszy to, siadł do kolebki, wio-
ząc przed sobą cara Szujskiego z braćmi, dla których Żółkiwski,
ów wzór chrześcijańskiego rycerza, był z całym uszanowaniem
i współczuciem. Lud szczelnie zapelniał ulice, a duchowni z krzy-
żami i obrazami żegnali wojownika, który równie dobrocią, jak
i żelazem zwyciężać umiał².

Gdy hetman przybył pod Smoleńsk, już tam były w pełnym
toku obrady posłów moskiewskich z senatorami polskimi. Przed
przyjazdem hetmana odbyło się kilka narad, na których ze strony
moskiewskiej domagano się zapewnienia, czy Władysław wiarę grecką
przyjmie; Polacy natomiast żądali przede wszystkim, aby posłowie
nakłonili Szehina do oddania Smoleńska królowi, dowodząc, że to
jest pierwszy i najniezbędniejszy warunek, i że dopiero wtedy, gdy
Smoleńsk się podda, można będzie o czem innem mówić. Bojaro-
wie tłumaczyli się, że w układach zawartych z hetmanem, zarę-
czono uroczyscie, iż żadna pięć ziemi oderwaną nie będzie od
carstwa, na co jednak odpowiadali im Polacy, że odzyskanie Smo-
leńska jest niezłomną wolą króla, ponieważ on należał do Polski,

¹ Kostomarow str. 34.

² Kobierzycki str. 352.

i ona ma do niego niezaprzeczone prawa. Atmosfera stawała się coraz duszniejszą, senatorowie oswajali się z przekonaniem, że Smoleńsk jest szkopułem, o który cała sprawa się rozbija, posłowie pocieszali się, że przyjazd Żółkiewskiego przyczyni się do zakończenia układów po ich myśli¹. Przybył nareszcie Żółkiewski. Zygmunt przyjął go z wielkimi honorami, nie szczędząc pochwał i objawów serdeczności, a gdy owacy się ukończyły, udzielił posłuchania w cztery oczy hetmanowi. W poufnej rozmowie z królem wytłumaczył się Żółkiewski z dotychczasowego postępowania, i przedstawił Zygmuntowi obraz potęgi i pomyślności, która się stanie udziałem jego domu i Polski, jeśli Władysław zostanie carem. Wskazywał, że i Turek w szachu będzie trzymany przez połączone siły obu państw, Szwecyą król odzyska, korona polska utrzyma się w jego domu, bo w następnej elekcji żaden z pretendentów nie będzie się mógł nawet równać z Władysławem, władcą potężnego państwa, i nakoniec otrzyma się ze skarbu moskiewskiego pieniądze na zapłacenie żołdu królewskiego wojska, które lada chwila gotowe było zawiązać konfederację, „lecz zawarte były uszy króla Imcipana hetmanowym radom“². Hetman, przekonawszy się o tem, nie mógł na następnych naradach z posłami nakłaniać senatorów do ustępstw, to też, gdy posłowie moskiewscy nalegali nań, by ich poparł, oświadczył im, że król chce, aby się Smoleńsk poddał, czemu on sprzeciwiać się nie może, mając obowiązek posłuszeństwa dla swego monarchy. Słowa jego nie zmieniły usposobienia posłów, spotęgowały tylko ich oburzenie, skutkiem czego dalsze konferencye do niczego nie doprowadziły, krom obustronnego rozgoryczenia. Wtenczas senatorowie chwycili się ostatecznego środka, o którym wspominali kilkakrotnie sami Moskale; napisali do Moskwy, do „dumnych“ bojarów, aby ci nakazali posłom postąpić podług życzeń króla. Wyprawiono posłów, nastąpiła chwilowa przerwa w naradach, cenna nadzwyczaj dla obu stron znękanych długimi i nużącymi debatami, w których zmianę wiary i poddanie Smoleńska omawiano ustawicznie w najrozmaitszy sposób. W trakcie tego pa-

¹ Teka Nar. 105 t. 22; Kostomarow str. 68, Sołowiew str. 330.

² Żółkiewski str. 103—106.

nowie polsey pracowali nad zupełnem pozyskaniem dla siebie szlachty moskiewskiej, w skład poselstwa wchodzącej, drugorzędną rolę wśród pertraktacyj zajmującej. Oddawna bowiem słychać było, że bojarowie orzekają o wszystkim samowolnie, poniżają szlachtę swoją przy każdej sposobności, i że z tą ostatnią łatwiejby można dojść do celu, niż z bojarami ¹.

Rzeczy jednak miały się inaczej. Część bowiem niezadowolonej szlachty, nie dając się unieść za daleko affektowi, nie przestała pamiętać o interesach swej ojczyzny, której szkodę widzieli w oddaniu Polsce Smoleńska ². Drudzy byli zwykłymi karyerowiczami, i bez głębszych przekonań, gotowymi za pieniądź do wszystkiego. Bojarowie, pozostawszy w obozie polskim, wyprawili z tej szlachty aż 43 ludzi do Moskwy po wyrobienie tam „hramoty“ bojarskiej wedle intencyj polskich. Że na nich liczyć nie było można, tego jawnym dowodem to, że jeden z najbardziej niezadowolonych, Prokop Lapunow, który najwięcej wiadomości udzielał Polakom o rozdwojeniu w poselskim gronie, równocześnie zawiadamiał o wszystkim brata swego Zachara Lapunowa, władającego prawie udzielnie ziemią Rjazańską. Gdy owi 43 przybyli do Moskwy, Mścisławski pragnący szczerze Władysława, przeświadczony, że Zygmunta nie da się odwieść od raz powziętych postanowień, zredagował pismo, w którem oświadcza zdanie się na wolę króla, i udał się z niem w towarzystwie Andronowa i Sołtykowa do patriarchy ³.

Nadmienić należy, że Andronow ten, człowiek z gminu, synem był szewca, bez zdolności i znaczenia zaskarbił sobie, nie umiemy powiedzieć, w jaki sposób, łaskę króla i Gosiewskiego tak dalece, że ten ostatni, jako komendant Moskwy, zamianował go wysokim urzędnikiem do przyjmowania próśb zanoszonych do Zygmunta. Był to błąd ze strony Gosiewskiego. Bojarzy czuli się tem boleśniej dotknięci, że człowiek z gminu tak wysokie i wpływowe zajmuje stanowisko. Andronow przyjmował „czolobitnie“ zanoszone do króla, których setkami zarzucali go bojarowie. *Sacra auri fames* przygłuszyła u wielu z nich wznioślejsze uczucia, molestowali o darowizny majątków, przyjmowali takowe od króla, ró-

¹ Sołowiew 340 et sqq.; Kostomarow str. 85.

² Sołowiew str. 340.

³ Kostomarow str. 90.

wnie jak i od Gosiewskiego, który czasami miał podobno wywłaszczać prawowitych właścicieli a obdarzać proszących. Taki szafunek donacyami sprzeciwiał się prawu i warunkom Władysławowskiej elekeji, słusznie też zniechęcał wielu do osoby Zygmunta¹.

Mściśławski, stanawszy z towarzyszami u patriarchy, nalegał nań, aby położył swój podpis pod wystosowaną do posłów i załogi smoleńskiej „hramotę“. Patriarcha, przewidując następstwa tego kroku, oświadczył uroczyście, że nigdy się nie zgodzi, aby katolik zasiadł na tronie, a do kniazia Mściśławskiego zwrócił się z groźnemi słowy, wyrzucając mu zdradę wiary, i grożąc wiekuistymi kary w poza grobowym żywocie. Mściśławski zachował milczenie, ale Iwan Sołtykow mniej ulegał urokowi naczelnika cerkwi, chwycił za nóż i zagroził patryarsze śmiercią, jeżeli podpisu nie położy. Hermogen nie uląkł się pogróżek, w odpowiedzi rzucił klątwę na Sołtykova, i oświadczył ostatecznie, że jeśli Władysław przyjmie wiarę grecką, powita go radośnie, jeśli jednak przybędzie jako katolik, wówczas on uwolni naród od złożonej przysięgi, i swym głosem pasterskim wezwie go do obrony zagrożonej wiary. Po tych słowach bojarowie rozstali się z Hermogenem i bez jego podpisu wyprawili „hramotę“ w pierwotnem jej brzmieniu pod Smoleńsk².

Skutku ono nie osiągnęło, gdy je bowiem panowie polscy przedłożyli posłom, ci przez usta swych przywódców, Filareta i Golicyna, oświadczyli, że „hramota“ żadnej dla nich wartości nie ma, najprzód, że nie jest uchwałą soboru, złożonego z przedstawicieli całej ziemi, a powtóre, że nie ma podpisu patriarchy. O ile drugi powód był słusznym, o tyle powoływanie się na sobór było zwykłym wybiegiem, boć dotąd robiono wszystko bez soboru i „duma“, przy sterze władzy będąca, ukształtowała się bez soboru, który nie mógł się zebrać w ciężkich warunkach interregnum, i układy z Żółkiewskim zawarte zostały bez niego, a w dodatku do tej pory sami posłowie wypełniali rozkazy dumy, nie kępując się wcale brakiem upoważnienia od soboru.

Tymczasem w Moskwie Hermogen wypowiada w katedralnej cerkwi kazanie, w którym ostrzega przed zgubą wiary, jaką jej chcą zgutować Polacy; wzywa do walki z królem polskim i upo-

¹ Kostomarow str. 63.

² Tenże str. 90.

mina słuchaczy, by słowa jego po całym roznieśli kraju. Gosiewski oddał go za to pod straż polską, nie zdołał jednak zapobiedz, aby głos patriarchy nie poruszył miliony od parohów Dnieprowych, aż do wybrzeży Lodowatego morza.

Wrogiemu usposobieniu patriarchy przeciw Polakom wtoruje Zachary Lapunow, dotąd stronnik Władysława, i szlachta z okolic Smoleńska. Lapunow przysyła list do Moskwy, do wszystkich jej stanów, w którym członków dotychczasowego rządu, sprzyjających Polakom przedstawia jako zdrajców, przestrzega przed niebezpieczeństwami grożącymi cerkwi, i wzywa do walki z Polakami. W takim samym duchu napisany był list od szlachty smoleńskiej z tym jednak dodatkiem, że wyliczał rzeczywiste i urojone nadużycia wojsk królewskich¹. Listy te w rozlicznych odpisach rozesłano z Moskwy na prowincye, wraz z hramotą od ludności stołecznej. Niestety, wyznać trzeba, że aczkolwiek nadużycia polskie opisane w liście Smoleńszczan były przesadzone lub urojone, to jednak załoga polska w Moskwie gwałtami swemi przyczyniła się znacznie do wybuchu. Dopóki był Żółkiewski, władał wojskiem duch wzorowej karności, gdy po jego wyjeździe objął komendę Gosiewski, przestrzegał czas niejaki porządku z całą surowością, przechodzącą nawet niekiedy w okrucieństwo. Tak n. p. gdy żołnierz arianin, jakiś Biliński, strzelił do obrazu Matki Boskiej, został za to spalony na stosie. Innemu żołnierzowi, który czerńca w twarz uderzył, odrąbano rękę. Lecz zaznaczywszy w początkach tak nieubłaganą surowość, stracił Gosiewski energię, skutkiem czego upadła wszelka karność w wojsku. Markiewicz, uczestnik wyprawy, tak charakteryzuje postępowanie swych kolegów: „Nasi, co się komu podobało, brali: żonę, córkę li, choćby od najpotężniejszego bojara²⁴. To musiało pomnażać niechętnych, aż wreszcie w palmową niedzielę 1611 r. przyszło do walki z Polakami, wśród której wybuchnął pożar i obrócił w perzynę większą część miasta. Załoga polska utrzymała się wprawdzie w stolicy aż do początku 1612 roku, składając niesłychane dowody męstwa i znosząc najstraszniejsze udręczenia, ja-

¹ Kostomarow str. 92, 105 i 107; Karamzyn t. VII, str. 225.

² Markiewicz str. 33.

kie kiedykolwiek obłożonym dostały się w udziale, lecz pożytku to żadnego nie przyniosło.

Gdy to się dzieje w Moskwie, pod Smoleńskiem zachodzi fakt, który obu stronom niechęć zamienił w otwartą nienawiść. Wykryto mianowicie, że Golicyń i inni z grona poselskiego znosili się potajemnie z Szehinem, komendantem Smoleńska, utwierdzając go w myśli nie poddania grodu. Okazało się dalej, że niektórzy z posłów pisywali do Samozwańca w duchu wrogim Polakom, nawołując równocześnie królewicza szwedzkiego, aby stanął, jako pretendent do carskiego tronu. Za takie postępowanie, obrażające równie charakter poselski, jak świętość przysięgi, złożonej Władysławowi, zostali uwięzieni i odesłani do Polski¹. Czyn ten Zygmunta wywołuje zgromadzenie oburzenia z ust historyków rosyjskich; zarzucają oni Zygmuntowi despotyzm, barbarzyństwo i t. p. Trudno to do prawdy zrozumieć; posła zniżającego się do roli agitatora i łamiącego prawa, spotkałaby w narodzie innym, mniej łagodnym, jak nasz, szubienica, nie więzienie. Wszak car Szujski wtrącił bez żadnej winy posłów polskich do „turmy“, a ci sami historycy żadnej mu stąd nie czynią wymówki. Tem dziwniejszą jest też ich tklivość w obec Golicyńa i jego kolegów, że o okrucieństwach Iwana, gwałcących wszelkie prawa moralności, mówią z uczuciem patryotycznej dumy.

Po uwięzieniu posłów oręż tylko mógł rozstrzygnąć o losie wojny, która chwilowo przerwana została zdobyciem Smoleńska w dniu 1611 roku.

Król, uradowany nad wyraz zdobyciem twierdzy, sprawiał uczty dla wojska i kazał wybić medal pamiątkowy, po czem wrócił do domu, wbrew radom tych, którzy go do pochodu na Moskwę namawiali. Byłże to błąd, lub upór Zygmunta? Mógłże on z niezliczoną armią, strudzoną dwuletniem obłożeniem Smoleńska, i niezapłaconą jeszcze, spieszyć do Moskwy, której cała ludność kipiała nienawiścią do Polaków, i od dwóch miesięcy walczyła z niedobitkami załogi polskiej pod komendą Gosiewskiego? Przypomnijmy sobie, w jaki sposób dokonano elekcji Władysława, a pojmijemy łatwo, że liczne zastępy, przysięgające nowemu ca-

¹ Kobierzycki str. 364.

rowi, nie były wyrazem jednomyślności, zwłaszcza, że narodowe stronnictwo Golicyna i Filareta, zmuszone siłą wypadków do milczenia, nigdy się swych celów nie wyparło. Podczas pobytu hetmana Żółkiewskiego w Moskwie, przybrało ono maskę władysławowskich stronników, nie przestało jednak pracować wedle swego pierwotnego planu.

Przypominamy, że naczelnicy narodowego stronnictwa, Golicyn i Filaret, wyjeżdżając w poselstwie pod Smoleńsk, na pożegnalnej wizycie u patriarchy oświadczały się z gotowością przyjęcia na cara Władysława, nawet gdyby greckiej wiary nie przyjął¹, zaledwie jednak wyjechali za mury Moskwy, napisali zaraz z drogi list, przestrzegając, by Polakom nie wierzono, bo rabują Rżew i Zubcow, a Smoleńskowi każe król przysięgać na imię swoje i syna. I dlatego zupełnie mylnie jest zdanie tych, którzy twierdzą, że posłowie moskiewscy przybywali pod Smoleńsk, jak najkorniej usposobieni dla sprawy polskiej, i tylko postępowanie Zygmunta zniechęciło ich do niej. Wybór Władysława, dokonany pod grozą niebezpieczeństwa, napotykał na upór, tak zwolenników Samozwańca, jak narodowego stronnictwa z patriarchą Hermogenem na czele; a w dodatku różnica religii zrażała nawet nieliczne stronnictwo polskie kniazia Mscisławskiego. Nam się zdaje, że nawet, gdyby Władysław przyjął grecką wiarę, i patriarcha Hermogen grozą kary bożej potrafił nakłonić ludność stolicy i kraju do posłuszeństwa, to i wtenczas rządy jego byłyby krótkotrwałe, a najprawdopodobniej skończyłyby się zamordowaniem jego.

Religijność moskiewskiego ludu nie była gruntowną, ani prawdziwą. Wszak ten sam lud za Dymitra I zbyszczęcił przy ołtarzu patriarchę Joba, następnie zeliżył Hermogena, a cerkwie zamienił na widownie najwstrętniejszej rozpusty. Jakaż więc wagę i na jak długo mogły mieć groźby kar wiecznych i klątwy patryarsze? Jakaż siła mogła zapobiedz zjawieniu się nowych samozwańców, jaka dłoń mogła utrzymać w karbach rozhukane żywioły, dla których łotrowstwo i zdrada stała się drugą naturą? Proszę posłuchać, co o ówczesnej społeczności moskiewskiej opowiada, niepodejrzany

¹ Oświadczał się z tem Golicyn. Filaret na to milczał, chociaż przed rokiem wybór katolickiego księcia na cara nazwał dziełem piekła. Kostomarov tom III.

w tej mierze, Karamzin: „Rosyą więcej niszczyli swoi, niż cudzoziemcy, nauczycielami Polaków byli nasi zdrajcy, pierwsi i ostatni w krwawych rzeziach; Polacy z orężem w ręku patrzyli tylko i śmiali się z nierozważnej wojny domowej; obcą była litość, — żołnierz wierny carowi, wzięty w niewolę od Polaków, niekiedy znajdował u nich litość, a nawet uszanowanie za swą wierność; lecz zdrajcy nazywali ich za to niedołężnemi niewiastami i złymi sprzymierzyńcami cara Dymitra. W ogólnem pomieszaniu umysłów, każdy chciał być wyższym nad stan swój: chłop panem, pospólstwo szlachtą, szlachta magnatami: nie tylko pospolici pospolitych, lecz i zuakomici zuakomitych, rozumni rozumnych ludzili zdradą. Ojczyzna, cerkiew do upadku się nachylały; świątynie prawdziwego Boga spustoszały, jak bałwochwalskie gontyny za Włodzimierza; bydło i psy karmiono na ołtarzach, ornatami i albamii ozdobiano konie, pito z kielichów kościelnych, na obrazach grano w kości. Rozpusta była tak okropną, że krewni i powinowaci umawiali się ze sobą, kto ma pojechać do Tuszyńska, a kto pozostać w Moskwie, aby korzystać z jednej i drugiej strony, a w razie nieszczęścia tu i tam znaleźć obronę¹“.

Dodajmy jeszcze tę okoliczność, że wybór Władysława dokonany był w dumie t. j. na radzie samych tylko bojarów, nie zaś na pełnem zebraniu czyli soborze narodowym, każdej więc chwili prawomocność jego mogła być przez tę lub ową partją w wątpliwość podana.

Tak więc kandydatura młodego Wazy przedstawia się już to, jako zamysł hazardowny, już jako wybieg stronnicy. Stronnictwo narodowe wysunęło ją naprzód, by przy pomocy Polaków uwolnić się i od Szujskiego i od Samozwańca, z drugiej zaś strony szczerzy stronnicy polscy, jak Mściśławski, przeceniają swe siły. Do czasu, póki żył Samozwaniec liczono się ze zdaniem Mściśławskiego, lecz po upadku oszusta Pseudodymitra, walka z Polakami staje się hasłem ogólnem.

W ten też, a nie inny sposób, pojmowali i oceniali położenie rzeczy polscy historycy. Piasecki np. pisze: „Widać było, że co in-

¹ Karamzyn t. XII, str. 104, 80.

nego myśleli (Moskale), dając w elekeyi pierwszeństwo przed ojcem niedojrzałemu synowi. Wybrali dla tego małoletniego, aby go łatwiej oszukać, lub gdyby ojciec na coś nie chciał się zgodzić, by mieć powód do tego; przeto twarde podawali warunki¹. Łubieński dowodzi, że lud powstał przeciw Polakom głównie skutkiem intryg Filareta i Golicy²; Wassenberg utrzymuje, że Moskale przez wybór Władysława chcieli się uwolnić od fałszywego Dymitra³; Archidiakon krakowski, Raicki, który podczas wojny moskiewskiej przesyłał z Krakowa relacye do Rzymu, zastępując nuncyusza Simonette, bawiącego w Wilnie, taką o Moskalach robi uwagę: *Fluxa enim fides Moschorum et apud nos est sicut punica*. Moskale, zdaniem jego, chcą zyskać na czasie, zebrać wojsko, i zbrojno wystąpić przeciw królowi, wiedzą bowiem, że ten na wyjezdne obiecał Rzeczypospolitej oddać wszystkie swe zdobycze; dla zapobieżenia więc temu proszą o Władysława⁴.

W tym samym duchu osądziło postępowanie moskiewskie trzech pisarzy z XVIII wieku, między nimi jeden Moskal. Biskup Naruszewicz w „Życiu Chodkiewicza“, wspominając o naszej sprawie, tak się o niej odzywa: „Trudno zaiste wyrazić, jak uporczywie utrzymywała Moskwa ułożenie swoje, aby Władysław przyjął ich wiarę, bądź z przywiązania do niej, bądź widząc dobrze, że trudność wypełnienia tego żądania da im z czasem pozorną okazyję do oddalenia tegoż Władysława od tronu“⁵. Kognowicki po czytuje całą elekeyę polskiego królewicza za komedye, potrzebną Moskalom dla zażegnania wojny z Polską i uratowania Smoleńska. Zgodnie z nim Iwan Nestesoranoy widzi w obiorze Władysława chęć uratowania Smoleńska i pozbycia się Dymitra.

W obec tego niepodobna zwalać odpowiedzialności za nieudany projekt osadzenia polskiego królewicza na carskim tronie na króla Zygmunta, na upor czy też zazdrość jego; świadczyłoby to tylko o nieznajomości dziejów lub złej woli. Przechodzimy z kolei do omówienia stosunków polskich, jakoteż stanowiska króla.

¹ Piasecki str. 224. ² Łubieński str. 158. ³ Wassenberg str. 34.

⁴ Theiner. Vetera Monumenta Polonica t. III, str. 340—342.

⁵ Naruszewicz. Życie Chodkiewicza, wyd. Turowskiego t. I. str. 256.

II.

Gdy król objawił w radzie senatu zamiar rozpoczęcia wojny, wielu senatorów chciało go odwieść od tego kroku, lękając się nieszczęść i nie widząc środków, odpowiednich wielkości zadania. Równie hetman Żółkiewski uważał tę wojnę za coś awanturniczego, nie wierzy też w jej powodzenie, i dwukrotnie stara się króla od tego odwieść¹. Podobnie i wśród narodu wojna moskiewska popularną nie była, a w dodatku odezwały się głosy niechętnych, obwiniające Zygmunta, że przez wojnę tę dąży do absolutnego dominium, że ma na celu tylko widoki swej dynastji, słowem umilkły niedawno szum rokoshu nowem odzywał się echem. Dla uspokojenia umysłów wydał król znane nam deklaracye w Lublinie i Wilnie, w których się z istotnych swych zamiarów tłumaczy. Snać to nie wystarczało, i głosy malkontentów musiały trwożyć umysł króla, gdyż co chwila uniewinnia się niejako przed narodem i wyświećla swą moskiewską politykę.

Tak np. w liście do senatorów dowodzi, że kampanię tę nakazuje mu troska o biskupstwo Polski, zagrożonej zamętem, srożącym się w carstwie, a bardziej jeszcze, nadarzająca się teraz chwila odzyskania utraconych prowincyj². W tym samym tonie zredagowany jest uniwersał królewski do stanów, ogłoszony w przeddzień wyjazdu. Czytamy tam, że burza, srożąca się nad carstwem, zapowiada korzyści dla Polski, jeśli ta czynnie na widownię wystąpi, w razie zaś neutralności mogą spaść na nią ciężkie klęski³. Nawet w listach do urzędników król chętnie zbacza na tory polityki i tłumaczy swe postępowanie. Staroście czeczerskiemu poleca, aby się na wojnę zbierał, i dodaje, że wojna ta ma na celu odebranie wydartych przodkom swym dzierżaw i rozszerzenie granic Rzpltej⁴.

Podobnych dowodów ostrożności moglibyśmy tu przytoczyć bardzo wiele. Zygraunt musiał tak postępować, bo prócz wielu niechętnych sobie, nieostyglych jeszcze dotąd z rokoshowego szalu,

¹ Żółkiewski.² Teka Narusz. 104 l. 168.³ Ibidem l. 162.⁴ Ibidem l. 149.

wiedział, że nawet oddani mu ludzie patrzą nań krzywem okiem za to, iż wojnę bez pozwolenia sejmu rozpoczął. Zygmunt chciał wmówić nawet w naród, że wszystko się stało wedle wymagań prawa. W liście do senatorów przypomina im, „że za podaniem naszym propozycji sejmowej celem wojny moskiewskiej zaszła na to zgoda senatu niemal wszystkiego, także i na drugiej radzie o tej sprawie zdanie było. Były w kole poselskiem i województw po większej części o tem artykuły. Krótkość tylko czasu a wielkość spraw różnych nie dopuściła, aby była powszechna wszech stanów w tej mierze uchwała na piśmie stanęła. Opowiedzieliśmy się jednak z tem na zawieraniu już sejmu, żeśmy Rzeczypospolitej nie tylko trudem, ale i zdrowiem naszym służyć chcieli, co i na sejmikach, które po sejmie przypadły, ponowiliśmy“. Po wywodach, dlaczego król sam idzie na wojnę, poczyną się znów uniewinniać, i prosi poddanych, aby „wszyscy na dobrą stronę przyjmowali odjazd ten nasz na Litwę i byli pewni, że nic przed się nie bierzemy, jedno, aby ku pożytkowi Rzpltej służyło. Nie tak z własnego jakiego rozumienia naszego, jako za powszechnem niemal senatu naszego zdaniem“¹.

Tłumaczenia króla nie przekonały nawet gorliwych jego stronników. Tylicki, biskup krakowski, człowiek szczerze oddany dworowi, wyraża niezadowolenie i podziw w liście do Rudnickiego, biskupa warmińskiego, że na sejmie względem spraw moskiewskich nic nie uchwalono; „Król jednak ukazuje, że i na sejmikach i na sejmie było to proponowane“. Tylicki przypuszcza, że milczenie posłów służy może królowi za dowód zgodności zapatrywań izby z intencjami tronu, lecz sam się na to nie godzi, łącznie z innymi senatorami, którzy rozbierają sprawę tę prywatnie, a niebawem ma być o tem w radzie *consultacio*². Lecz głosy niezadowolonych i niechętnych królowi nie brzmiały tak łagodnie, jak list ks. Tylickiego. Malkontenci, obok utyskiwań na zapoznanie praw narodu przez samowolę króla, potępiali także wojnę z carstwem, jako samą przez się zbyt szkodliwą dla Polski. Janusz Radziwiłł, w liście do szwagra swego Lwa Sapiehy, kanclerza litewskiego, poddaje surowej krytyce postępowanie królewskie, wyrażając przekonanie, że

¹ Teki Naruszewicza 104 l. 168.

² Ibidem l. 165.

sam Bóg zamysłem Zygmunta nie błogosławi, że nie warto się nawet zajmować temi sprawami, „bo wszyscy cnotliwi w tej materji *in vanum laboraverunt* i prawie przetakiem wodę czerpali“¹. Gorajski publicznie występował przeciw królowi na sejmiku opatowskim, ostrzegając przed jego zachciankami absolutystycznymi. Dowodził on, że król chce wydrzeć narodowi wolność, i dlatego idzie do Moskwy, że podatki zubożyły tak naród, iż niedługo nie będzie nikogo, tylko „podskarbiowie a żebracy“. W końcu radzi ten domorosły polityk, żeby zamiast wojny ze Szujskim, król pomógł Dymitrowi II do osiągnięcia tronu, skądby Rzplta pomoc a poparcie mieć mogła². Tak więc rokoszanie wylewali żółć na króla, regaliści szeptali sobie na ucho, że postępowanie Zygmunta wręcz jest przeciwne prawom i wolnościom Rzpltej. W obec takiego usposobienia umysłów, zwłaszcza, gdy w pamięci wszystkich tkwiły dotąd żywo okropności rokoszowej tragedji, koniecznemi były słowa uspokojenia od tronu, by przypadkiem zarzewie niewygasłych buntów jasnem nie wybuchło płomieniem. Nie wszędzie jednak osiągnięto cel pożądany: archidyakon krakowski, który przysyłał bardzo szczegółowe relacye kardynałowi Borghese, protektorowi Polski, o usposobieniu narodu względem króla i wojny moskiewskiej, pisze, że gdy zgromadziła się w Krakowie szlachta na sądy, i gdy kilku senatorów przychylnych tronowi poczęło jej tłumaczyć postępowanie króla, a nareszcie namawiać do poparcia wojny pieniędzmi i ludźmi, szlachta podniosła krzyk oburzenia, dowodząc, że nakładanie w taki sposób podatków i powoływanie do wojska, mogłoby bardzo łatwo doprowadzić do utraty wolności³. Archidyakon ubolewa nad tem tem więcej, że prócz zwykłej szlachty, wielu znakomitych ludzi, tak w Polsce, jak i na Litwie, podejrzewa zamiary króla, dopatrując się zachcianek absolutystycznych. Zdaniem jego, król tylko odebraniem Smoleńska, czego się domaga obrażony honor narodu, zdoła przejednać niezadowolonych⁴. Liczba tych ostatnich bardzo wzrosła, gdy niepłatny żołnierz z wojny szwedzkiej wtargnął z Infantem do Litwy, i różnymi gwałtami począł nękać ludność. Odpowiedzialność za to zwalono

¹ Teki Narusz. 106 l. 115.

² Ibidem. T. 104 l. 210.

³ Theiner III str. 335.

⁴ Theiner l. c.

na Zygmunta, ponieważ bez stanów użył on na wojnę moskiewską pieniędzy, przeznaczonych przez sejm na zapłacenie pułków, walczących w Inflantach¹.

Gdy oręż polski zabłysnął świetnymi czynami, polepszyło się nieco usposobienie narodu dla króla, jednakże nie do tego stopnia, by wojnę uczynić popularną, lub stanowczy zwrot spowodować w opinii. To też ludzie rozważniejsi nie łudzili się tym chwilowym objawem i oświadczyli głośno, że niech tylko fortuna odwróci się od Zygmunta, a natychmiast podniosą się głosy potępienia przeciw bezprawnie rozpoczętej wojnie².

Tak zapatrywano się na rozpoczęcie wojny, gdy zaś nadeszły z Moskwy wiadomości o sympatyach dla Władysława, wiadomości, co prawda, przesadzone, poczęto w Polsce omawiać tę kwestyę, i przyznać trzeba, zapatrywano się na nią dość trzeźwo. Obliczano przedewszystkiem ujemne strony związku z Moskalami, gdyż powszechnie uważano to za konieczność, że ten sam Władysław, którego Moskwa pragnęła mieć swym carem, musi zasiąść w przyszłości na tronie Jagiellonów. Nie spotykamy zaś najmniejszego śladu, by zamiast cara Władysława, obrać myślano polskim królem, żyjącego już podówczas, Jana Kazimierza. Z tego punktu widzenia połączenie Polski z Moskwą pod jednym berłem wydało się niemożliwe, ze względu na niesłychany obszar obu państw, dalej zaś, w obec sprzeczności interesów, różnicy charakterów i cywilizacyj obu narodów, poczytywano za niepodobieństwo, aby jeden człowiek mógł tylu i tak rozmaitym podolać zadaniom. Moskwa wymaga koniecznie, aby car w niej mieszkał, tak samo Polska potrzebuje ciągłej obecności panującego, i przez namiestnika rządzoną być nie może. Ludzie dbali o zatrzymanie panującego stanu w Rzeczypospolitej a zwłaszcza jej swobód, przewidywali czarną przyszłość dla siebie, gdyby król rządził Polską z Moskwy przez swego zastępcę³. Grała tu główną rolę obawa przed absolutyzmem, który bądź co bądź, mając całe carstwo na swe rozkazy, do niepodobieństw nie należał. Przypominano sobie, że obcy książęta torowali sobie drogę zbrojną ręką do polskiego tronu, co, w obec nieudanej a tak nie-

¹ Theiner 336.² Theiner str. 331.³ Theiner str. 341—342.

dawnej imprezy Maksymiliana, wszystkim żywo tkwiło w pamięci. Przypuszczano, że Władysław, zostawszy carem, gotów zrobić zamach na wolną elekcyę, wydrzeć narodowi jego najdroższe przywileje i tron na dziedziczny zamienić¹. Prócz tego lękano się, aby Władysław, po którym Polska obiecywała sobie bardzo dużo, choć, nawiasem mówiąc, ten podówczas szesnastoletni chłopiec niezem poważnem dotąd takich nadziei nie uprawnił, bano się, powtarzam, aby ten sympatyczny dla narodu królewicz nie zdziczał w otoczeniu moskiewskiem. Być może, że i to ostatnie podyktowała także obawa przed absolutyzmem przyszłego władcy, który wychowany wśród Moskali w pojęciach autokratycznych, zaprawiony na pięknych wzorach Iwana Groźnego, mógłby wyrobić w sobie charakter despotyczny; lecz w każdym razie kwestya wychowania królewicza była wielkiej wagi. Marchocki, podający opinie, tak rady senatorów, obecnej w obozie pod Smoleńskiem, jak i narodu, powiada, że równie uważano wiek Władysława za nieodpowiedni do sprostania tak trudnemu zadaniu, jako też i lękano się, by ten powszechnie umiłowany królewicz, nie zwichnął się lub tragicznie życia nie skończył wśród barbarzyńskiego narodu.

„Statut terażniejszy tej prowincyi, mówi Marchocki, *de facto virum postulat*, któryby *imperium* od nieprzyjaciół *pacificum* uczynił, *seditiones* wykorzeniał, *aemulos* zniósł, każdemu *statum vivendi*, jako dawniej praescribował, bo in *corpore aegri imperii*, jeśli pomieszane humory ad *suas apparationes* nie wrócą, prędka recydywa będzie. Czego człowiek młody uczynić nie może, bo to *maturi iudicii opus*, a bez tego *periclitatum vita et imperium*².”

Moskale żądali tego z całą stanowczością, aby Władysław zaraz do nich przybył, mając na względzie zaszczepienie w młodem sercu przywiązania do swego narodu, a przedewszystkiem zakorzenienia tam swojej wiary. Polacy zaś nie widzieli wśród nich ludzi, którzyby umieli „*principem civiliter* edukować“.

„Polaków przy królewiczu mieć nie chcą — mówi Marchocki — a pośród nich nie ma ludzi, którzyby sposobni byli dać

¹ Theiner str. 341.

² Marchocki str. 165—166.

młodemu monarsze odpowiednią naukę, i wyrobić zeń człowieka „grzecznego”¹.

W otoczeniu królewskim, prócz tych wszystkich obaw, nasuwały się i inne, dostępne dla przezornego oka dyplomaty. Brano mianowicie w rachubę, z jednej strony ciemnotę Moskali, z drugiej ich wysokie wyobrażenie o godności carów, którym boską niemal cześć oddawali. Przypuszczano więc, że gdy bojarzy się zbliżą do młodego władcy, a stać się to musi, bo sam do rządów jest za młody, wreszcie nie zna stosunków miejscowych, a warunki elekcji zabraniają mu mieć Polaków doradców przy sobie, wówczas dopuszczeni do rządów bojarzy stracą cześć dla panującego i rozpoczną na dobre intrygi². Smutny los ostatnich carów, barbarzyństwo i rozbastwienie narodu, który wtenczas więcej, niż kiedykolwiek, stwierdzał czynami, że „*graeca fides est nulla fides*“, nie tuszyła nie dobrego Władysławowi; to też Polacy przepowiadali mu, że skończy, jak Borys i Dymitr. W powyższych wywodach widać, że na sprawę moskiewską zapatrywano się także i z punktu dynastycznego; takim objawem bowiem są owe głosy ostrzeżenia i zainteresowania się losem królewskiego syna. Nie było w tem pewnie obłudy, bo aczkolwiek Zygmunt nie cieszył się zbyt wielkiem przywiązaniem narodu, to młodziutki Władysław przypadł do gustu szlachcie, a dalej szlachetność naszego narodu, jego uczciwość, jego patryarchalny pod pewnym względem stosunek do tronu, zrodzony za Jagiellonów, a dotąd nie wygasły, budził troskę o los królewskiego potomka, zrodzonego w Polsce i przez to za syna narodu uważanego. Nie ulega jednak wątpliwości, że szlachta lękała się przede wszystkim o swobody swoje, i słusznie mówi pan Kostomarov, że równie Żółkiewski w Moskwie, jak i senatorowie pod Smoleńskiem, nie upierali się bynajmniej o samowładztwo nowego cara, przyjmując chętnie podane przez bojarów ograniczenie jego władzy, bo pamiętali o swobodach własnej ojczyzny³.

Dla dokładności obrazu wspomnieć musimy, że odzywały się głosy, wprawdzie nieliczne, aby, zamiast Władysława, sam król Zygmunt carską przywdział koronę⁴.

¹ Marchocki str. 164.

² Kobierzycki str. 339; Marchocki str. 175.

³ Kostomarov.

⁴ Theiner str. 331.

Takie zdanie objawiał mały odłam najskrajniejszych regalistów, lub bezwzględnie posłusznych swemu chlebowodawcy dworaków, zgodnych pod tym względem z królem, który, jak wiemy, chciał swego czasu, by go Moskale obrali carem.

Przedewszystkiem jednak zapatrywano się w Polsce z punktu narodowego, biorąc w rachubę wszelkie możliwe kombinacye polityczne, mogące ztąd wypłynąć. Nie zapomniano także i o wyznaniowych trudnościach: wiedzano, że jak w Moskwie nie mógł być panującym katolik, tak samo i królem polskim wedle praw, których strzegła budząca się gorliwość religijna, innowierca być nim nie mógł. Dodajmy do tego, że książę, zmieniający swe wyznanie, straciłby mir nawet w tej części narodu, która nie grzeszyła zbyt wielkim zelotyzmem religijnym, skoro buńczuczny i nie bardzo skrupulatnego sumienia Marchocki, tak się o zmianie wiary wyraża: „Powiadają, że się ochrzczi; także to dobrze o swym kandydacie rozumieją, że za sztukę chleba ma zostać apostatą, w zelżywości u wszystkich narodów i u nich”¹.

Dodać tu trzeba, że obok katolików i kalwini polscy uważali za niepodobieństwo, by królewicz przyjął schyzmę, do której miano wstręt nie tylko z wyznaniowych, ale i z cywilizacyjnych względów, którą, krótko mówiąc, nazywano „wiarą chłopską”.

Władysław, jako katolik nie mógłby nigdy zostać carem, jednakże w czasach owych wiara nie stanowiła, ani jedynej, ani najważniejszej trudności. Prawda, że przepaść, wytworzona wiekowym rozdziałem religijnym i różnicą cywilizacyjnego rozwoju, zbyt mocno rozdzielała obydwie narody; prawda, że na punkcie wiary spotkała by ta sprawa nieprzełamaną zaporę, lecz na razie inne jeszcze pobudki kierowały krokami króla Zygmunta, i przechyliły szalę dziejowych przeznaczeń. Naród chciał korzyści swoich, korzyści dla Polski, których nie widział w obiorze Władysława na carstwo, przewidując miasto nich szkody dla swych żywotnych interesów. Czy zapatrywania narodu były słuszne lub nie, czy widma *absoluti dominii* uznać należy nie za blask obywatelskiej cnoty, lecz za objaw kastowego egoizmu i ciasnoty pojęć, to rzecz inna, ale jakież

¹ Marchocki str. 167.

w obec tego stanowisko mógł zająć król, któremu rokosz wykazał tak dowodnie, że krok jeszcze dalej na drodze polityki na własną rękę, a spotka go to, co go spotkało w Szwecyi. Dodajmy do tego, że i dziś obwiniano Zygmunta głośno o dążenie do absolutyzmu, a dodajmy także, że zarzuty te nie były znów wszelkiej pozbawione podstawy, bo król wojnę samowolnie rozpoczął, a zrozumiemy całą trudność położenia Zygmunta. Zdaniem naszym Zygmunt, wierząc w sympaty Moskali spodziewał się, że naród rozgrzeszy go z samowolnego rozpoczęcia wojny, skoro świetnymi czynami do jego uczuć i wyobraźni przemówi, boć to rzecz wiadoma, że zwycięstwo i powodzenie miały po wszystkie czasy magiczną siłę. Gdy się jednak przekonał, że co do usposobienia dla siebie Moskali był w błędzie, gdy nadto posłyszał o niezadowoleniu Polaków, a przede wszystkim o groźnem niebezpieczeństwie, które poznamy później, wziął na siebie rolę wykonawcy woli narodu, unikając skrupulatnie wszystkiego, coby nań mogło ściągnąć zarzut samowoli. Król nie mógł prowadzić polityki dynastycznej, tem więcej, że otaczający go pod Smoleńskiem senatorowie, żywiąc te same poglądy, które panowały w kraju, przypominali mu ustawicznie, że wychodząc na wojnę przyrzekł narodowi uroczyście przez deklaracye w Lublinie i Wilnie o jego wyłącznie dobrem pamiętać. Ta uwaga była decydującą, a Kostomarow na podstawie intuicji twierdzi stanowczo, a w tym razie zupełnie zgodnie z prawdą, że całe postępowanie Zygmunta podczas wojny moskiewskiej sędzić należy według deklaracji lubelsko-wileńskiej¹. Stosownie też do tych zobowiązań przedstawiali królowi senatorowie pod Smoleńskiem, aby, ani względem spraw moskiewskich, ani względem władysławowskiego carstwa, nie stanowił bez sejmu.

Zwrócić teraz należy uwagę na to, co mówili zwolennicy oddania Władysława Moskalom. Żółkiewski, początkowo niechętny moskiewskiej polityce króla, później gorliwy bojownik kandydatury królewicza, mimo prawdziwego dyplomatycznego talentu, łudzący się wiarą w możność gładkiego załatwienia całej sprawy, dokładał wszelkich starań, by król oddał syna Moskalom. Czynił to w sposób pełen godności, jako wolny obywatel i gorący miłośnik ojezy-

¹ Kostomarow.

zny, bez cienia pochlebstwa, lub osobistych zabiegów, lecz w wywodach swych zapomniał o stosunku króla do narodu; co dziwne do prawdy, że ten hetman, który przy układach w Moskwie okazał tyle bystrości i tyle wszechstronności, teraz zdradza jednostronność, zapominając o polskim ustroju politycznym i niechęci szlachty, dopatrującej się w każdym czynie króla ukrytych samolubnych celów — słowem ginie dyplomata, a występuje wojownik. Ponieważ, z jednej strony wyrok potępiający króla oparty jest na Żółkiewskim, z drugiej, wszyscy zwolennicy władysławowskiego carstwa, jakich spotykamy w Polsce, rozumowali, jak hetman, dla tego odnośny ustęp z dzieła Żółkiewskiego dosłownie przytaczamy: „Dawał pan hetman (Żółkiewski mówi zawsze o sobie przez trzecią osobę), i inne głębsze *rationes sui consilii*, że i Rzeczypospolitej i samemu królowi IMci i potomstwu jego *expediebat*, żeby tę kondycję, którą Pan Bóg podawał, nie pogardzać i na stronę jej nie odrzucać; że królowi Jegomości, którego Pan Bóg na tak wysokiem miejscu posadził, trzeba przecie odwracać zdala *tempestates*, któreby mogły *affligere Rempublicam*. Ukazywało się, jako Interregna Rzeczypospolitej nieprzezpieczne; troje, które były za naszej pamięci, troje, jedno od drugiego gorsze, ostatnie dobrze i krwią się oblało, i by nie cudowna łaska boża miało do bardzo wiele złego przyjść. Król Jegomość ma *consulere* Rzeczypospolitej, pamiętając na śmiertelność. Gdyby, strzeż Boże, co *humanitus accideret*, przyszyłoby do wielkiej perturbacyi, gdyż, żeby zaraz królewicz Władysław miał być królem, nie może tego nikt za pewne obiecać. Siła ludzi z rokoszu przeszłego urażonych, siła może świeża *invidia* w umysłach ludzkich.

„Przypominał pan hetman króla Zygmunta I-go, choć był tak zastarzałej powagi, przecie jednak wiedząc, co może świeża *invidia*, starał się, że w młodych leciech syna koronował. Jeszcze naonczas nie było to *per leges prohibitum*. Teraz, kiedy się już droga zawarła, że ani król jegomość nie może o tem starania z żadnej miary czynić, ani my konsensu dawać, żeby za żywota króla Jegomości, króla innego mianować, tymby pod taki przypadek *consuleretur* pokojowi i uciszeniu Rzeczypospolitej, bo kiedyby królewicz Władysław był na państwie moskiewskim, jużby odjęła się innym kompetytorem nadzieja, a zatem perturbacyi w Rzeczypospolitej nie

trzebaby się obawiać, gdyż żaden z kompetytorów nie mógłby pokazać takie Rzpltej *commoda*, jakieby były ze złączenia naszej Rzpltej z państwem moskiewskim“¹.

Przytoczyliśmy ten ustęp dla zapoznania czytelnika z sądem na sprawę naszą wielkiego hetmana, a sądzymy, że i styl jego, tchnący prostotą i żołnierską dzielnością, chwyci za serce każdego, komu nie obojętną przeszłość narodu. Prócz wywodów hetmańskich, inni uważali, że gdyby Władysław został carem, miałoby to wielki wpływ na materyalny stan szlachty, mianowicie uboższej, któraby na obszarach moskiewskich zrobić mogła karierę, a żołnierz pieniądze za żołd zaległy ze skarbu carskiego². Obie te korzyści nie byłyby się nigdy zamieniły w czyn, bo warunki elekcji władysławowskiej zabraniały Polakom piastować urzędy w carstwie, i ograniczały osiedlanie się tych ostatnich, więc nie można było pozbyć się rozhukanej młodzieży, która była fermentem od czasów rokoszu; skarb zaś carski był pusty.

(C. d. n.)

Stanisław Kozłowski.

¹ Żółkiewski str. 103—105.

² Marchocki str. 163.

HARCE PRZED BITWĄ

O SZKOŁĘ WYZNANIOWĄ.

W dwóch zasadniczych artykułach umieszczonych w *Przeglądzie Powsz.* w kwietniu i lipcu roku zeszłego podali: P. Jan Popiel¹ i ks. Maryan Morawski² wszechstronnemu rozbiorowi szkolny wniosek *Liechtensteina*; wykazali, jakie moralne i polityczne względy przemawiają w całej Austrii, a w szczególności u nas w Galicyi, za silnie katolicką cechą szkół; jak wniosek *Liechtensteina* czyni „mniej więcej zadość wszystkim wymaganiom, które wypływają logicznie“ z praw Kościoła, państwa, rodziny do szkoły; odpowiedzieli na zarzuty, na wątpliwości streszczające się u nas zwłaszcza w pyta- niach: „Czy duchowieństwo, mianowicie duchowieństwo ruskie nie nadużyje swego wpływu na szkoły; czy wyznaniowe szkoły żydowskie, „chajdery“ nie przyczyniają się do utrzymania odrębności i fanatyzmu żydów; z jakiej racji domagać się szkół wyznaniowych, kiedy obecna szkoła w Austrii czyni zadość religijnym wymaganiom?“ Ostatecznym wynikiem tych do jednego kresu dążących wywodów i utar- czek było jasne postawione zdanie: Nie wolno nam przestawać „na stosunkach faktycznie jako tako pocziwych, lecz powinniśmy przyłożyć rękę do przeprowadzenia zasadniczo stosunków nor- malnych, tj. zależności szkoły od trzech władz: Kościoła, państwa

¹ Sprawa szkolna w sejmie krajowym i wniosek ks. Liechtensteina przez J. Popiela. — *Przegl. pow.* t. XVIII. 1—17.

² Co sądzić o wniosku ks. Liechtensteina? przez ks. M. Morawskiego *Przegl. pow.* t. XIX. 1—15.

i rodziny. Jakiegokolwiek byłyby trudności i względy oportunistyczne, tu idzie o zasadę: idzie o zrobienie wyłomu w prawodawstwie majowem, które było przeciwko Kościołowi ukutem; idzie o przyznanie Kościołowi jego prawa do szkoły, które mu w zasadzie zostało zaprzeczonem“.

Bezwyznaniowa, czy wyznaniowa szkoła? ważne to pytanie, od rozwiązania którego zależy w znacznej części życie, wiara i moralność przyszłych pokoleń; pytanie, które nie dotyczy tylko pewnych jednostek lub warstw, ale każdą rodzinę najżywiej musi interesować, do każdego domu natarczywie domaga się wstępu. Nie dziw, że gdy pytanie to zagłuszone przez wrzekomo postępową opinię, nieśmiejące przez zbyt długie lata na świat się okazać, wychyliło wreszcie głowę, wzniciło odrazu niesłychany odgłos, stało się samą siłą rzeczy punktem środkowym, koło którego krążą wciąż parlamentarne rozprawy, dziennikarskie polemiki, obawy niepoprawnych liberalów starej daty, nadzieje wszystkich ludzi na seryo wierzących. Wniosek *ks. Liechtensteina*, podobnie jak również za wyznaniowemi szkołami przemawiający, ale w centralistycznym duchu pojęty wniosek *Lienbachera*, nie dostał się jeszcze pod obrady parlamentu; rząd, lękając się gwałtownej burzy, usiłuje wybuch jej powstrzymać, na dalsze czasy odłożyć; ale faktycznie mimo wszelkich usiłowań i protestów burza się sroży, wniosek *Liechtensteina*, niby zaklęte jakieś widmo stoi przed ławami deputowanych i mimo nawoływań: *A kysz, a kysz!* próśb z jednej strony: *Zostawże nas w pokoju*; przekleństw z drugiej: *Przebóg! cóż to za szkarada? — i milczy i nie przepada!*

Wprawdzie cała ostatnia sesja parlamentarna przesiąknięta była niejako kwestyą szkoły wyznaniowej; ale w czasie czternastodniowych obrad nad budżetem ministerstwa oświaty, kwestya ta tak wystąpiła na pierwszy plan, pochłaniając wszystkie inne projekty, żądania i zarzuty, że parę zagranicznych gazet, nie śledzących z dostateczną uwagą punktu wyjścia i przebiegu rozpraw, doniosło w najlepszej wierze swym czytelnikom: „Parlament austriacki roztrząsa obecnie wszechstronnie słynny wniosek szkolny *ks. Liechtensteina* i wyda o nim niebawem ostateczny wyrok“. „Patrząc nie na formę, ale na rzecz, pisze szlusznie w tej mierze pragska *Politik*, wniosek *Liechtensteina* przeszedł już właściwie przez pier-

wsze czytanie, bo rozprawy o budżecie oświaty przemieniły się w najformalniejszą generalną rozprawę o wzmiankowanym wniosku. Jakiż będzie koncert, kiedy taka przygrywka!? Bądź co bądź ważny to i pouczający wstępny bój; zmierzyły się w nim nieprzyjacielskie siły, wyjawily swą taktykę wojenną, poznały wzajemnie swe orężę i zbroje, rozpatrzyły pole walki, zmusily rząd do zajęcia stanowiska jeśli nie zupełnie jasnego, to przynajmniej o wiele jaśniejszego niż dotychczas. Jednocześnie, choć naturalnie tylko ubocznie, poruszone zostały najważniejsze zagadnienia o stosunku państwa do Kościoła, nauki do wiary; a wielkość tych zagadnień natchnęła katolickich mowców potęgą słowa, jaką rzadko kiedy rozbrzmiewały mury europejskich — nie mówiąc już o wiedeńskim — parlamentów. Pod każdym więc względem odszczególniają się ostatnie szkolne rozprawy: każdy, kto patrzy w przyszłość niespokojnem okiem i pyta: jakie wychowuje się, jakie wychowaćby się powinno pokolenie, kto ma przekonanie, że szkoły austriackie nie odpowiadają dziś w całej pełni swemu przeznaczeniu, i pyta: Gdzie leży zle i jak je usunąć? — musi równie „liberał“ jak „konserwatysta“ zwrócić baczną uwagę na te wstępne szermierki, zapowiedź i rodzaj ogólnego programu dalszych, prawdopodobnie nie krótkich i nie lekkich bojów.

Pierwsi rozpoczęli harce przeciw wyznaniowej szkole: ośmieszony już dawno z liberalnej swej zaciekłości *Carneri*, pozornie przynajmniej spokojniejszy i roztropniejszy *Herbst* i dowódca liberałów *Plener*, z którymi, choć nie wychodząc zupełnie z tego samego punktu widzenia, starli się *Lienbacher*, *Dr. Ebenhoch* i *Dr. Pscheiden*. O mowach tych, zwłaszcza o świetnej mowie *Ebenhocha* mówiliśmy już w kwietniowym zeszycie *Przeglądu* pod rubryką „Sprawy Kościoła“; tu więc powtarzać tego nie będziemy. Szereg przytoczonych przez *Ebenhocha* oburzających faktów, okazujących jakie dziś jeszcze w Austrii smutne panują stosunki między szkołą a Kościołem; spokojnie, ale silnie uczyniony a przykładami poparty zarzut, że rząd nie tylko nie zwraca uwagi na katolicką ludność domagającą się wyznaniowej szkoły, ale czasem tak sobie postępuje, jakby miał zamiar obrażać w najjaskrawszy sposób uczucia katolików, — utorowały drogę programowej, z niecierpliwością przez

stronników i przeciwników oczekiwanej mowie *Liechtensteina*, która z natury rzeczy stać się miała jądrem dalszych rozpraw.

„Przedewszystkiem, rozpoczął książę, porozumieć się musimy, czego chcemy, i co to jest szkoła wyznaniowa, która w innych państwach oddawna istnieje i wybornie funkcjonuje, gdyż, jak dowodnie przekonałem się z długich mów poprzednich mowców, wielu nie ma o tem jasnego, żeby nie powiedzieć żadnego wyobrażenia; spieramy się, ale właściwy punkt sporny zagrzebany w takiej masie przesądów i błędów, że zaprawdę wynaleść go, zorientować się nie łatwo. (Bardzo dobrze, z prawicy). Dziś pragnę wam tylko stan rzeczy przedstawić, pragnę, abyście mię zrozumieli; nie pochlebiając sobie naturalnie, że dziś już potrafię was do naszych zapatrywań przeciągnąć. (Wesołość i bardzo dobrze z prawicy)...

„Pomówmy naprzód o celu naszego stronnictwa. W tym względzie utarło się najzupełniej błędne mniemanie, któremu przypisuję w znacznej części oburzenie z powodu naszego wniosku, objawione w waszych petycyach, mowach i dziennikach. Błędne to mniemanie nie zrodziło się ani z naszej, ani z waszej winy, ale płynie prosto z historycznego rozwoju kwestyi szkolnej w Austrii. Ponieważ my „konserwatywni“, choć nowej szkoły bynajmniej wprost i bez zastrzeżeń nie potępiamy, zaczęliśmy ją jednak ze względów religijnych; rzucono na nas podejrzenie, że chcemy wrócić do dawnej szkoły, nazywanej fałszywie szkołą konkordatową; każdy nasz wniosek, zdążający do reformy szkolnictwa, potępiono z góry, jako pierwszy etap do celu, z którym na razie dyplomatycznie się nie popisujemy. Wszystko to fałsz od początku do końca. Dawny system szkolny, wrzekomy system konkordatowy, przyznawał Kościołowi niektóre prawa, których tenże nigdy zrzec się nie może, ale zarazem nakładał mnóstwo ciężarów i obowiązków, leżących poza właściwą, kościelną sferą działania... System ten w dzisiejszych stosunkach, w zastosowaniu do dzisiejszego rozgałęzionego, silnie rozwiniętego szkolnictwa ludowego, jest wprost do przeprowadzenia nie możliwym, nie mówiąc już o tem, że nikt go sobie nie życzy. Teoryą naszą, teorią wierzących katolików jest po prostu dążyć do tego, aby z jednej strony Kościół w imię boskiego swego posłannictwa, z drugiej strony państwo, jako przed-

stawiciel chrześcijańskich rodziców w szkole ludowej, zgodnie i w równej mierze współdziałali w nauczaniu i wychowaniu dzieci.

„Państwu chrześcijańskiemu — a państwo nasze stać się musi na przyszłość, za pomocą Bożą, bardziej niż dotychczas chrześcijańskiem w swym rządzie i prawodawstwie, — takiemu państwu przyznajemy coś więcej jeszcze, a mianowicie najwyższy zarząd i dozór szkoły ludowej, ponieważ i o ile jest przedstawicielem rodziców, utrzymujących swemi pieniędzmi szkołę ludową. Natomiast samowładztwa nigdy i za nie państwu nie przyznamy, bo Kościół równie w szkole, jak w późniejszym życiu, w imię bożego posłannictwa, niezależnego od wszelkiej ludzkiej władzy, ma obowiązek wychowywać ludzi na chrześcijan, dusze pozyskiwać dla nieba. (*Dr. Pscheiden*: „Bardzo słusznie!“). Nie zdążamy więc do dawnej szkoły, wrzekomo konkordatowej, która oddawna i na zawsze zniknęła, ale do szkoły wyznaniowej, istniejącej i przynoszącej błogie skutki w sąsiednich państwach.

„Czemże więc jest szkoła wyznaniowa, jakie jej charakterystyczne cechy“?

Szkoła wyznaniowa, to szkoła, która nie tylko uczy dzieci religii rodziców, ale w niej wychowuje; stąd trzy jej charakterystyczne cechy: Po pierwsze, rozdzielenie dzieci — o ile to jest możliwem — wedle wyznawanej przez nie religii i oddanie ich w ręce nauczycielów wyznających tę samą religię, a gruntownie we wierze swej wykształconych. Powtarzam: „o ile to jest możliwem“, bo rzecz prosta, że w każdym państwie z ludnością mieszaną znajdować się musi dość znaczna liczba szkół mieszanych. Po drugie: przeznaczenie wystarczającego czasu na naukę religii, której udzielać powinien ksiądz, a nauczyciel ma ją tylko powtarzać i uzupełniać; w tym względzie władza świecka powinna działać w porozumieniu z władzą duchowną. Również w porozumieniu z tą władzą naznaczony ma być czas na nabożeństwo, modlitwy, odwiedzanie kościołów, w czem wszystkim nauczyciele powinni brać udział i przyświecać uczniom dobrym przykładem. (Bardzo słusznie z prawicy). Po trzecie nakoniec, usunięcie z książek i przyborów szkolnych, z zachowania się i wykładu nauczyciela, wszystkiego tego, co mogłoby w dzieciach przekonania religijne osłabić, a na-

tomiaszt wprowadzenie wszelkich możliwych środków dla utrwalenia w sercu dziecka zasad przez wiarę podanych“.

Czy może tego rodzaju szkoła, pyta dalej ks. *Liechtenstein*, jest czemś niewidzianem i niesłyszanem, czemś bezprzykładnem w nowoczesnych państwach?

Choćby tak nawet było, to jeśli szkoła taka jest sama z siebie dobrą, rozumną, konieczną, natenczas każdy prawdziwy patriota mógłby się tylko cieszyć i chlubić, że jego to właśnie ojczyzna innym krajom drogę utoruje do zaprowadzenia u siebie tak ważnych a pożytecznych reform. Ale parlamenty oglądać się zwykły we wszystkich swych prawodawczych czynnościach za przykładami, analogiami, podobnymi wypadkami, i kto wie, czy w dniu sądu ostatecznego, gdy ziemia zatrzęsie się w swych posadach, parlamenty nie będą się pytać, jak się dawniej zachowywano w tego rodzaju wypadkach. Szczęściem odnośnie do kwestyi szkół wyznaniowych nie brakuje analogii i przykładów. Niemal cała środkowa i północna Europa ma szkoły wyznaniowe: republikańska Szwajcarya, despotyczna Rosya, protestanckie Prusy, katolicka Bawarya, stale pod rządem liberałów zostające Węgry. W Niemczech dwa tylko małe państewka; W. Księstwo Badeńskie i Hesse trzymają się austriackiego między, — a raczej bezwyznaniowego systemu, choć i tam system ten w daleko wyższym stopniu niż u nas uwzględnia potrzeby religijne. W wszystkich innych państwach cesarstwa niemieckiego kwitnie szkoła wyznaniowa, zwłaszcza w Bawaryi i Prusach, które w tej mierze za przykład w oczy bijący mogą posłużyć. Odnajdujemy tutaj trzy wyżej wspomniane charakterystyczne cechy szkoły wyznaniowej. Co do rozdzielenia dzieci wedle wyznań, istnieje w Prusach 22.800 szkół protestanckich, a 9400 katolickich, ogólnie mówiąc 32.523 szkół ściśle wyznaniowych, a tylko 715 szkół współwyznaniowych. Podobnie i seminaria nauczycielskie dzielą się wedle wyznań; protestanci posiadają 53, katolicy 21, a żydzi 4 seminaria. Odnośnie do drugiej cechy, szkolny program pruski przeznaczają na naukę religii cztery do pięciu godzin tygodniowo, a więc dwa razy więcej niż w Austrii. Z dwóch godzin przeznaczonych na naukę śpiewu, jedna poświęconą ma być śpiewowi kościelnemu. Rodzice, wedle paragrafu 23 programu szkolnego, powinni posyłać codziennie dzieci na Mszę św., i mogą być do spełnia-

nia tego obowiązku odpowiednimi karami zmuszani; wedle par. 19, szkoła ma się rozpoczynać i kończyć modlitwą wyznaniową. Co się wreszcie tyczy trzeciej cechy szkoły wyznaniowej, nadzoru szkolnego, to nadzór ten aż do czasów walki kulturowej najściślej był połączony z duszpasterstwem. Dopiero za ministerstwa Falka, w r. 1872 zmienił się ten stosunek; pastory pozostali wprowadzić na dawnym stanowisku, ale duchownym katolickim starano się — wedle możliwości — wpływ na szkołę odebrać. Z ukończeniem kulturkampfu nastąpił i w tej mierze zwrot na całą linię; i tak już w r. 1884 zajmowało posadę inspektorów lokalnych 9668 duchownych, a tylko 1270 świeckich; posadę inspektorów okręgowych 720 duchownych, a tylko 32 świeckich. Od tego czasu stosunek ten zmienił się jeszcze nieco na naszą korzyść.

W Bawarii rozstrzyga gmina, czy chce mieć szkołę wyznaniową, czy mieszaną. W skutek tego, pomimo iż w Bawarii zwłaszcza północnej mieszkańcy każdej miejscowości dzielą się między kilka różnych wyznań, szkoły współwyznaniowe należą, rzecz można, do wyjątków. Tak np. widzimy tu 3 współwyznaniowe, 24 katolickich, 11 protestanckich seminaryów nauczycielskich. Na naukę religii program szkolny wyznacza: w pierwszej i drugiej klasie cztery godziny tygodniowo; w trzeciej i czwartej klasie sześć godzin; w piątej, szóstej i siódmej klasie pięć godzin, a więc prawie trzy razy więcej, niż u nas. W ministerium oświaty urzędują dwaj referenci: protestant dla szkół protestanckich, katolik dla szkół katolickich. Dozór szkolny, równie okręgowy jak lokalny, znajduje się, powiedzieć można, wyłącznie w ręku duchowieństwa. Wprowadzić nie wszyscy nauczyciele są zupełnie zadowoleni z tego dozoru, jak w ogóle z każdego dozoru, ale tego tu i ówdzie objawiającego się nieukontentowania żadne stronnictwo nie bierze na seryo, a minister *dr. Lutz* oświadczył niedawno temu w parlamencie, że o zniesieniu kościelnego dozoru nad szkołą nawet mowy być nie może. W Węgrzech liczymy 83 procent szkół wyznaniowych, 4 procent szkół mieszanych, 11 procent szkół gminnych. Belgijska ludność katolicka utworzyła za własne swe pieniądze wolne szkoły katolickie; we Francji i Włoszech toczy się otwarta wojna przeciw Kościołowi, a wojna ta choć nie tłumaczy, to wyjaśnia, dlaczego rządzące stronnictwo usiłuje wytepić w ludności znajomość wiary

i katolickie uczucia; ale w Austrii nie panują przecież takie stosunki, jakie panują nieszczęściem w Belgii, we Francyi, we Włoszech. Rząd i biskupi są ze sobą, od czasu upadku liberalno-centralistycznego ministryum, w najściślejszem porozumieniu. Z jakiejże racyi w dziesięć jeszcze lat po upadku liberalnego stronnictwa chuchamy tak troskliwie, niby na najdroższą spuściznę, na ciężki, najcięższy błąd, jakiego to stronnictwo się dopuściło?

„Prawda! liberali, lękający się cienia jakiegokolwiek reformy w szkole naszej, utrzymują, że religia ma sobie w niej zapewnione pełne czci i szacunku stanowisko. Tak jest! austriacka szkoła ludowa opiekuje się religią mniej więcej w ten sam sposób, w jaki niewdzięczne rodziny zwykły się opiekować niezdolną już do pracy staruszką, której dlatego tylko pozwalają jeszcze mieszkać w ciemnej, szczupłej izdebce i za drzwi jej nie wyrzucają, że na to pewna przyzwoitość, wzgląd ludzki nie pozwala. Ustawy nasze zasadniczo sprzeciwiają się rozdzielaniu uczniów wedle wyznań tam nawet, gdzieby to bardzo łatwo i z niewątpliwą dla nauki i wychowania korzyścią dało się przeprowadzić. Gdzie mieszkają prawie wyłącznie katolicy, tam musi być zaprowadzoną wyznaniowa szkoła katolicka, bo rzeczą jest niesłuszną, aby dla paru rodzin, których przekonaniom nikomu naturalnie nie wolno ubliżać, wszyscy mieli cierpieć. Pewien wyjątek możnaby tylko w tym względzie zrobić dla Galicyi. Tamtejsi, szczerze chrześcijańscy nauczyciele sparaliżowali z góry największą część złych następstw płynących ze szkolnego naszego prawodawstwa, i dlatego być może, że warto spróbować, czy nie uda się przez uczęszczanie do szkoły chrześcijańskiej wyrwać tamtejszej ludności żydowskiej z cywilizacyjnego swego odosobnienia, choć co do tego nie łatwo obronić się przed pewnym sceptycyzmem. A jakże ma się rzecz co do liczby godzin przeznaczonych na naukę religii? Czy uczeń, widząc że na naukę tę obraca się najmniej czasu, dwie zaledwie godziny, które nieraz jeszcze dla braku odpowiednich nauczycieli, jedynie na papierze figurują, może sobie wyrobić przekonanie, że to nauka ze wszystkich najważniejsza, centrum i źródło wiedzy ludzkiej? Modlitwa, wspólne nabożeństwa, odwiedzanie kościołów sprowadzone są do homeopatycznej dozy; dla jednego żydziątka nauczyciel zakazuje rozpocząć klasę od znaku krzyża św.; biurokracya szkolna miasto naka-

zać, aby parę dzieci, należących do innych wyznań, dopiero po wspólnej modlitwie do szkoły wchodziło, wynalazła jakąś nową, międzywyznaniową, przeciętną religię, która uczy tylko dzieci, jak mają dla względów ludzkich poświęcać najświętsze swe przekonania.

„Mówimy wreszcie i powtarzamy: Kościół powinien mieć pewną władzę nad szkołami; doglądać przez swych kapłanów, czy szkoła udziela dzieciom religijnego wychowania i wykształcenia. W jakich granicach władza ta ma się zawierać, do jakich urzędów i obowiązków należy wezwać księdza, a jakie zostawić wypada w rękach nauczycielów świeckich, to najlepiej określić mogą prowincjonalne sejmy dla każdego z osobna koronnego kraju. Nauczyciele w niektórych prowincjach, jak w Galicyi, Bukowinie, Dalmacyi idą w najznaczniejszej części ręką w rękę z księdzem i dopomagają mu nader skutecznie do chrześcijańskiego wychowywania ludu; gdzieindziej nauczyciele trzymają się neutralnie; ale w wielu też niestety! miejscach pracują wprost nad pogrzebaniem wiary i uczuć chrześcijańskich u ludu naszego. Dla przekonania się o tem dość przytoczyć parę ustępów z bardzo rozpowszechnionego organu liberalnych nauczycielów: *Die Freien Pädagogischen Blaetter*. Tak np. gdy pewien książę Kościoła ofiarował dla szkół wiedeńskich krucyfiksy i obrazy wyobrażające Zbawiciela świata, wymienione pismo oświadczyło się wręcz przeciw przyjęciu tego podarunku, ponieważ „obrazy te nie mają dzieciom przypominać pocziwego, czcigodnego męża, ale mają być wyraźnie symbolem chrześcijaństwa. Ostatecznie, jeśli podarowane obrazy mają pewną artystyczną wartość, użyćby ich może można jako wzory do rysunków“. Na innem miejscu fachowy ten organ domaga się, aby naukę religii wykładali sami tylko nauczyciele świeccy, oczyszczając ją z niepotrzebnych szczegółów. „Smutno to pisać, czytamy w innym numerze, ale po wsiach i po wioskach znajdują się jeszcze nauczyciele, którzy, ulegając poduszczeniom księży, odmawiać każą przed szkołą „Ojcie nasz“; mamy kolegów idących za procesyami. Istotnie, pewien wyższy nauczyciel w Morawii wziął udział w procesyi Bożego Ciała. Należałoby go spensyonować“. Ale nie zawsze fachowy ten organ nauczycielski wyraża się w tak grzeczny i umiarkowany sposób: „Religia to poetyczny wyraz filozoficznej

prawdy. Jedni mają rozum, ale natomiast nie mają wiary; drudzy mają wiarę, a co prawda, brak im wtedy rozumu. Dlaczego Kościół tak usilnie domaga się religijnych ćwiczeń? Dzieci odurzone kadzidłem wychodzą z kościoła głupsze, niż do niego weszły; do tego właśnie zmierza cheiwa panowania kurya. Nauczyciel uwalnia lud z więzów nałożonych przez ogłupiający klerykalizm, przez wściekłych popów. Belgijski minister *Bara* wybornie przecież powiedział, że mnisi są oszustami i złodziejami. Każdy przyjaciel Kościoła jest wrogiem szkoły, bo Kościół od samego początku swego istnienia pokój na ziemi zamącił. Zwycięstwo chrześcijaństwa jest najbardziej pożałowania godnym krokiem wstecz całego rodzaju ludzkiego.

„Podobnym duchem zarażona jest cała fachowa literatura, wszystkie nauczycielskie biblioteki. Nauczycielski wiec w *Klagenfurcie* przyjął następującą rezolucję: „Piąty, powszechny austriacki kongres nauczycielski, zważając że wyznaniowa nauka religii opiera się na dogmatach, których treść jaskrawo się sprzeciwia naukom przyrodzonym i praktycznym wymogom życia codziennego, oświadcza się ze względów pedagogicznych przeciw udzielaniu w szkołach religii“. Na zgromadzeniu związku nauczycielskiego z Niższej Austrii w r. 1885 wypowiedział jeden z mowców, wśród nieustających, hucznych oklasków, następujące słowa: „Niepodobieństwem jest myśleć o harmonii z duchowieństwem: nauczyciel wykląda początki nowoczesnej wiedzy, ksiądz średniowieczną scholastykę; nauczyciel uczy walki o byt, ksiądz opowiada o niebieskich radościach; nieprzebyta przepaść leży między tymi dwoma wychowawcami ludzkości; — my ustąpić nie możemy, my musimy taką wiedzę podawać, jaką i jak podaje ją nam kultura“. Ogólny wiec nauczycielski w Gracu, zebrany w lecie roku przeszłego, przyjął wśród przeciągłych braw tego samego rodzaju oświadczenia. Jakże, spytać wolno, nauczycielom, między którymi przeważają tego rodzaju tendencje, pozostawić można, bez jakiegobądź dozoru ze strony wyznaniowych organów, troskę o religijne wychowanie naszego ludu?... Cześć i miłość należy się nauczycielskiemu stanowi, ale kiedy który z jego członków przekracza granice swego powołania i w interesie schlebiającej sobie partyi wkracza w dziedzinę polityki, kiedy zwabiony chwilową modą i reklamą walczy za wrzekomo naukowemi hipotezami i przerabiać chce religię w imię

ledwie znanej sobie z nazwiska filozofii, wtedy zapytać musimy, jakie ma do tego prawa, czy odpowiednią do takiej walki nauką, rozumem wykazać się może? W seminarium nauczycielskiem wyuczył się mniej więcej tego, co umie każdy uczeń po ukończeniu szóstej klasy gimnazjalnej, który w dodatku uczył się jeszcze łaciny i greki; z tej wzniosłej wysokości spogląda na nas biednych ignorantów, dostrzega przeciwieństwo zachodzące między wiedzą, a religią — wiedzą, której hołduje, choć się do niej nigdy nie zbliżył, religią, którą daleko łatwiej odrzucić, niż ją poznać i iść za jej nakazami“.

Pod koniec swej mowy odpowiadał jeszcze ks. *Liechtenstein* na głośnie, na wszystkie tony powtarzane zarzuty: Dążycie do obniżenia naukowego poziomu ludu, wykreślając z programu nauk historię powszechną i naturalną, skracając czas obowiązkowego uczenia do szkoły. Zarzuty te polegają na nieporozumieniu. Nie wykreślamy żadnego przedmiotu, uważamy tylko, że dzisiejsza profesorska metoda wykładania wymienionych nauk do niczego nie prowadzi, i dlatego domagamy się zmiany tej metody. Co do drugiego, to nie może on uchodzić za życzenie wyłącznie klerykalne, lub choćby najcieńszą nicią z klerykalnem naszym stanowiskiem połączone. W Szwajcaryi np. nie kto inny, ale właśnie księża domagali się przedłużenia obowiązku szkolnego z sześciu na ośm lat; we Włoszech obowiązek ten trwa tylko cztery lata. Nasi wyborcy żądają ze względów ekonomicznych zmniejszenia tego obowiązku z ośmiu na sześć lat; żądają tego nawet okręgi ściśle liberalne, które w tym względzie liberalnym swym posłom bardzo ścisłych i kategorycznych udzieliły poleceń. Dlatego, zważając z drugiej strony, że nie wszędzie te żądania równie silnie występują, pragniemy uregulowanie tych spraw pozostawić prowincjonalnym sejmom. W ten sposób jasno pokazuje się, że i drugi główny zarzut nam uczyniony polega poprostu na zbyt pobieżnem, nieuwważnem odczytaniu naszego wniosku; nikogo nie zmuszamy, chcemy tylko, aby ci, co zechcą z ekonomicznych — rozumie się — nie z religijnych powodów, bo mówić tu o religijnych powodach jest śmiesznością, mogli skrócić u siebie czas obowiązku szkolnego.

„Rzeczy to jasne, oczywiste; dlaczegoż nie trafiają do przekonania liberalnym posłom? Bo dzieli nas od nich głęboka przepaść,

a przepaścią tą jest pojęcie samejże istoty naszego Kościoła. My wierzymy bez zastrzeżeń w boskie pochodzenie Kościoła; dla nas głowa Kościoła jest namiestnikiem Zbawiciela na ziemi. Liberali uważają Kościół za państwowy, pomocniczy urząd, który w poleconym sobie zakresie działania zawiadywać ma sumieniami poddanych; za urząd, który wyszukuje namiętności ludzkie ukrywające się w wolnem mieście — w sercu, tam je wiąże i aresztuje, gdzie policyant się nie wślizgnie, żandarm nie dotrze, sędzia ukarać nie może; za urząd zatem mający za cel wyręczyć państwo w pewnych, trudnych policyjnych zadaniach. Zachowajcie swe przekonania, chęlcie się dalej, że konserwatywne nasze stronnictwo nie ma ani siły, ani znaczenia; w jednym wszakże punkcie możliwa może między nami zgoda, a mianowicie w przekonaniu o niezbędności religii dla dobra państwa, dla istnienia społeczeństwa. Zgodziwszy się na to, przyznacie zapewne zarazem, że religia nigdy jeszcze nie była masom ludu tak niezbędną jak dzisiaj; że dziś, w obec przerażającego braku duchowieństwa w Austrii, w obec obciążenia rodziców ciężką, rzec można, nad siły pracą po fabrykach, kolejach, warsztatach, — lud nie ma gdzieindziej sposobności nauczania się religii i teoretycznie i praktycznie, jak tylko w szkole ludowej.

„Ale prócz tych zasadniczych i wiele praktycznych względów skłoniłoby powinno liberalne stronnictwo do zgodzenia się na proponowane przez nas szkolne reformy. Wszak właśnie nieprzyjazne wierze prawodawstwo szkolne z r. 1868 wprowadziło nas, na niemalże wasz smutek, do tego parlamentu; prawodawstwu temu zawdzięczacie niechęć, jaką lud dla was czuje; jemu zawdzięczacie utratę owych 20 czy 30 głosów, których wam zawsze podobno do większości będzie brakować... Bądź co bądź, z jakimkolwiek losem spotka się nasz wniosek, za wygraną nie damy i nie spoczniemy, póki ludowi, który tu nas przysłał, nie przyniesiemy tego, do czego najświętsze ma prawo, co posiadają wszystkie państwa sąsiednie, czego lud od nas żąda, co potwierdził około milionem podpisów — szkołę wyznaniową!“

Program wyłuszczoney przez *Liechtensteina*, logicznie, jasno pomyślany, świetnie wypowiedziany, wywarł nadzwyczajne wrażenie nie tylko w parlamencie, gdzie najznakomitsi członkowie prawicy i paru ministrów ostentacyjnie złożyli mównicy powinszowania, nie

tylko w Austrii, ale wszędzie, gdzie kwestya szkolna, wystąpiwszy na pierwszy plan, umysły zajmuje i zupełnie radykalnych, lub pewnych przynajmniej reform się domaga. Jakto! więc niczego więcej nie żąda *ks. Liechtenstein*, zapytały zdziwione dzienniki, które przedtem, stosując się do tonu nadawanego w liberalno-żydowskiej prasie wiedeńskiej, odmalowały księcia niby zmartwychwstałego *Torquemadę* i tłumaczyły naiwnym czytelnikom, że wniosek jego ma co najmniej na celu wprowadzić na nowo tortury, przywrócić poddaństwo, znieść szkoły, a jeśli się uda to i koleje i telegrafy. Jakto, więc okrzyczany ten wniosek miałby być w gruncie tak skromnym, na tyle ustępstw się zgadzać, a tego tylko się domagać, czego każdy prawdziwy katolik absolutnie domagać się musi i praktycznie się domaga? Tak jest, trzeba było wyznać w pokorze, a choć niektóre dzienniki, nie mogąc na ten akt pokory się zdobyć, utrzymywały zawzięcie, że przecież w wniosku tym musi się coś kryć złego i niebezpiecznego, tylko sprytny książę nie myśli się z tem wyjawić i na razie chce umysły uspokoić; to ludzie dobrej wiary wiedzieli już co sądzić o tych strachach na Lachy, prawdziwych wiatrakach, przeciw którym dziennikarscy Don Kiszoci tak długo i z taką zaciętością szli do ataku; przeciw którym i po wyjaśnieniach wnioskodawcy się potykają.

Następni mówcy, występujący również za szkołą wyznaniową: *Dobhammer*, *Klun*, *Pscheiden*, *Suklje* uzupełniali tylko w niektórych szczegółach program nakreślony w przemówieniach *Liechtensteina*, odpierali zarzuty i insynuacje, które tego samego jeszcze dnia i przez kilka dni następnych posypały się gęstym gradem. Dawni nieprzyjaciele: lewica i młodzi Czesi zawarli sojusz przeciw współczesnemu wrogowi; wniosek *Liechtensteina*, jak ktoś złośliwie się wyraził, pogodził Piłata z Herodem. Radca dworu *dr. Beer*, chęłpiący się, że szkolne prawodawstwo z r. 1868 jego jest dzieckiem, miał się odezwać do przyjaciół po mowie *Liechtensteina*: „Zbiję to wszystko jedno po drugim“, i istotnie zbijał przez dwie godziny z rzędu, ale w gruncie ani z jednym jedynem twierdzeniem na seryo się nie rozprawił. *Dr. Weitlof* zaklął ministra oświaty, aby bronił interesów cesarskich, a nie interesów Jaśnie Oświeconego księcia *Liechtensteina*; *Lippert* przyrównał mowę i wniosek księcia do węża ukrywającego się między niewinną, starannie wy-

pielęgowaną, ślicznie zrównaną trawką; *Bendel* rzucił rozpaczliwy okrzyk: „Strzeżcie się, bo jezuityzm zagarnia szkoły pod swoją władzę!“ i powtarzał z *Siegmund'em*: „Czy chcecie, aby cała Austria przemieniła się w jezuicki klasztor?“; młodo Czech *Gregr* pytał z patosem: „Książę *Liechtensteinie!* co zrobił ci nasz lud, że go duchowo chcesz zniszczyć; odebrać mu wolność i postęp, i jak jeden z twych przodków plądrował po Czechach w czasie trzydziestoletniej wojny, tak ty teraz całą czeską ludność oddajesz na łup, w jasyr pędzisz?“ Najsilniejszym wyrazem, a zarazem streszczeniem wszystkich tych i wielu innych gniewów i zarzutów była mowa generalnego mowcy lewicy *dr. Edwarda Suessa*, który parę dni przedtem dla zwrócenia większej uwagi na przyszłe swe wystąpienie, a zarazem nie chcąc w wystąpieniu tem żadnymi względami się hamować, zrzekł się pompatycznie godności rektora uniwersytetu wiedeńskiego.

Do czego zdąża wniosek *Ks. Liechtensteina*? pytał „męczennik oświaty“ — jak nazywają byłego rektora liberalne dzienniki. Sam książę odpowiada na to pytanie, mówiąc o *Kościele i innych religijnych stowarzyszeniach*. W słowach tych mieści się zniesienie równouprawnienia religijnego; cały ten wniosek jest złamaniem kompromisu zawartego między lewicą a prawicą w r. 1869, gdy ówczesny rząd liberalny za cenę ustawy szkolnej odstąpił od innych swych żądań, a mianowicie od zaprzysięgania biskupów na konstytucję, od podciągnięcia teologicznego fakultetu w Innsbrucku pod powszechnie obowiązujące prawa, od pewnych zmian w prawodawstwie małżeńskim. Jakże poruczać biskupom dozór nad szkołami, kiedy sam Papież bullą z 1882 r. wyjął część ruskiego kleru w Galicyi zpod władzy swych ordynaryuszów i poddał go rzymskiej propagandzie; Papież odejmuje biskupom zarząd nad znajdującymi się w ich diecezyi klasztorami, a my biskupom mamy oddawać zarząd nad szkołą? — Więcej prawdziwej tolerancji, więcej zaufania do etycznej siły i prawdy tkwiącej w chrześcijaństwie, a Kościół pozyska sobie serca. Gdyby zjawił się tu między nami jeden z tych wielkich nauczycieli katolickiego świata, który w swoim czasie cały świat poruszali: *Bernard z Clairvaux* lub *Franciszek z Assyżu*, to przekonany jestem, że stanęliby po naszej stronie i odezwaliby się do was piorunującym głosem: „Zrzeknijcie się

ziemskich wpływów, a otrzymanie niebieskie królowanie“. Dobrze i prawdziwie powiedział zeszłego roku *Doellinger*: Dawny Kościół katolicki nigdy nie występował zaczepnie, tak jak występuje dzisiejszy; smutny to znak, a winniśmy go zwycięstwu ducha i kierunku rzymskiego nad duchem i kierunkiem germańskim. I mówi *Doellinger*: „Do czego nas prądy te doprowadzą, o tem nikt wątpić nie może, kto zna i rozumie wielkie prawa rządzące światem“.

Gdyby *Suess* był sobie przedsięwziął dowieść świata weszłej w przysłowie płytkości liberalizmu, nie mógłby się być lepiej wywiązać z podjętego zadania. W szumnie tej z góry reklamowanej mowie znaleźć nie można ze świecą w ręku ani jednego jedyne dowodu przeciw wyznaniowej szkole; natomiast tak dziwne tu pomieszanie faktów i pojęć, pomieszanie, którego miarę daje postawienie w jednym szeregu *Doellingera* i św. *Bernarda* i *Franciszka*; taka nieznajomość ludzi, stosunków, kościelnych tradycji, której miarą znowu cały ustęp o reformie Bazylianów w Galicyi; tak jaskrawa nielogiczność w żądaniu np., aby dzisiejsza większość parlamentarna strzegła jak oka w głowie smutnych zdobyczy osiągniętych niegdyś przez lewicę; w żądaniu, aby katolicy poczuwali się do wdzięczności dla lewicy dlatego, że nie ręce i nogi, ale wspaniałomyślnie same tylko ręce im odcieła; — że dziwić się tylko można, jak mógł były rektor wiedeńskiego uniwersytetu podjąć się tak niezaszczytnej walki, z której — czuł to pewnie sam najlepiej — nie wyszedł nawet z wojskowymi honorami.

Jednej tylko zasługi trudno *Suessowi* odmówić: rzucone przezeń lekkomyślnie, logicznie nie powiązane zarzuty, spowodowały generalnego mowcę prawicy *Dr. Kathreina* do zasadniczego wyjaśnienia stanowiska prawdziwych chrześcijan-katolików w przeciwieństwie do tych, którzy choć chrześcijanami czasem nawet ostentacyjnie się nazywają, nie mają jednak widocznie wyobrażenia, co to znaczy być chrześcijaninem, jakie prawa i obowiązki ta nazwa nakłada. *Dr. Ebenhoch* nakreślił kilku śmiałyymi rysami to stanowisko; *ks. Liechtenstein* bliżej i praktyczniej z uwzględnieniem zwłaszcza swego wniosku szkolnego je odmalował; *Dr. Kathrein* uzupełnił świetny ten obraz, wziął pochop z uczynionych zarzutów do mistrzowskiego uwydatnienia pojedynczych szczegółów; streścił

i poparł w gorących słowach żądania poprzednich mówców, będące wyrazem uczuć i żądań całej szczerze katolickiej ludności w Austrii.

Poprzedni mówca — streszczamy tylko gruntowne wywody *Kathreina* — *dr. Suess* wyznał, że żadną może jeszcze sprawę parlament tak żywo, jak obecną się nie zajmował; a ja dodaję: żaden inny przedmiot nie leży tak bardzo na sercu katolickiej naszej ludności jak szkoła wyznaniowa... Nie jest to ruch sztucznie obudzony; nie jest to ruch, który mógłby być powstrzymany ministeryalnym rozkazem, jak tego przeciwnicy nasi wyraźnie a nie bardzo zgodnie z liberalnemi swemi przekonaniem domagają się. Wszak na to wybrani jesteście, abyście spełnieniu życzeń wyborców naszych drogę torowali; a wyborcy nasi, a lud chce szkoły wyznaniowej. Kwestya szkolna stanęła przed parlamentem, wojna wypowiedziana, pierwsze potyczki stoczone. Dziś posłaliście do boju jednego z największych waszych wodzów, który jaskrawemi, przerażeniem wzniciającemi barwami odmalował niby Wereszczagin parlamentarny: klerykalne stronnictwo, księży, Kościół. Krasomówca wasz, wódz wasz nie zabił nas jednak patetycznymi swymi pociskami; żyjemy jeszcze i owszem, po tej właśnie mowie z większą otuchą spoglądamy w przyszłość. My do patosu uciekać się nie myślimy, bo nie potrzebujemy na obronę naszą powoływać namiętności; spokojnie, rzeczowo przedstawimy raz jeszcze nasze chrześcijańskie zasady i dążenia, a przedstawienie to najskuteczniejszym zarazem będzie odparciem z wielkim hukiem, z mniejszym podobno skutkiem rzuconych na nas pocisków.

Miedzy nami a wami, synami rewolucyi z r. 1789, leży głęboka przepaść; przepaść tę stanowi pytanie: „Czem jest Chrystus“? Dla nas Chrystus nie jest tylko „wcieleniem tolerancyi i wolności“, nie jest tylko „wybawicielem ludzkości“; Chrystus, wedle pojęcia naszego, to w wieczności przeznaczony, w czasie na świat od Boga zesłany Mesyas, który przez śmierć na krzyżu świat cały odkupił, a przez zmartwychwstanie przypieczętował boskie swe posłannictwo; to założyciel Kościoła, któremu zlecił ludzi chrzcić i pouczać ich, w co mają wierzyć i jak mają wedle wiary żyć; Kościoła, na którym się oparła i opiera cała nasza europejska kultura i cywilizacya, — Kościoła, którego powołaniem i dziś jeszcze jest odciągnąć społeczeństwo od samego brzegu przepaści,

nad którą stoi, ukrzepić je i na nowo zorganizować. Czy możliwem jest wychowanie bez religii? Bez wątpienia nie! a w tej mierze wielu nawet członków lewicy z nami się zgadza. Otóż religia mówi nam katolikom, że Chrystus i założony przezeń Kościół powołanym jest do wychowania dzieci, że Kościół jest z Bożego rozkazu piastunem nauczycielskiej i pasterskiej władzy. To nasz dogmat; waszym dogmatem wszechładza państwa... Wychowanie szkolne ma być tylko dalszym, uzupełniającym ciągiem wychowania rodzinnego; dlatego nie wolno udzielać w szkole wychowania wedle zasad odmiennych, od zasad, któremi kierować się powinny i kierują się chrześcijańskie rodziny. Nauczyciel działa w szkole tylko jako zastępca rodziców; jeśli zastępca ten nie pielęgnuje, ale wyrывa z serca dziecka religijne uczucia i zasady, natenczas ofiarą tego postępowania staje się nie nauczyciel, nie ksiądz, ale samo dziecko, którego młodociany umysł, nie wiedząc jak rozwiązać nastreżające się zagadkowe przeciwieństwa, zwraca się i burzy przeciw wszelkiej powadze. Chcecie poszanowania dla powagi, zgody w rodzinach, pomnożenia rodzinnego szczęścia, reorganizacyi społeczeństwa wierzgającego przeciw wszelkiej powadze, to rozpocząć musicie od szkoły, od szacunku dla powagi kościelnej. Dzieci od Boga nam dane są najdroższym naszym skarbem, a wy żądacie, abyśmy je posyłali do szkół, które doprowadzić je mają do zerwania z naszymi przekonaniami, do wyrwania ich z serc naszych, do tego, abyśmy się wzajemnie stali dla siebie obcymi. To już nie wolność sumienia, to raczej niewola, tyrania, otwarta droga do barbarzyństwa.

Powiecie i powiedzieliście już, że to z fantazyi wysnuty obraz, a czemuż nikt z was nie zadał sobie tyle trudu, aby rozebrać w szczegółach mowę ks. *Liechtensteina*, aby przedmiotowo odeprzeć uczynione przezeń zarzuty? Prawda, faktycznie szkoła w wielu prowincjach nie jest tak złą, jakby być mogła, jakby wedle obowiązujących dziś praw być powinna; ale w tem nie wasza chyba zasługa, a właściwym celem, ideałem dzisiejszych praw szkolnych jest szkoła bezwyznaniowa, wychowanie wrogie religii. Wszak pod tem prawem można było wyrzucić ze szkół znak naszego zbawienia — krucyfiksy; pod tem prawem żydowscy nauczyciele prowadzić mogą i prowadzą dzieci do najważniejszego aktu całego ich

życia, do pierwszej komunii. — Mówicie, że chcemy obniżyć poziom oświaty. Frazes to ukuty jedynie w tym zamiarze, aby nie-mysłące i niechące zmusić się do myślenia tłumy przeciw nam w pole wyprowadzić. Chcemy oświaty, chcemy nauki, ale czy to, co dziś dzieci ze szkoły wynoszą, jest oświatą, czy raczej karykaturą oświaty? Tak! to karykatura, bo dziecko, przeładowane taką masą szkolnych przedmiotów, nie należycie przetrawić, przerobić w sobie nie może. Żądamy, aby dziecko nauczyło się w szkole tego, czego niezbędnie potrzebuje: pisać, czytać, rachować, ale aby przytem nauczyło się myśleć, a dzisiejsza szkoła myśleć nie uczy. „Dzisiejsza szkoła ludowa, pisze *Neue Freie Presse*, a słowa jej, bardziej zapewne od moich do przekonania wam trafiają, nie spełnia swego zadania; program szkolny obciążono, z wielką krzywdą nauki elementarnej, balastem najniepotrzebniejszych wiadomości, a niezrozumiały ten program otworzył nauczycielom tak obszerną dziedzinę wiedzy, że w niej sami jak w lesie się blakają... Wnet też przyszli wszyscy do przekonania, że reforma całego naszego szkolnictwa jest niezbędną koniecznością; nikt jednak nie chce dotknąć się tej rany i pierwszy jasno wypowiedzieć, że szkoła, przy całej dobrej woli i najlepszych pragnieniach, staje się coraz gorszą... Proszę zapytać dyrektorów gimnazjalnych, co umieją dzieci, zwłaszcza po miastach, gdy z waszej nowoczesnej szkoły przechodzą do gimnazyów? Czego raczej nie umieją, czego nie wiedzą? Wiedzą, ile metrów wysokości mają góry Himalajskie, ale nie umieją porządnie pisać, a nawet czytać... Zresztą w tem wszystkim, nawet co do ośmioletniego obowiązku uczęszczania do szkoły, łatwo przy odrobinie dobrej woli moglibyśmy się ze sobą pogodzić, gdyby nie kwestya religijna; na tem polu kompromisu niema, być nie może.

Dziwne to prawdziwie zjawisko! Stronnicy postępu, liberali stają na stanowisku absolutyzmu, wyciągają ręce o pomoc do państwowej wszechwładzy, cofają się w czasy Józefa II; kiedy my zacofańcy stoimy na stanowisku wieku dziewiętnastego, bronimy boskich, przyrodzonych, historycznych praw; stajemy w obronie wolności sumienia. Czas walki potężnej, na całej linii się zbliża, jak powiedział *dr. Suess*, a czemu i my zaprzeczyć nie możemy. Pójdziemy do walki tej w imię katolickiej wiary, bez namiętności

i goryczy; ale z wielkim zapalem, bo szkoła jest dla nas rzeczą najwyższej wagi; z energią i wytrwałością, którą napelni nas miłość dla dzieci od Boga nam danych; walczyć będziemy bez przestanku, i — wierzajcie mi — osiągniemy zwycięstwo. Jesteśmy tego pewni, bo ufamy nie tylko w własne swoje siły, ale nadzieję pokładamy w Panu, który obiecał nam i zapewnił: *Confidite, ego vici mundum*¹.

Mowy *Ebenhocha*, *Liechtensteina*, *Kathreina* zarysowały jasno, uzupełniając się wzajemnie, cel i plan walki szkolnej przez katolików podjętej; *Suess* w imieniu liberalów oświadczył, że wytrwale, z natężeniem wszelkich sił bronić będą pozycyi za rządów lewicy zajętych; na jakimże stanowisku stanął rząd, której z wójujących stron pomoc swą przyrzekł, komu sympatyje oświadczyło *Koło polskie*?

Nazajutrz po programowej mowie *Liechtensteina* wygłosił minister *Gautsch* długą odpowiedź na liczne czynione sobie zarzuty, liczniejsze jeszcze żądania i prośby skierowane doń w czasie rozpraw nad centralnem kierownictwem ministerstwa wyznań i oświaty. Z natury rzeczy, dotknąć też musiał minister wniosku o szkołach wyznaniowych, a choć dokładał starania, aby to uczynić w słowach jak najbardziej ogólnikowych, uznał jednak, że istotnie szkoły ludowe reformy potrzebują, a ustawa o tych szkołach uledez może zmianom i to pod niejednym względem; że skargi *ks. Liechtensteina* na pewne urządzenia i zdarzenia w szkołach ludowych zasługują najzupełniej na uwagę; że zwłaszcza pierwsze zadanie szkoły ludowej, *w y c h o w a n i e* dziecka, powinno lepiej, niż dotychczas być spełnianem. Rozwiązanie tej kwestyi jest kwestyą dla państwa żywotną; stanie też ona wespół z innemi pytaniami przed parlamentem, a dnia tego rozegra się walka między istniejącemi tu przeciwnemi sobie zapatrywaniami. Wtedy też i minister oświaty określi jasno we wszystkich szczegółach stanowisko swoje i odda swe wotum, jako prawdziwy przyjaciel szkoły ludowej, bez względu na możliwe następstwa, wprawdzie nie jako kreatura *ks. Liechtensteina*, jak się wyrażono, ale też nie jako kreatura szanownej opo-

¹ Ufajcie, jam zwyciężył świat!

zycy; odda swe wotum jedynie i wyłącznie, jako świadomy ciężącej na sobie odpowiedzialności doradca korony.

Czego minister powiedzieć nie mógł, czy nie chciał, to — jak powszechnie, a zdawałoby się nie bez racji się spodziewano — dopowiedzieć miał *prof. Bobrzyński*, przemawiający w imieniu *Koła polskiego*. Wiadomem było powszechnie, że wcale nie wszyscy członkowie *Koła* sympatyzują z wnioskiem *Liechtensteina*; wiadomem było z drugiej strony, że właśnie głosy *Koła* w tę lub ową stronę przeważają na szali; nie dziw, że oświadczenia *Bobrzyńskiego* oczekiwano ze wszech stron z nietajoną ciekawością. Mówca przyznał, że kwestya szkody wyznaniowej wpadła do parlamentu, niby huragan, niby rzeka, która wszystkie tamy zerwała i o powstrzymaniu jej w pędzie ani mowy być nie może. Czy chcemy, czy nie chcemy musimy zająć się uregulowaniem tej kwestyi; inaczej wciąż na nowo, a bodaj czy nie wciąż z większą siłą będzie się nam narzucać. Dawne hasła, używane dotąd przez opozycję, zużyły się; chwycono więc oburącz, z prawdziwą rozkoszą nowe, a wyznaczyć należy, przez wniosek *Liechtensteina* poddane popularne hasło: „Walka przeciw wyznaniowym szkołom“. Hasło to ściągało tem więcej stronników, że sam wniosek niefortunnie zredagowany nastroczał powód do wielu wątpliwości; w ostatniej dopiero chwili — a szkoda, że tak późno — sam wnioskodawca nieporozumienia usunął, a oświadczenia jego spokojne i umiarkowane musiały na opozycji wyrzucić wrażenie, że zasada broniona przez mowę, a w ten sposób przedstawiona i ograniczona zgadza się z przekonaniami konserwatywno-autonomistycznej większości; że lewica sama namalowała sobie dyabła na ścianie, aby móżdżek przeciw niemu do boju wyruszyć; że się jednak nie uda zastraszyć tym dyablem ani jednego stronnictwa, należącego do większości, a tak kwestyą tą większość rozsadzić...

W ostatniej części swej mowy *Dr. Bobrzyński* zwrócił się do stosunków galicyjskich:

„My w Galicyi sporów wyznaniowych nie znamy. Kościół katolicki stanowi potężną osłonę naszej narodowości, naszej cywilizacji i naszego języka przeciw Wschodowi. (*Huczne oklaski po prawicy*). Kościół to daje klasom wyższym rękojmię wpływu na klasy niższe, tudzież możliwość wspólnego z Rusinami pożyicia.

W poczuciu tego łączą się u nas nietylko konserwatyści, lecz i liberali. Albowiem liberalizmu polskiego nigdy nie trzeba brać za jedno z liberalizmem niemieckim. (*Brawo! brawo! z prawicy; śmiechy i głosy z lewicy: nigdyśmy go też za jedno nie brali!*) Ten stan rzeczy zaś zawdzięczamy, nie ustawie państwowej, lecz jedynie szczęśliwemu układowi naszych stosunków społecznych (*tak jest! z ław polskich*); one to pozwoliły nam, pomimo ustaw państwowych, dobić się tego stanu rzeczy na drodze wykonawczej i przy pomocy ustawodawstwa krajowego. (*Tak jest! z prawicy; głosy przeczące z lewicy*). Pragnąłbym, żeby władzy wykonawczej w innych także krajach koronnych powiodło się dojść do takiego stanu rzeczy bez zmiany ustawy państwowej; uważałbym to za rzecz najwłaściwszą, bo chciałbym, żeby — ile możliwości — unikano walki parlamentarnej. Jeśliby jednak w ten sposób celu dopiąć nie można, jeśli dziś może za późno wstąpić na tę drogę, która przed pięciu lub dziesięciu laty stała jeszcze otworem, wtedy nie byłoby innej rady, jak dojść do tego celu za pomocą częściowej zmiany ustawy państwowej. (*Oklaski z prawicy*). Niech państwo i Kościół ścierają się z sobą od czasu do czasu; niech pojawiają się sprzeczności między doktryną umiętną a kościelną; być może, iż ze starć takich wytrysnie źródło wolności zachodnio-europejskiej cywilizacji i postępu, — w każdym razie nie wolno nam powoływać na sędziów i rozjemców w tej walce nauczycieli i młodzież szkół ludowych. (*Oklaski z prawicy*). Młodzież powinniśmy trzymać zdala od walki; w wieku dojrzałym aż za wiele będzie się nią mogła nacieszyć“.

Zwracając się na koniec do rządu, przypominam mu słowa, któremi niegdyś z ławy ministeryalnej do większości się odezwano: „Spokoju i umiarkowania! — tak wołał do nas rząd. Na to jako sprawozdawca większości odpowiadam: zapewne, większość popierająca rząd może zachować spokój i umiarkowanie, ale tylko pod tym warunkiem i wtedy, kiedy rząd pewien siebie, jasno wytknąwszy cel, do którego chce zdążać, granice, których nie chce przekroczyć, weźmie na siebie przewodniczącą rolę i w tej szkolnej kwestyi“.

Oświadczenie *dr. Bobrzyńskiego*, ogólnie mówiąc, wypadło lepiej, niż się tego z prądów nurtujących w *Kole* można było oba-

wiać. Mowca, domagając się od rządu, aby wziął w swe ręce reformę szkół ludowych, aby sam przedłożył parlamentowi wniosek, mający być widocznie pewnego rodzaju kompromisem między żądaniem katolików, a obowiązującą dzisiaj, z taką miłością przez lewicę bronioną ustawę szkolną, domagał się w gruncie tego tylko, co już minister *Gautsch* poprzednio dość jasno zapowiedział. Mowa *pr. Bobrzyńskiego* wyjaśniła zatem sytuację: Rząd przedłoży swój wniosek szkolny, w którym o ile możliwości zdążać będzie do tego, aby wilk był syty a koza cała; *Koło Polskie* wniosek ten poprze; a katolicy, trzymając się praktycznego przysłowia o złym dłużniku, przyjmą na razie ofiarowaną sobie sumę ustępstw, nie zrzekając się naturalnie wcale reszty długu, owszem oświadczając z góry, że o należytość swoją nie przestaną się przy każdej sposobności jak najenergiczniej upominać. Bądź co bądź i to częściowe zwycięstwo nie będzie bez wartości; dlatego też prawica podziękowała polskiemu mowcy hucznymi oklaskami.

Ale jeśli praktycznie mowie tej, jako podkreśleniu poprzednich słów ministra oświaty, znaczenia odmówić nie podobna, to z drugiej strony nie łatwo zgodzić się z tymi, którzy mowie tej chcieliby nadać jakieś wyjątkowe znaczenie. Prawda, i dzięki Bogu za to, że „porównując¹ przemówienie *p. Bobrzyńskiego* „z deklaracją ułożoną przed rokiem w imieniu Koła przez *p. Hausnera* — z prawdziwą pociechą zaznaczyć można zasadniczą zmianę „w stanowisku Koła: nie było tu już tego spojrzenia żony Lota „w stronę Sodomy, czyli liberalizmu wiedeńskiego, a takie czyniła „wrażenie poprzednia deklaracja“. Lecz czy można w niej uznać bez zastrzeżenia, wspólnie ze sprawozdawcą *Przeglądu Polskiego*² „jasność, stanowczość, szczerłość, roztropność“, z której „cieszyć się mamy jako Polacy, obywatele i katolicy“? Czy zupełnie słusznie utrzymuje *Czas*, w przytoczonym wyżej artykule, że w ustępie o sprzecznościach mogących zachodzić między nauką świecką a kościelną, o sporach między państwem a Kościołem, „zawarta jest myśl głęboka, polityczna i cywilizacyjna“? Pragnęlibyśmy przynajmniej jaśniejszego sformułowania tej myśli. Jeżeli się ma przez

¹ *Czas*. Nr. 71. Artykuł wstępny.

² *Przegląd Polski*. Kwiecień 1889. Str. 237 np.

to rozumieć, że walka złego przeciwko dobremu — wszechwładztwa siły ludzkiej, przedstawianego w dziejach przez cezaryzm, przeciwko prawdzie i prawu Bożemu, przedstawionemu przez Kościół — faktycznie, dzięki Opatrzności, na korzyść dobra i prawdy wychodził — jest to rzecz niewątpliwą, której historia na każdej karcie uczy. Ale jeżeliby to miało znaczyć, że walka Kościoła i państwa, jako dwóch współrządnych w swych roszczeniach potęg, obie zarówno okrzeseje, wówczas byłby to pospolity frazes wiedeńskiego liberalizmu, istotę i misję Kościoła zupełnie zapoznający. Nie możemy też zrozumieć owego odróżnienia, jakie czyni poseł *Bobrzyński* między mową a wnioskiem *ks. Liechtensteina*. Wszystkie mniemane ustępstwa wyrażone w mowie znajdują się też i w pierwotnym wniosku: uznane w nim jest najwyższe prawo państwa do szkoły obok prawa Kościoła; wykluczona jest to, że niema dążności powrotu do dawnej szkoły o obniżonym poziomie nauk... Chyba wzgląd taktyczny kazał zrobić z tego wniosku kozła ofiarnego, dla wytłumaczenia zmiany frontu Koła Polskiego.

„Złote słowa p. *Bobrzyńskiego*, pisze prawdziwie *Kuryer Pozn.*¹, że młodzież i nauczyciele do walki o szkołę mieszać się nie powinni, że należy im zdala od niej się trzymać, pełnić swe obowiązki; słusznem jest także wezwanie rządu do spokoju i umiarkowania; to wszystko trafne, prawdziwe i zdrowe zdania, atoli z poza tego wszystkiego wyziera jakby chęć trzymania się zdala od jądra rzeczy: czy Galicya pochwała żądania katolików, czy chce dopomóc katolikom w innych krajach monarchii austriackiej do osiągnięcia praw ludności katolickiej? Poseł *Bobrzyński* posunął swą ostrożność tak daleko, że wprost powiada na wstępie drugiej części swej mowy, że o wniosku *ks. Liechtensteina* mówić nie będzie, bo o ten nie chodzi. Jest to po prostu tak samo, jak gdyby Niemiec powiedział: *Wasch mir den Pelz und mach' ihn nicht nass*. Czytając mowę *Bobrzyńskiego*, przychodzą mimowoli na myśl słowa, które, choć przed rokiem o wniosku *Liechtensteina* wyrzeczone, i dziś równem prawem można powtórzyć²: „Pierwszy to raz od smutnej pamięci praw majowych, postawioną została w par-

¹ *Kuryer Poznański* nr. 79. „Mowa posła Bobrzyńskiego“.

² „Co sądzić o wniosku *ks. Liechtensteina*“? Przez *ks. M. Morawskiego*. *Przeg. Pow.* Lipiec 1888.

lamencie wiedeńskim kwestya zasadnicza: stąd nie dziwnego, że tyle zamieszania i popłochu wywołała i że stronnictwa, ugrupowane około bieżących interesów swych narodowości, a nieoswojone z takimi pociskami, straciły na razie orientację“.

Co istotnie może otuchą i pociechą napelnić, co w pewnej mierze może nas zrehabilitować przed społeczeństwem katolickim, zarzucając nam, nie bez pozorów prawdy, że wtedy tylko jesteśmy i przyznajemy się do nazwy katolików, kiedy tego wymaga interes narodowy, — to umieszczone w *Czasie* artykuły p. *Pawła Popiela* i zgadzający się z nimi zupełnie w głównych katolickich zasadach artykuł podpisany literą *L*¹. Co za szkoda, że artykuły te wygłoszone były w krakowskim dzienniku, a nie z wiedeńskiej trybuny parlamentarej; posłowie nasi stanęliby wtedy na wyżynie, na którą wprowadzili rozprawy katolicycy posłowie; złożyliby dowód, że opierają się na jasnych zasadach, a nie tylko na oportunistycznych względach; nie naraziliby się na gorzkie szyderstwo, którego im zagranicą nie oszczędzono: „Otóż przedstawiciele ludu! którzy, nie śmiejąc stanowczo ruszyć naprzód, gdzie ich pcha fala życzeń i potrzeb ludności, nie mogąc cofnąć się wstecz, w objęcia lewicy, ciągnięni w jedną stronę coraz silniejszym katolickim prądem, w drugą stronę staremi liberalnemi nawyczkami, nie wiedzą widocznie jasno co zrobić, gdzie się zwrócić, a w kłopotliwym tem położeniu wyciągają ręce do rządu: „Ty nas prowadź, gdzie pójdziesz, — pójdziemy; gdzie staniesz, — staniemy“!

Do samej głębi kwestyi sięgający, „z nieźrównaną mocą przekonani — jak słusznie powiedziano — z młodzieńczym zapalem, w jędrnym, mistrzowskim słowie odlany artykuł p. *Popiela*, streścić się nie da, bo sam jest niejako streszczeniem długoletnich studyów i rozmyślań. To też miasto kusić się o streszczanie, wolimy ze środka wyrwać zdań parę.

„Pytam poprostu, czy równorzędność nauki religijnej nie wywoła koniecznie obojętności? Mówmy otwarcie, dziś już nieczas ludzi się słowami. O co idzie? Właśnie o to, aby lud, aby masy stały się obojętne dla wiary. Żeby zaś to nastąpiło, trzeba nauki

¹ *Czas* nr. 75, 76. — Artykuły p. *Pawła Popiela* zostały przedrukowane w *Przeglądzie Lwowskim*.

symultannej przez długie lata. Dlatego, kiedy była mowa o skróceniu lat nauki ludowej, powstał krzyk na całej linii. Kiedy *ks. Liechtenstein* wniósł projekt, liczny *Schulverein* chórem go potępił i wywołuje mitingi przeciw niemu. Skąd ta obawa w obec wniosku *ks. Liechtensteina*, który ogółu nie dotyka?

„Świat moralny podzielony dzisiaj na dwa obozy. Jak na początku wskazaliśmy, dwie teorie walczą o początek społeczeństwa; podobny toczy się spór o ekonomię moralną ludzkości. Z jednej strony: Bóg opatrnościowy prawodawca i rządzący przez Kościół — z drugiej, jak twierdzi pseudo-filozofia: ludzkość powstała bezwiednie, rządzona postulatami rozumu. W zastosowaniu postęp ludzkości przez coraz bardziej wnikające w jej skład chrześcijaństwo, a zatem zniesienie niewoli, oświata i zwolna modyfikujące się stosunki społeczne. I znowu z drugiej strony postęp społeczeństwa przez zniesienie osobistej odpowiedzialności sumienia, imperatiwu moralnego i dążenie do równości wskazanej przez rozum.

„Ostatnia teoria pochlebia pysze, a mierne umysły zaspokaja. Panowała już, choć pod odmienną formą, w starożytności, dziś przybrała wszystkie cechy sekty: nietolerancją, fanatyzm prześladowania. Jak prześladować umie, wzięwszy raz górę, widzimy we Francji, gdzie to jeszcze niemożliwe, zwolna gotuje walkę, a najdzielniejszy środek wychowanie, bo pozór szlachetny, a skutek pewny. *Ks. Liechtenstein* tak mało, za mało żąda, a burza powstaje taka, że stronnictwo prawicy i rząd waha się. Czemu? Czy, że mniej liczne, bynajmniej; czy nie mają ludu za sobą? całą warstwę spodnią, zdrową i twardą — ale *Schulverein* ma za sobą organizowany zastęp, ale wielu posłów zacnych, wiernych boi się uchodzić za wstecznych, i fałsz zuchwale bierze górę pod sztandarem postępu i cywilizacji...

„Jakkolwiekby kto chciał igrać słowami, szkoła nasza jest bezwyznaniową i inną być nie może. W pamiętnej zeszłorocznej sejmowej rozprawie, jakkolwiek poseł Jan Popiel unikał pilnie tego wyrazu, szkoła i to w myśl prawodawcy jest bezwyznaniową. Nauczyciel o tem wie, a dzieci wnet się przekonają w skutek symultannej nauki. Że w czasie, w którym żyjemy, po rewolucji francuskiej, epoce encyklopedystów, filozofii Kanta, Hegla aż do Schopenhauera, Vogta, Hartmana, duch negacyi i niewiary opanował

atmosferę umysłową i wciska się przez literaturę, nauki przyrodzone, publicystykę do głów niewykształconych, to ludzie myślący wiedzą. Że ten duch kierowany jest karnie, umiejętnie i nieustannie, na każdym polu, przeciw tym zasadom, które w przekonaniu naszym nie tylko zapewniają ludzkości pokój i harmonię społeczną, ale człowiekowi łaskę Pana Boga na ziemi, a dalej żywot wieczny, toć dziś nikomu nie jest obce ani zaprzeczone, a najmniej przez ludzi postępu, i że najdzielniejszym tego kierunku narzędziem wychowanie — nie rozumieją ci chyba tylko, co nad niczem głębiej zastanowić się nie umieją“...

„Obojętność ludzi i rodzin katolickich zaprawdę nie tylko tu grzeszna, ale bańby godna — społeczność nasza jest i głośno mieni się katolicką — wierzy w duszę nieśmiertelną, Boga jedynego, Boga odkupiciela, hierarchię duchową i postulata moralne, które stąd wypływają, a cierpi, aby ta wiara, to poczucie słabło w szkole? „Ależ w szkole niewiary nie uczą — duchowny ma tam dostęp, nauka dzienna od pacierza, pierwsze czytanki odnoszą się do Boga i Kościoła, w skutek tego duch pobożności krzewi się, a objawia stawianiem lub odnawianiem cerkwi i kościołów“. Takie słowa będą pewno wyrzeczone w dobrej wierze, ale dowodzą tylko, jak rozum i dobra wiara nie wystarczają, kiedy się patrzy z fałszywego stanowiska i z uprzedzeniem.

„Potrzeba zatem spór rozjaśnić. Projekt *ks. Liechtensteina* nie odnosi się do naszego koronnego kraju, czy będzie popartym przez Koło polskie? Nie poprzeć go, osłabi stanowisko prawicy, co gorsza, da dowód braku odwagi, silnego przekonania, albo co jeszcze gorsza, niezrozumienia sprawy. Odmówić szkoły konfesyjnej ludności, która jej pragnie, to czyn gwałtu prawodawczego, oznaka chwiejności, którą, czy słusznie, nie wiem, ale wiem, że zawsze prawica Polakom zarzuca. Występują jako przedstawiciele ludności katolickiej, skarżą się o gwałty spełniane na Kościele przez rząd rosyjski — a wotowali zniesienie konkordatu i prawa r. 1873...

„Wnioski o szkołę wyznaniową zalegają w radzie państwa, i żalił się na to świeżo jeden z wnioskodawców. Czy miałoby być prawdą, że rząd obawia się namiętnej rozprawy? Dbać o to nie powinien. Namiętnymi są zawsze ci, którzy chcą gwałt czynić, ale

gwałt ustąpi zawsze przed potęgą prawdy, byle wystąpiła spokojnie a odważnie. Sprawa nasza dobra; zarobi, im jaśniej będzie rozpoznana, a parlament i opinia zobaczy, że w istocie, zostawiając drugim swobodę, żądamy dla ojców rodziny prawa wyboru; żądamy, aby nasze dzieci były wychowywane wyłącznie po chrześcijańsku, chcemy lud nasz niezrównany zachować od zarazy niewiary, której atmosfera zwolna go ogarnąć usiłuje; tego, jeżeli ma sprawiedliwości poczucie, odmówić nie może zastosowaniu w praktyce zasad tolerancyi, które wyznaje w teorii“...

Ten głęboko pomyślany artykuł kończy się następującemi słowami: „Dobra wiara, ale niech mi wolno będzie powiedzieć, uważna, nie może odrzucić mojej konkluzyi, że złą niema rozumowania“. Autor pytający w *Czasie* z dobrą uważną wolą: „Czy wolność nauczania czy rządowe szkoły wyznaniowe“? poruszając kwestyę wolności nauczania, którą p. Popiel zasadniczo stawia, dochodzi wprawdzie na tym punkcie do przeciwnego wniosku i stanowczo wbrew p. Popielowi za rządowemi szkołami wyznaniowemi się oświadcza, ale różnica ta, w obec ścisłej wspólności głównych zasad, schodzi poniekąd na drugi plan, przyczyniając się owszem do wszechstronnego rozpatrzenia się w kwestyi reformy austriackiego szkolnictwa. W obu tych artykułach dyskusya rozwinęła się na tle starej zasady: *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas*; stąd z starcia tego trysnąć mogło i trysnęło światło.

Nieszczęściem, nie wszyscy pamiętają na tę zasadę, która jedna rozumną polemikę umożliwia i czyni korzystną. *Nowa Reforma* w walce przeciw szkole wyznaniowej i p. Popielowi zapomniała podobno o wszystkich trzech częściach tej złotej zasady. Zapomniała, nie powiemy o miłości, ale o prostym dziennikarskim takcie, rozpoczynając polemikę od insynuacyi ani miłej, ani potrzebnej, tem nie potrzebniejszej, że w dalszym ciągu artykułu znać bardzo chwalebne co prawda, nie zawsze skutkiem uwieńczone staranie o dostrojenie się do przyzwoitego, przedmiotowego tonu. Zapomniała bardziej jeszcze o tem, że z oczywistością, choć najbardziej niewygodną, klócić się nie wolno, a taką klótnią są uparcie, bez ograniczeń, z niezachwianą pewnością siebie powtarzane poglądy na odnoszenie się wniosku *Liechtensteina* do Galicyi. Dziwnej

zaprawdę taktyki trzyma się *N. Reforma!* W całym szeregu artykułów i notatek powtarzała i powtarza: „Najwyraźniejszą jest nieprawdą, jakoby wniosek *Liechtensteina* przyznawał jakąś odrębność krajowi naszemu“; a gdy sam wnioskodawca w programowej swej mowie najwyraźniej wspominał o tej odrębności i na nią się zasadniczo zgodził, natenczas *N. Reforma* z wielkim — mówiąc najgrzeczniej — brakiem ścisłości i uwagi, napisała¹: Dajmy na to, że Książę w budżetowej swej mowie zgadza się na wyjątki dla Galicyi, „to naprzód zawsze ważniejszym jest projekt, niż komentarz do projektu, a powtórę, „wyjątek stwierdza regułę“, więc nie można mówić, że projekt „nie rościąga się na Galicyę“. Tu przecież tylko o wyjątek chodzi. Oryginalny to komentarz a tak naiwnie sformułowany, że pastwić się nad nim byłoby nieładnie.

Pierwsze strzały padły i we Wiedniu i u nas; wodzowie stanęli na swych stanowiskach, wojska zajęły odpowiednie pozycye i czekają chwili boju. Dotąd odbyły się tylko wstępne utarczki, ale i z nich poznać już można zamiary, siły, taktykę obu obozów i one na przyszłe, stanowcze walki nie pozostaną bez wpływu, i dlatego spisaliśmy ich kronikarską historię. W dalszym toku tej sprawy prasa nasza codzienna najlepiej się krajowi przysłuży, jeżeli będzie podawała główne dokumenta, na tle których cały spór się rozgrywa². Jaki będzie los przyszłych wielkich bojów; na którą stronę zwycięstwo się przechyli? W odpowiedzi powtórzyć tylko można i należy słowa, któremi generalny sprawozdawca prawicy zamknął wspaniałą swą mowę: „My katolicy walczyć będziemy bez przestanku i, wierząc mi, osiągniemy zwycięstwo. Jesteśmy tego pewni, bo ufamy nie tylko w własne swoje siły, ale nadzieję pokładamy w Panu, który obiecał nam i zapewnił: „Ufajcie, jam zwyciężył świat!“

Ks. Jan Badeni.

¹ *Nowa Reforma* nr. 72. — *Przegląd polityczny*.

² Tekst wniosku *Liechtensteina* w paru głównych organach naszych nie był podany. Mowa *Liechtensteina* najważniejsza w tym sporze nigdzie podana nie była, prócz *Gazety Lwowskiej*.



O DACIE NARODZENIA ŚW. JANA KANTEGO

I O 500-LETNIEJ ROCZNICY JEGO ŚMIERCI W ROKU PRZYSZŁYM.

W dziejach naszego Kościoła i ojczyzny spotykamy się z wieloma kwestyami, z których jedne nader ważne i doniosłe — ziarna dalekiej przyszłości w sobie mieszczące, całą też uwagę badaczy naszych pociągają; drugie mniej ważne, rzecz można drobne, lokalny tylko lub biograficzny charakter mające, nie mniej przecież na rozwiązanie swoje oczekują, a w niektórych razach, z powodu szczególnych okoliczności, nie mały nawet interes przedstawiają. Do tych ostatnich należy kwestya roku narodzenia się św. Jana Kantego, który, jako wielki Święty i Patron młodzieży i Kościoła polskiego, wielką zawsze wzbudzał cześć i urok w narodzie, a którego rok narodzenia z powodu zbliżającej się 500-letniej rocznicy tegoż narodzenia, aktualnego nawet obecnie nabiera znaczenia.

Że św. Jan Kanty urodził się d. 24 czerwca z ojca Stanisława, rajcy miejskiego i matki Anny w mieście Kętach, w dawnym księstwie Oświęcimskim, dyecezyi Krakowskiej, o tem żadnej niema wątpliwości, jakkolwiek pisarze szląscy z nieznajomości rzeczy i pomieszania nazwisk mylnie podają, jakoby się narodził w miasteczku Kant, w księstwie Nissy, dyecezyi wrocławskiej na Szląsku. Nietylko bowiem najdawniejsza tradycja i własne Świętego podpisy (*de Kanti*, a nie *de Kant*), ale i wszyscy pisarze jego żywota, od kronikarza Miechowity począwszy, Kęty oświęcimskie dyecezyi krakowskiej za miejsce jego urodzenia podają; a jeden z najdawniejszych jego biografów, Adam Opatowski, opisując to miasteczko nadmienia, że jest blisko Oświęcima (*prope Oświęcimum*), o ośm mil od Krakowa położone, nazwę zaś swą stąd posiada, że leży mię-

dzy dwoma pasmami gór, które odnogami swemi pod niem od południa jakby w kąt się zbiegają. Stąd i książęta oświęcimscy, wybierając się na łowy, mówili: Pojedziemy do Kątów — skąd później Kęty powstały.

Co do dnia narodzenia się św. Jana Kantego, zdaje się także nie ulegać wątpliwości, że tym dniem był dzień św. Jana Chrzciciela 24 czerwca; nie tylko bowiem imię mu nadane i najdawniejsza tradycja, ale i wszyscy pisarze jego żywota, począwszy od wspomnianego Opatowskiego, poświadczają, że się urodził w sam dzień św. Jana Chrzciciela, *ipso festo s. Joannis Baptistae*. Inna rzecz jednak, jeżeli się o rok zapytać chcemy, gdyż co do tego, wcale się ciż pisarze nie zgadzają. I tak najdawniejszy z nich Skarga (Miechowita bowiem, który wydał swą kronikę w r. 1521 w Krakowie, wcale o roku narodzenia się św. Jana nie wspomina), w Żywotach Świętych, już po śmierci jego w r. 1615 w Krakowie wydanych (w dawniejszych bowiem wydaniach żywota św. Jana Kantego nie znalazłem) pisze oczywiście mylnie, że się narodził w r. 1412. Lecz za to wkrótce potem piszący wspomniany powyżej Adam Opatowski (*Opatovius*), profesor Pisma św. w Akademii i dziekan św. Anny w Krakowie, który czerpał, jak sam na tytule i w tekście następnie wspomina, z manuskryptów św. Jana Kantego i z rękopisów przy dawnym kościele św. Anny się znajdujących, pisze w dziełku swoim: *Żywot i cuda wielbnego Jana Kantego Doktora w Piśmie św. i profesora Akademii krakowskiej, Kraków 1632*, że Jan Kanty urodził się w r. 1390. Wprawdzie ten sam Opatovius jest autorem i drugiej daty narodzenia św. Jana Kantego, a mianowicie roku 1397, którą położył w dziełku 4 lata przedtem po łacinie napisanem, *Vita eximii viri Joannis Cantii S. Th. Doctoris et in Cracoviensi Academia Professoris, Cracoviae 1628*. Atoli że ten drugi rok jest mylnym, wynika stąd, albowiem powyższe dziełko polskie, jakkolwiek przeważnie jest tylko tłumaczeniem z pierwszego łacińskiego, przez samego autora dokonaniem — przecież jako pisane 4 lata później, zawiera niektóre dodatki i poprawki, których w pierwszym niema; a zatem jest dokładniejszym, po przejrzeniu własnoręcznych rękopisów św. Jana, jak sam autor w niem nadmienia, napisanem; więc i rok narodzenia św. Jana Kantego w niem podany (1390) jest pewniejszym,

jak rok poprzednio napisany (1397), którego mylność zresztą z samegoż rękopisu św. Jana Kantego, (który składa się z kilku innych pomniejszych, dziś w jeden tom oprawnych, a które prawdopodobnie są te same, które Opatovius miał w ręku), z łatwością, jak wkrótce okażemy, wykazać się daje.

Co do dalszych biografów św. Jana Kantego, dziełko anonimowe (ks. Antoniego Żołędziowskiego) *De rebus gestis s. Joannis Cantii, Romae 1767*, pisane w Rzymie w czasie samejże kanonizacyi św. Jana, idąc jak się zdaje za łacińskim tekstem Opatoviusa, podaje rok 1397. Następny biograf ks. Józef Alojzy Putanowicz, *Życie, cuda i dzieje kanonizacyi św. Jana Kantego, Kraków 1780*, przyjmuje również rok 1397, który jednak w swój sposób dedukuje: a mianowicie, że gdy jakiś pisarz, którego nazwiska nie podaje, twierdzi, że Jan przyszedł na akademię w 16-tym roku życia, pewną jest zaś rzeczą, według metryki tejże akademii, że przybył na nią w r. 1413 (za rektorstwa Stanisława ze Skarbimierza) — zatem, skoro miał wtedy lat 16, musiał się urodzić w r. 1397. Oczywiście, że taki dowód, opierający się na gołosłownem twierdzeniu jakiegoś pisarza, którego nawet nazwiska ks. Putanowicz powiedzieć nie umie, niczego nie dowodzi. Mimo to twierdzenie ks. Putanowicza, jak i poprzednie ks. Żołędziowskiego, że Jan św. urodził się w r. 1397, stało się jakby pewnikiem, za którym poszedł Michał Wiszniewski, *Historya literatury polskiej, Kraków 1843. Tom V. str. 2*, tudzież inni pomniejsi pisarze, jak np. autorka dość obszernego i nie źle w ogóle po francusku napisanego żywota św. Jana Kantego (*Vie de Saint Jean de Kanti, Paris 1862*), która bez żadnego wahania rok 1397 jako rok narodzenia św. Jana Kantego kładzie. Wszelako już Józef Muczkowski w dziełku swoim: *Mieszkanie i postępowanie uczniów krakowskich, Kraków 1842*, str. 10. w przypisie 10, mówi, że w rękopisie przez św. Jana Kantego w r. 1456 i 1457 napisanym, a w bibliotece uniwersyteckiej przechowanym, wspomina wyraźnie św. Jan, że pisząc go miał lat 67, skąd wypada, że się z r. 1389 na 1390 urodził, a w 83 roku życia przeniósł się do wieczności.

Lecz i Muczkowski, nie oznaczając ściśle roku, traktując przytem rzecz w przypisie tylko i pobocznie, nie wyczerpał jej wcale, zostawiając kwestyę otwartą; tem bardziej, że nawet z ręk-

kopisu tego, na który się powołuje, dokładnego wcale nie zrobił użytku. Otóż rękopis ten, własną ręką św. Jana Kantego na papierze in folio napisany — obejmujący pod tytułem: *Opuscula doctorum Ecclesiae*, odpisy z różnych traktatów i pomniejszych dzieł św. Augustyna, Grzegorza Wielkiego, Ambrożego, Bernarda, Izydora, znajdujący się dziś w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego pod nr. 1216 (dawniej AA II 20), liczący stronnic 584 — ma nie jedną, ale cztery następne daty: pag. 220 *Explicit A. D. 1455 in vigilia b. Martini ep. finitus per Joannem de Kanti anno aetatis suae 66 vel citra currente*; — pag. 291 *A. D. 1457 per Johannem de Kanti Collegam Magistrorum Collegii Artistarum, aetatis autem suae 67 currente, finitus feria quinta in crastino Tiburtii et Valeriani tempore paschali*; — pag. 444 *finitus in vigilia Margaretae V. per Johannem de Kanti A. D. 1456 aetatis autem suae 67 currente*; — pag. 542 *A. D. 1456 per Johannem Kanti anno aetatis suae 66 in die Felicis et Aucti finitus*.

Z zestawienia tych dat wynika, że św. Jan Kanty pisał swój rękopis w latach 1455, 1456 i 1457, które jednak nie idą w nim w porządku chronologicznym: gdy bowiem pierwsza data jest z r. 1455, druga jest z r. 1457, a trzecia i czwarta wraca się znowu do r. 1456. Najważniejszą jednak dla nas jest rzeczą, wyszukanie przy pomocy tychże dat właściwego roku narodzenia się św. Jana; przyczem ważną dla nas stanowi okoliczność ta wiadomość, że się urodził 24 czerwca. Pierwsza data jest: *in vigilia b. Martini ep.* tj. 10 listopada 1455, przy której dodaje Jan św., że miał wtedy około 66 lat, *anno aetatis suae 66 vel citra currente*. Jeżeli od r. 1455 odejmiemy 66, wypadnie wprawdzie rok 1389; jeżeli jednak zważymy, że św. Jan dodaje *vel citra*, a nadto *currente*, z których pierwsze znaczy: przed upłynionym rokiem 66, a drugie: kiedy biegł dopiero rok 66-ty, wtedy dość jasno przedstawi się nam, że Jan św. pisząc ową datę, miał dopiero 65 lat i kilka miesięcy, co odpowiada zupełnie rokowi, tudzież całej mniej więcej dacie jego narodzenia tj. 24 czerwca 1390 roku.

Inna nawet data, przynajmniej co do roku, jest niemożliwą; gdybyśmy bowiem przyjęli czerwiec 1389 r., wtedy św. Jan nie mógłby pisać na dniu 10 listopada 1455, że mu bieży rok 66-ty, kiedyby mu biegł już 67-my; gdybyśmy zaś przyjęli czerwiec

1391 r., wtedy również nie mógłby na powyższym dniu pisać, że mu bieży 66-ty rok życia, kiedyby mu biegł dopiero 65-ty. Pozostaje więc tylko pierwsza data, tj. czerwiec 1390 r., która najlepiej jego własnemu wyznaniu odpowiada, i którą też już z tej pierwszej notatki św. Jana, jako jedynie prawdziwą przyjąć należy.

Rok 1390 potwierdza się także z następnych dat przez św. Jana Kantego położonych: w drugiej części swego rękopisu pag. 291 pisze, że ją ukończył w r. 1457, nazajutrz po św. Tybureym i Waleryanie, a więc 15-go kwietnia, kiedy mu biegł 67 rok życia, *aetatis suae 67 currente*. Rzeczywiście jeżeli przyjmiemy datę narodzenia św. Jana 24 czerwca 1390, wtedy na dniu 15 kwietnia 1457 biegł jeszcze Janowi św. 67 rok życia, który, acz bliski już końca, mógł jeszcze Jan św. nazwać bieżącym, czyli niedokończonym, brakowało mu bowiem do końca więcej jak 2 miesiące. Wypadek ten jednak wtedy tylko ma miejsce, jeżeli przyjmiemy powyższą datę narodzenia św. Jana 24 czerwca 1390; gdybyśmy bowiem, a zwłaszcza co do roku, czyto wcześniejszą, czyto późniejszą datę przyjęli, wtedy na dniu 15 kwietnia 1457 wypadłby św. Janowi albo wcześniejszy albo późniejszy, ale nigdy 67-my bieżący rok życia, co by się znów z jego drugim wyznaniem nie zgadzało. Następna data położona jest: *A. D. 1456 in vigilia Margaretae V.*, a więc 19 lipca 1456, na którymto dniu biegł znowu Janowi św., jak pisze, 67 rok życia, *aetatis autem suae 67 currente*. Tu mogłaby się komu nasunąć pozorna trudność: jeżeli bowiem 15 kwietnia 1457 biegł św. Janowi 67 rok życia, jakże mógł tenże sam rok być bieżącym w rok prawie wcześniej, bo 19 lipca 1456? Trudność ta jednak znika, jeżeli zważymy, że 19 lipca 1456 poczynął się dopiero św. Janowi rok 67, zaś 15 kwietnia 1457 kończył mu się tenże rok życia; w obu więc razach mógł św. Jan napisać *aetatis suae 67 currente*, gdyż rzeczywiście w obu razach, tj. podczas pisania obu dat, rok ten był jeszcze u św. Jana bieżącym, zawsze jednak pod warunkiem, że św. Jan urodził się w czerwcu 1390 r., gdyż tylko w takim razie obie daty na 67-my bieżący rok życia św. Jana przypadają. Następuje czwarta i ostatnia data, którą tylko 41 dni od trzeciej rozdziela; gdy bowiem trzecia przypadała na 19 lipca 1456 r. *in vigilia Margaretae V.*, ta ostatnia i czwarta

pisana jest na dniu ŚŚ. Feliksa i Aukta, a więc 30 sierpnia tegoż samego tj. 1456 roku (pisał widocznie św. Jan podczas wakacyi). Lecz tu nowa trudność powstaje; gdy bowiem przy trzeciej dacie św. Jan dodaje, że mu bieżą 67 rok życia, przy tej ostatniej o 41 dni później napisanej dacie, pisze wyraźnie, że ma 66 lat życia swego, *aetatis suae 66*. Trudność ta jednak zniknie znowu, jeżeli zważymy, że w pierwszym razie pisał św. Jan o bieżącym, a tu mówi o skończonym roku życia; jakoż przy tej czwartej i ostatniej dacie nie dodał już Jan św. *currente*, skąd wypływa, że tu mowa nie o bieżącym, ale o skończonym roku życia, który jako skończony był 66, jako bieżący był 67-my rok życia. Lecz i to ostatnie rozwiązanie supponuje koniecznie warunek, że św. Jan urodził się nie w innym, ale w 1390 roku, a nadto, że dzień 30 sierpnia nie był bardzo oddalony od daty miesięcznej jego narodzenia, co wszystko składa się na dzień, jaki tradycya i pisarze jego żywota przyjmują, tj. na dzień 24 czerwca.

Przychodzimy więc tym sposobem z samegoż własnoręcznego rękopisu św. Jana Kantego, a mianowicie z dat pisania tegoż, jakie Jan św. w tymże rękopisie, z dodatkiem za każdą razą wieku swego, położył, do tego, jak się zdaje, niezbitego wniosku, że św. Jan Kanty nie mógł się narodzić w innym, jak w 1390 roku. I ten to rok, zdaniem naszym, z dodaniem bliższej daty 24 czerwca, jaką tradycya i pisarze jego żywota tudzież same owe rękopiśmienne ślady wskazują, jako jedynie prawdziwy uważać należy. Potwierdza ten rok także, jak już wspomnieliśmy, i najdawniejszy osobny biograf św. Jana Kantego, Opatovius, który, mając pod ręką manuskrypty św. Jana Kantego, oraz inne z kościoła św. Anny, których już dzisiaj przy tym kościele niema, tenże rok 1390 w dziełku swoim polskiem jako rok narodzenia św. Jana podaje. A nadto znajduje on także potwierdzenie i w dwóch książeczkach z XVIII wieku, w czasie kanonizacyi św. Jana Kantego napisanych: *Opisanie życia i cudów św. Jana Kantego z Nabożeństwem, Kraków 1767* — i *Życie św. Jana krótko zebrane według porządku lat, Kraków 1767*, które nadmieniają, że św. Jan Kanty umarł 24 grudnia 1473 r., skończywszy 83 lat życia swego, co odpowiada 1390 rokowi jego narodzenia.

Gdy więc według tych świadectw i wywodów niewątpliwą

zdaje się być rzeczą, (ku sprawdzeniu jednak której wolną jeszcze dyskusję otwieramy), że Jan św. urodził się 24 czerwca 1390 r., zatem na przyszły rok przypadałaby 500-letnia rocznica jego narodzenia. Czyby nam ją uroczyściej, jak inne doroczne uroczystości tego Świętego, obchodzić wypadało, zwłaszcza że w roku 1473 żadnego uroczystego obchodu 400-letniej rocznicy zaśnięcia Jego nie było, zależy to od różnych okoliczności: od sądu powołanych do tego osób, od opinii publicznej, jaka się może pod tym względem objawi, a przedewszystkiem od ustalenia niewątpliwości powyższego roku narodzenia św. Jana Kantego, jakie zapewne aż do przyszłego roku, w skutek podniesienia innych badań, lub sprawdzenia moich własnych, nastąpi. Winienem dodać, że co do mojej pracy, szedł mi zawsze z gotową pomocą p. Żegota Pauli, którego ustnym objaśnieniom jak i łaskawie udzielonym mi notatkom wiele informacji zawdzięczam.

Ks. Dr. J. Bukowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Acta Sanctorum Novembris ex latinis et graecis aliarumque gentium monumentis servata primogenia veterum scriptorum phrasi collecta digesta, commentariis et observationibus illustrata a *Carlo De Smedt*, *Gulielmo Van Hooff* et *Josepho De Backer* Soc. Jesu praesbyteris. Tomus I. Quo dies primus, secundus et partim tertius continetur. Parisiis apud Victorem Palmé 1887. Vol. in Folio pag. 40 + 1006.

W żadnym wieku nie znajdujemy tyle wydawnictw rzeczy starych, co w wieku XIX. Nie można jednak powiedzieć, aby to było dziełem zupełnie nowem, temu wiekowi właściwem. Wprawdzie krytyka, rozwinięta do wysokiego stopnia w dzisiejszym piśmiennictwie poważnem, podaje zabytki i ocenę zabytków, o ile siły ludzkie mogą, w ich oryginalnym kolorycie i w świetle prawdy, to jednak i ta krytyka w wydawnictwie rzeczy starożytnych lub starych średniowiecznych nie była obcą pisarzom, zwłaszcza kościelnym, czego dowodem mogą być *Acta Sanctorum*, których tom 61 całego zbioru, a 1-szy miesiąca listopada nie dawno ukazał się światu, wydany przez Bollandystów.

Zanim przystąpimy do sprawozdania o ostatnim tomie listopadowym, chcemy w kilku przynajmniej słowach wspomnąć o historii tego wydawnictwa, o znaczeniu jego w umiejętności i jego wartości krytycznej.

Wydawnictwo *Acta Sanctorum* rozpoczęło się jeszcze w początkach wieku XVII-go. *O. Rosweyde T. J.* około roku 1607 zaczął zbierać materyały do obszernego wydawnictwa żywotów świę-

tych, których krytyczne opracowanie w literaturze kościelnej w całości jeszcze nie istniało. Zdawało się na razie O. Rosweyde, że za życia jeszcze swego z pomocą innych Ojców Tow. Jezusowego będzie mógł wydanie mniej więcej w 15 tomach skutecznie, mieszcząc w nich wszystko, co się do żywotów świętych odnosi. Łudził się jednak bardzo. Sam zbiór materyałów, szukanie po archiwach krajowych i zagranicznych, trudności nieraz bardzo wielkie z tem połączone, które z dniem każdym piętrzyły się, okazały, że nie tylko nie będzie można wszystkiego wydać w ciągu jednego pokolenia, ale nawet trudno będzie wydawnictwo za swego życia rozpocząć. Po mozolnej przygotowawczej pracy nad zbieraniem manuskryptów, umarł w r. 1629. Po jego śmierci O. Jan Bollandus T. J. energicznie zabrał się do dzieła rozpoczętego przez O. Rosweyde, w przekonaniu znowu, że sam całe wydawnictwo do końca doprowadzi. Lecz tak jak jego poprzednik — mylił się. Wprawdzie już w r. 1643 rozpoczął drukować pierwszy olbrzymi tom *in folio* miesiąca stycznia, lecz i objętość i liczba tomów przez poprzednika wytknięta, okazała się za ciasną. Tak już na styczeń nie jeden, ale dwa tomy wydano, w następnych miesiącach liczba tomów wzrastać poczęła tak, że na maj potrzeba było 8 tomów, mniej więcej tyleż w następnych miesiącach, a na październik 13 tomów. Oczywiście, że na takie wydawnictwo kilka generacyi składać się musiało, i do dziś dnia wszystkiego nie wydano.

Była chwila, w której zdawało się, że całe dzieło rozpoczęte przez O. Jana Bollanda i innych członków Towarzystwa Jezusowego, którzy od pierwszego wydawcy Bollandystami zwać się poczęli, przerwaniem zostanie. Nadszedł r. 1773, w którym Towarzystwo Jezusowe rozwiązaniem zostało, a więc i kolegium Bollandystów. Wprawdzie na prośby cesarzowej Maryi Teresy hagiograficzne kolegium na razie nie rozwiązało się i mogło oddawać się swej pracy, lecz to trwało nie długo, bo tylko do r. 1788. Po rozproszczeniu się Jezuitów, powierzono wydawnictwo *Acta Sanctorum OO. Premonstratensom*. Należy słuszość oddać tym zakonnikom, że starannie i sumiennie dzieło zaczęli dalej prowadzić, i już w r. 1794 wydali tom VI na miesiąc październik. Było to jednak ich dzieło pierwsze i ostatnie w tem wydawnictwie.

Zamieszki polityczne wyrzuciły OO. Premonstratensów z ich opactwa w *Tongerloo*, i *Acta Sanctorum* znowu przerwane zostały.

Naprzód kilkakrotnie, bo w r. 1801, 1802 i 1810 rząd francuski starał się o kontynuatorów tego dzieła. Indyferentyzm religijny tych, którym na wydawnictwie materyalnie zależało i którzy mogli sprawę poprzeć naprzód, nie mniej jak trudność w wyszukaniu, lub brak ludzi nauki, a pełnych poświęcenia, sprawiły, że wszystkie zabiegi okazały się daremnymi. Cała sprawa jednak była tylko uśpioną. Dzieło rozpoczęte w Belgii, w Belgii miało być dalej prowadzone.

Tymczasem około roku 1835 lub 1836 instytut francuski w szczególniejszy sposób zajął się wydawnictwem Bollandystów. Było w interesie Francyi, ażeby to wydawnictwo na nowo odżyło, albowiem *Acta Sanctorum* zawsze były wielką pomocą w wydaniu pomnikowych dzieł francuskich takich np. jak *Histoire litteraire* i *Gallia Christiana*. Towarzystwo hagiograficzne zawiązane w Paryżu z gorączkowym zapalem zaczęło zbierać resztki manuskryptów pozostałych po r. 1796, z tym postanowieniem, ażeby całą pracę ukończyć w 10 latach, wydając co roku 3 tomy. *P. Guizot*, minister oświaty we Francyi, obiecał nowo utworzonemu towarzystwu opiekę i zapomogę pieniężną ze skarbu państwowego.

Na widok tego ruchu we Francyi obudziła się w Belgijczykach ambicya, aby dzieła przez nich rozpoczętego nie dozwolili kończyć Francuzom. Opinia publiczna uważała wydawnictwo *Acta Sanctorum* za obowiązek Belgii. Lecz komuż je powierzyć? Potrzeba było dzieło w tym samym duchu prowadzić, jaki ożywiał dawnych Bollandystów. Największą rękojmię nie kto inny, jak zakonnicy tego samego zakonu dawali, do nich więc z propozycją zwrócono się.

Nie bez wahania się i długiego namysłu podjęło się towarzystwo tego wydawnictwa. Widząc jednak moralny obowiązek dokończenia dzieła rozpoczętego z taką chlubą przez swoich poprzedników w zakonie, nadto zachętę i pomoc pieniężną rządu belgijskiego, propozycję przyjęło w r. 1837.

Już w marcu 1838 r. utworzył się komitet wydawców, w skład którego weszli OO. *Boone*, *Van der Moere*, *Coppens* i *Van Hecke*, dając początek nowej erze Bollandystów XIX wieku. Pół wiekowa

działalność nowych hagiografów świadczy najdokładniej o staranności, sumienności i gruntowności, w której dawniejszym w niczem nie ustępują. Na wydanie 8-miu tomów *in folio* potrzeba było 50 lat mozolnej pracy, i kilku pokoleń pisarzy.

Nie jeden, któremu znanem jest tylko z imienia to pomnikowe dzieło, mógłby zapytać, coż zajmującego może być w tych starych rękopismach żywotów świętych dla szerszych sfer naukowych? Jaka jest wartość *Acta Sanctorum*, chociażby tylko ze względu na historię powszechną? Odpowiedź znajdujemy w słowach konserwatorów *British Museum*, którzy życząc w r. 1860 wydawnictwu powodzenia dodają: „Co się tyczy historii średnio-wiecznej, dzieło to jest nieocenionem źródłem, dostarcza ono materiałów, których trudno gdzieindziej znaleźć, a rzuca światło nie tylko na instytucje i sprawy duchowne i klasztorne, lecz także na fakta z życia prywatnego, na chronologię, biografię, nazwy miejscowe, genealogie, zwyczaje i obyczaje... Rozległa erudycja, cechująca wydawców, nadaje dziełu temu wielką wartość“.

Nawet pisarze z przeciwnego katolikom obozu muszą oddać sprawiedliwość doniosłości tego wydawnictwa. I tak *G. T. Stokes*, jeden z pisarzy angielskich, który jako *clergyman* anglikański trudno aby mógł być poświadczany o szczególniejsze sympatyje ku wydawnictwu katolickiemu, przed kilku laty w *Contemporary Review* (zeszyt styczniowy z r. 1883) wykazał, jak nieocenionej wartości są dla historyka rozprawy Bollandystów, dodane przez nich do tekstów ogłoszonych, które mają rozświecać ciemne i zawile miejsca. Tak np. czy mógłby się kto domyślać, że w badaniach i poszukiwaniach nad *Chronologią pierwszych Merowingów i innych królów francuskich* odkryli Bollandyści jednego jeszcze króla francuskiego, *Dagoberta II*, którego romantyczna historia: wygnanie do Irlandyi, przywrócenie na tron za wdaniem się arcybiskupa Wilfrйда z Yorku i śmierć tragiczna, dotychczas nieznanie były wszystkim badaczom historii? Studya nad wprowadzeniem cyfr arabskich do Europy, nad dyplomatią, to jest nad sztuką rozpoznawania dokumentów prawdziwych od fałszywych, nad geografią Palestyny, nad królami wyspy Majorki w średnich wiekach z ogłoszeniem ciekawych ceremonii tego miniaturowego dworu, jednym

słowem o wszystkim tu mowa, jest to w swoim rodzaju encyklopedia oparta na starych źródłach.

Gdy ogłaszają akta odnoszące się do Błogosławionego Jana Dobrego (1168—1249), fundatora zakonu Eremitów św. Augustyna, proces kanonizacyjny z roku 1251 i 1253 i t. p. ważne dokumenta dotyczące się tego męża Bożego, nie zaniedbują niczego, aby niejako wskrzesić w obrazie otoczenie, w jakim żył ów święty. Jeden z Bollandystów, któremu polecono wydać życiorys Bl. Jana Dobrego, wspominając, że był on przez 40 lat komedyantem, dodaje formalne studium o komediantach w średnim wieku. Przytacza autentyczne szczegóły oparte na dokumentach, czem byli w średnich wiekach komedyanści i aktorzy, tak we Włoszech ojczyźnie Bl. Jana, jak i we Francji, Belgii i Niemczech. Gdy mówi o pracy apostołskiej Bl. Jana Dobrego, skoro życie światowe porzucił i dzielnie zaczął pracować nad nawróceniem Katarów, Paterynów, Bekinów i innych sekciarzy, korzysta z tej sposobności i podaje obszerną pracę o powstaniu i historii tych sekt.

Na innem znowu miejscu, przy aktach św. Moronty, znajdujemy po mistrzowsku objaśniony stary dokument procedury cywilnej z roku 786. Ogłoszenie aktów św. Urszuli nasuwa sposobność opowiadania pochodzu Hunów przez Niemcy, Francję i Belgię¹.

Nie wszystkie jednak dokumenta cytowane w *Acta Sanctorum* są równej historycznej wartości, to też nie wszystkim równą wartość przyznają Bollandyści.

Dokładne wyjaśnienie w tej mierze znajdujemy w słowach O. Van Hecke:² „Wielkiej doniosłości jest ocena krytyczna, ażeby „prawdę od fałszu odróżnić, i historia w prawdziwym świetle okazywała się. Gdy akta świętych podajemy i objaśniamy, wszelkich „starań dokładamy, aby to, co jest pewnem, przedstawić jako pewne, to co jest wątpliwem, jako wątpliwe, a to co jest fałszywem, „jako fałszywe... W naszych czasach dwojaka jest szkoła historyczna, jeśli tak można powiedzieć, z których każda zbacza z drogi

¹ *Acta Sanctorum*. October tom IX, str. 75—314.

² A. S. October tom XII, str. 200. Pod dniem 27 października w komentarzu §. III do SS. Vincentego, Sabiny i Christety męczenników Hiszpanii za czasów Dyoklecjana.

„prostej. Jedni, stare legendy, pełne oczywistych bajek z zapalem „przyjmują, i robią zarzuty nawet bezbożności tym, którzy fakt „jakikolwiek odrzucają, zresztą nie stosujący się ani do czasu, ani „do miejsca lub osoby, albo też milczeniem pomijają. Tacy ludzie „swoją zbyteczną łatwowiernością często tej sprawie bardzo szko- „dzą, której chcą bronić; tak jakby cała siła najświętszej religii „na tych cudactwach polegała. Czyni się wzmianka częstokroć o le- „gendach nie dlatego, aby je w całości przyjmować, lecz jedynie „dla wyjaśnienia, o ile służą do wyświecenia i upiększenia jakiegoś „zabytku, który nam przeszłość dziejowa przekazała. Z drugiej „strony istnieje szkoła, która dla błahych powodów wszystko co- „kolwiek skąd innąd nie ulega wątpliwości, co stała tradycya po- „daje, co wszyscy ludzie uczeni udowodnili, chcieliby zniszczyć „i drwinami swemi kłam zadać prawdzie historycznej. Jak z jednej „strony zadaniem jest naszego instytutu kłaść tamę zbytecznej la- „twowierności, tak z drugiej strony musimy odrzucać nierozsądne „drwiny, które fakta, nie ulegające żadnej wątpliwości, starają się „często nawet z wielkim aparatem erudycyi zupełnie wyrugować. Tak „jedni jak i drudzy uwłaczają prawdzie, która sama jedna zdolna „jest fakta oświecić. Musi być utrzymywana w równowadze histo- „ryi szala, której ramiona przechylać się nie powinny ani ku uczo- „nym mataninom, ani ku czczym bajkom“.

Nawet p. *Stokes*, pastor anglikański, o którym wyżej wspo-
mnieliśmy, stwierdza nie bez pewnego zadziwienia, że Bollandyści
tak dawniejsi jak i dzisiejsi są ludźmi „uczciwymi“. „Znajdujemy
„u nich, mówi on, zupełną prawość pod względem prawdy histo-
„rycznej. Nie odrzucają oni żadnych świadectw, każdą kwestyę
„przedstawiają wszechstronnie. Piszą jak ludzie, którzy czują tak,
„jak Bollandus ich założyciel, że nie wolno splamić się chociażby
„najmniejszym kłamstwem“¹.

Okazem tej trzeźwości Bollandystów jest przestroga świeżo
wypowiedziana przez *O. De Smedt*, obecnego ich przewodnika, że
nie należy przyjmować bezwarunkowo za pewne wszystkie cuda
i objawienia, o których Bollandyści wspominają. Zastrzegł się solennie
przeciw temu w mowie mianej na kongresie katolików Normandyi

¹ *Precis Historiques*. Tome 38. Mars 1889. Str. 128.

d. 5 grudnia 1885 r. „Wielu wyobraża sobie, że skoro wiadomość „o nadnaturalnym jakim fakcie znajdzie wydrukowaną w naszym „zbiorze, to fakt ten przeszedł przez ogniową próbę krytyki. Przy- „kro mi, że muszę wyprowadzić ich z błędu, ale prawda ma nie- „zbite swoje prawa. Gdyby Bollandyści wierzyli we wszystkie cuda „i wszystkie objawienia, jakie ogłaszają, nie byłoby od nich ludzi „łatwowierniejszych... Prawda jest, że ogłaszają wszystkie opo- „wieści o cudach i objawieniach, jakie napotykają w Aktach Świę- „tych i że rzadko kiedy sprawdzają ich prawdziwość. Powód tego „postępowania jest bardzo prosty. Streściwszy gruntownie, o ile to „możliwe, życie, znaczenie i przymioty autorów lub pierwszych „wydawców tych opowiadań, czasem notując tylko fakt, że o auto- „rach tych wszelka wieść zaginęła, powiedzieli wszystko co było „do powiedzenia o ich autorskiej wiarygodności, a tem samem o „prawdopodobieństwie faktów, które opowiadają“.

O. De Smedt radzi więc tym, którzyby chcieli użyć faktów nadnaturalnych ku zbudowaniu swych czytelników, aby nie czerpali na chybił trafił z dokumentów ogłaszanych przez Bollandystów. „Obowiązkiem jest naszym, jako pisarzy katolickich, nie „twierdzić lekko o istnieniu jakiegoś faktu, lecz z drugiej strony „musimy utrzymywać stanowczo i energicznie możebność lub pe- „wność nadnaturalnych działań. Niestety! w dziejach Kościoła kato- „lickiego, a zwłaszcza w dziejach świętych znajdują się tysiączne „fakta, które nie dają zupełnej rękojmi prawdziwości, potrzebnej „dla przekonania uczonego człowieka. Otóż, co do tych cudów „wolno nam i powinniśmy badać takowe i prawdy dochodzić... „Wolno nam i powinniśmy badać prawdę historyczną jakiegoś „faktu, za pomocą czysto naukowej krytyki, oceniać sumiennie „wartość świadectw, które o nim opowiadają, a w miarę wyniku „tego dochodzenia, orzec, że fakt ten jest prawdziwy albo tylko „prawdopodobny, wątpliwy albo stanowczo niemożliwy, a nawet „fałszywy“.

O. De Smedt słuszną dalej czyni uwagę, „że z taką to chwa- „lebną surowością postępuje trybunał szanowany od wszystkich „wiernych, św. kongregacja obrzędów, której stolica św. powierzyła „obowiązek badania i dochodzenia cudów odnoszących się do bo-

„haterów chrześcijańskich, którzy mają dostąpić zaszczytu kanonizacyi“¹.

Słowa przewodniczącego dzisiejszych Bollandystów najlepiej określają, jak należy czytać i użytkować pomnikowe dzieło *Acta Sanctorum*.

Mógłby nam nie jeden po tem, co powiedzieliśmy, zarzucić, dlaczegoż Bollandyści ogłaszają utwory nieprawdopodobnych faktów w większym lub mniejszym stopniu obok prawdziwie historycznych dokumentów, skoro one nie przyczyniają się do wyświecenia prawdy? Odpowiadamy słowy Ks. *Duchesne*: „pod niejednym względem podobną jest historia chrześcijańska do starego zamczyska obrosłego bluszczem; bluszcz jest to poezya legend, która tu i owdzie zakrywa trwałe kamienie prawdziwej tradycyi. Są złośliwi, którzy myślą, że budynek jest tylko ruiną, ponieważ bluszcz pokrywa kamienie; są naiwni, którzy sądzą, że bluszcz jest kamienny; a wreszcie są wandale, którzyby chcieli wyrwać z korzeniem tę stojącą roślinkę pod pozorem, że jest szkodliwym pasażem... Zachowajmy mur w całości i nie wyrwijmy bluszczu. Niechaj nam tylko wolno będzie usunąć go czasami na bok, by zobaczyć i pokazać innym piękne, trwałe warstwy kamienne, znajdujące się pod spodem. Późem przywrócimy go na dawne miejsce, a nawet będziemy kopali naokoło, według życzenia“². Tak Bollandyści łączą cenne przymioty historyka, gdy opisują przy danej sposobności dawne zwyczaje i obyczaje, drobne fakta dotyczące się osób pojedynczych, których żywot piszą, lub większej doniosłości historycznej, starają się zawsze podawać prawdę z poszanowaniem pomników i tradycyj starożytnych.

Ostatni tom *Acta Sanctorum* niedawno wydany przez OO. Karola de Smedt, Wilhelma Van Hooff i Józefa De Backer w niczem nie ustępuje pod względem gruntowności i krytycznego opracowania poprzedzającym 60 wielkim tomom *in folio*.

Jakkolwiek tom ten przeszło 1000 stronnic o dwu kolumnach zajmuje druku, podaje tylko akta świętych pierwszych dwu dni i część

¹ Mowa O. De Smedt wypowiedziana na kongresie w Rouen, ogłoszona przez belgijskie towarzystwo księgarzy w Brukselli.

² *Precis Historiques* Mars 1880, str. 131.

trzeciego listopada. Szereg świętych, o których w tym tomie mowa, rozpoczynają *SS. Atanasy i Teodor*. Ponieważ byli oni uczniami św. Jakóba Starszego, apostoła i w jednym niedawno znalezionym grobie relikwie ich się znajdują, korzystają z tej sposobności Bollandyści i dają obszerne sprawozdanie na dokumentach w całości zamieszczonych oparte, o znalezieniu ciał św. Jakóba Starszego i dwu jego uczni. Kończy to sprawozdanie prześliczna bulla Leona XIII *Deus omnipotens*, o autentyczności znalezionych św. relikwii, przyczem Ojciec św. rozszerza kult św. Atanazego i Teodora, dotąd będący tylko w Hiszpanii, na cały Kościół katolicki. Sławny proces rozpoznawczy, który kurya rzymska już w r. 1879 rozpoczęła, i wysłała w tym celu do Compostelli osobną z Rzymu komisję archeologiczną, prawie w całości jest podany.

Trudno nad każdym żywotem osobno zastanawiać się; wystarczy zresztą przypatrzeć się paru większym żywotom, dla utworzenia sobie zdania o gruntowności i bezstronności sądu Bollandystów.

Na str. 23—82 znajdujemy żywot św. *Austremoniusza*, pierwszego biskupa Arverneńskiego (Clermont-Ferrand), opracowany przez O. Van Hooff'a. Podzielone są zdania biografów co do osoby św. Austremoniusza, zawsze jednak oparte na bardzo starych dokumentach. Jedni twierdzą, że św. Austremoniusz był tylko biskupem, wysłanym za czasów Decyusza, około r. 250, do opowiadania Ewangelii we Francyi — drudzy są zdania, że był on biskupem i męczennikiem zamordowanym przez żydów w czasach jeszcze apostołskich. Obydwie wersje zdają się bardzo autentyczne — patrząc na powagę: pierwszej bowiem trzyma się św. Grzegorz Turoneński, za drugą przemawiają liczne akta odnoszące się do wieku VII. Kwestya to bardzo zawiła i dotąd nie rozstrzygnięta. O. Van Hooff przedstawia w gruntowny sposób dokumenta obydwu wersji, lecz w zdaniu swoim nie idzie ani za zdaniem św. Grzegorza, ani za aktami, którym zarzuca brak gruntowności w twierdzeniu, nie opartem na żadnych przekonywujących dokumentach. O. Van Hooff zebrał nowe materyały, dotyczące się tradycyi św. Austremoniusza, nieznanie ani św. Grzegorzowi, gdy o tym świętym pisał, ani późniejszym autorom aktów z wieku VII i na nich dopiero opierając się, udowadnia męczeństwo św. biskupa, któremu uległ

wprawdzie nie w skutek publicznego jakiegoś wyroku, lecz tylko z zemsty prywatnej i nienawiści żydowskiej, zawsze jednak za wiarę.

Tenże sam O. Van Hooff przy żywocie męczenników perskich *Acindyna*, *Pegazyusza* i *Towarzyszy* (str. 445—522) piękną ilustrację daje do historyi Sapora II króla perskiego, do ówczesnych stosunków wewnętrznych państwa perskiego, a obok krytycznej gruntowności tak barwnie wszystko przedstawia, że czytający zdaje się patrzeć własnymi oczyma na ówczesne dzieje tego kraju. (Porów. Komentarza §. 2, 4 i 5).

W obszernych aktach do żywotu św. *Wenefrydy*, której cześć szczególnie w Anglii jest rozpowszechniona, z okazji kultu źródła św. Wenefrydy (appendix str. 734) znajdujemy zajmujące szczegóły o początkach czci w Kościele źródeł i rzek pod wezwaniem jakiegoś świętego u narodów Celtyckich. Słuszną robi uwagę O. De Smedt, autor tego żywotu, że kult ten sięga czasów jeszcze pogańskich. Apostołowie w nawracaniu Celtów, idąc za radą i praktyką św. Augustyna i Grzegorza W., ażeby ułatwić poganom nawrócenie, nie rugowali wszystkich dawnych zewnętrznych zwyczajów religijnych, lecz starali się assymilować je z pojęciem chrześcijańskim. Świecili więc źródła i rzeki, nadawali im za patronów opiekuńczych świętych chrześcijańskich, a skoro pozostawili formę zewnętrzną, treść całą wewnętrzną takiego kultu łatwo było zmienić. Takim jest i kult źródła św. Wenefrydy w Anglii, do dziś dnia miejsca pielgrzymek pobożnych Anglików. Piękne ryciny kościoła i źródła św. Wenefrydy w Holywell przyczyniają się do zewnętrznej ozdoby żywotu.

Ze szczególniejszą predylekcyą i najobszerniej opracowany w tym ostatnim tomie znajdujemy żywot św. *Huberta*, biskupa leodyjskiego w Belgii, (str. 759—930). Widocznie bardzo zależało O. De Smedt, który ten żywot napisał, ażeby — o ile można — najgruntowniej podać wszystkie szczegóły odnoszące się do Świętego, którego kult szczególnie w Belgii jest rozpowszechnionym; uważał swą pracę nie tylko ze stanowiska pisarza kościelnego, ale i patrioty belgijskiego. Że wywiązał się ze swego zadania można mu oddać zupełne uznanie, bo i mozołu nie szczędził na piękną tę pracę, pomimo że mu ją utrudniał brak gruntownie opracowanych dokumentów.

Najdawniejszy biograf św. Huberta pisał około r. 743, sze-

snaćcie mniejwięcej lat po śmierci św. Biskupa. Nieznany jest on z imienia, nie też stanowczego powiedzieć nie można o jego zajęciu. Prawdopodobnie był on klerykiem do posługi w funkcjach kościelnych św. biskupa; żył w ostatnich latach, lub nawet może tylko w kilkunastu ostatnich miesiącach przy św. Hubercie. W każdym razie był obecnym przy jego śmierci, pogrzebie i przeniesieniu zwłok Świętego do nowego grobu. Opisuje wiernie na co wówczas patrzył własnymi oczyma, lecz po większej części opowiadanie jego ogranicza się do rzeczy zewnętrznych. Umysł jego nie umiał głębiej wpatrywać się w życie wewnętrzne i obszerniejszą działalność św. Huberta. Nie wspomina o ojczyźnie, o rodzinie, wyniesieniu na godność biskupią i większej części duchownego jego zawodu. Co gorsza, aby upiększyć swe dzieło, zapożycza wiele szczegółów z życiorysu św. Arnulfa, biskupa z Metzu, tak np. pewne formułki stylistyczne, a nawet opowiadania o cudach. Jakkolwiek jest rzeczą możebną, mówi O. De Smedt, ażeby dwaj święci podobne cuda działali, lecz gdy się zważy, że te same okoliczności im towarzyszą, tę samą liczbę ich spotykamy, a nadto ten sam sposób, co więcej, te same słowa w opowiadaniu znajdują się, trudno przypuścić, aby opowiadanie biografą było autentycznym. Słuszny więc wyprowadza wniosek, że świadectwo autora tego żywotu we wszystkim tem, co się nie odnosi do czasu, w którym razem z nim przebywał, jest bardzo wątpliwe.

Nie większej wewnętrznej wartości przytacza O. De Smedt żywot, napisany w 80 lat po śmierci św. Huberta, przez *Jonasza* biskupa z Orleanu, na prośby *Walcauda*, biskupa Leodium. Biskup Jonasz sam przyznaje na wstępie żywotu, że treść całą wziął z manuskryptu autora współczesnego św. Hubertowi, i że tylko wydał go poprawnym stylem. Z 27 biografij, jakie istnieją obecnie żywotu św. Huberta przez biskupa Jonasza, O. De Smedt 22 miał w swem ręku, i porównał ze sobą, aby tylko mieć o ile możliwości najautentyczniejsze wiadomości.

Innych społecznych lub prawie współczesnych żywotów nie znalazł. W parę wieków dopiero, bo w wieku XI, *Anselm*, kanonik z Leodium, w swem dziele *de Gestis Episcoporum Tungrensium et Leodiensium* niektóre szczegóły przytacza, o których dawniejsi pisarze nie wspominali. Cokolwiek więcej wiadomości podał

o św. Hubercie w pierwszej połowie XII wieku *Mikołaj*, kanonik leodyjski, w żywocie *św. Lamberta*, i dwaj inni autorowie z tego samego mniej więcej czasu. Większej doniosłości co do treści znalazł nasz uczony Bollandysta żywot, a raczej kronikę całą faktów z życia św. Huberta spisaną z końcem wieku XIV, przez *Jana de Pratis* w języku francuskim, którą Benedyktyn *O. Adolf Happart*, zakonnik klasztoru św. Huberta w XV wieku na łaciński język wiernie przełożył. W końcu znalazło się kilka nowych rozdziałów w wielkim manuskrypcie tegoż *Adolfa Happarta*, które tak jak i wszystkie poprzednie *O. De Smedt* w oryginalnym tekście zamieścił.

Znajdujemy kolejno roztrząśnione wszystkie kwestye wprowadzone przez twierdzenia tych więcej lub mniej wiarogodnych pisarzy, poczem następuje obszerny opis żywotu, cudów i kultu św. Huberta, apostoła barbarzyńskich ludów *Toxandryi* i założyciela miasta *Leodyum*.

Nie możemy w tem krótkiem sprawozdaniu zapuszczać się w drobne szczegóły żywotu tego świętego; aby wykazać jednak, jak umiał *O. De Smedt* wyzyskać wszystkie biografie i tradycye o św. Hubercie, niech nam wystarczą pojedyncze tytuły obszernych rozdziałów tego żywotu.

Wykazawszy najpierw wartość i autentyczność każdego dokumentu, na których swą pracę opiera, rozpoczyna od bliższego określenia roku, w którym św. Hubert na stolice biskupią był wyniesiony, następnie miejsce i rok jego zgonu. Jestto niejako wstęp do żywotu, który rozpoczyna się dopiero na str. 772. Dzieli się on na 2 części, z których jedna odnosi się do osoby św. Huberta za jego życia, druga o jego chwale po śmierci. W IV rozdziale znajdujemy obszerną rozprawę o jego życiu przed nawróceniem, o samem nawróceniu i pokucie, o podróży do Rzymu i wyświęceniu przez Papieża Sergiusza I, o dyczezyi i prawach apostolskich, przeniesieniu św. relikwii przez św. Huberta, o synodzie i nawróceniu przezeń Pipina i Alpaidy; w końcu czem przyczynił się ten Święty do założenia i powiększenia miasta *Leodyum*.

W drugiej części: *Gloria postuma s. Huberti*, mówi *O. De Smedt* o przeniesieniu ciała Świętego do jednego z klasztorów, wspominając, że znaleziono je zupełnie nienaruszonym, o jego reli-

kwiach, i gdzie się znajdują, o stule sławnej, kluczu Świętego, których piękną rycinę w żywocie tym zamieścił, wreszcie o kuleie św. Huberta zwłaszcza przeciw zarazom, o jego czci w Belgii, księstwie Luksemburskiem, Francyi, Niemczech i innych państwach europejskich. Nader ciekawe i pełne anekdotycznych szczegółów są ustępy o rozmaitych stowarzyszeniach duchownych i świeckich, które św. Huberta wzięły sobie za szczególniejszego opiekuna; a więc i o zakonach wojskowych, założonych w połowie XV wieku: „rycerzy św. Huberta“, z których jeden r. 1416 w Barze, przez Ludwika, księcia Bary i Lotaryngii, drugi w kościele św. Krystyny w Niedecker, przez księcia Gerarda w r. 1444 założonym został. Ten ostatni zakon po dzień dzisiejszy jeszcze istnieje, a przełożonymi jego są zawsze królowie bawarscy. Niemniej ciekawe są szczegóły stowarzyszeń łowieckich, które pod wezwaniem św. Huberta w Belgii zaprowadzono, i w ogóle początek wzywania na całym świecie św. Huberta za patrona łowów, który to kult O. De Smedt podobnie jak w żywocie św. Wenefrydy odnosi do czasów pogańskich i tłumaczy, w jaki to sposób przeszedł do zwyczajów już chrześcijańskiego narodu.

Wprawdzie nie wszystkie żywoty Świętych w tym tomie są tak obszernie napisane, jak ten ostatni św. Huberta; lecz nie w tem dziwnego. Przedewszystkiem często bardzo mało znajduje się pomników dotyczących się ich życia; powtórę, że nie wszyscy wybitne zajmowali stanowisko na świecie, lub też kult nie wszystkich Świętych równie jest rozpowszechnionym w Kościele. Mamy nadzieję, że niebawem ukaże się tom II-gi listopada, bo Bollandyści posiadają już wielką część manuskryptów odnoszących się do żywotów świętych, które mają być w następnym tomie ogłoszone. Jedni zajmują się opracowywaniem zebranych już materyałów, drudzy przeszukują zagraniczne archiwa. Tak już od kilkunastu miesięcy bawi we Włoszech *O. Van Ortroj*, aby tam gromadzić potrzebne materyały do aktów sławnego biskupa Medyolańskiego, świętego Karola Boromeusza, które mają być ogłoszone między życiorysami świętych na dzień 4-go listopada. *O. Van den Gheyn* w Paryżu, a *O. Houze* w Brukselli, zbierają greckie i syryjskie pomniki odnoszące się do Świętych Wschodniego Kościoła, których pamiętkę obchodzi się w tym samym dniu miesiąca listopada.

Jest to bardzo krótka ocena tak cennego i wielkiego materiału, ale może i tych kilka słów z okazji świeżo wydanego tomu skreślonych, przyczyni się do zwrócenia uwagi naszych licznych pracowników na polu historyi na to pomnikowe wydawnictwo, które każdy zawodowy historyk znać powinien.

Ks. Marcin Czerwiński.

Die Besetzung der Bisthümer in Ungarn in historischer Entwicklung bis zur Gegenwart dargestellt von Dr. Johann Reiner. (Archiv für katholisches Kirchenrecht 1888. H. 3. S. 429—472).

Kwestyą obsadzania biskupstw w Polsce dotychczas należycie zająć się nie umiano i, powiedzmy prawdę, zająć się nie było można. Materiału do takiej pracy był brak, i nie było sposobności zdobycia go. Dopiero rozwój wydawnictw dyplomaturyśców u nas w ostatnich dwu dziesiątkach lat pracę taką umożliwił i kwestyę powyższą, o ile to możliwe, rozwiązać pozwolił.

Przypatrując się bliżej sprawie obsadzania biskupstw na Węgrzech doszliśmy do przekonania, że takowe w niejednym posiada pewne podobieństwo, pewnie wspólne rysy z obsadzaniem stolic biskupich w Polsce. Nie od rzeczy tedy będzie podać treść powyżej wymienionej rozprawy dra Reiner'a, a to tem bardziej, iż jest napisaną przez człowieka, który gruntownie i bezstronnie temat przez się założony starał się rozwiązać.

W rozwoju obsadzenia biskupstw na Węgrzech dadzą się rozróżnić cztery epoki. Pierwsza rozpoczyna się bezpośrednio po nawróceniu Węgrów na wiarę chrześcijańską pod ks. Geza. Pierwsze obsadzenia niewątpliwie odbyły się w drodze kanonicznej i, jak ze źródeł do nas doszłych wynika, około r. 1000 już istniały na Węgrzech w łonie Kościoła katolickiego ciała, które wybór kanoniczny legalnie przedsięwzięć mogły. Ciała te pod opieką i przy ingerencji najwyższych zwierzchników Kościoła na osierociałe podówczas stolice biskupie nowych wyznaczały następców. O ingerencji królewskiej, czy to pod pozorem prawa patronatu, czy też z mocy legacji papieskiej, nie było podówczas mowy — gdyż na to trzeba było zezwolenia papieskiego, takowe zaś nastąpiło po słynnej owej bulli Sylwestra II. Nie podlega to najmniejszej wątpliwości, że na jej podstawie król Stefan mianował biskupów (biskupstwo Pięciu kościołów), jak również zdaje się nie podlegać wątpliwości — chociaż namacalnych dowodów na to niema, — że i następcy Stefana z prawa tego korzystali i korzystać należycie umieli. Wpływa to z dokumentów doszłych do nas z czasów walki o inwestyturę. Z r. 1093 doszły do nas fakt dowodzi, że podówczas królowie węgierscy mianowali biskupów swego królestwa — papież zaś, tak dla Niemiec surowi i bezwzględni, dla niedawno nawróconych synów Kościoła dziwnie potrafili być łagodni i niejako przez palce patrzyli, gdy np. król Władysław biskupstwo agramskie obsadził, przez wręczenie pastorału i pierścienia *investivit*. Polityka ta łagodności i względności miała swój skutek — bo oto już r. 1106 Koloman stosując się do wymagań prawa powszechnego, uroczyście się zrzeka prawa inwestytury.

Pewne zbroczenia od powyższego sposobu obsadzania stolic biskupich okazują biskupstwa dalmatyńskie, a mianowicie w Arbe, Trau i Spoleto. Spo-

tykamy tu kilkakrotne ze strony królów zrzeczenia się obsady i pozostawienie wolnego wyboru klerowi i ludowi. Zrzeczenia te atoli obowiązują tylko tych, którzy się osobiście prawa tego a raczej przywileju rzekli, nigdy zaś następców. Wymownie dowodzi tego spór powstały w tej sprawie między Aleksandrem III, a królem Belą III r. 1181.

Jak już wspomnieliśmy, król rzekł się prawa nominacji biskupów, nie rzekł się atoli zupełnie wpływu, jaki w inny sposób na obsadę stolic biskupich mógł wywierać. Z ustaniem nominacji, a raczej w krótki czas po tem, owe zorganizowane przy katedrach biskupich tak czynne ciała, tj. kapituły uzyskują w sprawie obsady biskupstw głos nader ważny co do osoby przyszłego biskupa. Głos ten objawiają one w formie elekcji. Oto w r. 1204 spotykamy się już z protestem biskupów-sufraganów arcybiskupstwa ostrzyhomskiego wymierzonym przeciw kapitule ostrzyhomskiej z powodu tego, iż ta wybór nowego arcybiskupa odbyła wbrew prawom, jakie sobie co do tego aktu biskupi rościli. Cały szereg listów papieskich, bull i dokumentów dowodzi, że prawie do r. 1325 zasada elekcji biskupów przez kapituły pojedyncze jest panująca. Nie są atoli elekcyje wolne od jakichkolwiek wpływów i owszem, król tutaj właśnie domaga się głosu rozstrzygającego dla siebie i poniekąd udaje mu się to użyć w rzeczywistości. Powoli wpływ ten królewski rozszerza się i wzrasta. Z początku objawia się on jako pojedynczy *assensus*, następnie nowowybrany przed swem zatwierdzeniem przez arcybiskupa musi się królowi przedstawić, później zaś *assensus* królewski rośnie tak dalece, że ma przewagę nad elekcyą kapitulną, którą się niejako tylko toleruje. Prawo królewskie wprost nazywa się w źródłach *ius*, wybór kapitulny zaś uchodzi jako *mos*, *consuetudo*.

Rozporządzenia kardynała Gentilisa z r. 1308 określają rodzaje wyboru i jego przebieg. Jako formy znane są: *scrutinium*, *compromissum*, *inspiratio vel quasi*. Po wyborze zwołuje się lud biciem w bębny i w obecności członków gminy tak duchownych jak i świeckich przy *Te Deum laudamus* ogłasza się wynik wyboru. Jeżeli wybrany jest przy tym akcie obecnym, następuje intronizacya.

W rozporządzeniu tem, jak się okazuje, o osobie króla nie ma najmniejszej wzmianki, po prostu pomija się ją tu milczeniem. Nie znaczy to atoli, że król wskutek tego utracił swój wpływ na obsadę biskupstwa, i owszem, wykonywał go jak dotychczas. W całym świecie chrześcijańskim panujący podówczas prąd dążył do tego, by władzę duchowną zupełnie z pod wpływów świeckich wyswobodzić — z prądem tym szedł Gentilis, szło i duchowieństwo węgierskie.

Ta walka duchowieństwa z władzą świecką, ta dążność oswobodzenia wyborów biskupich z pod wpływu królewskiego i nadania im zupełnej wolności sprowadza okres rezerwatów papieskich — jakkolwiek na o k o nie przedstawiają one z niemi żadnej łączności. Już w końcu wieku XIII widzimy chociaż bezskuteczne usiłowania Papieża do bezpośredniego obsadzania biskupstw, synod zaś budeński z r. 1279 wprost wypowiada tę zasadę niezawisłości Kościoła. Zwolna atoli rezerваты zaczynają sobie grunt zdobywać, rozszerzać takowy i jako wyłączne prawo panować. Rządy Władysława IV dały znakomitą sposobność Papieżom do ugruntowania rezerwatów. Mimo to atoli prawo patronatu królewskiego istnieje — chociaż osłabłe. Zwyczajnie Papież za życia jeszcze jakiegoś biskupa zastrzega sobie prawo oznaczenia bezpośredniego jego następcy — i prawo to w razie jego śmierci w czyn wprowadza. Jestto naj-

zwyklejsza forma ówczesnego rezerwatu papieskiego. Nim atoli papież następcę takiego zamianuje, pyta króla o zdanie co do osoby tegoż, idzie za jego poleceniem, stosuje się do jego życzenia, o ile na to okoliczności pozwalają, byle tylko uniknąć rozdziwienia. Dopiero około r. 1363 występuje Ludwik Wielki z żądaniem przywrócenia królom prawa nominacyi biskupów, lecz z żądaniem tym upada — równie atoli z energiczniejszym wystąpieniem królów coraz radsze wypadają rezerwy, aż stają się wreszcie wyjątkiem. Król Zygmunt, korzystając z panującej podówczas schizmy papieskiej, prawo nominacyi biskupów odzyskuje na powrót.

Zaraz już atoli po śmierci Zygmunta nominacya królewska przemienia się w prawo prezentowania tylko osoby odpowiedniej i dopiero od króla Macieja, który w sprawie tej z nadzwyczajną wystąpił zaciętością, nominacya królewska mimo oporu Papieża występuje już stale. Prawo to królewskie stwierdzają wielokrotnie państwowe ustawy, modyfikując je nieco od czasu do czasu, a wreszcie tolerują je częściowo a papież Juliusz II. w liście z r. 1506 nadając mu formę patronatu.

Dr. Zygmunt Lisiewicz.

Impedimentorum Matrimonii Synopsis seu brevis explicatio ad usum Seminariorum, auctore G. Allegre, doctore in S. Theologia et in Jure Canonico. Editio nova 1889. Parisiis. Roger et Chernoviz.

Jedną z najtrudniejszych i najważniejszych części teologii moralnej nie zaprzeczeniem jest dział przeszkód kanonicznych w małżeństwie. Nie brak na dziełach, w których ten przedmiot obszernie i gruntownie jest opracowany. Pomimo tego, bardzo użyteczne są dziełka dla użytku seminariów duchownych i duszpasterzy, które w krótkości podają to, co gdzieindziej obszernie jest traktowane w dziełach fachowych, tak dla lepszego zorientowania się w całości, jak i do powtórzenia tych rzeczy, które już skądinąd są znane. W wyżej przytoczonem dziełku, autor w sposób przystępny, a o ile objętość książeczki pozwalała, gruntownie przedstawia przeszkody kanoniczne małżeństwa, dając krótki a zwięzły pogląd na przedmiot tak trudny i obszerny. Zdrowa nauka, praktyczny podział materyi, a przytem łatwe i potoczyste wyrażenie się sprawiają, że czyta się tę książeczkę nie tylko z pożytkiem, ale i przyjemnością. Jedną tylko musimy zrobić uwagę, że należałoby dokładniej podać *impedimenta impediencia matrimonium*. Zresztą życzymy autorowi, ażeby jego dziełko dostało się do rąk młodzi duchownej i wszystkich duszpasterzy.

A. L.

Sobieski et la Mission de la Pologne. Par le baron Kervyn de Volkaersbeke. Société de S. Augustin — Desclée, De Brouwer. Lille. 1887.

Wśród ogólnego zobojetnienia lub zapomnienia za granicą sprawy polskiej, miło nam widzieć książkę sympatycznie we Francyi napisaną z okazji dwusetnej rocznicy wiedeńskiej. Autor widocznie pisał dla tych, którzy mniej są obznajomieni ze stosunkami Polski, a o królu Janie prawie nic więcej nie wiedzą, jak to tylko co dokonał pod Wiedniem. Dlatego krótko, a węzłowato skreślił wszystko to, co za potrzebne uważał do wyjaśnienia dziejów bohatera

chrześcijaństwa, a w szczególności dzieje Polski bezpośrednio poprzedzające rządy Sobieskiego, aby tem dokładniejszy obraz jego działalności przedstawić czytelnikom.

Już na samym wstępie w przedmowie trudno było nawet Polakowi sympatycznie wyrazić się o królu Janie, jak to uczynił autor. Porównuje go z Napoleonem I-wszym. Niezaprzeczenie wielkie podobieństwo zachodzi między obydwojma sławnymi wodzami w geniuszu wojennym i nieustraszonej odwadze, która potęgowała się jeszcze wśród największych niebezpieczeństw. Wyżej jednak stawia Sobieskiego nad Bonapartego dla jego przymiotów duszy, darów nadprzyrodzonych, a przede wszystkim dla jego silnej wiary i szczerzej pobożności, będącej cechą prawdziwego bohatera, rycerza Chrystusowego.

W tym samym duchu, jak w przedmowie tak i w XXI rozdziałach zapatruje się na działalność króla prawdziwie chrześcijańskiego. Opisuje stosunki wewnętrzne i zewnętrzne Polski z ościennymi państwami, nie pomija wzmianki o wpływie Francji na osobę króla. Świetne wyprawy wojenne i bitwy tak potoczyć, tak żywo i barwnym piórem kreśli, że przypomina nieco autora powieści *Ogniem i Mieczem*. Zwracamy szczególniejszą uwagę czytelnika na rozdział XVIII, w którym w szczególniejszy sposób to uwydatnia się.

Wprawdzie nie tam niema nowego dla znającego dzieje swe Polaka; nie znajdujemy tam żadnych nowych szczegółów, któreby już przedtem przez polskich pisarzy nie były podane; ależ bo i autor miał ten cel jedynie, aby podać zagranicy bliższe szczegóły o Sobieskim nie te, które uczonym są nieznane, ale o których ogół społeczeństwa francuskiego albo nie wiele, albo nic nie wie.

Śluszność należy oddać autorowi, że z zadania swego wywiązał się bardzo dobrze. Liczne ryciny, zbroi, portretów, bitew i okolic ze starych pomników zebrane, przyczyniają się do ozdoby i tak bardzo pięknego wydania. Cena książki bardzo niska czyni ją przystępniejszą w nabyciu, w czem autor mimo swej woli wykazał poniekąd, że nie własny interes, ale prawdziwie sympatyja dla Polski kierowała jego sercem, gdy kreślił te karty dziejowe pełnym wdzięku piórem.

Ks. M. C.

Le péril de la Separation de l'Eglise et de l'Etat. Par Fernand Butel, docteur en droit. Paris. Letouzey et Ané. 1889.

Bardzo zalecamy naszym czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* dzieło, napisane przez człowieka świeckiego, prawnika z zawodu, który umiał znakomicie określić niebezpieczeństwo dla państwa wynikające z rozdziału jego stosunków do Kościoła. Książka ta nie tylko ma wielkie znaczenie dla Francuzów, których autor przede wszystkim miał przed oczyma, ale i dla innych podanych państw europejskich, gdzie chcieliby zupełny rozdział uczynić Kościoła od Państwa.

Nawet dobrzy skądinąd katolicy widzą w tej separacyi szczęście dla rozwoju umysłowego, a nawet uważają jego wyższość nad wszelkie konkordaty. Ażeby wykazać w tej mierze iluzję postępów, p. *Butel* rozwiązuje w grunto-wny sposób, nie tylko jako prawnik, ale jakby z zawodu teolog, tę trudną i zawiłą kwestję. Zwolennicy tej separacyi państwowej zwykli stawiać za przykład

Amerykę i jej stosunek do Kościoła jako ideał postępu cywilizacji. Trudność tę autor znakomicie rozwiązuje. Oparty na licznych dowodach faktów i tekstów prawa wykazuje dobitnie, że Ameryka nie tylko nie jest ateistyczną w swych rządach, ale daleką jest od bezwyznaniowości. Następnie ze stanowiska historycznego i prawnego wykazuje znaczną różnicę, jaka zachodzi między Francją a Stanami Zjednoczonymi, która nie pozwala w żaden sposób te dwa państwa ze sobą porównywać.

W zajmujący sposób i jasny przedstawia, jakie prądy nurtują we Francji, dążące do oficjalnego zerwania stosunków dyplomatycznych tego państwa ze Stolicą św., energiczną działalność sekt rozmaitych, które pod pretekstem uszczęśliwienia narodu dążą jednak przyspieszonym krokiem do przewrócenia porządku społecznego przez zniszczenie Kościoła.

Książka ta bardzo jest na czasie nie tylko we Francji, ale i u nas teraz właśnie kiedy toczą się rozprawy w radzie Państwa nad szkołami wyznaniowymi.

C.



Z piśmiennictwa krajowego.

Muzyka kościelna, wydawnictwo poświęcone duchowieństwu, organizmom i miłośnikom muzyki liturgicznej. Rok VIII. Poznań. 1888.

Pismo nasze, które nieomal pierwsze dało hasło do uogólnienia u nas reformy muzyki w duchu czysto kościelnym, nie może pozostać obojętnem na dalsze ruchy tego postępu. Chwytamy też z radością każdy odgłos podjętych na tem polu usiłowań, każdy nowy dowód nie ustających zabiegów, zwracających śpiewom pobożnym właściwy ich charakter poważny i jednolity. Niepodobna o tę kwestyę potrącić bez zwrócenia uwagi czytelników na czasopismo, doliczające się w tej chwili dziewiątego już roku istnieniu, które, jak kamerton w orkiestrze, usiłuje zespolic dobre chęci całego kraju i objąć nad niemi dyrektywę, wiodącą zarówno do prawdziwej chwały Bożej i prawdziwego Piękna. Trudno w krótkim poglądzie streścić całe ośmioletnie bogate i cenne materiały. Wystarczy rzucić okiem na rok ostatni szacownego miesięcznika, wydawanego wytrwale w Poznaniu przez głównego zamierzonej reformy promotora i apostoła, ks. dra Surzyńskiego.

Czasopismo to składa się z trzech różnych działów: ósemka bitygo druku zawiera odnośnie do sprawy muzyki kościelnej artykuły, korespondencye, odgłosy. Do każdego numeru przyłączonym bywa dalszy ciąg *Directorium chori* przepyszenie drukowane przez p. Jarosława *Leitgebra*, oraz arkusik zawierający dawniejsze lub nowsze utwory kościelne, na głosy lub organy, w duchu czysto gregoriańskim napisane. Ostatni rocznik ze wszech miar zaleca się bogactwem, a zarazem i praktycznością treści. Otrzymujemy z kolei cenne wskazówki do nauki śpiewu, pozwalające, nawet mniej biegłym w muzyce osobom, zabrać się do kształcenia chóru i głosów chłopięcych; znajdujemy wyborne

radę, jak organista może naprawić drobniejsze organów uszkodzenia, poznajemy ich budowę, uczymy się, jak się z nimi obchodzić. Krótki pogląd na dawną muzykę kościelną w Polsce rozświeca przed nami zatajone dotąd skarby przeszłości, z przygodną u Polaków słabością uczymy się od obcych własne cenić zabytki, słuchając głosów zagranicznych, które z uniesieniem witają każde nowe wydawnictwo monumentów polskiej muzyki kościelnej. Rzecz o księgach chóralnych Kościoła polskiego wyjaśnia nam życzenie kongregacji obrzędów, aby powszechnie przyjęto w Kościele katolickim wydawnictwa chóralne *Pusteta*, w Ratysbonie podług edycji medycejskiej z r. 1614 wznowione i najwyższym dekretem zatwierdzone.

Bardzo też ciekawe i pocieszające są echa postępów reformy muzyki w kraju naszym. Przodują tu szlachetne zabiegi zawiązanych niedawno towarzystw św. Wojciecha w Krakowie i Tarnowie, ale nieraz z najcichszych ustroni, z pomniejszych miasteczek nadchodzą dodatnie odgłosy pojedynczych usiłowań tego lub owego kapłana, tego lub owego organisty, który w własnym zakresie próbuje dokonać naprawy śpiewu kościelnego, usunąć świeckie naleciałości, przyswoić własnej parafii podniosłe utwory dawnych mistrzów, a zwłaszcza ścieśnić obowiązujący katolicki węzeł jedności. Pod tym względem najwięcej niespodzianki dostarcza Królestwo, a najoporniejszą reformie wydaje się być Warszawa, gdzie po dziś dzień kwitnie w pełni światowa muzyka, przenosząca do świątyń Pańskich kawatyny operowe, lub efektowne sztuki orkiestralne.

Dodatki muzyczne wypadły w ostatnim roczniku świetnie. Szereg ich zaczyna *Stabat Mater*, księdza Gorczyckiego, owej „perły kleru“, jak opiewa jego wawelski grobowiec, który potrafił przeciągnąć w Polsce złotą nić szlachetnych w muzyce tradycyji, aż do połowy niemal XVIII wieku, kiedy wszędzie się ona rwała i ginęła pod nawałą bezmyślnego i bezbożnego szumu. Pobożność natchnionego autora w każdej jego kompozycji prześwieca, dodając polotu i rzetelności jego utworom. Podobnie, jak wszyscy wielki mistrzowie kościelnej muzyki, i ks. Gorczycki opracował nieśmiertelną sekwencję franciszkańską brata *Jacopone di Todi*, którego dramatyczną historję opowiedział w podniosłych słowach rozumiejący dobrze piękności katolickich dziejów i katolickiego ducha *Frydryk Ozanam*. *Stabat Mater* ks. Gorczyckiego nie ustępuje najpiękniejszym kwiatom prawdziwej muzyki kościelnej, a góruje całe niebo nad czysto świeckimi układami *Rossini'ego*, *Pergolesa* i *Gounoda*. Psalm 136: *Confitemini Domino quoniam bonum*, układu Mikołaja Gomółki, zamyka poczet przeszłorocznych dodatków muzycznych, wśród których błyska wspaniale: *O bone Jesu* Palestryny i *Sepulto Domino* Jakóba Gallusa, wyjęte z rytuału polskiego wydane w r. 1634 u Piotrowczyka. Z pośród pieśni wymieśmy powszechnie znane *Adeste fideles* i nieznana z początków XV wieku rotulę czyli koledę: *Resonet in laudibus*, śpiewaną niegdyś przy przedstawieniach żłóbkowych, a tak cudnie prostą, tak rzewnie wesołą, tak prześlicznie uharmonizowaną, że doliczyć ją można do pereł spuścizny po przodkach. Takich to utworów najwięcej pragnęlibyśmy widzieć w dodatkach *Muzyki kościelnej*, stanowią one bowiem najsilniejszą podjętą do powrócenia ku dawnym źródłom harmonii i piękna. Z pośród nowszych kompozycyji zamieszczonych w ostatnim roczniku, zachwyciła nas organowa przegrywka na temat koledy: *Anioł pasterzom mówił*. Wszystkie zaś kompozycye szanownego re-

daktora muzyki kościelnej odznaczają się powagą i duchem ściśle katolickim, oraz piękną, a bogatą harmonizacją.

Ostatni poszyt poznańskiego miesięcznika żalobną czytelnikom i miłośnikom muzyki kościelnej przyniósł wiadomość o przedwczesnym zgonie ks. Franciszka Ksawerego Witta, głównego reformatora i jednego z najgenialniejszych kompozytorów katolickich. Kapłan ten, tak bardzo zasłużony, urodził się w r. 1834 w Palatynacie, z ojca nauczyciela ludowego. Od dzieciństwa okazywał wiele talentu do muzyki, i uczestniczył w chórach katedry ratybońskiej. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych zwrócił na siebie uwagę ks. kanonika Proske'go, wydawcy: *Musica divina*. Poprzednik ten ks. Wittego na drodze reformy muzyki kościelnej, rozwijał talent swego następcy, który, otrzymawszy święcenia kapłańskie w r. 1856, niebawem został powołanym na profesora śpiewu w duchownym seminarium ratybońskim. W owym to czasie przeniknął skarby natchnienia zawarte w dziełach dawnych mistrzów i postanowił rozpocząć zwrótną krucyatę ku arcydziełom przeszłości. Przygotowawszy opinię publiczną planem reformy, zamieszczonym w dwóch specjalnych czasopismach, założył w r. 1868 w Bambergu Towarzystwo św. Cecylii, którego statuta, podpisane przez dwudziestu dziewięciu biskupów, potwierdzonemi zostały przez osobne brewe papieskie. Z krótką przerwą ks. Franciszek Witt stał przez lat dwadzieścia na czele Towarzystwa, które nie tylko odrodziło muzykę kościelną w Niemczech, ale dało początek podobnym związkom i ruchom w całym katolickim świecie. Słusznie mu też przyznano tytuł apostoła świętej sztuki. Pielgrzymował on wielokrotnie do Rzymu, gdzie założył przed dziewięcioma laty sławną już dziś gregoryańską szkołę. Mimo powodzenia rozpoczętego dzieła, ks. Witt uważał się za niegodne narzędzie w ręku Boga, i żadnej sobie zasługi nie przypisywał. Od r. 1875 nadwątlone zdrowie zmusiło go do cofnięcia się z pola czynnych zabiegów, aby spokojnie pracować nad umiłowaną sztuką, i pędzić ustronne a wzorowe życie Bożego sługi. Nie zapominał i o Polsce, jego to zachętom winniśmy upowszechniającą się dziś i u nas naprawę, uwielbiał starych naszych mistrzów utwory i chętne składał im hołdy. Rzucony przez ks. Witta posiew, bujnym dziś wschodzi żniwem, a cieszyć nam się, iż i na naszej niwie dobre przyjęło się ziarno.

Niez mordowany dyrygent chóru katedralnego w Poznaniu nie tylko nowe kształci siły i głosy, nie samem tylko specjalnem czasopismem kieruje, nie ogranicza swej działalności na przeprowadzaniu reformy muzyki w różnych krajach dzielnicach. Obok skrzętnego wygrzebywania pomników i zabytków przeszłości, ogarnia on zarazem historię sztuki w Polsce, i jako członek Towarzystwa *Przyjaciół Nauk*, raz po raz wyczerpującym odczytem pozwala nam wnikać w świat obcy a nowy, w dzieje muzyki kościelnej, która na polskim gruncie tyle wspaniałych wydać miała owoców. Jeden z takich odczytów świeżo w osobnej ukazał się odblask, wyjętej z rocznika towarzystwa *Przyjaciół Nauk*; zawiera on nie tylko wyczerpujący pogląd na historię muzyki kościelnej w Polsce, lecz nadto i ciekawy katalog starych mistrzów naszych, tak Polaków jak i cudzoziemców, opieką Jagiellonów i Wazów do Polski sprowadzanych. Nie zamykając zaś swych studyów w obrębie pomników znacniejszych i pisanych, ks. dr. Surzyński w ostatnich dniach zastanawiał się nad rozwojem pieśni polskiej kościelnej od najdawniejszych czasów, aż po

wiek XV. Świadomi skarbów, jakie posiadamy w tej cudnej a bogatej po ojcach spuściźnie, z tem większem zajęciem słuchaliśmy wywodów czcigodnego prelegenta. Na wstępie znalazła się ciekawa a trafna uwaga: u ludów romańskich, rozumiejących język łaciński, używany w liturgii śpiew ludowy w ojczystym języku nigdy się należycie nie rozwijał, natomiast inne narody uczuły rychło potrzebę skryształizowania swej wiary i miłości w żywym, rodzinnym słowie i pieśni. Zrazu okrzyk *Kyrie elejson* zastępował wszelkie inne śpiewy, powtarzając się ustawicznie w czasie nabożeństwa, pracy, a nawet bitwy. Pieśń *Boga rodzico* pierwszym stałym pomnikiem naszej muzyki i poezji kościelnej. Ta się u nas rozwijała pod wpływem literatury łacińskiej, po części i niemieckiej, najwięcej zaś czeskiej. Książd Surzyński, wbrew twierdzeniom kilku nowoczesnych autorów, ob staje przy autorstwie św. Wojciecha. Drugą najstarszą pieśnią naszą ma być wielkanocna: *Przez twoje święte zmartwychpowstanie*, a zabytek to tem cenniejszy, iż czysto polskiego jest niezawodnie pochodzenia, nigdzie bowiem za granicą żadnej pokrewnej nie znaleziono dotąd melodyi. Hymn tryumfu: *Chrystus zmartwychstan jest*, należy też do rzędu najstarszych pieśni naszych, odłam to misteryów wielkanocnych w fragmentach przyswojonych chórom kościelnym. Trudno bez głębokiego wzruszenia nie zauważyć, iż najdawniejsza przeszłość nam przekazała właśnie zmartwychwstania pieśni. Wiek XV, to znów wiek Matki Boskiej, snujący cały poczet najpiękniejszych hymnów na cześć Królowej Korony Polskiej. Do tej epoki odnieść wypada *Salve Regina*, najznakomitszy utwór polskiej poezji w XV wieku, oraz innych kilka pieśni do Ducha św. i na Boże Ciało, ogółem trzydzieści dających się odnieść do dawnej tej epoki.

Życzyć tylko należy, aby ks. Surzyński rozszerzył swe studia nad naszymi pieśniami, ogarnął i późniejsze wieki, i zamiast krótkiej prelekcji, w wyczerpującej księdze dał nam poznać historję tej przedziwnej części naszego po przodkach dziedzictwa, która się w kantyczkach i gorzkich żalach, w kołędach i postnych lamentacjach zachowała. Dziś pieśń święta, pieśń polska ratuje i broni zagrożonych posterunków, ocala dusze i serca od idącej od wschodu i zachodu nawały. Gdzie ona brzmi i dźwięczy, tam nie stracona dla katolicyzmu i polskości placówka. Stąd wszędzie podwójny przypadek obowiązek pielęgnowania czystości śpiewu, dostrajania go do katolickiej jedności, przechowywania tego, co nam przeszłość zostawiła dla przyszłości. Oby zacny ks. Surzyński mógł na naszej niwie tak obficie zbierać owoce, jakie danem było zgromadził śp. ks. Wittowi na szerszem polu dokonanej w Niemczech reformy kościelnej muzyki.

M.

Przejście Polaków przez Niemcy po upadku powstania listopadowego.

Skreślił *L. Gadon*. Odbitka z *Dziennika Poznańskiego*. Poznań 1889. Str. 84.

Bardzo starannie częścią wedle rękopiśmiennych, częścią wedle drukowanych, ale mało dziś znanych pamiętników i relacyj, skreślone dzieje przejścia Polaków przez Niemcy, są skrzętnie zebrany, dobrze ułożonym materiałem do historii ostatniego peryodu niedawnego jeszcze, a z tyłu jednak wzglę-

dów tak bardzo już od nas oddalonego listopadowego powstania. Czytając, jak Niemcy przyjmowali naszych żołnierzy, jak ich gościli, jakie im sprawiali fety, jak samo imię „Polaka“ wywoływało w miastach i wsiach, pałacach i ubogich chatach najżywszy entuzjazm, wierzyć się nie chce, że od tego czasu upłynęło dopiero lat pięćdziesiąt, i mimowoli nasuwa się natrętne pytanie: „Czemu dziś tak zupełnie inaczej? Czemu w Niemczech wygasły dla nas dawne sympaty, a u zbyt wielu w nienawiść się zamieniły; czy i w jakiej mierze i po naszej stronie leży wina tej zmiany“? Gorzkie to pytania, ale odczuwać ich nie można bez zastanowienia i odpowiedzi. I autorowi pytania te, choć wprost ich nie stawia, ciągle widocznie stoja, stać muszą przed oczami; szkoda, że się z nimi sumiennie, a szczerze nie rozprawił: książka jego, choć i dziś jako skrupulatnie zebrany materiał do przyszłych studyów pożyteczna, nabrałaby wtedy bez porównania wyższej doniosłości i aktualności.

Henryk Schmitt, życiorys spisany na podstawie dokumentów i korespondencyj. Lwów 1888. Przedruk z *Dziennika Polskiego*. Str. 230.

Jako młody chłopak uczył się autor w domu Schmittów; obecnie za doznaną opiekę i przyjaźń płaci dług wdzięczności, kreśląc na podstawie udzielonych sobie przez rodzinę zmarłego historyka listów i dokumentów, jeśli nie wyczerpujący — jak sam wyznaje — to w każdym razie dość obszerny, a z niejednego względu ciekawy życiorys. Z wielu poglądami i zasadami Schmitta, a tem samem i jego biografią, który taką czią dla swego bohatera przejęty, że na wszystko przez jego szkła patrzy, zgodzić się nam trudno; ale czytawszy się w obficie przytoczone listy, zapiski, a nawet i wiersze, nabiera się istotnie przekonania, że Schmitt był dobrym Polakiem, kraj swój szczerze kochał, a z gorącym sercem łączył przynajmniej w teorii i zdrowy rozsądek. Jak tylu innych, tak i jego wypadki zapędziły dalej, niż rozsądek pozwalał; lękał się przedwczesnych wybuchów, widział, że będą zgubą dla kraju; ostrzegał przed utonięciem we wzburzonych falach, ale fala go porwała i jeszcze innych ostrzegać nie przestał, a już sam w wir się rzucał. Głośny wyznawca demokratycznych zasad, nie był przecież Schmitt demagogiem w złem tego słowa znaczeniu i umiał ocenić i głośno uznać zasługi i tych, którzy jak np. Działyński czerpali w tradycjach rodowych otuchę i zachętę do zbierania nowych zasług, do pięknych a wzniosłych czynów. Prawda, że jakiegokolwiek kto o Schmiecie miał wyobrażenie i o dobrym lub złym jego wpływie na społeczeństwo, przyznać mu musi, że do pracy się nie lenił, a ludzie, tak jak on ochotnie i energicznie pracujący, pocziwają pracę i w innych, choć sobie skądinąd mniej sympatycznych, cenić umieją.

Właściwej krytyki, ani za, ani przeciw, a choćby tylko treściwego zbioru dzieł Schmitta, zupełnie nie spotykamy; najważniejszy to bezwątpienia brak, obniżający o wiele stopni wartość całej tej książki, zmieniający ją niemal w obszerny nekrolog. Gdyby nie podany na początku „Wykaz literackich prac H. Schmitta, będących w obiegu księgarskim“, czytelnik zaledwie by się dowiedział z pobieżnych wzmianek, że Schmitt coś pisał, że w ogóle historyą

polską się zajmował. Ale i ten spis, wnosząc z dodatku „będących w obiegu księgarskim“, widocznie nie wyczerpujący i chyba przez księgarza, nie przez samego autora dodany. Nie rozumiemy też, dlaczego wybór Szujskiego, a nie Schmitta na katedrę historii polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim miałby być wynikiem koteryjnych względów; w pierwszej chwili gniewu mogła to sobie jeszcze od biedy, jaka gazetka napisać; dziś i autor nie zechce pewnie koteryjnie twierdzić, jakoby Szujski mniejsze miał zasługi od Schmitta na polu historii polskiej. W każdym razie sam Schmitt pięknie się w tym wypadku pokazał, a zapewnienie bez wątpienia szczere, bo skreślone w poufnym liście do żony, że będzie się starał i „użyje całego wpływu na młodzież krakowską, aby uczęszczała na wykłady Szujskiego“, odsłaniają nam bardzo szlachetny rys jego charakteru; wskazują, że choć mógł się nieraz mylić w obranych drogach, to jednak zawsze raczej publiczne, niż osobiste dobro miał na pierwszym względzie.

B.



Rozmaitości.

Nowe pismo miesięczne: „Przewodnik higieniczny“. Wydział Towarzystwa opieki zdrowia uchwalił wydawać własny organ pod napisem: *Przewodnik higieniczny*, którego redakcyę objął *Dr. B. Lutostański*.

Pismo to wychodzić będzie w Krakowie 15-go każdego miesiąca, w objętości przynajmniej jednego arkusza druku (16 str.). Zawierać będzie:

- 1) Artykuły zasadnicze treści higieniczno-społecznej.
- 2) Prace oryginalne z zakresu higieny wsi, miasteczek i miast.
- 3) Artykuły z zakresu techniki higienicznej.
- 4) Wykłady, odczyty, pogadanki popularno-naukowe o warunkach zdrowia i sposobach zachowania tegoż, w przedmiocie pielęgnowania chorych, lecień dyjetetyczno-higienicznych, z zakresu gospodarstwa domowego i t. d.
- 5) Głosy z praktyki sanitarnej. Streszczenie ustaw i rozporządzeń władz rządowych i autonomicznych, dalej sprawozdań z czynności c. k. kraj. Rady zdrowia, Komisij zdrowotnych, sprawozdań z publicznych robót sanitarnych itd.

Dalej, korespondencye w przedmiocie stosunków sanitarnych w kraju, rady higieniczne, kronika nowych odkryć do ochrony zdrowia odnoszących się i t. d.

Wszystkie te działy złożyć się mają, jak obiecuje Redakcyja, na wyczerpujący obraz ruchu higienicznego w kraju.

Przedpłata wynosi w Galicyi: zhr. 3., (dla członków Towarzystwa bezpłatnie).

Nie ma wątpliwości, że u nas brak i praktyki i nieznanomość higieny daje się w znaki. A przeto myśl rozpowszechniania tak ważnych wiadomości na wszelkie uznanie i na poparcie zasługuje.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Manifestacye antikatolickie w Rzymie. — Zamachy na O. Augustyna de Montefeltro. — Interpelacye w senacie. — Crispi o pomniku Giordana Bruno. — Pogrzeb cywilny rewolucjonistki z r. 1848. — Memoryał biskupów bawarskich i odpowiedź rządu.

Kiedy za rządów papieskich zdarzył się w Rzymie najmniejszy nieporządek, kiedy nasłani z zagranicy protegowani i placeni zbrodniarze dopuścili się jakiego występku, wzniecili chwilową burdę uliczną, wnet wołano w niebogłoso: „Oto dowód, że rządy Stolicy św. ospałe, niezaradne, dziś są niemożliwe; Papież ustąpić powinien władzy w silniejsze ręce, któreby nie dozwoliły przemienić się wiecznemu miastu w jaskinię rabusiów, w gniazdo anarchicznych agitacyj!“ Dziś ówczesni oskarżyciele siedzą na ławach ministrów i za ich właśnie rządów, słuszną nemezis dziejową, Rzym istotnie zmienia się w uprzywilejowaną stolicę rewolucyi i prawdziwie rewolucyjnych wybryków. W ostatnich tygodniach zdarzył się znowu cały szereg takich wybryków, a mówiąc właściwiej zbrodni; niektóre z nich rząd toleruje, innym sympatyi swej nie odmawia, do innych jeszcze wyraźnie zachęca; ale wszystkich tych zbrodni i tych nawet, które mu dziś są niemiłe, bo zbyt jawnie go kompromitują, jest i nazwać go można prawdziwym duchownym ojcem i nauczycielem.

Jedną z takich zbrodni, której echo daleko poza granicami Włoch się odbiło, wznecając wszędzie zasłużone oburzenie, były nieczne zamachy na słynnego dziś w całym świecie kaznodzieję z zakonu św. Franciszka, *O. Augustyna de Montefeltro*. Pobożny ten a wymowny zakonnik poruszył cały Rzym, jak przedtem poruszył był Turyn, Pizę, Bolonię, Medyolan postnemi swemi kazaniami; ci, których noga od wielu lat w kościele nie postąpiła, cisnęli się na kilka godzin przed czasem wyznaczonym na rozpoczęcie nauki do obszernego kościoła św. Karola; codzien jawniejsze były praktyczne skutki natchnionych, z wielką znajomością duchownych i świeckich umiejętności i serc ludzkich, z niemniejszą miłością i żarliwością głoszonych kazań. Sekta zaniepokoiła się i urządziła formalną kampanię przeciw *O. Augustynowi*, chcąc go zmusić do przerywania błogiej swej działalności. Obrzucanie błotem, ciskanie kamieni do powozu wiozącego kaznodzieję, uliczne manifestacye — nie odniosły pożądanego skutku; przeciwnie podniosły tylko zapal słuchaczy, a mowcy dały sposobność do poparcia przykładem nauk swych o wspaniałomyślnym przebaczeniu nieprzyjaciółom. Postanowiono więc użyć silniejszej broni; odstraszyć gromadzących się do kościoła pobożnych i ciekawych. W tym celu podłożono bombę za wielkim ołtarzem, która istotnie pękła w czasie konferencyi *O. Augustyna*, ale szczęściem prócz hałasu i chwilowej paniki, nie stała się przyczyną większego jakiegoś nieszczęścia. Po dziesięćominutowej przerwie kaznodzieja polecił zgromadzonym pomodlić się za zbłąkanych braci, i ciągnął dalej swój wykład, zakończony potężniejszymi jeszcze niż zwykle okrzykami na cześć znakomitego mowcy, które pokorny zakonnik napróżno usiłuje powstrzymać.

Jak poprzednie napaści, jak najróżniejsze bajki rozsiewane systematycznie o przeszłości *O. Augustyna*, tak i ten ostatni, smutne światło na rzymskie stosunki rzucający skandal nie osiągnął celu: owszem, na następne kazanie liczniejsi może jeszcze zebrali się słuchacze. Liberalne, Kościołowi wrogie, ale zachowujące pewne przynajmniej pozory dzienniki nie szczędziły słów słusznego oburzenia. „We wszystkich tych napaściach, piętnuje *Popolo Romano* polemizując z *Tribuną*, właściwych sprawców tych zawstydzających faktów, nie może być nawet mowy o jakiejś zemście prywatnej; działa tu widocznie ręka jakiejś sekty czy *konciliabulum* wścieka-

jącego się na widok rzymskich tryumfów *O. Augustyna*“. Nawet *Riforma* w pierwszej przynajmniej chwili dała wyraz przejmującemu wszystkim oburzeniu; natomiast *Tribuna* próbowała smutnie te zajścia obrócić w żart, a *Messagero*, *Capitale*, *Opinione* nie zaważały się wystąpić z bezecnem oskarżeniem: Być bardzo może, że bombę w kościele św. Karola podłożył jaki klerykał, któremu powodzenie *O. Augustyna* było cierniem w oku, lub który tym zamachem chciał przysporzyć rządowi włoskiemu niemiłych kłopotów.

Smutno, że znalazły się gazety, które odważyły się do tego rodzaju paradoksalne oszczerstwo w świat puścić; cóż powiedzieć o rządzie kompromitującym się do tego stopnia, że oskarżenia takie bez dowodu, bez cienia nawet dowodu powtarza i swoją powagę je zasłania? Na najbliższem posiedzeniu izby wyższej wzniesli senatorowie: *Serafini*, *Ferraris*, *Alfieri* i *Di Sambuy* interpelacyę w sprawie pożalowania godnych, hańbiących Rzym wypadków w kościele św. Karola. Nieraz już, mówił *Serafini*, pytaliśmy prezesa ministrów, skąd pochodzi, że właśnie w ostatnich czasach spokój publiczny tak często i w tak brutalny sposób w Rzymie bywa naruszony; dotychczas nigdy jeszcze na pytania te nie otrzymaliśmy odpowiedzi; żywimy jednak nadzieję, że ostatniego przynajmniej zajścia, które tak żywo poruszyło całą ludność i prasę, nie zechce rząd pokryć wygodnem zapewne, ale nie zbyt honorowem milczeniem. — Słowa te podrażniły *Crispiego*, wstał natychmiast, a zirytowana odpowiedź, której udzielił interpelantom, o wiele lepiej jeszcze cechuje stosunki panujące w Rzymie, niż podłożenie bomby i uliczne hece przeciw *Ojcu de Montefeltro*. Rząd, tłumaczył *Crispi*, robił i robi co można, aby zagwarantować bezpieczeństwo kaznodziei i zgromadzającym się w kościele „widzom“; ale niechże i księża powezmą pewne środki ostrożności, niech przed kazaniem zechcą się po kościele rozglądać, czy niema w nim czego podejrzanego. Kto zabił arcybiskupa paryskiego w katedrze *Notre Dame* w czasie sumy? Ksiądz. Wtedy przecież nikt rządowi nie przypisywał winy tej zbrodni. A dziś czy wiemy może, kto jest sprawcą popełnionego występku? Czy jaki nieprzyjaciel, jaki rywal kaznodziei nie mógł podłożyć bomby, tem bardziej że wybuchła ona w miejscu zostającym wyłącznie pod dozorem zakry-

styanów? O. Augustyna strzeżemy pilniej niż samego króla, ale pamiętać należy, że strzedz go musimy nie tylko przeciw nietolerancyi, ale i przeciw zazdrości. Chcąc cały ten wypadek w odpowiedniem świetle wystawić, trzeba sobie przypomnieć, że właśnie nieprzejednani klerykali usiłowali zamącić spokój w czasie bytności w Rzymie zagranicznych pielgrzymów.

Na przepelnioną jadem prawdziwie podłych, nieprawdopodobnych insynuacyj mowę *Crispiego*, odpowiedział natychmiast senator *Alfieri*, ubolewając głęboko, że państwo dozwala klice złoczyńców terroryzować obywatelów prawu posłusznych, którzy jak w tym, tak w wielu innych wypadkach praktycznie pozbawieni są wolności przez niedbalstwo rządu, podczas gdy prawdziwi wrogowie wolności i prawa bezkarnie chodzą po ulicach. — Ostatnie smutne zajścia, ubolewali ze swej strony *Ferraris* i *Sambuy*, zmniejszyły znacznie równie we Włoszech, jak za granicą dobre wyobrażenie o energii i przezorności rządu. Co bardziej jeszcze podkopać musiało opinię już nietylko o przezorności lub energii, ale o uczciwości i dobrej wierze włoskiego rządu, to właśnie cyniczne deklaracje *Crispiego*; potępił je niedwuznacznie senat, w ostrzejszych jeszcze wyrazach potępić je miał lud rzymski. „Po ulicach, opowiadają miejscowe dzienniki, słychać raz po raz okrzyki oburzenia, lub czasem głośnie śmiechy z oświadczeń prezesa ministrów. „Oświadczenia te podobne, niby dwie krople wody do wymówek „żołnierzy postawionych na straży grobu Chrystusowego: „Ukradli „go, gdyśmy spali“. Istotnie *Crispi* przyznał, że winowajców nie „schwymano, a jednocześnie rzucił bez zarumienienia się najobrzydliwsze, niczem nie stwierdzone podejrzenia przeciw duchowieństwu; „nie zawahał się złożyć ostatniej zbrodni na kark wrzekomo „zdrośnych kaznodziejów“.

W parę dni po odegraniu roli żołnierzków niezgrabnie kłamiących wystąpił *Crispi*, lubujący się w teatralnych efektach, w roli dyplomaty — Pilata. Komitet studencki, zajmujący się przygotowaniem do inauguracji pomnika osławionego apostaty *Giordano Bruno*, udał się do prezesa ministrów z prośbą o wzięcie udziału w tej wielkiej narodowej uroczystości. „Żałuję bardzo, odpowiedział *Crispi*, że jako minister, przedstawiciel rządu nie mogę uczestniczyć w tym akcie, dla którego osobiście żywię najzupełniejszą

sympatyę. Zresztą, po co wciągać rząd w tę sprawę; czyż nie możecie się doskonale obejść bez zimnego tuszu urzędowości? Szczera, ludowa manifestacya ma stokroć większe znaczenie, niż wszystkie oficjalne pompy“.

„Szczera taką, ludową manifestacyę“ w znaczeniu *Crispiego*, wstępem niejako do skandalów, których Rzym stać się ma widownią 9 czerwca, w dniu odsłonięcia pomnika mnicha-apostaty, był świeżo z ostentacyjnym przepychem przez sektę urządzony pogrzeb cywilny nieszczęśliwej nie kobiety, ale raczej jedzy *Santa Cadet*, rzymskiej *Ludwika Michel*, jak ją nazywano. Głośna ta w r. 1848 i 49 rewolucyonistka żyła w ostatnich latach w zupełnem zapomnieniu; śmierci jej dopiero użyto za okazję do antikościelnych i antimonarchistycznych manifestacyj, a użyto tem chętniej, że nieszczęśliwa, wyrażając się żargonem rewolucyjnych dzienników, „umarła w wierze *Mazziniego*“, i ani doktora ani księdza nie chciała do siebie przypuścić. Zamiast krzyża umieszczono na trumnie bukiet z czerwonych kamelij, zamiast pobożnych pieśni, odśpiewano hymn Garybaldego; wyświstano nielitościwie domagających się udziału w pochodzie delegatów jakiegoś monarchistycznego stowarzyszenia i zmuszono ich do zwinięcia chorągwi z sabaudzkim krzyżem; nad otwartym wreszcie grobem odezwali się mowcy, pozostawiający daleko za sobą klątwy i wyrzekania wszystkich romantycznych djabłów i czarownic. Adwokat *Fretti* wychwalał „cnoty prawdziwej świętej, kobiety sprawiedliwej, której wytrwałość wzruszyła Watykan w swych posadach, unicestwiła zasadzki mistrzów przesądu, klechów naigrawających się z uczciwości“. „Schylić nam należy głowę, wołał były deputowany *Dotto de Dauli*, przed tą niewiastą, przed siłą duszy, z jaką stawiała w obronie wolności, z jaką brzydziła się czarnymi krukami wylatującymi z Watykanu, napełniającymi świat głupotą, przesądem, fałszem!... O niewiasty, o matki tu obecne, patrzcie na ten przykład; nie oddawajcie dzieci waszych do szkoły zakrystyi, konfesyonałów, kłamstw rozsiewanych z ambony przez przewrotnych mnichów, lecz kształćcie dzieci wasze w szkole i na wzór bohaterskiej tej nieboszczki, a wychowacie bohaterów!“... Oto próbki „trzeciej, nowoczesnej cywilizacyi“, jak się wyraził minister *Zanardelli* w przemowie do króla Humberta, kwitnącej dziś w Rzymie na ruinach cywilizacyi drugiej, Watykańskiej, a czer-

piącej ożywcze soki z pierwszej, prawdziwie wielkiej cywilizacji z przed dwóch tysięcy lat!

Biskupi bawarscy, zgromadzeni w czerwcu roku zeszłego na wspólnej konferencji w *Freising*, przedłożyli księciu Regentowi obszerny memoriał, w którym spokojnie, ale bardzo energicznie wyliczyli główne skargi i życzenia bawarskich katolików. Memoriał ten, oparty przeważnie i spowodowany encykliką Leona XIII do biskupów bawarskich, doszedł w skutek różnych przeszkód do do miejsca przeznaczenia dopiero w listopadzie, a rząd odpowiedział nań pod datą 28 marca b. r. Odpowiedź ta podpisana przez ministra *Lutza*, który, jak wiadomo, będąc sam katolikiem, wychowuje dzieci swe po protestancku, dość grzeczną i oględną jest w zewnętrznej formie, ale ze względu na treść przedstawia raczej smutny, niż wesoły obraz dzisiejszych stosunków w Bawarii. Największe jeszcze ustępstwa, choć wiele z tych ustępstw w praktyce dawno istnieje, czyni rząd w swej odpowiedzi odnośnie do wpływu Kościoła na szkoły. Wszyscy w ogóle uczniowie mają być odtąd obowiązani przystępować trzy lub cztery razy na rok do Sakramentów świętych, a katecheci zachęcać mogą i powinni uczniów do codziennego uczęszczania na Mszę św. W tym celu dyrekcye szkolne starać się będą, aby w kościołach przeznaczonych dla szkół odprawiała się codziennie w odpowiedniej porze Msza św. Rząd postara się również w najbliższej przyszłości o przywrócenie egzaminów z religii i obowiązuje się zasięgać zdania episkopatu we wszystkich ważniejszych sprawach szkolnych, w nominacji inspektorów okręgowych i dyrektorów seminariów nauczycielskich. Wyznaniowy charakter szkół ludowych i średnich będzie — o ile tylko możliwa — jak dotychczas, tak i w przyszłości jak najściślej zachowany.

Załatwiwszy się w ten sposób z kwestyami szkolnemi, rzuciwszy nie dość jasno określoną obietnicę, że rząd starać się będzie wedle możliwości o zwolnienie słuchaczy teologii od czynnej służby wojskowej, przechodzi odpowiedź rządowa do zasadniczego, podniesionego przez biskupów zarzutu, że niektóre z obowiązujących dziś ustaw państwowych stają w oczywistej sprzeczności z zawartym konkordatem ze Stolicą św. w r. 1818. Zaprzeczyć temu nie podobna, przyznaje rząd bawarski, ale z drugiej strony ściśle zachowanie konkordatu narażałoby na uszczerbek najwyższe prawa kró-

lewskie, a wręcz sprzeciwiałoby się istniejącemu dziś międzywyznaniowemu prawodawstwu, które zmienić się nie da bez naruszenia i gruntownej reformy samejże konstytucyi. Dla tego rząd nie zrzeknie się nigdy nadzoru i opieki nad prawodawczą, sądową i administracyjną władzą Kościoła; utrzymać pragnie w całej mocy *Placetum regium* i nie zmieni dotychczasowych swych zapatrywań na kwestyę staro-katolickiego kościoła, ponieważ dekreta soboru watykańskiego nie otrzymały królewskiego *Placetum* i dla tego nie mają w Bawaryi mocy obowiązującej. Co się tyczy powrotu Redemptorystów, to na razie rząd przychylić się nie może do tego żądania; Redemptoryści usunięci zostali z Niemiec prawem państwowem z 20 maja 1873 r. jako zakon pokrewny Jezuitom, a o zniesieniu tego prawa obecnie przynajmniej, mowy niema.

Pod koniec odpowiedź rządowa wyraża, jakby na szyderstwo, „gorące życzenie i szczere dążenie“ do utrzymania pokoju zarówno między Kościołem i państwami, jak i między różnemi wyznaniem chrześcijańskimi, i zaręcza, że rząd nie omieszką i nadal otaczać szczególną swą opieką Kościoła katolickiego. Oryginalna to opieka, przypominająca bajkę o opiece lwa nad poddanemi sobie zwierzętami; oryginalna w ogóle cała ta rządowa odpowiedź, stawiająca tak wyraźnie i bez zastrzeżeń zasadę absolutnej przewagi państwa nad Kościołem: „prawda, jak powtarzają dzienniki przypominając stare bawarskie przysłowie, że u Boga i w Bawaryi nie niema niemożliwego“. Memoryał biskupów, a bardziej może jeszcze w dyplomatycznych frazesach ułożona, ale w gruncie szorstka, powiedzieć można ironiczna odpowiedź na ten memoryał, wytknęły bawarskim katolikom program działania na przyszłość, który, spodziewać się należy, prędzej, później, choć z niemałemi zapewne walcząc trudnościami, przeprowadzić potrafią.

O pierwszych harcach i potyczkach stoczonych w Austrii o szkołę wyznaniową mówimy obszernie na innem miejscu. Austriacy katolicy nie zadawalniają się już „gorącemi życzeniami i szczeremi dążeniami“ do zapewnienia Kościołowi odpowiedniego wpływu na społeczeństwo, lecz stanowczo domagają się wypłynięcia ze sfery samych „życzeń i dążeń“, przemienienia ich na razie w dziedzinie szkolnictwa w praktyczne czyny, w jasno określone prawa. Bez

wątpienia i bawarscy katolicy usnąć się nie dadzą „życzeniami i dążeniami“ swego rządu; użyją wszystkich środków, aby Kościół w Bawarii nie jęczał nadal w niewoli państwowej, którą sam rząd w swej odpowiedzi — nie zdając sobie podobno z tego dostatecznie sprawy — w tak posępnych barwach odmalował.

Ks. Jan Badeni.

Z Malty.

I.

Przybycie na Malte. — Kłopoty na statku. — Położenie Malty. — Troska Anglii o jej zatrzymanie. — Porty i zatoki. — Obszar. — Zaludnienie nadzwyczajne. — Wygląd zewnętrzny. — Charakter ludu, ubior, język. — Klimat wyspy.

Było to d. 5 grudnia tej zimy. Zbudziłem się na okręcie, na którym z Messyny wyjechałem. Koło siódmej godziny wyszedłem na pokład. Po wczorajszej burzy, która nas gnała z Katanii do Syrakuzy, a przez całą noc rzucała okrętem (czego ja wszakże nie czułem, bo pierwsze poruszenia okrętu wychodzącego z portu ukłasyły mię do snu) zajaśniał prześliczny poranek; niebo bez żadnej chmurki, a blaski słoneczne łamały się tem piękniej w dość silnych jeszcze falach morskich. Ale te już nie straszły nikogo. I Anglicy i ich *ladies*, którym dotrzymywałem wczoraj placu podczas burzy, jak i biedni Niemcy i Włosi, co wczoraj doznawali niedwuznacznych skutków kołysania okrętu — wszystko wyszło na pokład orzeźwić się świeżem powietrzem, lub przekonać się, jak długo jeszcze więzić ich będzie morze w swoich objęciach.

W istocie, przed oczyma naszymi widniał już cel naszej podróży — Malta. Wspaniale rysowała się przed nami z jednej strony Valetta z swemi ogromnymi fortami, kopułami licznych kościołów i mnóstwem domów, które okrywają wybrzeża skaliste wyspy, z drugiej strony miasta Nittoriosa i Senglea, z których każde na

osobnym wąskim półwyspie zbudowane, a zakończone potężnym fortem. Ledwo ukazał się okręt nasz w porcie, a krocie łódek pomknęło ku nam. Na okręcie zapanował ruch, kapitan wydawał ostatnie rozkazy — majtkowie ściągali sznury, gotowali kotwicę — podróżni powynosili swe pakunki ręczne na pokład; tylko Anglicy, widząc więcej świadomości zwyczajów, nie ruszyli się z ławek. Wreszcie okręt stanął. Podpłynęła łódka z urzędnikami angielskimi, wstąpili na okręt, konstabler poważną osobą zagroził schodki, a my cośmy się spieszyli z wyjściem, przekonaliśmy się, że lepiej było naśladować Anglików. Zaczęła się szczegółowa rewizya całego okrętu, ładunku i załogi. Trwało to z dobrą godzinę; zdawało się wszystko skończone, tymczasem proszą gości, by się zebraли w tyle okrętu. Anglik czytał spis osób, a kapitan je wskazywał. Nie wiedziałem, że moje nazwisko, a zwłaszcza sławiańskie imię nabawi tyle kłopotu Anglików. W Messynie Włosi poradzili sobie, wydając mi bilet, pisząc samo nazwisko, a opuszczając imię, tu Anglicy zażądali imienia, tego wymaga prawo, o paszport nikt się tu nie pyta. Odpowiadam: „Zdzisław“. Nigdy nie podobnego oni jeszcze nie słyszeli w swoim życiu — mówiły wyraźnie ich twarze zakłopotane; pytają raz drugi — powtarzam. Nie, to być nie może! Jakiej narodowości? — Polak, odpowiadam. — A to może Ladi-slao, odzywa się jeden z nich? Nie, Stanislao, poddaje drugi. — Ja przeczę znowu. — A więc jak? — „Zdzisław“. Poszeptali między sobą i podają mi papier. Miasto napisać, wręczam im kartę wizytową. Probuja przeczytać, sylabizują — nie i to nie idzie, proszą, ażebym im napisał. Znowu źle; sylabizujemy razem i to nie pomaga: inaczej Anglicy nazywają litery, inaczej my Polacy. Trwało to dobre pół godziny, aż zdecydowali się powyrzucać trudniejsze litery i ochrzcieli mnie „Dislao“, zapisali, a któryś z nich poprosił, by mógł sobie wziąć mą kartę wizytową — zapewne, pomyślałem, do kolekcji oryginalności.

Tymczasem po jednym kłopotcie, drugi, zaczęła nam grozić kwarantanna. Na brzegach Sycylii panowała ospa, a z przyjezdnych jakaś młoda dziewczyna z tamtych stron z krostami na twarzy, pozdrapywała je w nocy i powiększyła podejrzenie. Nie pomogły przedstawienia kapitana i niby pacjentki, że czuje się zupełnie zdrową — zaprowadzono ją do kajuty i po skonstatowaniu doktora

znikło widmo kwarantanny. Zaczęliśmy opuszczać okręt, ale po angielsku w porządku, konstabler pilnował, żeby nie było ścisłu, wypuszczał po jednym z gości z bagażami. Siadłem na łódkę jakiegoś starszaka, który mi dość pocziwie wyglądał i przybiłem do brzegu. Szczęście że tam angielska ręka czuwa. Brzeg roił się od kroci rozmaitych dorózek i posługaczy, którzy rozdrapaliby człowieka i jego rzeczy, gdyby nie konstablerzy. Już jeden porwał mą torbę, drugi kuferek, trzeci ciągnie mnie za suknię do fiakra. Przy pomocy konstablera udało mi się rzeczy odebrać i zjednoczyć w jednym ręku; ale ów drugi zaczął się dopominać gwałtownie o zapłatę; nie było racyi — ale daję mu trzy soldi odczepnego, zwraca mi je z oburzeniem, że za mało. Mnie już tego było za wiele, odebrałem soldi, siadłem na fiakra — i ruszam. Ale tego nie spodziewał się posługacz, więc w pogon za mną, prosząc o owe trzy soldi, choć to *poco Signore*. Wolno przedzieraliśmy się przez port. Zawalony ludźmi, fiakrami i przeróżnemi wózkami, a po trzech kwadransach dopiero stanąłem w St. Julian, na miejscu mego nowego przeznaczenia. Tu, mając kilka miesięcy wolnych przed sobą, miałem czas i sposobność obznajomić się bliżej z tym ciekawym krajem.

Z kolonialnych posiadłości Wielkiej Brytanii, Malta jest jedna z cennych pereł jej korony, a to dzięki jedynie swemu położeniu. Nie ma bowiem ona ani bogatych kopalń, ani ziemi urodzajnej, ani żadnych cennych produktów. Odległa o 60 mil od przyładka Sycylijskiego Passaro, a o 20 mil od Bon przyładka w Tunisie, na środku drogi pomiędzy Marsylią a Konstantynopolem, może się słuszenie uważać jako oko Anglii, ciągle czuwające na morzu Śródziemnem. Nadto na wypadek wojny w tamtych stronach — to punkt najbardziej strategiczny i podstawa akcyi strategicznej, a przytem spichrz z żywnością i przytułek dla rannych żołnierzy. W czasie zaś pokoju, — tu główny skład węgla dla okrętów płynących do Indyj lub zeń powracających; a wreszcie wygodny przystanek wśród długiej podróży, bo własny kąt, gdzie swobodnie stanąć i wypocząć można.

Od pierwszej chwili zajęcia Malty, 5 sierpnia 1800 r., zrozumiała Anglia doniosłość tej pozycyi i starała się zabezpieczyć ją

sobie na wszelki przypadek, gdyby Francuzom, po których wzięła te wyspy w spadku traktatem paryskim z 1814 r., lub jakiemukolwiek innemu mocarstwu przyszła chętka zagarnąć je pod swe panowanie. Na każdym kroku czuje się tu dawną troskę, występującą w pogotowiu wojennem, taka niezliczona ilość fortów pokrywa tu każdy przystęp ze strony morza, a wszędzie armaty ciężkiego kalibru, wciąż odkrytymi paszczami zdają się grozić najezdnikowi, coby się chciał pokusić o jej zdobycie. Prawda, że te forty nie odpowiadają zupełnie dzisiejszej potrzebie — i armaty, choć nieraz o pociskach 100 tonów ważących, nie tak straszne, bo dawnego kroju, i służą dziś, zwłaszcza w wielkim porcie, tylko do dawania salw na cześć przyjezdnych okrętów wojennych innych mocarstw. Ale i dziś Anglia przezorna, troszczy się i zapobiega na wszelki wypadek — przed dwoma laty generałowie i inżynierowie zjechali tu z Anglii, zrewidowano wszystkie forty, nakreślono plan nowych, i powoli postępuje przeróbka.

Najwygodniejszy przystęp do Malty jest ze strony północnej. Tu posiada ona dwa porty: główny *Grand Harbour*, jeden z największych i najwspanialszych w Europie, powiększony w r. 1860 przez admiralicyę angielską kosztem 250.000 funt. szterl., i drugi mniejszy *Maramusceto*, leżący pomiędzy dwoma półwyspami, na jednej z nich wznosi się miasto główne Valetta, na drugiej Sliema. Wśród niego, naprzeciw miasta Valetty, leży mała wysepka *Gezira* z fortem Manoel, wzniesionym jeszcze przez wielkiego mistrza Manoel de Vilhena, kosztem 2.500 funt. szt. Tu odbywają kwarantannę okręty na nią skazane, a w rozległym lazarecie mieszczą się przez ten czas załoga i goście przyjezdni. Prócz tego na północnym brzegu liczne znajdują się zatoki, jak *Melleha*, *St. Paul*, *Saline*, *Maddalena*, *St. George*, *St. Julian*, *Marsa Scala*, *St. Thomas* i *Marsa Scirocco*, wszystkie przystępne dla okrętów, a więc i fortami okryte. Za to południowa część wyspy niedostępna, obronna samą naturą; tam bowiem wznoszą się nagie skały granitu do 300 stóp niekiedy ponad morze. A jak brzegi Malty okryte fortami, tak porty i szeroki pas morza przed nimi, zabezpiecza na wszelki przypadek od najazdu nieprzyjacielskiego, znaczna ilość torpedów, rozrzuconych po morzu, gotowych każdej chwili wysadzić każdy okręt w powietrze. Kiedy morze spokojne, nie znać

ich obecności, ale kiedy wicher poruszy falami, wychylają torpedy czerwoną głowę z pod wody i widać długie ich linie, ciągnące się w różnych kierunkach morza.

Malta wyspa niewielka, obwodu liczy około 60 mil ang., co długości $17\frac{1}{2}$ a $9\frac{1}{2}$ szerokości. Do niej należą trzy inne wysepki, z których największe Gozo, odległe od niej o 15 mil ang. a mające 9 mil dług. na 5 szerokości, dalej Komino, 2 mile wzdłuż na jedną wszcz i pustka Kominetto.

A na tej tak małej przestrzeni, jakżeż ogromna stosunkowo rozsiada się ludność. Wedle ostatniego spisu z dnia 31 grudnia 1887 r. ludność Malty i Gozo wynosiła 160.679. Na Komino żyje tylko kilkanaście familij rybackich, nie więcej nad 100 dusz liczących. W rachubę zaś ludności nie wchodzi wojsko, którego tu liczba przenosi 10.000, ani załoga okrętów, która się wprawdzie zmienia, w lecie znacznie mniejsza i nieregularna, za to w zimie liczy się na 6000. Spojrzawszy trzy wieki temu wstecz, cóż za różnica uderzająca. I tak ludność wynosiła:

w r. 1530	15.000	dusz
„ 1632	50.000	„
„ 1741	110.000	„
„ 1836	123.000	„

W naszym stuleciu przyrost ten ludności szybszy i widoczniejszy, zwłaszcza gdy się idzie dziesiątkami lat. Przeciętna cyfra przyrostu w tak krótkim okresie wynosi przeszło 8000¹.

W obec tego nie dziw, że Maltańczycy, jakkolwiek przywiązani bardzo do ziemi rodzinnej, zmuszeni są oglądać się za sposobami do życia i szukać innych kątów po świecie, stąd też do 50.000 z nich żyje rozspanych po wyspach morza Śródziemnego i na wybrzeżach Afryki, najmując się za majtków, lub żyjąc z rybołówstwa.

¹ Według statystyk urzędowych ludność wynosiła:

w r. 1842	114.449	dusz
„ 1851	123.446	„
„ 1861	134.055	„
„ 1871	141.775	„
„ 1881	149.782	„

Czytając poważną cyfrę 160 przeszło tysięcy zdawałoby się, że Malta to kraina mlekiem i miodem płynąca — a tymczasem to ziemia gruzów i kamieni, z której tylko żelazna wola i skrzętność mieszkańców potrafi wydobyć kawałek chleba, hojnym zroszony potem. Na 122□ mil ang. powierzchni, które posiada wraz z Gozo, jest zaledwie 49.376 akrów ziemi uprawnej; resztę zajmują domy mieszkalne, forty a wreszcie pustkowia granitowe o najdziwniejszych kształtach, zagłębieniach, na których gdzieś tylko dziki chwast wyrasta. Pochodzenie bowiem Malty jest wulkaniczne. Jej powierzchnia nierówna wydyma się co krok, tworząc to wzgórza skalne, to wąwozy, jary przepaściste. W wielu miejscach, zwłaszcza w pobliżu morza, napotkać można napływy lawy. Opoдал od zatoki St. Juliano, narachowałem dziewięć kraterów małych wulkanów, których łożysko tworzy stalaktytowe nacieki, obwiedzione szerokim pasem skamieniałej lawy.

Rozglądając się po wyspie z miejsca nie bardzo wysokiego, Malta przedstawia się jak wielkie rumowisko, wśród którego wznoszą się liczne gromady domów z białego kredowca, z płaskim dachem, co im daje pozór domków z kartonu wyciętych. Zieleni, drzew prawie nie widać; kamieni tylko mnóstwo, bo każdy kawałek ziemi opasany jest murem na kilkanaście stóp wysokim. Żadna rola, żaden ogród nie rozsiada się długim i szerokim obszarem, ale wszędzie mury dzielą, rozkrawują ziemię w rozmaite figury; a z tych jedne leżą niżej, drugie wyżej, jakby piętra wznoszące się i opadające co chwila. Dopiero kiedy się stanie na wyższym wzgórzu, widać, że w tych zagrodach kamienistych spód się zieleni od zboża lub jarzyn, tu i ówdzie wychyla ciemno zieloną głowę oliwka, karube lub figa, albo też rząd kaktusów o mięsistych, olbrzymich liściach.

A wszystkie te nieprzeliczone mury, to świadectwa i pomniki niezmordowanej energii i wytrwałości dawnych Maltańczyków, w których ślad idzie jedno pokolenie za drugim, co stwierdzają nowsze mury, świecące bielą wśród oczerniałych wiekiem poprzędków. Długo nie rozumiałem właściwego ich celu, aż raz idąc na przechadzkę, spostrzegłem ludzi zajętych zakładaniem nowej roli. Na splanowany kawał góry po wylamaniu kamienia, nawożono ziemię, którą potrząśnięto opoką na stopę lub półtorej stopy

wysokości. Gdyby ją tak zostawiono, pierwszy lepszy deszcz nawalny splukałby do szczytu ziemię, a z nią i plon cały. A ziemia tutaj to drogi towar, niema jej pod dostatkiem, naturalne jej bowiem pokłady tylko w dolinach się znajdują, reszta zaś na niezliczonych stoczyskach i wypukłościach, w sztuczny tylko sposób powstała. Mur taki w koło roli niczem nie bywa spojony, większe odłamy kamienia składają na spodzie i po bokach, środek zaś wypełniają mniejszymi.

Do takiej mozolnej pracy Maltańczyk zdaje się być zrodzony. Średniego a częstokroć mniej niż średniego wzrostu, ale za to krępy i barczysty, z licem ogorzałym od słońca a barwą przypominającą raczej Afrykańczyka niż mieszkańca Europy. Lud tu twarzy zwykle okrągłej, z włosiem kruczym a okiem czarnem jak węgiel. Mężczyźni brody nie noszą wcale, w niektórych częściach wyspy gołą wszelki zarost twarzy, pospolicie noszą tylko wąsy. Rysów pięknych tu nie szukać, wśród mężczyzn jeszcze więcej twarzy przystojnych spotkać można, kobiety starzeją się prędko i brzydą z wiekiem. Charakteru będąc gwałtownego, krwi gorącej — Maltańczyk skory do sprzeczki i bójki, w której łatwo chwyta za nóż i rani przeciwnika, ale nie zabija. I to nawet zdarza się coraz rzadziej, bo policja surowo zakazuje noszenia, wedle krajowego zwyczaju, nożów za pasem, i noże natychmiast konfiskuje, a winowajcę karze grzywną lub aresztem. Choć cheiwy grosza, którego zawsze ma mało, Maltańczyk rzadko posuwa się do kradzieży, a prawie nigdy do rozboju. Krótco przed moim przyjazdem zdarzył się tu taki zamach zbrodniczy, który wywołał ogromną zgrozę. Miały odpływać wieczorem okręty niemieckie, które tu chwilowo stanęły. Jeden z majtków zabawił się dłużej w mieście i wracał na okręt o godzinie, kiedy okręty powinny już były wypłynąć z portu. Wiedział o tem wioślarz przez majtką najęty, i wywiozłszy go na morze pewny bezkarności, zrabował go z pieniędzy i wrzucił do morza. Ale niemieczyk dobry pływak, mimo znacznej odległości, dopłynął szczęśliwie do statku, który nie był odszedł jeszcze; a nazajutrz wyszedłszy na ląd, pomiędzy łódkarzami poznał zbrodniarza i oddał w ręce sprawiedliwości.

Dla obcego Maltańczyk grzeczny, ale podejrzliwy, po lepszym poznaniu — pocziwy i podobno nawet prostoduszny.

W pracy, mieszkaniac tutejszy powolny, ale wytrwały, do nauki niezbyt ochotny, wiele za to sprytu posiada do rękodzieł, a nawet do sztuk pięknych. I tak, przechadzając się po ogrodzie w niedzielę, spostrzegłem służącego, który zwykle zamiatał korytarze, czyścił lampy i t. d., siedzącego na trawie i schylonego nad rozpiętym na desce papierem. Zaciekawiony zbliżam się i widzę, że on zajęty wykończeniem wcale udatnej akwarelli, przedstawiającej miasto Valettę ze strony portu Maramuscetto, którą z natury wykonał. Później dowiedziałem się, że wyprosił sobie u przełożonych, by razem z uczniami konwiktów uczęszczać do sali rysunkowej, gdzie lepsze od wielu innych robi postępy. Zakrystyana naszego kościółka chciałem nauczyć ministrantury, tydzień biedziłem się po godzinie dziennie, powtarzając mu pierwszy wiersz, którego on nazajutrz nie był w stanie powtórzyć. Miałem go za hebesa w najwyższym stopniu, tymczasem po kilku dniach pokazywano mi jego wyroby ręczne; były to małe okręciki, łódki i tym podobne zabawki wykonane nie tylko starannie, ale z pewnym smakiem i artystyzmem. Podobnie kucharz w godzinach popołudniowych bawił się pędzlem, malując niezłe obrazy olejne, woźnica rzeźbił w kamieniu, i t. d.

A cóż mówić o ich zdolności żeglarskiej. W tem im zdaje się nigdy nikt nie wyrówna. W czasie burzy w małej łódce puszczają się oni na otwarte morze, a śmiało im zaufać można, kiedy wezmą za wiosło, gdyż nie było przypadku, żeby jaki Maltańczyk dał się porwać bałwanom. We dwa tygodnie po przybyciu na Maltę chciałem się udać do Valetty z St. Julian. Wyszedłem z braciszkiem, który miał kilka sprawunków w mieście. Przyszliśmy do portu Maramuscetto, po którym krążą zwykle trzy małe parowce przewożące mieszkańców Sliemy i St. Julian do Valetty, spostrzegliśmy, że nie masz żadnego, w dzień bowiem burzliwy nie mogą przybić do brzegu; za to łódek było pełno, wskoczyliśmy w jedną z nich i dalej na morze. Przestrzeń nie wielka, parowiec przebywa ją w 8-miu minutach — nie nam się nie stanie. Tymczasem jak zaczęły bałwany rzucać łódką, raz na grzbiecie fali wyjechała na szańcu w górę, to znowu zapada się w głębinę. Strach mnie wziął, ale się wstydził przyznać, bo mój towarzysz śmiał się i niewiele sobie z tego robił. Mało umiając po angielsku,

pytam go: *is no perilous?* — a on na to: *no danger*. Nie rozumiałem co to znaczy *danger*. Po kilku minutach powtarzam me zapytanie, i znowu tąż samą otrzymuję odpowiedź, która mnie tyle uspokoiła co pierwszą razą. Kiedy przyszło do niebezpiecznego skrętu, pytam już na migi, co będzie, jak nas wyrzuci do morza? Na to pokazuje mi braciszek silnem wyciągnięciem ramion, że trzeba będzie pływać. Winszuję! pomyślałem sobie, — dobre to dla ciebie, który pływasz jak wieloryb, ale co ja zrobię z memi lichemi płucami, umiając pływać trochę lepiej jak siekiera. Istotnie każdej chwili oczekiwałem katastrofy; ale obawy skończyły się; po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u brzegu, — woda nas tylko obryzgała. Wiele razy później przebywałem tę samą drogę w czas daleko gorszy, ale już bez żadnego strachu, owszem z uciechą patrząc, jak łódka zgrabnie przeskakiwała po grzbietach bałwanów. Prawda, nieraz wiosłarzom żyły przeżyły się na czole, i kładli się formalnie na wiosłach, ażeby się nie dać porwać falom; ale katastrofy od niepamiętnych czasów nikt tu nie doznał. Za ciężką zaś pracę, wynagrodzenie jakżeż szczupłe: wszystkiego cztery penny, niespełna 20 naszych centów.

Do dodatnich stron wyspiarzy tutejszych należy ich trzeźwość. Spotkać pijanego Maltańczyka jest istotnie rzadkością — trafić mu się to może jedynie w porcie, gdzie się kuma i pije z przyjezdnymi majtkami, albo też w czas karnawału, kiedy szaleje ze zwyczaju — zresztą nigdy. Zły w tej mierze przykład dają Anglicy, zwłaszcza ich majtkowie i żołnierze, których wieczorami, a zwłaszcza w niedziele i święta pełne są grocernie i winiarnie.

Strój Maltańczyka prosty i niewyszukany, jak jego osoba. Zajęty dzień cały pracą, czy to około roli, czy przy budowie, czy też przewozem kamieni, obchodzi się on bez surduta, który przywdziewa jedynie w niedziele i święta; zresztą i czapka sukienna z szerszym dnem u góry, a dwoma wstążkami czarnemi z tyłu; w głębi wyspy ta czapka przybiera formę dość długiego worka, który na bok głowy opada, dalej koszula kolorowa, kamizelka; spodnie z ciemno-granatowego sukna; biodra opasane wąskim szalem kolorowym, a na nogach miasto obuwia podeszwa, często drewniana, przymocowana do nogi szerokim pasem skóry na przodzie. W lecie, czapkę zastępuje kapelusz słomkowy krajowego wyrobu,

a w miejsce sukna drelich. Kobiety jedynie zatrzymały strój narodowy i nader skromny. Składa się on z czarnej, dość obcisłej sukni z takimże stanikiem i *faldetty*. Jest to zasłona zrobiona z dość grubej jedwabnej materyi, mająca kształt fartuszka, bez wstążek, którą osłaniają głowę w sposób przypominający strój zakonnicy. Wygląda to jeśli nie pięknie, to tajemniczo i oryginalnie, a w każdym razie jest niemałą oszczędnością, bo nosząc *faldettę*, nie potrzebują się kłopotać o coraz nowe mody kapeluszy, a do tego zbędną staje się dla nich parasolka. Ale tę oszczędność nagradzają sobie noszeniem bogatych naszyjników ze złota lub srebra, bransolet, łańcuchów, kuleczek, które swym blaskiem tembardziej odbijają się od ciemnego tła. Strój to powszechny u klas niższych i średnich, a nawet niektóre z zamożniejszych mieszczek go używają. Wszakże nierzadko już spotkać można, obok mamy po staroświecku ubranej, córeczkę nowomodnie wystrojoną; a przyczynę tej zmiany, czy zawsze mamie przypisać należy — nie wiem.

Trudność nie małą w zbliżeniu się do tutejszych mieszkańców stanowi ich mowa, a raczej gwara. Pretensyi bowiem do nazwy języka rościć sobie ona nie może, nie posiada bowiem żadnej literatury; kilka książek do nabożeństwa i kilkanaście powiastek, to całe jej bogactwo piśmienne językowe. A jednak jest ona powszechna tak, że kazanie i nabożeństwo dodatkowe w tym języku się odbywa, wyjąwszy dwu kościołów, dla Anglików przeznaczonych. Zresztą, wedle ostatniego wykazu urzędowego, 16.590 umie mówić, czytać i pisać po angielsku, lub włosku. Umiejąc jeden z tych języków, można sobie dać radę po miastach i portach, hotelach, sklepach, z wioślarzami i fiakrami. W klasach wykształceńszych dość pospolity jest język francuski, a obok tego spotkać się można z greckim, tureckim i arabskim, zwłaszcza w porcie Valecie, gdzie się snuje wciąż mozaika ludzi różnej narodowości, stroju, koloru twarzy i języka.

Kiedym przybył na Maltę, właśnie rozpoczynała się zima. Jedna tylko figa utraciła swe liście, zresztą nic tu zimy północnej nie przypominało. Uginały się i złociły drzewa od cytryn i pomarańcz, kwiatów było pełno w ogrodzie, róże płonęły, a ciepło było i przyjemnie, jak u nas w czas najpiękniejszej wiosny. To nie Włochy pomyślałem sobie, gdzie polskie zimno przejmie czło-

wieka, a nie ma polskich pieców, ani wilezur, ani szopów, a bodaj baranków naszych, w które się zakutawszy kpić można z mrozu. Ale niestety i tu się przerachowałem. Skończył się piękny grudzień, styczeń od Nowego roku rozpoczął się gromami i ulewą. I lało dzień jeden, drugi, ba piąty i dziesiąty — słowem dwa całe tygodnie. W noc najczęściej burze, huragany, grzmoty, w dzień za to słońce zaświeciło i ogrzało, termometr spadał na 60⁰ Fahrenheita, i jakoś się żyło cały miesiąc. Ale w końcu stycznia zaczęły się burze i deszcze z gradem dzień po dniu; a grad zwłaszcza, co jeden stopnieje, to już drugi tłucze się po oknach. Termometr spadał niekiedy na 40⁰ i niżej; w pokoju zimno dokuczliwe i wilgotne. Na ulicę nosa pokazać niepodobno, nie pomaga zamknąć się w pokoju, bo wieher przedziera się przez okna, które tu, ma się rozumieć, bywają pojedyncze, przez drzwi i przez komin. O szczęśliwy, kto ten ostatni posiada, bo to zbytek znany tylko w zamożniejszych domach. Pieców tu niema, tylko kominki, podobne do naszych staropolskich, w których nie pryskajacem łuczywem, ale węglami poprostu się pali. To też jak Westalka dawnej Romy pilnowałem dniem i nocą tego ognia i utrzymywałem z biedą możliwą temperaturę; inaczej byłbym tu skostniał był od zimna — na widoku Afryki.

Dnia 26 lutego wieczorem usiedliśmy do wieczerzy, kiedy uderzył nas niezwykle o tym czasie odgłos dzwonów z pobliskiego kościoła. Zrazu nie zważaliśmy na to, sądząc, że to jakaś pomyłka; ale kiedyśmy po wieczerzy wyszli na ganek, słyszymy dzwony z wszystkich pobliskich kościołów, bijące jakby na alarm jaki. Czy to ogień? czy zalew jaki morza? pytamy jeden drugiego, ale nie mogąc odgadnąć przyczyny, posyłamy z zapytaniem do pobliskiego kościoła. Przyniósł wkrótce służący odpowiedź: „to wezwanie do modlitwy, bo *Lebeccio* zawiał“. Tak tu zwał wiatr zachodniopółnocny. W istocie nad wieczorem wiatr się zmienił, miasto zimnego, który od kilku dni panował, powionął prąd wichru, ale tak ciepłego, że termometr, jak wrzątkiem obłany podskoczył o 20 kilka stopni w górę. A tchnienie tego *Lebeccio* tak silne i zgubne, że suszy ziemię, parzy zasiewy, a największe spustoszenie czyni w ziemniakach. Tak się tu wiosna zainaugurowała, prawdziwie po

afrykańsku. Na drugi dzień cała wyspa, owszem morze dokoła było mgłą grubą pokryte, tak że nie dojrzeć nie było można.

Marzec i kwiecień z wiosny, a październik i listopad z jesieni należą do najpiękniejszych miesięcy — lato tu skwarne bardziej niż w północnej Afryce. Przeglądałem metereologiczne sprawozdania z kilku lat; na słońcu dochodziła temperatura do 150 i wyżej stopni, w cieniu najniższa temperatura 60—70, najwyższa 90—100. Uczucie ciepła a nawet i samo gorąco zwiększa tu ta niezliczona ilość białego kamienia, przyczem blask słońca staje się tak rażąco jasny, że nawet w zimie na słońcu z trudnością przychodziło mi czytać przez czas dłuższy; wkrótce mieniło mi się w oczach i łzy zachodziły...

Na tym nieco dzikiem tle geograficznem jest wiele ciekawych pomników historyi i sztuki, ale to obszerniejszy przedmiot, który do przyszłego listu zostawiam.

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.



SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

HARCE PRZED BITWĄ O SZKOŁĘ WYZNANIOWĄ. Przez	
<i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	227
KONGRESY KATOLICKIE. Przez <i>Redakcyę</i> (Dodatek)	1

Artykuły naukowe i literackie.

STANISŁAW RZEWUSKI na podstawie jego zapisków i własnych wspomnień. Przez JE. <i>Pawła Popiela</i> . .	1
ELEKCYA KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA WAZY na tron moskiewski 1609—1611. Przez <i>Stanisława Kozłowskiego</i> (c. d.)	20, 207
Z PRZESZŁOŚCI UNIwersYTETU KRAKOWSKIEGO. Wisnka-Wistka, św. Floryan, Ks. Dr. Wyszuka i Marcin Bielski. Przez <i>Dr. Władysława Wisłockiego</i> (c. d.)	40
STANISŁAW STWOSZ. ZŁOTNIK I RZEŹBIARZ (ur. około r. 1464, † 1530). Przez <i>Leonarda Lepszego</i> . .	53
KILKA SŁÓW O GENEZIE PEDAGOGII. Przez <i>Ks. Gadowskiego</i> (c. d.)	62, 177
DAWID URQUHART I KWESTYA WOJNY. Przez <i>Ks. M. Morawskiego T. J.</i>	153
SPRAWA WÓDCZANA ZE STRONY ŻYCIOWEJ. Przez <i>Ks. Marcina Czermińskiego T. J.</i>	195

O DACIE NARODZENIA ŚW. JANA KANTEGO i o jej
500-letniej rocznicy w roku przyszłym. Przez *Ks.*
Dr. J. Bukowskiego

255

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

SPRAWOZDANIE Z POSZUKIWAŃ W ARCHIWACH I BIBLIOTEKACH RZYMSKICH A SZCZEGÓLNIJ W ARCHIWUM WATYKAŃSKIM. 1) O materyałach do dziejów polskich w wiekach średnich. Przez <i>Dra Władysława Abrahama</i> . 2) O materyałach do dziejów polskich w XVI i XVII wieku. Przez <i>Dra Bro-</i> <i>niława Dembińskiego</i>	79
COLLEGIUM NOBILIUM STANISŁAWA KONARSKIEGO. Przez <i>Flor.</i> <i>Łagowskiego</i>	86
DEWAJTIS. Przez <i>Maryę Rodziewiczównę</i>	87
OSTATNIA STAROŚCINA ZWINOGRÓDZKA. Zarys dziejów kreso- wego miasteczka. Przez <i>Jana Iglowskiego</i>	88
DZIEJE NARODU POLSKIEGO w krótkości i przystępnie streszczone dla dzieci ludu polskiego. Przez <i>Wielkopolankę</i> (Wandę z Szymańskich Reichsteinową).	89
SKAŁKA z KOŚCIOŁEM ŚŚ. MICHAŁA I STANISŁAWA W KRAKOWIE. Źródłowo opracował <i>Ludwik Żurewicz</i> (<i>Ks. J. Badeni</i>)	89
OBRAZY CUDOWNE W DAWNYM POWIECIE ŁOWICKIM (Łowicz, Domaniewice, Miedniewice)	90
SPOWIEDNIK DZIECI I MŁODZIEŻY. Przez <i>Le R. P. L. J. M. Cross</i> . Przełożył na język polski <i>Ks. M. Nowakowski</i>	91
APOSTOŁ WARSZAWY czyli ŻYWOT BL. KLEMENSA MARYI HOF- BAUERA, wikarego generalnego zgromadzenia Redemptory- stów. Napisał <i>Ks. Bernard Łubieński</i> , członek tegoż Zgro- madzenia	92
MUZYKA KOŚCIELNA, wydawnictwo poświęcone duchowieństwu, organistom i miłośnikom muzyki liturgicznej	279
PRZEJŚCIE POLAKÓW PRZEZ NIEMCY po upadku powstania listo- padowego. Skreślił <i>L. Gadon</i>	282
HENRYK SCHMITT. Życiorys spisany na podstawie dokumentów i korespondencyj	283

Z piśmiennictwa zagranicznego:

O POMOCY DLA LUDNOŚCI WIEJSKIEJ W XIX WIEKU (De l'assi- stance des classes rurales au 19 siècle). <i>P. Leon Lallemant</i>	93
DEL PARADISO. <i>P. Secondo Franco D. C. d. G.</i>	102
SACRAMENTUM POENITENTIAE secundum omnes decisiones Sa- crarum Rom. Congregationum. <i>Januarii Bucceroni</i> . (<i>Ks.</i> <i>M. Czerwiński T. J.</i>)	103
DER UNTERSCHIED ZWISCHEN DER KATHOLISCHEN UND EVAN- GELISCHEN SITTlichkeit. Von <i>Schulze</i> (<i>Ks. Arndt T. J.</i>)	104
DISQUISITIONES SCHOLASTICO-DOGMATICAE, quas legebatur <i>Valen-</i> <i>tinus Casajoana S. J.</i> (<i>Ks. M. Czerwiński T. J.</i>)	107
CLARE VAUGHAN. By <i>Lady Lovat</i>	108
RENAISSANCE PHYSIQUE. Par <i>Philippe Daryl</i>	109

	Stronnice.
ACTA SANCTORUM Novembris (Bollandistarum)... (<i>Ks. Marcin Czerwiński T. J.</i>)	262
DIE BESETZUNG DER BISTHÜMER IN UNGARN in historischer Entwicklung bis zur Gegenwart dargestellt von <i>Dr. Johann Reiner. (Dr. Zygmunt Lisiewicz)</i>	275
IMPEDIMENTORUM MATRIMONII SYNOPSIS seu brevis explicatio ad usum Seminariorum, auctore <i>G. Allegre</i>	277
SOBIESKI ET LA MISSION DE LA POLOGNE. Par le baron <i>Kervyn de Volkaersbeke</i>	277
LE PERIL DE LA SEPARATION DE L'EGLISE ET DE L'ETAT. Par <i>Fernand Butel</i>	278
Rozmaitości	285

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Kwiecień.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Wniosek szkolny Windthorsta. — Rozprawy o szkole i Kościele w parlamencie wiedeńskim. — Nowe ministerium we Francji i we Włoszech. — Mowa Ojca św. do kardynałów. — Broszura o kwestyi rzymskiej hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych. — Uchwała parlamentu w Ekwadorze. — List prezydenta ekwadorskiego i odpowiedź Papieża. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	111
Z CHRONOLOGII BIBLIJNEJ	121
Z PALESTYNY: Niezycliwe sądy o Palestynie. — Czy prawdziwe? — Różne zwyczaje. — Zareczyny i wesele. — Małżeństwa mieszane. — Chrzty. — Nabożeństwa. — Postać i ubiór. — Ruiny. — Starożytne pamiątki. — Litwin w Tyberyadzie — Tabor. — Karmel. — Wiadomości bieżące. Przez <i>O. Norberta Golichowskiego, zakonu OO. Bernardynów</i>	140
Z DZIEDZINY NAUKI I ODKRYĆ: Przyczyna samobójstw. — Stan umysłu konających. — Pochodzenie nafty. Przez <i>E. Wereszczyńskiego T. J.</i>	148
KORESPONDENCYA REDAKCYI	152

Maj

SPRAWY KOŚCIOŁA: Manifestacye antykatolickie w Rzymie. — Zamachy na O. Augustyna de Montefeltro. — Interpelacye w senacie. — Crispi o pomniku Giordana Bruno. — Pogrzeb cywilny rewolucjonistki z r. 1848. — Memoryał biskupów bawarskich i odpowiedź rządu. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	286
Z MALTY: I. Przybycie na Maltę. — Kłopoty na statku. — Położenie Malty. — Troska Anglii o jej zatrzymanie. — Porty i zatoki. — Obszar — Zaludnienie nadzwyczajne. — Wygląd zewnętrzny. — Charakter ludu, ubiór, język. — Klimat wyspy. Przez <i>Zdzisława Bartkiewicza T. J.</i>	293

Czerwiec.

Kongres katolicki odbyty w Wiedniu od 29 kwietnia do 3 maja 1889.

(Osobna paginacja).

ARTYKUŁ WSTĘPNY: Kongresy katolickie	1
POSIEDZENIE WSTĘPNE dnia 29 kwietnia.	14
Mowa hr. Blome.	26
" dra Luegera	32
" hr. Tarnowskiego	35
I. POSIEDZENIE UROCZYSTE dnia 1 maja.	44
Mowa Ks. Jana Müllera	46
SEKCJA SZKOLNA: I. Posiedzenie: O szkołach średnich	69
Mowa O. Abel'a T. J.	69
II. Posiedzenie: Uniwersytety katolickie	91
III. Posiedzenie: Szkoły ludowe	94
SEKCJA SOCYALNA: I. Posiedzenie: Świecenie niedziel, mieszkania robotników	101
II. Posiedzenie: Kwestya robotnicza.	103
Mowa O. W. Kolb'a T. J.	104
III. Posiedzenie: Dalszy ciąg poprzedniej	116
IV. Posiedzenie: O stowarzyszeniach S. Rafała	119
V. Posiedzenie: Kwestya włościańska	120
Mowa Wł. Kozłowskiego	126
SEKCJA PRASOWA: I. Posiedzenie: O rozszerzaniu prasy katolickiej	135
II. Posiedzenie: O dzienniku <i>Vaterland</i>	139
III. Posiedzenie: O towarzystwach assekuracyjnych dla dziennikarzy i ustanowieniu biur informacyjnych.	142
Mowa Ks. Prof. Chotkowskiego	143
SEKCJA NAUK, SZTUKI I LITERATURY:	
I. Posiedzenie: O badaniach nad lokalną historją kościelną; o filozofii chrześcijańskiej i apologetyce	149
II. Posiedzenie: O dyecezalnych muzeach; o muzyce i sztuce kościelnej; o naukach przyrodniczych	153
Mowa Dra Pertnera	156
III. Posiedzenie: O wrogiej wierze i moralności belletrystyce	173
SEKCJA: O ŻYCIU I STOWARZYSZENIACH KATOLICKICH:	
I. Podsekcya Stowarzyszenia dobroczynne	178
II. Podsekcya: Katolickie stowarzyszenia studentów	180
III. Podsekcya: Misye katolickie	181
IV. Podsekcya: O życiu katolickiem	182
Mowa Ks. Prof. E. Skrochowskiego	183
V. Podsekcya: O politycznych stowarzyszeniach katolickich	196
I. WALNE ZEBRANIE UCHWAŁAJĄCE WNIOSKI d. 1 maja	197
Mowa Ks. Piurko	197
II. WALNE ZEBRANIE UCHWAŁAJĄCE WNIOSKI d. 2 maja	200
II. POSIEDZENIE UROCZYSTE d. 2 maja	203
Mowa Księcia Liechtensteina	206
WNIOSKI przedłożone na kongresie.	221

KONGRESY KATOLICKIE.

Przed rokiem o tej porze snuła się po wszystkich drogach pielgrzymka narodów do Watykanu. Mówiono, że podobnego obchodu jeszcze świat nie widział. Dziś odbywają się kongresy katolickie: wiec katolików hiszpańskich w Madrycie, wiec katolików portugalskich w Oporto, wiec katolickich stowarzyszeń belgijskich w Mechlinie, wiec katolików francuskich w Paryżu, wiec katolików urugwajskich w Montevideo, wiec katolików austriackich w Wiedniu. To wszystko w ciągu jednego miesiąca.

Cóż to znaczy? To ciąg dalszy tego samego ruchu katolickiego, to nowy objaw ducha, który wieje — objaw może mniej uroczysty, niż pielgrzymka i wystawa watykańska, ale nie mniej żywotny i potężny. To gniewa urzędowe Włochy, które same się w to fatalne wepchnęły położenie, że każdy znak życia katolickiego musi je urażać; to oburza liberałów całego świata, przeraża łoże, dziwi niedowiarków... Ale inaczej być nie może. Życie katolickie idzie naprzód, wzrasta ponad głowami wrogów. Ha! gdyby w ich mocy było je zgniebić, jużby go dawno nie było na świecie.

Taka jest natura, taka dziejowa przeszłość tego życia katolickiego, że ono może wprawdzie usypiać przejściowo — jak usypia drzewo w przeciągu zimy — ale po każdej takiej zimie, kiedy ludzie nieogłędni, nieznający historii, mówią już o usychaniu drzewa, raptem pęd młodych soków okrąża jego

konary, drzewo Chrystusowe zazielenia się, unają, i rośnie dalej, aż konarami swemi ogarnie całą ziemię. A każde takie odrodzenie ma swój odrębny charakter, spokrewniony z warunkami wieku. Raz, jak w XII stuleciu pod technieniem św. Franciszka, wieje po Europie duch ewangelicznej prostoty, miłości i wzgardy świata; drugi raz, jak w XVI-tym pod silnem parciem soboru trydenckiego, katolicyzm reorganizuje się hierarchicznie. Ale zawsze ten sam korzeń katolicyzmu tkwi głęboko w duszach, a siła życiodajna zawsze zstępuje z nieba.

Dziś ten pęd życia przybiera formę kongresu, bo dzisiaj świat stał się parlamentarnym. Wytracono władzę monarchom, z którymi Kościół był przymierze uczynił; powiedziano ludowi: Ty jesteś panem. — I owszem! Kościół zwrócił się do narodów — i otóż narody odpowiadają na wiecach, że są wierne Kościołowi. Ten sojusz może być jeszcze lepszy od tamtego. Gazety liberalne, jak *Temps*, gorszą się tem przystosowaniem się do ducha czasu, który się potępia. Ależ to nie nowina, że katolicyzm przystosowuje się do form czasu bieżącego — tylko w te formy wlewa swego ducha. To też jaka różnica między parlamentami, a temi kongresami katolików! Tam nieskończone spory, sprzeczność w samym punkcie wyjścia tj. zasadach, dążność wyłączna do zwycięstwa partyi, (chyba, że o abstrakcyach tylko mowa, jak na zjazdach naukowych). Tu jedność w zasadach, porozumiewanie się co do sposobu wprowadzenia ich w czyn, spójnia serc tak rdzenna, że panuje nad rozdziałami partyj i narodowości. Stąd każdy, co zdaleka przyjeżdża, czuje się owianym jakąś ciepłą atmosferą, każdy czuje się u siebie, choć między ludźmi innego języka i innych sfer, widzi się jakby wydobyty z ciasnego zakątka swoich miejscowych interesów i postawiony na wyżynie o widnokregu tak wielkim, jak wielkim jest świat katolicki¹.

¹ Każdy, mówię, doznaje takiego wrażenia, kto przyjeżdża na kongres jako katolik, ażeby słyszeć i radzić o sprawach katolicyzmu; bo jeśli kto przybywa na taki kongres, jak niegdyś zjeżdżano na sejmy polskie: aby otrzymać przywilej na sąsiedni staw królewski, albo jak się dziś przyjeżdża do pewnego parlamentu: na targ interesów prowincjonalnych, to nie dziwnego, że takiemu nie swojsko na kongresie.

Rozprawy obejmują wszystkie strony życia chrześcijańskiego, i publiczne i domowe: i najwyższe prawa Papieża i krzywdy cierpiącego robotnika, i prawodawstwo i administrację, i szkołę po wszystkich jej szczeblach, i prasę i nauki i sztukę, i zakłady miłosierdzia i dzieła misyjne. W tych wszystkich kierunkach zdaje się sprawę z poczynionych już postępów, wytyka się niedostatki, obmyśliwa się środki do naprawy tychże i broń do dalszych zdobyczy. Zwolna rozwija się, z jednej wspólnej myśli płynący, ten sam w najogólniejszych zarysach, w szczegółach różny, stósownie do krajów, potrzeb, okoliczności, plan walki i program działania: droga wskazana, hasła wydane, umysły i serca widokiem mężnych towarzyszków broni, opowiadaniem ich usiłowań i zwycięstw na niejednym polu, do wytrwałej pracy pokrzepione.

Ależ to jeszcze nie czyni, nie zwycięstwa, to tylko słowa! Zapewne, to są słowa, ale te słowa tryskają z głębokich przekonań, wyrażają i potęgują prądy myśli — a prądy myśli, jak wiadomo, wdrażają czyny i wyźlabiają koryta historii. To też nikt naprawdę w Europie nie lekceważy tych kongresów. Jedni się zrzymają i niemal pienią, jak żydowska prasa wiedeńska i wiele gazet włoskich, drudzy, nawet z pomiędzy nieprzychylnych katolicyzmowi, uznają doniosłość tego objawu. „Gdyby kto przed dziesięciu laty, mówi słusznie jeden z liberalnych dzienników francuskich, chciał się być zabawić w proroka i skreślił choć w osłabionych kolorach niepowstrzymany niczem, rzecz można, ruch katolicki, którego dziś jesteśmy świadkami; ktoby wówczas powiedział: Nie minie lat dziesięć, a z wszystkich niemal krajów Europy podniesie się okrzyk: Oddajcie Bogu co boskiego, Papieżowi co papieskiego, Kościołowi co mu się należy — proroka takiego okrzyczanoby za waryata. Dziś, mówmy co chcemy, nieprawdopodobne to proroctwo spełniło się; katolicy porachowali się, poculi i zrozumieli swą siłę, i odtąd trzeba się będzie z nimi inaczej niż dotąd rachować!

I to właśnie wszystkich liberałów, gazeciarzy i polityków gniewa i oburza. Po co tu religia, mówią, wkracza w politykę? czemu się miesza do zagadnień ekonomicznych, socyalnych?..

Oniby chcieli, żeby katolicyzm zamknął się w sercach; pod tym warunkiem żyłby mu pozwolili — ażeby wszystkim innym oczywiście rozrządzał wszechwładnie liberalizm.

Ale darmo! Katolicyzm w sercach zamknąć się nie może — bo jak mu się odbiera zewnętrzne warunki, środki utrzymania kleru, szkołę, prasę, uniwersytety — to się go i z serc ruguje. Katolicyzm w sercach zamknąć się nie może, bo on musi świat podbić; musi do tego dążyć, żeby i familia i szkoła i prawodawstwo i sądy i administracya i fabryka i stosunki między klasami społecznymi, między władzą a podwładnymi były ustrojone podług zasad ewangelii; on musi sprawić, żeby wszystkie ludy od bieguna do bieguna przyjęły ten ideał i urzeczywistniły myśl Chrystusową, królestwo Boże na ziemi.

Ktokolwiek zna katolicyzm, ten rozumie ten mus. W Bizancyum, jak trafnie zauważył Sołowiew¹, inaczej pojęto religię Chrystusową: tam Bogu oddano modlitwę, świątynię, skitę pustelniczą — a resztę, tj. całe życie publiczne i społeczne przyznano Cesarowi, po starorzymsku pojętemu. Ale katolicyzm nie zna tego przepołowienia, On świadom jest Bożej misyi, jaką otrzymał na odrodzenie całej ludzkości. Kto nie wierzy tej misyi, niech się nie trwoży, niech sobie mówi z mądrym Gamaliele²: „Jeśli to czysto ludzka sprawa, to sama się rozchwieje, a jeśli z Boga, to niepodobna jej zepsować“. Kto zaś jest katolikiem z przekonania, ten cieszyć się powinien z każdego kroku naprzód, z każdej nowej afirmacyi katolicyzmu, wierzyć, że każda zdobycz katolicyzmu jest zdobyczą absolutnej prawdy i dobra ludzkości, ufać w końcowe zwycięstwo. *Confidite, ego vici mundum.*

Przypatrzmy się teraz bliżej samym kongresom. Kto w nich uczestniczył?

W kongresie madryckim, którego obrady trwały cały tydzień, brało udział przeszło 2000 osób ze wszystkich warstw społecznych; obok biskupów i prałatów, obok osobnej depu-

¹ W trzech artykułach umieszczonych w *l'Univers*, w sierpniu 1888.

² Akt. V. 38.

tacy, wysłanej na ten wiec przez katolików niemieckich, zasiedli przedstawiciele uniwersytetów i wszystkich poważnych politycznych stronnictw, jak profesor wszechnicy saragosskiej, margrabia *del Valle Ameno*, głośny filozof i publicysta *Orti y Lara*, *Menendez y Pelayo*; dziekan wydziału prawnego na wszechnicy Valladolidzkiej *J. F. Mambrilla*, profesor uniwersytetu centralnego *Vilanova y Sanz*, były prezes ministrów *Canoas del Castillo*, były minister oświaty *Pidal y Mon*, bardzo wielu członków najwyższej arystokracji. Na wiec w *Oporto*, zebrany za inicjatywą biskupa z *Lamego* i *hr. de Samodacs*, przysłali wszyscy biskupi portugalscy swych przedstawicieli; wiele uczonych stowarzyszeń i najznakomitszych rodzin oświadczyło bądź przez swych reprezentantów, bądź w gorących listach i telegramach, że z góry zgadzają się całym sercem na wszystkie uchwały kongresu. W Paryżu obradowało 18-te powszechne zgromadzenie katolików francuskich pod honorową prezydencją paryskiego arcybiskupa, kard. *Richarda*, a rzeczywistym przewodnictwem jednego z najenergiczniejszych katolików francuskich, *Kellera*, posła z Belfortu, który zastępował chorego *Chesnelonga*. Nie mniej świetny i pocieszający widok przedstawiał wiec w *Malines*, otwarty 29 kwietnia przez prymasa Belgii, *Goossensa*, obok którego na trybunie zasiedli: minister stanu *Jacobs*, były minister sprawiedliwości *Woeste*, senatorowie: *hr. de Ribancourt* i *de Bergeyck*, deputowani: *Fris*, *Halfonts*, *Schellaert*, burmistrz z *Malines*, wicehrabia *de Kerckhove*, profesorowie uniwersytetu: *Descamps*, *de Marboix*, *Hellepute* i t. d. Wiec ten liczył około 4000 uczestników.

Ale nie lęka się porównania z poprzednimi kongres katolicki w Wiedniu. Mniej liczny od innych, bo tylko 1500 uczestników gromadzący, odznaczał on się doborem znakomitości z całej monarchii Rakuskiej, obecnością 20 książąt Kościoła, kwiatu wielkich rodów monarchii, wielu członków izby panów i izby poselskiej, ludzi zasłużonych w nauce i w pracy publicznej. Odznaczał się więcej ten kongres doniosłością samego faktu swego zebrania. Ktoby był przewidział przed kilkoma laty, że w tym Wiedniu, w którym żydowski liberalizm stolicę

sobie założył i rządził wszechwładnie, równie w prasie, jak i w radzie miejskiej; że w tym samym Wiedniu, tak dziwnie ośpałym i obojętnym dla spraw wiary i Kościoła, przyjdzie do skutku tak piękna i potężna katolicka manifestacya? Dobrze się też stało, że właśnie w Wiedniu, a nie w innem jakim prowincyonalnem mieście, jak domagało się kilku bojaźliwszych, zebrał się kongres katolików austriackich; miejsce to zebrania świadczyć miało — jak się słusznie wyrażono — że i stolica katolickiego kraju, jeśli jeszcze nie jest, to zostać musi katolicką; przyczyniło się do nadania świetności samemu kongresowi; oddziałać musiało na wzbudzenie silniejszego katolickiego poczucia między wiedeńską ludnością, na poznanie przynajmniej żywotności i potęgi katolicyzmu.

Tak przedstawiały się te wiece katolickie niejako na zewnątrz. Wglądnąwszy w same ich obrady i prace, znajdujemy tę wszechstronność katolicką, obejmującą wszystkie gałęzie religijnego, społecznego i naukowego życia. Aby sprostać zadaniu, każdy kongres dzieli się na 4, 5, lub nawet 6 sekcij, które obradują równocześnie, każda osobno, nad wydzielonymi sobie przedmiotami. Fachowi w nauce, lub w życiu publicznym doświadczeni ludzie zabierają głos i roztrząsają podane wnioski i poruszone kwestye. Wreszcie na walnych zebraniach sprawozdawcy sekcij przekładają wnioski w pojedynczych sekcjach wygotowane, i głosami całego kongresu wotują się rezolucye, będące wyrazem sądów i żądań, prądów myśli i uczuć ludności katolickiej.

Na pierwszym miejscu między temi żadaniami wystąpiła na tych wszystkich kongresach sprawa politycznej niezależności Głowy Kościoła. Tak katolicy francuscy w Paryżu, jak belgijscy w Malines, jak i uragujscy w Montevideo roztrząsali i piętnowali bez ogródki stosunek rządu włoskiego do Stolicy św. Katolicy portugalscy poświęcili cały dzień rozprawom o tym przedmiocie, a stwierdziwszy, że Papieżowi nieprawnie własność jego zabrano, i że papieństwo potrzebuje terytoryalnej niezależności dla należytego spełnienia swego po-

ślannictwa, postanowili zgodnie wysłać do Ojca św. odpowiedni adres, zaopatrzony podpisami biskupów, duchowieństwa i jak największej liczby świeckich katolików. Najenergiczniej jednak wystąpili i na najszerze rozmiary kwestyę tę podjęli katolicy hiszpańscy. „Sprawa rzymska — mówił margrabia *de Vadillo*, a ustęp ten został niemal dosłownie powtórzony w adresie kongresu do Papieża — nie jest i być nie może sprawą wyłącznie włoską, ale z natury swej jest sprawą międzynarodową, w której o jakimś przedawnieniu nawet mowy być nie może. Czyż np. dlatego, że niektóre kraje jęczą po dziś dzień skute łańcuchem niewolnictwa, powiedzieć możemy, że prawo istoty ludzkiej do wolności uległo w krajach tych przedawnieniu?... Boski założyciel Kościoła nie zlecił najwyższej władzy duchownej wspólnie z tem, co do jej wykonywania jest niezbędnie potrzebnem, ziemskiemu jakiemuś Cezarowi, ale Papieżowi, przedstawicielowi swemu na ziemi. Papieństwo z samej istoty swej, mając sobie poręczony depozyt prawdy, światu potrzebnej i koniecznej, nie może podlegać kaprysom i zmiennym losom, które nic nie mają wspólnego z boskiem posłannictwem Głowy Kościoła, namiestnika Chrystusowego“. Na słowa te odpowiedzieli zgromadzeni przeciągłym, entuzjastycznym i raz po raz powtarzanym okrzykiem: „Niech żyje Papież — Król!“

W Wiedniu, gdzie wzgląd na trójprzymierze nakazywał unikać dłuższych i nie zawsze obliczalnych o tym przedmiocie rozpraw, a uczucia katolickie w żaden sposób pominąć go nie pozwalały, znaleziono z wielkim taktem najwłaściwszą formę. Na pierwszym posiedzeniu przyjęto przez aklamacyę wysłanie do Papieża telegramu, w którym zebrani „odnawiają wszystkie protesty poprzednich katolickich zgromadzeń austriackich przeciw zgwałceniu nienaruszalnych praw Kościoła, przeciw ograniczeniu wolności najwyższego jego Pasterza, jak również przeciw odjęciu mu koniecznej do należytego spełniania świętego Jego urzędu terytoryalnej niezawisłości“¹.

¹ Dokładny tekst podajemy następnie w „Obradach wiecu katolików austriackich“.

Te wszystkie głosy razem dosyć głośno mówią, że świat katolicki nie daje sprawy politycznej niezależności Papieża za wygraną, że uważa jego obecne położenie po 19 latach próby za krzywdę nieprzedawnioną. Doniosłości tej wielkiej, powszechnej manifestacyi nikt nie przeczy; ale to właśnie niepodobna się politykom. Pocóż tę kwestyę poruszać, mówią, kiedy to nie dogmat wiary, kiedy Kościół bez władzy doczesnej stać może. Władza doczesna nie jest oczywiście częścią istotną katolicyzmu, inaczejby nigdy nie upadła, jest jednak jedną z tych wielu doczesnych rzeczy, które Kościół prawnie osiągnął, i których potrzebuje do normalnego spełniania swego duchownego w świecie posłannictwa. Takimi są fundusze na utrzymanie kleru i misyj, takimi gmachy przeznaczone dla kultu i służb ołtarza, takimi szkoły kościelne, szpitale, cmentarze. Każda z tych rzeczy ziemskich odebrana być może Kościołowi bez zadania mu śmierci — owszem wywołując między wiernymi pewną reakcyę gorliwości i ofiarności. Ale, bądź co bądź, każde takie odebranie tego, co Kościół prawnie posiada, jest krzywdą mu wyrządzoną, raną zadaną. Otóż i polityczna niezależność Papieża jest jedną z tych rzeczy doczesnych, które Kościół prawnie posiadał, i których normalnie potrzebuje — rzeczą tym bliżej obchodzącą cały Kościół, że bezpośrednio dotyczy samej Głowy Kościoła. I póty katolicy nie umilkną, póki Papież nie odzyska takiej politycznej niezawisłości, jaką sam uzna za odpowiednią. Jeżeli w Meksyku szkółkę Siostrom miłosierdzia odbierają, ja się tu czuję pokrzywdzonym: bo jestem członkiem Kościoła, któremu tę krzywdę wyrządzają. A jakżeż mam być obojętnym, kiedy samą Głowę Kościoła mego wyzuwają z korony, którą od wieków posiadał, i która waruje w moich oczach niezależność jego duchowego zwierzchnictwa.

Ale przynajmniej u nas w Austrii, mówią nasi taktycy, w obec przymierza włoskiego niewczesną, niepolityczną rzeczą było podniesienie tej sprawy, — i to jest pierwszą przyczyną, czemu z nieco zachmurzonym obliczem patrzyli na ten kongres. Tej polityki, szczerze mówiąc, nie rozumiemy. Przecież

żaden rząd istnieć nie może bez opierania się na pewnych siłach i prądach duchowych w kraju istniejących; rząd zatem konserwatywny, jakim jest obecny rząd w Austrii, musi pragnąć w pierwszym rządzie ekspansji i zatwierdzania się katolicyzmu w całej pełni. Może być trudnem rządowi w pewnej chwili wszystkim życzeniom katolików zadość uczynić — czego zresztą nikt się od niego nie spodziewa; ale nie może mu to być niekorzystnem, że katolicy wszystkie życzenia swoje zatwierdzają, bo to jest naturalny rozwój siły, na której rząd się opiera. Gdyby milczeli i drzemali, jak w r. 1868 i 73, toby ich przegłuszyły krzyki liberalnych centralistów, i rząd mógłby się widzieć zniewolonym iść za mniejszością kraju — z własną swoją szkodą i z wielką krzywdą ogółu. Konserwatyzm — powiedzmy to raz przecież — nie na tem zależy, żeby iść za rządem, (inaczej ideałem konserwatystów byłiby Mamelucy), ale na tem, żeby iść przed rządem w drodze wytkniętej przez zasady zachowawcze. Rozumiem, że w wyjątkowych okolicznościach jakieś grono parlamentarne może się znajdować w konieczności iść za rządem; ale opinia i jej organa, prasa i wiece powinny iść wciąż przed rządem — i to tylko daje rządowi konserwatywnemu możność istnienia i siłę wytrwania w zachowawczym kierunku.

Druga kwestya, którą się także wszystkie kongresy katolickie zajęły, a która także nieco krwi zepsuła u nas w sferach półoficyalnych, to była kwestya socyalna. Kongres Brukselski niemal wyłącznie się nią zajął, ale najwybitniejszy dała jej wyraz sławna mowa ks. *Liechtensteina*. Wszyscy, co go słyszeli, twierdzą, że był porywający, że takiej mowy jeszcze nie słyszeli; jeden z Polaków mówił nam, że pieszo poszedłby do Wiednia, żeby jeszcze takiej mowie się przysłuchać. Do tego koncertu pochwał przymieszwały się jednak ostrzegające głosy: „Wara z ogniem“! pomawiano i dotąd niektórzy pomawiają księcia o pewne schlebianie socyalistom i antysemitom, o niebezpieczny sojusz z żywiołami palnymi, nieobliczalnymi, sojusz, który może zaprowadzić daleko dalej, niż sam śmiały mowca dziś przewiduje i zamierza. Ostrzeżenia

te, raczej gniewne, w słowach nieprzebierające zarzuty podniosła na pierwszym miejscu prasa wiedeńska; ale to głos interesowany i nie wiele znaczy, tem mniej, że prasa ta uciekla się nawet do fałszowania mowy księcia, do rozsiewania o nim najpotworniejszych baśni, byle mu w opinii zaszkodzić, znaczenie wystąpienia jego obniżyć. To dziwniejsza, że zarzuty te i obawy dzielają, choć w oględniejszej formie, i inne organa i żywiły, bezwątpienia dobrze usposobione, ale posuwające oględność, żeby nie powiedzieć trwożliwość, do zbyt może dalekich granic.

Ruch socyalny — to przyszłość; kwestya socyalna, to bądź co bądź tło, na którym zaczął się już zarysowywać obraz dziejów lat przyszłych. W obrazie tym, jak się dziś kształtować zaczyna, wiele bez wątpienia punktów ciemnych i groźnych; ale nie jest to również sama ciemność, samo złe, czysta negacya. Żądanie zmiany dziś panujących stosunków opiera się w wielkiej części na najprostszej, nieludsko nieraz zgwałconej sprawiedliwości, stąd ruch socyalny ma za sobą wiele słuszności; a zatem nie zgnieść go — co zresztą niemożliwem — ale opanować go i pokierować nim trzeba; a kto tego dokáže, ten będzie panem wieku dwudziestego. Któż zaś tego dokáže, jeśli nie katolicyzm? Kto pierwszy poważnie i na seryo nadstawił ucha skargom, wyraził szczere współczucie dla bólów klas pracujących, jeśli nie Kościół; kto nie dla własnego chwilowego interesu, nie dla czezej deklamacyi, ale z poczucia sprawiedliwości i na wierze w jednego Stwórcę i Odkupiciela opartego braterstwa, głosił i głosi wzajemne obowiązki łączące panów ze sługami, bogatych z ubogimi; kto, jeżeli nie Kościół brał i bierze zawsze w opiekę wszystkich uciskionych: niewolników w pierwszych czasach swego istnienia, później poddanych, dziś równie czarnych afrykańskich niewolników, jak białych po fabrykach i kopalniach?...

Dla czegoż więc przewodzca katolickiego stronnictwa w pewnym kraju, stronnictwa, które z natury rzeczy, jako duchem Kościoła przesiąknięte, w myśl jego działające, jest obrońcą wszystkich wyzyskiwanych, nie ma im powiedzieć:

„Ja z wami trzymam“? Tu nie idzie o burzenie, o gwałtem wymuszone dzielenie się własnością, ale o spokojnie, a sprawiedliwie przeprowadzoną zmianę stosunków prawnych i społecznych, które dając szczuplej garstce ludzi stokroć szkodliwsze i nielogiczniejsze przywileje od dawnych przywilejów szlacheckich, wytworzyły i tworzą dzisiejszą plutokrację.

Obok dwóch tych najważniejszych kwestyj: rzymskiej i socyalnej, zajmowały się kongresy całym szeregiem teoretycznych zagadnień i praktycznych pytań zastosowanych do potrzeb każdego w szczególności kraju; zwracały uwagę na najślabsze punkta, kreśliły program, organizowały katolicką działalność! Tak otwarty 26 kwietnia kongres w *Oporto* zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo grożące Kościołowi w Portugalii ze strony zwolna, ale stosunkowo dość znacznie szerzącego się protestantyzmu. Nienaturalny ten objaw jest wynikiem smutnej, zbyt szeroko rozgałęzionej obojętności religijnej, z którą na pierwszym miejscu trzeba stanąć do walki. Jako najskuteczniejszą broń w tym względzie wskazali mówcy: szerzenie dobrych książek, zakładanie ściśle katolickich szkół i stowarzyszeń dobroczynnych. Szczególnie polecono założone niedawno w Portugalii przez pewnego pobożnego kapłana, tak zwane „Rękodzielnie św. Józefa“, których głównem zadaniem dźwigać moralnie upadłe kobiety i mężczyzn; tudzież stowarzyszenie „Dobrego pasterza“, św. Wincentego i Sióstr Miłosierdzia. Wszystkie związki katolickie portugalskie powinny sobie wzajemnie dopomagać. Należy też koniecznie założyć stowarzyszenia rozszerzania dobrych książek darmo lub za mierną opłatą. Niezbędną jest również rzeczą dozwalać i ułatwiać pracę w portugalskich koloniach. Ostatniego dnia wybrali zebrani osobny komitet, mający się zająć urządzaniem corocznych kongresów katolickich w Portugalii; na rok przyszły zapowiedziany już jest kongres w *Braga*.

Na wiecu madryckim z głęboko pomyślanych, południowym zapalem płonących przemów, z cytowanych wymownych szczegółów i przykładów poznać można było, jak Hiszpanie

Kościół miłują, i jak, bądź co bądź, życie katolickie świetnie się po dziś dzień w ojczyźnie ich rozwija. Tak np. *O. Toribio Minguella* odczytał memoriał o założonych w r. 1852 przez *Don Miguela Martineza y Sanz* „Służebnicach Maryi“, które obecnie liczą 500 zakonnic a 43 klasztorów, 39 w samej Hiszpanii, a 4 w koloniach. *Olivares Bicc* opowiadał historię powstałych w r. 1876 „Sióstr św. Teresy od Jezusa“, pracujących dzisiaj w 27 klasztorach. *Hr. Esteban Crespi y Valdama* zwrócił znów uwagę na świetniej jeszcze rozwijający się instytut „Sióstr ubogich“; *Don Fernandez Laredo* na stowarzyszenie pań katolickich, które w samym Madrycie zapewnia katolickie wychowanie i chroni od protestanckiej zarazy około 4000 chłopców i dziewcząt.

„Obowiązkiem naszym jest, wołał mowca, zająć się bardziej szkołami; dojść, bądź co bądź, choćby ceną najwyższych ofiar do tego, aby szkoły nasze były rzeczywiście, w najściślejszem słowa tego znaczeniu, szkołami katolickimi“! „Państwo, mówił wśród głośnych, bezustannych oklasków profesor seminarium madryckiego, *Don Perez Revilla*, postępuje bezprawnie, ograniczając wpływ Kościoła na wychowanie; niszczy w ten sposób prawo i obowiązek ciążyący na rodzicach, którzy niosąc dziecko do chrzcielnicy, oddają tem samem jego duszę pod zarząd i władzę Kościoła, zapisują swe dziecko w szeregi nie europejskich czy afrykańskich pogan, ale w szeregi wierzących słowem i czynem, przekonaniami wiarę swą wyznających katolików“. Dyrektor szkoły św. Izydora w Madrycie, *M. Manuel Bustamente* rozwinął praktycznie myśl poprzedniego mowcy, ostro krytykując szkoły państwowe, a domagając się wolności nauczania. Państwo pragnie i zdąża do zaprowadzenia jedności w wychowaniu narodowem, a nie spostrzega, że tolerując w pośród ludu wyłącznie katolickiego, wyuzdaną wolność prasy i wyznań, najsilniej podkopuje tę jedność. Jakieżże zresztą kryterium kieruje się rząd w szkołach publicznych? Katolicy domagają się, a obowiązkiem rządu jest im udzielić zupełnej wolności nauczania, i co za tem idzie, prawa udzielania akademickich stopni. Hiszpańscy ka-

tolicy, za przykładem francuskich i belgijskich swych braci, stanąć powinni i staną do ważnej tej walki, a da Bóg! — zwyciężą! W nie mniej gorących słowach przemawiał głośny uczony i były minister *Pidal y Mon* przeciw dzisiejszym szkołom, zwłaszcza przeciw uniwersytetom, które w imię fałszywej filozofii wykluczają chrześcijańską prawdę. Margrabia *de Solana* zalecił założenie odrębnego komitetu, mającego na celu odpięrać napaści wrogiej Kościołowi prasy, i przedłożył plan stowarzyszeń dyecezalnych dla ułatwienia prawnej obrony zbyt często niesprawiedliwie, w imię niesprawiedliwych lub źle zrozumianych praw, zasądzanemu duchowieństwu i zakonowi. Ważnym a jedynym w swoim rodzaju był szereg rezolucyj przedłożonych przez *Walentyńa Gomez'a*, określających chrześcijańskie zapatrywanie się na nowoczesny teatr i obowiązki, jakie odnośnie do teatru przypadają katolikom w udziale. Teatr dzisiejszy, dowodził *Gomez* jest w ogóle mówiąc, siedlskiem i ogniiskiem niemoralności. Aby źle szerzone przez teatru jeśli nie zupełnie usunąć, to przynajmniej w miarę możliwości zmniejszyć, należy:

1) Domagać się od rządów ustanowienia cenzury mieszanej, która zastępując braki niedostatecznego prawodawstwa, zakazywałaby wystawiania sztuk dramatycznych, treścią swą, formą lub sposobem odegrania podkopujących moralność.

2) Domagać się od dzienników katolickich, aby nie robiły reklamy i nie polecały pod żadnym warunkiem teatrów wystawiających tego rodzaju sztuki; pobudzać prasę do nieustannej walki z niegodziwymi tendencjami przewrotnej teatralnej literatury; zachęcać prasę do umieszczania wyrozumowanych, sumiennych krytyk, którei kierowaćby się mogła zdrowa i rozsądna część publiczności, potrzebująca uczciwej zabawy, ale nie chcąca się kalać orgiami pijanych poetów, bezwstydných historyków.

„W ten sposób, zakończył mowca wśród grzmiących oklasków zgromadzonych, nie uwolnimy może zupełnie teatru od pożerającego go trądu, ale, bądź co bądź, nie powstydzimy się, jako katolicy, jako ludzie uczciwi, jako Hiszpanie, żeśmy

patrzyli z założonemi rękami na zniszczenie szerzone przez teatr dzisiejszy^u.

Obok tych kwestyj ściśle praktycznych, obok uchwał, mających na celu rozwój katolickiego życia, zapewnienie Kościołowi należytego wpływu na szkołę, wzmocnienie katolickiej prasy, zajmował się kongres — zdawało się czasami w nową jakąś Sorbonę zmieniony — najwyższemi teologicznemi i filozoficznemi zagadnieniami, rozbiierał i badał nowe naukowe systemy, wskazywał ich błędy, odsłaniał niebezpieczeństwa; pokazywał, jak prawda katolicka wiedzy ludzkiej się nie sprzeciwia, jak przeciwnie każdej nauce dopomaga, na prawdziwe ścieżki ją zawsze prowadziła i dziś prowadzi. Ta, rzeczby możliwa, teoretyczna część obrad, stanowi charakterystyczną cechę hiszpańskiego kongresu; cechę bardzo pocieszającą, bo dowodzi ona, jak nietylko księży, ale i świeccy Hiszpanie religijnie są wykształceni, jak rozumieją ważność i wpływ tych pozornie teoretycznych zagadnień na losy społeczeństwa, na życie równie jednostek jak narodów. Tak np. profesor madrycki, *Lopez Anaya*, odczytał uczoną rozprawę arcybiskupa sewilskiego, kardynała *Gonzalesa*, wymierzoną przeciw błędom darwinistycznym. Profesor uniwersytetu saragoskiego, margrabia *de Valle Ameno*, dowodził w długiej, wspaniałej mowie, że Kościół katolicki nietylko nie szkodzi, ale całem sercem błogosławi i przyczynia się do rozwoju przemysłu i handlu, naznaczając im zarazem właściwe, jedynie odpowiednie miejsce w życiu społecznem. *Carvajal* mówił o wolności w stosunku do prawa; kanonik *Urban Ferreiroa* o znaczeniu Papiestwa, jego wielkości i wpływie na świat wywieranym; profesor margrabia *del Busto* zbijał hipotezy materyalistów; *don Celestyn Paros* przedstawił w wspaniałym obrazie zadanie Kościoła, nieomylnego nauczyciela prawdy, obowiązek słuchania Kościoła, walczenia i cierpienia w jego obronie.

Katolicy belgijscy zebrani w *Malines* zajmowali się głównie kwestyą socyalną; jeżeli w Wiedniu zwrócono przede-wszystkiem uwagę na szkołę i prasę, w Oporto na obojętność religijną, w Madrycie na szerzące się w uniwersytetach i wyż-

szych warstwach społecznych z gruntu fałszywe, wrzekomo naukowe i filozoficzne zasady; to w Malines wystąpiła na pierwszy plan kwestya socyalna, konieczność uregulowania w duchu i wedle zasad chrześcijańskich stosunku pracy do kapitału, stosunku robotników do chlebodawców. „Niegdyś, mówił adwokat z Antwerpii, *Heuvelmans*, miłość chrześcijańska łączyła pana z robotnikiem; dziś współ z wiarą i miłość ta uleciała, chlebodawca sądzi, że spełnił swój obowiązek dając robotnikowi pracę; robotnik otrzymawszy umówiony zarobek, do niczego więcej się nie poczuwa“. A w jaki sposób wrócić do dawnych, szczęśliwszych stosunków? Najprzód wracając do wiary, odpowiada profesor wszechnicy Lowańskiej, *Helleputte*, do płynącej z chrześcijaństwa wolności, równości, braterstwa; następnie wracając do dawnego systemu korporacyj, bez których praca zawsze zgnębioną będzie, jak dziś jest zgnębioną przez kapitał. W szczególności i praktycznie zastanawiał się kongres nad ulepszeniem i założeniem nowych towarzystw wzajemnej pomocy kredytu rolniczego, stawiania mieszkań dla robotników, patronatów nad młodymi robotnikami i robotnicami, nad uwolnionymi więźniami. Jako przykład skutecznego przeciwdziałania socyalistycznym prądom, postawiono katolicki dom robotników w Brukselli. Zakład ten, niedawno założony, a jednak liczący już obecnie 1920 członków, posiada kasę oszczędności pożyczkową i wzajemnej pomocy, apteki, lekarzów, adwokatów, udzielających w razie potrzeby, nawet bezpłatnie, pomocy członkom stowarzyszenia. Kongres gorąco polecił naśladowanie tego wzoru we wszystkich większych miastach Belgii.

Nie mniej ważne, a zarazem nie mniej praktyczne kwestye obudziło *XVII zgromadzenie katolików francuskich*. Stuletnia rocznica francuskiej rewolucyi z taką pompą w obecnych miesiącach obchodzona, zwróciła naturalnie umysły do zapytania: Co nam rewolucya przyniosła, jakie jej złe czy dobre, po dziś dzień trwające i rozwijające się skutki? Na zapytanie to odpowiedział *br. de Chamborant*, opowiadając prawdziwie a dowcipnie, jakimi środkami, jaką drogą doszli republikanie i konserwatyści do święcenia jubileuszu 1789 r.; odpowiedział były

prefekt *Lauras*, skreślając dzieje wychowania publicznego od czasu tej smutnej dla Francyi epoki. Lecz nie dość lamentować nad zniszczeniem, szerzonem przez rewolucyą, której nieodrodnem dzieckiem dzisiejszy wrogi chrześcijaństwu wrzekomy liberalizm; walczyć z niem trzeba, a dzięki Bogu katolicy w walce tej nie ustają. Świadkiem tego rozwinięty przez następnych mowców prześliczny obraz katolickich dzieł i stowarzyszeń, niedawno temu w ogóle założonych a tak pięknie jednak kwitnących. Tak Franciszkanin O. Juliusz od *Najśłodszego Serca* zdał sprawę z rozwoju poleconego gorąco przez Leona XIII, trzeciego zakonu św. Franciszka; *ks. Garnier* opowiedział skromne początki wielkiego dziś i szeroko rozgałęzionego dzieła Opieki nad robotnikami; *Paweł Bonnet* odczytał sprawozdanie o dziele katechizowania drobnych dzieci od sześciu do dziesięciu lat; admirał *Gicquel des Touches* przysłał sprawozdanie, odczytane przez generała *de Montarby*, o działalności katolickich stowarzyszeń wojskowych; Ojciec *Józef* odmalował cel i rozwój założonego przez siebie przed 18 latami dzieła „Modlitwy i grobów“, mającego zabezpieczyć francuskim żołnierzom, umierającym zdaleka od ojczyzny, chrześcijański pogrzeb i jałmużnę modlitwy po zgonie; *Mgr. Hulst* wyliczył świeżo założone we Francyi naukowe stowarzyszenia katolickie, na których czele stoją znakomite, w całym świecie niemało poważane „Towarzystwo bibliograficzne“ i „Towarzystwo katolickiej młodzieży francuskiej“. Do tych stowarzyszeń, mówił deputowany *Keller*, przyłączyło się w ostatnich miesiącach założone przez kardynała *Lavigerie* „Towarzystwo antyniewolnicze“. Sam zamiar wyswobodzenia Afryki z plagi niewolnictwa jedna Kościołowi nieśmiertelną chwałę; spełnienie tego zamiaru będzie koroną katolickiej działalności w wieku naszym.

Już z pobieżnego tego streszczenia obrad i uchwał ostatnich kongresów katolickich przyznać musi każdy, i ten, co z pewnymi szczegółami tych uchwał by się nie zgadzał, i ten nawet, co w ogóle wrogo przeciw nim, jak przeciw wszelkiej, żywszej zwłaszcza działalności katolickiej byłby usposobiony —

że to, jak je nazwano „pospolite ruszenie“ katolicyzmu, niepospolite ma znaczenie, a w dziejach całego społeczeństwa nie mało z pewnością zaważy. Najlepszym dowodem i znakiem tego znaczenia, wielki interes, jaki w całym świecie kongresy obudziły; gniewy i intrygi jednych, zachęty i radość drugich; mimowoli, ale jasno z najzapalczywszych nawet wycieczek, z najzjadliwszych oskarżeń, przebijające wyznanie: Wielka to akcja, olbrzymi tryumf Kościoła, który nieobrachowane przynieść może za sobą następstwa! Najbardziej, komicznie, rzecz można, przerażone są urzędowe i liberalne Włochy; obawiały się one poruszenia na kongresach kwestyi niezależności papieżkiej, nie przypuszczały jednak tak jednomyślnej, tak potężnej i bezwzględnej manifestacyi w tym kierunku. „Stolica św., wołają jednym chórem *Riforma, l'Italie, Capitan Fracassa*, — nie troszczy się o wiarę, pamięta tylko o materialnych interesach; formuje międzynarodowe, barbarzyńskie armie, które całą Europę krwią i pożogą napelnąć gotowe; niebacznie, zdradliwie, a może i świadomie pcha narody do strasznych wojen domowych; tamuje postęp cywilizacyi, zwalcza oświatę, potępia najszlachetniejsze dążenia nowoczesnych ludów“. Więc wiece katolickie mają jakieś znaczenie, wyrzucić mogą wpływ na politykę, na historią, nie są tylko próżnemi, mydłanemi bańkami, jak je szydlerczo, z udaniem lekceważeniem nazywano? W odpowiedzi na to pytanie wpadają dzienniki włoskie w bajeczne, rzecz można, sprzeczności; zdecydować się nie mogą, jakiej użyć broni i na tej samej nieraz stronnicy wołają z przerażeniem: „Strzeżmy się! brońmy się! hydra czarnego internacyonału pożera nas!“ — a zaraz potem: „Nie zważajmy na dziecinne te manifestacje; odpowiedzieć na nie jedynie wypada pogardą milczenia!“ — „Któż zważałby na drobną mniejszość nieprzejednanych?“ pyta *Riforma*; — i sama sobie odpowiadając, wzywa na innem miejscu na pomoc wszystkie ziemskie potęgi, grozi owej „nieznacznej mniejszości“ potrójnem przymierzem. Nie innej, trzeba przyznać dość oryginalnej taktyki trzyma się *Capitan Fracassa*: „Katolicy z r. 1500 mówili o religii, wierze, refor-

nie obyczajów; katolicy zagraniczni bawią się przemowami na temat władzy doczesnej, dzieł pobożnych, spraw czysto świątowych... Niech się bawią! dzisiejsi katolicy skazani są z góry na śmierć..." poczem radykalna gazeta dzień po dniu w długich kolumnach pastwi się i dobija nielitościwie owych „konających". Jedna jedyna z czysto liberalnych gazet medyolańska *Perseveranza* odważyła się przestrzedz nieloiczne swe towarzyszek: „Źle się bawicie!... Możemy się o to gniewać, jest nam to nie na rękę, ale fakt pozostanie faktem, kongresy mają niemałe znaczenie, a zapoznawać go nam nie wolno. Katolicyzm wywiódł swą armią wybornie udyscyplinowaną; podziwiać nam tę karność prawdziwie żołnierską; wytrwałą, ślepą: tkwi w niej siła, z którą trzeba się rachować... musi się z nią rachować rząd, którego gwałtowna, podstępna polityka największe usługi oddała katolickiej sprawie".

Istotnie, rachuje się świat z kongresami; dowodzą tego równie gniewy włoskie, jak pewne obawy z jednej strony, pochwały z drugiej, jak w ogóle odgłosy całej poważniejszej europejskiej prasy. Organa rządowe i liberalne równie we Wiedniu jak w Berlinie, były widocznie, a nie mało zaambarasowane potężną tą manifestacją katolicką; rozumiały doskonale, że ostrze jej obraca się w znacznej części przeciw Włochom, a nie bardzo wiedziały, jak sojusznika bronić, nie wiedziały, jak się bronić przeciw zbyt słusznym zarzutom, jak się wymówić od zwrócenia uwagi na podniesione przez kongresy, prawdziwie piękące sprawy. Tylko zbyt się nie zajmujecie, ostrożnie dotykajcie się kwestyi rzymskiej, prosił i namiętnie *Fremdenblatt* jeszcze przed rozpoczęciem wiecu wiedeńskiego; a gdy wiec skończył swe obrady, organ ministerium spraw zagranicznych napisał o nim artykuł, mogący uchodzić za wzór chcącej wszystkim dogodzić dyplomacyi: „Prawda, kongres wiedeński wotując przygotowane poprzednio rezolucye powodował się uczuciami równie szlachetnemi, jak filantropicznemi, ale pod pewnymi względami zapędził się za daleko. Bądź co bądź, cieszyć się tylko można, widząc powstającego do walki gorącego jakiegoś obrońcę klas mniej uprzywilejowanych, który

uważa za szczególne swe posłannictwo przedstawiać ich potrzeby, bronić ich interesów. Z tego punktu widzenia kongres katolicki zrozumiał wybornie wymagania ludzkości, choć z punktu widzenia pratyckiego podnieśćby można wątpliwość, czy w ogóle możliwem jest wprowadzenie w czyn wszystkich tych pocziwych i chwalebnych chęci?⁴ Z innego zupełnie tonu i wcale nieukrywaną niechęcią wyraża się *Wiener Tagblatt*, nie cofając się przed zarzutem, że katolicy, choć może mimo wiedzy prowadzą do socyalnej, strasznej w następstwa rewolucyi; natomiast *Presse* w przeciwieństwie do pieniającej się od złości *Neue Freie Presse* oddaje należyty hołd wiedeńskim obradom, prowadzonym bardzo „rozumnie i poważnie“. Podobny ton, na który w równej niejako mierze składają się pochwały i nagany, panuje w urzędowej, a w znaczniejszej części i liberalnej prasie niemieckiej. Równie *Post*, jak *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, wołałyby, aby kongresy w ogóle, a przedewszystkiem kongres wiedeński nie były miały miejsca; druga z tych gazet kładzie główny nacisk na ostentacyjne usunięcie się rządu od wiedeńskich obrad; pierwsza, jakby dla splełtania figla włoskiemu przyjacielowi, rozwodzi się szeroko nad wielkiem znaczeniem tych „wojskowych przeglądów“, odznaczających się jednością i zapalem, na które byłoby nie do darowania śmiesznością nie chcieć zwrócić należytej uwagi. „Uchwały stronnictwa papieskiego w Hiszpanii i Portugalii mniej nas obchodzą, ale rzecz nabiera wagi, gdy w sprzymierzonej z nami i z Włochami Austrii, 2000 członków katolickiego kongresu, mając na swem czele nuncjusza, arcybiskupów: wiedeńskiego, pragskiego i salcburskiego, wielką liczbę biskupów, mnóstwo arystokratów z najpierwszych rodzin, głośnych posłów do parlamentu, słynnych uczonych, wspólnie, jednomyślnie domaga się niezależności dla Papieża. Wtedy i dla Niemców rzecz ta staje się ważną, zastanowienia godną; w każdym razie dla Austrii fakt to bardzo pouczający“. „Nie małoby się mylił, pisze znowu *Koelnische Zeitung*, ktoby sobie lekcewał katolickie kongresy, jako czezą demonstracyą. Przeciwnie, katolicy wykazali, że wybornie są zorganizowani, że wiedzą czego chcą,

a choć wiedzą zarazem, że wszystkiego odrazu nie otrzymają, spokojnie, ale wytrwale zmierzają i zmierzać będą do wytkniętego celu“.

Wyznania te urzędowych organów państw najściślej z Włochami zaprzyjaźnionych, zestawione razem z miotaniem się wrogiej chrześcijaństwu żydowskiej prasy, z szalonem gniewem nienawidzącej Kościoła i Papiestwa prasy włoskiej, dowodzą lepiej od wszelkich pochwał, jakie miały znaczenie kongresy katolickie, kreślą najwspanialszy obraz tej wielkiej, katolickiej manifestacji. Obrazu tego dopełniają sądy i wyrażenia innych pierwszorzędných pism, których o szczególną przychylność dla Kościoła i katolicyzmu nikt z pewnością nie posądzi, ale które, nie będąc przedstawicielami interesów wplecionych w łańcuch potrójnego przymierza, z pewną większą wolnością mogą wyjawiać swe zdanie, nie oglądając się trwożliwie, czy włoskiego przyjaciela zdaniem tem dotkliwie nie zranią. „Ciekawy to symptomat, pisze cytowany już przez nas na wstępie urzędowy *Temps*, symptomat godny wszelakiej uwagi, owe wprzagnięcie środków, jak najbardziej nowoczesnych: kongresów, agitacji słowem i pracą, w służbę na nieruchomych posadach stojącego Kościoła. Przykład *Centrum* okazał, co zdziałać mogą ci pomocnicy, którzy zwyciężyli najpotężniejsze, najmniej uginające się mocarstwo bieżącego wieku. Przyznać trzeba, świat duchowny uczynił pod Leonem XIII wielki krok naprzód“. W kilka dni później tenże sam dziennik, poświęcając katolickim kongresom wyczerpujący artykuł, dodawał: „Pospolite to ruszenie wskazuje dostatecznie, że stronnictwo katolickie, czując się na siłach, przejdzie niezadługo już z pozycyi odpornej na zaczepną. W tej chwili jesteśmy świadkami soboru w *Clermont* przed nową tą wojną krzyżową. Piotrów Pustelników podobno w niej nie zabraknie“. *Liberté* i *Journal des Débats* zastanawiają się szczególnie nad trudnem położeniem rządu austriackiego, który z jednej strony musi powtarzać Włochom zapewnienia przyjaźni, z drugiej strony patrzeć musi z heroicznym spokojem, jak własni jego przyjaciele, bez których poparcia absolutnie obejść się nie może,

traktują Włochów, jako niegodnych uzurpatorów. „Kongresy katolickie, przyznaje rosyjski *Nord*, wywierają na społeczeństwo o wiele potężniejszy wpływ, niż mniemali fałszywie stronnicy *Kulturkampfu* i polityczni współwyznawcy *Crispiego*... W każdym razie smutną jest rzeczą, że wewnętrzna polityka włoska dostarcza katolickim kongresom mniej lub bardziej usprawiedliwionych protestów do wytoczenia skargi przed światem chrześcijańskim na zamachy rządu włoskiego przeciw niezależności duchownej głowy Kościoła... O ileż szersze horyzonty obejmowali swym wzrokiem robotnicy pierwszej godziny: *Gino Capponi*, *Massimo d'Azeglio*! patriotyzm wielkich tych mężów nie wykluczał bynajmniej doczesnej władzy Papieża!“ Kongresy katolickie stwierdziły, dodaje ze swej strony *Nowoje Wremia*, że „Kwirynałowi bardzo a bardzo powinno zależeć na pojednaniu się z Watykanem“.

Wrażenie wywarłe przez kongresy odbiło się głośnie echem nie tylko w dziennikach wszelkich odcieni, ale i w parlamentach, zwłaszcza włoskim i austriackim. W Rzymie wniosli odnośną interpelację posłowie *Cavallini* i *Pais*. „Rozumię doskonale, mówił pierwszy, że nie należy przywiązywać zbytnej wagi do katolickich manifestacyj, ale, bądź co bądź, fakt pozostaje faktem, oburzającym faktem. Gdy u nas kto krzyknie: Niech żyje Trydent i Triest! w tejże chwili nadbiega rządowy delegat, wzywa do porządku. Przeciwnie w Madrycie i we Wiedniu rozlegają się krzyki: Niech żyje Papież — król! a władze w to się nie mieszają. Czuwając skrupulatnie nad każdym naszym krokiem, mamy prawo domagać się wzajemności, mamy prawo żądać szacunku dla całości naszego kraju, jeżeli innym mamy ten szacunek okazywać“. „Rząd włoski, wołał *Pais*, powinien oświadczyć bez ogródek, że tolerowanie manifestacyj, wymierzonych przeciw całości kraju naszego, zwalnia go od wszelkich zobowiązań względem Austrii“. W podobnym duchu wniosli we Wiedniu interpelację znany członek lewicy *Carneri* i towarzysze, przyczem złożyli kongresowi austriackiemu świetne świadectwo, że „nie tylko cała Austria, ale i cała Europa, zwróciła słuszenie na ten kongres

baczną uwagę. Lecz właśnie dlatego interpelanci czują się zmuszonymi do postawienia pytania: „Jak zachowuje się rząd austriacki odnośnie do zamierzonego przywrócenia świeckiej władzy papieskiej, i czy jest w stanie złożyć oświadczenie, któreby mogło usunąć wszelkie wątpliwości, nasuwające się naturalnie w tej mierze rządowi włoskiemu“.

Odpowiedź jak w Rzymie, tak we Wiedniu nie dała na siebie długo czekać; *Crispi* i *Taaffe* odpowiedzieli niemal jednogłośnie: „Rząd nie brał udziału w wiecu katolickim i dlatego nie może odpowiadać za powzięte na nim uchwały. Kongres ten był natury prywatnej, obracał się w ściśle prawnych, wolnością zgromadzeń określonych granicach; nie było zatem żadnej racji do rządowej ingerencji. Nie należy i nie można wciągać mów i zdań wypowiedzianych na prywatnych zgromadzeniach w zakres zagranicznej polityki państwowej, na którą, rzecz prosta, wpływu wywierać nie mogą“. Włoscy interpelanci oświadczyli, że nie mogą zadowolnić się tą odpowiedzią; wiedeńscy liberali zadowolnili się nią widocznie, a przynajmniej nie uznali za stosowne jawnie niezadowolenie swe objawiać: czuli może, że liberałom nie zbyt do twarzy występować przeciw wolności zgromadzeń.

Równie prasa, jak parlamenty, równie jawni wrogowie Kościoła, jak między różnymi względami z politycznej konieczności wahający się ministrowie zająć się musieli radzi nie radzi protestami i uchwałami katolików, a w świetle zirytowanych ich sądów, zakłopotanych odpowiedzi świetniej jeszcze roztacza się obraz, wyraźniej daje się czuć waga tego, rzec można słusznie, faktu dziejowego, jakim były jednocześnie w tylu krajach obradujące kongresy katolickie. Wierni synowie Kościoła policzyli się i przeświadczyli, że nie tworzą tak małej i nieznacznej garstki, jak im i innym podstępnie wma-
wiano; mężowie jednych zasad poznawszy i porozumiawszy się ze sobą, wyzuli się z nad wyraz szkodliwej dla sprawy wzajemnej nieufności; zgodziwszy się na jeden wspólny program działania ścisnęli szeregi i z temi samemi hasłami, w ten sam oręż zbrojni, wszędzie z równym zapale pójść będą mogli

zgodnie do walki za najświętsze ideały całej katolickiej ludności, przeciw wszystkim wrogom Boga, prawdy i cnoty. Odtąd niezabraknie — jak żalono się, że brakowało dotychczas — wodzów, którzyby chrześcijańską ludność do zwycięstwa prowadzili: wodzowie ci zebrani na kongresach, niby na walnych radach wojennych, na wojskowych przeglądach, dali się już poznać, zaufanie sobie zyskali, przygotowali grunt do dalszej jednomyślnej akcyi katolickiej na wszystkich polach: na polu kościelnem, naukowem, socyalmem i politycznem.

To przygotowanie gruntu do dalszej pracy, skreślenie planu do dalszej energiczniejszej walki, to największa zasługa i wartość katolickich kongresów. Z planem tym, z przedłożeniami na kongresach sprawozdaniami z dotychczasowych powodzeń, niepowodzeń i potrzeb, powinny zapoznać się najszerze koła katolickie, aby ze swej strony do wspólnego dzieła ręki przyłożyć. Dlatego wszystkie kongresy, a w szczególności wiedeński tak usilnie zalecał zaznajomienie ludności z przebiegiem rozpraw, rozszerzanie powziętych uchwał. Należy, mówiono, przetłumaczyć te rozprawy na wszystkie języki monarchii; katolicy austriacy lepiej się w ten sposób poznają wspólnie, z należytą świadomością dążyć będą mogli do spełnienia swych potrzeb i żądań. Zrozumieli najznakomitsi rodacy nasi, jakie znaczenie ma dla nas ten kongres, i dlatego tak licznie na nim stanęli, tak znaczny udział wzięli w jego pracach; toż samo zrozumienie, to samo poczucie solidarności z katolickimi interesami całej monarchii, które ściślej lub mniej ściśle są zawsze zarazem naszymi interesami, spowodowało nas do odpowiedzenia wyrażonemu życzeniu, do dania czytelnikom naszym, o ile można, dokładnego sprawozdania obrad wiedeńskiego kongresu. Niemalego, a praktycznego one dla nas znaczenia, jako dla katolików i Polaków; niemalego znaczenia, jako jedno wspaniałe ogniwo potężnego ruchu katolickiego w całym świecie, jako obraz dzisiejszego życia katolickiego w Austrii, jako plan zwłaszcza przyszłej, bardziej rozwiniętej, bardziej konsekwentnej i energicznej a da Bóg! zwycięskiej kampanii katolickiej.

Redakcyja.

KONGRES WIEDENSKI.

POSIEDZENIE WTEPNE d. 29 kwietnia.

Wielka, świątecznie przybrana sala związku muzycznego, napęłniła się wieczorem 29 kwietnia, około 1500 katolickich mężów ze wszystkich prowincyj Austrii. Poza trybuną dla książąt Kościoła i najznakomitszych uczestników, urządzone były gustowny gaik, na którego ciemno-zielonem tle odbijały prześlicznie popiersia Papieża i cesarza. Ponad temi popiersiami wisiał na czerwonym adamaszku wielki krucyfiks. Naokoło spletały się zielone wieńce; z filarów zwieszały się chorągwie; ściany ozdobione były herbami państwa i poszczególnych prowincyj. W obradach katolickiego wiecu, a w największej części i we wstępnem tem posiedzeniu wzięli udział książęta Kościoła:

Kardynał *Ganglbauer*; Nuncyusz arcybiskup *Galimberti*; Książęta-biskupi: kardynał *Schönborn* (Praga), *Zwenger* (Grac), *Stepischneegg* (Marburg), *Missia* (Laibach) i *Kahn* (Klagenfurt); Arcybiskupi *Zorn* (Gorycyja) i *Morawski* (Lwów); Biskupi: *Binder* (St. Poelten), *Doppelbauer* (Linz), *Bauer* (Brünn), *Riha* (Budweis), *Hais* (Königgrätz), *Ferretich* (Veglin); Sufragani: *Haller* (Salzburg), *Zohl* (Feldkirch), hr. *Belrupt* (Ołomuniec); biskup polowy *Gruscha*.

Łoże zajęło liczne grono pań z najwyższej arystokracji; na trybunie i na sali znajdowali się między innymi: *Ks. Karol Loewenstein*, trzech książąt *Windischgraetzów*, *ks. Wrede*, *ks. Zdenko* i *Ferdynand Lobkowitz*; hr. *Karol Schoenborn*; Feldmarszałek hr. *Huyn*, *Trautmannsdorf*, *Józef Fürstenberg*; członkowie izby panów: hr. *Ernest Hoyos*, hr. *Egbert Belcredi*, hr. *Franc. Falkenhayn*; członkowie izby poselskiej: hr. *Palffy*, hr. *Deym*, hr. *Brandis*, *Doblhammer*, *Thurnher*, Prałat *Karlon*, Dr. *Kathrein*, Kanonik *Spe-*

lina, Bulic, Rhomberg; Dr. Ebenhoch, Zygfryd Salm, hr. Czernin, hr. Sere-
nyi, hr. Spaur, Dr. Oelz, Dr. Lueger, Dr. Rapp; hrabiowie: Kuefstein,
Montecucoli, Karol Choriński, Karol Erwin Nostitz, Ernest Sylva Tarouca,
Frydrych i Wiktor Stolberg, Emil Bethlen; baronowie: Dalberg, Walterskir-
chen, Reyer, Gagern, Helfert, Hammerstein, Biegeleben, Hippoliti, Morzey, Som-
maruga; radca dworu Maassen i t. d.

Z Polaków byli obecni na trybunie: Ks. Prałat Potulicki, ks. Pawli-
cki, Jan Popiel, Stan. hr. Tarnowski; w sali księża: Nowak, Zoeller, Kruko-
wski; książęta: Andrzej i Kazimierz Lubomirscy, Władysław Sapieha, Eusta-
chy Sanguszko, hr. Ludwik Wodzicki, hr. Dzieduszycki, hr. Jan i Kazimierz
Szeptycy, Adam Jędrzejowicz, hr. Franciszek i Jerzy Mycielscy, hr. Jan Sta-
dnicki, hr. Czesław Lasocki, hr. Wład. Stadnicki, Stanisław Tomkowicz, hr.
Ludwik Dębicki, Włodzimierz Kozłowski, hr. Zygmunt Cieszkowski, Bruno
Rogalski, Ignacy Dembowski, Leszek Wiszniewski, Feintuch, Jakób Podczaski.
Ks. Adam Sapieha usprawiedliwił chorobą swą nieobecność. Z Rusinów:
Prowincyał Bazylianów O. Sarnicki; spirytualny seminarium, delegat ks.
biskupa Pełesza, ks. Piórko; ks. Pielecki i t. d.

Posiedzenie zagaił około godziny szóstej prezes komitetu urzą-
dzającego:

Antoni hr. Pergen.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! (Zgromadzeni
odpowiadają: Na wieki wieków. Amen!) — *Deo gratias!* —
Tym okrzykiem otworzyłem przed dwunastu latami z tego sa-
mego miejsca pierwszy katolicki wiec w Austrii, i tym sa-
mym okrzykiem otwieram wiec obecny. Myśląc o trudnościach
które należało przezwyciężyć, zanim ten wiec do skutku do-
szedł; patrząc z drugiej strony na wspaniałe to zgromadzenie,
bylibyśmy niewdzięcznikami, gdybyśmy nie oddali Bogu na-
leżnej chwały, i dlatego raz jeszcze z głębi duszy powtórzmy:
Deo gratias.

Następnie składa mówca dzięki wszystkim, którzy obe-
cnością swoją przyczyniają się do tego zbożnego, brzemien-
nego, daj Boże! w błogie następstwa dzieła; na pierwszym
miejscu książętom Kościoła i tym, co przybyli z odległych
prowincyj, nie szczędząc czasu i kosztów. Na prezesa propo-
nuje mówca w imieniu komitetu przygotowującego J. E. hr.
Bloma. Obecni przez akłamację i długotrwałe okłaski jedno-
zgodnie wybór ten przyjmują.

Prezes hr. Blome.

Eminencyo! Najprzewielebniejszy książęta Kościoła! Wielce szanowne zgromadzenie!

Było niegdyś wielkie państwo, leżało ono na dalekim Wschodzie — to państwo wojną najechał sąsiad. Posiadało ono walczne, w boju wyćwiczone wojsko, wielu w walce wypróbowanych i zwycięskich dowódców. Ale wszechmocny ulubieniec padyszacha sprawił, że naczelnym wodzem mianowano męża, który nigdy nie widział nieprzyjaciela, i który nigdy nie miał sposobności okazania swej dzielności. Z tego powodu, jak łatwo zrozumieć, powstało w szeregach wojowników wielkie niezadowolenie, a mędrzec państwa udał się do potężnego ulubieńca, aby mu zrobić w tej mierze przedstawienia. Ten jednakże odpowiedział: „W samej rzeczy, mąż mego wyboru nie widział jeszcze nieprzyjaciela, nie prowadził jeszcze nigdy wojsk w pole, lecz właśnie dlatego wybrałem go, bo tem więcej trudu zada on sobie“. Historia nie powiada nam, czy mąż ten wiele sobie zadawał trudu, lecz z historii wiemy, że się okazał niezdolnym i został pobitym.

Podobnież nasz szanowny komitet urządzający pomyślał sobie: mamy tutaj odznaczających się mężów, którzy już często z pomyślnym skutkiem przezydowali na wielkich zgromadzeniach, wybierzmy tedy człowieka, który jeszcze nigdy nie przewodniczył wielkiemu zebraniu, gdyż tem więcej trudu zada on sobie. (Żywa wesołość). Otóż moi panowie, z tej strony na mnie skarżyć się nie będziecie: to uroczyste przyrzeczenie gotów jestem wam złożyć. Tu już jednak analogia ustaje; wiadomo, że każde porównanie kuleje.

W trzechdniowej walce, którą mamy tutaj stoczyć, nie stoimy w tej przestrzeni naprzeciwko żadnego nieprzyjaciela, widzimy tylko przed sobą towarzyszy po duchu, a zatem sprzymierzeńców, przyjaciół, gotowych przyjść z pomocą mojej nieporadności; oni będą mnie wspierać, oni będą dzielić ze mną przewodnictwo, a gdyby ktoś podczas zamkniętego zgromadzenia z zewnątrz *per nefas* przez okna dostał się do sali, to niechże zawoła, jak to mówiono o pierwszych chrześcijanach:

Patrzcie, jak się oni wzajemnie kochają, patrzcie, jak są międy sobą zgodni. W tym niewzruszonym przekonaniu chcę objąć powierzone mi zadanie na drugim wiecu austriackich katolików.

Wiec katolików! To jest kongres chrześcijańskich mężów, którzy są chrześcijanami nie tylko z metryki lub w swem kole rodzinnem i dla swoich prywatnych interesów, lecz we wszystkich swoich zapatrywaniach; chrześcijanami w umiejętności i sztuce, chrześcijanami w swej społecznej i politycznej działalności tak w publicznem życiu, jak przy domowem ognisku; chrześcijanami, którzy nie potrzebują dopiero wtedy zasadać na nos na katolicko ubarwionych okularów, jeżeli są obecni jakiejś funkcyi kościelnej, albo z katechetą swych dzieci prowadzą półgębkiem rozmowę, lecz we wszystkich rzeczach i w każdej, w czuciu i chceniu, w myśleniu, mówieniu i działaniu, którzy otwarcie uznają się wiernymi synami naszej świętej nauki, Kościoła, i w posłuszeństwie względem biskupów z Głową Kościoła są związani, który jako Namiestnik Chrystusa przyodziany jest na ziemi królewską władzą arcykapłańską, doskonałością tej władzy i nieomylnym urzędem nauczania. Królestwo Chrystusa na ziemi jest towarzystwem doskonałem, całością organicznie ułożoną, której pojedyncze części biorą udział w pomyślności i nieszczęściu, w radości i cierpieniu całości, z konieczności. Jeżeli tedy przyjdzie do skutku nadwyrężenie praw najwyższego organu, to i pozostałe organy doznają ukrócenia w swych prawach. Jeżeli Głowę Kościoła naruszają w jego niezawisłości i nieudzielności, to i wolność sumienia nas wszystkich jest zagrożoną, (żywe uznanie) każdy cios zadany w centrum Kościoła, trafia w nas wszystkich katolików całego świata. Dlatego mamy w tem interes, ale nietylko interes, mamy obowiązek chronienia samych siebie, mamy prawo bronić prerogatyw świętej stolicy i wolności Kościoła wiele to od nas zależy. (Długotrwałe oklaski).

Jako chrześcijanie nie możemy uznać za dobre braku uszanowania dla przykazań Boskich w porządku towarzyskim,

jako chrześcijanie musimy nastawać na święcenie niedzieli, jako chrześcijanie żądamy dla naszych dzieci szkół chrześcijańskich, (żywe, trwałe uznanie i oklaski) i to nie tylko szkół elementarnych, nie, lecz także szkół średnich i uniwersytetów. Naszemi pieniędzmi utrzymują się zakłady naukowe. Jako chrześcijanie musimy dalej starać się o to, aby ustawy państwowe odpowiadały wymaganiom sprawiedliwości dla wszystkich klas towarzystwa, a zatem także szczególnie dla najemników, ażeby prawa pozytywne nie stały w sprzeczności z prawem natury i z nauką Kościoła. (Żywe uznanie).

Moi Panowie! Jest to także austriacki wiec katolików. Austriacki i katolicki są to dwa przymiotniki o dobrym brzmieniu, które dobrze do siebie przystają (żywe uznanie), ba nawet, których sobie osobno pomyśleć nie możemy, gdy o pierwszym z nich mowa. Niekatolicka, bezwyznaniowa Austria byłaby anomalnością, apostazją od historycznej przeszłości, zdradą popełnioną na żywej wierze austriackich ludów. Moi panowie! Gdybyśmy zechcieli kiedyś zrobić oficjalną minę bezwyznaniowców lub też ludzi zupełnie wrogo dla Kościoła usposobionych, toby nam nikt za granicą nie uwierzył, gdyż tam przecież nie są w stanie sobie przedstawić, żeby Austria zaprzeczyła warunkom swego istnienia; uważano by to za nader misterną, dyplomatyczną fintę, a to jest tak dalece prawdą, że gdzie tylko w obcych krajach powiewa austriacka chorągiew, wietrzą niekatolicy zaraz przy tem katolicką propagandę, chociażby nasze władze jeszcze się raz tak, jak teraz, starały ochraniać obce wyznania przeciwko własnemu. (Uznanie i wesołość).

Dwukrotna spójnia otacza różnorodne narody austriackiej monarchii: wspólna katolicka wiara i głęboko tkwiące w sercach przywiązanie do dynastji, dynastji z tradycyjalnie-katolickiem usposobieniem. Pierwszy Habsburg, który wstąpił na tron rzymskich cesarzy, zawdzięczał swoje wyniesienie aktowi szczerokoatolickiej pobożności, a od tego czasu odznaczali się najwięksi panujący z cesarskiego domu stale po-

bożnością: jak Ferdynand II, Leopold I, Marya Teresa, aż do naszych czasów, w których nasz wielkoduszny monarcha przedstawia nam wśród najcięższych doświadczeń świetny wzór chrześcijańskiego poddania się woli Boga i sumiennego spełniania obowiązków swego wzniosłego powołania. A im cięższej godzą ciosy przeznaczenia, z tem szczerzą miłością gromadzą się ludy Austrii wszelkiej narodowości około swego nieporównanego cesarza.

Gdy przed niedawnym czasem zarządził Jego Eminencya kardynał książę arcybiskup wiedeński publiczne modły za cesarza i dom cesarski, u św. Piotra, na Mariahilf i u Karmelitów, wtedy cisnęła się ludność stołecznego miasta, głowa przy głowie, w szerokie przestrzenie domów Bożych, nie było wtedy jednego miejsca pustego, wszystkie klasy i stany miały tam swoich przedstawicieli, żadne oko nie pozostało suchem, cały lud w nabożeństwie zatopiony, modlił się na klęczkach za swojego cesarza, to wówczas było po austriacku; to było po katolicku. Kto to przeżył, ten nie może wątpić, że te wspólne modlitwy, zanoszone z gorącą miłością do stóp niebieskiego tronu, znalazły także posłuch u wszechmocnego kierownika losów książąt i narodów. A gdyśmy jeszcze byli zgromadzeni u św. Stefana, nadeszła późną godziną telegraficzna wiadomość z Rzymu. Ojciec św. dowiedziawszy się o uroczystych modłach, przysłał błogosławieństwo apostolskie dla chrześcijan zgromadzonych na modlitwie za swego cesarza, a wiadomość tę ułożono w precudnych wyrazach: „Za cesarza“, mówił Ojciec św., „którego utrzymanie przy życiu i pomyślność tak mu leży na sercu, którego zamiary i życzenia on tak chętnie wspiera“. Widzieliśmy tedy znowu, że Papież i cesarz są jednym, i tych nie należy nam rozłączać w naszym poszanowaniu i miłości. (Żywe, trwałe uznanie i oklaski).

Moi panowie! Dajcie zaraz w początku katolickiemu wiecowi austriackich katolików jego prawdziwy wyraz, i nawołujcie wy i ja jednym natchnionym głosem: „Jego Świątobliwość Leon XIII i Jego Cesarska Mość cesarz Franciszek Józef,

niech żyją! Niech żyją! Niech żyją! Niech żyją! (Zgromadzenie wznosi z zapalem potrójne „Niech żyją“!)

Mam jeszcze jednak dodać, że jestto także drugi wiec austriackich katolików. Nie wisi on w powietrzu, lecz ma poprzednika, na którym się opiera; mamy utrzymać uchwały powzięte na pierwszym wiecu katolików.

Chcemy dalej wyłożyć rezolucye odpowiednio do potrzeb czasu, a mianowicie w sprawie szkoły, prasy, sztuki i umiejętności, stowarzyszeń i tak ważnej reformy socyalnej. Czysto polityczne sprawy, albo nawet właśnie narodowościowe, to wszystko jest nam obcem na gruncie katolickim. Lecz pytanie socyalne zawsze także ma stronę kościelną, jak również wielkie kościelne pytanie stanowi istotnie socyalne pytanie.

A wreszcie, moi panowie, jestto wiec. Nasze katolickie usposobienie, powinno jasno wystąpić na wiecu, powinno służyć za wiechę tego wiecu. Nie mamy nic do ukrywania, nie my to powinniśmy się lękać światła. Chcemy dać dowód, że w naszym obozie jest Austria, chcemy udowodnić, że nasze zasady przyczyniają się do rozpowszechnienia prawdziwej wolności, prawdziwego wykształcenia i prawdziwego postępu.

A tak, moi panowie, chcemy radzić, a ten raz radzić nie daremnie. (Kilkakrotnie ponawiające się uznanie, oklaski i wołania: „Niech żyje!“)

Nie mogę wprzód zająć przeznaczonego mi miejsca, nie skierowawszy wprzód kilka słów do tego męża, który teraz tak skromnie cofnął się na drugi plan. Na niego to włożono trudy i ciężary dnia. On oddał przedewszystkiem innem cześć Bogu; było to słusznie z jego strony. Ale skoro on oddał Bogu, co Boskiego, oddajmyż i my jemu, co jego jest. Doprowadził on to dzieło do skutku z niewymownymi ofiarami, z ofiary na czasie, przyjemnościach i zdrowiu i wśród wielu przeciwności. On nakrył dla nas stół, przy którym teraz siadamy do posiłku. W imieniu wszystkich panów życzę mu serdecznego: „Bóg zapłać“. (Burzliwe uznanie i oklaski. — Hr. Pergen i hr. Blome podają sobie ręce wśród ciągle powtarzającego się uznania zgromadzenia).

Wiceprezesami obrani: Wikary generalny pragski, biskup *Hora* i br. *Hypoliti*; sekretarzami: poseł kanonik *Klun*, *Dr. Hugenuer*, poseł *Dr. Ebenhoch*. Po obiorze przez aklamację przewodniczących sekcji, hr. *Blome* odczytuje następujący telegram do Ojca św. na ręce kardynała sekretarza stanu Rampolli.

Uczestnicy drugiego powszechnego wiecu katolików austriackich całej monarchii, błagają niniejszem o błogosławieństwo Ojca św., jako zadatek pomocy Bożej dla przedsięwziętych obrad. Odnawiają oni wszystkie protesty poprzednich katolickich zgromadzeń austriackich przeciw zgwałceniu nienaruszalnych praw Kościoła, przeciw ograniczeniu wolności najwyższego Jego Pasterza, (grzmiące oklaski), jak również przeciw odjęciu mu koniecznej do należytego spełniania świętego Jego urzędu, terytoryalnej niezawisłości. (Ponowne grzmiące oklaski). Zgromadzeni zapewniają o niezłomnej swej wierze, o najsilniejszym przywiązaniu do Zastępcy Chrystusowego na ziemi; a zarazem domagają się niezbędnej do wykonywania najwyższego, pasterskiego i nauczycielskiego urzędu, zupełnej terytoryalnej niezawisłości Papieża, w tych granicach i z takimi rękojmiąmi, które sam tylko Papież powinien oznaczyć, (żywe oklaski), i podnoszą uroczyste swój głos przeciw wszelkim, skądkolwiek pochodzącym, bez zgody i udziału Stolicy św. o stanowisku jej powziętym postanowieniom. (Grzmiące, przeciągłe oklaski i brawa).

Kardynał książę arcybiskup Ganglbauer

wita zgromadzonych, jako arcybiskup Wiednia, stolicy Austrii.

Ludy Austrii złączone są między sobą węzłami ziemskich interesów, silnem przywiązaniem do dynastji, ale dopiero wiara w Chrystusa i Kościół Jego nadaje tym węzłom nadprzyrodzoną siłę, niebieskie namaszczenie. Stojąc silnie przy wierze, strzegąc wolności i praw Kościoła, powstała i wzrosła katolicka Austrya, która w pewnej mierze przedstawia w sobie obraz Kościoła, łączącego w jedno wiary wszystkie narody i ludy; czem wzrosła, tem tylko może obecnie trwać, na przyszłość się rozwijać. Niechże błogosławieństwo Boże spoczywa na tych obradach, podjętych dla dobra i rozwoju Kościoła w Austrii, podjętych tem samem dla dobra i chwały austriackiej monarchii.

Prezes hr. Blome dziękuje kardynałowi Ganglbauerowi, i wzywa *Dr. Luegera* do powitania zgromadzonych w imieniu miasta Wiednia.

Posel Dr. Lueger.

Eminencyo! Najprzewielebniejsi biskupi! Wielce szanowne zgromadzenie! Jeżeli pozwalam sobie skierować dziś kilka słów do panów, to nie czynię tego jako radca gminy miasta Wiednia, również nie w charakterze moim posła z miasta Wiednia, ale jako urodzony Wiedeńczyk, który jednak poświęcił swe życie na usługi chrześcijańskiego ludu.

Kiedy rzucę okiem po tem wielce szanownem zgromadzeniu, wydaje mi się ono jakoby obrazem Austrii. Pospieszyliscie panowie ze wszystkich krajów, z Północy i z Południa, z Zachodu i ze Wschodu; wszyscy się tutaj zjednoczyli, bez różnicy czy są Niemcami lub Czechami, Polakami lub Rusinami, Słowianami lub Włochami. Zachodzi tylko jedna różnica. Podczas gdy w naszej kochanej ojczyźnie Austrii, według mego zdania, zachodzą za wielkie i za częste spory, przedstawiamy tutaj obraz pokojowego zgromadzenia i możemy sobie tylko życzyć, aby pokój, który panuje wśród nas, zapanował także kiedyś na rozległych powiatach naszej ojczyzny, i ażeby wszystkie ludy austriackie znalazły się tak samo w spokoju razem na wszystkich polach politycznego życia, jak się tutaj znajdują. (Burzliwe uznanie, oklaski).

Może też pokój, który między nami panuje, jest też winą, że nie ma tu, o ile mi wiadomo, ani ministra, ani namiestnika, ani prezydenta policyi, ani pana burmistrza, aby panów powitać. Sądzą zapewne, że się bez tego obejdzie, a tutaj zgromadzili się tylko tak dobrzy Austriacy, że zbytecznym jest nadzór państwowy. (Żywa wesołość i oklaski).

Ależ, wielce szanowne zgromadzenie, cóż przecież nam zależy na oficjalnej wystawie? (Bardzo dobrze!) O wiele ważniejszą jest miłość i zaufanie ludu. Kościoła katolickiego nie zbudowano na wysokościach, zbudowano go na masach

ludu, i w masach ludu znalazł swe rozszerzenie, tworząc najśmielszych zapaśników, swoich męczenników i takich ludzi, którzy nieustraszenie we wszystkich czasach i na każdym miejscu kazali Ewangelię.

Setki tysięcy katolików wiedeńskich pozdrawiają dzisiaj dzień, pozdrawiają wiec katolików; oczekują oni, że wiec katolicki ujmie się za biednym ludem chrześcijańskim, (uznanie) że będzie się zastanawiać nad cierpieniami ludu, że będzie miał współczucie dla jego boleści, że da posłuch skargom ludu, i że postanowienia jego będą latarnią morską, która ukaże okręciłowi biednej ludności, w duchowej nocy materyalizmu, na szerokiej, pustej przestrzeni morza gospodarskiej nędzy, które stworzył liberalizm, przystań spoczynku, gdzie będzie mógł nareszcie znaleźć przytułek. Wiedeńczycy nie zapomnieli, że przed laty, przed więcej niż dwustu laty, właśnie cesarz i Papież byli wybawcami miasta i Ojczyzny naszej z ciężkiej nędzy i niebezpieczeństwa. Wtedy stał Turek przed bramami Wiednia, a zaiste nie liberałowie im pomogli, (wesołość i uznanie) ale pomogli im wówczas cesarz i Papież, a ponieważ cesarz i Papież byli jednym, ze wszystkich ziem pospieszyli chrześcijańscy wojownicy, ze wszystkich okolic, aby przedmure chrześcijaństwa, nasze miasto rodzinne Wiedeń, od tureckiej nawały wyswobodzić.

Z wdzięcznością wspominają Wiedeńczycy i o tym fakcie, a jeżeli często, zanadto niestety, wyraźnie spycha się na drugi plan tę okoliczność, iż Papież Innocenty miał bardzo wielki udział w oswobodzeniu miasta Wiednia od Turków, to przecież jeszcze znajduje się wielu, którzy o tem wiedzą, i z wdzięcznem sercem wspominają o zbawczym czynie ówczesnego Papieża.

I dziś grozi Austrii i Wiedniowi wielkie niebezpieczeństwo. Nie jest to Turek, nie jest to poganin, który stoi przed bramami, albo który może najeżdża ojczyznę zewnętrzną wojną. O nie! To nieprzyjaciel o wiele niebezpieczniejszy; on ma siedlisko swe wewnątrz, i z wewnątrz toczy on silny pień, aby mógł po stoczeniu ściąć go, i aby wreszcie wcieliło się w pra-

wdę słowo wolno-mularzy: *Delenda est Austria*. (Żywe uznanie i oklaski). A ten austriacki wiec katolików ma być protestem, wypowiedzianym przeciw zuchwałym słowom wolnych mularzy; powinien on wykazać, że dopóki Kościół stoi na straży, dopóki znajduje zapasników, moc złego będzie zgneębiona a słowa *delenda est Austria* przejdą i zostanie: *Austria erit in orbe ultima*. (Burzliwe uznanie i oklaski).

A tak spodziewam się, jako Wiedeńczyk, że drugi austriacki wiec katolików przyniesie zaszczyt mojemu miastu ojczystemu, że przyniesie cześć tej całej Austrii. W tem znaczeniu i w tej myśli pozdrawiam wdzięcznie tę okoliczność, że szanowny Komitet wybrał na siedzibę wiecu katolików, Wiedeń, główne miasto państwa i jego rezydencyę.

Dały się głośno słyszeć wieści, że wiec katolicki miał być się zebrać w innem miejscu. Byłby to wielki błąd. Wiedeń jest głównem miastem i rezydencyą państwa, w Wiedniu zbiera się całe życie, w Wiedniu rozstrzygnie się walka między chrześcijaństwem i antychrześcijaństwem (burzliwe uznanie i oklaski), i tu w Wiedniu powinien zabrzmieć donośnie głos, że lud będzie szukał u nas ratunku i u nas je znajdzie, aby lud tenże wiedział, że my zajmujemy się jego cierpieniami, aby lud wiedział, że my to jesteśmy tymi ludźmi, którzy mu chcą ofiarować nie kamień wiecznej kłótni i sporu, ale chleb uczciwej pracy, ku jego zbawieniu i ku dobru całego kraju.

I tak życzę ja, aby drugi ogólny wiec katolików austriackich działał w równej myśli, jak pierwszy, ażeby mógł być harcerzem, przodownikiem na polu walki, do przyszłych czynów, których trzeba będzie dokonać w parlamencie, ażeby był wzorem organizacyi całej katolickiej partyi w całej Austrii bez różnicy narodowości, (burzliwe uznanie, oklaski) i ażeby w ten sposób wreszcie stało się możliwem, założyć i wybudować w naszej ojczyźnie stały i niewzruszony gród, na którym by się starła siła przeciwnika.

To, moi Panowie, jest potrzebnem, potrzebniejszym, niż wszystko inne.

Niektórzy z panów stoją jeszcze, nieznając się, jeden na-

przeciw drugiemu; tutaj dzisiaj jest miejsce, gdzie się mogą wszyscy poznać, niech tutaj zakielkuje myśl włożona w serca nasze, abyśmy poznali i wiedzieli, żeśmy wszyscy bracia, czy mieszkamy w mieście, czy też na wsi, czy jesteśmy Niemcami, Słowianami lub Włochami. My wszyscy chcemy być braćmi w Austrii i braćmi w Chrystusie. (Burzliwe, długotrwałe uznanie i oklaski; liczne głosy: niech żyje!).

Stanisław hr. Tarnowski.

Jeżeli sobie pozwalam zabrać głos w tem wysokiem zebraniu, to czynię to z głębokiego poczucia obowiązku, które, przejmując mnie zarówno jak i rodaków moich i towarzyszy, zniewoliło nas do przybycia tutaj.

Po raz to pierwszy dana jest katolikom naszej narodowości sposobność brania udziału w zebraniu współwyznawców, z innego pochodzących szczepu. Opuszczając taką sposobność, dopuścilibyśmy się winy ciężkiego zaniedbania obowiązku względem Kościoła i nas samych. Im bardziej ograniczoną jest możność zamanifestowania naszego uczucia katolickiego i świadomości tegoż otwarcie w obec całego świata, a zwłaszcza im bardziej ograniczonym jest obszar terytoryalny, w obrębie którego to czynić możemy, tem większy spada obowiązek na tych z naszego grona, którzy nie są pozbawieni swobody podniesienia swego głosu i wyznania głośno w obec Boga i ludzi, iż wiernie i mocno chcemy się trzymać świętego rzymsko-katolickiego Kościoła i widomej tegoż głowy J. Ś. papieża, i że w tej wierze pragniemy umrzeć. (Brawa i grzmiące oklaski).

Do jakiego stopnia jest się szczęśliwym, mogąc wyznawać to głośno i otwarcie, z trudnością zdołają to ocenić ci, którzy nigdy nie doznali braku tej swobody. Dlatego też z trudnością zdołają oni pojąć całą wielkość owej wdzięczności i wiernego przywiązania, którem przejęci jesteśmy dla tego państwa i tej dynastyi, z którymi złączeni jesteśmy silnymi węzłami wspólności religijnej i tradycyi katolickiej, owej tradycyi, która stanowiła rdzeń naszego powołania historycznego i zasługi. (Żywe oklaski).

Tem uroczystem oświadczeniem publicznem moglibyśmy zaspokoić nasze sumienie, gdybyśmy nie uważali tego za przychylnie dla nas zrządzenie, a zatem za naszą powinność, iż możemy katolikom Austrii, a pośrednio i całemu światu katolickiemu zdać poniekąd sprawę w języku ogólnie rozpowszechnionym ze stanu kwestyi katolickiej w naszym kraju. W skutek wielu przyczyn historycznych i w skutek mało znanego naszego języka oddaleni, lubo nie wykluczeni z głównego prądu życia dziejowego, potrzebujemy i powinniśmy, gdy raz po temu okazuje się sposobność, podać do wiadomości świata katolickiego, jaką właściwie w tej *terra incognita* ma postać sprawa katolicka. Niech mi zatem wolno będzie zająć na chwilę uwagę wysokiego zebrania i przedstawić to w możliwie najogólniejszych zarysach.

Dla łatwo zrozumiałych powodów nie chcę poruszać okoliczności, dających nam li tylko obraz gwałtownego i krwawego prześladowania Kościoła w świecie cywilizowanym XIX wieku, ani też wspomnieć o tem prześladowaniu, które pozornie łagodniejszymi środkami pracuje nad powolnem niszczeniem każdej myśli katolickiej, stawiając kapłanowi przeszkody w wykonywaniu jego obowiązków kapłańskich, a wierzącym w rozwoju ich życia religijnego, a nawet zmusza najmniejsze dziecko do przyswajania sobie zasad swej religii w języku, którego nie rozumie. Tego wszystkiego poruszać nie chcemy: Bóg to widzi, — to nam wystarcza i uspokaja nas; jeszcze nie nadszedł czas dla ludzi, aby przejrżeli w tego rodzaju rzeczach. Jedynem, do czego dążę, jest wytłumaczenie stanu, w jakim obecnie znajduje się poczucie i życie katolickie Polaków.

Uważani jesteśmy prawie powszechnie, i to słusznie, za naród nawskrós katolicki. Prawdziwą wiarę rozszerzyliśmy na przestrzeni dwóchset mil ku Wschodowi, broniliśmy jej przez wieki przeciw islamowi i bizantyzmowi, reformację przebyliśmy zwycięsko, a i teraz dajemy dowody wierności w sposób, którego tutaj nie zamierzam wyjaśniać. Jak wiele innych narodów atoli, tak i my jesteśmy narażeni na wpływy czasu

i świata zewnętrznego, a te wywołały w tym niegdyś jednolitym katolicyzmie, czy to skutkiem rozmaitych systemów rządu, czy to skutkiem doktryn filozoficznych i politycznych, niejedną zmianę w poszczególnych krajach języka polskiego, a nawet w pojedynczych warstwach społeczeństwa, które to zmiany nie należy pomijać przy nauce i osądzaniu obecnego naszego stanu religijnego.

Wiek XVIII zarówno u nas, jak i wszędzie wywierał swój wpływ. Lud i w ogóle mniej wykształcone klasy trzymały się silnie swego tradycyjnego, pierwotnego katolicyzmu, podczas gdy większość wykształconych przejęła się lekkomyślnie tak zwanymi filozoficznymi (francuskimi) ideami.

Co się tyczy szczególnie Galicyi, to tutaj józefinizm wywarł powszechnie swoje znane skutki, mianowicie: 1. Osłabienie poczucia kościelnego i związku z Rzymem. 2. Obniżenie religijnego i intelektualnego poziomu duchowieństwa (a pośrednio ma się rozumieć i ludu), szczególnie zaś przez to, iż przy obsadzaniu stolic biskupich więcej zwracano uwagi na tak zwane dobre usposobienie (w policyjnym znaczeniu tego słowa) kandydatów, aniżeli na usposobienie ich religijne. Jeżeli nie wychodziło na jaw niezadowolenie, to natomiast musiała ta obojętna niedbałość pasterza wywierać na wykształcenie i na działalność niższego duchowieństwa, a niestety gdzie-niegdzie i na obyczaje tegoż, pożałowania godny wpływ. Z wielu więzów, nałożonych przez józefinizm życiu kościelnemu, dotychczas nie zdołano się wyswobodzić; zaznaczymy tylko nadzór państwowy nad administracją parafij dyecezyalnych, kierownictwo seminaryów i t. p.

W pierwszej połowie naszego stulecia był zatem pozornie spokojny, lecz niebezpieczny i dosyć niekorzystny *status quo* istotą naszego stanu religijnego, od którego wierzący łatwo mogli przejść do obojętności, a myślący i badający coraz łatwiej stawali się pastwą przeciwnych Kościołowi poglądów i tendencyj.

Hasło do lepszego zwrotu nastąpiło po roku 1831 i wyszło od emigracyi polskiej we Francyi. Pomiedzy najwybitniej-

szymi członkami tejże rozwinał się kierunek czysto katolicki, potrzeba ścisłego i szczerzego przyłączenia się do nowożytnego czynnego życia katolickiego.

Praktycznym wyrazem i wynikiem tego kierunku było założenie kongregacji Zmartwychwstańców, która, ufundowana przed 50 laty przez trzech młodych ludzi: Kajsiewicza, Semenkę i Hubego, dzisiaj rozpowszechnioną jest w obu częściach świata, a pod względem życia religijnego, również jak i literackiego i naukowego, jest w stanie wykazać niepospolite zasługi.

Z Paryża i z Rzymu przeniosło się to wyższe życie katolickie do ojczyzny, lubo Galicyi udzieliło się ono dopiero o wiele później. Skutkiem ówczesnych stosunków kraj ten był prawie zupełnie zamknięty dla obcych wpływów. Poza obrębem granic tej monarchii atoli rozpoczynał się ożywiony rozkwit katolicyzmu. Materyalnym punktem wyjścia były ówczesne zamieszki w Giessen i Kolonii, oraz ściganie arcybiskupa Dunina. Do tego przyłączyła się działalność kilku ludzi z żelaznem przekonaniem katolickiem i gorliwością (generał Chłapowski, bracia Koźmianowie, z których młodszy później przyjął święcenia kapłańskie). Wkrótce potem podniosło się życie kościelne w W. Księstwie Poznańskiem do wysokiego stopnia i stało się przykładem i wzorem dla innych części narodu.

Stąd rozciągał się postęp na Warszawę i na Galicyę.

Rok 1848 posłużył wielu z nas za naukę i stał się dowodem, iż bardzo wówczas jeszcze popularne rewolucye pod pokrywą pięknych haseł oswobodzenia praw narodowych przemycają podejrzany towar niereligijności i rozkładu społecznego. Wtedy to trzeba się było zastanowić i bronić mężnie. Utworzyło się zatem jądro, nie można powiedzieć katolickiego stronnictwa, lecz świadome swych celów, tendencyi i działalności katolickiej. Dziennik krakowski *Czas*, założony w roku 1848 i dotychczas w niektórych kołach uważany za widmo t. zw. reakcyi, reprezentował i szerzył te idee. Gdy później z nastaniem wolności prasy każdy poznał zamachy na chrześcijaństwo z własnego doświadczenia, i naturalnie skutkiem tego wiele

powstało złego i wielu ludzi poszło na bezdroża, wówczas katolicy coraz więcej przychodzili do przekonania, iż z jednej strony li tylko na podstawie prawdy boskiej osiągnąć można prawdziwą równowagę i istotny postęp we wszystkich kierunkach życia świeckiego i społecznego, z drugiej zaś strony, iż bierne przypatrywanie się nie może wystarczyć, lecz natomiast należy wspomnianym zamachom przeciwstawić opór spokojny a silny. Pomyślna sytuacja, jaką zawdzięczamy Jego Cesarskiej Mości, dozwoliła nam rozwinąć wydatniejsze życie katolickie. Zakony spełniają pocieszającą, skuteczną i energiczną działalność i to we wszystkich warstwach społeczeństwa; literatura katolicka wzbogaca się w czasopisma i dzieła, przeznaczone głównie dla ludu; powstają stowarzyszenia, które za- doścczynią rozmaitym potrzebom życia katolickiego.

Zrobiono niejedną dobrą rzecz; choćby tylko wspomnieć o reformie niegdyś tak zasłużonego zakonu Bazylianów, która rozpoczęta za inicjatywą lwowskiego arcybiskupa metropolity obrządku greckiego, przeprowadzona przez zawsze tak gorliwych i czynnych Jezuitów, jest niezmiernie ważną dla religijnego rozwoju tego obrządku, którego powodzenie i przyszłość jest doniosłą nie tylko dla nas, lecz dla całego katolicyzmu.

Ostatecznie najważniejszym ze wszystkiego jest to, iż w ubiegłych 10 latach, w skutek błogosławionej działalności nowo zamianowanych biskupów, wychowanie młodego i zachowanie się czynnego duchowieństwa pełne jest nowego ducha ożywczego.

Czy mogę przez to powiedzieć, iż postępowi temu ku lepszemu nie odpowiadają kroki w przeciwnym kierunku? — Niestety, tak nie jest! Epidemiczne są anti-kościelne, nawet antichrześcijańskie idee i namiętności w całej Europie, a my nie mogliśmy ocaleć w tej epidemii. Podczas gdy lud wiejski, a nawet i w miastach żyjący, dotychczas nie zaznał jeszcze tego, wśród wykształconych sfer, wśród młodzieży rozpowszechnia się zaślepienie pod zwodniczą maską postępu lub nauki. Dawno opuszczona zasada, przesąd, iż katolicyzm jest identycznym i równym obskurantyzmowi i absolutyzmowi,

kwitnie u nas, równie jak u wszystkich ludzi na pół wykształconych lub umyślnie uprzedzonych. Opór leży w naszej naturze i stawiamy go przeto, lubo skutkiem niektórych właściwości sytuacji narodowości polskiej jest on znacznie utrudniony. Są atoli państwa i systemy rządów, pod którymi wrogie Kościołowi i bluźniercze dzienniki cieszą się wielkimi względami i uprzejmością ze strony cenzury, podczas gdy organowi katolickiemu nie wolno nawet zwalczać błędów i karcić zaczepkę, wymierzonych przeciw nim. Plan jest widoczny i mądrze obmyślany: zdąża on do osłabienia i zerwania wszelkich moralnych węzłów społecznych, oraz do wywołania i przyspieszenia procesu rozkładowego. Z drugiej strony zaś wywierają nacisk wrogie Kościołowi usposobienia pod pozorem uczuć i tendencyj patryotycznych lub demokratycznych. Niestety nie brak i u nas książek i dzienników, które we wszystkich możliwych stopniach i odcieniach zaszczepiają i szerzą nienawiść do katolicyzmu, starając się ją, z wyjątkiem niezręcznych i niskich typów, mądrze ukryć i zrozumieć. Okoliczność zaś ta, iż uważają za konieczne ukrywać się z tą nienawiścią, jest dowodem, iż nie czują się oni bynajmniej na siłach, i że muszą oszczędzać uczucia katolickie, aby nie wpaść w podejrzenie u większości. Przytem atoli należy zaznaczyć i po części przynajmniej zaliczyć do dobrych stron rzeczonych dzienników, iż równoczesne i jednostajne prześladowanie katolicyzmu i narodowości polskiej, pierwszemu przynosi poniekąd korzyść. Nie podlega żadnej wątpliwości, a nawet niektórzy wrogowie Kościoła otwarcie to przyznają, iż o wiele ostrzej postępowałiby, gdyby zniszczenie Kościoła katolickiego nie było głównym punktem niektórych programów politycznych.

Sytuacja zatem przedstawia się w następujący sposób:

Miedzy niezachwianie jeszcze katolicką ludnością z jednej strony, a przejętą katolickimi uczuciami częścią warstw inteligentnych z drugiej strony, znajduje się znaczna ilość istot niepewnych lub obojętnych, których uczucia przeważnie są katolickie, zasady zaś i przekonania są chwiejne. Miedzy te więc i między naród starają się wtargnąć idee wrogie Kościołowi,

i to nie bez powodzenia, zwłaszcza w sferach tak zwanej inteligencji; lecz nie z tak bezwzględną namiętnością, jak np. we Francji lub w Wiedniu, ale z ostrożnością i z zachowaniem miary. Są to wprowadzie systematyczne, lecz dotychczas jeszcze niedosyć silne próby anti-religijnej propagandy. Do wypowiedzenia otwartej walki, atoli przeciwnicy nie czują się dostatecznie silnymi.

Czy nimi będą z biegiem czasu, tego nie możemy wiedzieć, natomiast z pewnością możemy oświadczyć, iż nam katolikom pozostaje tylko jeden sposób postępowania, a mianowicie bronić się energicznie przeciw rzeczoným zamachom, rozwinać możliwie najczynniejszą działalność we wszystkich kierunkach, lecz ani wypowiadać, ani przyspieszać walki; lepiej jest znieść spokojnie niejedną krzywdę, aniżeli przez zbyt prędkie i namiętne postępowanie stworzyć może walkę religijną tam, gdzie dzięki Bogu i niedostatecznym dotychczas siłom wroga, takowa jeszcze nie wybuchła. A zatem na zadanie nasze i stanowisko w najbliższej przyszłości winniśmy uważać, możliwie najczynniejsze krzewienie życia i poczucia katolickiego za pośrednictwem książek, stowarzyszeń i t. p., lecz z zachowaniem możliwie największego spokoju. Następnie, jedynie zabezpieczenie i przygotowanie istotnie katolickiej przyszłości powinniśmy widzieć w rozwijaniu szczególnej staranności w wychowaniu młodzieży w szkole, zadość czyniącej w wyższym stopniu katolickim uczuciom ludności.

Co u nas w ostatnich czasach zdziałano na polu życia katolickiego, po części wymienione zostanie na posiedzeniach poszczególnych sekcji. Tutaj chcę tylko zaznaczyć jedno niebezpieczeństwo, grożące szczególnie katolikom polskiej narodowości, oraz utrudniające znacznie ich położenie.

Podczas gdy tak zwane stronnictwo postępowe oskarża nas, iż poświęcamy interesy narodowe, aby tylko zabezpieczyć religijne, katolicy zagraniczni przedstawiają nas za fałszywych braci, którym religia służy tylko jako środek i pozór do popierania spraw politycznych i narodowych. Jedno twierdzenie jest równie fałszywe jak i drugie. Wiemy aż nadto dobrze,

iż życie religijne jest duszą i podstawą życia społecznego i politycznego, i nie może być przeto podporządkowane temu ostatniemu, a niejednokrotnie potrafilśmy nakazać milczenie naszemu uczuciu narodowemu, jeżeli tego wymagało poczucie katolickie. Z drugiej zaś strony zbyt dobrze znamy nasz Kościół, aby nie być pewnymi, iż tenże nigdy nie nakłada, ani wymaga ofiary z uczuć prawych i szlachetnych, przeciwnie on je uszlachetnia i podnosi. Łatwo atoli zrozumiała jest rzecz, do jakiego stopnia trudnem się staje czasem nasze położenie w obec własnego naszego wrogiego Kościołowi liberalizmu i skrajnie religijnej i narodowej nienawiści, które korzystają z najnniejszej sposobności, aby wynaleść i wyzyskać jakibądź kontrast między uczuciem i interesem katolickim i pa tryotycznym. Mniej więcej przed stu laty posadzano nas o bezwzględny fanatyzm katolicki w obec innowierców, a jednocześnie i o bezbożny, rewolucyjny jakobinizm. Na podstawie tych fałszywych oskarżeń ogłoszono nas za niebezpieczny dla państw ościennych żywioł, i jako taki uciskano nas. W zmienionej postaci wychodzi to samo oszczerstwo obecnie znów na jaw. Ma się rozumieć, iż przez to położenie nasze staje się nadzwyczaj trudnem, gdyż w dwóch kierunkach jesteśmy podejrzywani i zmuszeni do walki przeciw podejrzaniom.

Nie ulega wątpliwości, iż dla dobrego zrozumienia rzeczy byłoby niezmiernie ważnem i pożytecznem, gdyby katolicy innych narodowości dokładniej obznajmili się z naszymi stosunkami wewnętrznymi, również jak i pożyteczne byłoby dla nas, oparte na tej znajomości wystąpienie organów katolickich. Mniemamy, iż na ten krok liczyć i nie bezskutecznie prosić o to możemy. (Oklaski).

W granicach tego starego, poważnego państwa, którego przeznaczeniem, danem mu przez Opatrzność, jest jednoczyć najróżnorodniejsze żywioły za pomocą jednakowych praw dla wszystkich i utrzymywać ich w uczciwej i silnej zgodzie, a przez to stać się wzorem istotnie chrześcijańskiego państwa, w granicach tego państwa, które powołane jest na to, aby

było twierdzą sprawy katolickiej, powinnyby być łatwiej, aniżeli gdziekolwiek na całym świecie, osiągnąć ów wzniosły ideał solidarności katolickiej i jednolitej działalności. Zebranie to (spodziewamy się i liczymy na to) będzie znacznym, potężnym krokiem naprzód do tego świetnego celu. Radością przejęci, iż zebranie to szczęśliwie przyszło do skutku, również jak z powodu każdego nowego objawu w życiu katolickiem Europy, oraz głęboko przekonani, iż obowiązkiem naszym jest możliwie największy brać udział w tem życiu i służyć mu, pozwalamy sobie liczyć na współczucie współwyznawców dla narodu, który wśród wyjątkowo ciężkich warunków bytu daje dowody swej wierności, i który z całą świadomością zdecydowany jest wzmacniać jeszcze i zwiększać w sobie tę wierność i przywiązanie.

Przed setkami lat przyjęliśmy, będąc narodem w wieku niemowlęcym, chrzest święty.

Obecne nasze położenie uważamy, jako czas bierzmowania, tego sakramentu, który się przyjmuje w dojrzałszych latach i z własnej woli, a który wspiera nas w wytrzymaniu wszystkich prób życia z niczem nienaruszoną wiarą i duszą. (Żywe oklaski). Miejmy tedy nadzieję, iż Bóg dopomoże nam w pozostaniu zawsze wiernymi i pełnymi dziecięcej miłości i przywiązania, oraz w służeniu czynnie i pożytecznie, jak niegdyś, tak i w przyszłości Jemu, Jego Kościołowi i widomej tegoż Głowie, Następcy św. Piotra. (Grzmiące oklaski).

Sufragan salcburski dr. Haller.

Zwraca się uwagę wiecu katolickiego, na zakładający się obecnie uniwersytet katolicki w Salcburgu, z którego, jak spodziewać się należy, tryśnie na całą Austryę źródło prawdziwej, chrześcijańskiej wiedzy. Dzisiejsze uniwersyteckie studia szerrzą niestety! zbyt często jad niewiary; nie wszędzie, nie u wszystkich daje się to uczuć w równym stopniu, ale zaprzeczyć nie można, że uczuć się daje. A cóż powiedzieć dopiero

o kobietach zaciągających się pod sztandar walczącej z religią, najfałszywiej pojętej nauki? Należy szerzyć cywilizację między dzikimi ludami, ale na pierwszym miejscu szerzmy cywilizację, a zatem utrzymujmy wiarę między naszą młodzieżą. Dlatego postanowiliśmy założyć katolicki uniwersytet. Dotąd wprowadzić uzbieraliśmy zaledwie na ten cel 70.000 złr., lecz da Bóg, składki pójdą rażniej; rozpoczętemu dziełu upaść nie damy.

Pod koniec posiedzenia odczytał sekretarz liczne pisma i telegramy z całej Austrii. Między innymi usprawiedliwili swą nieobecność i przestali życzenia hojnego błogosławieństwa Bożego, arcybiskupi: *Sem-bratowicz* i *Izakowicz*. Książę biskup *Dunajewski*; biskupi: *Petesz*, *Łoboś*, *Śniegoń*.



I. POSIEDZENIE UROCZYSTE.

Prezes *hr. Blome* powitał zebranych: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, poczem viceprezes *br. Hyppoliti* odczytał telegram, nadeszły z Rzymu od sekretaryatu stanu:

Ojciec św. udziela uczestnikom drugiego ogólnego zjazdu katolików całej austriackiej monarchii z pełni serca swego Apostolskiego błogosławieństwa. Uczucia wyrażone w waszym telegramie świadczą o gorącej miłości wiernych i uległych synów względem wspólnego Ojca wszystkich wiernych. Należyście oceniając całą wagę oświadczenia i protestu katolickiego wiecu co do obecnego położenia stolicy św., która pozbawiona jest koniecznej wolności i niezależności, znalazła Jego świętobliwość w tym wyrazie dziecięcego przywiązania źródło niemałej pociechy.

Telegram ten przyjęty został burzą oklasków; następnie wstąpił na trybunę:

Posel do parlamentu niemieckiego, sekretarz stowarzyszenia św. Rafała, poseł *Cahensly*.

Jako poseł niemiecki przywozi on od katolików niemieckich, a zwłaszcza od katolickiej partii w pruskim sejmie i w radzie państwa, jak najszczerze pozdrowienie wraz z życzeniami pomyślnej działalności dla katolicyzmu w Austrii. Mowca spodziewa się, że odtąd będą się katolicy Niemcy i katolicka Austrya coraz bardziej ze sobą łączyły. Jako sekretarz towarzystwa Archanioła Rafała, poleca on je zebrany. Towarzystwo to ma na celu opiekowanie się biednymi wy-

chodzcami w czasie ich podróży do Ameryki, a na lądzie nowego świata tak długo nie zostawia ich swemu losowi, póki każdy nie znajdzie jakiego środka utrzymania się. Towarzystwo to zajęło się także wychodzcami słowiańskich narodowości, zwłaszcza Polakami i Czechami, i że ustanowiło w Hamburgu księdza, który władając tymi językami bardzo między nimi jest czynny i pociechami religii smutny stan tych biedaków polepsza.

Ks. Dr. Kanonik Müller,

dyrektor wiedeńskiego seminaryum.

Roku 211 p. Chr. w York w Brytanii cesarz rzymski, Septimius Sewerus ciężką złożon chorobą, oczekiwał ostatniej godziny. Wtem przystąpił doń straż trzymający trybun, prosząc o hasłoienne dla żołnierzy. Z ostatnim wysiłkiem dźwignął się konający władca i rzekł złamanym głosem: *Laboremus*, pracujmy! Wspaniałe hasło, które było zarazem ostatnią spuścizną dla jego wiernej drużyny. *Laboremus*, powinniśmy powtórzyć spolem wszyscy; w tej myśli powinniśmy w tych dniach pracować i łączyć swe siły, aby żaden z nas nie zakończył tych chwil duchowej pracy, nie powiedziawszy sobie w sercu: I ja chcę być w pracy pomocnym. Szczególniej jestto zadaniem sprawozdania o katolickiem życiu i działalności katolickich stowarzyszeń, którego wy, wielce szanowni panowie, z tego miejsca oczekujecie, a którego rozwinięcie niezasłużenie zaszczytnym wyborem mnie powierzono, w postanowienie owo *laboremus* świeże wlać siły, a przytem nieco i w przeszłość rzucić okiem, ażali owe hasła *laboremus*, z którymi pierwszy austriacki katolicki wiec opuściliśmy, rzeczywiście w czyn przeszły.

Aby ten rachunek sumienia z dotychczasowej czynności w należyty dokonać sposób, będziemy się musieli trzymać zdala od wszelkich tak pesymistycznie-zgryźliwych, jak optymistycznie-sangwinistycznych uprzedzeń, starając się jedynie zdać sprawę, jakie jest w ogólności położenie katolików

w Austrii. Położenie to bowiem w każdym razie pozostawia wiele do życzenia.

Nie mało sprawiedliwych żądań katolików Austrii dotychczas nie zaspokoiono. Nie jedna sprawa z dawnych lat zaniedbana, w zgubnych skutkach mści się na obecnej chwili. Nie dający się zaprzeczyć brak energii w pewnych kołach, który niedawno nazwano po prostu, a z przekąsem „austriakiem safandulstwem“, pewne niekorzystne wpływy, mające swe źródło w odrębnych warunkach naszej wielojęzycznej ojczyzny, a które i w religijnych stosunkach nie są bez znaczenia, czynią nasze położenie tak niezwykle, iż *desiderium* istotnie niejedno zaspokoić trzeba. (Głosy: tak jest).

Z drugiej strony stosunki nasze oceniane są, a to szczególnie poza granicami Austrii, przesadnie surowo, tak dalece, że sami sobą pogardzać musielibyśmy, gdybyśmy byli takimi, jakimi nas malują, — wiecznie czarno i czarno. A dlaczego? — bo kilka pesymistycznie nastrojonych jednostek z naszego grona takimi nas przedstawia.

Gdy przeglądałem prace w łonie sekcji dla życia katolickiego i katolickich stowarzyszeń przygotowane, nieraz nasuwała mi się na myśl uwaga: „Istotnie! katolickie życie w Austrii i jego związki od ostatniego powszechnego wiecu katolickiego znaczny wykazują rozwój“.

Z wpływowych kół przesłano tej sekcji starannie opracowane sprawozdanie z działalności katolickich związków i zakładów klasztornych w niemieckich dyecezyach. Widoczna z nich ruchliwość niemieckich katolików, wśród których — jak łatwo poznać można — przodują dyecezye Kolońska i Moguncka. A jednak, szanowne Zgromadzenie, gdy porównamy liczbę związków niemieckich, wydanych dzieł katolickich ze stanem rzeczy w Austrii, w niejednym kierunku porównanie bynajmniej nie wypadnie na naszą niekorzyść. Jeżeli już w ogóle zechcemy katolickie życie jakiegoś kraju matematycznie mierzyć i obliczać, to niech ta okoliczność służy jako słaby dowód, że pesymizm w naszym położeniu nie jest zbyt usprawiedliwionym. Na co atoli nieskończenie większą kładę wagę,

to na fakt, że dzieła dokonane, a mianowicie istniejące już związki, silnie za tem przemawiają, że to, co dotychczas stworzono, nie tylko trwać lecz i rozwijać się będzie. Najlepszą tego rękojmią głównie w tem widzę, że nie lękaliśmy się i nie lękamy się głośno wyznać: „Musimy się uczyć, musimy duchem coraz głębiej sięgać“. Jestto niezbędnym, aby się tak stało, a jeśli się nie stanie, natenczas cały on zapal dla dobrej sprawy słomianym tylko będzie ogniem. Jakkolwiek prawdy, stanowiące podwaliny chrześcijańskiej nauki, wiecznie i zawsze pozostaną te same, lecz zewnętrzne stosunki i okoliczności ciąglej podlegają zmianie. A czem głębiej badamy chrześcijańską naukę, tem lepiej zrozumiemy ducha naszych czasów, tem skuteczniej będzie można zastosować chrześcijańskie zasady, i tem zbawienniejszy wpływ wywrze dzieło Chrystusa.

We właśnie co ogłoszonej korespondencji *O'Conella* (*Historisch-politsche Blätter*. Bd. 103, pag. 515), datowanej z czasów, kiedy ów wielki przywódca ludu gotował się w imię praw swej gorąco ukochanej ojczyzny, spełnić niejako na sobie słowa psalmisty: „Rozradował się jako olbrzym, aby biegał w drogę“. (Ps. 18, 6), znajdujemy pouczający ustęp: „Na dwie rzeczy zwracam baczne oko: przyswojenie sobie zalet, które każdy prawdziwy gentlemen winien posiadać, i pozyskanie potrzebnych wiadomości“.

A Goerres?! Szanowne zgromadzenie. Napoleon miał nazwać jego nadreńskiego „Merkurego“ piątym mocarstwem świata. Słowa te dostatecznie określają znaczenie tego patryotycznego tygodnika w ożywieniu ducha narodowego w Niemczech. Jak wiadomo, ten sam Goerres przy schyłku swego czynnego żywota podobnie potężny wpływ wywarł na rozwój katolickiej umiejętności, katolickiego życia, obudzenie zapалу dla spraw Kościoła, tak, iż do jego działalności zastosować można to, co mówi ów prosty, a serdeczny szwabski poeta o bohaterze swego poematu: „Taillefer śpiewał pieśń i niecił ogień dobrze“. Görres niecił ogień nie tylko przez swe tryskające duchową siłą pisma, z których tysiące czerpało wiedzę, lecz także przy pomocy tego ruchli-

wego grona, które gromadziło się w jego domu; był to tak zwany „okrągły stół Görresa“, mężowie jak *Ringeis*, *Möhler*, *Döllinger*, *Philipps*, *Cornelius*, *Schnorr*, czasami i *Sebastyan Brunner*, (huczne oklaski), *Brentano*, *Jarke*, *Böhmer*, *Lacordaire*, *Montalembert*. Tutaj odbierano zachętę, uczono się, tutaj znajdował każdy pobudkę, aby uczyć się jeszcze więcej, piękność naszego Kościoła poznawać jeszcze głębiej, — niejedna też iskra duchowa, która tutaj zabłysła, tysiące oświecała umysłów. Rzućmy okiem na dzieje naszej stolicy, a spostrzeżemy, że i tutaj te dwa okresy jej historii, w których o znacznem wzmożeniu się katolickiego życia, o zwycięskim zwalczaniu błędnych prądów ducha mówić można, ściśle się kojarzą z tyłuż peryodami duchowego zgłębiania chrześcijańskiej nauki. Szeroka działalność *Canisiusa*, apostoła Wiednia w XVI stuleciu, tak tutaj, jak i gdzieindziej po prostu na tem polegała, że dał poznać swym współczesnym naukę katolickiej wiary w całym jej blasku i rozciągłości, że przez wpływ, jaki w czasie uniwersyteckich studyów pozyskał, umozębnił i wykształconym, pozostać wierzącymi katolikami, a zarazem stanąć na wysokości epoki. A błogosławiony *Klemens Marya Hofbauer*, apostoł Wiednia w drugim dziesięcioleciu bieżącego stulecia, pouczał swych przyjaciół — a było między nimi wielu, których pominąć milczeniem historii nie wolno — pouczał swych przyjaciół, a przez nich przyszłe pokolenia o prawdzie, której współcześni błędami skażeni nie znali, a której Jozefiński dotychczas jeszcze nie rozumieją: O wolności Kościoła.

Tak tedy, szanowne Zgromadzenie, i teraz się pracuje, uczy, zagłębia szczególnie w studyach nad kwestyą, która od dłuższego czasu na pierwszy plan się wysunęła, nad kwestyą socyalną. Wielki socyolog, przebywający w murach Wiednia, którego zasługi wymowne usta czcigodnego prezydenta tak pięknie umiały uczcić, baron *von Vogelsang*, (huczne oklaski) który przed innymi najgorliwiej zachęcił katolików Austrii do studyów nad tą nauką, którego idee szeroko rozchodzą się poza granice kraju, daleko, daleko, mianowicie we Francyi

znajdując odgłos, jak o tem społeczni reformatorowie *Oeuvre*, przysyłając najwybitniejszych swych przedstawicieli na nasz wiec katolików, całemu światu oznajmiają: i ten umiał zgromadzić braci po duchu, którzy szlachetną żądzą wiedzy powodowani, wspólnie obradują, konferują i tym sposobem przy wzajemnej pomocy dalej rozwijają idee, które w całej Europie głoszą przywódce nowej chrześcijańskiej szkoły, chrześcijańscy ekonomiści polityczni. Przez to tedy, że katolicy w Austrii głębiej sięgnęli w badaniach naukowych, ustrzegli się przed ową błyskotliwą frazeologią, która żądań myślącego człowieka na długo zaspokoić nie jest w stanie. Zdobycze ich ducha godne też są wzmianki. To wszystko, co w naszej ojczyźnie uczyniono w celu ulżenia doli rękodzielników i robotników, tutaj ma swoje źródło.

Któż nie wie, że w *hr. Egbercie Belcredi* uznać należy twórcę nowelli przemysłowej, w *ks. Alojzym Liechtensteinie* męża, który powagą wymownego słowa najwięcej przyczynił się w parlamencie do uchwalenia praw ochrony robotników, w *hr. Blome*, (huczne oklaski), znakomitego bojownika w imię idei reorganizacyi społeczeństwa na podstawie stowarzyszeń zawodowych. Tysiące ludzi, którzy dotychczas zimnem i obojętnem spoglądali na nas okiem, gromadzi się pod naszymi sztandarami, przekonywując się coraz dowodniej, że chrześcijaństwo jedynie może być ową nicią Ariadny, która nas wyprowadzi z labiryntu społecznych zagadnień, z labiryntu, w jaki nas pogrążył niechrześcijański kapitalizm. Któżby był w owych czasach, kiedy na wsze strony głoszone, że moralne przypowieści nie pobudują kolei i wielu innych rzeczy nie zastępują, któżby był wówczas pomyślał, że jeszcze raz trzeba będzie uznać, ba! podziwiać ową starą, chrześcijańską naukę, którą już stawiano na równi ze starem żelaziwem, zdatnym jedynie na tandetę, naukę opowiadającą, że istnieją pewne, moralnością zakresłone granice, które koniecznie uwzględnić należy, jeżeli wzrost kapitału ma być godziwym, że pogardy godne są teorye, jakoby łupiestwo w zakresie chwilowo posiadanej władzy, było dozwołonem. Teraz po-

dziwiamy te zasady, teraz, kiedy poznano, kiedy w cyfrach wykazano, do jak monstrualnych stosunków ciągle wzrost majątku kilku giełdowych królików za kilka już zaledwie dziesięcioleci doprowadzić musi.

Gdybyśmy atoli, szanowne Zgromadzenie, tym samym zapalem, z jakim katolicy Austrii garną się do studyów nad społecznymi kwestyami, objęli chrześcijańską naukę w całej jej rozciągłości; gdyby mianowicie ludzie wykształceni na wspa-
niałe, a wciąż pojawiające się prace z dziedziny literackiej i innych gałęzi nauki, zechcieli baczniejszą zwracać uwagę, aby tym sposobem, odpowiednio do stopnia wykształcenia, nie tylko w sobie utwierdzić przekonanie o wiarogodności chrześcijańskiego objawienia, lecz także prawdy wiary głębiej badać, zrozumieć i przez to tem skuteczniej móc stanąć w ich obronie; gdybyśmy wszyscy, tą właśnie postępującą drogą, życzenia najwyższego opiekuna naukowych dążeń naszych czasów, naszego Ojca św. Leona XIII spełnili, który nie tylko kler, lecz i katolików świeckich do badań naukowych zachęcać pragnie, który przed niewielu laty w obec bardzo wpływowych osobistości ze stanu świeckiego, wyrzekł słowa, jakie żaden z mocarzów świata bez uchybienia wypowiedziećby nie mógł, a które jedynie w ustach Zastępcy Chrystusa, króla w państwie prawdy, są na miejscu: „Uczcie się, pracujcie!“; gdybyśmy, katolicy w Austrii, czynnie wypełnić chcieli wniośki rezolucyi, nad którymi sekeya dla sztuk i umiejętności, właśnie dziś już obradowała, i wkrótce nam przedłoży, — uzyskalibyśmy nowe dowody, stwierdzające ową starą prawdę, że prawda, a względnie tutaj katolickie chrześcijaństwo badań i wiedzy się nie lęka. Światła unikają tylko puszczyki, nietoperze i podobne im ptactwo. Tak jest, wielce szanowne Zgromadzenie, zgłębiajmy tę świętą naukę! Zaznamy przy niej chwil najczystszej rozkoszy, wzmocnimy naszą wiarę i z tej wiary także innym będziemy w stanie zdać sprawę. Dojdziemy wtedy do wyników, które nam może uzmysłowić doświadczenie z mikroskopem. Podczas gdy z jednej strony najcieńsza angielska igła, obserwowana przy pomocy dzisiejszych in-

strumentów optycznych, nie ma ostrza, lecz widoczną jest szeroka płaszczyzna, a więc ludzka sztuka rzeczywistego ostrza utworzyć nie jest w stanie, przeciwnie żądło pszczoły, pod szkłem lupy najsilniej powiększającej, jest zakończone rzeczywistym ostrzem, punktem prawie matematycznym; walec żądła najdelikatniej i najprawidłowiej się zaokrągla, a na ostrzu igły tymczasem z łatwością spostrzeżemy liczne rysy, chropowatości i nieusunięte maszyną wiórki żelazne. Gdy sobie wyobrażę, iż to, co do kształtu tak wykończone ostrze, powiększa się, staje się sztyletem, mieczem, wreszcie włócznią tak wielką, jak włócznia „świętego rycerza“ Jerzego, o! to taka broń w rękę męża, któryby umiał godnie jej użyć, straszna była w walce przeciwko staremu smokowi. Zadaniem jest każdego wykształconego katolika stać się w prawdziwym tego słowa znaczeniu „rycerzem ducha“.

Dalszą rękojmnią powodzenia naszej sprawy jest energia, stanowczość, jaką się w ogóle rozwija. Mógłbym wiele na to przytoczyć dowodów, alisci w sprawozdaniu mem do mniejszej liczby danych ograniczyć się muszę.

Katolicki związek ludowy dla Austrii górnej, założony wprawdzie już kilka lat przed pierwszym wiecem austriackich katolików, przez mężów pełnych energii i stanowczości, z tą samą energią i stanowczością zwalczał wszystkie zapory i przeciwników, a dzięki odwadze swych członków wszystkie pokonał. Burza wstrząsnęła wprawdzie konarami potężnego drzewa, pod którego osłoną tyle tysięcy dzielnych ludzi znajduje schronienie, lecz niem samem zachwiać nie zdołała — ze zdrowego a pełnego soków pnia wyrastają wciąż nowe a żywotne lato-rośle. Związek, liczący w r. 1877, 20.000 członków, liczy ich obecnie 31.600 żyjących, podczas gdy cyfra zmarłych wynosi więcej niż 10.900. Założony przez katolicki związek ludowy bank kredytowy rozporządza obecnie kapitałem 7 milionów. W wiecu konserwatystów w r. 1880, 8000 interesowanych brało udział. Towarzystwo ubezpieczeń ogniowych liczy 8000 interesantów. Organ związku *Volksbote*, rozdawany bezpłatnie, drukuje się w więcej niż 31.800 egzemplarzach.

Nowego dowodu, stwierdzającego co może energia i stanowczość, dostarcza katolicki związek szkolny, założony dnia 9 grudnia 1885 roku, a więc nazajutrz po uroczystych modłach w tumie św. Szczepana, zarządzonych w celu prześlągania majestatu Bożego, wyszydzonego przez pewne ohydne malowidła. Po trzyletniej zaledwie egzystencji liczy związek 11.061 członków, 70 grup już czynnych, a 6 innych w zawiązku, rozłożonych po Austrii górnej i dolnej, Czechach, Morawii i Voralbergu.

Związek szkolny najrozmaitszymi środkami, przez stósowne pisma, broszury, wykłady, pomocnym był w krzewieniu i utwierdzaniu we wszystkich przekonania o konieczności szkół wyznaniowych; założył przytem wiele szkół w różnych dyecezyach, inne już istniejące wspiera, a do założenia katolickiego seminaryum nauczycielskiego poczyniono wstępne kroki, zakupując plac pod budowę odpowiedniego gmachu.

Z energią i stanowczością w burzliwych czasach założonem zostało stowarzyszenie czeladników w Austrii, i z tą samą energią postępuje praca nad rozwojem stowarzyszenia od ostatniego katolickiego wiecu, pod przewodnictwem owego wielce zasłużonego męża, który *O. Kolpinga* przewyższa jeszcze powagą ducha, a w miłości dla chrześcijańskich pracowników bynajmniej mu nie ustępuje, a praca tak skuteczna, że dziś 140 związków w Austro-Węgrzech głosi zasługi swego ojca Gruszy.

Z godną podziwu dzielnością założono za sprawą pierwszego austriackiego wiecu katolickiego, katolickie stowarzyszenie opieki sierot, i z tą samą energią dalej poprowadzono. Związek liczy obecnie 11.000 członków i blisko milion na cel tak szlachetny obrócił.

Z prawdziwą sprężystością pracowano w wielu dyecezyach nad rozpowszechnieniem konferencyj św. Wincentego, szczególniejszą przytem od r. 1882 otaczając opieką dzieło św. Franciszka Regisa, dzieło, które właśnie co 1300 konkubinatów usunęło.

Z prawdziwą przykrością zmuszony jestem, ze względu

na udzielony mi czas, ograniczyć się w przytaczaniu większej liczby szczegółów, które świadczą, że w najrozmaitszych krajach koronnych pracowano ruchliwie, energicznie ruchliwie.

Ta stanowczość i energia objawia się przez zakładanie i pielegnowanie stowarzyszeń, objawia się również i jeszcze widoczniej w zgodnem domaganiu się uwzględnienia praw najrozmaitszych, a których katolicy wyrzec się nie mogą.

Wyrobiła się wreszcie świadomość, że i katolicy posiadają również pewne prawa, i że obowiązkiem jest sumienia do uznania tych praw się przyczynić. I jawność, z jaką się to dzieje, w ostatnich latach niezaprzeczenie się wzmoęła. „Śmielszy ton“ stał się modnym, wyrażenie, które nie wszyscy tak samo pojmują. Ów „śmielszy ton“ nie wszędzie i nie zawsze wolnym był od wybryków. Atoli my spokojnie i trzeźwo i niezbyt surowo sądzić powinniśmy tego rodzaju objawy. Żadnego faktu, jeżeli go się chce dobrze zrozumieć, nie należy ogołacać z ram czasu, do którego ów fakt się odnosi.

Szanowne Zgromadzenie przypomina sobie zapewne owo tkliwe współczucie, z jakim 30 marca b. r. generalny mówca liberalny w czasie wielkich obrad szkolnych wystąpił w obrobie biednego żyda, którego — jak twierdzi — widział na lewo obok mostu w Aspern, mruczącego nad rzeką modlitwy. Nagrawał się z niego ulicznik, podczas gdy dwaj elegancko ubrani panowie, przyglądając się tej scenie, zanosili się od śmiechu.

A właśnie tenże mówca, który w tym samym ustępie swej mowy, podług zdania *N. Fr. Presse*, wylewa swe uczucia na temat „owej dziwnej, zamierzchłej epoki religijnego wykształcenia, podczas której życie ludzkie porównywano z wodną falą, co spiętrzy się, opadnie i zginie w oceanie zapomnienia Nirwany“, ten sam profesor wołał wkrótce potem patetycznie: „Czy to jest dzisiejsze chrześcijaństwo? Czyż w tej nędznej istocie nie tkwi serce takie same jak u innych, i czyż nie przyjdzie kiedyś i na to stworzenie chwila śmierci, i czy mu sumienie nie stawia pytania: Czegoś dokonał w swem życiu z dzieł miłości i czegoś dokonał z dzieł nienawiści?“

Aczkolwiek w bliskości asperskiego mostu zaledwie bardzo rzadko możnaby ujrzeć żyda, mruczącego nad rzeką pacierze, to jednak chcemy przypuścić, że szanowny profesor w owej chwili nie podlegał żadnej hallucynacyi, (wesołość) z drugiej zaś strony z głębokiem przekonaniem łączymy nasz głos z wyrazami najwyższego oburzenia w obec zachowania się tych indywiduów, szczególnie z klasy wykształconej, które kogoś z powodu aktu religijnego, jakim jest modlitwa, wyszydzają. Atoli właśnie to, co posła z *Leopoldstadt* tak porusza, i nas porusza i poruszać musi. Cóż takiego? Gdy to, co mamy najświętszego, nasze chrześcijańskie przekonanie długie lata błotem się obrzuca, jak to czyni nienawiste nam dziennikarstwo z przeciwnego obozu, gdy ta prasa nie pominęła prawie ani jednej z naszych uroczystości, nie zraniwszy naszych najgłębszych uczuć, gdy nas katolików, skoro tylko na zewnątrz chcemy objawić naszą wiarę, wyszydzają, gdy na naszych kapłanów miotają obelgi, i gdy tego wszystkiego dopuszczają się nie ulicznicy, lecz współpracownicy czasopism, przez najwykształceńszych i najwybitniejszych mężów przeciwnego obozu inspirowanych, duchowo i materyalnie popieranych, — czyżby się mógł kto dziwić, gdyby rumieniec gniewu wystąpił na nasze oblicza; czyżbyśmy nie byli tchórzami, gdybyśmy naszemu oburzeniu nie dali wyrazu? (Okrzyki uznania i oklaski).

A i ta okoliczność usprawiedliwia nasze oburzenie, że prasa nieprzyjazna nie tylko jest w ogólności antireligijną, lecz w szczególny sposób antichrześcijańską i antikatolicą, że głównie chrześcijaństwo i Kościół oszczerstwami obrzuca. Nie chcę przytaczać jako dowodów, zdań wybitnych katolików, posłużę się raczej słowami pewnego Austriaka, władającego niezwykle biegłym piórem, lecz do naszego obozu najwidoczniej nienależącego. Mąż ten napisał w r. 1887 artykuł, dotychczas bynajmniej nieprzestarzały, na który my prawie uwagi nie zwróciliśmy, a który ogłoszony w jakim katolickim czasopiśmie uważanoby jako wymierzony przeciw żywiolom żydowskim. Z tem zapatrywaniem stoi w sprzeczności okoliczność, iż pojawił się w *Münchener Allg. Ztg.*, który to dziennik, szcze-

gólniej w dziale naukowym, za katolicki lub chrześcijański z trudnością mógłby uchodzić. W artykule tym, którego ostrze, mimo niemożliwych dla uszu chrześcijanina bluźnierstw, nie jest wprost przeciw chrystyanizmowi zwrócone, przedstawiony jest w kształcie pogadanki „geniusz nadchodzącego stulecia“, opowiadający nam o projekcie urządzenia Palestyny w celach turystycznych. Utworzoną ma być sieć kolei żelaznych z punktem centralnym w Jerozolimie, łączącym wszystkie ważniejsze miejscowości Ziemi św. Dzielnemu szwabskiemu restauratorowi powierzona ma być piecza nad komfortem, który turyści w innych krajach spotykają. Mimochodem tu wspomnę, że ogród Getsemański, a więc to święte miejsce, które Chrystus krwawym potem swym zrosił, ma być zamieniony na t. zw. „Wurstelprater“ (Pfui), na górze Oliwnej projektuje założyć hotel „pod Ojciec naszym“ (Głosy: Pfui!). Emaus, owo miejsce, gdzie Pan Jezus dwom uczniom swym udzielił Najśw. Sakr., ma się stać siedzibą wyrobu kielbasek, (żywe objawy oburzenia), jak *Gunzenhausen* w Bawarii lub *Göppingen* w Wirtembergii. Co się zaś tyczy dworca kolejowego, powinien być tenże być zbudowanym na górze Sionu; „tymczasem — odtąd cytuję dosłownie — między największą częścią naszych akcyonaryuszów nie dało się to przeprowadzić, miejsce to bowiem dla jakichś ubocznych względów wydawało się im zbyt szanowne. Ci byli tego zdania, aby główny dworzec wraz ze zabudowaniami na maszyny i składami posunąć nieco na północ, tam, gdzie upatrzyli sobie miejscowość, zwaną Golgotha“. (Oburzenie).

A więc Syon, dla Żydów szanowne, jest zbyt świętem, a Golgotha, dla chrześcijanina najświętsze miejsce nadaje się do profanacyi. Oto proroctwa czasopisma rozpowszechnionego po całym świecie, jeżeli rzeczy pójdą dotychczasowym torem. (Pfui! Pfui!) Szanowne Zgromadzenie! czyż te słowa pozostawiają najmniejszą wątpliwość. Lecz i tutaj niech nie traci na wadze: Miłujcie nieprzyjaciół waszych! Aliści właśnie owo wygórowane szczydzenie z idei chrześcijańskich skłoniło mężów, którzy aż do ostatnich czasów nie czuli w sobie ducha chrze-

ścijańskiego, przybrać znowu miano wyznawców katolickiego Kościoła; a jeśli przy odpieraniu tych, tak daleko się posuwających obelg, nie brak na ekscesach, czyż te wybryki, których bynajmniej, rozumie się, nie pochwalamy, mogą nas dziwić? A jeśli generalnego mowcę lewicy oburza postępек ulicznika, który przy akompaniamencie dwóch elegancko ubranych panów naigrawał się z biednego żyda, słynny geolog wskazuje przez to i nam, jak przyjmować powinniśmy urąganie się z naszych najświętszych wierzeń, i poucza nas, że mamy słuszość, gdy z energią, gdy z całą możliwą energią przeciw podobnemu postępowaniu protest kładziemy.

Gdybyśmy katolicy całej naszej obrotności i wszystkich sił naszych na odparcie tych szyderstw użyli, gdybyśmy usunawszy na bok spory o drobnostkowe różnice zapatrywania, zawsze tylko wroga, a nie przyjaciela i brata po duchu z powodu drobnej różnicy w zdaniu na cel wziąć zechcieli, wtedybyśmy przynajmniej rozdrobnieniu naszych i tak już nie wielkich sił zapobiegli. Wiem, że i we własnym obozie znaleźć się może jaki Jebuzyta. I tego trzeba zwalczyć, lecz to już nie przyjaciel, nie brat po duchu, lecz raczej wróg najniebezpieczniejszy. Atoli, szanowne Zgromadzenie, z ręką na sercu powiedzmy, czyśmy w ostatnich latach zbyt gorąco nie brali się do spraw, względem których należało raczej zastosować ową starą zasadę: *in dubiis libertas*.

Jeżeli jaki dzielny wiarus, stając w obronie wolności Kościoła, jaki gorliwy przeciwnik wstecznych zasad po wielu dzielnych ciosach za dobrą sprawę jeden mylny krok postawi, zwracając swój zapal przeciw błędnie obranemu przedmiotowi, nie pochwalimy tego, lecz zbyt surowo sprawy za złe brać mu nie będziemy. Przywiedziemy sobie wtedy na pamięć słowa owego wielkiego papieża, który zasadę *non possumus* obrał za swe hasło, a który redaktora, popełniającego małą omyłkę, w ten sposób radzi usprawiedliwić, że często tenże przez jedną noc o nadzwyczaj ważnych sprawach utworzyć i sformułować swój sąd jest zmuszony. Lecz nie należy osoby, którą się błędnie inkomoduje, dalej inkomodować, w przeciwnym

razie, poznawszy rzeczywisty stan rzeczy, postępuje się niesprawiedliwie, zajmując przytem pośród otoczenia stanowisko trochę niedorzeczne.

Opowiadają o pewnej wielkiej austriackiej aktorce z dawnych lat, że w niektórych wielkich rolach, kiedy dawała się w zupełności porywać uczuciu, opanowywało ją kurczowe drżenie palców; zaczęły mniej sławne naśladowczynie wielkiej artystki, w tych samych chwilach, co ich mistrzyni, wibrowały palcami. Komuż nie są znane te i tym podobne objawy tego zjawiska, które w sztuce zowie się manierą?

Teraz w tę manierę zdaje się w rzeczywistości i wielu katolików popadać. Bliższe uzasadnienie tego twierdzenia zdaje mi się na tem miejscu zbyt czułym! Zamiany, w których tutaj zgromadziliśmy się, są za święte, za czyste, aby ktoś ze zgromadzonych miał opuścić to miejsce z wyrzutem sumienia w sercu: Słowa twoje miasto korzyści, szkodę przynoszą, miasto jednoczyć, rozprężenia są przyczyną.

Lecz winą moja byłaby nie do darowania, gdybym wobec zadania, jakie mi w udziale przypadło, słowami memi serce którego z naszych niewinnie goryczą może napoił. Atoli to, szanowne Zgromadzenie, wolno mi i powinienem objaśnić, jeżeli moją mowę, której treścią ma być rozwój katolickiego życia i stowarzyszeń, a więc środki jednoczące katolików i zabezpieczające przed wielką niezgoda w przyszłości, nie ma spotkać zarzut wnioskowania na sposób *lucus a non lucendo*. Moglibyśmy więcej niż jeden fakt przytoczyć, gdzie z karygodną lekkomyślnością nastawano na osoby, które koniecznie zaufaniem katolików obdarzone być winny, jeżeli także i dla Austrii sprawdzić się mają słowa niemieckiego kanclerza państwa, który na posiedzeniu rady państwa z d. 16 maja 1873 jedność katolickiego Kościoła nazwał „podziwu godną”. (Brawo! Brawo!) Wiemy, że przełożonych Kościoła w niejednym wypadku surowo ganiono za postawione przez nich prawa postępowania, które dopiero wówczas uznano, gdy je Rzym, Ojciec św. zatwierdził. Niech mi raczej język uschnie, jeżeliby przez moje usta przejść miały słowa, któreby się przyczyniły do

zmniejszenia w kim miłości dla Kościoła, w którego uwielbieniu chciałbym, aby nikt przewyżżyć mię nie mógł. Nie należy być więcej rzymskim niż Rzym, więcej papieskim niż Papież, gorliwszym wyznawcą Kościoła niż Kościół! (Oklaski).

W jaki sposób ma nastąpić w tym kierunku polepszenie? W zakładach wychowawczych przełożony, jeśli nie chce być pedantem, powinien nie tylko każdy błąd karać i karcić, musi on przede wszystkim pielęgnować pewne poczucie honoru, honoru w dobrem tego słowa znaczeniu, który jego wychowanków doprowadza do tego, że sami nie mogą ścierpieć w swem gronie, pewnych, honor na szwank narażających, błędów. Gdybyśmy katolicy tak samo postępowali wobec pewnych objawów, które po dokładnej rozwadze, nawet przy najlepszym usposobieniu dla Kościoła, inaczej jak ekscentrycznością nazwać nie można, odjętoby może zagranicy podstawę do zapatrywań, określających położenie katolików w Austrii jako *non plus ultra* niedołęstwa. Tym sposobem bylibyśmy w możności nie rozdrabniając swych sił, w zwartych szeregach wyruszyć przeciw wrogowi.

Co w dalszym ciągu wlewa we mnie otuchę i przekonanie, że katolickie życie w naszej ojczyźnie w przyszłości się wzmoże, to ta okoliczność, iż nadprzyrodzony czynnik bynajmniej nie jest pominiętym. To, czego my katolicy dokonać mamy, wymaga więcej niż z jednego powodu gotowości do ofiar i poświęcenia siebie samego. Tego poświęcenia siebie samego nie znano przed Chrystusem, a w każdym razie nie tak, jak tego Chrystus nauczył. Jeżeli tedy to, czem rzecz jaka istnieje, zarazem ją zachowuje, to my, jak najściślej złączywszy się z Chrystusem, nie tylko w chwilach podniesienia ducha ślubować będziemy gotowość do poświęcenia, lecz przyswoimy ją sobie i stale w czyn zamieniać będziemy. Czem staranniej pielęgnowujemy w sobie życie łaski, czem więcej się modlimy, a szczególnie czem więcej ów najdroższy skarb na ziemi, Najśw. Sakrament, cenimy i zeń korzystamy, tem zdolniejszymi się staniemy, by w publicznem życiu dzielnie, jak na mężów przystało, wystąpić w obronie katolickiej sprawy. Jeżeli, jak twierdzi an-

gielski oratoryanin Faber, cześć jaką dla Najsw. Sakramentu żywimy, jest miarą naszego religijnego życia w ogólności, to tenże Sakrament, jak każde prawdziwe pielęgnowanie wewnętrznego życia, będzie miarą naszego uzdolnienia w krzewieniu chrześcijańskich zasad w życiu publicznem i nadaniu naszym cnotom obywatelskim wzrostu i plenności, wszystkie siły natury przewyższającej. Panowie! pomnijmy na to: mąż, który w Mantui jęczał we więzach, mąż, który tak szczytnie i dla tak czystych ideałów śmierć poniósł, ziemianin Andrzej Hofer, ten zawsze wielce się starał o wewnętrzne duchowe życie, był gorącym czcicielem Najśl. Serca Jezusowego, nosił szkaplerz, który dotychczas w muzeum insbruckiem widzieć można, otwarcie na piersiach, a miłość boskiego Serca głęboko w duszy. *O' Connell*, ów wielki przywódca ludu, który cały naród umiał natchnąć pragnieniem wolności, był dziecięco pobożnym katolikiem. Również *Goerres*. Albo któż, panowie, nie zna tych pięknych słów znakomitego wodza katolików w Niemczech: „Kto ma oczy a nie widzi, kto ma serce a nie czuje: tylko w modlitwie znajdziemy pomoc!“ Widziałem, panowie, przy stuletnim obchodzie ku czci Kanizjusza we Fryburgu w Szwajcaryi, najwybitniejszych katolików niemieckich, a między nimi mężów z najdostojniejszych rodów, rano przystępujących do stołu Pańskiego, popołudniu w czasie przenoszenia relikwii odmawiających na ulicy różaniec, i zrozumiałem, że kraj który tak pobożnych posiada katolików, tyloma mężami wielkimi, bohaterскими poszczycić się może. O gdybyśmy tak żyli, że do nas zastosować możnaby to, co mówiono o pierwszych chrześcijanach, iż czystością swego życia świadczyli o nieskazitelności swych przekonań! Wielki katolicki mąż stanu, *hr. Leo Thun*, nad którego trumną temu kilka miesięcy staliśmy, wspaniałym przyswiecał nam przykładem, jak moc charakteru, mająca swe źródło w nadprzyrodzonym życiu, do uznania, ba! podziwu zmusza. Albo wstąpcie panowie do któregokolwiek z katolickich stowarzyszeń i dowiedźcie się, czy ci, którzy dokonują prac, najwięcej trudów i mozółów wymagających, nie są właśnie tymi, którzy życie nadprzyrodzone najgorliwiej pielęgnują.

Dlatego też pocieszającym jest spostrzeżenie, że pobożne związki w celach wspólnej modlitwy rosną i kwitną, że w całej naszej ojczyźnie znacznie się wzmacza cześć dla Najśl. Serca Jezusowego, nabożeństwo, z którego ćwiczeń pobożnych całe morze łask na nas spływa! Alboż to nie charakterystyczne cyfry, że do arcybractwa Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi P. przystąpiło w jednym jedynym kościele w Wiedniu od r. 1854, 134,000 członków (oklaski), że do stowarzyszenia nieustającej czci ś. Józefa, w 1871, przez jednego z proboszczów arcydiecezyi wiedeńskiej założonego, należy 100,000 sodalisów (oklaski), że przed 6-ciu dopiero laty założone stowarzyszenie Ducha św. dla wspólnej modlitwy 20,000 liczy już członków (oklaski). Aczkolwiek nie chcemy zbyt śmiało stwierdzać stan nadzwyczajnych pobożnych zgromadzeń, to jednak niechaj tu będzie wspomnianym fakt, że właśnie od czasu utworzenia się tego związku, który głównym celem są modły o usunięcie braku kapłanów, liczba kandydatów do stanu kapłańskiego znacznie się wzmogła.

Niechaj mi nie będzie poczytanem za złe, że z tego miejsca omawiam sprawy, któreby raczej kazalnicy przysłały.

Chciałbym się ustrzec przed błędem, który właśnie w najnowszych czasach mógł się stać powodem wielu nieporozumień między katolikami. Nie brak nam na gorliwych ale zbyt ostrożnych katolikach, których niepomaha gniewało, że z ludźmi, którzy się dopiero zbliżają do naszego stanowiska i dla tego właśnie zbliżają się, że im tak imponuje wpływ chrześcijaństwa na uzdrowienie naszych nędz społecznych, pozawierano z politycznych względów kompromisy, że się w obec nich o niektórych sprawach milczy albo z pewną rezerwą je omawia. Nie brak nam też na umysłach sangwinistycznie nastrojonych, które zachwycone zbliżeniem się tych dotychczas obcych nam żywiołów, chcieliby mleczkiem karmić i tych, którzy posilniejszą strawę nie tylko znoszą, lecz jej nawet oczekują. Atoli ja przemawiam w obec mężów, trzymających się katolickich zasad, których w tem miejscu zgromadziła miłość świętej naszej katolickiej sprawy, których najgorętszem

jest życzeniem, aby to, co my katolicko-chrześcijańską prawdą zowiemy, również i przez innych w swej prawdzie i wzniosłości uznanem zostało, którzy dla tego głęboko ubolewają nad tem, że krzewienie na wsze strony chrześcijańskich idei, mimo pojedynczych pocieszających objawów, w ogóle wiele pozostawia do życzenia. Kto z życiem katolickiem, szczególnie w większych miastach, jest obeznany, ten wie, że pomimo wielokrotnych i wielostronnych usiłowań, jakie poczyniono w celu uzyskania dla chrześcijańskich zasad szerszej mianowicie wśród mężczyzn podstawy, rezultaty osiągnięte pozostawiały niemało do życzenia. Pocieszające, a niezaprzeczone zajęcie się tak wielu naszą katolicką sprawą, którą w Wiedniu i innych miastach w ostatnich miesiącach zauważyć mieliśmy sposobność, czyżby nie mogło być pomocnem do większego zrozumienia rzeczy nadprzyrodzonych. Panowie! Słyszeliśmy już, że prawda, zawarta w chrześcijaństwie, nie lęka się światła, w złych bowiem tylko celach postępuje się skrycie. Dajmy tym mnogim tłumom ludzi, którzy pogrążeni są w obłędzie religijnych uprzedzeń, bałamuceni i omamieni wpływową a przewrotną prasą, porwani prądem opinii publicznej, dajmy tym wszystkim sposobność, by poznali chrześcijańską naukę, a poznali taką, jak ją misyonarz głosi innowiercom, kapłan w szkole wykląda, nie zapomnijmy przytem wskazać na ową zbawienną a odradzającą siłę, jaka tkwi w kościele w obec nędzy i niedoli naszego wieku, a nasze kościoły będą pełne, przepelnione, aż mury ich okażą się zbyt ciasne. Wtedy niejeden poznawszy ideę chrystyanizmu, nauczyłby się tem samem cenić ją i kochać, nauczyłby się obowiązku, że te idee i w życiu publicznem czynami stwierdzać należy; względ ludzki, główne zle naszych czasów, uznanym by był za to, czem jest, za nikczemne tchórzostwo, a oddziaływanie takich zasad na życie publiczne tworzyłoby obraz wspaniały i budujący.

Utrzymują, że misye, które kardynał *Melchers* jako arcybiskup w Kolonii zarządził równocześnie we wszystkich parafiach tego starego a zacnego miasta, wywarły korzystniejszy wpływ na katolickie życie, a mianowicie na najbliższe wybory,

niż ów znany koloński wypadek, który charakteryzowano słowami „biskup w okowach“. Równocześnie zapewniają nas, że cztery misye, które biskup *Forster* na zamknięcie pięćdziesięcioletniego jubileuszu odbyć polecił, że wielkie misye jezuickie w rozmaitych miastach niemieckich, podobne osiągnęły rezultaty, mianowicie w Monachium, co świadczą odbyte tam stanowczo katolickie wybory z całego szeregu lat. Właśnie co w ubiegłym poście zorganizowano w Akwisgranie rodzaj misyi generalnej. Tak jest, kto celu chce, musi chcieć i środków. Jeżeli sztuka bałamucenia umysłów jest nadzwyczajną, na nadzwyczajne też wysilić się trzeba środki zaradcze.

Dosadne są słowa, które biskup Rüdiger wyrzekł do następcy swego na biskupim tronie, a które to słowa z ust jego powtórnie słyszałem: „Jeżeli katolicki związek ludowy w Austrii Górnej, na wszystkie wybory okręgowe i niektóre przemysłowe stanowczy wpływ wywierając, dziś tak wspaniały przedstawia obraz; jeżeli 30,000 członków tegoż stowarzyszenia świetną tworzy falangę, to rdzeniem tych zastępów są mężowie, którzy w domu rekolekcyjnym duchowe odbyli ćwiczenia. (Huczne brawa i oklaski).

Miałożby, panowie, być to samo niemożliwem gdzieindziej? Kto celu chce, musi chcieć i środków. Same treny są bezowocne. Słuchać i narzekać, gdy trzeba pracować, a do tego wśród płaczu zaniedbywać sprawy, sprawy wielkiej wagi, to można wybaczyć niewieście, lecz nigdy mężom. Panowie! często przywodzę sobie na pamięć słowa mojego śp. mistrza, biskupa *Ernesta Maryi Müllera*: „My katolicy nie wszystko już mamy w swej mocy, ale możemy jeszcze bardzo wiele; o, gdybyśmy tylko to wypełnili, co jeszcze zrobionem być może, zaprawdę, byłoby to nie mało!“

Ponieważ wiadomo mi, że i w tym ostatnim zakresie wewnętrznych misyj, niedawno godne zaszczytnej wzmianki korzyści osiągnięto, a poczynione już są kroki do rozpowszechnienia większych tego rodzaju przedsięwzięć, uzasadnione są moje nadzieje, iż katolickie życie w przyszłości się wzmoże.

Gdy wszyscy razem, panowie, dalecy od beznadziejnego

pesymistycznego poglądu, że już nic więcej uczynić się nie da, owszem, z tem głębokiem przekonaniem dalej pracować będziemy, że jeszcze wiele, bardzo wiele uczynić można, gdy wszyscy, każdy na swym stanowisku, co możliwe, dopełnimy, gdy nauczymy się z energią i stanowczością rozwijać naszą działalność, szczególnie w obronie tego, co teraz najniezbędniejsze, szkoły wyznaniowej, a gdy przytem nadprzyrodzonego czynnika nie spuścimy z oka, gdy mianowicie ci mężowie, których Bóg w szczególniejszy sposób na świeczniku postawił, na to zważać będą, że wpływ ich stokrotnie, tysiącrotnie powiększyć się może, wtedy ten drugi austriacki wiec katolików, który, jak każdy z tych lub tym podobnych wieców, wszystkiego oczywiście przekształcić nie zdoła, przecież potężny, bardzo potężny wpływ wywrze, wtedy pomocnymi będziemy w zamienieniu w czyn tych słów, do których urzędzistnienia najnowszy wielki katolicki wniosek istotnie ma się przyczynić: „Chrystus zwycięża, Chrystus panuje, Chrystus tryumfuje“! (Huczne, nieustające oklaski i brawa).

Prezes *hr. Blome*, donosząc o żałobnem nabożeństwie, mającem się odbyć za zmarłych członków pierwszego wiecu, poświęca kilka słów serdecznego wspomnienia rycerskiej postaci Leona *Thuma*, który na wszystkich polach społecznego i politycznego życia zawsze pod sztandarem sprawy katolickiej stał i jak żołnierz za nią walczył.

Posel do Rady Państwa, *dr Katherein*:

Zaczyna swą mowę od częstego między ludźmi zjawiska, że wielu tylko za przeszłością płacze, a wielu znowu patrzy i czeka lepszej przyszłości. Zadaniem katolickiego męża jest: my musimy obiema nogami stanąć na terażniejszości i obiema rękami pracować, żeby przyszłość sobie zapewnić.

Jeżeli spoglądnijemy w koło siebie, to musimy przyznać, że czasy naszą są bardzo zasmucające. Prawie nigdy nie było tak wielkiego zamieszania pojęć, kłamstwo nie święciło takich tryumfów, a zło tyle nie chłonoło ofiar, co dzisiaj; brak wiary i przewrotność woli niesłychane przybrały rozmiary. Ten opłakany stan jest po większej części dziełem prasy, owej prasy,

która jednego z najdonioślejszych wynalazków, jakimi świat został uszczęśliwiony, nadużywa na to, aby przez fałszywe nauki i sofizmata, przez przekręcanie i kłamstwo, przez szyderstwo i drwinki wiarę w Chrystusa u społeczeństwa ludzkiego podkopać. Prasa urosła we wielką potęgę wszystko opanowującą. Chcieć temu zaprzeczyć byłoby równie niedorzecznie, jak podłością by było chcieć ze strachu przed tą potęgą się ukorzyć. Prasa jest potężnem narzędziem myśli, które może być zgubnym, ale równie dobrze i zbawiennym darem niebios, który nadużyty tyleż sprawia złego, co w dobrych rękach dobrego przynieść może; prasa dla geniusza złego staje się morderczą bronią — ale w służbie prawdy jest ona pośredniczką cywilizacyi. Nie bójmy się więc tej potęgi.

Na soborze Lateraneńskim z r. 1515 powiedział Leon X: „Sztuka drukarska, która *divino favente Numine* została wynaleziona, udoskonalona i rozpowszechniona, niezmierne korzyści ludziom przyniosła“.

Ztąd dla nas katolików wniossek, że my nie powinni tej silnej pozycyi odstępować tym, którzy się Chrystusa zapierają i nieprzyjaciołmi są cywilizacyi; że przeciwnie oburącz powinniśmy się tej broni chwycić, pracować ile możemy, żeby ten zgubny wpływ prasy ulepszać. Zła prasa może być skutecznie zwalczona jedynie przez prasę dobrą.

I tu zaczynają się nasze obowiązki, na któreśmy dotychczas w Austrii niestety nie zwracali uwagi, z za małą je pełniąc gorliwością, albo po większej części zaniedbując je.

Mowca rozbiera dalej smutną okoliczność, że po wszystkich publicznych miejscach, na dworcach kolejowych, w restauracyach i kawiarniach, po domach prywatnych, nawet i w katolickich rodzinach, zawsze niemal okazy złej prasy znajdujemy. Zejdzie się kilka katolików razem, złączą mówić o polityce i wnet schodzą na temat okropnych spustoszeń moralnych, wyrażonych przez złe dzienniki; niech jednak tylko ten głos skargi umilknie, a wnet każdy z nich zażąda jakiej liberalnej gazety, by zaczerpnąć z niej na codzienną potrzebę politycznej mądrości. A w domu po rannym pacierzu skwapliwie zabiera

się znowu każdy do czytania czasopisma, nieprzyjaznego wszystkim zasadom czytającego. Lamentujemy nad tem, że siła w rękę przeciwników rośnie, że brak nam katolickiej prasy, a nie czytamy jej ani nie abonujemy, przeciwnie zaś dziennikarstwo złe wprost lub niewprost, ale zawsze popieramy. Gdzież tu konsekwencya, gdzie rozum, gdzie poważny sposób myślenia!?

Książe biskup z *Brixen* powiedział w swym ostatnim liście pasterskim, że dla katolika jest hańbą czytać gazety, które dzień w dzień zaczepiają religię, a jego matkę, Kościół ciągle obelgami obrzucają. Obudźmy się więc raz przecie i nie bądźmy tak opieszalymi w dopełnieniu tego naszego obowiązku względem prasy katolickiej. Popierajmy ją materyalnie i moralnie.

Chcemy, żeby w Austrii chrześcijański zakon moralności całe publiczne życie przeniknął i opanował, żeby gospodarskie i społeczne stotunki na nowo były uporządkowane, żeby dobrobyt w niższych i średnich warstwach odżył. A jakże to się stać może, jeśli tłumy poprzednio obalamucone doktrynami liberalizmu, na nowo dla idei konserwatywnych nie będą pozyskane.

Na to zaś katolickie gazety nie tylko pisane i drukowane, ale i czytywane być muszą.

Stosunkowo do poparcia, jakiego doznaje, stoi prasa katolicka u nas na wysokości swego zadania. Walczy ona ze zrzecznością, energią, podziwienią godną wytrwałością, i nie strudzoną jest mimo prześladowań i zaczepiek, jakie ją z jej własnego obozu trafiają. Nie w katolickiej prasie więc leży błąd, jeśli się tak nie rozszerza, jakby tego pragnęła, i jakby się jej to należało; błąd leży w tem, że my tak mało bierzemy tu udziału.

W Austrii posiadamy miesięczniki i dzienniki redagowane z rzadkim talentem, które zwłaszcza w zakresie ekonomicznym i społeczno-politycznym nowe drogi torują, i ich to silnemu impulsowi zawdzięczamy to, że się coraz bardziej wzmaga prąd przeciwko zgubnemu politycznemu i gospodarskiemu systemowi liberalizmu. A jeżeli przed kilku dniami bardzo wpływowa ga-

zeta mogła skonstatować, że świadomość społecznej solidarności u całego chrześcijańskiego narodu we wszystkich warstwach na jaw wyszła, to w tem pocieszającym zjawisku głównie zasłużoną jest ta prasa, z którą my się właśnie tak po macoszemu obchodzimy.

Mamy także czasopisma dla umiejętności i sztuki, dla nauki i rozrywki, które się od podobnych produktów z obozu przeciwnego tylko tem korzystnie wyróżniają, że pod ponętną postacią nie podają nam trucizny.

Przestańmy więc nareszcie o najważniejszych sprawach życia pouczać się u tych, których zkądinąd za naszych największych przeciwników uważamy. Nie stawiajmy, my katolicy, sobie samym takiego świadectwa ubóstwa. Jednego tylko nie znajdziemy w katolickich gazetach, mianowicie wstrętnej kroniki skandalicznej. Ale zato powinniśmy być naszym czasopismom bardzo wdzięczni, bo człowiek wykształcony nie będzie grzebał w błocie ludzkiego społeczeństwa.

Takie są obowiązki społeczeństwa względem prasy katolickiej; a jakież są obowiązki tej prasy, jakim powinno być katolickie dziennikarstwo?

Katolicka prasa ma bronić wiary i chrześcijańskiej obyczajności, ma walczyć za prawdę i prawo, za religijną i polityczną wolność, za prawa posiadającego i robotnika, który posiadłości nie ma. Albowiem kwestya socyalna, która dzisiejszym światem wstrząsa, może być tylko przez chrześcijaństwo i praktyczne przeprowadzenie chrześcijańskiej miłości pomyślnie rozwiązana.

Katolicka prasa nie służy gwałtom i nienawiści szczepowej; wymaga ona, by ustawodawstwo i urządzenia państwowe na chrześcijańskim zakonie się opierały.

Nie zapomina ona także, że Austria z rozmaitych równoprawnionych narodowości się składa, i że podstawą państwa jest sprawiedliwość. Nie zapomina o potrzebie zgodności ze stolicą św. i episkopatem o wszystkim, co bezpośrednio lub pośrednio z religijnymi zasadami ma związek. Chrystus bowiem dał apostołom i ich następcom władzę nauczycielską i paster-

ską. Kościół został z góry ukonstytuowany. Chrystus wybrał apostołów, nie apostołowie Chrystusa, więc prasa katolicka nie uznaje wszechwładzy ludu, tej struny, na której prasa liberalne utwory swe najchętniej wygrywa.

Przedewszystkiem potrzeba dziennikarzom katolickim jednności. Te same wyznając zasady, nie spierajmy się o dziennikarską taktykę, tłummy w sobie wszelkie osobiste namietności, a błogosławieństwo niebios nie może minąć dobrej sprawy.

W interesie tejże sprawy chowajcie zgodę, zgodę i raz jeszcze zgodę. (Grzmiące oklaski!)

Prezes *hr. Blome* zamyka pierwsze uroczyste posiedzenie.



SEKCYA SZKOLNA.

Prezes: *ks. prałat Karlon.*

Wiceprezesi: *hr. Jan Stadnicki* z Galicyi i *dr. Rapp* z Tyrolu.

Sekretarze: *baron Biegeleben* i *Msgr. Panholzer.*

Sekcyja szkolna rozdzieliła się na trzy subsekcye: Dla szkół wyższych referentem wybrany został *dr. Wiktor v. Fuchs.* Dla szkół średnich, referentem *ks. Abel T. J.* z Kalksburga; dla szkół ludowych referentem *Msgr. Panholzer.*

O szkołach średnich.

W porządku dziennym rozpoczęto od szkół średnich. Przewodniczący zaprasza referenta *ks. Abel'a* do przemówienia.

Mowa O. Abel'a.

Pojmą panowie, że Jezuita nie łatwo, mówić właśnie o kwestyi wychowania gimnazyalnego. Tyle tu skał, około których mam przejechać szczęśliwie z Boską pomocą. No, powiadają zawsze, że Jezuita są wszędzie i zawsze sprytni. (Wesołość). Z pomocą Boga uda się.

Materyał, jako taki, jest wysoce ważny. Jestto szczególniejszą grą przypadku, że szkoła średnia najprzód przychodzi pod obrady. A przecież, moi panowie, w tym przypadku leży także głębsza myśl, ponieważ szkoła ludowa przygotowuje do

szkoły średniej, a profesorowie szkoły średniej są to owoce szkoły wyższej. Tak szkoła średnia łączy w sobie w pewnym względzie całą kwestyę szkolną.

A teraz bez dalszego wstępu, którego mi panowie oszczędzą do rzeczy samej wprost przystępują, abyśmy się nie bawili we frazesy, jak to dziś często się dzieje. Jestto piękna historia, jak Pius IX, skoro go wypędzono z Rzymu w r. 1848, i skoro znalazł przytułek w Gaecie, zrobił stamtąd małą wycieczkę do Salerno, do grobu owego Papieża, którego obóz liberałów tak się obawia, Grzegorza VII, ideału wojującego Kościoła. Skoro tedy Pius IX przybył do Salerno, kazał sobie otworzyć grób Grzegorza VII, zdjął ze zwłok Papieża pierścień Rybacki i włożył go na swój palec; nie wiem, skąd to poszło, a jednak jestto faktem rzeczywistym, że od tego czasu wstąpił duch żelaznego *non possumus* w owego liberalnego Papieża, Piusa IX, ten duch walki, na której Pius IX późniejsze lata swego życia strawił. Moi panowie! Nie bez słuszności nazywa się Kościół katolicki, Kościołem wojującym; zawsze wojował i walczył. Proszę tylko popatrzeć na wieki średnie, na cesarzy, Karola Wielkiego i następców jego, jak oni w związku z papieżem nie *ex iusto*, lecz *ex aequo* byli uczestnikami sporu z ówczesnym słowiańskim i germańskim światem, a sędzę, że niema tu między nami żadnego Niemca, ani Słowianina, któryby się tego wstydzil, że cesarstwo i papieństwo razem były prowadzone do walki w interesie germanizmu i słowiańskości. Otóż, moi panowie, po tej walce nastąpiła walka między *imperium* (cesarstwem) i *sacerdotium* (kapłaństwem), walka między Henrykiem IV a Grzegorzem VII, a po tej walce nastąpił wspólny czas walki wypraw krzyżowych chrześcijańskiego Zachodu przeciw niechrześcijańskiemu Wschodowi. Po tym czasie walki nastąpił czas odrodzenia (*renaissance*), przygotowania pogańskiego odrodzenia w sztukach i umiejętności, w życiu społecznym, w życiu politycznym, w życiu religijnem i t. d. walka, która się dopiero w luteranizmie zaostrzyła.

Później, w nowszych czasach nastąpiła walka między kościołem terytoryalnym i uniwersalnym. Potężni władcy byli

obroncami kościoła terytoryalnego. Nie da się zaprzeczyć, że kościół terytoryalny jest poważnym kapitałem w kieszeni książąt. Z tego to terytoryalnego kościoła rozwinęła się później walka niemieckich książąt przeciw wolności ludu, a jako reakcyja, następuje teraz walka ludu przeciwko książętom, która jeszcze po dziś dzień trwa w jubileuszowym setnym roku 1789 i szczególniejsza rzecz, moi panowie, właśnie z tą walką ludu rozpoczyna się walka szkolna.

Było to właśnie w przygotowawczym peryodzie rewolucyi francuskiej, kiedy tajne towarzystwa, które się wówczas nazywały filozofami, wyteżyły wszystkie swoje starania. Panowie mi przebaczą, jeżeli uczciwie i otwarcie zauważę, że „wyteżyły wszelkie starania“, aby zgnieść Towarzystwo Jezusowe. Powodem tego nie było nic innego jak tylko to, że wówczas Jezuitci mieli w ręku wychowanie młodzieży po gimnazyach. Nie da się to zaprzeczyć, jestto fakt historyczny. Otóż wówczas musiało Towarzystwo Jezusowe paść ofiarą tajnych towarzystw. Dlaczego? Aby te towarzystwa mogły dostać w swe ręce wychowanie młodzieży. I wtedy widzimy zajmujący fakt historyczny. W r. 1766 zniósł Ludwik XV zakon Jezuitów we Francyi, a na miejsce profesorów jezuitckich przy gimnazyach postawiono pierwszych świeckich profesorów przez państwo kształconych; naturalnie ci pierwsi profesorowie byli to tylko tacy, którzy należeli do tajnej sekty. I jakiż był tego skutek? W r. 1766 zaczyna się przemiana gimnazyów na świeckie, w r. 1792 zbiera się konwent złożony z 700 posłów. Z tych siedmiuse posłów, prawie 400 są to literaci, artyści, dziennikarze i adwokaci, niemający jeszcze lat 40, a za tem początkujący w r. 1793, nie mają jeszcze lat 40, a zatem w latach 1766—1776 byli oni dopiero początkującymi w gimnazyach. (Żywe uznanie i oklaski). Widzimy otóż, że tajne towarzystwa dobrze wiedzą, dlaczego starają się o władnię nauką w szkołach średnich, i w tej tajemnicy spoczywa klucz, dlaczego już przeszło sto lat toczy się walka o szkołę ludową i o szkołę średnią, o gimnazya, o seminarya nauczycielskie, o szkoły realne i przemysłowe. My potrzebujemy,

powiadają tajne stowarzyszenia, inżynierów bez wiary i bez patryotyzmu ze szkoły realnej, potrzebujemy nauczycieli bez wiary i patryotyzmu dla szkoły ludowej, potrzebujemy słuchaczy niedowiarków i bez religii na uniwersytecie, a stamtąd złe rozszerza się coraz dalej, tak jak i rosa rano spada z nieba, później jako mgła się wznosi, a wieczorem jako grad wszystko miażdży. Ten jest, moi panowie, jasno powiedziawszy, cel, dla którego rozgorzała walka o szkołę średnią, a ze szkołą średnią o szkołę wyższą i o szkołę ludową. Ponieważ, jeśli mamy za sobą młodzież, powiada brat Weisshaupt i profesor uniwersytetu w Ingolsztacie, założyciel Illuminatów, od którego jeszcze dziś zależy wolnomularstwo, jeżeli mamy młodzież, to przyszłość do nas należy, — i to jest wielka walka: do kogo należy przyszłość? Ponieważ, moi panowie, tajne towarzystwa nie są wcale złymi kupcami. Zły kupiec cieszy się, jeśli zyskał 10 ct., nie zważa jednak na to, że przez te 10 ct. traci w przyszłość może 10, 100 lub 1000 zlr. A zatem wolnomularstwo myśli: „Lepiej teraz mniej, ale przyszłość za to pewna!“ — i stąd walka o szkołę. Ponieważ do kogo należy szkoła, do tego należy przyszłość. Niema, sądzę, po duszy przez chrzest prawdziwie oczyszczonej — wiem dlaczego obrałem to wyrażenie — niema tedy, szanowni panowie, po duszy prawdziwie przez chrzest oczyszczonej, nie kosztowniejszego na ziemi od dziecka. Najbiedniejszy ojciec, najuboższa matka zniosą każdą boleść i głód, nawet śmierć, byleby tylko ich dziecko żyło, i byleby tylko dziecko to czekała szczęśliwa przyszłość. Tak ważnem jest znaczenie dziecięcia dla rodziny, i sądzę, że mi na tem polu nie zada kłamu żaden niewierny, niechrześcijański ojciec. Nie tylko jednak rodzina ma prawo do dziecka, prawo do dziecka ma także i państwo, ma także takie prawo trzecie wielkie towarzystwo: gmina wyznaniowa, i stądto pochodzi, że tak katolicka gmina wyznaniowa, jak i protestancka, jak i niechrześcijańskie gminy wyznaniowe nie patrzą na to obojętnie, jeżeli choćby jedno dziecko od nich się odłącza. Przypomnijcie sobie panowie wydarzenie z Moztarą we Włoszech. Jeżeli tedy każde dziecko ma wielką wagę dla rodziny, dla państwa i dla

Kościół, gminy wyznaniowej, lub jak tam to zechcemy nazwać, to my, to zgromadzeni katolicy austriacy mamy nie tylko prawo, nie! mamy przede wszystkim obowiązek ująć się za dziećmi, a dopiero z tego, że jesteśmy świadomi naszego obowiązku, wypływa nasze prawo, wziąć dziecko w obronę przeciw każdemu w imieniu rodziny i państwa. Dziwię się panowie może, że nie wymienię kościoła. Powiem panom otwarcie, dlaczego tego nie czynię. Mogą bowiem ze strony przeciwnej wziąć pochop powiedzenia nam, że my chcemy posiadać monopol. Nie o to tutaj chodzi, aby mówić jedynie i tylko za katolickim kościołem. To, co tu dziś powiadam, mówię tak samo w imieniu prawowiernego protestanta, jak prawowiernego katolika. Nie mówię tylko w imieniu katolików niedowiarków, niewierzących protestantów i żydów zreformowanych. A tem także oznamionowałem, jakie to dwa obozy stoją dziś naprzeciwko siebie. Poseł do rady państwa Dr. Ebenhoch odtworzył to pysznie w swojej mowie w parlamencie.

Mamy tedy dwa obozy: jest to obóz prawowiernych i obóz tych, którzy w nic nie wierzą. Obojętnem jest mi przy tem, czy mam przed sobą katolika w nic nie wierzącego, czy też niedowiarka protestanta. Chcę dziś przemawiać za sprawą prawowiernych katolików i prawowiernych protestantów.

Pierwszą rzeczą tedy, zawierającą się w leżących przed nami rezolucjach, jest żądanie, które stawiają zgromadzeni katolicy austriacy w interesie rodziny; drugą rzeczą jest żądanie, które stawiają oni w interesie państwa, a ponieważ mamy tutaj do czynienia z gimnazjum, to wystąpimy jako ludzie inteligentni, ponieważ i my katolicy mamy prawo windykować dla siebie intelligencją; otóż jako ludzie inteligentni wystąpimy w interesie umiejętności. A ponieważ zgromadziliśmy się tutaj nie tylko jako ojcowie rodzin, jako austriacy i jako ludzie inteligentni, lecz także jako katolicy, to potrafimy postawić kilka żądań wspólnych nam, jako katolikom i protestantom, i kilka takich, które nas specjalnie jako katolików

dotyczą, w których protestant względnie uczestniczyć może. Taki jest podział naszych rezolucyj.

A więc nikt mi przecież z panów nie zaprzeczy, że jest obowiązkiem rodziców dzieci swoje nauczać i wychowywać. Jest wiele, mój Boże, dzieci, które rodziców nie mają, nie można im się kazać uczyć, one mają tak zwany rozum domowy, posiadają zręczność do rzemiosła, ale nie mają zdolności do nauki. Serce ojca, serce matki jest zadowolone, ono każe się dziecku uczyć jakiejś profesyi. Ależ to dziecko musi być dobrze wychowanem, a nie zaniedbanem. (Żywe uznanie, oklaski). Drugim razem, dziecko ma talent, ale ojciec i matka są ubodzy, nie mogą posyłać go do nauki. Nie mają oni pretensyi, aby mieć uczonego syna; ale najuboższy ojciec i najuboższa matka ma pretensyę: Nie chcę mieć zaniedbanego dziecka.

Tak tedy sądzę, że obowiązek wychowania uznają prawowierni i niewierzący rodzice. Gdy tedy dziecię zaczyna uczęszczać do szkoły, to zwykle w samej rzeczy pozostaje w szkole ludowej wśród ogniska domowego, gdyż w każdej wsi jest szkoła ludowa. Skoro jednak dziecię przechodzi do gimnazjum, wychodzi po największej części z łona rodziny, a przecież sądzę, żaden nauczyciel gimnazyalny mi nie zaprzeczy, gdy powiem, iż dziecko, wstępując do pierwszej klasy gimnazyalnej, nie jest jeszcze wychowanem.

Jeżeli zatem dziecko w pierwszej klasie gimnazyalnej jeszcze nie jest wychowanem, wtedy profesor gimnazyalny, nauczyciel seminaryum lub szkoły realnej przyjmuje na siebie obowiązki rodziców (żywe uznanie), a między profesorem szkoły średniej a rodzicami dziecka zawiera się prawie — Panowie przebaczą, iż użyję tutaj wyrażenia prawniczego — *quasi* kontrakt, jaki między doktorem medycyny, a chorym jego ma miejsce. (Wolania: Bardzo dobrze!) Po sprawiedliwości, a nie tylko według miłości musi się zająć profesor nie tylko nauką, ale także i wychowaniem młodego gimnazyalisty, młodego ucznia szkół realnych, przyszłego kandydata stanu nauczycielskiego. (Głosy: Zupełnie słusznie!) Jeżeli jednak szkoła

średnia musi się zajmować nietylko nauką, lecz także i wychowaniem, to nasuwa się dalsze pytanie: jakie powinno być wychowanie? Odpowiedź jest bardzo prosta: odpowiadam: wychowanie przez naukę. Nie odpowiadam wychowanie i nauka, lecz odpowiadam: wychowanie przez naukę. Ponieważ w tem, moi panowie, leży przecież różnica między wychowaniem młodego człowieka i — proszę mi wybaczyć wyrażenie — tresurą młodego psa, że człowiek działa z wolną wolą, wolna wola jednak dopiero po rozwadze rozumu. Pierwej muszę tedy pokazać młodzieży rozum, a przez rozum prawdę, i przez to mogę jej pokazać moralność. (Uznanie). Widzicie przeto panowie, co za nielogiczna myśl jest, jeśli to w ogóle można nazwać myślą, jeśli się mówi o moralności bez dogmatyki. (Głosy: Bardzo dobrze!) Musimy mieć wprawdzie naukę wiary, i z tej wynikać musi nauka obyczajów. Nauka moralności bez nauki wiary, moi panowie, jest krzesłem, które możemy porównać z krzesłem jakimś, które kuglarz jakiś stawia w powietrzu za chmurą, za chmurą jednak jest przecież jakaś stała ziemia, a jest nią — chcecie panowie to wiedzieć? — nieprawda. Na podstawie nieprawdy opiera się zatem krzesło nieobyczajności, tak, jak na podstawie prawdy stoi krzesło obyczajności. (Brawo! Brawo!)

Skorośmy tedy przez rozum poznali, że prawdziwego wychowania nie można sobie pomyśleć bez nauki, to niech mi będzie wolno na to wskazać, że my w Austrii jesteśmy tak szczęśliwi, iż mamy zarys organizacyjny, który przykładą wielką wagę do tej potrzeby wychowywania przez nauczanie, a to w sposób jak nie można piękniejszy. Pozwolą mi panowie, iż odczytam to miejsce; brzmi ono (czyta): „Jeżeli nauka ma należeć do całości wychowania, to wszystkie przedmioty nauki powinny zdążać razem do idei religii i obyczajności, jako swych wspólnych punktów środkowych“. Niech żyje austriacki zarys organizacyjny. (Niech żyje! Niech żyje!) Nie ma nikogo, któryby tę rzecz tak jasno i pięknie wypowiedział, jak tutaj mamy przed sobą. Powiedziano tam dalej (czyta): „Uczeń powinien w miarę tego, im więcej się uczy, być także

lepszym i pobożniejszym“. Biada nam, gdyby to duchowny powiedział! (Wesołość.)

„Ponieważ zadanie to należy powierzyć rozsądkowi i takto-
wemu nauczycieli, można tedy nie bezpodstawnie oczekiwać,
że mianowicie młodszy nauczyciele będą się starali wznieść się
odpowiednio do całkowitego pojęcia swego powołania, jako re-
ligijno-obyczajowych wychowawców młodzieży, i zapewnić na-
uczaniu kształcącą siłę, nie tylko pod względem rozumu, lecz
także woli, siły działania i charakteru“. Tak brzmi zarys or-
ganizacyjny.

Moi panowie! Walka, o której mówiłem na wstępie,
a która teraz od stu lat już trwa, jest, abym ją krótko okre-
ślił, walką między chrześcijaństwem a antychrześcijańskim li-
beralizmem. Antychrześcijański liberalizm nie ma innych hasel
nad: rozłączenie, rozluźnienie, burzenie, analizę; chrześcijań-
stwo jednak ma hasło: zbierania, kojarzenia, syntezy. Libera-
lizm znaczy się rozluźnieniem na wszystkich polach, na polu
socyjalnem, na polu stowarzyszeń, na polu prasy, krótko wszę-
dzie, a także i na polu szkolnem, a pierwszą jego zasadą roz-
luźniania i rozłączania jest tutaj: nauczać, lecz nie wychowy-
wać. (Głosy: Tak jest!) Jako profesorowie mamy uczyć, ale
nie wychowywać!

Bogu dzięki, moi panowie, można na palcach jednej ręki
policzyć głosy c. k. austriackich profesorów szkół średnich, któ-
rzy tak powiadają. Jest to znakiem, jak mało odpowiada libe-
ralizm właściwym potrzebom domowego rozumu i szlachetnego
serca. Każdy profesor gimnazjalny powie panom: Musimy
nauczać i wychowywać i na to mamy, powiadają nam, dy-
scyplinarne przepisy. Tak, moi panowie, to jest wielka pra-
wda, posiadamy bardzo piękne dyscyplinarne przepisy. Czyż
to jest jednak wychowanie? Przypomina mi się tu właśnie hi-
storyjka. Przed kilku laty przyszedł wyższy wojskowy do mnie
i odwiedził mnie, jako dawny mój uczeń. Na pytanie moje:
Czyś pan jeszcze nie był tu lub tam, gdzieś pan był pierw-
szej? odrzekł: Nie! Tam nie pójde. — Ależ proszę pana, tam byłeś
pan przecież 4 lata, a tylko dwa lata pode mną. Na to odparł

mi: Tam mię wytresowano, a u Ojca się wychowałem. (Żywe uznanie i oklaski). Moi panowie! Jest to słowo całkiem z duży wypowiedziane, określa jednak wybornie różnicę wychowania. Dyscyplinarne przepisy na jednej stronie, a charakter może robić, co mu się podoba! (Głosy: Bardzo słusznie!)

Dlatego tedy powinni katolicy, a między nimi szczególnie ojcowie rodzin zająć właściwe stanowisko, i to nie tylko w interesie swoich własnych dzieci, ale w interesie wszystkich dzieci, wszystkich ojców rodzin, którym dobro ich dzieci rzeczywiście na sercu leży. Prawowierny, protestancki ojciec rodziny równie pragnie wychowania swoich dzieci, jak wierzący ojciec katolicki. (Brawo! Bardzo słusznie!)

Teraz następuje trzecie rozdzielenie liberalizmu. Rozdzielwszy wychowanie od nauczania, rozdzieliwszy przy wychowaniu zewnętrzną tresurę ze względu na dyscyplinarne przepisy, od wewnętrznego kształcenia charakteru, rozłącza nam teraz wychowawców. Przez co? Przez system nauczycieli zawodowych. Proszę nie myśleć — przecież sam jestem nauczycielem zawodowym — że będę występował przeciw systemowi nauczycieli zawodowych w ogólności; mówić jednak będę przeciw systemowi nauczycieli zawodowych w pierwszych klasach gimnazyów. Tu powinno wychowanie o ile możności być skupione w jednym ręku, a to umożliwia stary system nauczycieli klasowych.

My, moi panowie, przeszliśmy różny bieg wykształcenia w naszej młodości; jeden z nas uczył się u profesorów na uniwersytecie wiedeńskim, drudzy w Innsbruku lub Pradze. Teraz dostają się oni jako nauczyciele fachowi np. do jednej z pierwszych klas. Tam niema jednolitego kształcenia, jednolite wykształcenie byłoby najwyżej u nas zakonników możliwem. Jezuici, Piaryści, Benedyktyni są kształceni według jednego kroju i tutaj zawsze można znaleźć pewną jedność. Jeżeli jednak nawet w zakonach, zatem u Benedyktynów, Piarów i Jezuitów przeważa system nauczycieli klasowych w niższych gimnazyach dla ułatwienia wychowania, o wieleż prędzej musiałoby to nastąpić tam, gdzie niedziałają zakonnicy, lecz lu-

dzie świeccy, jako profesorowie w pierwszych klasach gimnazjalnych.

Po tem wszystkim, moi panowie, pozwalam sobie zatem rezolucyą: pierwszy punkt — przy reszcie wyrażę się krócej — przeczytać i zalecić jej przyjęcie.

Rezolucya I brzmi (czyta):

Zgromadzeni katolicy austriacy żądają, ażeby tak w szkołach średnich, jak i w szkole ludowej:

- 1) Naszą młodzież nietylko nauczano, lecz także wychowywano.
- 2) Aby dla pomocy w wychowywaniu unormowano istniejące przepisy, nietylko ze względu na zewnętrzną dyscyplinę, lecz także ze względu na obyczajowe kształcenia charakteru.
- 3) Aby w celu jednolitego wychowania dawano, o ile to się da zrobić, pierwszeństwo systemowi nauczycieli klasowych przed systemem nauczycieli zawodowych.

Z pojedynczych rodzin składa się państwo i sądzę, że katolicy austriacy nie wezmą za złe subsekcji szkoły średniej, żeśmy także przyjęli patryotyzm do naszych rezolucyj. (Uznanie). Przedtem jednak chciałbym zwrócić uwagę panów na następującą różnicę.

W starożytności kazali Grecy, tak Likurg Doryjczyka, jak i Platon Jończyka, wychowywać swoje dzieci dla państwa i przez państwo.

To, moi panowie, nie jest naszym ideałem. Chcemy wprawdzie także wychowywać nasze dzieci dla państwa, lecz nie przez państwo, ponieważ ono do tego niema prawa, tylko ojciec rodziny. Stąd to pochodzi, że u Greków wyrobił się pewien szablon; jeden Spartanin wyglądał tak samo wojowniczo, jak drugi, jeden Ateńczyk tak po republikańsku, jak drugi. Całkiem inaczej działo się w Rzymie. Pogańsko-rzymskie państwo nie było bezwyznaniowe, jak ich po dziś dzień wiele w pośród chrześcijaństwa, było ono na wskrós wyznaniowe, ale nie rościło sobie praw do wychowania, lecz pozostawiło je rodzinie. Stądto pochodzi, że u Rzymian wykształcił się pewny charakter familijny. Jeden Scypion wyglądał, tak jak drugi, nie tak jednak jak np. Fabius, a znowu jeden Decius Mus wyglądał tak jak drugi. Mamy tutaj zatem charaktery ro-

dzinne, tradycje rodzinne, ale wszystkie te charakterystyki rodzinne istnieją dla państwa, działają dla państwa, i ożywione są dlań patriotyzmem.

Tak, moi panowie, należy prowadzić wychowanie. Jeżeli jednak pragniemy wychowywać nasze dzieci dla państwa, musimy wprawdzie wyjaśnić sobie, co się nazywa patriotyzmem?

Tu muszę sięgnąć cokolwiek w tył, i powiadam, że prawdziwy patriotyzm nie polega na mówieniu. Jedno *vivat* także nie tworzy patriotyzmu. (Wesołość). Patriotyzm również nie polega na samem uczuciu. Tak samo, jak religia nie zasadza się tylko na uczuciu, tak również i patriotyzm nie zasadza się tylko na uczuciu. Religia musi najpierw tam w górze (ukazując poruszeniem ręki ku gwiazdom) się znajdować, i dopiero stamtąd może tutaj zejść (ukazując na serce). Tak samo powinno być i z patriotyzmem. Przedewszystkiem musi istnieć uszanowanie i poznanie ojczyzny i jej historii, a wtedy dopiero może mieć miejsce prawdziwy patriotyzm, inaczej będziemy mieli patriotyzm zawisły od dobrych skutków, a to nie jest austriacki patriotyzm. Jestto właściwością Austriaka, a także austriackiego patriotyzmu — jak to tak pięknie wypowiedział Jego Ces. Wysokość, Arcyksiążę Albrecht w swoim manifestie przed szczęśliwą wojną w Italii w r. 1866 — jestto właściwością Austriaka i austriackiego patriotyzmu: Nieugiętość w nieszczęściu i wierność ojczyźnie i domowi panującemu. Jeżeli Panowie odejmiecie jednak właściwe ocenienie rozumu, wtedy otrzymamy owe jednodniówki, które ciągle tylko marzą o świetle pomyślności, chociażby to było tylko światło nocy. (Długotrwałe uznanie i oklaski).

Gdyśmy już sobie wyjaśnili, co to jest prawdziwy patriotyzm, to sądzę, iż mogę powiedzieć: jeżeli Grecy i Rzymianie posiadali prawdziwy patriotyzm, to katolicki Austriak może posiadać podwójny, potrójny, a nawet dziesięciokrotny patriotyzm, katolicki Austriak bowiem świadom siebie; po pierwsze, jako Austriak, jest świadom wspaniałego zadania swojej ojczyzny Austrii, i po drugie sposobu, w jaki na-

sza dynastia przez 600 lat dzierżyła wysoko chorągiew tego zadania: przeciwko nacierającemu ze wschodu Islamowi, przeciw natarczywej sile zachodu pod Ludwikiem XIV i Napoleonem I, przeciwko najazdowi z północy pod Gustawem Adolfem i Fryderykiem II. (Głośnie uznanie, długotrwałe oklaski). My Austriacy prawdziwie nie potrzebujemy się wstydzić sześciusetletnich dziejów.

Lecz jeszcze jedna rzecz zostaje dla nas, katolickich Austryaków. Nie wyjmuję stąd także protestantów austriackich, gdyż i protestanci uznają Pismo św., Nowy Testament. W tym Nowym Testamencie mamy miejsce, gdzie Chrystus przed Pilatem powiada: Nie miałbyś władzy nademną, gdyby Ci jej z góry nie dano. I tutaj leży podstawa austriackiego patryotyzmu, który się nietylko rozciąga na ojczyznę, nie, lecz także na dynastję, naszą sławną dynastję habsburską.

Tutaj znów wkracza liberalizm i dzieli nam to poszanowanie na rozum i na miłość serca. Niech sobie schowa to serce, my katolicy zachowamy sobie rozum. Po drugie: w miłości ojczyzny, w tem wysokim poszanowaniu i miłości, oddzielają naszą ojczyznę od domu panującego. My katolicy kochamy nietylko Austryę, my kochamy także Habsburgów.

A teraz potem, com powiedział, zapewne nie wezmą nam austriackim katolikom za złe, jeżeli będziemy żądać, aby w szkołach średnich pielęgnowano prawdziwy austriacki patryotyzm.

Przecież to za mało żądamy. Popatrzmy się tylko na nasze kraje sąsiednie, jak tam pielęgnują patryotyzm! (bardzo słusznie!)

A zatem dla czego nie u nas? Trzeba go pielęgnować materyalnie i formalnie. Materyalnie przez książki do nauki i książki do czytania; one to powinny zawierać materyał do pielęgnowania patryotyzmu. Opowiadano mi — czy to prawdą jest, nie mogę za to zaręczyć, ale *si non é vero, è ben trovato* — rzecz następującą: JE. Pan minister oświaty Dr. v. Gautsch przybył w swej podróży inspekcyjnej także do pewnego niemieckiego gimnazjum, i wszedł niespodzianie na lekcję profe-

sora języka niemieckiego w jednej z klas wyższego gimnazjum. Nie było to gimnazjum słowiańskie, było to, jak powiedziałem, gimnazjum niemieckie. Przy końcu godziny poprosił profesora, aby kazał jednemu z uczniów zadeklamować jaki patryotyczny wiersz. Czy wiecie panowie czem profesor — aby wyznać całą prawdę — musiał i mógł się uniewinniać? Cała książka do czytania nie zawierała w sobie ani jednego patryotycznego wiersza. (Słuchajcie! Słuchajcie!) Jakże inaczej wyglądają te stosunki gdzieindziej. Wiecie, moi panowie, że Napoleon zawarłszy konkordat z papieżem, kazał wydać katechizm, a przy czwartym przykazaniu było tam osobne pytanie: Coś winien konsulowi Napoleonowi? (Słuchajcie! Słuchajcie!) Przytaczam to tylko dla przykładu, jak w innych krajach pielęgnują patryotyzm. A teraz inny przykład. W r. 1859 — należy to do formalnego kształcenia patryotyzmu — była jak wiadomo wojna między Austryą, a Francją sprzymierzoną z Włochami. Profesor siódmej klasy jednego z gimnazjów, kazał właśnie wtedy czytać kursorycznie 21 księgę Liwiusza, gdzie jest mowa o wojnie między Kartaginą a Rzymem. Skoro wszedł do szkoły, rzekł: „Zamknąć książki!” Książki tedy zamknięto. Wtedy opowiedział nam po niemiecku przebieg bitwy pod Magentą, ale słowami Liwiusza o bitwie nad jeziorem Trazymeńskim. Otóż my studenci prędko pojęliśmy tę sprawę. (Wesołość). A zatem odpowiadano płynną łaciną. Następnie poszliśmy do domu i przygotowaliśmy się z Liwiusza dokładnie na najbliższą godzinę. Następnego dnia podał nam znowu najświeższe wiadomości z placu bitwy, a my powiedzieliśmy to płynnie po łacinie. Skorzystaliśmy, nauczycywszy się więcej po łacinie; ale czy wiedzą panowie, jaką jeszcze odnieśliśmy korzyść? Oto skorzystaliśmy, przejawszy się większym patryotyzmem. Cała ówczesna Septyma dała się zaciągnąć jako ochotnicy. (Żywe uznanie i oklaski). Widzicie moi panowie, co może zrobić profesor łaciny i greki?!

Przeciwny przykład do tego. Był pewien pan, znany mi — już nie żyje — który miał w ósmej klasie profesora Snella, sławnego między wolnomularzami. Ten Snell czytał w ósmej

klasie Tacyta i stamtąd ze szczególnem upodobaniem wybierał skandaliczne historie o Othonie, Galbie, Witeliuszu, Neronie, i jak się oni tam nazywają. Przez to naturalnie uczniowie stracili wszelką miłość i szacunek do władzy przełożonej. Następnie brał Germanię Tacyta i tu wybierał rozdziały, traktujące o wolności starych Niemców. Stąd rozgorzała miłość wolności u ósmaków ówczesnych, i wszyscy, jak byli, przystąpili do burszenszaftów, które cztery lata później postawiły sobie hasło przy święcie w Wartburgu w r. 1817 pod przewodnictwem Snella: „Ostatni król powinien wisieć na wnętrznościach ostatniego księdza!“ (Głosy: Pfe! Pfe!)

Widzicie Panowie, co może zdziałać nauka w ósmej klasie dla patryotyzmu! A zatem żądamy, my katolicy, od szkół średnich, aby w naszych dzieciach patryotyzmu nie zakopywano, lub też zastępowano go jednostronnym nacjonalizmem. Ponieważ, moi panowie, cudownemi są słowa profesora Hetttingera z Würzburga: Nacjonalizm bez pewnego uniwersalizmu jest barbaryzmem, a uniwersalizm bez pewnego nacjonalizmu jest idealizmem, jest zaparciem od Boga postanowionego porządku.

A zatem musi tu być pewna miłość narodowości. To, czego my katolicy nie chcemy, a co jednakże leży w interesie naszej kochanej, wspólnej ojczyzny, to jest właśnie jednostronny nacjonalizm.

Po tem wszystkiem pozwolę sobie odczytać punkt 2. rezolucyi (czyta):

II. Zgromadzeni katolicy Austrii domagają się w interesie państwa, ażeby w szkołach średnich, również jak i w szkole ludowej:

1. Pielęgnowano u naszej młodzieży prawdziwy patryotyzm tj. wewnętrzne poszanowanie i miłość ojczyzny i Domu panującego za pośrednictwem książek naukowych, pomocniczych, i książek do czytania, słowem i przykładem.

2. Ażeby go żadną miarą nie zakopywano, lub

3. Przez jednostronny nacjonalizm zastępowano.

Przychodzimy tedy do umiejętności. A teraz, powiedziaszy zupełnie otwarcie, mówię właściwie w interesie nas katolików. Albowiem my katolicy nie obawiamy się gruntownej

umiejętności, przeciwnie, moi panowie, dajcie mi gruntownych umiętnych badaczy, a daję wam na to słowo, że z czasem staną się katolickimi. (Żywa wesołość i oklaski). Patrzcie panowie na najnowsze czasy, jak wielu uczonych, właśnie w umiętnościach przyrodniczych, w historii, przeszli od protestantyzmu lub niewiary do prawdziwej wiary. Nie obawiamy się umiętności gruntownej, obawiamy się, powiedziawszy otwarcie, umiętności połowicznej, to jest płytkich wiadomości. Jest to starą historią, że dziecię może w jednej minucie więcej pytań postawić, niżeli rozsądny ojciec może odpowiedzieć w przeciągu całego dnia; a i to także są stare rzeczy, że głupiec może nagadać w jednej godzinie więcej niedorzeczności, aniżeli uczony może zaprzeczyć w czasie jednego roku. My obawiamy się właśnie tej płytkości, tej połowiczności wiedzy. Nie boimy się jej, co się tyczy nas samych, lecz obawiamy się jej względem tych osób, które posiadają płytkie wiadomości, którzy giną z tymi miałkami wiadomościami.

Drugą rzeczą, którą tu poprzednio wymienić muszę, jest pytanie: Co jest właściwie celem szkoły średniej? Celem gimnazjum jest przygotowanie do zawodowego studyum. Są to już uwydatnione kontury przyszłego życia. Ktoś narysuje sobie, np. twierdzenie Pytagorasa i później, powiadamy, zostaje matematykiem lub fizykiem; drugi wpisuje łacińskie lub greckie frazesy: kontury są dane. Ten zostaje filologiem. Celem gimnazjum nie jest jednakże wydawać z siebie ukończonego fizyka, skończonego matematyka, ukończonego filologa lub przyrodnika.

Gimnazjum ma także jeszcze inny cel. Celem gimnazjum nie jest dawać przygotowanie dla zawodowego studyum, lecz dawać ornamentykę do studyum zawodowego, wiadomości powszechnie, tło do obrazu. To jest właściwym przedmiotem i celem gimnazjum.

Znam, moi panowie, bardzo wysokiego austriackiego wojskowego, mającego daleko więcej niż siedmdziesiąt lat, który niedawno w mojej obecności cytował bardzo dokładnie Horacego, a przytem opowiadał, iż od czasu do czasu rozwiązuje

jeszcze matematyczne problemy. To mu sprawia rozrywkę. Poznałem także drugiego człowieka, mającego więcej niż 60 lat, który z prawdziwie młodzieńczym ogniem cytuje Szyllera, a obok Szyllera czytuje mowy Cyserona *contra Verrem* i *pro Milone*.

Powiem szczerze: Niech panowie skierują te same pytania do tych, którzy, dajmy na to, przed piętnastu laty wyszli z gimnazjum, wiele im jeszcze pozostało? (Bardzo słusznie!) O, proszę nie myśleć, że siebie z pomiędzy nich wyjmuję. (Żywa wesołość). Skądto jednak pochodzi? To pochodzi stąd, żeśmy w wyższych klasach, gdziebyśmy dopiero właściwie byli zdolni zrozumieć wszystkie adwokackie kruczki Cyserona pro Milone i lubować się w należytej mierze pięknościami Horacego, mieli zawsze do czynienia z Perfectum i Supinum, z Coniunctiwem i Infinitywem. (Żywa wesołość i uznanie). Nie przyszliśmy wcale do tego, abyśmy mogli osiągnąć pożytek z klasyków, a stąd i ten fakt, że maturzysta po szczęśliwie odbytej maturze urządza często z greckiej gramatyki całopalenie (*Speibteufel*), i po pierwszy to raz ku swemu zadowoleniu bierze do ręki łacińskie lub greckie dzieła. Sądzę, że w tem nikt mi nie zada kłamu; to są następstwa dzisiejszego gimnazjum. A dlaczego? Bo w siódmej i ósmej klasie muszą nasi uczniowie męczyć się nad formami. A dlaczego się muszą męczyć? Ponieważ nie wynoszą nic z pierwszej i drugiej klasy. A dlaczego nic nie wynoszą? Bo przy tej masie przedmiotów nie mogą temu wydolać.

Moi panowie! Gimnazjum nie powinno mieć przed oczami geniuszów. Ci rzadko są posiani. Gimnazjum powinno mieć przed oczami przede wszystkim klasę średnią, talenta, ponieważ słusznie się na to użalają, że dzisiejsze szkoły średnie przyciągają taki uczony proletaryat tj. ludzi, którzy nie mogą skończyć gimnazjum, i później udają się do tego lub owego zawodu, ale z pewnością do żadnego zawodu produktywnego, ponieważ sądzą, iż są za uczeni do takowego, a później bywają z nich nihilisci i przewódcy socyalnych demokratów. Słusznie, moi panowie, użalają się na przepełnienie gimnazyów.

Gdyby w niższym gimnazjum zajęto się pilnie w pierwszej klasie łaciną i geografią, religią i porządnem liczeniem, otrzymalibyśmy w krótkim czasie oddzielenie owiec od kozłów. Pokazałoby się, kto ma zdolności do gimnazjum. Wielu ma szczególniejszy talent w pierwszej klasie, powiadamy, do matematyki. Posiadali oni wybornego nauczyciela w szkole ludowej i miejskiej obywatelskiej. Teraz przychodzą do gimnazjum i błyszczą z początku w matematyce. Ale poza matematyką łacina niebardzo dobrze idzie. Potem do pierwszej klasy przychodzi małe dzieciunę, którego nadzwyczajnie cieszy łapanie motyli, zbieranie kamieni i t. d.

Historia naturalna w gimnazjum niższym jest czemś najniepedagogiczniejszym, gdyż przytem znika siła myślenia i ochota myślenia. Dlatego, moi panowie, żądamy usunięcia historii naturalnej w niższym gimnazjum w naszych rezolucyach. Wcale się nam nie śni żądać zniesienia fizyki i matematyki. Żądamy tylko zamiast pstrego nagromadzenia obok siebie w niższych klasach, uporządkowanego, stopniowego następstwa tych samych przedmiotów.

Przez tę metodę, na którą także wskazał JE. Pan minister oświaty v. Gautsch i to niejednokrotnie, jako na pożądaną metodę, podwyższy się także później — jestem w kłopotie niemalym, że używam dobitnego wyrażenia — poziom wykształcenia. Wyrzucono już raz to dobitne wyrażenie o podwyższaniu i obniżaniu poziomu wykształcenia. Moi panowie! Skąd wzięto ten poziom? Przedstawiam sobie, iż go wzięto z wody płynącej lub stojącej. Jeżeli go wzięto z płynącej wody, to każdy wie, że najwyższy poziom płynącej wody jest tam, gdzie się znajduje najmniej wody. Jeżeli jednak ten poziom wzięto z wody stojącej, — tak, moi panowie, jezioro Neusiedler naumyślnie obejrzałem; jego poziom 120 metrów, a wiedzą panowie jaką ma głębokość? Całe trzy metry. Jezioro Garde ma poziom 60 metrów nad morzem. A wiedzą panowie jak jest głębokie?: 290 metrów. Czyż podwyższa się poziom przy wyższym stanie wody? Sądzę że nie. (Burzliwe uznanie i oklaski). Jeżeli jednak weźmiemy przykład z morza,

tak, moi panowie, poziom morza jest zupełnie równy na ławicy piaskowej, na której corocznie rozbija się setki i tysiące żeglarzy, jak na głębiach Japonii i przy Antyllach, gdzie każdy okręt łatwo i spokojnie się prześlizguje. Tak samo jak przy wodzie, natrafiamy na głębiny i przy wiedzy. Przez to pstre zestawienie zawodów naukowych otrzymujemy tylko same jeziora Neusiedler. (Ponowne uznanie i oklaski). Jeżeliby się zupełnie te same zawody brało po kolei, kazałoby się małcowi w pierwszej, drugiej, trzeciej klasie, pięknie dodawać, odciągać, potęgować i t. d., później w wyższych klasach cieszyłby się on właściwie, gdyby dostał w ręce fizykalną pracę, i gdyby bawiąc się, potęgował lub wyciągał pierwiastki.

Teraz musi się on męczyć nad wszystkimi tymi rzeczami w wyższem gimnazyum, ponieważ się ich nie uczył w niższem gimnazyum. A dla czego się ich nie uczył? Ponieważ nie miał czasu do tego. A chociaż i miał czas, to nie miał ochoty, ponieważ więcej zajmowała go historia naturalna, lub też więcej był rad łacinie, i dlatego — proszę mi przebaczyć studentkie wyrażenie — dlatego przepycha się dalej.

Po tem wszystkim odczytam więc rezolucyę III. Brzmi ona (czyta):

III. Zgromadzeni katolicy Austrii, żądają w interesie uniejętności, ażeby w szkołach średnich:

1. Na miejsce pstrego nagromadzenia naukowych zawodów zaprowadzono uporządkowane stopniami następstwo tychże.

2. W miejsce płaskiego rozszerzenia ogólnych wiadomości nastąpiło gruntowne pogłębienie tychże, i aby takim sposobem

3. w miejsce oczywistegoniżenia tak zwanego poziomu wykształcenia nastąpiło prawdziwe jego podwyższenie.

Co się tyczy ostatniej rezolucyi, dotyczącej religii, to wypowiem, moi panowie, otwarcie i krótko pewną zasadę: każdy z panów może sobie sam z tego konsekwencye wyciągnąć. Dajcie mi, panowie, naukę bez religii, bez wiary, a będziecie sprawcami religijnego nihilizmu. Czy możecie moi panowie temu zaprzeczyć? (Ożywione głosy: Nie! Nie!) Bezwyznaniową, wszystko mi jedno czy się powie interkonfesyonalną, międzywyznaniową, jest to złudzenie, jest to kradzież. (Bardzo

dobrze!) Rzecz jest ta sama, dajcie panowie szkołę bezwyznaniową, a dalsicie nam przez to samo szkołę religijnego nihilizmu. (Głosy: Tak jest!) Jeżeliśmy dali Austrii szkołę religijnego nihilizmu, daliśmy przez to samo szkołę politycznego i społecznego nihilizmu. W tem jednym zdaniu, moi panowie, zawierają się wszystkie konsekwencye, nie tylko dla nas katolików, lecz także dla prawowiernych protestantów, co więcej, nie tylko dla wierzących chrześcijan, lecz także dla wierzących niechrześcijan; ale nie tylko dla wierzących niechrześcijan, lecz także dla niewierzących niechrześcijan. Przecież i niewierzący żyd zreformowany nie chce stracić swych pieniędzy przez socyalną demokracją. Dlaczegoż jednakże karca nas w dotyczących dziennikach, niechęć ich nazywać, ponieważ nie zestapię do poziomu tych panów, dlaczegoż karca ten religijny nihilizm w Austrii? My austriacy chrześcijanie, my katolicy, protestujemy przeciwko politycznemu i przeciwko socyalnemu nihilizmowi. Jeżeli się go jednak sobie nie życzy, to trzeba nam pozostawić szkołę wyznaniową, tak protestantom jak i żydom, ale również i nam katolikom. (Uznanie i oklaski). My katolicy nie żądamy żadnego wyszczególnienia, my nie żądamy żadnych przywilejów, my moglibyśmy ich żądać (głosy: tak jest) stosownie do naszej historii, i stosownie do naszych starych praw w Austrii, my dziś ograniczamy się na żądaniu tego, co jest bezwarunkowo naszym obowiązkiem, a ponieważ naszym obowiązkiem jest żądać tego, dlatego mamy także prawo tego żądać.

Po tem odczytuję poprostu rezolucję o religii. Każdy z panów znajdzie, iż trzymane są one w takiej mierze, iż nam żadna liberalna gazeta, ani protestancka, ani żydowska nie może zrobić zarzutu. Brzmi ona:

IV. Ponieważ jednak religia jest podstawą rodziny, państwa i umiejętności, a zatem także i wychowania, patriotyzmu i wykształcenia, dlatego żądają zgromadzeni katolicy Austrii:

1. W zasadzie, aby szkoła średnia, również jak i ludowa była wyznaniową.

Żądamy dla nas katolików szkoły wyznaniowej; użyczamy

jej chętnie protestantom i żydom, ale także my katolicy chcemy mieć nasze szkoły katolickie. My katolicy, nie widzimy potrzeby, dlaczego tylko my mamy otwierać nasze katolickie szkoły państwowe dla każdego, kto się do nich chce dostać. a potem na końcu musimy jeszcze sami się wynosić. (Burzliwe uznanie). To jest w zasadzie. My katolicy widzimy jednak bardzo dobrze, że się tego tak bez dalszych trudności przeprowadzić nie da, i dlatego powiadamy (czyta):

2. W praktyce przedewszystkiem:

a) ażeby państwo nie tylko nie stawiało przeszkód zakładaniu wyznaniowych, prywatnych szkół średnich, czy to będą gimnazya, seminarya nauczycielskie, szkoły realne lub przemysłowe, lecz owszem im było przychylnie, gdyż przez to państwu ubywa wiele ciężaru.

Gdybyż ta rezolucya pochodziła odemnie, od nas Jezuitów! Ale mogę panów zapewnić, że ta rezolucya wcale od nas nie wyszła, jednakże mogę to otwarcie powiedzieć, przyjąłem chętnie tę rezolucyą dla braci szkolnych i dla seminariów nauczycielskich. Niech nam państwo nie stawia żadnych przeszkód przy zakładaniu wyznaniowych, prywatnych szkół średnich, i niech nam pozwoli otworzyć naszą skarbonkę i uczynić coś na dobry cel; przez to ubędzie mu tylko ciężaru. Dalej brzmi rezolucya (czyta):

V. Co się jednak tyczy istniejących już szkół średnich:

a) ażeby naukę religii wprowadzono w wyższych klasach wszystkich szkół realnych.

Rzecz ta ma swoje powody, gdyż niestety nie we wszystkich klasach szkół realnych udziela się nauki religii. To stosuje się do krajów koronnych. My w Austrii Niższej nie jesteśmy tak szczęśliwi, abyśmy mogli wykonywać nasze prawa i nasz obowiązek udzielania nauki religii w gimnazyach realnych. Czechom zapewnił sejm to prawo. Mogą oni wykonywać swój obowiązek, być katolikami także w gimnazyach realnych i uczyć się religii.

Wnosimy dalej (czyta):

A także rozszerzono na zakłady naukowe stojące na równi ze szkołami średnimi. mianowicie na szkoły przemysłowe.

Rzecz ta również ma swoje powody. Przygotowuje się mianowicie coś między prawdziwymi przyjaciółmi stanu przemysłowego i robotniczego. Słyszeli panowie zapewne już o Johanneum, zakładzie dla stanu robotniczego, w Pradze istniejącym. Także w Wiedniu istnieje taki zakład: Calasantium. Myślą tedy o tem, jakby można założyć tam szkoły przemysłowe, bezpłatne, gdzieby uczeń się mógł dalej kształcić. A zatem powiadamy: Po pierwsze niech nam rząd nie stawia żadnych takich przeszkód, jeżeli zakładamy jakie bezpłatne zakłady naukowe. Sądzę, iż posłuży to do wzmocnienia żywiołu patriotycznego. Inaczej bowiem wielu wpadnie w objęcia demokracji socyalnej. Równie jak tu przy Calasantium, ma się rzecz przy Johanneum w Pradze.

Dalej zdąża rezolucya ku temu (czyta):

§) ażeby w interesie nauki i wychowania zważano należycie przy wyborze i mianowaniu nauczycieli, a szczególnie kierowników szkół średnich na prawowierno-chrześcijańskie i austriacko-patriotyczne usposobienie uczniów i rodziców.

Moi panowie! tu lata tyle przykładów, wiele przepiórek na gorze Synaj, tu więcej nie chcę mówić.

γ) ażeby podrzędne władze naukowe liczyły się ściśle z przeważającą większością katolickich uczniów i rodziców przy utrzymaniu, *respectively* ponownem wprowadzaniu chrześcijańskich i katolickich urządzeń, jak np. krucyfiksów, modlitwy szkolnej, mszy szkolnej, przyjmowaniu Sakramentów, duchownych ćwiczeń i t. p.

Przy tych dwóch punktach, moi panowie, muszę skonstatować, że JE. Pan minister oświaty Dr. v. Gautsch, wiele, bardzo wiele, wiele tylko mógł uczynić, zmienił już na korzyść katolików i wiele zmienić zamierza, tak z tego, co się tyczy mianowania nauczycieli i kierowników, jak co się tyczy wprowadzenia chrześcijańskiego krucyfiksu. Niejednokrotnie podrzędne władze naukowe stawiały przeszkody jego dobrym zamiarom.

Dwa ostatnie punkty brzmią wreszcie (czyta):

δ) ażeby przy wydawnictwie i aprobachie książek naukowych i do czytania wprowadzono w miejsce trwożliwego wyłączenia wszystkich katolickich oddźwięków, wyłączenie wszystkiego, co chrześcijańskie, a przez to także obce duchowi umiętności;

ε) ażeby zakazu wydanego w prawodawstwie szkolnem, brania udziału w stowarzyszeniach, nie rozciągano znowu do czysto-religijnych, przez Kościół aprobowanych towarzystw, jak to się działo wbrew intencji prawodawczej i przeciw prawom uznanego przez państwo katolickiego Kościoła, ze strony podrzędnych władz naukowych.

Kładę tutaj nacisk: rozchodzi się tutaj, czysto tylko o stowarzyszenia przez Kościół aprobowane, ponieważ każdy z nas widzi potrzebę tego, że państwo zakazuje gimnazyastom brania udziału w innych stowarzyszeniach.

A teraz kończę poematem Anastazego Grüna. Anastazy Grün! Panowie wiecie, kto był ten pan; był to przedmarcowy wolnymularz. Scharakteryzował on w swoim dziełku „Schutt“ po mistrzowsku cele tajnych stowarzyszeń, odnośnie do szkoły, i przedstawia nam chwilę, gdy wieśniak pewien przy orce znalazł miecz i krzyż. Wieśniak ogląda się i nie wie, co mają oznaczać te dwie rzeczy. (Poruszenie). Wtedy udaje się do najstarszego człowieka, a ten po namyśle rzecze: Tak, słusznie! kiedyś był jeszcze młodzieńcem, żył wtedy jeszcze starszy odemnie, ten słyszał od swego dziadka, co mógł oznaczać krzyż. (Żywe poruszenie).

Widzicie, moi panowie, żart na stronę, to jest celem tajnych towarzystw, jeżeli chcą dostać szkołę w swe ręce. Czwarta generacya po nas, nigdy nie ma znać krzyża.

Moi panowie! Dopokąd istnieje krzyż, stanie także i miecz, stanie i katolików, którzy potrafią użyć miecza dla nauki, za ojczyznę, za dynastję Habsburską. (Huczne długotrwałe uznanie i oklaski).

Wicemarszałek Voralbergu *Rhomberg* zaleca katolickie seminaria nauczycielskie swego kraju a zarazem i rezolucye *ks. Abba T. J.*

*Dr. Jan Popiel*¹ określił konieczność kształcenia nauczycieli ludowych w duchu katolickim, ze względu na charakter katolicki ludności, i wniósł następującą rezolucję:

„Wiec katolicki uznaje za konieczne w interesie wyznaniowej szkoły ludowej utworzenie państwowych seminariów nauczycielskich, jako internatów z duchem wyznaniowym.

¹ Pomimo usilnych starań, mowy p. Popiela nie mogliśmy dostać.

Prezes tłumaczy tę rezolucję, poczem wciągnięto ją do IV punktu, 2 ustępu pod literą *a*.

Hr. Stadnicki wnosi rezolucję: ażeby domagać się u Ministeryum oświaty zmiany czasu ćwiczeń duchownych w gimnazyach, a mianowicie, ażeby nie przypadwały one z początkiem feryj świątecznych; następnie, ażeby wykładom katechizmu i historii kościelnej więcej czasu poświęcano jak dotychczas; wreszcie, ażeby w egzaminach dojrzałości zadawano abiturjentom pytania z katechizmu i historii kościelnej.

Schmidinger, nauczyciel z Voralbergu, *Tomasz Walter* z Karynty zabierają głos w sprawie seminaryów nauczycielskich; ostatni wykazuje niedostateczność w tej mierze prywatnych środków, jeżeli państwo do tejże instytucji ręki nie przyłoży; poczem przyjęto całą rezolucję z dodatkami *p. Popiela* i *hr. Stadnickiego*, i jednogłośnie wezwano *O. Abeľa* do zdania sprawy z tej rezolucji na walnem zebraniu.

Drugie posiedzenie.

O szkołach wyższych.

Dr. Fuchs, referent rezolucyj odnoszących się do szkół wyższych, zwraca uwagę, że nie potrzebuje rozwodzić się nad smutnymi stosunkami uniwersytetów monarchii, gdyż one są wszystkim znane. Stosunki te stały się powodem formalnego pragnienia utworzenia katolickiej wyższej szkoły. Od państwa niczego spodziewać się w tej mierze nie możemy, skoro samo uważa się za bezwyznaniowe. Nic więc nie pozostaje, jak na siebie samych rachować. Świeżo przyszło do życia stowarzyszenie, dążące do utworzenia uniwersytetu katolickiego w *Salzburgu*. Upoważnienie do tego kroku znajdujemy w prawach państwowych z r. 1867, a mianowicie na mocy art. 17 dozwolono jest każdemu otwierać zakłady naukowe. Utworzenie katolickiej wyższej szkoły jest więc prawem dozwolone. Samo przez się rozumie się, że są postawione pewne warunki, mianowicie co do obsadzania katedr profesorskich, które ci tylko

zajmować mogą, którzy mają odpowiednią ku temu kwalifikacyę. Nie możemy i nie chcemy takich profesorów wybierać, którzy nie posiadają *venia legendi*, którzy nie mogą mierzyć się z profesorami innych Uniwersytetów. Jeżeli zdobędziemy się na odpowiednich profesorów, natenczas rząd nie będzie mógł nam odmówić prawa publicznych wykładów. Wolny katolicki uniwersytet będzie ulegał nadzorowi państwa, o ile to jest przepisane prawem państwowem w art. 13 z r. 1873.

Ks. kanonik *Katschthaler* z Salzburga, wskazuje za przykład Belgię, Francję, gdzie katolicy założyli swe uniwersytety. Jeżeli inne państwa dały już nam przykład, czyż Austria, której rządy dzierży monarcha, wspierający wszystko co piękne i szczytne, czyż ta Austria, która ma tylu pobożnych i uczonych biskupów, tyle energicznej i rozumnej szlachty — czego dowodem i to świetne zebranie wiecu katolickiego, — czyż ona jedna nie mogłaby przyprowadzić do skutku utworzenie katolickiego wolnego uniwersytetu? I Austria musi mieć uniwersytet, odpowiadający potrzebom i uczuciom swych poddanych, a jeśli zechcemy jeszcze na zagranicę spojrzeć, zobaczymy, że i tam nie odrazu, lecz zwolna najpierw jeden, później dwa, wreszcie wszystkie fakultety zostały ustanowione. Dotychczas tylko jeden książę arcybiskup Saleburski zajął się utworzeniem uniwersytetu katolickiego; skoro jednak wszyscy biskupi podadzą sobie ręce, niewątpliwie uniwersytet katolicki przyjdzie do skutku.

Proboszcz *Opitz* z *Warusdorf*, oświadcza się gorąco za założeniem katolickiego uniwersytetu; on sam już założył w tym celu stowarzyszenie w Czechach, które w krótkim czasie zebrało 6000 zlr. Dzisiejsze uniwersytety są to zatrute źródła duchowe, trzeba koniecznie dokładać starań, ażeby mieć źródło czyste i zdrowe. Jeżeli organizacya utworzenia katolickiego uniwersytetu pozostanie taką, jaką jest dzisiaj, to i za kilka set lat nie przyjdziemy do uniwersytetu naszego. Jak długo cała ta sprawa spoczywać będzie tylko w rękach stowarzyszenia saleburskiego, a więc w rękach prywatnych, trudno, ażeby sprawa naprzód mogła postąpić. Dlatego mówca wnosi,

ażeby do rezolucyi dołączono w pierw zapytanie do biskupów monarchii, czy założenie uniwersytetu katolickiego jest rzeczą możliwą, dozwoloną, dającą się przeprowadzić?

Ks. Prałat *Karlon* idąc za poruszoną przez poprzednich mowców kwestyą finansową, daje w tej mierze bliższe wyjaśnienia. Nie wystarcza zbudować gmach; należy zapewnić sobie pieniądze na utrzymanie katedr profesorskich. Koszta budowy gmachu uniwersyteckiego, obliczając wedle kosztów na uniwersytet w *Grazu*, wynosiłyby 4 do 5 milionów złr. Co do utrzymania katedr profesorskich przytacza mowca tylko budżet państwowy w tej mierze: dla Wiednia 800,000 złr., dla Pragi (niemiecki i czeski uniwersytet razem) 750,000 złr., dla *Grazu* 300,000 złr., dla *Krakowa* 270,000 złr., dla *Innsbrucka* 227,000 złr., dla *Lwowa* 150,000 złr., dla *Czerniowiec* 107,000 złr.

Radca dworu *Lienbacher* wspomina, że stowarzyszenie saleburskie w celu utworzenia katolickiego uniwersytetu zwróciło się już dawniej do biskupów Austrii, Szwajcaryi, Niemiec i Węgier, i po większej części jak najprzychylniejsze uznanie znalazło. Stowarzyszenie zwróciło się także i do Ojca św., od którego otrzymało apostolskie błogosławieństwo; przyczem Jego Świątobliwość zapewnił, że skoro tylko wyjdzie ze stadyum wstępnego i on ze swej strony popierać je będzie. Stowarzyszenie to uniwersyteckie po krótkim stosunkowo czasie, bo po sześciu latach, rozporządza już dzisiaj kapitałem 70,000 złr.; dla utworzenia uniwersytetu potrzeba jednak 6 do 7 milionów. Powód, dla którego dotychczas tak mały był współudział w stowarzyszeniu, zdaje się leżeć w tem, że trudne okoliczności groziły mu zupełnem rozwiązaniem się. W tym względzie mowca pytał ministra oświaty, który rzekł: „Jeśli macie pieniądze, to macie i uniwersytet“, dlatego prosi wszystkich zebranych, ażeby każdy w swem kole szerzył propagandę na rzecz wolnego uniwersytetu katolickiego.

Ks. *Opitz* wyraża zdanie, że najlepiejby było całą organizacyę utworzenia katolickiego uniwersytetu złożyć w ręce biskupów.

Hr. Chorinsky z *Salcburga* robi uwagę, że widoki do zrea-

lizowania projektu stowarzyszenia saleburskiego nie są tak dalekie, jak je Ks. Proboszcz *Opitz* przedstawił; chociażby bowiem do tych 70,000 złr., dotychczas zebranych, nie nie wpłynęło, to jednak po 96 latach przez procentowanie dojdzie się do kapitału 17 milionów. A co do możliwych w przyszłości ustaw państwowych, to pytam, od czegoż mamy radę państwa, od czego katolików austriackich?

Referent *Dr. Fuchs*: Nie dajcie się panowie przez małoduszność odstraszyć, idźmy naprzód, a bylebyśmy zechcieli — otrzymamy katolicki uniwersytet.

Referent *Dr. Fuchs*, uwzględniając poprawkę Ks. *Opitz'a*, dodał ją do punktu I-go, i uzasadnił punkt II-gi i III-ci. Drugi referent Ks. profesor *Kaderzasek* z Ołomuńca w długim wykładzie przedstawił potrzebę filozofii chrześcijańskiej, poczem II-gi i III-ci punkt z wyjaśnieniami i poprawkami Msgr. *Knab'a*, wreszcie i IV-ty bez dyskusji jednogłośnie przyjęto.

Trzecie posiedzenie.

O szkołach ludowych.

Referent dla spraw szkół ludowych Msgr. *Panholzer* przypomina, że Ojciec św. walkę o szkołę zaznaczył jako walkę o egzystencję Kościoła katolickiego. Przedewszystkiem szkoła ludowa ma wysokie znaczenie, dlatego uwzględnić jej potrzeby i domagać się jej jest naszym świętym obowiązkiem. Szkoła jest wielkiej doniosłości dla Kościoła, państwa i chrześcijańskich rodzin, dlatego przedewszystkiem powinni domagać się katolicy szkół wyznaniowych. Mówca zwraca szczegółowo uwagę na potrzebę takiej szkoły ze względu na katolickie wychowanie dzieci. Prawa szkolne ministra *Hasnera* z 31 marca 1868 r. umożliwiają tylko majątniejszym wychować prywatnie swe dzieci na podstawach swojej religii; większość jest zmuszona obyczajno-religijne wychowanie swych dzieci publicznym szkołom powierzyć.

Jakkolwiek wielka cesarzowa *Marya Teresa* zaznaczyła

polityczny wpływ szkoły, nie innego nie chciała przez to powiedzieć, jak tylko to, że szkoły są publicznym interesem państwa, że ono powinno starać się o nie i dozorować je, wcale jednak nie poruszała wpływu Kościoła na szkołę, a tem mniej nie chciała go usunąć. Kościół katolicki jest matką szkoły, a naturalne przywiązanie dziecka do matki i matki do dziecka znieść nie może żadnego rozłączenia. Początki szkół bezwyznaniowych okazują się już za czasów rewolucyi francuskiej, kiedyto dzieci przez Republikę wyjętemi zostały z pod opieki duchownej. Szkoła bezwyznaniowa jest córką ateizmu czyli zaparcia się Boga. Smutny stan przedstawia nowa szkoła, skoro między młodzieżą zdarzają się zbrodnie najwyszukańsze. Szkoła dzisiejsza ma za zadanie, jak nieraz publicznie powiedziano, z chrześcijan zrobić ludzi, podczas gdy szkoły wyznaniowe mają z ludzi chrześcijan utworzyć. Zarzucają szkołom wyznaniowym, że poziom nauki obniżają. Referent dla szkół średnich O. *Abel* odpowiedział na ten zarzut najdokładniej. (Głosy: Wielka prawda!) W Prusach przestrzegają jak najsurowiej szkół wyznaniowych, a jednak pytam, czy tam ciemności panują?

Inny jeszcze zarzut robią szkołom wyznaniowym jej nieprzyjaciele: że nie wyrabia ducha patryotycznego z tej prostej przyczyny, że katolicy są *ultra-montes*. Zarzut ten nie potrzebuje odpowiedzi. Już szanowny prezes katolickiego wiecu przy otwarciu jego zaznaczył, że austriackość i katolickość u nas się nierozdzielnie łączą. A nietylko stojący u steru władzy w Austrii mieli niejednokrotnie sposobność swe uczucia katolickie najdobitniej wyrazić, byli i inni patryoci, którzy się silnie religii trzymali, że tylko wspomnę o księciu *Eugeniuszu*, *Andrzeju Hoferze*, „Ojcu“ *Radeckim*. W większej części pielęgnują patryotyzm katolicy, tak, że można powiedzieć: „w katolickim obozie jest Austrya“. (Silne oklaski). Zarzuty, jakie robią katolikom, posadzając ich o niepatryotyzm, są utworem takiej prasy, która rzeczywiście nie na inne miano, jak na „bezwstydnej prasy“, zasługuje. Katolicy chcą katolickiej szkoły, pozostawiają protestantom protestanckie, żydom ży-

dowskie szkoły. *Suum cuique!* Żądania katolików wynikają z obowiązku wychowania dzieci w duchu katolickim; jest więc to prawo świętem, którego się domagają. Nie mogą chcieć inaczej i nie powinni, oni muszą domagać się szkoły wyznaniowej, jest to prawo nie dające się zmienić, i dlatego musi być po ich stronie zwycięstwo. (Huczne oklaski).

Mowa trwała już całą godzinę; słuchacze z największym zajęciem słuchali jej, lecz dla braku czasu, ponieważ tylko jedna jeszcze godzina pozostawała wolna, a dużo jeszcze zgłosiło się mówców, pragnących dalsze punkta ułożonych rezolucyj motywować, a nie było innej sali do obrad, prezes przerwał mowę, prosząc o rychłe jej zakończenie.

Referent bacząc na okoliczności, przychylił się do prośby prezesa i przedstawił następujące rezolucje:

1) Zważywszy, że prawo rodziców do wychowania dzieci jest nie-tykalnem i najświętszym prawem;

zważywszy, że rodzina chrześcijańska w najściślejszym stoi związku z Kościołem;

zważywszy, że Kościół, w skutek posłannictwa od Boga mu danego, ma obowiązek ludu uczyć i wychowywać, i że Kościół tylko ma potrzebne do tego środki i powagę;

zważywszy dalej, że w skutek naszych socyalnych stosunków znaczna większość ludności potrzebuje do wychowania i wykształcenia dzieci pomocy szkoły ludowej, przez co szkoła ta ma dla rodziny, Kościoła i państwa największe, a nawet decydujące znaczenie;

zważywszy wreszcie, że przymus szkolny jest prawem zaprowadzony;

katolicy są w sumieniu zobowiązani, a zatem i uprawnieni do żądania od państwa, jako ich najświętszego prawa, tych gwarancyj, dotyczących religijnego wychowania młodzieży, które w obecnych okolicznościach są potrzebne, a które są możliwe do osiągnięcia jedynie przez wprowadzenie szkoły wyznaniowej.

2) Zważywszy, że gruntowne rozwiązanie kwestyi szkolnej jest jedynie możliwe w drodze prawodawczej, uznaje więc katolicki jako obowiązek:

a) napomnieć usilnie katolickich obywateli, aby przy wyborach do izb ustawodawczych starali się i usiłowali przeprowadzić wybór mężów, dających dostateczną gwarancję, że wszystkich swych sił użyją celem wprowadzenia szkoły wyznaniowej;

b) obecnym członkom katolicko-konserwatywnym Wys. Rady Państwa wyrazić uznanie i podziękowanie za obranie tej drogi, w skutek czego kwestya wprowadzenia szkoły wyznaniowej bliższą znacznie się stała konkretnego rozwiązania; a niemniej prosić ich gorąco i na przyszłość, aby wszelkiego wpływu i siły dla dopięcia wzniesłego tego celu, użyli.

P. Winkler z Salcburga porusza kwestję finansową szkół ludowych w rozmaitych krajach koronnych. Nadzwyczaj wielkie koszta na nie łożone, nie idą zupełnie w parze z rezultatami tych szkół. Gdyby powierzono szkoły ludowe kilku zakonom, koszta zmniejszyłyby się znacznie, a korzyść byłaby większa, (bardzo słusznie!); najważniejszą w tej mierze rzeczą jest dozór nad szkołami. Jeżeli inspektor okręgu jest dobrym, jeżeli takim jest także inspektor szkół dla całego kraju, to i owoce szkół będą dobre. W tym celu wnosi poprawkę do pierwszego punktu 2-giej części rezolucyi, „tak działać należy, ażeby o ile można oszczędzać finanse pojedynczych krajów, powiatów, gmin i rodziców“.

P. Schmidinger z Voralbergu, jako nauczyciel, (brawo! brawo!) pragnie udowodnić, że szkoły bezwyznaniowe sprzeciwiają się pedagogice, i że pedagogowie muszą żądać szkół wyznaniowych. Kwestya szkół ludowych wyznaniowych większego jest znaczenia jak uniwersytetu salcburskiego lub szkół średnich, i nie może być w dwóch godzinach omówioną; żąda więc dłuższego czasu na debaty nad szkołami ludowymi.

Przewodniczący ks. prałat *Karlon*: Moi panowie, gdyby to odemnie zależało, chętniebym, nie 3 lub 4 godzin, lecz do północy z wami obradował, lecz obecnie żadnej wolnej sali nie mamy, a rozprawy innej sekcyi mają rozpocząć się tutaj o godzinie 10-tej.

Posel v. *Zallinger* robi uwagę, że, znając stosunki w Tyrolu, możnaby punkt I-szy wniosku bardziej stanowczo postawić; zresztą w zasadzie nań zgadza się. Co do II-go punktu, zdaje mu się, że należałoby go zupełnie usunąć. Posłowie partyi konserwatywnej, przemawiając za szkołami wyznaniowymi, nic innego nie spełnili, jak tylko swój najświętszy obowiązek. Często zbyt hojnymi jesteśmy w podziękowaniach, a w tym wypadku tem mniej to jest stosownem, skoro ktoś nie obeznany z całym biegiem sprawy mógłby o jakieś zakulisowe wpływy ich posądzać, a może takie podziękowanie nie znalazłoby echa w całym narodzie. Mówmy otwarcie. Wniosek tak, jak jest postawiony, nic innego nie orzeka, jak to, „że państwo

ma najwyższe zwierzchnictwo i dozór nad treścią nauki“. Przyznaje mu niejako prawo, którego nie posiada. Zdaje mi się, że nie jest stosownem, ażeby katolicki wiec za to dziękował Posłom i łączył się z ich zdaniem, boć Zbawiciel nie do tajnych radców ani do ministrów, lecz do Apostołów wyrzekł owe słowa pamiętne: „Idźcie i nauczajcie wszystkich“. Wnoszę, aby II-gi punkt wniosku opuścić, albowiem w obecnego państwa zasada wolności szkoły musi być stanowczo bronią. (Huczne oklaski).

Msgr. Knab zwraca uwagę, że walka o szkoły wyznaniowe będzie ostrą, lecz ustać dopotąd nie możemy, dopokąd szkół wyznaniowych nie otrzymamy. Skoro je otrzymamy, wtedy znowu walka rozpocznie się o ich zapewnienie. Przeciwnicy nasi robią nam zarzut, że kler niema żadnego interesu w szkołach, i że nie dla niej nie czyni. Zarzut ten zupełnie jest nieuzasadnionym. Najlepiej zbilbym go przedkładając cyfry statystyczne. Mógłbym wykazać, ile to w Bawaryi kler od 100 lat przeszło złożył ofiar na szkołę, również i w samej diecezyi wiedeńskiej. Proszę przypomnieć sobie, ile to wydał na szkoły ś. p. kardynał *Milde*. Skoro jednak krótki czas, na obrady nasze przeznaczony, nie dozwala nad szczegółami roz-wodzić się, pozwalam sobie przewodniczącemu zaproponować, ażeby zechciał wybrać komisarza wiecu katolickiego, któryby o wpływie i staraniach kleru na szkoły w prasach głos podniósł. Protestujemy również przeciw obchodowi 25-letniej rocznicy ustanowienia nowej szkoły, który urządzili nasi przeciwnicy, a w szczególności protestujemy przeciw wszystkim zarzutom, skierowanym przeciw księciu *Lichtensteinowi*, od wszystkich nas cenionemu i poważanemu przewodnikowi. O ile z dzienników dowiadujemy się, na tem to zebraniu nie oszczędzano nawet słów obelżywych komisarzowi rządowemu. I tacy to panowie, którzy nie szanują dyscypliny i władzy, mają zaszczerpieć takową u dzieci. Na szczęście są to tylko szumowiny naszego nauczycielstwa, które tym ideom hołdują.

Nasi przeciwnicy chcieliby z nauczycieli zrobić antykatechetów i antyproboszczów; niema jednak żadnej racyi do twier-

dzenia, że katecheta z nauczycielem nie może iść ręka w rękę. Mówią, że nauczyciel i katecheta będą wzajemnie walkę prowadzić; tymczasem dawniej zawsze nauczyciele byli zadowoleni i będą niezawodnie takimi w przyszłości.

Poprzedni mówca wystąpił w tonie za surowym. Zdaje mi się, żeśmy powinni na zawsze takiego tonu mowy nadal unikać. Broniąc świętości sprawy i tak musimy używać takich nieraz wyrażen, które dla przeciwnego nań obozu bynajmniej nie są sympatyczne. (Bardzo słusznie!) Najpiękniejszym owocem wiecu katolickiego będzie, jeśli ze spokojem i godnością nasze zapatrywania bez żadnych przymówek przedstawimy, i do wytkniętego celu dążyć będziemy. (Brawo! Brawo!) Co do pierwszego punktu wniosku zupełnie z poprzednim mówcą zgadzam się. Skoro jednak wyborców zobowiązemy, ażeby na takich tylko głosy dawali, którzy za szkołą wyznaniową przemawiać będą, powinniśmy również domagać się, ażeby posłowie swój obowiązek całkowicie i bez ogródki wypełnili. Pytam jednak, czy posłowie konserwatywni, przemawiając za wnioskiem szkół wyznaniowych, swemu obowiązkowi zadość nie uczynili? Jeżeli mówca poprzedni wspominał o jakichś wpływach zakulisowych, należy je ludowi wyjawić. W ostatnich latach wyznać należy, że opinia co do szkół wyznaniowych w samym już Wiedniu znacznie się zmieniła. Nieznane są mi zapatrywania Tyrolczyków, lecz jestem przekonany, że w Niższej Austrii podziękowanie posłom konserwatywnym za ich udział w bronieniu szkół wyznaniowych, odgłos znajdzie u ludu, czego dowodem jest 800.000 podpisów na petycji o szkoły wyznaniowe. Jakież wrażenie zrobiłoby, gdyby wiec katolicki swego wotum dziękczynnego w tej mierze nie chciał posłom złożyć. Zresztą wniosek o szkoły wyznaniowe nie był dziełem jednej osoby księcia *Liechtensteina*, lecz podobny wniosek uczynił radca dworu *Lienbacher*. Zdaje mi się, że nic na razie nie wypada mi innego powiedzieć, jak to, że posłowie partyi konserwatywnej niczego nie pominęli, co było ich obowiązkiem. (Ożywione oklaski).

Przewodniczący sekcji szkolnej zawiadamia, że jakkol-

wiek już godzina 10-ta upłynęła, jednak prezes wiecu katolickiego, uwzględniając potrzeby dłuższych rozpraw nad szkołami ludowymi, ustępuje jeszcze salę na pół godziny.

Ks. kanonik *Katschthaler* z Saleburga, wzywa katolików do zgody.

P. *Zallinger* usprawiedliwia swoje zdanie i sposób mówienia.

P. *Glatz* z *Meranu* upomina, ażeby walczącym w sprawie szkół wyznaniowych odwagi nie odbierać.

Dr. Gaspar Schwarz przemawia za punktem drugim wniosku, i pragnąłby bliższego określenia, komu wiec katolicki dziękuje, skoro nie tylko w radzie państwa, lecz i w swym kraju niektórzy mężowie wielce przyczynili się dla wniosku o szkoły wyznaniowe.

Redaktor *Jehly* z Innsbruku robi uwagę: Jeżeli chcecie jutro lub pojutrze wyczytać dla siebie pochwały w *N. Fr. Presse*, wykryście punkt drugi wniosku, a przemawiajcie za wnioskiem *Zallingera*. (Powszechna wesołość).

Dr. Rottensteiner w krótkiej mowie zaleca wotum dziękczynne dla konserwatywnych posłów.

Na tem zamknięto debaty.

Referent *Msgr. Panholzer* zdaje sprawę z przebiegu obrad; punkt I rezolucyi prawie bez dyskusyi przyjęto. Co do II-go punktu większość jest za jego przyjęciem, więc wniosek p. *Zallingera* upada. Poprawkę *dr. Schwarza* dołączono do punktu II-go.

Dr. Schwarz dodaje jeszcze jedną poprawkę, ażeby wotum podziękowania złożyć zakonnikom w szkołach klasztornych, oddającym się wychowaniu młodzieży. Wszyscy bardzo chętnie zgadzają się.

Posel *Thurnher* żąda podobnego wotum dla katolickiego seminarium nauczycielskiego w *Tisis* (w *Voralbergu*). Obydwie poprawki przyjęto i dołączono do punktu II-go, poczem przewodniczący ks. prałat *Karlon* zamknął posiedzenie sekcji szkolnej o godzinie 10³/₄.

SEKCYA SOCYALNA.

Pierwsze posiedzenie.

O święceniu niedzieli i o mieszkaniach robotników.

Przewodniczący sekcji *hr. Egbert Belcredi*; zastępca *Baron Vogelsang*; sekretarz *Dr. Wilhelm Baron Berger*.

We wtorek dnia 30 kwietnia o godzinie 10-tej otworzył posiedzenie sekcji socyalnej *hr. Belcredi* krótkim przemówieniem, wspominając, że w tej kwestyi czynny brał dawniej udział, gdy rząd wnosił pewne prawa socyalne; prawa te jednak nie są wystarczające, i należałoby całą reformę socyalną gruntownie poruszyć. Ponieważ jednak za krótki czas wiecu na to nie pozwala, poruszyć należy choć kilka tylko ważniejszych kwestyj, a przedewszystkiem święcenie niedzieli i świąt uroczystych.

Referent *Ks. Lorenz*, kapelan więzienia w Garsten, w długiej mowie zwraca uwagę, że kwestya święcenia niedzieli, w skutek praw w ostatnich czasach wydanych, nieco naprzód postąpiła; jednak jeszcze nie odpowiada najżywotniejszym potrzebom katolików. Wszak są jeszcze dnie świąteczne, zwłaszcza w czasie wielkanocnym dla każdego katolika bardzo drogie; a tak, jak każdy katolik obowiązany jest do wstrzymania się od pracy w dnie niedzielne, tak samo obowiązkiem jest wstrzymać się od pracy i w inne dnie świąteczne. Tymczasem we fabrykach robotnik zajęty jest dotychczas jeszcze w dnie

święteczne, co nie mało przyczynia się do wzrostu niezadowolenia. Dla braku potrzebnego spoczynku życie rodzinne robotników wystawionem jest na szwank, znika obyczajność, czego niedawne dowody w stolicy państwa się okazały. Konieczna jest opieka nad uczuciem religijnem społeczeństwa. Sam mówca, z doświadczenia zaczerpniętego z apostolskiej swej pracy, jest przekonany, że ci zbrodniarze, którzy opuszczając dom karny nie zaniedbali praktycznego spełniania obowiązków religijnych, zmienili się tak dalece, że później bardzo przykładowe życie prowadzili; a przeciwnie ci, którzy przeciw Kościołowi i jego przepisom występowali lub w zatwardziałości lekceważyli sobie napomnienia kapłana, nie okazali najmniejszej poprawy. Nad drzwiami kaźni takich złoczyńców napisać można: *Lasciate ogni speranza*.

Ks. Józef Schnabl nazywa zniesienie święcenia niedzieli i dni świątecznych, sztucznem wzbudzeniem przez państwo ateizmu. Państwo powinno jako ważne zadanie swoje uważać przeprowadzenie święcenia niedzieli, chociażby nawet z użyciem całej surowości kar.

W tym względzie ożywiona wywiązała się dyskusya, w której z kolei głos zabierali: *Unterberger* (z Innsbrucka), *Gausterer* (z Neuberg), ks. *Latschka* i *Rhomberg*, i jednogłośnie przyjęto następujący wniosek z poprawką ks. *Latschka*, ażeby spoczynek niedzielny rozpoczynał się od 6-tej godziny po południu w sobotę i trwał aż do poniedziałku godziny 6-tej rano.

Bacząc na ogólne zapatrywanie, że spoczynek niedzielny, tak ze względów religijnych jak społecznych, największego jest znaczenia.

Pomnąc, że chrześcijańskie święta dla katolików równie są drogą, jak niedziele, i że znaczna większość ludności państwa austriackiego je zachowuje, wnosi więc katolicki:

1. Ażeby prawo, które zakazuje w dniu niedzielne pracy zarobkowej stosownie do swego ducha i celu, ściślej jak dotychczas było wykonywanem, a wyjątki od jego wypełnienia ograniczonymi były drogą rozporządzeń prawnych.

2. Ażeby zakaz spełniania w ogólności rękodzielniczych robót rozciągał się i na święta chrześcijańskie.

3. Ażeby dobrodziejstwo niedzielnego i świątecznego spoczynku prawnie przysługiwało tak usługującym w publicznych urzędach i w prywatnych w szczególności, jak niemniej, o ile to możebnem, także urzędni-

kom i służbie zajętej przy publicznych zakładach transportowych i handlowych.

Następnie odczytano referat *ks. Latschka* o mieszkaniach:

Drugi wiec ogólny austriackich katolików uznaje zapewnienie zdrowia i obyczajności w odpowiednich mieszkaniach, w ogólności dla warstw niższych społeczeństwa, a w szczególności dla rękodzielników i wyrobników, jako kwestyę wielkiego znaczenia.

Jakkolwiek państwu niemożna nakładać obowiązku, ażeby ono przedewszystkiem starało się o mieszkania klas roboczych, skoro tenże obowiązek należy raczej do przedsiębiorców robót, pomimo tego wiec katolicki, bacząc na obecne okoliczności, uważa za swój obowiązek przedłożyć władzom rządowym następujące uwagi, ku ogólnemu dobru służące.

a) Przedsiębiorcy, którzy większą liczbę robotników na jednym miejscu do pracy używają, gdzie niewystarczające lub niestosowne mieszkania znajdują się, mają być prawem zobowiązani do wystawienia odpowiednich mieszkań.

b) Obecne prawne postanowienia, odnoszące się do położenia i użycia pomieszczeń, mają być surowo przeprowadzone i w stosowny sposób uzupełnione.

c) Odpowiednie organa mają być dobrze poinformowane co do przeprowadzenia tych postanowień, i szczególnie mają czuwać w większych miastach i miejscowościach przemysłowych.

d) Ma być sporządzona statystyka mieszkań i urządzenie bióra wywiadowczego w tej mierze w większych miastach i miejscowościach przemysłowych.

e) Do budowania domów z małemi mieszkaniem ma być, o ile to ze strony rządu jest możliwem, wydawane pozwolenie z zastrzeżeniem pewnych ulg dla lokatorów.

f) W większych miastach i miejscowościach przemysłowych ma rząd przez stosowne prawa stawiać przeszkodę, aby miejsca budowy nie były używane na spekulacye budowlane, szczególnie ze względu na stawianie mniejszych mieszkań.

Prócz tego zaleca austriackim katolikom wiec katolicki, ażeby przez prywatną działalność starali się dopomagać humanitarnym dążeniom, ażeby klasom roboczym zabezpieczyć zdrowe mieszkanie za niską cenę, a robotnikom (w tak zwanych mieszkaniach dla robotnic) zarazem i obyczajne schronienie.

Wniosek ten referenta *Ks. Latschka*, poparty słowami radcy budowniczego *Stach'a*, z poprawką *p. Wichterle* o urządzeniu mieszkań dla robotników, jednogłośnie przyjęto.

Drugie posiedzenie.

Kwestya robotnicza.

Ponieważ poprawka do wniosku uchwalonego na posie-

dzeniu przedpołudniowem, tycząca się budowy mieszkań dla robotników i zwolnienia tychże od podatku, dłuższej wymagałaby rozprawy, a czas zbyt krótki na to nie dozwalał, przewodniczący *hr. Belcredi* wniósł projekt cofnięcia tej poprawki, co też przyjęto.

W kwestyi robotniczej zabrał głos:

O. W. Kolb T. J.

Od czasu kiedy chrześcijaństwo wywalczyło sobie na Zachodzie wpływ na prawodawstwo ludów, wypełniło się w wielkiej całości Boskie prawo pracy, które Bóg postawił jako warunek niezbędny dla fizycznego i moralnego życia ludzkiego: „W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleb twój“ (Ks. Rodz. III). Ludzie pracowali też w pocie czoła, a jak jednostkom nie zabrakło na pracy pod ochroną mądrych praw robotniczych, tak też nie zabrakło na codziennym powszednim chlebie, chociaż w pocie czoła zarobionym. Ludzkość ze swymi niezliczonymi potrzebami w mieście i na wsi, przeznaczoną była i skazaną na niezmordowaną czynność niezliczonych rąk ludzkich w mieście i na wsi. Do wielkiego dzieła, mającego na celu zadowolnić potrzeby ludzkości, mogli wszyscy, którzy posiadali ku temu siłę i wolę, zupełnie dostatecznie się przyłożyć. Równość istniała między tem, co wydawały ręce ludzkie, a tem, czego potrzebowali ludzie do życia.

Wynalezienie maszyny parowej i jej użycie przydało stałowe, żelazne ramiona do liczby ramion ludzkich, które przepotężnie zabrały się do przygotowywania pracy, której ludzkość potrzebuje. Pracy, którą pierwaj tylko ludzkie ręce dokonywały, dokonywały teraz — i to wciąż w coraz więcej rosnącym postępie — machina.

Używając tak sił natury zamiast własnych sił ludzkich, święcił człowiek wielkie, podziwienia godne tryumfy, będące w stanie i zdolne twardy los, los pracy w pocie czoła, jeżeli nie wygnać, to przecież złagodzić. Ale co może przynieść pożytek, może i szkodzić; co jest w stanie pomóc, może stać się

niszczącą siłą bezrozsądną przezorności i oglądania na jego użycie. Użycie maszyn wymagało tem większej roztropności i mądrości, im bliżej dotykało wielkich podwalin fizycznego i moralnego życia dla jednostek i całości i pracy.

Rozstrzygnięcie tej kwestyi, czy przy czynności maszyny ukształtuje się los ludzkości lepiej lub gorzej, zawisło od odpowiedzi na pytanie: Kto będzie pracował temi przez parę poruszaniem ramionami ze stali i żelaza? Czy wszyscy, którzy żyć z pracy rąk swoich muszą, mogą przenieść część swego ciężaru na ramiona maszynowe, lub czy też to ułatwienie przypadnie tylko kilku w udziale?

Faktyczny rozwój ruchu maszyn parowych dał na to odpowiedź; nie każdy, co dotychczas pracował, był w stanie sprawić sobie maszyny, ale niejeden, który dotychczas wcale nie pracował, mógł nastawiać maszyny. A zatem obok rzemieślnika, który swymi dwoma rękami pracował i zarabiał, widzimy, ludzi, którzy pracują stoma rękami i zarabiają, a mianowicie łatwiej, prędzej i więcej dają pracować i zarabiać. Przez to musiała po prostu ustać równowaga przemysłowego życia, dotychczas się utrzymująca, opierająca się na tem, że każdy z prawie równymi, od natury mu udzielonymi siłami brał udział w pracy, mającej być dokonaną przez ludzkość. Zdolność pracowania wiele, lub też wydawania i zarabiania wiele, opierała się teraz o wiele mniej na sile i zręczności, jak raczej na możliwości wprawienia w ruch machin parowych, a zatem przede wszystkim na pieniądzach; albo na pieniądzach, które posiadano, albo też na pieniądzach, które spodziewano się zarobić, a tymczasem na procent wypożyczano. Tak stał się pieniądz, w miejsce naturalnych i pracą pozyskanych zdolności, skłonności, po większej części przedmiotem zamiany za zarobek pieniężny; wiele pieniędzy środkiem zamiany za wielki zarobek pieniężny. Stąd widzimy, jak występują w społecznym życiu nowe zjawiska, obok siebie i po sobie następujące: nowe znaczenie pieniędzy dla pracy i zarobku (wykształcone aż do „płodności pieniężnej“); istotna różnica między bogaczem a ubogim przy sporządzaniu pracy, przez którą się zarabia (jeden każe pra-

cować maszynie, drugi pracuje własnymi rękami); ustawiczny upadek rzemiosł w walce z maszyną; wielki nacisk ludzi do fabrycznej roboty — zdala od niemającego widoków rzemiosła; skoncentrowanie pracy na kilka centrów pracy, z których się omawia i prowadzi spory o potrzebach całych krajów; usunięcie sposobności do pracy dla całych okolic; dlatego wielki ścisk szukających pracy w kilku miejscach fabrycznych; zawisłość tysięcy od jednego pracodawcy, od jego szczęścia lub nieszczęścia, od jego humoru i upodobania; współzawodnictwo samych robotników między sobą z powodu za obfitej podaży sił roboczych; konkurencya kobiety z mężczyzną z powodu właściwości robót fabrycznych i większej taniości robót kobiecych; konkurencya dzieci z dorosłymi z powodu łatwości wielu robót fabrycznych. Stąd znowu brak powodowania się dzieci, które są w stanie same o siebie się starać; zepsucie kobiety, którą odejmują jej własnej rodzinie; stopniowe powiększanie czasu pracy, popieranie i wymaganie pracy nocnej, która rujnuje fizyczne powodzenie robotników; wymaganie pracy w dnie świąteczne, która niszczy życie religijne, a tem samem całe życie moralne; obok podwyższenia czasu pracy, zmniejszenie wynagrodzenia za pracę. Stąd ubóstwo także i w tym czasie, gdy siły wystarczają do pracy, złe żywienie się, używanie wódki, złe pomieszkania, przepełnienie mieszkań, ponure obawy o przyszłość, brak chleba przy dłuższej chorobie, w starości. Z drugiej strony widzimy, że zjawiska stają się ogólnemi, a środki zaradcze przeciw nim usuwają się w wielkiej części z pod decyzji pojedynczych właścicieli fabryk z powodu międzynarodowej konkurencyi fabryk. Albowiem przy ilości produktów tak wielkiej, iż przekracza potrzeby, powstaje wzajemne obniżanie cen u producentów, stąd wynika wzajemny przymus zmniejszenia wynagrodzenia, a wymagania dłuższego czasu pracy; stąd również to tu, to owdzie wpływa bankructwo jakiegoś przedsiębiorcy i zupełne rozpuszczenie tamże zatrudnionych robotników.

Z tych to zjawisk, które należy zbadać bliżej z każdej strony, ażeby je móc ocenić według całego ich znaczenia,

składa się obraz dzisiejszego świata robotniczego. Praca potrzebna ludzkości dla znalezienia sposobów utrzymania życia, przechodzi coraz więcej z rąk ludzkich na maszyny; ściąga się coraz bardziej tylko do kilku centrów pracy; coraz więcej staje się przywilejem tych, którzy posiadają kapitały na wprowa-
wienie w ruch maszyn, i którzy używają najtańszych sił pracowniczych przy tymże ruchu. Rzemiosło podupada; kto tylko może stara się umożliwić swoim synom naukę, stąd przepelnienie szkół średnich i wyższych, niezliczeni kompetenci do każdego publicznego urzędu: wykształcony proletaryat; kto tego zrobić nie może, widzi swoje dzieci wyrastające dla zajęcia we fabryce. Ażeby w fabryce znaleźć pomieszczenie, musi często robotnik opuszczać swoją ojczyznę i rodzinę, już w młodości wystawiać się na niebezpieczeństwa wszystkie wśród pstrzej, zgromadzonej z różnych stron świata, pozbawionej wszelkiej tradycyi ludności robotniczej; czasem musi się zadowalniać jakakolwiek zapłatą i najdłuższym przeciągiem czasu pracy; w monotonnej pracy spożywa on swoje siły i widzi, jako rezultat życia pełnego trudów i wysień, głód i nędzę, skoro tylko go choroba lub wiek uczyni niezdolnym do pracy. Tylko niesłychanie mała cząstka może wywalczyć sobie samodzielność, własny kąt, polepszenie swego stanowiska i utrzymania swego życia.

Dlatego już nie słyhać pojedynczego wołania, lecz wstrząsający światem krzyk o pomoc. Ludzkość w swej masie nie ma innego prawnego środka i drogi do utrzymania życia nad pracę; nie może na to przystać i nigdy nie przystanie, aby ten jej warunek zmonopolizowało kilku tylko, i wbrew większości położyło na nim swoje okowy; nie może pozwolić i nie pozwoli na to, aby praca, z której muszą żyć miliony, mogła się stać przywilejem tylko kilku, niewielu; nie może tego dopuścić, jak podobnie nie może pozwolić na to, aby tylko kilku, niewielu wdychało w siebie wszystko powietrze, absorbowowało wszystko światło, które dano dla wszystkich i przez wszystkich jest pożądaniem.

A teraz pytanie: jak można temu zaradzić? Pierwszą

najwięcej radykalną odpowiedzią, którą wycisnęła rozpacz, jest: maszyna jest powodem tej klęski, którą my zowiemy kwestią społeczną — a zatem maszynę należy znieść, a wtedy uwolni się pracę obciążoną okowami; praca skoncentrowana na kilku miejscach znowu się rozszerzy na cały kraj; pracy ludzkiej będą znowu poszukiwać i ją opłacać; płodności pieniężnej podetnie się korzenie; pieniądze będą spływać z niepracujących sfer w sfery pracujących; utworzy się znowu zamożny stan średni; ustanie nadmierny natłok do szkół średnich i wyższych, a przez to także wyżej nadmieniony proletaryat wykształcony. Prócz tego, roszczenia do wygodnego i zbytkownego życia ustałyby same z siebie w tej mierze, w jakiej zadowolenie ich przez samą robotę ręczną stałoby znowu kosztowniejszem, a coraz bardziej zwiększającej się zniewieściałości postawionoby zaporę.

Wyjście to, które np. część robotników angielskich przyjęła około schyłku przeszłego stulecia, jest wyjściem rozpaczliwym, które raczej niszczy dobro jakieś, aniżeli staje się ofiarą wynikających ztąd niebezpieczeństw. Tak rzuca kupiec towary z trudem nabyte do morza, jeżeli ciężar ich grozi zanurzeniem jego statku; hindus zabija słonia z długimi mokołami układanego, gdy się widzi w niemożności dalej nim władać. W chwili, kiedy ludzkość zrozpaczy, że nie będzie mogła położyć kresu nadużyciu maszyny, musi przełożyć nadto ten punkt wyjścia, iż ją zniszczy, gdyż bez maszyny może ona żyć, przy jej nadużyciu jednakże, nie.

Nie dzieląc tej rozpacz, nie możemy się zobowiązywać tą odpowiedzią. Zwrócimy się tedy do wniosków zrobionych celem zniesienia nadużycia maszyny. Zmonopolizowanie pracy w niewielu rękach z najoczywistszem wykluczeniem drugich, którym pozwala się w tej pracy wiać udział tylko mniej lub więcej, pod tymi lub owymi warunkami, przez czas dłuższy lub krótszy, jak tego właśnie wymaga interes przedsiębiorcy, przedstawiliśmy jako korzeń wszelkich nieporozumień, jakie sprawia obecnie maszyna. Każdy wniosek zaradczy powinien się zwrócić przeciw temu monopolowi.

Socyjni demokraci upatrują środek zaradczy tego nieznośnego zła w zupełnem przejściu wszelkich środków produkcji w ogólne posiadanie; w udziale wprost całej ludności zdolnej do pracy w płodności majątków pod ścisłym nadzorem wybranych zwierzchności i w równomiernym podziale plodów mienia pomiędzy konsumentów. To jest niemal podstawą licznych socyjno-demokratycznych systemów, jak one w ostatnich dziesiątkach lat wystąpiły na światło dzienne. Wykonaniu jednakże takich systemów sprzeciwia się natura ludzka, nie znosząca trwale przymusu i szablonowego traktowania rzeczy, któraby ludziom według tych systemów przypadła w udziale.

Dobre i złe własności ludzkie złożyłyby się na to, ażeby rozluźnić mechanizm socyjno-demokratycznego państwa w jak najkrótszym przeciągu czasu.

Jakież są jednak tedy po tem wszystkim prawodawcze prawa, które najpierw należy wziąć pod rozwagę, prawa dalszej ochrony stanu robotniczego? Zobaczmy przedewszystkiem, jakie są w ogólności możliwe prawa dla dalszej ochrony stanu robotniczego, a z tych możemy podnieść te, które najpierw należy wziąć pod rozwagę.

Wystąpiliśmy przeciwko zdaniu, że maszyny należy znieść; uważamy mechaniczne urządzenie gospodarstwa socjalnych demokratów za nieprzeprowadzalne. Nasze tedy środki zaradcze nie mogą zmierzać ani do jednego, ani do drugiego. Wychodzimy z założenia, iż człowiek ma wrodzone prawo starać się o utrzymanie swego życia, a zatem wrodzone prawo brania udziału w pracy potrzebnej dla potrzeb innych ludzi, gdyż jest to dla największej części ludzkości jedyna prawna droga znalezienia sobie utrzymania życia. Praca jest dobrem społecznem, wspólnem a niewyosobniającem się; jednostka może w niej wziąć udział większy lub mniejszy, nikt jednakże nie może rościć sobie do niej takiego prawa, ażeby drugiemu zupełnie nic nie pozostało. Z pracą ma się rzecz, wzięwszy *in abstracto*, analogicznie zupełnie jak z posiadaniem gruntu i ziemi; ktoś może go posiadać mniej lub więcej, nikt jednak nie może posiadać go wszystkiego. Wielkie obszary tedy krajów

muszą być albo własnością wielu, lub, jeżeli należą do jednego pana, to wówczas ten ma obowiązek, nie tylko pozwolić drugim mieszkać na swojej posiadłości, lecz według okoliczności umożliwić im zarobek na utrzymanie życia. Do tego punktu przyłączają się nasze wymagania na korzyść robotników.

Fabryka jakaś jest dla pracy tem, czem jest w pewnym względzie posiadanie latyfundiów dla gruntu i ziemi; łączą one około centrum to, co podzielone przyniosłoby dla kilku odpowiedni dochód. Jak tedy wielkie obszary ziemi powinny być albo własnością wielu, lub też, jeżeli się znajdują w posiadaniu jednostki, nie mogą w niem zostawać bez pewnych warunków, to wymagamy czegoś podobnego — *mutatis mutandis* — i od fabryki. Oczywiście fabryki nie można, jak własność gruntową, podzielić na parcele i każdą z nich z osobna oddać jednostce; może jednakże ona pozostawać odrazu we wspólnem posiadaniu wielu osób, jako własność towarzystwa robotniczego. Jeżeli fabryka jest własnością wielu robotników, to i praca tam dokonywana jest pracą wielu, a wypływający stąd zarobek jest zarobkiem wielu, a ponieważ jest to praca maszynowa, praca jest łatwiejszą, niż gdyby oni byli pracowali rękami; maszyna stała się dobrodziejstwem dla nich, a dobrodziejstwo staje się z każdym udoskonaleniem maszyny coraz większem, wymaga mniejszego wysiłku, pozostawia więcej czasu dla pielęgnowania rodziny, uprawy roli, ogrodu i innych prac.

Myśl zrealizowania tego wspólnego posiadania zasługuje na całkiem specjalne roztrząśnienie. Tak jak starożymskie posiadanie latyfundiów, gdzie niewolnicy w łańcuchach pracowali, przeszło pod wpływem kultury chrześcijańskiej w udziałowe posiadanie wieśniaków, to i z maszyną mogłoby to także się stać w tym celu. W miejsce etycznych, politycznych i gospodarskich motywów, pod wpływem których zaszły niegdyś owe metamorfozy, a które teraz nie działają, możnaby polecić nowoczesny środek amortyzacji; przede wszystkim amortyzację przedsiębiorstw akcyjnych. Muszą one same zaamortyzować kapitał w nich złożony, aby powoli, w miarę postępowania amortyzacji, przejść we wspólne posiadanie zorganizowane.

wanych robotników. Udziały przytem wymierzano by według jakości dokonanej i mającej być dokonanej pracy, większe udziały przypadłyby intelektualnym kierownikom, mniejsze majstrom, najmniejsze robotnikom ręcznym.

We fabrykach, będących własnością prywatną, a przy których nie można oczekiwać przejścia ich we wspólne posiadanie, chodzi o ustalenie stosunków między robotnikami a pracodawcami. Przytem wydaje mi się niezbędnem oddzielić wymagania stawiane fabrykom, mającym dopiero urządzić się, od wymagań stawianych fabrykom już istniejącym, gdy przy tych ostatnich należy uwzględnić niektóre rzeczy, które nie przychodzą pod rozważę przy pierwszych.

1. Fabryka mająca się dopiero urządzić przyciąga do siebie wiele pracy; ponieważ zaś praca jest dobrem społecznym, to zezwolenie na założenie nowej fabryki powinno być zawisłem od społecznego zysku lub szkody, stąd wynikającej. Jeżeli np. przez założenie nowej fabryki podupadnie dotychczas istniejący przemysł domowy, a ludność pozbawi się przez to pracy i chleba, to nie należy dopóty dawać pozwolenia na założenie fabryki, dopóki się nie postara w inny sposób o źródło wyżywienia dotyczących obywateli państwa.

2. Nowa fabryka jest nowym punktem środkowym, w którym gromadzą się robotnicy, którzy łączą z jej powodzeniem swoją egzystencję, którzy w niej trawiają swe siły. Kto tyle ludzi do siebie przyciąga i każe być od siebie zawisłymi, musi jednak mieć obowiązek dać im pewną porękę, a mianowicie po pierwsze ze względu na to, czy taż fabryka spoczywa na trwałej podstawie; po drugie, czy jej kierownictwo powierzono ludziom uzdolnionym do tego i godnym zaufania; po trzecie, czy pod względem stosunków czasowych konkurencji i t. d. istnieje prawdopodobieństwo dalszego prowadzenia fabryki. Kto każe tylu ludziom być od siebie zawisłymi, musi mieć obowiązek starać się o ich dalsze utrzymanie, i to nie według miedzianego prawa wynagrodzenia, lecz w sposób odpowiadający potrzebom życia; nie może on, bez ściśle dających się oznaczyć powodów, odprawić żadnego z robotników.

Kto każe siłom pracującym tylu ludzi zużywać się w swojej służbie, ten musi dać możliwość choremu, staremu lub też okaleczalnemu robotnikowi dostania sobie utrzymania na czas choroby i starości, musi dzielić z nim troskę o pozostałe niemowlęta, o wdowę bez pracy lub niezdolną do pracy. Kto każe zbiegać całemu przeciągowi czasu życia tylu ludzi w swoich usługach, ten musi im dać możliwość do stopniowego osiągnięcia wyższego stanowiska, lepszego losu, którego pozbawienia, bez dokładnie oznaczonych wypadków karnych, nie należy dopuszczać.

Ponieważ fabryka jest punktem zbornym wielu robotników, zatem miejsce, na którem ona powinna i może powstać, jest rzeczą bardzo wielkiej wagi, i oznaczać się powinno nie tylko większą łatwością dostania surowego materiału i wysyłki gotowego towaru, lecz wyboru należy dokonywać z uwzględnieniem okolicznej ludności, możliwości wybudowania suchych, zdrowych mieszkań dla robotników, i pozostawienia im może także nieco gruntu i ziemi dla ich własnej uprawy; w końcu z uwzględnieniem konieczności unikania zgromadzania za wielkich mas robotników na jednym i tem samem miejscu.

Według tych punktów, płynących z prawa natury, należy dawać lub odmawiać pozwolenia na założenie nowej fabryki, a mianowicie z wyraźnem oznaczeniem liczby robotników, ażeby nie przyjmować żadnego robotnika, któremu nie poręczy się wyżej postawionych wymagań.

Co się tyczy fabryk już w ruchu się znajdujących, nie będziemy wyjaśniali dalej, po tem cośmy już powiedzieli, czego sobie także tam życzymy dla ochrony robotników, lecz wyjaśnijmy, jak się dają urzeczywistnić wyżej wypowiedziane wymagania. Słusznie powiedziano w obec ogromnej konkurencji: Kto chce pomóc robotnikom, musi w pierw pomóc fabrykantowi, t. j. musi go zasłonić przed bezsumienną konkurencją. Niektóre, i a, bardzo wiele gałęzi przemysłu wydają dziś tak mało czystego zysku, że nie możnaby było tem pokryć uprawionych pretensyj robotników, nawet gdyby go wyłącznie w tym celu użyto. Przez konieczne podatki tylko osiąga się

podwyższenie ceny towarów. Fabrykant sam nie odważyłby się na to podwyższenie, inaczej w krótkim czasie nic by nie odstąpił, i musiałby fabrykę zamknąć. Ponieważ tedy jest absolutnie koniecznem, tej części ludzkości codziennie się powiększającej, która powierza fabrykom swoją egzystencję, stworzyć porękę bytu godnego człowieka, a trzymać się zdala od ogromnych społecznych niebezpieczeństw, które wciąż grożą terażniejszości, gdy z drugiej strony pojedynczy właściciel fabryki przy najlepszej chęci nie może się poddać warunkom koniecznym do tego celu, nie mogąc podnieść ceny towaru, a podniesienie to, po trzecie, czyni niezbędnem wzajemne porozumienie się wielu właścicieli fabryk; dlatego wymaga sprawiedliwości, rozum, miłość, krzycząca konieczność, ażeby wydano prawo o zakładaniu towarzystw zawodowych wielkich przemysłowców, którzyby, wzięwszy na uwagę większe koszta ponoszone na robotników, w porozumieniu ze zwierzchnością pociągnęli pewne granice konkurencyi.

„Wolne zjednoczenie katolickich socyalnych polityków“ żąda w tym celu międzynarodowego zjazdu, który przedewszystkiem ma obejmować przynajmniej Szwajcaryę, Austryę. Niemcy i ma się rozciągać do czterech punktów: 1. Praca dzieci, 2. Praca kobiet, 3. Wypoczynek niedzielny, powiedzmy wypoczynek niedzielny i świąteczny, 4. Normalny dzień roboczy. Nikt wątpić nie może, że przy cłach międzynarodowych, międzynarodowa pomoc najdalej idącą jest i najskuteczniejszą, ale daż się ten zjazd w istocie doprowadzić do skutku? Szwajcarya już robiła próby, Austrya nie zachowała się odpychająco, ale Niemcy nie dały żadnej odpowiedzi; może uda się to później pod przeważnym naciskiem społecznego niebezpieczeństwa.

Tymczasem, sędzę, musi Austrya działać samodzielnie; podstawa, na której spoczywa byt milionów jej poddanych wraz ze wszystkimi ich dziećmi, musi się umocnić; dlatego należy postawić przemysł wielki austriacki w to położenie, aby mógł coś więcej uczynić dla robotników; dlatego należy go osłonić przeciwko niesumiennej konkurencyi w kraju przez

towarzyskie zgromadzenie samychże właścicieli fabryk, przeciw zaś zagranicy przez wydatne cła ochronne.

Tak byłyby moje konkretne wymagania następujące: wielcy przemysłowcy powinni przystąpić do towarzyskich związków; na towarzystwach tych leży okowiażek ustanowienia prawideł, przez które przemysł wielki będzie w stanie podnieść położenie robotników w istniejących już wielkich okręgach fabrycznych w ten sposób, jakśmy tego żądali wyżej dla fabryk, mających być dopiero założonymi. Celem ułatwienia tych środków należy energicznie dążyć do międzynarodowego zjazdu między Szwajcaryą, Austrią i Niemcami, gdyby jednak tenże trudno było do skutku przyprowadzić, to należałoby przynajmniej skorzystać z nastroczającego się współdziałania ze Szwajcaryą, i przeprowadzić odpowiednie cła ochronne przeciw innym państwom, ażeby plodom fabrycznym poręczyć taką cenę, jaka niezbędnie jest potrzebną dla polepszenia położenia robotników.

Dlatego wnoszę stosownie do tej sprawy następną rezolucję:

Zważywszy, iż rozwiązanie kwestyi robotników zależy przedewszystkiem od usunięcia zasady bezgranicznej konkurencyi, która opanowała dzisiejszą produkcją, uważa drugi ogólny wiec katolików austr. za niezbędne, ażeby tę bezgraniczną konkurencyą, tak za pośrednictwem międzynarodowych układów, jako też w kraju za pomocą uregulowania domowej produkcji, z zachowaniem usprawiedliwionych interesów wszystkich tutaj udział biorących, przy pomocniczej działalności odpowiednich cel ochronnych, zniesiono.

Wiec katolików upatruje jedno z najważniejszych uprzednich przygotowań ku temu uregulowaniu, w organizacyi zawodowo-stowarzyszeniowej wielkiego przemysłu. Zadania przypadające z natury rzeczy tej organizacyi, będą:

- a) wprowadzenie zdrowego stosunku między produkcją a popytem;
- b) ochrona przeciw zmonopolizowaniu produkcji przez małą ilość producentów;
- c) zapobieżenie niesłusznemu wyzyskiwaniu sił roboczych;
- d) zabezpieczenie trwałego zatrudnienia dla robotnika, przy stopniowym podwyższeniu wynagrodzenia za takowe, a wedle możliwości przy podwyższeniu stopnia zajęcia;
- e) jak najdalsze, o ile możności, wstrzymanie kobiet od roboty w fabrykach;
- f) zapewnienie odpowiedniej płacy dla wieku podeszłego i niezdolności fizycznej robotników, jakoteż ich wdów i sierót.

Jako najbliższe cele prawodawstwa robotniczego w Austrii uznaje więc katolików:

1) Prawne wymagania pewnych wykazów, z którymi ma się łączyć na przyszłość dopuszczanie do nowych przedsięwzięć przemysłowych; a mianowicie co się dotyczy następujących punktów:

a) Trwałości, gospodarczej podstawy i zdolności dalszego prowadzenia przedsiębiorstwa;

b) prawnej nienaganności przedsiębiorcy i kierownika przedsiębiorstwa;

c) ażeby nowe przedsiębiorstwo nie pozbawiało, przez bezpośrednie wejście w życie, całe klasy ludności zajęcia i chleba.

2) Dalsze zmniejszenie maksymalnego dnia pracy ze względu na pojedyncze rodzaje prac przemysłowych.

3) Rozszerzenie ustanowień o maksymalnym dniu roboczym na robotników zajętych w zakładach transportowych i zakładach ruchu.

4) Ścisłejsze ograniczenie prawa uwalniania u władz administracyjnych, co się dotyczy maksymalnego dnia roboczego.

5) Prawo wspólnego nadzoru przez robotników, celem przeprowadzenia ochronnych praw dla robotników za pośrednictwem z ich grona wybranych zastępców.

6) Ogólne obowiązkowe wprowadzenie robotniczo-fabrycznych sądów rozjemczych.

7) Zupełny zakaz pracy nocnej we fabrykach dla roboty kobiet i najmożliwsze ograniczenie tejże dla roboty męskiej.

8) Zakaz używania najemników w miejsce kwalifikowanych robotników pomocniczych przy wielkim ruchu przemysłu rzemieślniczego.

9) Ochronę obyczajności robotników za pomocą możliwego rozdzielania płci w fabrycznych obszarach, rozszerzenie paragrafu 132-go austriackiego prawa karnego na przedsiębiorców przemysłowych i tychże urzędników.

10) Prawne zobowiązanie się przedsiębiorców starania się wspólnie ze swymi robotnikami o urządzenie i utrzymanie kalek i zakładów dla utrzymywania dzieci, gdzie i jak długo jeszcze nie ustala praca fabryczna zamężnych kobiet.

Wiec katolików wzywa rząd, aby surowo nad tem czuwał, iżby istniejące ochronne prawa o robotnikach szczególnie o maksymalnym dniu roboczym i o zakazie systemu druku, w pełni utrzymywano.

Ks. proboszcz Eichhorn odmalował niedostateczność postanowień rządowych w całej tej sprawie i domaga się rozszerzenia jeszcze specjalnie punktu pierwszego wniosku *ks. Kolba*.

Dr. Lueger, przywitany rzesistymi oklaskami, opiera się na wnioskach przez poprzedniego mówcę, *ks. Kolba* postawionych, które bardziej jeszcze rozwija, zalecając ustanowienie

inspektorów przemysłowych. Działanie tych inspektorów najlepsze wydaje owoce.

Roth wykazuje, jak niekorzystnem tak w interesach ogółu społeczeństwa, jak i godności osobistej wyrobników jest posługiwanie się w równej mierze wykształconymi i niewykształconymi w swem rzemiośle robotnikami. Wnosi rozdzielenie na dwie kategorie przynajmniej rzemieślników, z których do jednej zaliczanoby wykształconych, do drugiej niewykształconych i wszystkich początkujących w rzemiośle. Zapobiegłoby się przez to z jednej strony niesprawiedliwej konkurencyi, z drugiej, dało bodziec do kształcenia się w swoim rzemiośle.

Trzecie posiedzenie.

Dnia 2 maja otworzono dyskusyę nad dalszymi wnioskami
O. Kolba T. J.

Wicemarszałek Voralbergu, Rhomberg w niedługiej lecz zajmującej mowie przedstawił stosunki robotników swej prowincyi. Robotnicy fabryczni są w większej części zarazem właścicielami mniejszych posiadłości, a więc nie przybysze, lecz stale z ziemią związani. Stosunek między nimi, a przedsiębiorcami lub właścicielami fabryk jest patryarchalny, robotnicy zasięgają rady u fabrykanta, jakby u swego ojca. W przedziałach bawelny niema między robotnikami socyalistów, żyją w bojaźni bożej, należą do rozmaitych stowarzyszeń katolickich. W jednym *Dornbrin* znajdowali się socjaliści, lecz należeli do nich tylko tacy robotnicy ze stanu robotniczego, którzy z innych stron przybyli. Gdyby przyszło do jakich zaburzeń, można liczyć na pewne, że robotnicy krajowcy staną po stronie fabrykantów. Jakkolwiek w *Voralbergu* od dawien dawna w niedziele i dnie świąteczne roboty są wstrzymane, żaden jeszcze z większych przedsiębiorców tego kraju nie przyszedł do bankructwa. Oddać słuszną należy fabrykantom, że swych robotników pracę umieją cenić; młodszy robotnik pobiera dziennie od 80 centów do 1 zlr., starszy robotnik od 1 zlr. 30 ct. do 1 zlr. 60 ct., a przewodniczący robotnikom od 2 zlr. do 2 zlr. 20 cnt. Przemysłowcy nie powinni obwiniać katolików, że z ich przyczyny

przemysł upada, lecz raczej starać się najpierw, aby robotnicy stosowną i w swoim czasie zapłatę otrzymywali, (bardzo dobrze! — bardzo słusznie!), powtóre: powinni wydatki swoje zastósować do stanu w jakim się znajdują, a nigdy ponad stan nie wydawać. (Bardzo słuszna uwaga!) W *Voralbergu* każdy większy przemysłowiec żyje skromnie, po mieszczańsku, nie wypróżnia butelek szampana! Czas pracy robotników nigdy tu nie przechodzi 12 godzin, a w niektórych fabrykach 11³/₄ godziny; a bardzo łatwo zgodziliby się wszyscy na pewien stały czas oznaczony na pracę. Więksi przemysłowcy i sam mówca przekonali się, że lepiej wychodzą na tem, gdy czas pracy ograniczają do 11 godzin, aniżeli gdyby dłuższej pracy od robotnika wymagali, gdyż robotnik nie tracący sił fizycznych i świeżości umysłowej gorliwiej pracuje. Łatwoby było ograniczyć pracę i do 10 godzin, gdyby ten czas ogólnie był przyjętym; fabrykanci jednak zmuszeni są dla konkurencyi fabryk w niższej Austrii i w Czechach czas pracy do 11 godzin podwyższać. Nowsze rozporządzenia rządowe, tyczące się opieki nad robotnikami w razie ich słabości, zużycia sił lub przypadków niespodziewanych, już przed 15 laty w *Voralbergu* były w użyciu. Mając tak świetny przykład na własnym kraju, poleca mówca gorąco przyjęcie w całości wniosków ks. Kolba.

Przy obradach nad czwartym punktem przemówił, z powodu nieobecności pierwszego referenta, *dr. Luegera*, drugi referent.

Wohlmayer, budowniczy ze *St. Poelten*, przedstawia dotychczasowe zabiegi o reformę w wielu kwestiach, odnoszących się do podniesienia i uregulowania naszego przemysłu. Jakkolwiek już 15 maja 1883, wyszły pewne rozporządzenia w tym względzie, należy jednak jeszcze znacznie je poprawić i uzupełnić, a przede wszystkim żądać trzeba od większych przedsiębiorców fabrycznych wykazania się potrzebną kwalifikacją; handel domowy, prywatny, należałoby zupełnie usunąć, nie mniej jak wszystkie przemysłowe spekulacye w domach kar-nych.

Dr. Lueger wykazuje wielką wadliwość rozporządzenia cesarskiego z 20 grudnia 1859 r., nadającego zupełną wolność przemysłowi. Na razie przyjęto to rozporządzenie z wielką radością, spodziewając się, że wolność ta przyczyni się do wzrostu przemysłu. Tymczasem już niebawem okazało się, że konkurencya tak miarę przebrała, że ceny towarów znacznie spadły, wyroby znacznie były gorsze, z ruiną tak robotników, którym zapłatę zmniejszać musiano, jak i kupujących, otrzymujących lichy towar. Przekonano się wreszcie, że ubóstwo ludu sprowadza ruinę samegoż państwa, i to spowodowało nowellę z r. 1883 w ustawodawstwie przemysłowem, za którą powinniśmy podziękować wielu członkom obecnym na posiedzeniu sekcyi socyalnej.

Jednak i to rozporządzenie nie jest jeszcze wystarczające, ponieważ w sobie zawiera pewne furtki, którymi można prawo obejść. Tak np. zanadto wielki wpływ mają dotychczas izby handlowe i przemysłowe. Uniwersytet, jakkolwiek daje teoretyczne wiadomości swym uczniom, nie może jednak udzielić tego, co daje doświadczenie. Stąd praktycznie rzecz biorąc, nowa ustawa przemysłowo-handlowa nie zapobiega dawnym brakom. Nie można dopuszczać, ażeby kapitaliści robili interesa na przemyśle i handlu, chociaż na nim zupełnie się nie znają. Jak zgubne skutki taka zupełna wolność przemysłu sprowadza, dowodzi fabryka obuwia spółki *Mocellingskiej*. Założyła ona między innymi składy filialne w Krakowie i Lwowie, które stały się przyczyną poważnych niepokojów, dopiero siłą policyi i wojska stłumionych. Gdyby wzbronionem było tworzenie takich przedsiębiorstw, możnaby policyę zmniejszyć o połowę.

Podobne zajścia miały miejsce w Pradze między bednarzami, a piwowarami i gorzelnikami. Ci ostatni poczęli na własną rękę beczki wyrabiać, z pominięciem fabryki bednarskiego stowarzyszenia. Sprawa poczęła toczyć się najpierw w Namiestnictwie czeskiem, później w Ministerjum, poczem ostatecznie wyrok padł na niekorzyść bednarzy. Mowca tłumaczy dowiecipnie powody tego ministeryalnego wyroku, i proponuje

konieczne rozłączenie izby handlowej od przemysłowej, co ostatecznie koniec mogłoby położyć nadużyciom, tak, by wszyscy zarówno mogli korzystać z praw Bożych i ludzkich.

P. *Unterberger* z Insbruku dziękuje referentowi w imieniu przemysłowców tyrolskich, i wykazuje szkodliwość domowego handlu zwłaszcza w Tyrolu.

Przewodniczący hr. *Belcredi* wnosi następującą poprawkę w dodatkowym wniosku dnia poprzedzającego, co do spoczynku w niedziele i święta: „Spoczynek w niedziele i święta rozpoczyna się od 6 godziny popołudniu i trwa aż do następnego dnia roboczego, godziny 6 rano“, poczem jednogłośnie przyjęto odnośne rezolucye.

Przyjęto również rezolucye O. *Kolba* w kwestyi robotniczej, i na tem zamknięto trzecie posiedzenie.

Czwarte posiedzenie.

Na czwartem posiedzeniu sekcji socyalnej debatowano nad potrzebą zawiązania stowarzyszenia opieki nad wychodźcami.

Profesor uniwersytetu Dr. *Schindler* w wymownych słowach przedstawił podstawy do rozwiązania trudnej kwestyi socyalnej w ratowaniu społeczeństwa, z jednej strony od zbytku, z drugiej od nędzy. Jeden prawdziwy chrystyanizm jest w stanie tamę tym dwom ostatecznościom położyć, w jego to łonie powinna powstać działalność energiczna, aby tylu złemu przeszkodzić.

Proboszcz *Schloesser* wyjaśnia cel stowarzyszenia św. Rafała dla opieki nad katolickimi wychodźcami, i wykazuje zba wienny wpływ jego na rodziny chrześcijańskie.

Proboszcz *Lukesich* porusza kwestyę uprowadzania młodych kobiet i dziewcząt do Egiptu, a szczególnie do Aleksandryi i Kairu.

Generalny sekretarz stowarzyszenia św. Rafała w państwie niemieckiem, *Cahaensly* przedstawia konieczność założenia osobnego stowarzyszenia św. Rafała w monarchii austryackiej, ze względu na szczególniejsze okoliczności i stosunki pań-

stwowe, poczem zgromadzenie przyjęło wnioski odnoszące się do stowarzyszenia św. Rafała, które referent przedstawił.

1) Drugi austriacki wiec katolicki uważa za obowiązek usilnie przestrzegać przed lekkomyślną emigracją, napomina jednak chcących koniecznie emigrować, aby podróż swą przedsięwzięli pod opieką towarzystwa św. Rafała.

2) Drugi austriacki wiec katolicki wyraża życzenie i usilną prośbę o wspieranie towarzystwa św. Rafała, w jego szlachetnej i tak pożytecznej działalności, a to przez przystępowanie do tegoż towarzystwa; poleca też wiec katolickiej prasie, aby częściej na działalność towarzystwa zwracała uwagę.

3) Drugi austriacki wiec katolicki ponawia prośbę do W. Kleru, zwłaszcza w obec niegodnego postępowania z emigrantami austriackimi na granicy niemieckiej, i w obec niebezpieczeństwa, na jakie wiara ich i moralność są narażone, aby zwracał uwagę emigrujących na cel towarzystwa św. Rafała, i aby ich opatrywał w karty polecające do przedstawicieli tegoż towarzystwa w miastach portowych.

Piąte posiedzenie.

Na piątym posiedzeniu poseł do rady państwa *dr. Ebenhoch* o kwestyi włościańskiej następujące przedłożył sprawozdanie: Nasz stan kmiecy popadał dwukrotnie w ciężkie poddaństwo. Dawniej siedział on wolny i niezwiązany niczem na swej ziemi ojczystej, na swoim kawałku gruntu, a kiedy pełne kłosa schylały się okazałe z wiatrem, wówczas można było zmierzyć i siłę i potęgę, jaką przynosi wolny stan włościański dla ogólnego dobra ludu. Nie był on zanadto przeciążony, a uczucie wzajemnej łączności, poczucie istniejącej, a nie dającej się złamać jedności tak było silnem i utrwalonem, iż chętnie znoszono istniejące ciężary, jako konieczne. Nadeszły ciężkie wojownicze czasy, a podczas kiedy szlachta i Kościół były uprawnione, wstrzymać od służby wojskowej tylu ludzi na swych dobrach, wielu potrzeba było do ich uprawy, musiał kmieć zamienić pług na zbroję i służyć wojskowo. Nie dziwota też, że przy długim trwaniu tych czasów myślał on o środkach, aby się od tej nieznośnej służby wojennej uwolnić. Ofiarowywał on tedy swoje grunta szlachcie i Kościołowi; ci kazali go wyręczać w służbie wojskowej przez innych, a jemu dawali dobra w lenne posiadanie. Był to, jeżeli tak wolno mi oznaczyć, pier-

wszy peryod poddaństwa naszego stanu włościańskiego, czas przynależności, trwający od r. około 900 do 1425. Ani w najmniejszej części nie zawdzięczał w tym okresie stan włościański wpływowi Kościoła swoje oswobodzenie. Drugi peryod poddaństwa rozpoczyna socyalna rewolucya średnich wieków, w której, jak wiadomo, stan kmiecy, wprowadzony na błędne drogi, wziął silny udział i za to po stłumieniu tejże podpadł prawu własności osobistej właścicieli. Ten peryod trwał, powoli tracąc na znaczeniu, aż do połowy naszego stulecia, w którym zniesiono resztki ostatnie dawniejszej zawisłości przez usunięcie dziesięcin i pańszczyzny. Radość ogólna rozległa się po błoniach; pełen nadziei patrzył wieśniak w przyszłość, skoro przed pozornie jasno świecącym słońcem wschodzącego liberalizmu, zniknęły także ostatnie zapory i ograniczenia, dotyczące się zakwestyonowania wolności osobistej, zapory przymusu zabezpieczającego ziemię, i kmiecego osobnego prawa spadkowego. Pełnemi usty wsysały w siebie grunta i ziemia kapitał, i wyśmianoby tego, ktoby był powiedział, iż to jest pokarm niestrawny, że to wcale nie jest żadnym pokarmem, tylko pożywieniem pozornem, że kapitał to tylko łyżka, którą kapitalizm spożywa grunta i ziemię, stan włościański w jego produkcji.

Mowca wskazuje tedy na ciągle zwiększające się obciążenie ziemi w pojedynczych krajach koronnych austryackich. W Austrii Niższej podniosło się to obciążenie wszystkich gruntów od końca 1868 aż do końca 1884 roku z 344 na 600 milionów złr., obciążenie specyalnie tylko gruntów włościańskich z 240 na 301 milionów złr. Obciążenie to wynosi dziś na każdą głowę ludności 133 złr. i daje, wzięwszy po 4⁰/₀, roczny ciężar procentowy 12,240.000 złr., podczas gdy przedtem gruntowy 4,211.000 złr. wynosił. Wbrew czystemu katalnemu przychodowi w sumie około 20 milionów złr., wynosi obciążenie więcej niż połowę, podczas gdy podatek gruntowy nie ma pretensyi nawet i do ćwierci tego. W Austrii Wyższej jest stan włościański obciążony milionami, co daje ciężar procentowy 5,600.000 złr., ostatni jednak czyni prawie

połowę, a podatek gruntowy nie daje nawet piątej części całego czystego dochodu. Obciążenie ogólne ziemi i gruntu w krajach z uporządkowaną księgą gruntową wynosiło z końcem roku 1858: 1122 miliony, powiększyło się od roku 1858 do roku 1870 o 951 milionów, a od r. 1871 do 1881 o 988 milionów, tak, iż stan długów wynosił z końcem r. 1881 3062 miliony złr., z czego na posiadłość rolną przypadało 2010 milionów. Długi te na ziemi i gruntach włościańskich powiększyły się, a mianowicie:

	w roku 1882 o 23,770.000 złr.
" "	1883 " 20,899.000 "
" "	1884 " 34,831.000 "
" "	1885 " 47,447.000 "
" "	1886 " 38,323.000 "

tak, iż z końcem r. 1886 była obciążoną włościańska gruntowa posiadłość 2175 milionami. W tym samym czasie wynosiły ogólne długi hipoteczne 3300 milionów złr. tj. na głowę każdą zaludnienia Austro-Węgier 88 złr., a samej Przedlitawii 150 złr. w. a. Ten kapitał, wzięwszy po 4^o/_o, wydaje rocznego ciężaru procentowego 132 miliony złr., to znaczy, że ciężar procentowy wynosi więcej niż $\frac{3}{4}$ całego czystego dochodu, a to mianowicie z góry, ponieważ dziś procenty trzeba płacić po największej części *anticipando*, podczas gdy podatek gruntowy nie dochodzi nawet przy 35 milionach złr., czwartej części tego. Ciężar procentowy i podatek gruntowy razem absorbują nie tylko czysty dochód, lecz przekraczają go o 2,362.000 złr. Mam zatem prawo powiedzieć, że austriacki posiadacz gruntowy znajduje się dziś w najniebezpieczniejszym ze wszystkich poddaństw.

Referent objaśnia tutaj pomnożenie egzekucyjnego podnoszenia i powiada: Oto według tego da się obliczyć punkt czasu, a niestety, pokaże się, iż nie jest on już daleko, gdzie stan włościański trzeba będzie uważać za były, tak, iż można będzie o nim powiedzieć *mutatis mutandis*, co rzymski trybun agrarny Grakchus mógł powiedzieć Rzymianom na

forum: „Dzikie zwierzęta Italii mają swe jaskinie i swoje legowisko, na którem spoczywają; mężowie jednak, którzy walczą o potęgę Italii, nie posiadają nie nad prawo używania światła dziennego i powietrza, ponieważ niepodobna im tego wydrzeć. Tylko dla wzbogacenia innych, dla dodania im blasku i dla zapewnienia im rozrządnego używania, noszą oni miecz; podbili oni świat, ale do nich samych nie należy ani jedna skiba ziemi“. (Oklaski).

Któż może przy dalszem trwaniu takich stosunków spojrzeć w przyszłość bez troski o naszą kochaną ojczyznę? (Żywe uznanie). Co się dotyczy środków zaradczych, tutaj poglądy się rozchodzą. Niektóre z tych środków przyszły już do skutku, jak np. zniesienie równego prawa spadkowego przy dobrach kmiecyh. Złe samo jednak można będzie dopiero wtedy wyplewić, jeżeli się tego wsiądzie na obecnie istniejące zadłużanie nad miarę, i pomyśli się o środkach, przez które, przy zupełnem zabezpieczeniu uprawnionych interesów i interesowanych praw, dziś istniejące zadłużenie można będzie powoli usunąć. W tem przekonaniu postawiłem w parlamencie wniosek. Przekonanie to zresztą we wielu względach utorowało sobie drogę. I tutaj także, jak w całym naszym ruchu społecznym, wyrównał jeden mąż drogi, po których stąpać mamy. Wyszczególniliście panowie tego męża niejednokrotnie dobrowolnymi objawami waszej miłości i uznania. Cieszę się, iż mogę wypowiedzieć, że w naszym ukochanym Vogelsang'u możemy także uczcić przedniego bojownika przeciwko ujarzmieniu przez długi stanu włościańskiego. (Oklaski). Jeżeli można było znieść i przynależność i dziesięciny i pańszczyznę, po części bez odszkodowania, to się przecież nie będzie miało skrupułów przeprowadzić nowe zdjęcie obciążenia gruntownego, z zupełnem uwzględnieniem wszelkich praw. Prawidło postępowania jest także sprawiedliwem, gdyż stan włościański znajduje się, niezawiniwszy, w ciężkiej potrzebie, i ma tem więcej praw do pomocy państwowej, o ile to państwo przez swoje właśnie prawodawstwo wywołało ten stan ciężkiej potrzeby. Mimochodem zauważę, że przy obe-

enym stanie długu 3,300 milionów złr., daje opuszczenie obecnej przeciętnej stopy procentowej z $4\frac{1}{2}$ na 4% tylko już rocznie sumę więcej niż 16 milionów złr. na korzyść gospodarstwa wiejskiego. Jeżeli jednak usunięcie obciążenia gruntowego ma być uwieńczone trwałym skutkiem, wtedy jest nieodbitcie potrzebnem zatknąć źródła zadłużania się. I tak przyrost długów na rolnej posiadłości, po odjęciu równoczesnych ulg, wynosił:

w roku 1869	3,224.000 złr.
„ „ 1870	4,542.000 „
„ „ 1871	8,104.000 „
„ „ 1872	9,851.000 „
„ „ 1873	12,353.000 „
„ „ 1874	14,800,000 „

i t. d., a w roku 1886 już 38,323.000 złr. (Głosy: Słuchajcie! Słuchajcie!)

To nowe obciążenie rozdzielało się w następujący sposób:

przez kredytowanie ceny kupna . .	27,033.000 złr.
przez pożyczki	84,892.000 „
skutkiem usprawiedliw. przenotowań . .	20,092.000 „
skutkiem egzek. intabulacyj . . .	12,120.000 „
w drodze spuścizny	20,600.000 „
<u>Razem . .</u>	<u>164,736.000 „</u>
którym przeciwstawia się ulga . .	127,710.000 „

tak, iż ostatecznie nowe obciążenie wynosi 37,323.000 złr. Jako niezbędne żądanie należy także wymienić usunięcie zasady kapitalizacji, ponieważ działa ona w wysokim stopniu niekorzystnie na posiadłość gruntową.

Dobra mają np. czystego dochodu 800 złr. Jeżeli stopa procentowa wynosi 4% to skapitalizowana na wartość majątku ziemskiego wynosi 20.000 złr. Tymczasem właściciel olbrzymią pilnością podniósł czysty dochód na 900 złr. i spodziewa się, że i dobra jego mają większą wartość. Na jego nieszczęście jednak podniosła się stopa procentowa na 5% , i oto wartość pieniężna majątku spada, mimo czystego dochodu podwyższonego z 800

zlr. na 900, według zasady kapitału z 20.000 zlr. na 18.000. Referent proponuje tedy następujące wnioski:

Drugi ogólny wiec katolików austriackich uważa jako jedno z najczęściej naglających zadań prawodawstwa austriackiego, ułożyć przepisy dla ochrony i ratunku w gwałtownym a szybkim upadku pozostającego stanu włościańskiego, ponieważ dalsze nieograniczone przeszkodami istnienie i rozkwit tegoż stanu są bardzo wielkiej wagi i znaczenia dla politycznych, gospodarczych i obyczajowych interesów całego państwowego i społecznego życia.

Jako niezbędne uznaje tenże szczegółowo:

a) Ażeby ograniczono wolność dzielenia gruntów włościańskich, i ażeby zastrzeżono się przed składaniem tychże w wielkie kompleksy gruntowe tam, gdzie się nie okazuje ono niezbędnem z przyczyn uprawy ziemi.

b) Ażeby uchylono zadłużanie nad miarę gruntów włościańskich na przyszłość, prawnie ustanowioną granicą zadłużania, a te zadłużenia, które już istnieją, usunięto przez powszechną ulgę w obciążeniu gruntu, przeprowadzoną na zasadach chrześcijańskiej sprawiedliwości i wszechstronnej słuszności.

Prócz tego poleca i przemawia wiec katolików za odpowiednimi środkami, przedsięwziętymi celem ochrony krajowej produkcyi ziemnej przeciwko zagranicznemu współzawodnictwu, tak za pośrednictwem cel ochronnych, jako też za pomocą prawnie mającej być ustanowioną polityki taryfowej, dalej za ogólnem zakładaniem autonomicznych i obowiązkowych włościańskich stowarzyszeń zawodowych, z zadaniem podnoszenia i pielęgnowania poczucia świadomości zawodu, pomocy wzajemnej, jakoteż wspólnego zabezpieczenia i obrony włościańskich interesów za granicą.

Posel *dr. Oclz* popiera powyższe wnioski, i wskazuje doniosłość rozwiązania kwestyi wieśniaczej. Ziemia jest źródłem, z którego wszystko płynie, ona każdemu daje kawałek chleba od żebraka aż do głowy ukoronowanej. Kapitalizm dziś sprawił, że sam tylko rolnik musi głód czuć, będąc przy samem źródle dobrobytu. Rolnictwo przyprowadziło ludzi z życia koczowniczego do kultury; jeśli usunie się rola z pod nóg wieśniaka, przyczynimy się do tego, że znowu do życia koczowniczego powróci. (Huczne oklaski).

Posel *Oberndorfer* zaleca zawiązywanie stowarzyszeń rolniczych, mających na celu bezpośrednio podawać towar konsumentom.

Następnie przemawia *Włodz. Kozłowski*:

Mowa pośła Dra Włodzimierza Kozłowskiego.

Zawarte w przedłożonych przez szan. sprawozdawcę rezolucyach zasady witam z radością. Co do pierwszej rezolucyi miło mi bardzo stwierdzić, że Sejm galicyjski stanął na tem samem stanowisku, oświadczając się na wniosek naszego przewodcy, niewygasłej pamięci Kazimierza Grocholskiego, za ograniczeniem dowolności dzielenia gruntów włościańskich. W drugiej części rezolucyi widzę, że jako warunek zastosowania zasad, które radę państwa spowodowały do zmiany przepisów spadkowych dla posiadłości włościańskich, zgodność tejże zasady z różnorodnymi, konkretnymi, żywymi stosunkami poszczególnych krajów poczytano. Ciesząc się z zasadniczego zastrzeżenia wpływu na tę sprawę dla sejmów krajowych, równego dla nich wpływu i w innych sprawach, nad którymi obradowaliśmy, pragnę.

Z braterską otwartością odsłoniłszy w naradach zjazdu katolików ujemne strony naszego życia społecznego, niechże mi będzie wolno uzupełnić jedną z dodatnich. Z dumą i z radością możemy powiedzieć, że w kraju naszym pomiędzy interesami większej i mniejszej posiadłości ziemskiej, pomiędzy dworem a włościanami panuje najzupełniejsza solidarność, że też obie strony starają się patryarchalny stosunek utrzymać i wzmocnić.

Wierni narodowym tradycjom, pamiętni wspomnienia polskiego króla Kazimierza, zwanego królem chłopków, i królowej Jadwigi, która, gdy zwracano na jej żądanie niesłusznie włościanom zabrane grabieże, zapytała: „A któż im lzy powróci?“ pragnęliśmy rozwinąć myśli od dawna tkwiące w naszej historii i literaturze. Pisma polityczne XVII i XVIII wieku bowiem pod względem zdrowej postępowej dążności i humanitarnego traktowania wielu dotyczących ludności wiejskiej prawnych zagadnień, że tylko przytoczę dzieła Górnickiego, Modrzewskiego, króla Leszczyńskiego, Konarskiego i projekt Andrzeja Zamoyskiego, — wyprzedziły niejednen kraj zachodni. znalazły też wyraz jeszcze przed rewolucją fran-

cuską, w biorących włościanina w opiekę konstytucyach z r. 1726 i 1768, a zarazem w czynach poszczególnych właścicieli ziemskich, jak Zamoyskich, Poniatowskich, Tyzenhauzów, Brzostowskich, Czartoryskich, Chreptowicza i t. d., którzy w do-
brach swoich podjęli korzystne dla ludności wiejskiej reformy.

Konfederacya 3 maja połączyła monarchiczne i konserwatywne zasady ze zdrowym humanitarnym postępowaniem w sprawie włościan; tak w czasie konfederacyi barskiej też w r. 1772, jak i później w czasie wojny o niepodległość w r. 1794 i zawsze, aż do najnowszych czasów, aż do prześladowań religijnych i narodowych w Królestwie polskiem i do wypadków chełmskich, przelewali włościanie polscy krew za wiarę i ojczyznę.

Podniosłość tych historycznych tradycyí była powodem, że i galicyjscy właściciele ziemi jeszcze przed r. 1840, pomimo dyametrycznie przeciwnych reformom biurokratycznych tendencyí i działalności niższego stanu urzędniczego, do społecznego rozkładu dążącej, kilkakrotnie prosili rząd o zniesienie pańszczyzny, o uwolnienie ludności wiejskiej i gruntów wiejskich od tego ciężaru.

Pozbawieni dawnych praw, zachowali mimo to polscy właściciele ziemscy w Galicyi niezłomną wierność dla społecznych obowiązków swego stanu, jako wierni sprzymierzeńcy i gorliwi współpracownicy duchowieństwa, zrozumieli swe od dziejów wskazane powołanie, występowali też zawsze jako najlepsi doradcy, przyjaciele i obrońcy ludu. Szkoła katolicka mogła zawsze liczyć na ich opiekę, siły ekonomicznie słabsze na ochronę, chorzy na pomoc i staranie, a robotnicy na pewne źródło zarobku.

Nie brak wprawdzie i u nas żywiołów, które ziemię uważając za towar, sprzedają ją więcej dającemu. W tych ciężkich czasach, zarówno w interesie większych właścicieli i włościan, którzy obrotem swoich dochodów ożywiają przemysł i handel miast, jak i w interesie siły obronnej i podatkowej państwa, a więc w interesie ogólnym jest wskazaniem podjąć energiczne środki przeciwko opanowaniu przez spekulantów tej ziemi, na

której się urodziliśmy, a która jest materyalną podstawą intelektualnej działalności naszej, co doprowadziłoby musiało do ubolewania godnego stanu, w jakim znajduje się Irlandya.

Należy zapobiec, ażeby kwestya społeczna, która w niebezpiecznem dla ogółu, a znanem w innych krajach znaczeniu tego słowa, dotychczas w Galicyi się nie rozwinęła, nie pojawiła się w niej, jako niechybny skutek zubożenia stanu rolniczego.

Pod względem ustawodawstwa agrarnego, o ile się rozchodzi o jego ogólne zarysy i główne zasady, z zastrzeżeniem dopasowania ich do stanu poszczególnych krajów, zgadzam się ze znakomitym referatem Sejmu Solnogradzkiego i z wnioskami referenta Marszałka hr. Chorinsky'ego. Mam przekonanie, że przeciwko upadkowi ludności wiejskiej należy działać nietylko za pomocą cel i reformy podatkowej, ale także przez skodyfikowanie odrębnego prawa zawodowego dla stanu rolników, jak to dla stanu handlowego w kodeksie handlowym uczyniono. Osobne prawo włościańskie, ustanawiające zagrody włościańskie wedle wzorów ustawodawstwa hanowerskiego i amerykańskich ustaw zagrodowych (*Heimstaettengesetze*), a obok tego wytrwała obrona ziemian przeciwko bezpośredniemu wyzyskiwaniu ze strony wielkiego kapitału i przeciwko pośredniemu ze strony giełdy, i utrudnienie nieograniczonego obdłużania i marnotrawstwa dóbr, może się przyczynić do powstrzymania szybkiego biegu, w jakim nędza rośnie.

Przeciwko tym reformom toczy się ze strony tych, którzy owoce pracy rolników wyzyskiwać zwykli, i którzy zawsze bronią swych interesów w kierunku powodzeniu rolnictwa diametralnie przeciwnym, ze strony hurtownych handlarzy, liwerantów państwowych, a poszczególnie wojskowych i kolejowych, ze strony przedstawicieli monopolistycznego wielkiego kapitału w bankach i kolejach, żywą akcyą, od której ruchliwości i sprężystości powinniśmy się nauczyć. A w szczególności, co się tyczy giełdy, pozwolę sobie twierdzić, że jej operacye w trzech kierunkach zły wpływ na rolnictwo wywierają: najpierw, zatrudniając kapitał niezdrową gorączkową grą, nie

doпуска gielda do jego ulokowania w dostatecznej ilości w niezbędnych dla powodzenia gospodarstwa przedsiębiorstwach produkcyjnych, i czyni przez skupienie pieniędzy w operacjach ryzykownych państwowy hipoteczny i bieżący rolniczy kredyt znacznie droższym, a stopę procentową znacznie wyższą. Powtóre staje się gielda w handlu zbożowym w skutek rozkiełznanej gry na dyferencye przyczyną ciągłej niepewności. (Głosy: Bardzo słusznie!) Po trzecie, łatwy zarobek giełdowy jest wolnym od podatku, stanowi też jaskrawe przeciwieństwo z tak wielkimi ciężarami obciążowanym, a jedynie tylko w skutek cierpliwej pracy powstałym dochodem rolnika. (Głosy: Bardzo słusznie!) Wprawdzie kredyt banku austriacko-węgierskiego uczyniono dla rolników przystępnym, pomimo reform statutu w r. 1888, jednak faktycznie w wielu bardzo krajach traktują filie stan handlowy daleko korzystniej, aniżeli rolników.

Spodziewamy się, że wysoki rząd tak sprawę równego prawnego uwzględnienia ludności wiejskiej w dziedzinie ustawodawstwa i administracyi, ujmie w swą silną dłoń, jak to JE. Pan Minister Prezydent w odpowiedzi danej na interpelacyę JE. hr. Hohenwarta w r. 1881 przyrzekł. (Brawo).

W sprawie lichwy muszę nadmienić, że pomimo zakazu prawnego rozwija się ona w formie wielce rafinowanej, ukrywając się pod ugodami kupna i dzierżawy i innymi pozornymi interesami, przez co moc ustaw doznaje ubezwładnienia. Nie jestem wcale zwolennikiem policyjnego nadzoru i opieki nad społeczeństwem, nie należę też wcale do tych liberałów, o których w r. 1874 przy rozprawie nad oddaniem Kościoła pod policyjny nadzór państwa powiedziano, że w imieniu wolności w niebogłosy wołają: *Polizei! Polizei!* (Wesołość). Znajduję jednak, że na polu administracyi i policyjnego wysledzania rozlicznych form wykroczeń przeciwko prawu własności i przeciwko dobrobytowi, organa państwowego więcej, aniżeli dotychczas uczyniłyby mogły, że też powinnyby zapobiec istniejącym w Austrii, a w Niemczech, jak świadczą publikacye

Towarzystwa dla polityki społecznej i towarzystw przeciwko lichwie, dokładnie zbadanym, skrytym odmianom lichwy.

W dziedzinie polityki słowej toczy się na całym świecie zacięta walka, a dewiza *homo homini lupus*, znajduje zastosowanie na polu ekonomicznym. W literaturze słyszy się gorliwych obrońców teoryj wolnohandlowych, których grzmiące słowa brzmią jednak tak, jak rady, ażeby rozwiązać wojska pomimo ogólnego zbrojenia. Tym, którzy się patrzą na to, jak nasze życie ekonomiczne staje się pastwą obcej polityki, a nam radzą złożyć broń, należałoby powtórzyć radę daną przy rozprawie nad zniesieniem kary śmierci: *Que Messieurs les assassins commencent*.

Złe skutki polityki słowej należy wyrównać w drodze układów handlowych w celu ochrony środkowej Europy przed amerykańską i rosyjską konkurencją i przez energiczne, surowe wykonanie nadzoru państwa nad kolejami, w wyzyskaniu państwowego wpływu w celu zniżenia taryf dla ziemiopłodów, a wreszcie przez ciągle upaństwowianie linii kolejowych.

Niech mi będzie wolno do rezolucyi proponowanych dodać pewne uzupełnienie, a mianowicie wskazać na dwie, dla ludności wiejskiej mego kraju rodzinnego nagląco pożądane sprawy, a mianowicie na sprawę utworzenia instytucyi sądów pokoju i rad familijnych, o które się sejm galicyjski wielokrotnie upominał.

W r. 1872 rząd był gotów wprowadzić w życie sądy pokoju, chciał też ogólne zasady przedłożyć radzie państwa, a szczegółowe unormowanie Sejmom. Że jednak rząd nie mógł się z galicyjskim sejmem co do zasady obieralności albo nieograniczonego mianowania sędziów porozumieć, zamiast obrać drogę pośrednią nominacyi w granicach swobodnie obranego ternu, ustawie przez Sejm galicyjski uchwalonej odmówiono sankcyi. Ze względu na zbyt ciężkie obciążenie sądów powiatowych, na powolny bieg załatwiania czynności urzędowych, na zbyt ciężkie zużycie drogiego czasu sędziów, obecnie drobnostkami zatrudnionych, i na równą utratę czasu i kosztów po-

dróży stron, która prowadzi do próżniactwa i pijaństwa; ze względu na sztuczne pomnażanie sporów i na sztywny formalizm i schlendrian sędziów, a dalej ze względu na ich zupełną nieznajomość wiejskiego życia, — które to okoliczności najważniejszy warunek skutecznej działalności sądów, zaufanie ludności osłabiają, a węzeł państwa ze społeczeństwem czynią wolniejszym, — byłoby uproszczenie postępowania sądowego i wprowadzenie wymiaru sprawiedliwości wedle sumienia i swobodnego, nieskrępowanego przekonania tak dla ludności, jak i dla całego organizmu sądowego bardzo pożytecznem. W skutek rozkielznanego pieniactwa nietylko idzie w niwecz zewnętrzne, od Boga dane i lepszego godne użytku mienie i czas dla pracy przeznaczony, ale także dobra wyższego rzędu, jak chrześcijańska miłość bliźniego, spokój domowy, stosunki rodzinne i zgoda w gminie. Umysły z założenia negatywne, zdolności poruszające się ze szczególną rozkoszą w Rembrandtowskim półcieniu i w dusznej atmosferze, zwykły obudzeniem złych instynktów ludu i podnieceniem cudzej chciwości zaspakajając swoją własną.

W obec takiego stanu rzeczy jest zadaniem mianowanego na wniosek władz autonomicznych sędziego pokoju, w wypadkach, w których brak przyczyny do sporu, takowy stanowczo wykluczyć, tam zaś, gdzie bezprawie dokonane, do polubownego załatwienia procesu doprowadzić. Sądownictwo ma nietylko obowiązek przez ścisłe przeprowadzenie prawa i przywrócenie stanu prawnego utrzymywać powagę państwa, ale także dalsze naruszanie prawa przez zgodne załatwienie sporu powstrzymać, dokonane polubownie naprawić; najlepszem zadośćuczynieniem idei prawa jest bowiem dobrowolna zgoda.

Instytucya sędziów pokoju rozwinęła się w Anglii od wieków, we Francyi od końca zeszłego wieku, jak to też wiele do dziś żyjących osobistości może poświadczyć, w Rzeczypospolitej krakowskiej wzorowo funkcjonowała; istnieje ona również w myśl ustawy z 20 listopada 1864 r. w Rosyi, wedle ustawy z 27 stycznia 1877 r. w Królestwie polskiem. W Niemczech wprowadzono ją w życie, jako osobny rodzaj sędziów

ławniczych i gminnych, dano jej jednak za ciasny zakres. W Austrii może ona w wielu krajach nawiązać się do wątku istniejących w niektórych prowincjach gminnych sądów ławniczych, i pierwiastek w nich zawarty rozwinąć i wydoskonalić. Przez wprowadzenie sądów pokoju dla ostatecznego rozstrzygnięcia w sprawach granicznych i drobiazgowych, w sporach o szkody polowe i leśne, w postępowaniu spadkowym i nadzorze nad opieką w przedmiotach policyi administracyjnej, sądowej, obyczajowej, przemysłowej i rolniczej, w wypadkach przestępstw policyjnych i obraz słownych, dla przeprowadzenia śledztwa w niektórych sprawach karnych, a zbadania stanu rzeczy w sporach cywilnych, a wreszcie dla rewizyi każdej sprawy cywilnej, idącej do adwokata, a względnie do sądu powiatowego z obowiązkiem poprzedniej próby polubownego wyrównania sporu, — przez utworzenie instytucyi z takim zakresem działania, postawionoby u nas kamień węgielny taniej i szybkiej sprawiedliwości.

W obec faktu, że długie trwanie i nadmierne koszta postępowania spadkowego, obok niedbałego nadzoru nad zarządem masy spadkowej, stają się często przyczyną niepewności posiadania, a stąd sporów w łonie rodziny; że też i tak z wysiłkiem pracujący sędziowie nie mają ani czasu, ani lokalnej znajomości stosunków, ani też fachowej znajomości rzeczy zarówno do kontroli sposobu życia pupila, jak i do wglądania w ekonomiczny zarząd jego ojcowizny przez opiekunów; że też nie są w stanie sprawdzić rachunków z administracyi gruntów włościańskich, byłoby bardzo pożądanem poddać opiekunów nadzorowi instytucyi, która w innych krajach na uszlachetnienie związków rodzinnych i na obudzenie uszpiętych często obowiązków dla sierót, nader skutecznie wpłynęła. Instytucyę rad familijnych należy unormować wedle wzoru art. 409—416 kodeksu Napoleona, — fakultatywne bowiem wprowadzenie jej w życie, w myśl §. 70—80 pruskiego, ustawy opiekuńczej z r. 1873, — albo w myśl art. XX, §. 306 ustaw węgierskich z r. 1877, — gdzie rada familijna powstaje jedy-

nie tylko w skutek testamentu rodziców, albo też dla znaczniejszych majątków, — nie byłoby do osiągnięcia zamierzonego celu dostatecznem.

Niestety upłynął już czas, w którym Schiller mówił o rolnikach: *Glückliches Volk der Gefilde, deine Wünsche und Sorgen beherrscht nur der Ernten ruhiger Kreislauf*. Obecnie muszą rolnicy nie tylko wytrwać w czynnem i zapobiegliwem prowadzeniu gospodarstwa, ale także i na polu publicznego życia śmiało i otwarcie rozwinąć sztandar katolicki, (liczne brawa), muszą w sprawie szkolnej, społecznej i agrarnej przynależny im wpływ na sprawy państwowe, w podniosłym duchu chrześcijańskiej miłości bliźniego wywierać. Jest ich obowiązkiem w sposób spokojny, przedmiotowy, wytrawny i godny mężów stanu, ale także pełen ruchliwości i energii, której przykład daje stan handlowy i przemysłowy, stać się w państwie potężnym czynnikiem, z takim bowiem będzie się liczyć każdy parlament na polu ustawodawstwa, a każdy rząd na polu administracyi. A jeśli rolnicy zasadę: „Pomóż sobie sam, a Bóg ci dopomoże“, zastosują w dwóch kierunkach, jeśli w granicach możliwości potrafią rozwinąć samopomoc, a tam, gdzie ona nie jest dostateczną, będą umieli w sposób skuteczny zażądać pomocy państwowej i uzyskać ją, niewątpliwie polepszą się ich stosunki. Do żądania pomocy państwowej uprawnia ich długa, wytrwała i ofiarna praca na rzecz siły obronnej państwa i jego skarbu. Uda im się też pewnie zarówno uzyskać słuszne ocenienie ich państwowego znaczenia, jak i uczucie niezbędnej potrzeby utrzymania i praktycznego uwzględnienia stanu rolniczego w łonie rządu, stowarzyszeń i prasy podnieść i stopniowo rozbudzać. Rolnicy powinni też w tych ciężkich czasach z ufnością w Opatrzność i z wiarą we własne siły wyglądać szczęśliwszej przyszłości, nie powinni tracić nadziei, ale czynnie, skrętnie i oszczędnie wprowadzać w życie słowa Zbawiciela: „Módl się i pracuj“. (Ożywione brawa i oklaski).

Zabierali głos jeszcze poseł *Zallinger* i *Huber*, wnosząc pewne poprawki. Skoro jednak, jak zauważył referent *dr. Eben-*

hoch, były one zawarte w przedłożonych wnioskach, przeto bez zmiany przyjęto referat *dr. Ebenhocha*.

Kończąc debaty nad kwestyą socyalną, *hr. Belcredi* dziękuje wszystkim za szczególniejsze zajęcie się reformą socyalną, a mianowicie referentom, i prosi Boga, by te usiłowania katolickiego wiecu pobłogosławić raczył, aby one, jako ziarno zdrowe rzucone na urodzajną rolę, obfity kłós w przyszłości wydało.



SEKCYA PRASOWA.

Prezes: *Profesor Dr. Franciszek Schindler.*

Wiceprezesi: Redaktor *Haas* i Redaktor *Helle.*

Prezes zagaja pierwsze posiedzenie, zwracając uwagę bardzo licznie zgromadzonych uczestników na wielką rolę, jaką z natury swej przypada katolickiej prasie w obecnym ruchu, dążącym do oparcia społeczeństwa na chrześcijańskich podstawach. „Katolicka prasa, to język wciąż budzący ospałych; język, którym kierownicy katolickiego ruchu porozumiewają się z ludem, na wyżynach i na nizinach; język utrzymujący cały ten ruch w należytych granicach; to potęga wywierająca swój wpływ na wszystkie strony, rozciągająca swą działalność na warstwy, do których żywe słowo nigdyby nie dosięgło. Bez wątpienia, żywe słowo potężniejsze jest nieraz od pisanego; ale inne znów przymioty, skuteczniejsza nieraz działalność zmuszają nas do zwrócenia szczególniejszej uwagi na słowo pisane. Przypatrzmy się obecnemu stanowi katolickiej prasy w Austrii, a przekonamy się, że niejeden katolicki kraj stoi od nas pod tym względem daleko wyżej. Prasa nasza nie wystarcza naszym codziennym potrzebom; nie jest w stanie odpierać i nie odpiera dostatecznie napaści wrogów; nie zwraca się i nie przemawia do wszystkich warstw społeczeństwa, nietylko do ludu, ale przede wszystkim do klas oświeconszych, do tych, którzy w najszerszem tego słowa znaczeniu interesują się tem wszystkim, co interesuje wykształcone koła społeczeństwa. Potrzeba nam i wielkich i małych czasopism w daleko wię-

kszej ilości i szerszym zakresie, niż to dotychczas istnieje. Przedewszystkiem naradzić się nad tem musimy, jak pomnożyć liczbę dzienników katolickich; na pierwszym miejscu w jaki sposób, równie ze względu na duchowny, jak i na materyalny nasz interes, dojść w tej starożytnej stolicy czcigodnej, katolickiej Austrii do posiadania wielkiego, chrześcijańskiego dziennika, który największej antychrześcijańskiej gazecie mógłby pod każdym względem dorównać.

Jeśli dziś rozpoczęte narady katolików austriackich obudzić zdołają tu we Wiedniu zrozumienie potrzeby założenia centralnego katolickiego organu, jeżeli zrozumienie tego wspólnego naszego żywotnego, życie dającego interesu, w całym państwie odgłos znajdzie; natenczas drugi wiec katolicki dopnie wielkiego dzieła, posunie — sądzę — o znaczny krok naprzód katolicką sprawę. Radząc nad rozszerzeniem katolickiego dziennikarstwa, zapytać się zarazem musimy, w jaki sposób należałoby prasę naszą ulepszyć i wzmocnić. Przedewszystkiem zwrócić nam tutaj należy uwagę na braterski ów spór, który od wielu już lat w Austrii się zaaklimatyzował. Braterski to spór; bracia to, którzy mogliby się wzajemnie porozumieć, których nieszczęśliwe nieporozumienia pchają do walki. Zgadzaając się równie ze względu na katolicki, jak na austriacki program, powinniśmy na tem polu i w prasie się zgadzać. Wszak katolickie nasze dziennikarstwo ma być zwierciadłem wzajemnego przyjaznego pożycia austriackich ludów, jak sobie tego życzymy z katolickiego i austriackiego stanowiska; ma być zwierciadłem dążenia do wspólnego zrozumienia i porozumienia się, zwierciadłem szczerzego pragnienia zachowania jedności w naszym obozie, jedności w katolickim ruchu; bo tylko w ten sposób, tylko wtedy dojść możemy, katolicy austriacy, do znaczenia, jeśli z wszystkich narodów, z wszystkich politycznych obozów, do których jako katolicy z wszelką słusnością możemy należeć, jeżeli ze wszech stron bronią wspólnej polityki przeciwdziałać będziemy wspólnie wspólnemu naszemu wrogowi.

Stąd na drugim miejscu będzie staraniem naszym do-

kładnie się rozpatrzyć, i dojść do pewnego jednomyślnego zapatrywania się w kwestyach rodzących i podtrzymujących braterską walkę w katolickiej prasie. Daj Boże! aby katolicka nasza prasa wyszła z tego wiecu odmłodzona, zjednoczona; ważnyby to był i szczęśliwy rezultat naszej pracy. Trzeci punkt bardzo ważny odnosi się do strony materyalnej; bez pieniędzy prasa wzrósć, owoców wydać nie może. I prasie niezbędnym jest olej, niezbędną jest żywność, aby z głodu nie zmarła. Dziennikarze żyć nie mogą wiatrem, powietrzem i wodą. Katolicy nasi redaktorzy muszą mieć pewność, że i wtedy, kiedy osłabiona ich dłoń pióra utrzymać nie zdoła, nie zgina śmiercią głodową... Dlatego koniecznie starać się musimy nie tylko o rozpowszechnienie katolickiej prasy, ale o jak najliczniejszych prenumeratorów, o możliwe fundusze. I nad tem trzeba się będzie zastanowić, w jaki sposób możnaby spełnić usprawiedliwione życzenia katolickich redaktorów i zapewnić im, a jeżeli są ludźmi świeckimi i pozostałej po nich rodzinie, odpowiednią pensyę na przypadek starości, choroby, niemocy. Prasa nasza nie może być rodzajem pobożnego schroniska dla tych, którzy nędzą przyciśnieni, gdzieindziej miejsca nie znajdując, pragną mozolnie sobie zarobić przynajmniej na kawałek suchego chleba. Prasa nasza wspiąć się musi wysoko, musi rozumnie być prowadzoną, a gdzie rozum i umysł pracować mają, tam też — ponieważ tutaj na ziemi nie jesteśmy czystymi duchami — rzeczą jest niezbędną, aby i ciało i materyalne życie otrzymało to, co mu jest koniecznie potrzebnem.

A teraz, najszanowniejsi Panowie, odnośnie do rozpraw nad postawionymi wnioskami, pozwolę sobie z góry zastrzec i zawarować jak największą, żadnymi pobocznymi względami nie ograniczoną wolność. Wedle najgłębszego mego przekonania nie dopniemy niczego, ukrywając różnicę zdań; lecz owszem dojdziemy najpewniej do celu, skoro zupełnie otwarcie wyjawimy różne nasze, choćby sobie wręcz przeciwne myśli i zdania, jak bronić należy katolickiej sprawy, gdy zupełnie jasno, bez fałszywego wstydu wyjawimy, czego żądamy, na

co się żalimy, co stanowczo potępiaamy. a czego właściwie domagamy się w przyszłości...

Referent *Dr. Karol Schnabl* odczytał wnioski, odnoszące się do poparcia i rozwinięcia prasy katolickiej, przygotowane przez komitet. Wiele z tych wniosków, zwłaszcza pierwszy o zakładaniu związków dziennikarskich, w części przynajmniej weszły już w wykonanie. Tak np. związek prasowy w Gracu liczy 7.000 członków; prasowy związek słowacki 40.000 członków, a związek w Kromieryżu i St. Poelten około 10.000 członków. Pierwszy punkt rezolucyi zmierza tylko do tego, aby wiec katolicki utorował drogę takiemu związkowi we Wiedniu.

W dyskusyi nad tym punktem bierze udział na pierwszym miejscu *Mmgr. Karlon*, który opierając się na własnem, bogatym w owoce doświadczeniu w Styryi, poleca gorąco założenie takiego prasowego stowarzyszenia, o ile można na najszersze rozmiary. Zauważyć jednak należy, że dwie drogi stoja tu otworem, które okazują się najwyraźniej na dwóch przykładach: związku Hermagorasa w Celowcu i związku prasowego w Gracu, rozciągającego się i na Seckau. Związek Hermagorasa istnieje nietylko w Karyntyi, ale we wszystkich prowincjach, używających języka słowiańskiego; jest to stowarzyszenie zarazem narodowe i religijne, i tem właśnie odróżnia się od czysto politycznego związku styryjskiego. Związek Hermagorasa jest bractwem i dla tego głębiej i szerzej między warstwy ludowe może przeniknąć; ale związek styryjski ma natomiast tę ważną i cenną zaletę, że może wciągać w zakres swej działalności polityczne i społeczne kwestye. Dla jednej prowincyi lub dyecezyi bardziej odpowiednią będzie pierwsza, dla innej druga droga; w każdym razie nie będzie bez korzyści przy zakładaniu stowarzyszeń prasowych zwrócić uwagę na te dwa różne punkty widzenia.

Dr. Wiesinger, doświadczony weteran dziennikarski, wita z radością świetną myśl zakładania katolickich związków prasowych, żałując, że myśl ta teraz dopiero, a nie przed trzydziestu lub czterdziestu latami pojawiła się i że ku urzeczywistnieniu się zbliża. Na zapytanie *Egger'a* prezes wyjaśnia, że mający

się założyć związek prasowy rozciągałby naturalnie swą działalność nietylko na Niższą Austryę, lub na samą wyłącznie dycezyę wiedeńską, ale w ogóle na całe Państwo Austryackie. Związek ten, jak zauważa *Schuch*, będzie musiał w pierwszych latach swego istnienia wspierać organ centralny austryackich katolików, skoro jednak wzmoże się na siłach i znaczniejsze pozyska fundusze, będzie i powinien starać się o wzrost prowincjonalnej prasy katolickiej.

Redaktor *Opitz* domaga się obok materyalnego, zarazem moralnego, a raczej materyalno-moralnego poparcia przez nadsyłanie odpowiednich korespondencyj. Z drugiej jednak strony korespondenci nie powinni nadsyłać, redaktorzy dla znajomości, przyjaźni, lub nie chcąc obrazić ludzi majątniejszych przyjmować nie mogą korespondencyj i wiadomości, które prócz piszącego i najbliższego jego kółka nikogo na świecie nie obchodzą. Nie praktyczną też jest rzeczą mnożyć bez końca i miary drobne świstki peryodyczne, które dobrze redagowane absolutnie być nie mogą, a chcąc czy nie chcąc, robią sobie szkodliwą, nieraz niedozwoloną konkurencyę.

Następni mówcy: *Msgr. Knab, von Jallinger, Koller*, redaktor *Jehly*, uskarżają się na nieodpowiednie opodatkowanie inseratów i na dziennikarski stempel, który nadzwyczaj utrudnia zakładanie i rozszerzanie zwłaszcza na wiejską ludność obrachowanych dzienniczków. Obecni polecają osobnej komissyi, z czterech członków złożonej, zredagowanie praktycznej rezolucyi w tym kierunku.

Drugie posiedzenie.

Prezes zagaja rozprawy odczytaniem wniosku komitetu przygotowującego o powiększeniu wychodzącego w Wiedniu katolickiego dziennika *Vaterland*, i zmienieniu go w centralny organ katolicki dla całej Austrii. Wielki taki organ, jakiego dotychczas katolicy austriaccy niestety! nie posiadają niezbędnie jest potrzebnym dla skutecznej walki z antykatolicką, wrzekomo liberalną prasą.

Na ten temat rozwija się żywa dyskusya:

Dr. Wiesinger uważa całe to przedsięwzięcie za wprost do spełnienia niemożliwe. Jeszcze przed 26 latami nosił się kardynał *Schwarzenberg* z myślą założenia centralnego organu katolickiego we Wiedniu; w zwołanej wówczas przez kardynała aukcie brał mówca udział i stanowczo przeciw przedłożonemu projektowi się oświadczył, a oświadczenia tego i dziś cofnąć mu niepodobna. Każdy kraj koronny inne ma żądania i potrzeby, każda narodowość czego innego się domaga; jakże to wszystko pogodzić? Nie narodził się jeszcze redaktor odpowiedni do tego, z samej swej natury niemożliwego dzieła, choćbyśmy nawet sprowadzili do Wiednia redaktorów *Germanii*, to i oni bez Berlina i Berlińczyków, w naszym otoczeniu nie zdziałać nie potrafią.

Redaktor *Beruth* nie zgadza się z pesymistycznymi zapatrywaniami poprzedniego mówcy, ale oświadcza się przeciw przekształceniu *Vaterland'u*, który i dziś należycie z swego zadania się wywiązuje, a dziennikiem popularnym dla szewców i krawców nie jest i z założenia swego być nie powinien. Wniosek założenia związku prasowego nie jest również ani praktyczny, ani szczęśliwy. Związki takie zazwyczaj — ciągnie i kończy mówca wśród coraz głośniejszych i powszechniejszych protestów — wesoło się zaczynają, ale wesołe te początki nie trwają długo.

Redaktor *Opitz* pyta, jakiego ściśle wytkniętego, praktycznego programu trzymać się ma organ centralny w kwestiach politycznych, narodowych, ekonomicznych? Nie łatwa tu odpowiedź; jesteśmy katolikami i Austryakami, i w tym względzie wszyscy ze sobą się zgadzamy, ale skoro tylko zejdziemy na pole narodowościowe, drogi nasze się rozchodzą, sprzeczne interesa wychodzą na jaw, a każdy z nas musi się bądź co bądź z własnymi swymi interesami rachować. Organ centralny ma być gazetą niemiecką; czy Słowianie chętnie, z przyjemnością na to się zgodzą? Ale choćby organ ten miał być tylko dla nas Niemców, czy i jakże pogodzi różne polityczne odcienia między samymiż Niemcami istniejące?... Zdaniem mojem należy zostawić wszystkie polityczne i narodowe

kwestye prowincjonalnym wiecom katolickim, a na ogólnym. austriackim wiecu ograniczyć się do dziedziny wyłącznie i ściśle katolickiego ruchu.

Msgr. Knab zgadza się, bo znając naturę ludzką, trudno na to się nie zgodzić, że projektowany organ centralny wszystkich zarówno nie zadowolni; ale wszystkich zadowolnić nikt nie jest nigdy w stanie. Obecnie nie rozchodzi się o założenie nowego, ale o rozwinięcie dawnego, licznych czytelników i zwolenników mającego organu. *Vaterland* zapewnia, że mając 10.000 prenumeratorów, będzie w stanie wywiązać się dostatecznie z zadania wielkiego katolickiego organu; czyż możemy odmówić mu naszego poparcia? Bez wątpienia powinniśmy unikać narodowych waśni, obecnie jednak głównem i decydującem dla nas pytaniem jest: Czy *Vaterland* jest dziennikiem katolickim, czy wypełnił w tym względzie swój obowiązek, czy dobrze się zasłużył katolickiej sprawie? W takim razie nie macie panowie prawa utrudniać roboty rozpoczętej w imię interesów katolickiej ludności wiedeńskiej.

Redaktor *Jehly* stwierdza, że chociaż *Vaterland* nie jest organem popularnym, t. j. ludowym, jak również *Neue Freie Presse* nie jest organem ludowym, to jednak dziennik ten właśnie wywołał ruch obecny, a ludność wyraża się o nim z wielkim szacunkiem. Za przekształceniem *Vaterlandu* w organ centralny odzywa się również wydelegowany przez redakcję lwowskich *Wiadomości Katolickich* i *Bonus Pastor*, ks. *Karol Rychlik*; przeciw temu projektowi występuje ponownie *Opitz*; natomiast *Dr. Haas* nie sprzeciwiając się wprost samemu projektowi, wytyka różne usterki i błędy dotychczasowej redakcyi *Vaterland'u* i nie sądzi, aby dziennik ten, choć w zmienionym formacie, miał mieć przed sobą przyszłość.

Koller, współpracownik *Vaterland'u*, zbija postawione zarzuty. *Vaterland* ma dobrych i energicznych pisarzy, ale liczba ich jest stanowczo za szczupłą. W liberalnych dziennikach pracuje 20 do 30 osób; u nas trzy lub cztery. Należy więc koniecznie pomnożyć i lepiej udotować redakcyę, należy lepiej zorganizować służbę informacyjną. Główną wszakże trudność

dla *Vaterland'u* stanowią same austriackie stosunki; na to niema innej rady, prócz ścisłego trzymania się zasady: *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas*.

Reisenhofer, kupiec wiedeński, uskarża się, że musi umieszczać inseraty w dziennikach liberalnych, ponieważ gazety katolickie za mało są rozpowszechnione.

Punkt III rezolucyi zostaje przyjęty przy głosowaniu znaczną większością; punkt IV par. 1, przyjęty bez rozpraw przez aklamacyę.

Trzecie posiedzenie.

Preses odczytuje świeżo na wniosek *Mmgr. Kuaba* zredagowany dodatek do drugiego punktu rezolucyi: „O zniesieniu stempla dziennikarskiego“.

Wiec katolicki wyraża przekonanie, że zniesienie stempla dziennikarskiego i ułatwienie w rozsyłaniu gazet przez urzęda pocztowe zaprowadzone na wzór innych państw, odpowiednimi są środkami do podniesienia katolickiej prasy.

Nad dodatkiem tym wywiązuje się dłuższa dyskusya. *Beruth* domaga się jaśniejszego i silniejszego wezwania deputowanych katolickich do podjęcia starań w parlamencie o zniesienie stempla. Redaktor *Regner* obawia się, czy cały ten wniosek raczej nie zaszkodzi, niż pomoże katolickiej prasie. *Neue Freie Presse* wydaje rocznie na stempel najmniej 200.000 złr.; po zniesieniu stempla będzie mogła użyć tych pieniędzy na wyrządzenie Kościołowi niejednej i niemałej szkody. Ostatecznie wniosek w formie przedłożonej przez komisję zostaje niemal jednogłośnie przyjęty.

Redaktor *Hauser* domaga się o ile można najczęstszych zjazdów katolickich publicystów, niezbędnych dla wspólnego porozumienia się. Niemniej ważną jest myśl założenia Towarzystwa assekuracyjnego dla dziennikarzy na przypadek choroby lub starości.

Za założeniem takiego stowarzyszenia przemawiają również redaktor *Jehly*, *Regner*, *Koller*. Powinniśmy w tym względzie uczyć się od liberałów, którzy w *Concordii* mają oddawna tego rodzaju towarzystwo assekuracyjne. Liberały mają nadto

inny ważny związek: „Korespondentów zagranicznych“; w tyle nam i w tej mierze pozostać nie wolno.

Redaktor *Jehly* stwierdza niezbędną potrzebę katolickiego bióra korespondencyjnego, które główną siedzibę miećby musiało we Wiedniu, a filię w Rzymie. Rzecz ta kosztowna, zwłaszcza dla nas, którzy nie możemy tak jak liberały oprzeć się na istniejących już, rządowych biurach korespondencyjnych. Praktycznie mówiąc, należy założyć katolickie biuro informacyjne przy redakcyi organu centralnego *Vaterland*.

Waldner zaleca, aby katolicy okazywali nieco mniej niezdrównej tolerancyi dla dzienników liberalnych, i wszędzie energicznie upominali się o katolickie gazety.

Pod koniec posiedzenia zabiera głos:

Posel do parlamentu, professor uniwersytetu Jagiellońskiego, Ks. Chotkowski:

Mowa Ks. Dra Chotkowskiego.

Panowie! W tak późnej godzinie, gdy wielu z panów już głodnych, a zmęczeni wszyscy, proszę panów tylko o chwilę cierpliwości. Będę się starał krótko sprawić. Chciałbym panom przedłożyć rezolucyę, o której przyjęcie prosiłbym, a która brzmi: „II Wice katolików Austrii uznaje za pożądane, aby katolicka publicystyka Austrii podawała dokładne wiadomości o stanie opłakanym Kościoła katolickiego w pojedynczych krajach“. Są kraje, w których Kościół katolicki jest wskazany na zagładę i wymarcie, a prasa katolicka nie o tem nawet nie wspomina. Jeżeli zaś śmiem panom pod pewnym względem przypominać obowiązki, to chciałbym to usprawiedliwić ponieważ tem, że sam do waszego cechu należałem, i że już przed 20 laty tj. 1869 r. w czasie Soboru redagowałem Kronikę Soboru w Rzymie, a następnie redagowałem pismo ludowe. Mam więc ponieważ prawo przemawiać do was, jako do kolegów i obowiązki wam przypominać.

Ale i to wiadomo panom, że w starożytnym Kościele był zwyczaj, który się dotąd przechował, że w czasie zgromadzeń czytano martyrologią. Miało to cel podwójny: jeden, aby uczcić

tych, którzy dla chwały Bożej śmierć męczeńską ponieśli, a drugi, aby zachęcić do wytrwania i zagrzać do męstwa pozostałych przy życiu chrześcijan. Nie od rzeczy więc będzie w tem naszym liczmem i pięknem zebraniu, wspomnieć o tych, którzy za wiarę katolicką ponoszą prześladowania.

Mam tu przedewszystkiem na myśli dycezyę chełmską, która was tem więcej interesować powinna, że pod koniec przeszłego wieku należała do Austrii. za rozbiorów Polski (1795), chociaż następnie (1807) znowu odpadła i dziś znajduje się pod berłem rosyjskiem.

Ale chociażby was dola tamtejszych katolików obchodzić nie miała, to przecież godzi się wam zwrócić uwagę na łacińskie przysłowie, które mówi: *res tua agitur, paries dum proxima ardet* — własny twój dom w niebezpieczeństwie, gdy sąsiedni stoi w płomieniach. Ta dycezya graniczy z Austryą, a obejmuje dwie gubernie: siedlecką i lubelską.

Panowie! Rosyjskie dzienniki podały na dniu 25 marca r. b. artykuły wstępne, w których przypominały, że tego roku właśnie mija lat 50, jak 2 miliony grecko-katolickich mieszkańców Białorusi i Litwy nawróciło się do prawosławia. Stało się to przez zdradę apostaty metropolity Józefa Siemaszki i jego sufragana Antoniego Zubko, którzy wraz z 1305 duchownymi podali prośbę do cara, przez pośrednictwo t. zw. św. synodu w Petersburgu, o przyjęcie na łono schizmatyckiej cerkwi. Car przyjął łaskawie podanie i napisał na niem: „Dziękuję Bogu i przyjmuję“. Tak więc, jednym pociągnięciem pióra pozbawionych zostało 2 miliony ludności wiary i Kościoła. Car kazał wybić medal, w którym między innemi napisano: „oderwani przemocą (1596), na nowo złączeni miłością (1834)“ — to ma niby znaczyć, że Unia Brzeska 1596 r. stanęła przemocą, a że teraz miłość wzięła górę. Jak ta miłość wyglądała w rzeczywistości, o tem możecie się panowie przekonać z klasycznego dzieła sufragana poznańskiego, Ks. Likowskiego, które zostało przetłumaczone na język niemiecki. A jeśli który z panów włada językiem rosyjskim lub polskim, to go odsyłam do Pamiętników samego Siemaszki, które r. 1883 zostały wydane,

a które w streszczeniu po polsku opracowałem; nadto do pamiętników, które wydało dwóch z prześladowanych 944 księży, którzy przy wierze swej wiernie stali.

Z całego Kościoła unickiego pod rządem rosyjskim została tylko jedna jedyna dyecezya chełmska, ale i tutaj przed 15 laty zniweczono Kościół katolicki. Wzięto się do tego w ten sam sposób, jak poprzednio za Siemaszki. Wyszukano złego kapłana, nazwiskiem Marcel Popiel, zrobiono go administratorem dyecezyi, nie spytawszy się Rzymu, i ten znowu ułożył prośbę do cara o przyjęcie na łono schizmatyckiej cerkwi. Podanie to jednak podpisało tylko 60 kapłanów, bo reszta 140 wytrwała wiernie przy Kościele. Z tych zostało 70 wywiezionych, 70 uciekło do Galicyi. Wszelako akta męczeńskie tej dyecezyi nie zostały do dziś dnia zamknięte, bo natrafiono tam na opór ludu, którego do dziś dnia złamać nie zdołano.

Musieliście przecie panowie coś słyszeć o tych gwałtach, jakich się dopuszczano, że nawet strzelano do ludu, który nie chciał apostatów wpuścić do swoich kościołów. Lud ten nocami przekradał się przez granicę austryacką, aby u swoich kapłanów dać ochrzcić dzieci i brać śluby, a do dziś wywożą ich tłumami w odległe gubernie, niweczą całe ich mienie. A wśród tego nie jestże to przeraźliwym znakiem czasu, że prasa katolicka nie o tem nie wie?

Panowie znacie śliczne dziełko Laktancyusza: *De mortibus persecutorum*. Przedstawia tam w prześlicznym języku sądy Boże, które się spełniły na prześladowcach chrześcijan. Jam wprawdzie nie Laktancyusz, ale niech mi będzie wolno zwrócić waszą uwagę na to, że ten car, który jednym pociągnięciem pióra pozbawił 2 miliony katolików Kościoła, skończył samobójstwem, a drugi, który prawie milion wiernych w dyecezyi chełmskiej oderwał od Kościoła, zginął straszliwą śmiercią na bruku w Petersburgu.

Kiedy na koronację teraźniejszego cara jechał (r. 1883) nuncyusz Vanutelli, starano się zataić jego przejazd przez dyecezyę chełmską. Lud mimo to się dowiedział, i na każdej stacyi był zgromadzony setkami. Ale maszynista miał rozkaz nie

zatrzymywać się na stacyach, chyba przez minutę. Jednakże w Łukowie zaszła przeszkoda i ruszyć z miejsca nie mógł. Lud rzucił się przed lokomotywę, oteczył pociąg i, wyciągając ręce do nuncyusza, wołał: Ojcie! ratuj nas, bo już od 15 lat żyjemy bez Sakramentów! — Wrażenie było tak wielkie, że nuncyusz płakał i płakali nawet Moskale!

Panowie! ten lud nieszczęśliwy, ci nasi bracia uciśnieni wyciągają przezemnie w tej chwili do was ręce i wołają: Bracia, ratujcie nas, bo my już 20 lat bez Sakramentów żyjemy!

Niestety, tych nieszczęśliwych już uratować nie potrafimy; Bóg wszelako zmiłuje się nad nimi! Ale co jeszcze ratować trzeba, to Kościół katolicki w Polsce, któremu grozi ostateczna zagłada. Panowie wiecie, że chrześcijaństwo w Polsce od tysiąca lat istnieje, i że Polska była zawsze chrześcijaństwa przedmurzem. Gdy się mur twierdzy obali, wtedy i na was może przyjść zguba.

Jeden tylko i to świeży przykład przytoczę, z którego będziecie mogli wziąć miarę, że Kościół w Polsce skazany jest na wymarcie. Biskup żmudzki w Kownie, Mieczysław Palhulon miał podobno 4-go przeszłego miesiąca otrzymać reskrypt t. zw. św. synodu w Petersburgu, w którym go tenże synod zawiadamia, że odtąd już tylko połowę swego dochodu, który wynosił około 8000 rubli, pobierać będzie, a to jako karę za to — proszę uważać — że polecił katechetom, aby nie pozwalali katolickim uczniom gimnazyów schizmatyckich chodzić do cerkwi w dni galowe, gdzie ich zmuszano do udziału w nabożeństwie schizmatyckiem, jak np. klęknięcia i żegnania, które u nich w zupełnie inny sposób się odbywa, niż u nas. Katechetów za to deportowano, a biskupa skarano tymczasowo odjęciem połowy pensyi.

Fakt ten może panom dać wyobrażenie o położeniu Kościoła katolickiego pod rządem rosyjskim, a mianowicie, że Kościół jest tam pozbawiony wolności, niezbędnej do istnienia i rozwoju.

Proszę panów tylko jeszcze o parę minut cierpliwości. Z rozlicznych ucisków jedno tylko przytoczę wam na pokaza-

nie. w jakiej niedoli znajduje się duchowieństwo rzymsko-katolickie w tych krajach. W tych stronach mianowicie, gdzie mieszkają dawniejsi Unicy, nie wolno się kapłanowi ruszyć poza granicę swojej parafii bez paszportu. W dalsze strony może otrzymać paszport od naczelnika powiatu, ale do sąsiedniej parafii jeżeli chce jechać, musi mieć paszport od gubernatora. Zaczem ksiądz musi umierać bez Sakramentów świętych, bo sąsiad nie może mu przyjść w pomoc, nie mając paszportu.

W roku 1887 wydano rozkaz, że na odpust, na który tyśiące ludu się gromadzi, nie wolno się zebrać księżom w większej liczbie nad trzech. W Lublinie żądają od księdza, udzielając mu paszportu, przyrzeczenia, że nie będzie mszy św. odprawiał, a jeśliby w te strony, do których zamierza jechać, miał przybyć biskup katolicki, wtedy musi wracać.

Jeżeli biskup przybędzie na wizytację, a okoliczni duchowni chcą mu złożyć uszanowanie, jak to powinność im każe, wtedy muszą prosić o paszport. Cel jest w tem zannadto widoczny, abym go tu potrzebował bliżej określać. Bo jeżeliście tu panowie uznali za konieczne dla dziennikarzy, aby odbywali zjazdy dla wzajemnego pouczenia się i zachęty, to wiecie dobrze, jak potrzebne są kapłanom kongregacye dekanalne i zjazdy na odpustach dla ratowania wiernych. Nawet alumnii seminariów dyecezyalnych muszą mieć paszporty, gdy wyjeżdżają na wakacye. Biskup musi gubernatorowi dokładnie oznaczyć, dokąd pojedynczy kleryk pojedzie i alumn musi się policyi meldować. Jak złoczyńcy, stoją duchowni pod dozorem policyi, i nigdy nie otrzyma żaden paszportu dłużej nad dni 29, i zawsze musi dokładnie podać to miejsce, dokąd się udaje.

Nie będę panów nużył dłuższem wyliczaniem szczegółów, ale służyć mogę niemi, ktokolwiek z panów ich sobie życzyć będzie.

Kończąc, zwracam panów uwagę na to, że najmocniejsze zwierzę, lew, boi się piania koguta, tak i ten kolos północny, co uchodzi za najpotężniejsze państwo, niczego się bardziej

nie boi, jak głosu prasy. Zagłuszyć milczeniem tę sprawę, pokryć ją czarnym kirem tajemnicy, oto ich pragnienie.

Więc podnieście głos wasz potężny, rozdzierajcie tę zaslonę czarną, niech światło słoneczne przedrze się przez nią. Dał wam Bóg talenta, na cóż ich lepiej użyć możecie, jeśli nie na ratowanie ginących braci waszych katolików!

Panowie! Południowe strony Polski były niegdyś nawiedzane corocznie przez najazdy Tatarów, którzy niszczyć i palić, głęboko w kraj zapuszczali zagony. Byli wprawdzie na kresach rycerze, ale nie zawsze starczyła ich obrona. Dlatego ludność miała psy na to ćwiczzone, że zdala czuły najście Tatarów i wyciem ich zbliżanie zapowiadały. Taki jest wasz obowiązek, nie tylko donosić o tem, co się dzieje, ale naprzód przestrzegać lud katolicki przed niebezpieczeństwem, jakie mu grozi, gdy nas, rycerzy kresowych, cośmy was dawniej przed najazdem północy bronili, już dzisiaj nie stało. W tej myśli polecam panom moją rezolucję.

Prezes zamyka posiedzenia sekcji prasowej. Przy obradach odbyło się kilka starć, kilka potyczek; dobry to znak, bo jawnie świadczą o zupełnej wolności zdania, pozostawionej uczestnikom. Ważną przedewszystkiem jest rezolucya, zalecająca przekształcenie *Vaterlandu* w wielki centralny organ katolicki, austriacki. Od dziennika tego oczekujemy i domagamy się, aby oddawał sprawiedliwość dążeniom wszystkich istniejących dziś w Austrii politycznych stronnictw, aby nie zajmował wrogiego stanowiska względem żadnego stronnictwa, które stoi na podstawach katolickich i austriackich, aby nie obrażał ideałów i interesów różnych krajów koronnych, a politycznym stronnictwom w katolickim obozie zostawiał wszelką wolność. Jedność nam wszędzie potrzebna; jedność ta, mimo odmiennych politycznych zapatrywań w prasie katolickiej kwitnąć może i powinna!



SEKCJA NAUK SZTUKI I LITERATURY.

Pierwsze posiedzenie.

O badaniach nad lokalną historią kościelną, o chrześcijańskiej filozofii i apologetyce.

Prezes: *Br. Helfert*. Wiceprezes: Opat *Wojciech Dungal* i prof. *Dr. Franciszek Pözl*. Sekretarz: *Swoboda*.

Prof. Dr. Józef Tittel z Olomuńca, referent wniosku „O badaniach nad lokalną historią kościelną“ wykazuje: że przodkowie nasi przekazali nam wiele, obfitujących w ciekawe szczegóły, prac przygotowawczych; lecz po nich przyszło pokolenie, które zatraciło w sobie żywą i gorącą wiarę Ojców. Owocem tych czasów jest przekształcenie historii kościelnej w stek oszczerstw i potwarzy; aż wreszcie nastał okres bezstronnych badań, okres, który dostatecznie znamionują nazwiska, jak *Janssen*, *Waiss*, *Onno Klopp*. (Brawo!). Sam Papież otworzył swe archiwum dla wszystkich badaczy, najlepszą bowiem apologią papieżstwa i Kościoła jest odsłonięcie jego istoty i działalności. W ten sposób może się w końcu uda wznieść ową wspaniałą katedrę historii Kościoła. Kto choćby jeden ma kamyczek, niech go przyniesie, a budowniczy będzie umiał zrobić z niego użytek. Witaj nam każdy, ktokolwiek w tej myśli chcesz pracować. W badaniach tego rodzaju wiele już uczyniono; w wielu topografiach uwzględniono historię miejscową Kościoła; mamy już historię dekanatów, parafij, etc.; pojedynczy badacze i stowarzyszenia zwrócili swą czynność w tym

kierunku. Atoli wiele jeszcze trzeba pracy, nim się uda tynk pseudo-historyków usunąć z obrazu prawdy. Zbudujmy ów tum historii kościelnej: jako plan budowy polecam następujące wnioski:

W obec wielkiej wagi i to w nie jednym kierunku, badań nad specyjalną, miejscową historią kościelną i w obec tej okoliczności, że, aczkolwiek w tej dziedzinie znaczna istnieje literatura, mimo to jednak, jak przy tak bogatym i rozległym przedmiocie, łatwo można zrozumieć, wiele jeszcze pozostaje kwestyj, które dostatecznie nie są rozwiązane i wiele luk, które wypełnić należy:

poleca więc katolicki:

1. Prace nad historią kościelną pojedynczych królestw i krajów monarchii, biskupstw i dyecezyj, klasztorów, parafij, seminaryów i t. d.
2. Uzupełnienie szematyzmów dyecezyalnych przed dodanie związanych historycznych zapisków o historii parafij.
4. Biografie austriackich dostojników Kościoła.
5. Sporządzenie spisów ważnych historycznych aktów i dokumentów, jakie się w biskupich, dyecezyalnych, kapitulnych, parafialnych i klasztornych archiwach znajdują.

Br. Helfert zdaje sprawę z pokrewnego poprzedniemu tematu „O zwróceniu uwagi na Świętych, jako patronów różnych kościołów“. Jest to przedmiot, który może doprowadzić do wielu ciekawych rezultatów. Tak np. uczony *Hermenegild Irecek* zauważył, że prastare kościoły św. Klemensa daleko, aż po Turcyą i Włochy sięgają. Nasuwa się myśl, że śś. Cyryl i Metody, wioząc ze sobą kości św. Klemensa, w swej podróży do Morawii i z powrotem do Rzymu, gdziekolwiek się dłużej zatrzymywali, kładli kamień węgielny pod kościoły św. Klemensa. Stare kościoły św. Piotra w Bernie i Ołomuńcu przypominają kościół św. Piotra w Salzburgu. Dalsze badania w tym kierunku niezawodnie wiele ciekawych szczegółów wydobłyby na jaw.

Mowca odczytuje następujący wniosek:

W obec tak ważnego zwyczaju nadawania pewnych Świętych jako patronów Kościołom parafialnym i klasztorным, poleca więc katolicki, aby zwracano uwagę na nadawanie pewnych w głęboką starożytność sięgających Świętych jako patronów kościelnych, jakoteż na rozszerzanie czci różnych Świętych w ich miejscach i okolicach pochodzenia.

Dr. Schadler popiera pierwszy wniosek ze względów pedagogicznych. Jakżeż chętnie uczyłyby się dzieci historii powstania swej własnej parafii! Pracujmy tak gorliwie, aby każde probostwo miało swoją kronikę.

Prof. Luksch z Litomierzyc przedstawia, że dycecezya litomierszcka przoduje w pracach tego rodzaju. Świadczy o tem założenie muzeum dycecezyalnego i w tym przedmiocie drukiem ogłoszone dzieła.

Dr. Gruber wnosi, aby w pierwszym wniosku po słowie „seminaryów“ wtrącić słowo „funduszów“. (Zgoda!). Pocho-dzenie wielu funduszów jest nieznane. (Bardzo słusznie). Nie-raz przez wykazanie tegoż, dowiedzianoby się, kto z nich powinienby ciągnąć korzyści.

Prof. Wilhelm Neumann z Heiligenkreuz polemizuje z wniosko-dawcą, co do historycznej strony jego wywodów. Nie przy-chyla się do zdania, jakoby wszystkie stare kościoły św. Piotra w Austrii, założone były przez katedrę salcburską. Założenie pierwszych kościołów św. Piotra, tak gdzieindziej jak i w Salc-burgu, jest raczej może oznaką ich zależności od Stolicy św. Piotra w Rzymie. Dochował się z r. 1095 spis wszystkich Kościołów św. Piotra, zależnych od Stolicy św. Jeden musiał dwa białe konie, drugi pewną ilość drobnej monety płacić w podatku. Związek, jaki zachodzi między fundacyami jest najróżnorodniejszy, a czy istnieje między Kościołem św. Pio-tra w Salcburgu, a innymi starymi Kościołami św. Piota, trze-baby dopiero krytycznie zbadać.

O. Mateusz Bauchinger zdawał sprawę „O pielęgnowaniu chrześcijańskiej apologetyki i filozofii“. Zawsze istniały here-zye i Kościół narażony był po wszystkie czasy na napaści. Lecz gdy pierwiej zwracano swe zaczepki przeciw pojedyn-czym prawdom wiary, teraz uderzono już i na podwaliny. Pierwej przypuszczano szturm pojedynczo, teraz w zwartych zastępach. W parlamencie mowy przeciwko wierze przyjmuje galerya oklaskami; zgromadzenia uczonych głoszą nieprzeje-dnaną sprzeczność między wiarą a umiejętnością. Austriaccy nauczyciele gimnazyalni współpracują z wrogą wierze lite-

raturą. Literatura ta jest przyczyną, że niewiara rozpowszechnia się wśród mas. Kościół mianują wrogiem umiejętności, a przecież on zawsze był wiernym nauk opiekunem, uniwersytetów założycielem. Równie trudno sobie wyobrazić klasztor bez biblioteki, jak twierdzą bez murów obronnych. Kościół przechował światu pogańską literaturę, a wszystkie te niezaprzeczalne fakta byłyby zagadką, gdyby owo przeciwieństwo rzeczywiście istniało. Wiedza pochodzi z rozumu a rozum od Boga; lecz i wiara jest z Boga. Między wiarą tedy a wiedzą nie może istnieć przeciwieństwo. Główną przyczyną niewiary jest nieuctwo, i jeżeli czego Kościół się może obawiać, to nieuctwa. Wielu nie wierzy, bo nie mają dostatecznych wiadomości, aby być wierzącymi. Trzeba jednak rozróżnić umiejętność od hipotezy, i Kościół nieraz dlatego oświadczył się przeciw jakiejś umiejętności, że była tylko hipotezą. Również trzeba zaznaczyć różnicę między wiarą a teologicznymi zapatrywaniami, trzeba rzeczywiście wiedzieć, co się wie, i trzeba wiedzieć, w co się wierzy, a do tego filozofia i logika jest konieczną; tych brak naszym czasom. Również potrzebne są studia ontologiczne. Nie jest atoli rzeczą obojętną, za jakim systemem się postępuje, gdyż wiele z nich prowadzi do herezyi, lecz trzeba sobie przyswoić prawdziwy filozoficzny system. Jesteśmy katolikami, i nasza filozofia kierować się musi wiarą, musi się jej przewodnictwem poddać, jak młodsza siostra starszej. Prawdziwą filozofią jest jedynie chrześcijańska; gdzie jej jednak szukać? Papież Leon XIII wskazał na św. Tomasza z Akwinu i to winno być dla nas decydującem; jego filozofia jest chrześcijańska. Musimy atoli wiedzieć, w co i dlaczego wierzymy. Posiadamy tedy umiejętność, która udowadnia, że objawienie dla nas było koniecznem, że nam się rzeczywiście dostało w udziale, i że w Kościele katolickim się znajduje, mamy apologetykę. A czegoż nas z tego wszystkiego uczono w gimnazyach? Chudej logiki i fałszywej filozofii, o ontologii nie było i mowy; na uniwersytecie zaś filozofia jest studyum fachowem dla niewielkiego koła słuchaczów. Musimy tedy sami zabrać się do dzieł filozoficznych i apolo-

getycznych w rodzaju dzieł *Hettingera* i *Weissa*: w dziale filozoficznym zwłaszcza zakon Towarzystwa Jezusowego bogatą wydał literaturę.

Mówca poleca następujący wniosek:

Zważywszy, że nieznanomość zasad katolickiej wiary i jej naukowego uzasadnienia, nawet między naukowo wykształconymi ludźmi stanu świeckiego, główną jest, wraz z innymi, przyczyną, dlaczego zarzuty wrogiej wierze literatury, jakoby między prawdziwą umiejętnością a wiarą istniało przeciwieństwo, albo też, jakoby Kościół był wrogo względem prawdziwej umiejętności usposobionym, tak łatwo się rozpowszechniają, poleca więc katolicki gorliwe studyum chrześcijańskiej filozofii i apologetyki, jak i w ogóle katolickiej nauki wiary.

Dr. Gruber w krótkiej przemowie poleca przyjęcie wniosku dodatkowego o zakładaniu akademij katolickich, atoli przewodniczący zwraca uwagę wnioskodawcy, iż sprawa ta należy albo do innej sekcji, albo też względnie do innej rezolucyi. Zależy to od tego, czy pod akademią rozumiemy szkołę, czy też stowarzyszenie uczonych.

Po dyskusyi przyjęto wniosek z pewnymi drobnymi zmianami.

Drugie posiedzenie.

O dyecezyalnych muzeach, o muzyce i sztuce kościelnej, o naukach przyrodniczych.

Prof. Dr. Wincenty Luksch zdaje sprawę „o dyecezyalnych muzeach“. Celem tychże jest zachowanie przed zniszczeniem zabytków sztuki i historii kościelnej, a celem tem większej wagi, im większe niebezpieczeństwa grożą tym świadectwom pobożności naszych przodków. Głównym nieprzyjacielem są amatorzy archeologicznych zbiorów, zbytek gorliwości i nieumiejętność w restaurowaniu kościołów. Centralna komisya, aczkolwiek w tym zakresie wielkie położyła zasługi, zapobiec zniszczeniu często nie jest w stanie, nie posiada bowiem dostatecznej ilości organów, aby działalnością swoją wszystkie objąć szczegóły; siedziby biskupie tedy winny się stać punktem zbornym, gdzieby się gromadziły zabytki z całej dye-

cezyi. Godzi się przytem zauważyć, że znajomość sztuki kościelnej jest klerykom niezbędnie potrzebną, bez niej bowiem nie mogą rozumieć liturgii. Atoli teoretyczne wykłady w seminarjum nie są wystarczające, potrzeba koniecznie naocznego doświadczenia, a tej potrzebie muzeum jedynie może zadość uczynić. W końcu sprawozdawca, jako założyciel muzeum w Litomierzycach, z wielką znajomością rzeczy i doświadczeniem wyjaśnia stronę finansową przy utworzeniu tego rodzaju muzeum, a zarazem przedstawia w krótkich rysach obraz wewnętrznego urządzenia litomierzyskich zbiorów. Wnie siona rezolucya brzmi:

Zważywszy, że kościelne muzea, szczególnie w siedzibach biskupich, lub w miejscach, będących siedzibą dyecezyalnego zarządu, skutecznem są dopełnieniem istniejących kościelnych i państwowych instytucyj, mających na celu zachowanie i przechowanie starożytnych zabytków kościelnej sztuki i historii.

Zważywszy, że te muzea, obok swego konserwatorskiego przeznaczenia, także i w celach pedagogicznych, jakoteż w studiach nad historią sztuki, kościołów, kraju i dyecezyi mogą być pomocne.

Zwraca się katolicki wiec do przewielebnych ordynaryatów biskupich z najumiętnszą prośbą, by w swych dyecezyach wszędzie założenie muzeów dyecezyalnych dla starożytności, względnie wzorów kościelnej sztuki w czyn zamienili, a już istniejące we wszelki możliwy sposób popierali, i w tym celu szczególnie klerowi swemu polecili, aby tenże przedmiotom tego rodzaju pod żadnym warunkiem w cudze ręce przejść nie pozwolił, a przy wszystkich przebudowaniach i restauracyach kościelnego budynku i jego wewnętrznego urządzenia na muzeum dyecezyalne miał wzgląd należyty.

Prof. Neumann wyraża nadzieję, iż założenie muzeów dyecezyalnych położy choć w części tamę zabiegom agentów, którzy dotychczas lekką pracą dochodzili do posiadania własności kościelnej. Nie koniecznem jest jednak, by wszystko przejść miało w niechrześcijańskie ręce.

Dr. Truza stawia wniosek dodatkowy o założeniu bibliotek dyecezyalnych.

Proboszcz z Langlois, *Ditko*, podaje referat z rezolucyi „o muzyce kościelnej“. Wywiązała się na ten temat żywa dyskusya: przyczem zaszczytnie wspomniano nasze towarzystwo

św. Wojciecha, stawiając je za wzór, podług którego rozwijać się i powstawać winny tego rodzaju instytucje.

Rezolucya brzmi:

Zważywszy, że Kościół od czasu Soboru Trydenckiego (Sessio XXII) niejednokrotnie o muzyce kościelnej jasno wypowiedział swe zdanie.

Zważywszy, że reforma naszej muzyki kościelnej w myśl liturgicznych przepisów jest potrzebą, którą nawet świeccy odczuwają, a która już wielostronnie była przedmiotem obrad.

Poleca więc katolicki zawiązywanie stowarzyszeń między rzeczoznawcami w muzyce kościelnej, które to stowarzyszenia pod przewodnictwem przew. biskupów każdej diecezyi, wykonanie reformy muzyki miałyby na pieczy, a przede wszystkim, pod opieką i z pomocą przew. biskupów, na zakładanie towarzystw muzyki kościelnej, na wykształcenie młodego kleru w muzyce kościelnej, na wyćwiczenie kierowników chóru, organistów, śpiewaków i artystów w chórach kościelnych, baczną zwróciłyby uwagę, a z rezultatów swej pracy na następnym wiecu katolików zdały sprawę.

W rozprawach nad tą rezolucją zabierali głos: ks. *Katschthaler* z Salzburga zaleca naukę śpiewu w seminariach chłopców i młodzieży duchownej; proboszcze i kapłani o tyle, o ile obowiązki ważniejsze i czas na to pozwalają, powinni również w swych parafiach czynny brać udział w reformie muzyki kościelnej, gdyż dobra muzyka nie mały wpływ wywiera nie tylko na wiernych, ale nawet na ludzi innego wyznania i przyczynić się może do ich nawrócenia. Sposób zaś przeprowadzenia reformy już podanym został przez Ojca św. Leona XIII i kongregację obrzędów.

Proboszcz *Langer* z Cieszyna pragnie, aby wskazano mężów fachowych w dziedzinie muzyki kościelnej, którychby rady mogli zasięgać biskupi, pragnący reformę muzyki kościelnej w swych diecezyjach przeprowadzić.

Profesor *Graus* z Gracu zdaje sprawozdanie „o popieraniu krajowej chrześcijańskiej sztuki“. Wykazuje, jak wielką szkodę wyrządzają w tym względzie roboty maszynowe, których tak powszechnie używają dziś po kościołach. Należałoby bardziej uwzględniać prace ręczne artystów i rzeźbiarzy, dając możność rozwoju prawdziwych arcydzieł sztuki chrześcijańskiej.

W tym przedmiocie zabierali głos również profesor *Neuman*, malarz artysta *Barvitijs*, *Plattner*, *Luksch* i ks. *Sivoboda*.

Sprawozdawca *O. Maurus Kinter O. S. B.* uzasadnia w dłuższej przemowie ważność i konieczność połączenia się katolickich uczonych Austrii, i wnosi następującą rezolucję:

Ponieważ hasło *viribus unitis* w każdym zakresie ludzkiej działalności ma swoje znaczenie; uwzględnivszy i rozważywszy szczególnie tę okoliczność, że wrogiemu wierze prądowi naszych czasów, między innymi, i przez rozdrobnienie katolickich sił duchowych, udało się osiągnąć katolickiej wierze tak szkodliwe rezultaty, nad którymi każdy katolik głęboko bolewać musi; z radością stwierdziwszy owe względnie wielkie, a zarazem dające rękojmię lepszej przyszłości rezultaty, do jakich katolicy w naszym państwie, jak i za granicą przez wspólną i związkową działalność, doszli; wyraża katolicki wiec swoje życzenie i nadzieje, że wszyscy na katolickim gruncie stojący uczeni Austrii, w celu podniesienia powagi i znaczenia katolickich zasad we wszystkich dziedzinach umiejętności, między sobą bliższe zawiążą stosunki.

O. M. Bauchinger C. SS. R. po krótkiej dyskusyi z przewodniczącym stawia wniosek dodatkowy: katolicki wiec objawi życzenie, aby środki i drogi prowadzące do utworzenia stałego komitetu, mającego opracować bliżej organizację tego związku, na najbliższym wiecu wzięto pod obrady.

Wniosek ten zostaje jednogłośnie przyjęty.

Następnie przemówił *Dr. Pernter*.

Mowa Dr. J. M. Pertnera docenta uniw. wied.

W uzasadnieniu relacyi, którą mam zaszczyt zastępować, znajdują się zdania najpoważniejszej natury, których oczywistość wykazać jest moim obowiązkiem. Powiada się tam, że:

1. Pogląd i mniemanie, jakoby rezultaty badań w umiejętnościach przyrodniczych znajdowały się w sprzeczności z nauką wiary i kościoła, jest błędny.

2. To błędne mniemanie jest ogólnie rozpowszechnione, i

3. Zrządziło ono bardzo wielką szkodę dla sprawy wiary we wszystkich warstwach ludności.

Zbyteczną będzie zapewne rzeczą udowadniać pierwszy punkt na tem zgromadzeniu. Wszyscy Panowie jesteście prawowiernymi katolikami, i dla was jestto stałą, niewzruszoną prawdą, że objawiona nauka, bezpośrednio przez Boga nauczana,

jest prawdą, i że tedy nie może być żadnego rzeczywiście trwałego, prawdziwego rezultatu badań przyrody, któryby się sprzeciwiał objawieniu.

Czuję jednak to dobrze, że Panowie oczekują odemnie pomimo tego, uzasadnienia zdania, że mniemanie, jakoby rezultaty badania przyrody znajdowały się w sprzeczności z nauką wiary, jest błędne. Postaram się z możliwą krótkością i dobitnością odpowiedzieć temu oczekiwaniu.

Ażeby usunąć wszelką niejasność, musimy przedewszystkiem oznaczyć, co należy rozumieć pod nauką wiary, i co jest rezultatem badania przyrody. Rozumie się samo przez się, że nikomu nie wolno coś na własną rękę na dogmat przerabiać; katolik ma tylko w to wierzyć, i jako naukę wiary, jako dogmat uznawać, co mu „Kościół do wierzenia podaje“. Tylko nieomylna powaga Kościoła, czy to ją wykonuje sobór powszechny, czy też papież rozstrzygający *ex cathedra*, może ustalić, co jest dogmatem i w co trzeba wierzyć. (Bardzo słusznie!). Nie jest tedy rzeczą ani pojedynczych, ani także wielu teologów, ani tem mniej jeszcze rzeczą filologów, najmniej już jednak wierzących, a żadną miarą niewierzących ludzi świeckich przedstawiać coś jako naukę wiary.

Z drugiej strony nie może przyrodnik nic innego jako rezultat badań umiejętności przyrodniczych podawać, co nie jest pewnym i przez powtarzane spostrzeżenia ustalonym faktem, albo prawem, łączącym w najdokładniejszy sposób dokonane fakta. Po największej części znajdują te prawa wyraz w matematycznej formie. Jeżeli to ostatnie nie ma miejsca, są one prostem wyrażeniem następstwa zjawisk, które zachowują się jak przyczyna i konieczne działanie, i pochodzą tylko z powtarzanego spostrzeżenia tegoż następstwa. Jako rezultaty tedy umiejętności przyrodniczych należy uważać zawsze tylko niewątpliwe ustalenie, faktów, zjawisk, i dokładne prawa tychże.

Łatwo zatem zauważą panowie, jak bez trudu i biedy można skonstruować przeciwieństwo między wynikiem badań przyrody a prawdą, jeżeli komuś właśnie na tem zależy, aby takie przeciwieństwo znaleźć.

Albo podaje się coś jako naukę wiary, jako dogmat, co tem nie jest (Bardzo słusznie!), i później zestawia się ten przez siebie utworzony dogmat i ośmiesza się go ze stanowiska umiejętności przyrodniczych; coś takiego zrobić, znaczy — jak sądzę — dyabła na ścianie malować, a później nań uderzać; albo też stawia się coś za dokładny, trwały rezultat umiejętności przyrodniczych, co tem nie jest, i znajduje się potem, że ten rzekomy rezultat badania przyrody sprzeciwia się nauce wiary; to ostatnie dzieje się albo wskutek nieznanomości nauk przyrodniczych, albo też jest, jeżeli się dzieje ze świadomością, nędną podłością; albo w końcu stawia się coś, jako wewnętrzny niewątpliwy rezultat umiejętności przyrodniczych, a co w rzeczywistości tem nie jest, i mówi się o tem, że ono stoi w sprzeczności z jakimś zdaniem wiary, które w samej rzeczy niem nie jest. Panowie znajdą to nieprzezornem, bardzo niedokładnem albo też za głupiem i złośliwem, a przecież większa część dotychczas w obieg puszczanych, tak zwanych przeciwieństw między nauką wiary a zadaniem przyrody, są tego rodzaju rezultatami badania przyrody, które tem nie są, ponieważ nie są ustalone, w przeciwieństwie z naukami wiary, które nie są naukami wiary.

Po tem ustaleniu pojęć twierdzę, że niema żadnego ustalonego, pewnego rezultatu badania przyrody, któryby stał w sprzeczności z jakąkolwiek nauką wiary.

Jestem w tem szczęśliwem położeniu, że nie potrzebuję się obawiać w tym punkcie żadnego zaprzeczenia ze strony badaczy przyrody. Ale będą oni wymagać, ażebym znane, rozszerzone zarzuty przeciw temu twierdzeniu wyjaśnił i odparł.

Najwięcej dziś rozpowszechniony zarzut podnosi darwinizm. Jeżeli darwinizm omawia, że człowiek poprostu rozwinął się ze zwierzęcia, to twierdzenie to jest o tyle bijącym w oczy przeciwieństwem z nauką wiary kościoła, o ile przez to ma się zaprzeczyć stworzenie nieśmiertelnej duszy w człowieku. przez co tenże odróżnia się specyficznie i podnosi się do sfery istot rozumnych, mających wolną wolę i odpowiedzial-

nych. O ile znajdują się darwiniści, którzy tak daleko idą, to poprostu bez dalszego mówienia trzeba dodać, że stoją oni w sprzeczności z nauką wiary Kościoła. To zdanie wielu darwinistów nie jest jeszcze dokładnym, ustalonym, pewnym rezultatem badania przyrody, co panowie już z tego mogą widzieć, że znajdują się tak znakomici badacze przyrody, jakim np. jest *Virchow*, którzy z emfazą oświadczają, że na całym polu badania niema ani jednego faktu, któryby usprawiedliwiał to twierdzenie. Twierdzenie to nie jest tak ustalonym, powiedziawszy językiem przyrodników, a tem mniej już dokładnem i niewątpliwem, ażeby powyższa teoria wielu darwinistów była słuszną. Nie jest to zatem żaden rezultat badania przyrody, ale hypotetycznie przyjęty pogląd kilku badaczy przyrody, a jeżeli taka hipoteza stoi w przeciwieństwie z nauką wiary, jest to całkiem coś innego, aniżeli przeciwieństwo między wiarą, a badaniem przyrody. Cóż można na to poradzić, jeżeli się znajdują badacze przyrody, którzy chcą wyprzedzić najwięcej sangwinicznych filozofów w swych zuchwałych fantazyach, przechodzących granicę podstaw danych, rzeczywistych umiejętnego badania przyrody, lub też w urojonych hipotezach? Dotychczas nie podali oni dokładnych dowodów na swoją hipotezę, i możemy spokojnie przyglądać się i oczekiwać, co im się uda na przyszłość. Ale wprost obrażającym jest przypuszczenie, że świat ich w powietrzu wiszącą hipotezę bez dokładnych dowodów, jako prawdziwą uznaje i jako nowy dogmat, na ich *sic inbeo*, uważa.

Jak widzą panowie, mamy tutaj przypadek sztucznie ułożonego przeciwieństwa pomiędzy badaniem przyrody a wiarą, które na tem polega, że coś stawia się jako ustalony rezultat badania przyrody, co nim nie jest, i tym sposobem otrzymuje się żądane przeciwieństwo.

Co się jednak tyczy darwinizmu w ogólności, teorii descendency, o ile ta się rozciąga na organiczny świat, rośliny i zwierzęta wraz z człowiekiem, to i ona w tem jest tylko hipotezą, teorią w badaniu przyrody, o której przyda każdy badacz sam, że się nie wznosi jeszcze nad wszystkie wątpliwości; *adhuc sub indice lis est*. Z drugiej strony nie jest jeszcze od Kościoła

autentycznie ustalonym wykład opowieści biblijnej o stworzeniu zwierząt i roślin, i w ogólności nie można oczekiwać autentycznego tegoż ustalenia przez koncylia albo papieża. Jeżeli się tedy po całym świecie głosi z wielkim hałasem twierdzenie, że teoria descendencji także z wyłączeniem człowieka sprzeciwia się katolickiej nauce wiary, tak, jak ona zawiera się w Biblii; to mamy tu właśnie ten niedorzeczny przypadek kunsztownie skonstruowanego przeciwieństwa między teorią umiejętności przyrodniczych, niedowiedzioną jeszcze dokładnie, i między ustaleniem wyjaśnieniem Biblii. I to się dzieje w wysoko wykształconem XIX stuleciu.

W rzeczywistości rzecz się ma tak, że chociażby teoria descendencji była dokładnie udowodniona, nie popadłaby w żadne przeciwieństwo z nauką wiary. O ile to jest prawdziwem, chcę zacytować Panom człowieka kompetentnego, który żył na 1400 lat przed Darwinem, a zatem nie można go podejrzewać o darwinizm; z drugiej strony jednak był to, tak jeden z najwznioślejszych duchów wszystkich czasów, jak i jeden z największych Ojców Kościoła, nie jest to nikt inny jak św. Augustyn. Ten wielki nauczyciel dodaje do tego zdania biblii: „Ten jest początek nieba i ziemi, stworzoną bowiem została w dniu, kiedy Pan Bóg zdziałał niebo i ziemię, i wszystko, co rośnie na polu, przed tem nim zeszło ono w ziemi i wszystko ziele łąk, zanim zakiełkowało“. Co to ma oznaczać? Czyż nie nasuwa się pytanie, gdzie utworzył Bóg świat roślinny, zanim on był na ziemi i zeszedł?. A wykluczwszy mniemanie, że Bóg stworzył nasiona, powiada: „Według przyczyny wydawała wtedy ziemia zioła i drzewa t. j. ziemia otrzymała siłę wydawania ich. Tak tedy zrobiono w niej to w samym początku czasu, co dopiero w biegu czasu miało powstać“. Podobnie mówi ś. Augustyn o stworzeniu zwierząt. I te zostały stworzone „początkowo, pierwotnie, odrębnie, według potęgi, według przyczyny“ a mianowicie „nie widocznie, potajemnie, w ukryciu“. Że Augustyn nie zozumie tutaj właściwego *generatio equivoca*, wypływa z tego, że nazywa te przyczyny „pierwotnymi przyczynami, pierwotnymi kielkami, pierwotno-

początkowymi głównymi, przyczynami wszystkich istot żyjących“ także „pierwotnymi komórkami“, które z nasieniem nie wspólnego nie mają. Posiadamy tedy u św. Augustyna pogląd, który dla dzisiejszych badaczy przyrody jest bardzo sympatycznym. Pozwala on z od Boga danych, pierwotnych kielków, pierwotnych potęg rozwijać się z biegiem czasu istotom żyjącym, a chociaż się nawet zdaje, że był tego zdania, iż wszystkie istoty żyjące nie powstały z jednej komórki, to przyłącza się on do zdania wielu dzisiejszych badaczy, którzy również wymagają większej ilości pierwotnych komórek. Zdaje się, że Augustyn wymaga dla każdego rodzaju, własnej jego, pierwotnej potęgi.

Przytem jednakże powstaje wielce oporne pytanie, co jest rodzaj? Krótko mówiąc, Augustyn zgadza się z dzisiejszym stanem hipotez umiejętności przyrodniczych o powstawaniu istot żyjących, prawie zupełnie. Tylko w ~~tem~~ zachodzi między wielu dzisiejszymi badaczami a nim wielka różnica, że ci ostatni nie wiedzą, gdzie mają wziąć swoje komórki pierwotne, ponieważ wzdrygają się przed stworzeniem ich przez Boga, a raczej nawet przyjmują przypadkowe spadnięcie takich komórek z przestrzeni niebieskiej, a zatem z innych ciał niebieskich, aniżeli stworzenie przez Boga (ale jakżeż powstały one na innych ciałach niebieskich?); a Augustyn przyjmuje stworzenie pierwotnych potęg razem ze stworzeniem świata, i jak mi się stanowczo zdaje, z wielkim pożytkiem dla swego przedstawienia.

A co potem sądzi ś. Augustyn o stworzeniu człowieka? Oznacza on przedstawienie, jakoby Pan Bóg ciało pierwszego człowieka rękami z gliny ulepił, jako „dziecinne“. Dla niego człowiek także powstał z pierwotnej potęgi, oczywiście z własnej, i on zapytuje tylko, czy także przy pierwszym człowieku rozwój jego z tejże potęgi był powolny, czasowy, lub też natychmiastowy. Przytem nie dochodzi do żadnego rozstrzygnięcia, chociaż zdaje się skłaniać do ostatniego mniemania.

Pozwoliłem sobie udzielić Panom tych poglądów ś. Augustyna (więcej o tem można znaleźć w wybornej broszurze

D. Raicha: Ś. Augustyn i podanie Mojżesza o stworzeniu, nie jako nauczyciela kościoła, lecz dla udowodnienia tego, że kościół przy wykładaniu mojżeszowego opowiadania o stworzeniu od dawna używał jak najdalej idącej wolności i jeszcze jej teraz używa. W samej rzeczy, ten, kto nie zaprzecza stworzenia świata przez Boga i dla człowieka, i kto nie zaprzecza duszy nieśmiertelnej, z wielkim trudem popadnie w sprzeczność z nauką wiary Kościoła, chyba że się przytem uprze.

Nie pytamy się tutaj, który pogląd jest prawdziwy, czy teorya descendencyi jest słuszną czy też niesłuszną, chodzi tutaj jedynie i tylko o to, aby ustalić to zdanie, że w całej tej kwestyi chodzi z jednej strony, nie o dokładne rezultaty badania przyrody, ale o sporne przyrodnicze hipotezy, z drugiej strony zaś, o ile to nie tyczy się stworzenia duchowej duszy człowieka, o żadną także naukę wiary; że zatem w całej sprawie darwinizmu absolutnie nie może być mowy o przeciwieństwie między nauką wiary, a dokładnymi rezultatami badania natury.

Zupełnie tak samo ma się rzecz z przeciwieństwami między wiarą, a umiejętnościami przyrodniczymi, które chciano utworzyć z wyników badań geologii. Dziś już każdy wie, że te długie pasma lat, wymagane przez geologią, nie sprzeciwiają się biblji, że kolejne następstwo w biblji wyliczonych dni już przez ś. Augustyna uważane bywa za logiczne raczej, niżeli czasowe uporządkowanie. Geologowie jednak chcieli zniszczyć „baśń o potopie“. Jak mało to jest możliwem na podstawie dokładnych rezultatów badania, dowodzi tego ta okoliczność, iż geologowie sami ze sobą się nie zgadzają. I tutaj nie chodzi o ustalony rezultat badania przyrody, który stoi w przeciwieństwie do nauki wiary. Dzisiejsze teorye geologiczne nie mają jeszcze prawa uważać się za niewątpliwe, pewne rezultaty badania przyrody. O sprzeczności zatem między wiarą a badaniem przyrody nie może być mowy.

Posunięto się jednak o wiele dalej, i postanowiono takie zdania, jako rezultaty umiejętności przyrodniczych, które jednym zamachem przedstawiają wszystko Boskie i nadnaturalne jako

przeciwne badaniu przyrody. Słyszymy często: katolicki Kościół uczy wiary w cuda, umiejętności przyrodnicze przeciwnie twierdzą, że w naturze wszystko dzieje się według odwiecznych, niezmiennych praw. To jest w oczy bijąca sprzeczność. Według tego byłoby to rezultatem umiejętności przyrodniczych, że cuda są niemożliwe. To jest jednak zupełnie fałszywem. Nie jest to żadnym rezultatem dokładnego badania, że wszystko w naturze dzieje się według praw niezmiennych. Jestto raczej zasadą rozsądnego myślenia i podstawą dla umiejętności przyrodniczych, zasadą, którą zatem umiejętności przyrodnicze jako słuszną już najprzód przyjmują. Nie są one jednak w tym położeniu, by mogły ją dokładnie udowodnić; gdyż do tego potrzeba, aby wszystkie zjawiska i zjawiska w naturze sprowadzić do wspólnych praw, a umiejętności przyrodnicze nie będą twierdziły, że zbadały już prawa wszystkich tych zjawisk, a gdyby zechciały to twierdzić, każdego dnia, każdej godziny otrzymałyby karę za kłamstwo. Umiejętności tedy przyrodnicze nie są tak nieskromne, aby twierdzić, że to one wynalazły tę zasadę na dokładnej drodze. Uznają ją jako słuszną, i ona tworzy podstawę całego badania przyrody. Jest ona także prawdziwa w tem rozumieniu, że natura, pozostawiona samej sobie, może działać tylko według pewnie oznaczonych ustalonych, niezmiennych praw. Zasada ta nie wyklucza jednak możliwości, że natura otrzymała te dla siebie niezmiennie prawa, od najwyższego prawodawcy, od Boga, swego Stwórcy, a skutkiem tego nie wyklucza ona także tego, że prawodawca stoi nad prawem, i może siłą swej wszechmocności zrobić z pod tych praw, wyjątki które nazywamy cudami. Niemożliwość tedy cudów nie wypływa wcale z powyższej zasady, a jeszcze mniej przekonująco brzmi, jako dokładny rezultat umiejętności przyrodniczych, zdanie: cud jest niemożliwym. Widzą Panowie, znowu coś podaje się za rezultat umiejętności przyrodniczych, co nim nie jest, czy to z nieświadomości, czy to naumyślnie, to nie potrzebuje nas interesować.

Powiedziano jednak także, że cud sprzeciwia się jednej z najwyższych zasad umiejętności przyrodniczych, zasadzie o utrzymaniu siły. Najpierw nie trzeba przeoczać, dla czego by

Bóg, jeżeli działa w swojej wszechmocności cud. nie mógł tak rzeczy urządzić, żeby suma sił przed i po cudzie była równą; dalej prawo to odnosi się także do naturalnego sposobu działania sił natury, które same tylko mogą być podległe badaniu przyrody, a w ten sposób nie mogą wykluczyć wyjątku wskutek wtargnięcia wszechmocności Boskiej; wreszcie względem tego prawa utrzymania siły należy jeszcze coś wyjaśnić, aby je można było zwrócić z przyrodniczą dokładnością także i ku psychicznym zjawiskom.

Tutaj należy także zdanie: umiejętności przyrodnicze uczą, że wszystko należy wyjaśniać w sposób naturalny, i wykluczają każdą inną siłę, jak naturalną. Jest to zupełna nieprawda, jakoby to były rezultaty dokładnego badania. Są to przypuszczenia, które, o ile chodzi o naturalne zjawiska w naturze, dobrze są uzasadnione, i tworzą konieczne podstawy badania przyrody, a nie rezultaty badania przyrody.

Wszystkie te zdania znajdują się na zwykłej drodze jakiegoś *Circulus vitiosus*, przyjąwszy uprzednio, że nie ma żadnego Boga i żadnego nadnaturalnego porządku zbawienia, i przedstawiają za prawdę samo tylko władztwo sił natury, aby z tego przedstawienia potem wnioskować, że niema żadnego Boga i żadnego nadnaturalnego porządku zbawienia.

Tak i na polu fizjologii postawiono jako rezultat dokładnego badania, że dusza człowieka nie jest ani duchowną, ani nieśmiertelną. Jak fałszywem jest to, można widzieć z tego faktu, że dzisiejsza fizjologia nie postąpiła nawet do objaśnienia uczuć, oprócz chcenia i myślenia. Jakże mało skrupulatnie chcą ci ludzie postępować, którzy pomimo tego chcą twierdzić, że jestto rezultatem fizjologii, iż dusza ludzka nie jest duchowna, a zatem także nie jest nieśmiertelna.

Widzą Panowie zatem, że umiejętności przyrodnicze nie wiedzą nic o sprzecznościach między ich dokładnymi rezultatami, a naukami religii.

Jakże jednak należy objaśnić ten niezaprzeczalny fakt, że ten błędny pogląd o przeciwieństwie między wiarą a dokładnem badaniem przyrody, powszechnie jest rozpowszechniony?

Ponieważ przyczyna tego nie da się znaleźć w naukach przyrodniczych, to musi ona leżeć po za nimi. W samej rzeczy leży ona bardzo daleko poza umiejętnościami przyrodniczymi. Encyklopedyści przeszłego stulecia zainaugurowali ogólny kierunek umysłowy, nie tylko nieprzyjazny wszelkiej pozytywnej wierze, szczególnie jednak katolickiej religii, ale wprost dla niej wrogi, pełny ślepej nienawiści, — i znaleźli sobie następców. Idee tychże znalazły swe urzeczywistnienie we francuskiej rewolucyi przed stu laty i przeszły z nią Europę. Powiadają także — nie mogą tego wprowadzić z przyrodniczą dokładnością twierdzić, ale o ile mi wiadomo, nie zaprzeczają tego nawet ci, których to dotyczy — że tajne towarzystwa wypisały te wrogie wierze zasady encyklopedystów i francuskiej rewolucyi na swojej chorągwi, i starały się także teraz o ich obronę i rozszerzanie. Najwyższą zasadą obrońców tych idei jest zaprzeczanie każdej pozytywnej religii, i jak powiedziano, szczególnie katolickich dogmatów. Cały nasz współczesny kierunek jest na wskroś przesycony temi zapatrywaniami, i na wszystkich polach umieli oni sobie zjednać znaczenie. Otóż początek zdania o sprzeczności między badaniem przyrody i wiary leży także w tym kierunku czasu. Przypatrzmy się temu bliżej.

W duchu tych tak nazwanych filozofów postawiono sobie za cel objaśniać, jak powiadano, naturę w naturalny sposób, co powinno się nazywać materyalistycznie, bez Boga i nieśmiertelnej duszy człowieka. Powoływano się przytem na to twierdzenie: Wszystkie zjawiska w naturze są naturalne, i aby je objaśnić, trzeba wykluczyć każdą inną siłę, z wyjątkiem naturalnej. Zdanie to jest tak prawdziwem, że się zgadza zupełnie z zasadą wiary Kościoła; i Kościół także uczy, ażeby ustalić pojęcie nadnaturalności, że zwykłe naturalnie wypadki mają czysto naturalne przyczyny. Jeżeli jednak dwóch to samo powiada, nie jest to już to samo. W duchu Kościoła ma to oznaczać, iż nie jest wykluczona możliwość, że wszechmoc Boska wywołuje wypadki, których nie należy przypisywać naturalnym przyczynom, lecz wtargnięciu nadnaturalnemu tej wszechmocy; w duchu zaś wrogiego wierze prądu czasu znaczy po-

wyższe zdanie tyle, że nadnaturalne wdanie się Boga wyklucza się. W duchu Kościoła tłumaczy się powyższe zdanie, że naturalne wypadki mają naturalne przyczyny, że jednak świat nadnaturalny, porządek zbawienia objawionej wiary, podlega nadnaturalnym prawom; w duchu jednak niedowiarczego kierunku czasu ma wypowiadać, że nadnaturalny porządek i nadnaturalny świat nie egzystuje, i to ostatnie wypowiedzenie rozszerza się po większej części do tego stopnia: nie ma świata duchowego, a zatem nie ma duchowej, nieśmiertelnej duszy i osobistego Boga. W myśl tych dowolnych rozszerzeń pozytywnego wypowiedzenia na zdanie wyłączające stało się, że w samej rzeczy dzisiejsze badanie przyrody, kierowane przez system wcale nie przyrodniczy lecz pseudofilozoficzny, widzi raczej swoje zadanie w tem, ażeby przy objaśnieniu przyrody wykluczyć ducha i Boga, innemi słowy, aby wszystko czysto materyalistycznie starać się objaśnić. Temu to pseudofilozoficznemu badaniu przyrody całkiem obcemu systemowi odpowiada to, że się naprawdę myśli wyjaśniać wszystkie zjawiska czynności ludzkich uczuć i ludzkiego ducha, ponieważ się już z góry przyjmuje, że należy wyłączyć ducha przy próbach wyjaśniania; temu kierunkowi idei odpowiada to, że się sądzi, iż należy początek rzeczy objaśniać bez Boga tworzącego, ponieważ Bóg uważa się jako z góry wykluczony. Nie można przecież zabronić badaczom, myślącym subiektywnie dla siebie i materyalistycznie, ażeby tej próby nie robili i, pomimo ciągle powtarzających się niepomysłnych wyników, nie odnawiali, skoro pocieszają się oni tem, że z postępem umiejętności mogłoby się swego czasu to udać. Ale przedstawiać jako dokładny rezultat umiejętności przyrodniczych, że nie ma ani Boga, ani duchowej duszy człowieka, a zatem także i objawienia, do tego nikt nie ma prawa, poprostu dlatego, ponieważ to nie jest dokładnym rezultatem badania przyrody. Dobrze jest jednak mieć to żywo przed oczami, co to jest; jest to zdanie tak nazwanych filozofów, zdania materyalistycznego i niedowiarnego kierunku czasu. Wiem dobrze, że filozofowie w ogólności nie szczegółnem cieszą się poszanowaniem u ba-

daczy przyrody, i że zresztą badacze przyrody przy swoich badaniach nie proszą wpłynięcie na nich z tej strony. Dlaczegoż właśnie w tych pytaniach to czynią? Przecież to żadną miarą nie szkodzi kółkom przyrodzawców, jeżeli do badań swych nie wprowadzają już z góry powziętego mniemania, że niema ducha, Boga, objawienia lub też nie dają mu żadnego wyrazu.

Jeżeli przez niedowiarczy kierunek czasu wyjaśnia się, dlaczego badacze przyrody częstokroć hołdują materialistycznym zapatrywaniom, to zawsze jeszcze pozostaje do wyjaśnienia dlaczego fałszywe mniemanie, że dokładne rezultaty badania przyrody sprzeciwiają się naukom wiary, tak ogólne rozpowszechnienie znalazło, a szczególnie dlaczego wywiera ono tak wielki wpływ na umysł.

Dwie są drogi, na których człowiek dostępuje pewności: wiara i wiedza. Na nadnaturalnem polu panuje tylko wiara, gdyż prawdy tejsze leżą poza naturą i naszym naturalnym rozumem. Na tem polu ustanowił Chrystus nieomylną powagę: Kościół. Na polu naturalnem jest człowiek pozostawiony swemu rozumowi, który tylko z wielkim trudem, otoczony tysiącem niebezpieczeństw złudzenia, może osiągnąć pewność. Ledwie uwierzyć możemy, jak mało pewności nam w tem jest zostawionem, a definicya: pewność jest czemś, co człowiekowi najrzadziej się dostało w udziale, jest wprawdzie nie filozoficzna, lecz bardzo prawdziwa. W samej rzeczy, pominąwszy niewiele ogólnych zdań, człowiek nabywa pewności o rzeczach rzeczywistych tylko przez to, że się otacza na każdym kroku najsurowszymi ostrożnościami. Ostatecznie dziwicie się panowie, że badacze przyrody nie zaprotestowali energicznie przeciwko temu nadużyciu ich umiejętności. To też jeden i drugi to zrobił, ale największa ich liczba zachowała się obojętnie, ponieważ większa część nie posiadała dostatecznie wielkiej znajomości nauk wiary Kościoła, albo też w ogóle się nie mieszała do tego, co nie jest badaniem. Tylko kilku, czy to ze złej woli, czy to ze źle skierowanego mniemania, tego nie wiem, sprowadziło swoje pojęcia wprost przeciw wierze. Za to zna-

leżli całą gromadę popularyzatorów, kolporterów, feljetonistów a nawet pisarzy romansów i t. d., którzy z radością pochwycili znalezione „przeciwieństwo“ między wiarą i badaniem przyrody, i obwieścili całemu światu, nie szczędząc pogardy i szyderstwa dla tych wszystkich, którzy zawsze jeszcze pozostali wierni „głupiej wierze węglarzy“. Udało im się w samej rzeczy zapewnić temu wielkiemu kłamstwu naszych czasów o przeciwieństwie między badaniem natury i wiarą, ogólne rozpowszechnienie i prawie ogólną wiarę. Nie chcę przedstawiać w szczegółach rozpowszechnienie tego kłamstwa; wszak panowie wszyscy znajdują się w pośród świata i widzą i słyszą sami, jak ono od katedry uniwersyteckiej, aż niestety do szkoły ludowej wyrobiło sobie jako zasadę dokładne badanie przyrody; trzyma się ono tylko rzeczy najistotniejszych i bada je ze skrupulatnością i gruntownością, która przy najmniejszej wątpliwości waha się i gardzi tem, aby rezultat uznać za dokładny. Jeżeli jednak jest dokładny, wtedy jest prawdziwy. Takim sposobem dzieje się, że dokładne badanie przyrody uważa się na polu naturalnem za nieomylną powagę. Przyczynia się także do tego ogromna powaga, jaką się cieszą, i słusznie, umiejętności przyrodnicze w skutek niespodziewanego, prawie przyniatającego postępu swego w tem stuleciu.

A zatem ma się w dokładnych ścisłych umiejętnościach przyrodniczych jakoby drugą „nieomylną powagę“. Jeżeli się uda ją przeciwko nieomyślnej powadze Kościoła, przeciwko wierze do walki wyprowadzić, to narażonoby tę ostatnią na wielkie straty.

Czyżby to miała być myśl, która spowodowała apostołów niewiary do rozszerzania fałszywego mniemania? Czyż rezultaty ścisłego badania natury stoją w sprzeczności z naukami wiary? Nie wiem tego, — byłoby to dyabelsko zręcznie. W każdym razie stało się, a stało się z bardzo wielkim skutkiem. Przeparto ją, a jak się udało przedstawić ją jako prawdę, widac z tego, że nawet mówcy ludowi używają parlamentu, aby wypowiedzieć ją przed całym państwem. Tak! posuwają się tak daleko, że rozszerzają śmieszne kłamstwa, a nawet to już zna-

lazło wiarę, że Kościół niechętnie patrzy na zajmowanie się umiejętnościami przyrodniczymi, owszem boi się ich.

Po tych wyjaśnieniach zapewne zgodzicie się panowie ze mną, jeżeli postawię wam wniosek, ażeby przez przyjęcie leżącej przed nami rezolucyi przyczynić się do rozprószenia błędnego poglądu, jakoby rezultaty badania natury stały w sprzeczności z naukami wiary kościoła.

Papieski instytut umiejętności przyrodniczych jest w samej rzeczy tutaj najodpowiedniejszym środkiem.

Nie sądzcie Panowie jednak, iż mój dzisiejszy wykład, albo w ogóle takie pojedyncze sprawozdanie w słowie lub piśmie są w stanie tak powszechnie rozszerzone od dziesiątków lat, zasiedziałe błędne mniemanie zniszczyć. Wieluż ludzi słucha albo czyta te rzeczy? I czyż większa część z tych, którzy o tem wiadomości otrzymują, nie są już z góry o tem przekonani, co tam słyszą lub czytają? Czyż nie próbowali już mężowie największych imion w umiejętnościach przyrodniczych, jak np. *Secchi* działać oświecająco w tymże samym duchu? Z jakimże skutkiem?

Na tak ogólnie rozpowszechnione błędne mniemanie nie pomogą w ogóle mowy, — tu trzeba działać. Musimy stworzyć dzieło, które już swoim istnieniem jest odparciem tych kłamstw, musimy go dokonać tak, aby wszyscy je widzieć i słyszeć musieli, i musimy je tak wyposażyć, aby działało ciągle, wytrwale, a w ten sposób uniemożliwiało dalsze powtarzanie tych kłamstw, wymyślonych li dlatego, aby ludzi uczynić wrogami wierze.

Wszystkiego tego dokona tylko papieski instytut umiejętności przyrodniczych.

Przez to, że papież sam go urządza, że zatem Kościół zajmuje się pielegnowaniem umiejętności przyrodniczych w odznaczający się sposób, upadnie baśń, iż Kościół niechętnie patrzy na zajmowanie się umiejętnościami przyrodniczymi i obawia się ich.

Jednakże z urządzeniem tego instytutu nie dokonano jeszcze i połowy drogi. W tym instytucie trzeba dokładnie badać na wszystkich polach umiejętności przyrodniczych; mu-

sza wychodzić prace na tych wszystkich polach, które równocześnie uprawiają najznakomitsi badacze przyrody naszego stulecia. W tym instytucie muszą umiejętności przyrodnicze kwitnąć i robić ustawiczne postępy, jednym słowem powinien on sobie przez swoje prace zapewnić ogólne uznanie równorzędności między badaczami przyrody, a nawet, ile możliwości, postępować na czele postępu w naukach przyrodniczych.

Powiedziałby mi ktoś, że istnieje już papieski instytut podobnego rodzaju: *Academia Pontificia dei nuovi Lincei*. Ale tak nie jest. Akademia ta jest właśnie tylko akademią, a nie instytutem. Nie posiada ona fizykalnego gabinetu, ani laboratorium, ani chemicznego laboratorium, ani fizyologicznego, ani instytutu geologicznego i t. d. Krótko, jest właśnie tylko akademią.

Wiecie panowie aż nadto dobrze, że Kościółowi wszystko wydarto, a zarazem także uniwersytety i środki do badania przyrody. A kiedy go z nich obrabowano mówią jeszcze sztydersko: „Kościół nie pielęgnuje umiejętności przyrodniczych“.

Mający się urządzać papieski instytut umiejętności przyrodniczych będzie służył tej akademii, jako podstawa. Z badaczy w tym instytucie będą się uzupełniać w naturalny sposób jej członkowie, podobnie jak akademie wszystkich krajów wybierają tychże ze swoich uniwersyteckich instytutów; prace nad badaniami w instytucie będą naturalnie tworzyły treść pism akademii, jednym słowem, do Akademii wejdzie przez instytut świeże przyrodnicze życie, i dopiero wtedy podniesie się ona do znaczenia, które *Academia Pontificia* winna posiadać.

Może znajdą panowie, iż zdaje się ten papieski instytut umiejętności przyrodniczych cokolwiek sobie za wspaniałym wyobrażać. Nie, z całą pewnością nie. Nie wspanialszy nad ogół przyrodniczych zakładów przy jednym z naszych pierwszych uniwersytetów; a prawdziwie nie będzie to za wiele, jeżeli papież będzie posiadał jeden przynajmniej tak wykończony i doskonały instytut umiejętności przyrodniczych, jak ich wiele krajów ma po kilka. W każdym razie jest mojem zdaniem, ażeby ten papieski instytut składał się pojedynczych instytu-

tów dla wszystkich gałęzi umiejętności przyrodniczych, dla geologii i pokrewnych zawodów, dla mineralogii, botaniki, zoologii, fizjologii, fizyki, chemii, astronomii, meteorologii i t. d.

Nie powiedziałem przez to, że chciałbym, aby tenże zaraz przy urządzeniu wyposażony był w te wszystkie pojedyncze instytuty, lecz wyraźnie kładę nacisk na to, że uważam za konieczne urządzić jeden po drugim, jak na to czas i pieniądze pozwolą. Jest ich kilka obok siebie, które właśnie dla Ojca św. połączone są z mniejszymi wydatkami, niż dla innych, i te mogą pierwiej wejść w życie.

Kwestyi kosztów nie mogę tutaj szczegółowo rozbierać. Jestem jednak przekonany, że jeżeli Ojciec św. naszą rozsolucyę łaskawie przyjmie i zatwierdzi, i skoro będzie całemu katolickiemu światu wiadomo, że Ojciec św. życzy sobie, że chciałby być w tem położeniu, by mógł urządzić ten papieski Instytut umiejętności przyrodniczych, to potrzebne środki przyplną mu w obfitej mierze. Przecież przed niewiele laty widzieliśmy, jak bogaty Amerykanin zapisał miliony na ten cel, aby ojczyzna jego mogła świetnieć najlepszem obserwatoryum astronomicznem na świecie. A ja uważam katolicyzm za zdolny do tego, co jest możliwem dla patryotyzmu, a nawet jeszcze więcej.

Ale panowie może z niepokojem zapytają, czy my śmiemy zwracać się z prośbą do Ojca św. o urządzenie papieskiego instytutu dla umiejętności przyrodniczych.

Co do tego nie może być żadnej wątpliwości. To jest jasnem dla każdego, kto zna wielkie zamięlowanie Ojca świętego do pielegnowania umiejętności i specyalnie co do nauk przyrodniczych; leży przed nami akt, który wyraźnie to wypowiada. Ojciec św. Papież Leon XIII rozszerzył sam przed dwoma laty swoją akademię przyrodniczą *dei Nuovi Lincei*, i przytem wyraził się w swoim Breve do kardynała Oreglia w ten sposób:

„Peculiares autem curas Nostras ad se convertit nobilis ca scientia, quae naturae arcana rimatur et explicat, cuius dignitatem et incrementa, quae nostra illi attulit aetas, palam testati sumus, quum egimus de rationali philosophia ad praecepta veterum revocanda. Immo et eius impensius colendae a catholicis viris necessitatem

urgere haud negleximus, hac praesertim aetate, qua religionis hostes ex physicorum incentis et placitis tela sibi parata putant, quæis Catholicae Ecclesiae dogmata oppugnent et evertant“.

„Szczególniejszem naszym staraniem cieszy się ta szlachetna umiejętność, która się oddaje badaniu natury. Podnieśliśmy publicznie wielką wagę i postępy, które zrobiła ta ostatnia w naszych czasach, skorośmy się zajmowali kwestyą powrotu do filozofów starożytnych. Mamy tutaj także nie zapóźno położyć nacisk na to, jak ważnem jest, ażeby mężowie katoliccy, dziś więcej niż kiedykolwiek, gorliwie się tą nauką zajmowali; w czasie, kiedy wrogowie religii mniemają, że odkrycia i prawa nauk przyrodniczych są dla nich bronią, daną do zwalczania i zniweczenia dogmatów Kościoła katolickiego“.

Już to miejsce przekonuje nas, że nie udamy się do Ojca św. daremnie z naszą rezolucyą. Jesteśmy nadto w tem położeniu, że wiemy dokładnie, iż Ojciec św. przyjmie łaskawie naszą rezolucyą.

Wszystkiego, co pozostaje, miejsca, czasu i sposobu urzędzenia tego papieskiego instytutu dla umiejętności przyrodniczych, nie dotyka nasza rezolucya; wszystko to pozostawiamy mądrości Ojca św., do którego słusznie posiadamy najnieograniczeńsze zaufanie.

Najlepszem ujęciem moich wywodów jest samo brzmienie słów przedstawionej panom rezolucyi. Tak mocno jestem przekonany, że ostatnie wystarcza samo bez dalszej przemowy, aby skłonić panów do przyjęcia rezolucyi, że uzasadnienie zgóry uważałem za zbyteczne, i tylko na wyraźne i jednogłosne życzenie komitetu przygotowującego widziałem się spowodowanym je w dłuższem przemówieniu uzasadnić. W istocie wystarcza przeczytanie rezolucyi i wzmianka o papieskim instytucie dla umiejętności przyrodniczych, ażeby, jakem się przekonał, podziałać przekonująco a nawet porywająco na oświeconych katolików, którzy znają stosunki i prąd czasu, tak dalece, że się raczej obawiać muszę, abym moim obszernym wykładem, rzeczy, którą zastępuję, nie zaszkodził.

Wszakże słowami: „Papieski instytut dla nauk przyrodni-

czych“, już jest wszystko powiedzianem. Przyjmijcie panowie tę rezolucyą, o ile możności jednogłośnie, a położycie kamień węgielny do działania niejednorodnego znaczenia, do dzieła mającego znaczenie na stuleciu, które będzie wywierało błogosławione działanie na przyszłe generacye, i na zawsze zniszczy wielkie kłamstwo naszego czasu o przeciwieństwie między wiarą a badaniem przyrody i jego ogólnoszkodliwą, podkopującą wiarę działalność.

Br. Helfert oznajmia, że Jego Świątobliwość projekt założenia papieskiego instytutu dla nauk przyrodniczych przychylnie do wiadomości przyjął i zatwierdził.

Posiedzenie trzecie.

O wrogiej wierze i moralności belletrystyce.

Sekretarz objaśnia, dlaczego ani pierwszy ani drugi wiec katolicki kwestyi założenia chrześcijańskiej akademii sztuk pięknych nie załatwił. Sprawa, aczkolwiek zasadniczo nikt jej nie odrzuca, na razie jest niekonieczną i praktycznie niewykonalną.

Dyrektor archiwum, *Franciszek Kleindienst*, odczytuje następujący wniosek:

Subsekeya dla sztuki zwraca się do drugiego powszechnego wieceu katolickiego z prośbą, by koło wpływowych czcicieli chrześcijańskiej sztuki postarało się o utworzenie komitetu, któryby wszystkie potrzebne kroki w celu wzniesienia pomnika *Führicha* we Wiedniu przedsięwziął, osiągnięte rezultaty najbliższemu katolickiemu wiecowi przedstawił, i od tegoż w danym razie dalsze instrukcyę otrzymał.

Wnioskodawca sławi zasługi *Führicha*, jako jednej z najjaśniejszych gwiazd na horyzoncie sztuki w Austrii. Podnosić jego znaczenie i przytaczać powody, dla których cześć go należy, jest zbytecznem. Jako człowiek i jako artysta na równej stoi wysokości. (Brawo!). Był wielkim chrześcijańskim artystą, katolicki tedy wiec spełni swój obowiązek, podając myśl uczczenia pomnikiem jego pamięci. O pomyślnym wyniku zabiegów wątpić nie można. Pomnik może być tylko chrześcijań-

skim; będziemy tedy wreszcie mieli choć jeden chrześcijański pomnik.

O. Antoni Forstner T. J. przemawia „o unikaniu wrogiej wierze belletrystyki“. Jego wywody są tylko rozwinięciem poprzednio przygotowanego wniosku:

Ponieważ bardzo wiele utworów belletrystycznych, chrześcijańskim zasadom wrogi, wolnomyślny i materialistycznie zmysłowy prąd naszych czasów w znacznej części wywołało, krzewi i rozpowszechnia.

Zważywszy, że katolicy bynajmniej nie są pozbawieni belletrystycznych dzieł i czasopism, które na katolickich opierają się zasadach.

Zważywszy, że wzmożenie się zakupu katolickich utworów w tej gałęzi literatury, ilość tychże i wartość wewnętrzną podniesie:

uważa drugi katolicki austriacki wiec powszechny za swój obowiązek, wszystkim katolikom przypomnieć i głęboko wyręć w sercu, że wrogie wierze i moralności niebezpieczeństwem grożące utwory belletrystycznej literatury, z katolickiej rodziny wygnane być winny; kiedy i gdzie bez lżejszej literatury obejść się trudno, tylko chrześcijańskie dzieła i czasopisma tego rodzaju czytać i popierać należy:

zaczem poleca w interesie uboższych klas, zachowanie, popieranie, i zakładanie nowych czytelni, związków czytelnianych, parafialnych i ludowych bibliotek:

i właśnie dla tego zwraca się z prośbą do stowarzyszeń i przedsięwzięć, któreby sobie wzięły za zadanie rozpowszechnienie dobrych książek, by na zakładanie i wyposażenie dobrych bibliotek ludowych szczególniejszą zwróciły uwagę.

Sprawozdawca wykazuje, jak potężnym opiekunem i poplecznikiem liberalizmu i materializmu jest belletrystyczna literatura. W drugiej połowie 1884 r. załała Niemcy powódź 300 powieści i nowel, przez niemieckie księgarnie wydanych. Według rachunku przybliżonego jestto 1.200,000 egzemplarzy. Wśród tej powodzi katolicy nakładcy wydali zaledwie 17 powieści. Przeciwnie dzieła Zola rozprzedane zostały w Niemczech w 32,000 egzemplarzy. Nie należy zapominać przytem o peryodycznych czasopismach dla rozrywki, nieraz nadzwyczaj rozpowszechnionych, jak np., *Gartenlaube*, jako też, że przy każdym politycznym dzienniku wychodzi dodatek powieściowy. A masy, to potęga. Mówca przypomina, że gdy przed jednym z sądów angielskich odczytano ustępy z *Zoli*, rzekł sędzia: Oszczędź pan nam tych brudów. A brudy te zalewają potokami świat cały. Z powieściami współdziała dziennikar-

stwo i popularyzująca nauka. Tu przyczyna, dlaczego na uniwersytecie zapanował pozytywizm; można nawet przewidzieć jaką strawę poda nam jeszcze belletrystyka. Przedstawiając olbrzymi rozwój i wpływ belletrystyki, wykazuje sprawozdawca, że powieść wciska się we wszystkie warstwy społeczeństwa; romansem interesuje się każda kucharka. Wszystko złe jest tam ocukrzone, wyperfumowane, bengalskim ogniem wyobraźni oświetlone. Wszystko zmierza tylko do rozgrzania fantazyi i uczucia. Wieluż to powieściopisarzy i feljetonistów pracuje na to, by w głowach zburzyć boski porządek, w sercach zaszczerpić zmysłowość, wzbudzić wstręt do poważnej pracy i niezadowolenie z wszystkiego, co jest rzeczywistością.

Jestto namul ducha. Proszę spróbować czytelnika naturalistycznych romansów z liberalną tendencją, uczyć katechizmu; najlepsze zamiary spełzną na niczem, brak tam bowiem już podstawy. A jednak katolicki grunt wydał tak piękne owoce w bellestrystyce, że innych życzyć sobie nie potrzebujemy. I w Austrii wychodzi wiele dobrych, a z pocziwą tendencją dodatków powieściowych przy dziennikach, nie jeden też związek pracuje nad rozpowszechnianiem dobrych powieści. I gdyby kupujący, przeważnie nie żydzi i nie poganie, lecz po największej części katolicy, pieniądze swe zanieśli do katolickich księgarni, najlepszem by to było przeciw zarazie lekarstwem. Nie jeden talent by nie zmarniał, gdyż nakłady płacić by mogli dobre honorarya, czego teraz przy małym zbycie, nie chąc zbankrutować, uczynić nie są w stanie. Niestety! bierze się do ręki, często z tchórzostwa, a często i z nierozumu, raczej dzieło *Zoli* niż pocziwą powieść. Niejeden mówi: wstydziłbym się, gdybym nie czytał *Zoli*. Przeciwnie powiedzieć należy: musiałbym się wstydzić, gdybym go czytał. Obowiązkiem to jest wiecu katolickiego, w tej kwestyi zwrócić się z poważnym słowem do katolików. Należy powiedzieć: zastanówcie się, czy w ogóle zachodzi potrzeba belletrystycznej lektury, a gdy podobne książki koniecznie już ma ktoś czytać, unikajcie przynajmniej i odrzucajcie wszystko, co się z wiarą i dobrymi obyczai-

jami nie zgadza. Chodzi tu o wiarę i o zbawienie duszy. (Tak jest!) Wielu jest jednak, którzy chętnie czytają, ale nie mają dostatecznych środków, by książki kupować; dla tych przeznaczone są wypożyczalnie. I środków, służących do rozpowszechnienia dobrej lektury, zaniedbywać nie należy; niechaj powstają wypożyczalnie parafialne, czytelnie katolickie, w których by katolik mógł zaspokoić swe duchowe potrzeby. Rozchodzi się tu głównie o umiejętny wybór książek, a następnie o przytłumienie zapału do romansów, o przyzwyczajenie czytującej publiczności do dzieł geograficznych, historycznych, etnograficznych etc., następnie o stopniowe wypieranie błędów, a krzewienie prawdy. Uwzględnić też należy inne języki. Ileż to już przeciwny obóz w tym kierunku dokonał, gdy tymczasem naszej pracy owoce bardzo nikłe i nieznaczne. Sprawę całą trzeba przeprowadzić na wielkie rozmiary. W zakończeniu zachęca sprawozdawca wszystkich, by przystąpili do sprzysiężenia obejmującego i tych, co czytają, i tych, co piszą, i tych, co sprzedają, sprzysiężenia, mającego na celu popieranie poczytywnej lektury.

O. *Bauchinger* życzyłby sobie, aby pisano więcej książek w rodzaju Juliusza Vernego, i w ogóle, aby nie wszystkich powieści — jak dotąd — tłem i podstawą były miłostki, lecz aby miasto nich wprowadzono inne pragnienia i dążności ducha ludzkiego. Następnie, aby w rezolucyi po ustępie „któreby za zadanie sobie wzięły rozpowszechnianie dobrych książek, dodano „i umożliwiły“.

W odpowiedzi na interpelację fabrykanta *Springera* zaznacza sprawozdawca potrzebę katalogu dzieł beletrystycznych katolickich, któryby był nicią przewodnią w obec ogromu wciąż ukazujących się powieści. Kończy słowami:

Gdy pontyńskie bagna beletrystyki osuszone będą, może z nich źródło życia wytrysnie. (Przeciągle oklaski).

Rezolucya przyjęta zostaje przez aklamację.

W porządku obrad przychodzi pod głosowanie wniosek: „o popieraniu chrześcijańskiej sztuki“. Rezolucya ta z popraw-

kami *prof. Lukscha* i *Neumanna* zostaje przyjętą w następującej formie:

Zważywszy, że wtrętny produkt fabryczny i handlarski usiłuje opanować wyrób kościelnych dzieł sztuki, że tak zwane zakłady artystyczne wciskają się między nabywców a artystów, dostarczając prawdziwie fabrycznych, mechaniczną nieraz drogą uskuteczniionych robót, miasto właściwych dzieł sztuki, i tym sposobem tak zamawiających jak i artystów wyzyskują, a do umiejętnego rozwoju kościelnych przedmiotów sztuki bynajmniej się nie przyczyniają;

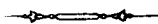
zważywszy dalej, że nie tylko na władzach państwowych administracyjnych spoczywa obowiązek patryotyczny, działalność i dążności ojczyście przeciw konkurencyi i przemocy zagranicy chronić, lecz że w równej mierze i nabywcy czynić to winni;

zwraca się austriacki wiec katolików do Najprzewiel. Biskupów z prośbą, by niższemu klerowi polecił:

1. Aby nabywcy w obronie kościelnych dzieł i wymogów sztuki szkodliwej gospodarce fabrycznej i handlarskiej przeciwdziałali, zwracając się z zamówieniami jedynie do wolnych, poważnie w swym zawodzie pracujących artystów i rękodzielników, a o poradę, pośrednictwo i kierownictwo przedstanowczych robót, udając się do ustanowionych przy stolicach biskupich stowarzyszeń artystycznych, a względnie do kierowników diecezyalnych muzeów.

2. Aby następnie przy nabywaniu kościelnych posągów, obrazów, sprzętów i materyj, nie przedkładali bezwzględnie zagranicznych wyrobów nad prace krajowych związków artystycznych, i przez to dali tymże możność wydoskonalania się w swoim zawodzie tak, by z czasem kościelne potrzeby artystyczne w zupełności zaspokoić mogli.

Przewodniczący zamyka posiedzenie. Aczkolwiek rezolucye, powzięte na sekcjach są tylko uchwałami, a nie tychże wykonaniem, są one jednak już przez to czynem doniosłego znaczenia, że zwracają uwagę katolików na rozliczne szkodliwe prądy i na konieczną potrzebę użycia pewnych środków zaradczych.



SEKCJA: O ŻYCIU I STOWARZYSZENIACH KATOLICKICH.

Podsekcja: Stowarzyszenia dobroczynne.

Przewodniczący: *hr. Chorinsky.*

Dyr. Schöpflenthner za Dr. Matthisa przedstawia referat, skreślający wzrastającą coraz więcej nędzę, i poleca następujące stowarzyszenia: Św. Wincentego, św. Franciszka Regisa, św. Antoniego i dzieło podjęte przez kardynała Lavigerie, następnie odczytuje następującą uchwałę:

Ze względu, że za naszych dni zubożenie coraz się więcej rozszerza:

Pomnąc, że fizyczna nędza zbyt często pociąga za sobą duchowe zboczenia, najniebezpieczniejsze i najgorsze zboczenia, które nietylko poszczególnym jednostkom i familiom, ale całej ludzkości, państwu i Kościołowi niezmiernie przynoszą szkody;

Pomnąc, że dostateczną pomoc, jeśli ta nie będzie osiągnięta w sprawiedliwym rozwiązaniu kwestyi socyalnej, li tylko dobrze zorganizowane stowarzyszenia przynieść mogą;

Pomnąc, że spełnienie uczynków miłości bliźniego nie tylko jest najpiękniejszym stwierdzeniem katolickiej wiary, nietylko środkiem własnego uświęcenia, ale w pewnych okolicznościach koniecznym obowiązkiem sumienia;

Pomnąc dalej, że przez roztropne a gorliwe uczynki chrześcijańskiego miłosierdzia, nie tylko nędzę ziemską można usunąć lub jej zapobiec, ale i wielu moralnym zboczeniom tamę się stawia lub im zapobiega;

Pomnąc wreszcie, że uczestniczący w stowarzyszeniach dobroczynnych, przez Kościół potwierdzonych, wiele skarbów łaski uzyskują:

Zaleca drugi powszechny austriacki wiec katolików zakładanie i rozkrzewianie chrześcijańskich stowarzyszeń dobroczynnych, mających

względ na wszystkie rodzaje cierpień i nieszczęść, jakie spadły na ludzkość: przede wszystkim zaleca:

1) Stowarzyszenie *św. Wincentego à Paulo*, które w każdym mieście i każdej większej miejscowości powinno być założone.

2) Dzieło *św. Franciszka Regisa* po większych miastach w celu zniesienia konkubinatów między ubogą ludnością, coraz częściej się powtarzających.

3) Rozszerzania tych stowarzyszeń i zakładów, co zajmują się sierotami, kalekami, chorymi wszelkiego rodzaju, szczególnie nieuleczalnymi (dom miłosierdzia w Wiedniu), upadłymi (stowarzyszenie *św. Antoniego*), starcami (schroniska dla starców w Waehring), rannymi na wojnie i t. p.

4) Dzieło kardynała Lavigierie, zmierzające do zniesienia niewoli w Afryce.

Prezydent otwiera rozprawę. *P. v. Tautphöus* do Nr. 2 dodaje bliższe określenie, by zakładano rady centralne Towarzystwa *św. Wincentego* w poszczególnych krajach koronnych albo dycezyach w odpowiednich stolicach, w celu kontrolowania konferencyj, zakładania nowych, zwoływania generalnych posiedzeń raz na rok. *Książę Wrede* przemawia za dziełem kardynała *Lavigierie*, bo Chrystus przecie umarł za wszystkich. Proboszcz *Hanel* z Radownica w północnych Czechach, oznajmia, że tam Stowarzyszenia dobroczynne złąły się ze Stowarzyszeniami ludowymi, przeciw czemu ostro występuje *hr. Salm*, żądając ich rozdzielenia. *O. Medits*, misjonarz z Wiednia, dziękuje w imieniu przełożonego, za popieranie Stowarzyszenia *św. Antoniego*, przedstawia jak trudno dziewczęta, co wyszły z domu karnego, odpowiednie umieszczenie znaleźć mogą, i wyraża życzenie, by w Nr. 3 zmienić nazwę „Stowarzyszenie *św. Antoniego*“ na „Stowarzyszenie przytułku *św. Antoniego*“. Wikary *Lindl* z Urfahr żąda, aby pod Nr. 3 do „dom miłosierdzia w Wiedniu“ dodać i „w Lincu“. *O. Pfeifer* domaga się, aby i inne upadłe kobiety, chociaż w domu karnym nie były, przyjmować do rzeczzonego domu przytułku.

Przy głosowaniu przyjęto wszystkie wnioski. Postulat wikarego *Lindla* rozszerzono na „dom miłosierdzia w Wiedniu, Lincu i innych miastach“.

Po krótkiej przerwie występuje *Książę Locwenstein* z następującym wnioskiem:

Drugi ogólny austriacki zjazd katolików zechce uchwalić, by założono komitet i upoważniono go do zbierania składek na rzecz zakonnie wypędzonych z Włoszech, a największy cierpiących nieostatek.

POWODY:

Prawie 700 klasztorów żeńskich zniósł rząd włoski, nadana zakonnikom, w zamian za skradzione im dobra pensya, wcale nie wystarcza, i nieraz nie mają czem największych opędzić potrzeb.

Ojciec św. i poszczególne osoby we Włoszech przyczyniają się do zmniejszenia ich nędzy, w Rzymie utworzono w tym celu komitet dam, „Civiltà Cattolica“ zbiera składki, ale to wszystko jeszcze wcale nie jest w stanie zapobiec ich nędzy.

Różne potrzeby i niedostatki, którym w kraju w pomoc przychodzić musimy, nie powinny nas powstrzymywać od pomagania i tym, w obec których nie tylko dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego spełniamy, ale oddamy uznanie i cześć podziwiania godnej wierności powołaniu, a zarazem zaprotestujemy przeciw tej ohydnej niesprawiedliwości i surowości, z jaką rząd włoski uciemnia niewinne kobiety, oblubienice Chrystusowe“.

Wnioskodawca radzi, by utworzyć komitet, co by się tą sprawą zajął. Dyrektor *Schöpflethner* poleca zakładanie komitetów i żąda, by gazety otworzyły swe szpalty na zbieranie składek w tym celu. Major *Roch von Rochow* z Drezna przedstawia wśród ogólnego uznania stan rzeczy we Włoszech, położenie Ojca św., i wnosi „by użyć prasy w interesie tychże spraw“. Kanonik zaś *v. Linde* jest za tem, by tę sprawę powierzyć Stowarzyszeniom dam w Austrii.

Wniosek *Księcia Loewensteina* z dodatkiem p. *Rochowa* jednogłośnie przyjęto; przewodniczący proponuje, ażeby utworzyć przygotowawczy komitet, któryby sprawę tę z prezesem wiecu omówił.

Podsekcyja: Katolickie Stowarzyszenia studentów.

Prezes *hr. Chorinsky* otwiera posiedzenie i, wracając do czwartego, niezalatwionego jeszcze punktu, stawia wniosek:

Wiece katolickie poleca utworzenie ściślejszego związku między wszystkimi katolickimi stowarzyszeniami studenckimi.

Nad wnioskiem tem żywą rozpoczęto dyskusję. Drd *Lantin* przemawia za zniesieniem punktu 4, a postawieniem natomiast następującego wniosku:

Wiece katolickie poleca przyjacielskie pożycie stowarzyszeń studenckich, w tem samem mieście istniejących, w celu wspólnej korzyści.

Wniosek ten przeszedł większością głosów, punkt zaś 1, 2, 3 jednogłośnie przyjęto.

Podsekcyja: Misye katolickie.

Wiceprezes *Dyr. Schöplentner* w nieobecności prezesa otwiera posiedzenie, udzielając głosu kanonikowi *Ramsauer* z St. Poelten, który odczytuje następujący wniosek:

I.

Zważając na działalność i zdumiewające rezultaty różnych katolickich stowarzyszeń misyjnych, drugi ogólny austriacki wiec katolicki wszystkim założycielom, krzewicielom i członkom tych stowarzyszeń przesyła swe uznanie i słusznie się im należącą podziękę.

II.

Zważając jednak, że przy praktykowanej przez europejskie państwa polityce kolonialnej na dalsze części świata szczególniejszą zwraca się uwagę, że naszej monarchii, ze względu na geograficzne jej położenie, rozwój historyczny i polityczne stanowisko, bardzo ważna misya na Wschodzie dostała się w udziale: zważając, że w skutek tych stosunków większe wymogi stawiać nam przyjdzie stowarzyszeniom misyjnym, wymogi, którym wtedy tylko zadosyć uczynić będą wstanie, jeżeli szersze koła ludności katolickiej sprawą się zajmą, czego w obecnej organizacji brak uznajemy: przeto drugi ogólny wiec katolików austriackich udaje się do przewielebnego episkopatu z pokorną prośbą, by jak dotychczas tak i nadal raczył się stowarzyszeniami misyjnymi opiekować i nadać im organizację, odpowiadającą obecnym potrzebom.

III.

Wiedząc zaś, że jak doświadczenie uczy, tam tylko stowarzyszenia misyjne najlepszem cieszą się powodzeniem, gdzie wielebny kler z prawdziwą niemi zajmuje się miłością, i że zewnętrzne wspomaganie misyj najlepszym jest środkiem pomnożenia chwały bożej i zbawienia dusz i ożywienia wiary we własnym kraju, uprasza drugi wiec katolików austriackich, by wielebne duchowieństwo z godnym uwielbienia zapalem i nadal zajmowało się kierownictwem i opieką tychże stowarzyszeń, i do ich rozwoju wszelkimi odpowiednimi przyczyniało się środkami.

Przewodniczący otwiera dyskusję co do drugiego punktu, podczas niej wchodzi *O. Othmar Gross*, trapista z Marianhilf z dwoma Zulusami, których zjawienie wielki wywołuje zapal. *O. Medits* jest za dodaniem do 2 punktu do słów: „misya na Wschodzie dostała się jej w udziale, i zważywszy, że w Maria

Ergensdorf w Niższej Austrii stawiają dom misyj zagranicznych, należący do austriackich misjonarzy w Hegl, który niebawem do rozporządzenia oddanym zostanie — wreszcie zważając, że wskutek etc. *O. Baemer* przemawia za misjami perskimi i na Libanie. Kanonik *Dr. Gustaw Müller* przemawia za Stowarzyszeniem św. Bonifacego, które tyle dobrego czyni dla gmin w Morawii, Siedmiogrodzie i Bośni. Co do centralnej rady Stowarzyszenia dzieciątka Jezus w Wiedniu i Salzburgu, wszczęto dyskusję. *Hr. Chorinsky* wspomina *O. Edmunda Hagera*, zakonu św. Benedykta, który tyle zasług położyło koło „Stow. dziecięctwa Jezus“. *P. Jansen* przeczy temu, jakoby Stowarzyszenie misyjne w Paryżu nic nie czyniło dla misyj niemieckich.

Podsekcyja: O życiu katolickiem.

Prezes *hr. Chorinsky* daje głos referentowi, wikaremu *Duerflerowi*, który odczytuje następujący wniosek:

Zważywszy, że w Austrii od wielu lat coraz liczniej powtarza się smutne odstępstwo od wiary, mianowicie między młodzieżą.

Zważywszy, że w Austrii Kościół katolicki nie ma zupełnej wolności w udzielaniu sakramentów, ponieważ najważniejszy i najpotrzebniejszy sakrament Chrztu św. nikomu między 7 a 14 rokiem udzielonym być nie może, choć rodzice i dzieci o to proszą, i choć biskup według praw kanonicznych orzekł swą władzę udzielania w takich warunkach sakramentu.

Zważywszy, że takie fakta, stojące w bezpośredniej sprzeczności z prawem Bożem, tylko tam zachodzić mogą, gdzie zapoznanem, pogardzonem i odrzucanem jest zapatrywanie chrześcijańskie: użala się drugi ogólny wiec katolików austriackich najgłębiej nad prawnem popieraniem apostazy i błaga wszystkich przedstawicieli katolickiej Austrii, zasiadających w parlamencie, by całego swego wpływu użyli, żeby w prawodawstwie znowu chrześcijańskie zapatrywania wzięły górę, i ażeby Kościół w sprawowaniu swej władzy i w wykonywaniu obowiązków, przez Chrystusa na siebie włożonych, szczególnie o ile się dotyczy udzielania świętych sakramentów, na nowo odzyskał przysługującą sobie w całej rozległości wolność.

Co do ustępu 2 przytacza referent smutne przykłady, potwierdzające orzeczenie, że dzieci między 7 a 14 rokiem, mimo, iż wychowanie chrześcijańskie otrzymały, nie przypuszczono do sakramentów dla tego, że rodzice ich byli żydami.

Proboszcz *Klima* z Morawii przemawia za przeszło 100,000

Słowian, żyjącym we Wiedniu. Trzeba zaradzić potrzebom ich duszy, dając im kapłanów, którzyby w ich języku do nich przemawiali. Mowca z oburzeniem odpiera podejrzenie, jakoby Słowianie spodziewali się od wiecu katolickiego przeprowadzenia jakiejś słowiańskiej liturgii. To czysty nierozum! Słowianie żywią gorącą miłość dla stolicy Piotrowej, której już dla tego wdzięczność winni, że ś. Cyryla i Metodego w całym Kościele cześć kazała. (Huczne oklaski).

Prezes dziękuje mówcy za jego słowa, a obecnym za uznanie. Professor Dr. Gustaw Müller zapewnia, że ta sprawa obchodzi najżywiej księcia arcybiskupa, i że zajmie się tem szczerze, aby Słowianom we Wiedniu na pomocy duchownej nie brakowało. Proboszcz *Prohaska* (z Morawii) występuje za trzecim zakonem ś. Franciszka i wypowiada, że gdyby wszyscy obecni doń wstąpili, uchwały przeszłyby z pewnością w życie.

Ks. Prof. Eustachy Skrochowski.

W sekcji dla życia katolickiego słyszałem, jak spodziewałem się, wiele o tem życiu w pojedynczych prowincjach monarchii całej, i dlatego z mojej strony zebrałem niektóre rzeczy, mogące rzucić światło na naszą katolicką działalność w ostatnich 50 latach. Ponieważ mi już użyczono słowa, chcę mówić o tem, chociaż stoję odosobniony z moim wykładem. Czas jest bardzo krótki, dlatego poruszę tylko rzeczy najważniejsze. Jako najważniejsze jednak uważam założenie nowych religijnych zakonów, które stworzone w skutek jakiejś religijno-socyalnej potrzeby, tej potrzebie i w praktyce odpowiadały. Prawdą jest, że zakładanie nowych zakonów i kongregacyj rośnie w bardzo szybkiej proporcji, tak, iż podczas kiedy zakon Benedyktynów przez ośm stuleci na Zachodzie prawie wyłącznie działał, powstała po religijnej stagnacji XVIII stulecia, szczególnie w Francji, prawdziwa epidemia nowych zakonów, które nie zawsze wydają się praktycznymi i potrzebnymi. U nas powstały zakony, o których mówić zamierzam, w tak ciężkich okolicznościach, że tylko prawdziwie religijna i społeczna potrzeba mogła je do życia przywołać.

Pierwszym zakonem, o którym chcę mówić, są *Zmarłych wstąńcy*. Wielu z was, moi panowie, słyszało zapewne, a może niektórzy z was przypominają sobie osobiście nieszczęśliwe zakończenie polskiego powstania z roku 1831, i o prawdziwie tryumfalnym pochodzie polskiej emigracji przez Niemcy do Francji. Wszystko, co zajmowało wyższe stanowisko w kraju, ministrowie i generałowie, autorowie dzieł i posłowie, wszystko to opuściło kraj, ażeby zaprotestować przeciwko przemocy, którą wywarło na kraju. Zapewne, była to szczególna i bardzo nieszczęśliwa idea, lecz wiara w szlachetne poczucie sprawiedliwości ludów chrześcijańskich była wówczas tak silna, że byli oni przekonani, iż w krótkim czasie odprawia drugi pochód tryumfalny napowrót do Polski, na czele potężnego wojska, by uwolnić ojczyznę od wrogiej przemocy. Rozczarowano się naturalnie zupełnie, a rozczarowanie to wywarło na emigrację, a pośrednio nawet na cały polski naród najgorsze skutki. Religijne uczucie wychodźców nie było bardzo mocne, a na francuskiej ziemi, gdzie z jednej strony radykalizm, z drugiej strony mistycyzm pewny socyalnej natury (jak St. Symonizm i inne) dzieliły umysły pomiędzy sobą, nie znalazła reszta katolicyzmu w sercach Polaków żadnej podpory, przeciwnie uczuli oni, że ich fałszywe kierunki umysłowe przyciągają do siebie.

Znalazł się jednak pomiędzy nimi jeden, który do emigracji nie należał, uczeń ostatniej szkoły benedyktyńskiej w Polsce, nazwiskiem Bohdan Jański, który hołdując dawniej St. Symonizmowi, uznał nieprawdziwość tej i innych, wówczas modnych doktryn, i powrócił do katolicyzmu, podczas gdy większa część jego ziomków właśnie się od tegoż była odwróciła. On przeciwstawił się im i udało mu się w drodze łagodnych dyskusyj zgromadzić w około siebie pewną — aczkolwiek niewielką — ilość wychodźców. Pomagał mu wówczas potężnie bardzo w jego dziele odrodzenia nasz sławny poeta Mickiewicz, który właśnie w tym czasie, także po wielu rozczarowaniach, zwrócił się ku katolicyzmowi.

Niektórzy z nawróconych, którzy nie mieli rodziny, przed-

sięwzięli sobie działać wspólnie i prowadzić rodzaj życia zakonnego. Takie towarzystwa były wówczas dosyć powszechne, że wspomnę tutaj tylko Nazareńczyków, którzy się najpierw w Wiedniu, potem zaś w Rzymie około Owerbeka ugrupowali. Także i o tem pierwszym jądrze przyszłego zakonu Zmartwychstańców zachowała się wzmianka w niemieckich „Historyczno-Politycznych Listkach“ (*Historisch-politische Blätter*) z r. 1840.

W tym właśnie czasie podjął Dom. *Gueranger* swoją reformę zakonu Benedyktynów we Francyi, a ponieważ sprawa ta dosyć zwracała na siebie uwagę, a młody po katolicku myślący Montalembert, wielki przyjaciel Polaków, zajmował się bardzo tą sprawą, skłonił on mieszkańców „domku“ (gdyż tak nazywano nowy mały instytut) odbyć pieszo pielgrzymkę do Salerno. Wycieczka ta, jak również odwiedziny blisko leżącego klasztoru Trapistów, Port de Salut, wywarły na młodych pielgrzymów bardzo głębokie wrażenie, tak, iż dwóch z nich imieniem Hieronim Kajsiewicz i Piotr Semeneńko powzięli postanowienie zostać kapłanami; był to istotny krok w kierunku założenia kongregacyi. Zaczęli oni swoje teologiczne studia najpierw w Paryżu, ale już po roku udali się do Rzymu, w nadziei, że ich tam przyjmą do Propagandy, co się jednak nie spełniło. Położenie tych dwóch alumnów i ich towarzyszy, którzy ustawicznie z Paryża się do nich przyłączali, było przykre. Musieli oni sobie zapracowywać na życie, aby móc pracować, a skoro już ukończyli studia, pokazało się, iż nie mogli otrzymać święceń kapłańskich, ponieważ zabrakło im odpowiedniego tytułu. W Rzymie przedstawiła im się alternatywa, albo oddać się zupełnie do rozporządzenia Propagandzie, lub też starać się o przyjęcie do rzymskiej dyecezyi. Jedno i drugie było dla młodych adeptów niemożliwem, ponieważ chcieli oni być czynnymi wśród polskiej emigracyi, która prawie zupełnie była pozbawioną pomocy religijnej, i spodziewali się przytem przez emigracyę wywierać dobry wpływ na swoją ojczyznę.

Papież Grzegorz XVI, pełen dobroci dla młodych alumnów, pozwolił im żyć razem i tworzyć rodzaj assocyacyi,

także nie dawał posłuchu częstym obwinianiom ambasady rosyjskiej, nie mógł jednak łatwo czegoś w tej sprawie zmienić, i tylko usiłowania wypróbowanego przyjaciela, Montalemberta, pomogły im w tym wypadku. Udało mu się mianowicie uzyskać od Najprzewielebniejszego Ks. Affre, paryskiego arcybiskupa (którego później, jak wiadomo, zastrzelono w r. 1848 na barykadach) tytuł święcenia dla wszystkich młodych Polaków, którzy się w Rzymie uczyli, z obietnicą, że arcybiskup im, jako kongregacyi, pełną autonomię pozostawi. W grudniu 1841 r. wyświęcono dwóch pierwszych alumnów, Kajsiewicza i Semeneńkę. Wkrótce nastąpili drudzy, tak, iż podczas zapust r. 1842 uradzono główne punkty reguły i konstytucyi; postanowiono spędzić ostatnie dni postu w katakumbach św. Sebastjana, i ukonstytuować się tam, co też rzeczywiście się stało. Jako pierwszego przełożonego obrano Ojca Piotra Semeneńkę, a ponieważ ta ceremonia przypadła w noc Zmartwychwstania Chrystusa, nadała sobie nowa kongregacya imię Zmartwychwstańców.

W tym czasie jednak zaszły między emigracją w Paryżu bardzo wielkie zmiany. Przybył tam z Litwy fałszywy mistyk i sekciarz, imieniem Towiański, który częścią przez rozszerzanie fałszywych patryotycznych prorocत्व i nadziei, częścią przez pozorne cuda, i w ogóle przez bardzo zręczne wystąpienie do tego doprowadził, że przeciągnął na swoją stronę poetę Mickiewicza, a z nim około czterdziestu najlepszych między emigracją. Mickiewicz był wtedy profesorem słowiańskich literatur w *Collège de France* i wyrobił sobie przez swój talent potężny wpływ; było to tedy dla młodych alumnów w Rzymie wielką radością pomyśleć, że raz wyświęceni i powróciwszy do Paryża, będą mogli mieć wielką pomoc w swoim apostołowaniu w słowach ulubionego profesora. Teraz jednakże stały rzeczy tak, iż cała gorliwość młodych kapłanów musiała się zwrócić przeciwko działalności słynnego profesora i poety, i według ludzkiego sądu, musiała się całkiem zetrzeć w tej walce. O. Kajsiewicz był wielkim kaznodzieją i musieliśmy prawie powrócić do XVI stulecia, aby znaleźć więk-

szego; pozwolono mu, jak również całej kongregacyi, działać w Paryżu dla emigracyi (co jeszcze do dziś dnia ma miejsce), a chociaż rozwinał on niesłychaną gorliwość i ustawicznie podróżował po Francyi i za granicą i wiele dusz do Boga przyprowadził, Towianizm rozszerzał się przecież, nietylko między Polakami, lecz także między innymi ludami (szczególniej w górnych Włoszech), i istnieje jeszcze po dziś dzień. Prócz tego założyli młodzi Ojcowie missye wszędzie w tych miejscach, gdzie się zagranicą większa ilość Polaków znajdowała, a więc szczególnie w miejscowościach kuracyjnych, gdyż wówczas nie mogło być mowy o tem, aby mogli oni powrócić do jakiejś polskiej prowincyi, nietylko w Prusiech i Rosyi, lecz także i w Austrii.

Najważniejszą jednak czynnością tej samej kongregacyi było dokładne informowanie Stolicy Apostolskiej o sprawach religijnych w dawniejszych polskich prowincyach, co uniemożliwiło wiele niebezpiecznych katolicyzmowi usiłowań, szczególnie ze strony rządu rosyjskiego. Łatwo tedy zrozumieć, że rosyjskie ambasady w Rzymie i w Paryżu nie próżnowały i starały się kongregacyi u dotyczących rządów jak najwięcej szkodzić, co się im, szczególnie w Paryżu, kilka razy rzeczywiście udało.

Tak stały sprawy aż do r. 1855, w którym kongregacya zaczęła się na nowo podnosić. Wówczas mianowicie postanowiono, że się będzie przyjmowało nietylko Polaków, lecz także i obcych do kongregacyi, co jej zaraz nadało ogólny, rzeczywście katolicki charakter. Wstąpiło do niej kilku Włochów, Niemców, Hollendrów i Aglików, przez co także rozszerzył się bardzo i zakres działania kongregacyi, otrzymała ona mianowicie w Rzymie od początku swego ukonstytuowania się kościół św. Klaudyusza, należący do francuskiej ambasady, nie na własność, lecz dla służby Bożej. Teraz, skoro także włoscy księża znajdowali się w kongregacyi, udzielił jej Ojciec św. mały klasztor na górze Sabińskiej imieniem Mentorella, z bardzo starym kościołem i cudownym posągiem Matki Boskiej, aby odpowiedzieć naciskowi pobożnego ludu włoskiego. Zapewne

między tutaj obecnymi panami jest kilku, którzy odbyli studia w Rzymie, w kolegium Germańskiem; ci zapewne będą dobrze znali Mentorellę, ponieważ prawie każdego roku jest ona celem przechadzki wielkiej tego kolegium w czasie feryj. Niemieckich i angielskich księży wysłano do Ameryki, gdzie założyli oni zaraz szkołę w Kanadzie i kilka probostw, i byli bardzo pomocni polskim członkom kongregacyi, których później także do Ameryki wysłano. Tutaj muszę zauważyć, że kongregacya, idąc za swem własnem doświadczeniem i za specjalnymi wymaganiami XIX wieku, wprowadziła do swego ducha zakonnego wiele nowych pojęć. Uważa ona jako charakterystyczny prąd naszego czasu socyalizm tj. przekształcenie społeczeństwa na zupełnie ludzkiej podstawie, pomyślanej nieraz tylko przez pojedynczego człowieka (jak np. Furieryzm). Temu prądowi przeciwstawiają Zmartwychwstańcy chrześcijańską organizacyą społeczeństwa, którego pierwszym elementem, rodzajem chrześcijańskiego falansteru, jest parafia, od której dobrego urządzenia zależy dobro całego towarzystwa. To urządzenie parafii było dla kongregacyi zawsze głównym celem jej zabiegów. Drugim przedmiotem, którym się ona teoretycznie nader zajmowała, i który mogła także praktycznie wypróbować, jest system wychowania, polegający na względnie bardzo wielkiej autonomii, rodzaju *self-governement* młodzieży. Wzmiankuję o tych usiłowaniach, nie przesądając definitywnie ich wartości, gdyż są same w sobie zajmujące bardzo, nie były jednak tak długo używane, aby sobie o nich takiego sądu pozwolić można.

Wielu z was, moi panowie, przypomina sobie ruch bułgarski około roku 1860, który wywołał masę nawróceń między tym słowiańskim i schizmatyckim narodem do katolicyzmu, lub do tak zwanej Unii. Był to krok raczej polityczny niż religijny, i przyniósł następnie, gdy już nie był politycznie koniecznym, również wielką ilość odpadnięć do schizmy w skutkach. Bułgarski katolicki biskup jednak, imieniem Sokolski, który był święcony w Rzymie, znalazł się naraz w Moskwie, a później rząd rosyjski użył go do gwałtownego przeprowa-

dzenia katolicko-ruskiej dyecezyi chełmskiej na schyzmę. Powstało tedy w Rzymie życzenie lepszego poznania stosunków w Bułgarii, a Ojciec Święty Pius IX wybrał w tym celu O. Hieronima Kajsiewicza i wysłał go do Bułgarii, aby mu zdał sprawę dokładną o stanie rzeczy.

• Memoryał wygotowany przez O. Kajsiewicza po jego podróży zadowolnił bardzo papieża; w samej rzeczy trudnoby było kogoś wybrać, ktoby był do tej sprawy odpowiedniejszym niż O. Kajsiewicz, który obok wielkiej żarliwości religijnej posiadał dokładną znajomość spraw unii w Polsce, i dlatego mógł się łatwiej oryentować w Bułgarii. W memorandum swoim twierdził on, że bezskuteczność katolickich misyj na Wschodzie, w tem szczególnie miała swe źródło, iż misye te były łacińskiego obrządku, i że byłoby bardzo pożądanem ustanowić takowe w greckim obrządku. Ojciec św. zapytał, czy O. Kajsiewicz, który wówczas był superiorem kongregacyi, może mu dostarczyć takich misyonarzy. Na to otrzymał odpowiedź, że kongregacya jest gotową do tego, gdyby tylko Ojciec św. raczył udzielić pozwolenia, ażeby kongregacya mogła posiadać, jako członków zakonu, mężów obu obrządków w swem łonie. Ojciec św. uczynił to chętnie, i tak powstał nowy zakres działania dla kongregacyi, który był ważnym bardzo nietylko dla Wschodu, ale także i dla Polski. Już w najbliższym roku 1863 przysłała bułgarska misya do skutku, która, według życzenia O. Kajsiewicza, obrała Adrianopol, jako główny punkt swego działania, i szybko się rozwijała, tak, iż teraz posiada dom misyjny, 8-klasowe gimnazjum, seminaryum duchowne, oba zakłady dla krajowców, i kilka mniejszych misyj. Że misya ta prócz religijnej działalności wywiera także bardzo ważny wpływ polityczny, nie ulega wątpliwości, i dlatego znachodziła ona zawsze pewną podpórę w austriackim konsulacie w Adrianopolu, a nierzadko otrzymywała zasiłek z prywatnej kasy Jego Cesarskiej Mości. Skoro w tak zwanej wielkiej walce o wolność, którą Rosyane prowadzili na korzyść Bułgarów, biedna ludność bułgarska z daleka uciekała przed swoimi oswobodzicielami, ażeby nie popaść w ich ręce, musiał

Adryanopol przyjąć wielką liczbę tych nieszczęśliwych, a księża Zmartwychwstańcy umieli dostać od tureckiego urzędu chleba potrzebnego dla nich, i sami go rozdzielali. Skoro jednak Rosyanie zajęli Adryanopol i tureckie wsparcie ustać musiało, dokazał pewien Ojciec z kongregacyi, Włoch, swoją energią tego, że zaczęto udzielać takiegoż wsparcia ze strony Rosyan, jakie miano dotychczas ze strony Turków, przez co pozyskała sobie kongregacya największą wdzięczność Bułgarów, a także i katolicyzmowi nie małe oddała usługi. Jak łatwo pojąć można, pokazywali się wówczas polscy ojcowie rzadko na ulicy; ale pewnego razu zdarzyło się, że jeden z nich, wówczas dyrektor gimnazjum, spotkał się wraz ze swoimi uczniami przypadkowo na przechadce z księciem Czerkaskim. Ponieważ wszyscy uczniowie nosili mundurki, a całe kolegium miało bardzo dobrą minę, zainteresowało to księcia, i zaczął się wypytywać dyrektora, który wyglądał całkiem na popa schizmatycznego, bliżej o szkołę. Wkrótce naturalnie dowiedział się, że to była szkoła katolicka, i odszedł stamtąd bardzo niezadowolony. Zdawało się wówczas, że trudno już było uniknąć zniszczenia misyi, alści trzeciego dnia po tej rozmowie umarł nagle książę Czerkaskij, a tak została misya uratowana.

Jeszcze jedno dzieło tej kongregacyi szczególnie zasługuje na wzmiankę: jest niem polskie kolegium w Rzymie, które założył Papież Pius IX w r. 1865. Kongregacya mianowicie podała myśl do tego i zgromadziła największą część funna ten cel. W ten sposób przyszło do skutku dzieło bardzo wielkiej wagi dla polskiego Kościoła, którego zaniedbano za czasów rozkwitu tej narodowości, a przyszło do skutku w czasach dla niej najcięższych.

Bardzo charakterystyczną jest ta okoliczność, że kongregacya założona przez Polaków i szczególnie dla Polaków, rozwijała się przez lat czterdzieści w Rzymie, Paryżu, Bułgarii i Ameryce i nie mogła w przeciągu tego czasu uzyskać pozwolenia założenia domu w żadnej polskiej prowincyi. Cała ta religijna działalność nie mogła przecież przez te długie lata zniszczyć zupełnie przesądu tajnej politycznej, a nawet rewol-

lucyjnej akcyi, aż dopiero około r. 1880 tak Ojciec święty jako też i Jego Cesarska Mość, w obec sławnego procesu, który wyswietlił rosyjską-schizmatyczną agitację w prowincjach austriackich, poruczyli kongregacyi założenie ruskiego internatu we Lwowie, co też sławny polski dziejopisarz, a członek kongregacyi O. Kalinka do skutku przyprowadził. Od tego czasu zbudowano także dom w Krakowie, wraz z nowicyatem, do którego wkrótce mają dodać internat dla młodzieży uczącej się w średnich szkołach. Panowie mi przebaczą, żem dłużej mówił, niżelim zamierzał, ale trudno było krócej rzecz ująć i nie wypuścić przytem nic, coby mogło postawić w prawdziwym świetle wytrwałość i różnostronną działalność tej kongregacyi.

Drugą kongregacją, o której chcę mówić, jest kongregacya w wielu rzeczach pokrewna duchowo z pierwszą, tylko są to zakonnice, które w ciaśniejszym zakresie działania tylko w Polsce i tylko na polu wychowania bardzo wielkie oddają usługi. Jestto kongregacya Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Dziewicy, która przyszła do skutku także w Rzymie i pod kierownictwem kilku Ojców z kongregacyi Zmartwychwstańców. Kongregacya ta liczy tylko trzy domy w Galicyi, gdzie udzielają wychowania dziewczętom z lepszych stanów. Chociaż działalność ta wydaje się bardzo małą, to jednak posiada ono wielką wagę, jeżeli się tylko pozna wyborne prowadzenie tych domów, ich ducha, zasady wychowania, wielkie wykształcenie zakonnice i wyjątkową roztropność przełożonej. Domy te słusznie cieszą się najlepszą sławą i są bardzo wysoko cenione.

Trzecia kongregacya, o której chcę mówić, jest tylko dla ludu i nie ma, o ile wiem, równych sobie na szerokim świecie. Są to tak nazwane „Służebniczki Matki Boskiej“, które założone w prowincyi poznańskiej, działają teraz prawie wyłącznie w Galicyi. Założycielem ich był właściciel niewielkich dóbr w okolicy Śremu, imieniem Edmund Bojanowski. Przyczyna zaś założenia była następująca: skoro w r. 1848 wybuchła w prowincyi poznańskiej wielka cholera, zajął się rząd pruski

wieloma polskimi sierotami. co z początku lud bardzo wdzięcznie przyjął. Później jednak okazało się, że dzieci te wychowywano po niemiecku i w duchu protestanckim. Aby tedy na przyszłość ochronić katolickie i polskie sieroty od apostazy i germanizacyi, pomyślano o katolickich i polskich instytucjach, któreby mogły wychowywać sieroty i biedne dzieci z ludu. Kierownictwo takich instytucyj oddano z początku Siostrze Miłosierdzia, one jednak mają swoje reguły i konstytucye, których nie można było zmienić, i które nie odpowiadały wielu praktycznym potrzebom przedsięwziętego dzieła. W tym samym czasie spotkał Bojanowski, który całą tę sprawę wziął był sobie do serca, kobietę z ludu, wdowę, która wzięła dwoje dziewczątek do siebie, i z ich pomocą zajmowała się nauczaniem, a po części i wychowywaniem dzieci we wsi. Było to *grannu synapis*, ziarno gorczyczne nowej kongregacyi. P. Bojanowski miał szczególnie na oku trzy potrzeby ludu: 1) Organizacyę pracy, 2) Pielęgnowanie małych dzieci, 3) Pielęgnowanie chorych. Postanowił tedy, ażeby w każdym domu tej kongregacyi przynajmniej trzy zakonnice musiały być czynne, z których jedna ma z ludem razem pracować w polu, dając się najmować do roboty zupełnie jak inne dziewczęta wieśniacze, druga ma pozostawać w domu, aby tam strzec przytułku małych dzieci, trzecia zaś powinna odwiedzać chorych we wsi. Chciał on nadto, aby ubiór ich jak najmniej się różnił od ubioru zwykle w tym stanie używanego. Instytucya ta okazała się do teraz, jako bardzo praktyczna. Pracujące siostry swoim przykładem podniosły bardzo pilność najemników, i przytem przeszkodziły prowadzeniu brzydkich rozmów, jakoteż śpiewaniu nieprzyzwoitych pieśni. Po wsiach, gdzie to dawniej było powszechnie we zwyczaju, słyhać teraz często, szczególnie podczas żniw, śpiewanie pieśni kościelnych. Małe dzieci nie są opuszczone od pierwszych lat, zanim zaczną chodzić do szkoły, i otrzymują religijne wychowanie. Słabi nie umierają bez sakramentów i znajdują pomoc i pociechę, nie będącą pierwiej ich udziałem.

Walka kulturalna wypędziła naturalnie i tę kongregacyę

z Prus, lecz szczęśliwym wypadkiem założono już dawniej kilka domów w Galicyi, a te mogły się na nowo ukonstytuować w kongregacyę. Ponieważ jednakże w kilku szpitalach, w których „służebniczki Matki Boskiej“ pielęgnowały chorych, lekarze wcale nie chcieli pozwolić, ażeby je oddalić, pozostała pewna liczba sióstr także i w Prusiech; inna część schroniła się do Morawii i Śląska, a w ten sposób egzystują dziś dwie od siebie niezależne kongregacye, tegoż samego zakonu, z których obie posiadają swoje własne nowicyaty i największe przynoszą usługi; obiedwie mają w tej chwili równą liczbę domów; każda kongregacya: około 50 w Galicyi i innych słowiańskich prowincyach Austrii. Zakon dostał się także do Anglii, nie jest mi jednakże wiadomem, czy się tam rozwinął i w jaki sposób.

Pozostaje mi tylko powiedzieć o siostrach św. Feliksa, żyjących według reguły św. Franciszka z Assyżu. Kongregacya ta powstała w królestwie Polskiem w r. 1855. Początek był także bardzo mały: a mianowicie dosyć bogata wdowa zebrała około siebie kilka dziewczetek pobożnych z lepszego stanu i przyjęła na wychowanie kilka biednych dziewcząt. Wówczas było bardzo czynne w Królestwie Polskiem towarzystwo rolnicze, które liczyło najznakomitszych mężów w swoim łonie, a jedną z głównych myśli tego towarzystwa było wykształcenie klas ludowych. Wielka ta myśl owładnęła małą kongregacyę i przyszła pod kierownictwem mnichów z zakonu Kapucynów, który wówczas bardzo kwitnął w Polsce, do pełnego rozwoju. Siostry św. Feliksa założyły szkółki i ochronki po pojedynczych siółach i były bardzo czynne, szczególnie w dyecezyi chełmskiej, która wkrótce miała paść ofiarą najstraszliwszego prześladowania. Działalność ta pobożnych zakonnic, jak również misye, urządzone przez biskupa lubelskiego Benjamina, były prawdziwem zrządzeniem Opatrzności, ażeby przygotować tę ludność do prawdziwie chrześcijańskiego oporu w prześladowaniach, do wzorowego znoszenia cierpień, a często i śmierci męczeńskiej.

Nieszczęśliwe powstanie w Polsce w r. 1863 było powo-

dem, że siostry św. Feliksa wypędzono z królestwa Polskiego. Obwiniano je o wzięcie udziału w powstaniu przez pielęgnowanie rannych i przez to, że nawróciwszy kilka żydowskich dziewcząt, skłoniły je do przyjęcia religii katolickiej, a nie schizmy. Znowu na szczęście założyły były one już pierwiej w Krakowie jeden dom, a chociaż w tym nieszczęsnym czasie i rząd austriacki także zamierzał wygnać siostry z Krakowa, ujął się za nimi ówczesny biskup administrator Gałęcki, a gdy wszystkie inne środki zawiodły, zwrócił się on osobiście do Jego Cesarskiej Mości, naszego pełnego sławy monarchy, a ten środek, jak zawsze, i teraz nie zawiódł. Zakon był uratowany.

W królestwie Polskiem działały siostry św. Feliksa przez 9 lat, od r. 1855 do 1864, a w chwili wypędzenia posiadały one 25 domów, najwięcej pomiędzy unickimi Rusinami chełmskiej dyecezyi. Teraz posiadają one w Galicyi 23 domy, po większej części po wsiach, a w nich około 200 zakonnic i pielęgnowują w swoich przytułkach około 4000 dzieci. W r. 1874 udało się pięć sióstr do Ameryki, gdzie polska emigracya jest teraz bardzo liczna: zakon rozwinął się tak szybko, iż dzisiaj ma z tamtej strony morza 20 domów, z około 100 zakonnicami i wychowuje około 8000 dzieci.

Moi panowie! Jeżeli chciałem wam to wszystko powiedzieć, to stało się szczególnie dlatego, aby panom pokazać, że my nie rozpaczamy i nie zasypiamy, lecz, że jesteśmy czynni, chociaż nasza działalność tak mało jest znana. Znają zapewne panowie historię młodego żydowskiego chłopca Mortara z Rzymu, który ochrzczony przez swoją mamkę, został później, wbrew woli swoich rodziców, po katolicku wychowany. Sprawa ta narobiła w swoim czasie wielkiego hałasu, a wiele rządów Europy zwróciło się do Papieża Piusa IX, aby położyć koniec „tej krzyczącej niesprawiedliwości“. Skoro później młody Mortaro odbywał nauki w jednym z rzymskich seminaryów, i skoro go raz przeznaczono do tego, aby miał mowę do Ojca św., rzekł doń wielki Papież: „Z powodu ciebie musiałem znieść wielką burzę, a wszystkie rządy świata ujęły się za tobą, żem cię wyrwał Żydom — mnie jednak wyrzywa rząd rosyjski co-

dziennie setki katolików, a żaden rząd nie ujmie się za nimi“.

Że żaden rząd nie ujmie się za prześladowanymi katolikami w Polsce, to ma swoje przyczyny, których zmienić nie jesteśmy w stanie, lecz gorzej byłoby, gdyby taki fakt był nieznanym lub obojętnym katolikom Europy, a szczególnie katolikom Austrii. Przed kilku laty przybył pewien Anglik, w swojej podróży do Warszawy i zapytał konsula angielskiego, coby było godnem widzenia w tem mieście. Konsul odpowiedział mu, że miasto niewiele posiada zajmujących rzeczy, jeżeli chce jednak zobaczyć coś, co jest jedynem w świecie w swoim rodzaju, mianowicie systematyczne krwawe prześladowanie religijne, to może mu je ze wszystkimi szczegółami pokazać. A zatem to, co dla nadętego angielskiego protestanta było najwięcej zajmującym, nie miałooby interesować was, moi panowie, tak gorliwych katolików! W szczególności zwracam się do was, moi panowie! katolików Austrii. Nie powinniśmy mianowicie zapominać, że krwawe prześladowanie właśnie na austriackiej granicy ma miejsce, a jeżeli z politycznych względów prześladowuje się tam krwawo katolicyzm na granicy, to pewnem jest, że z tych samych względów przekroczyła już dawno granicę antykatolicka propaganda i agitacya. Nie żądamy od was, panowie, żadnej pomocy pieniężnej dla naszej katolickiej działalności; widzieliście panowie, że umiemy sobie w tym względzie sami poradzić, wymagamy jednak od was prawdziwego chrześcijańskiego zainteresowania się, które polega na dwóch rzeczach: Na modlitwie — moi panowie, bez modlitwy nie moglibyśmy nic zrobić. Posiadamy kongregacye, które się modlą tylko, ażeby inni mogli działać. Musicie tedy nam w tem dopomóc. Po drugie, prawdziwe zainteresowanie się sprawą polega na tem, abyście panowie wiedzieli i chcieli wiedzieć, co się u nas dzieje, ażeby mianowicie prasa katolicka informowała się o tem, i aby nie pokrywała milczeniem faktów na naszą niekorzyść lub też ich nie przekręcała. Moi panowie! My katolicy polskiej narodowości wymagamy od was, panowie, tylko dwóch rzeczy: Modlitwy i prawdy!

Podsekcyja: O politycznych stowarzyszeniach katolickich.

Przewodniczący hr. *Chorinsky* daje głos referentowi Msgr. Knabowi, który przemawia za wnioskiem, aby katolickie duchowienstwo nie uchylało się od związków polityczno-katolickich. Dyr. *Schöpflethner* występuje z wnioskiem:

Drugi wiec katolików austriackich z radością uznaje udział duchowienstwa w katolickich politycznych stowarzyszeniach, które i nadal jego poparciu poleca.

Wniosek ten jednomyślnie przyjęty.

Przewodniczący przechodzi do drugiego ustępu wniosku.

Drugi ogólny wiec katolików austriackich wyraża swe przekonanie, że bardzo od wszystkich pożądaną jest rzeczą, by wiece podobne regularnie się powtarzały. Niech więc obiorą komisarza, któryby odpowiednie poczynił kroki, celem zwołania trzeciego zjazdu. Zarazem poleca tenże wiec katolikom Austrii, ażeby przygotowywano i zwoływano wiece po krajach poszczególnych.

Posel Zallinger proponuje trzeci wiec na rok 1890; po krótkiej dyskusyi postawiono następný wniosek:

Drugi ogólny wiec katolików austriackich jest tego przekonania, że regularnego powtarzania podobnych zgromadzeń katolickich domaga się sama sprawa. Zarazem postanawia, by obrano komisarza, któryby się o to postarał, aby następny trzeci wiec katolików austriackich mógł być zwołanym na rok 1890. Prócz tego poleca walne zwoływanie wieców po różnych krajach.

Komisarzem wybrany jednogłośnie hr. Antoni *Pergen*.



I. WALNE ZEBRANIE DLA UCHWAŁY WNIOSKÓW d. 1 maja.

Hr. Blome otworzył posiedzenie pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Wiceprezes generalny komunikuje telegraficzną odpowiedź J. Emin. Kardynała *Rampolli* na telegram katolickich stowarzyszeń studenckich, przesłany w języku łacińskim, nadto telegramy powitalne od kilku stowarzyszeń katolickich. *Dr. Ebenhoch* odczytuje liczne telegramy między innemi od księcia *Alfreda Lichtensteina* i od księcia *Adama Sapichy*, który dla choroby na wiec przybyć nie mógł.

Prezes *hr. Blome* oznajmia, że przed przejściem do porządku dziennego, udziela głosu delegatowi *ks. Petesza*, biskupa stanisławskiego obr. gr., *ks. kanonikowi Piurko*.

Mowa radcy konsystoryalnego Ks. Piurki.

Najprzewielebniejszy książęta Kościoła! Szanowne Zgromadzenie!

Przychodząc, dzięki szczególnej dobroci JE. wielce szanownego p. przewodniczącego, jeszcze tylko dodatkowo do słowa, muszę przede wszystkim prosić o pobłażanie. Moja kołębka nie stała tam, gdzie mówią po niemiecku. Proszę jednak panów, abyście nie patrzyli tak na mój język, jak raczej na moje serce. Język mój jest słowiański, a mianowicie ruski, ale serce moje jest katolickie i austriackie. Sądzę, że śmiem to

powiedzieć, gdyż chrześcijanin obowiązany jest wyznawać swoją wiarę i swoje przekonania także publicznie.

A zatem słowo przywitania i błogosławieństwa od mego biskupiego zwierzchnika, który mię tu wysłał, a który bardzo się interesuje drugim wiecem austriackich katolików, i z serca życzy mu najlepszego skutku. Mam jednak także zarazem zaświadczyć, że nietylko znakomity biskup ruski, którego mam zaszczyt tu być przedstawicielem, i nietylko jego kler, lecz także cały ruski episkopat, cały ruski kler, cały ruski lud austriacki hołdują temu niewzruszonemu przekonaniu, że katolicyzm z jednej strony, a Austria z drugiej są znakiem, pod którym jedynie Rusini mogą zwyciężyć, a dalibóg — zwyciężają.

Na potwierdzenie tego, iż takie pojęcie rzeczy odpowiada rzeczywistym faktom, potrzebuję tylko przypomnieć, że niedawno temu oświadczył uroczyście powołany przedstawiciel ruskiego narodu w parlamencie, że hasło narodu ruskiego brzmi: „Rzym i Wiedeń“.

„Ale cóż to ma znaczyć?“ spytał mię ktoś niedawno. „Rzym znajduje się jeszcze w rękach wrogów Kościoła, a Wiedeń nie znajduje się jeszcze w ręku zjednoczonych chrześcijan?“

Rusin nie może sobie Rzymu inaczej pomyśleć, jak katolickim i jako *Patrimonium Petri*, a Wiednia inaczej jak katolickim i austriackim!

Katolicyzm i austriackość tedy jest hasłem, jest sztandarem austriackiego Rusina.

Sztandar ten będziemy my, austriaccy Rusini trzymali zawsze do góry i w poszanowaniu, pod tą chorągwią wytrwamy wiernie aż do końca, co więcej, będziemy zawsze się starali wedle naszych słabych, ale przecież trzy miliony wynoszących sił, przyczynić się do tego, ażeby się spełniło słynne słowo Ojca św., tego Ojca św., który powiedział: *O mei Rutheni, per vos ego spero Orientem mihi concertendum!*

Referent sekcji prawnej *Dr. Karol Schnabel* odczytuje wnioski, które bez żadnego roztrząsania z wielkim zapalem przyjęto. Prezes sekcji „nauka, sztuka i literatura“ *Baron Hel-*

fert odczytuje siedm wniosków, z których pięć zostało przedtem podanych, dwa zaś wniesiono na dzisiejszem posiedzeniu. Przed odczytaniem ostatniego wniosku „o papieskim instytucie nauk przyrodniczych“, prezes dodał, że zapytał się Ojca św., czy na myśl tę się zgadza, na co otrzymał potwierdzającą odpowiedź.

Prezes *hr. Blome*, oznajmia, że od głosowania nad tym wnioskiem się powstrzymuje, odpowiedź bowiem Ojca św. już tę kwestyę rozstrzygnęła, prosi jednak, by zaznajomiono obecnych z wnioskiem, za którym tak żywo i z tak powszechnem uznaniem przemawiał.

Żądaniu temu uczyniono zadość, poczem *Mgr. Knab* odczytał w imieniu sekcji „życie katolickie i działalność stowarzyszeń“ wnioski, dotyczące katolickich politycznych stowarzyszeń, które wraz ze zmianami jednogłośnie przyjęto, równie jak rezolucye *B. Dörflera* i *Dyr. Schöplenthnera*, dotyczące zakładów dobroczynności.

Książę Loewenstein przedstawia smutny stan zakonnic włoskich, ze swych klasztorów wypędzonych, polecając je miłosierdziu obecnych. Na wniosek *Dyr. Schöplenthnera* poproszono księcia, by utworzył osobny komitet, który dnia następnego mógłby obmyślić i podać zgromadzonemu do wiadomości praktyczne środki dla przyścia w pomoc nieszczęśliwym zakonnikom. *Dr. Rochow* domaga się, by zawezwać w tej mierze pomocy szlachetnych Włochów, na tej bowiem drodze prędzej się rozstrzygnie kwestya włoska.

Dyr. Schöplenthner referuje dział „Misy katolickie“, a *Dr. Stich* „o katolickich stowarzyszeniach studentów“, które bez zmian przyjęto.

Prezes sekcji „szkoła“ oznajmia, że sekcya ta nie zakończyła swych obrad. W imieniu sekcji „stosunki socyalne“ przemawia *Dr. Ebenhoch*. Wszystkie wnioski przedłożone przez tę sekcję bez dyskusyi przyjęto.



II. WALNE ZEBRANIE DLA UCHWAŁY WNIOSKÓW d. 2 maja.

Dr. Hagenauer wyraża życzenie, aby streszczenia steno-
graficzne z przebiegu działalności wiecu katolickiego podawane
były jak najdokładniej w ogólnych protokółach, któreby każdy
z biorących udział w wiecu, mógł dać na inny język przełożyć.

Prezes *hr. Blome* zaleca tę sprawę wszystkim uczestnikom
wiecu i każdemu z osobna z poszczególnych krajów koron-
nych, następnie, po odczytaniu telegramów od bardzo wielu
stowarzyszeń łączących się ze wszystkich stron Austrii z uchwa-
łami wiecu, przystępuje do porządku dziennego, udzielając
najprzód głos przewodniczącemu sekcji prasowej.

Prof. Uniw. *dr. Schindler* przedkłada wniosek prof. *dr.*
hr. Tarnowskiego i prof. *dr. Chotkowskiego*:

„Drugi wiec katolików Austrii uznaje za pożądane, aby katolicka
publicystyka Austrii podawała dokładne wiadomości o stanie oplakanym
Kościoła katolickiego w pojedynczych krajach“.

Rezolucya ta przyjętą zostaje jednogłośnie.

Przewodniczący sekcji szkolnej, prałat *Karlon*, wymienia
jako sprawozdawcę sekcji szkół średnich, *O. Abel'a*. Prof. ks.
Abel T. J. powitany głośnymi, przeciągłymi oklaskami, dziękuje
na wstępie za tak niezwykle objawy zapału; następnie użala się na
zupełnie błędne i fałszywe sprawozdanie w *N. F. Presse* z mo-
wy, którą wczoraj wygłosił, przytaczając zarazem odnośny ustęp,

gdzie — jak wszyscy poświadczają — zasadnicza zmiana i przekręcenie tekstu jest widocznem. „Albo tedy p. korespondent *N. F. Presse* nie był w stanie pojąć związku mych słów, albo też będzie to jeden z owych częstych objawów, które inne dzienniki zowią politycznem kłamstwem. W każdym razie, poczuwam się do obowiązku w imieniu wszystkich katolików przeciwko tego rodzaju podawaniu wiadomości jawny założyć protest. W dalszym ciągu odczytuje sprawozdawca 1, 2, i 3 punkt rezolucyi, którą zgromadzenie jednogłośnie i z oklaskami przyjmuje, zgadzając się również na dodatkowy wniosek p. *Popiela*.

Prezes dziękuje *O. Abelowi* za jego znakomite referaty. Na *Kalksburg*, do którego *O. Abel* należy, z dumą spoglądać możemy. Czem więcej z lekceważeniem oceniają niektórzy uczniów z *Kalksburga*, tem silniej my zaznaczyć musimy, żeśmy z nich dumni, jak i z Jezuitów w ogólności, szczególnie Jezuitów z *Kalksburga*. Huczne oklaski. *O. Abel* dziękuje starym, katolickim zwyczajem „Bóg zapłać“!

Poseł *dr. Fuchs* zdaje sprawę z wniosków sekcji dla szkół wyższych, a w zastępstwie nieobecnego *Msgr. Panholcera* również i dla szkół ludowych. Zgromadzenie jednogłośnie przyjmuje rezolucyę.

Z uchwał sekcji dla umiejętności, sztuk i literatury zdaje sprawę br. *Helfert*, poczem rezolucye zostają jednogłośnie przyjęte. Następnie referent br. *Helfert* oznajmia, iż na rzecz założenia papieskiego instytutu nauk przyrodniczych, ofiarował proboszcz z *Irschen* (Karyntya) datek 200 złr. (Oklaski).

Dr. Ebenhoch referuje uchwały sekcji socyalnej.

Prof. uniw. *dr. Schindler* wzmiankuje, odnośnie do odbywającego się jednocześnie we Wiedniu zjazdu katolickich prawników, iż radca *Lienbacher* wygłosił na tymże znakomitą rozprawę o kwestyi rzymskiej, która niebawem w druku się ukaże.

Ks. Loewenstein oznajmia, iż zawiązał się komitet w celu wspierania zakonnic włoskich. Datki przyjmuje księgarz *Meyer* (*Singerstrasse*) i księgarnia „*Styrya*“ w Gracu.

Referent *dr. Dörfler* zdaje sprawę z uchwał sekcji „Życia katolickiego“ a Msgr. *Knab* z podsekcji „O katolickich politycznych stowarzyszeniach“, w których według wniosku posła *Zallinger*a i kler może uczestniczyć.

Tenże sam sprawozdawca przedstawia rezolucję: w r. 1890 odbędzie się trzeci powszechny wiec katolików austriackich, i w tym celu nastąpi wybór komisarza. Wniosek ten przyjmuje zgromadzenie z entuzjastycznymi okrzykami.

Na zapytanie przewodniczącego *hr. Blome* co do wyboru komisarza, oświadcza sprawozdawca Msgr. *Knab*: W imieniu podkomitetu pozwalam sobie przedstawić męża, który około urzeczywistnienia i zwołania obecnego wiecu katolików największe położył zasługi. Mężem tym wielce zasłużonym jest *hr. Pergen*.

Hr. Pergen. Dopokąd Bóg mi duchowych i fizycznych sił użyć, dopokąd w nieskończonem swem miłosierdziu udzieli mi tej łaski, bym mógł Mu służyć, wytrwam wiernie w służbie Kościoła. Bez obawy nieść będę wysoko sztandar wiary, chorągiew krzyża. Wam Panowie, za położone we mnie zaufanie najszczerza podzięka; mandat, który w moje powierzyliście ręce, przyjmuję i tuszę, że się godnym okażę powierzonego mi zadania. Żadna przeszkoda nie przejmie mię lękiem — przecież nieraz dziarski parobczak cieszy się, gdy przyjdzie za łby się wodzić. A gdybyśmy tego pierwej nie wiedzieli, poznalibyśmy przy tym katolickim wiecu: czem większe trudności, tem większe błogosławieństwo Boże. A więc wołam: Do widzenia! do widzenia w przyszłym roku! na trzecim katolickim wiecu! (Kilkuminutowe huczne oklaski i brawa — zgromadzenie powstają z okrzykami na cześć *hr. Pergena*).

Msgr. *Knab* zwraca uwagę, aby wiece katolickie urządzono na wzór północno czeskich wieców, około których redaktor *Opitz* tyle położył zasług.

Prezes *hr. Blome* zamyka posiedzenie.



II. POSIEDZENIE UROCZYSTE.

Przewodniczący hr. *Blome* otwierając posiedzenie, objawia życzenie, aby wszystkie rezolucye, na poprzednich posiedzeniach przyjęte, we wszystkich językach monarchii ogłoszone zostały.

Inżynier *Meisner* wyraża swą radość, że ruch katolicki silnie rozwijać się począł, jak o tem świadczy obecny wiec katolicki. Chrześcijańskie ludy z utęsknieniem wyglądają owego ożywczego teźnienia wiosny, które dozwoli, aby ciepłe, łagodne promienie łaski i wiary na nas spłynęły. (Żywe oklaski). My, najmłodsze pokolenie, z wdzięczną radością przyjęliśmy zaproszenie na wiec katolicki, przybiegliśmy na pierwsze skinienie, aby dać świadectwo, że sprawę Kościoła i ludu chrześcijańskiego po nad wszystko stawiamy. (Żywe brawa i oklaski). Zgromadziliśmy się tutaj, aby w obec całej chrześcijańskiej Austrii uroczystą złożyć przysięgę, że niezmordowaną rozwinie my działalność w obronie Kościoła i ojczyzny, i nie prędeż spoczniemy, aż ów „okręt głupców“ liberalizmu o opokę Kościoła się roztrzaska. (Żywe oklaski). Celem naszych katolickich stowarzyszeń studenckich jest pielegnowanie szczytnych ideałów, których koroną i uwieńczeniem jest przywiązanie do naszej starej katolickiej wiary, do naszej czcigodnej dynastyi, do naszej wspólnej, pięknej austriackiej ojczyzny. (Żywe oklaski). Nie straszy nas zarzut: jesteście ultramontanie; z dumą na to odpowiedzieć możemy, że istotnie oprócz naszej ojczyzny, nale-

żymy do innego duchowego państwa, ale państwa, którego granice nie są na tej ziemi, do mocarstwa, jakiego niema drugiego, do państwa Chrystusa. Nasza wierność dla Kościoła, dynastji i państwa nie wyklucza jednak, że my, przedstawiciele katolickich stowarzyszeń studenckich, wysoko cenimy naszą narodowość. Oświadczamy jasno i stanowczo, że chcemy jako prawdziwi Austriacy i Niemcy żyć, działać i umierać. Atoli prawdziwy Niemiec w Austrii, na swych braci innej narodowości, z którymi węzłem wiary i wielowiekowego wspólnego rozwoju jest złączony, którzy z nim na niezliczonych polach walki pod godłem czarnego orła krew swą przelewali, wstępnym bojem nigdy nie uderzy. Mówca kończy swą mowę, oświadczając w imieniu wszystkich stowarzyszeń studenckich swą radość z powodu uchwalonego zwołania III-ego wiecu katolickiego w r. 1890.

Książe biskup dr. *Kahn*. Mając mówić o szkole wyznaniowej, pragnę nie zatrzymać się na powierzchni, lecz sięgnąć do jądra tej najważniejszej dziś dla nas kwestji. Jaki nasz cel, dążność; jaki cel, dążność zwolenników szkoły bezwyznaniowej? Trudno, a nawet niemożliwą jest rzeczą zadowolnić się bujającymi swobodnie po powietrzu frazesami: postęp, nauki, charakter, patryotyzm i t. d.; a przecież obrońcy szkoły bezwyznaniowej tymi nas tylko frazesami karmią. Idźmy dalej, stawmy sobie najważniejsze pytanie, jaki jest ostateczny cel stworzenia, a przedewszystkiem człowieka? I tu albo milczenie nam tylko odpowie, albo lekkomyślne, a rozpaczliwe: Nic! — ze śmiercią wszystko się kończy.

...Prawda! dochodzi mię zarzut: nie wykluczamy Boga, mówimy o Bogu! O jakim Bogu? Czy o tym mglistym, elastycznym wytworze własnego naszego umysłu, który podobają nam się Bogiem nazwać, ale który, jako nieistniejący w rzeczywistości, jako raczej stworzony przez nasz umysł, a nie nasz Stwórca, nie może zaspokoić potrzeb duszy, pragnień serca!? Dopokąd światłem wiary kierując się, nie zrozumiemy jasno, czem Bóg, a czem człowiek, i jaki wzajemny stosunek stworzenia do Stwórcy; dopokąd do zrozumienia i przeniknięcia

się obowiązkami, płynącymi z poznania tej teoretycznie i praktycznie najważniejszej prawdy, szkoła dopomagać nie będzie. dotąd szkoła nie wywiąże się należycie z ciężącego na sobie zadania. Zdrowo na rzeczy zapatrując się, dojść musimy koniecznie do następujących wniosków:

Człowiek przez Boga dla Boga stworzony jest członkiem rodziny, rodzice więc są zastępcami Boga, i przede wszystkim Bogu są odpowiedzialnymi.

Człowiek przez łaskę chrztu świętego utracone odzyskawszy prawa, musi się wyrabiać podług wzoru Chrystusa, ażeby wszelkie jego działania były w zgodzie z jego moralną istotą.

Prawda chrześcijańska oświeca i poucza człowieka o niezawodnym jego celu i powinnościach; łaska odkupienia przeistacza go, uzdrawia na duchu, wspiera i posila. Bóg sam w pomoc przychodzi człowiekowi przykazaniami, a te mają być podstawą jego czynności. Sankcya jest Boską, i rozciąga się w skutkach na czasy i wieki, obejmując cały rodzaj ludzki.

Nieomylnym głosicielem i tłumaczem Objawienia jest Kościół łaską Ducha św. strzeżony. Rodzina powinna szukać pomocy i znaleźć ją w informacji o nauce i wychowaniu dorastających dzieci w szkole; stąd nie wolno szkole sprzecznego zajmować stanowiska w obec chrześcijańskiej rodziny. Jak roślina, gdy wzrość ma, potrzebuje nieustannie światła i ciepła, słońca i wilgoci, tak samo dorastające dziecko, chłopiec i młodzieniec, na których oddziaływać musi nauka zgodnie z przykładem wedle niezachwianego wzoru Chrystianizmu. Rękojmnią tego chrześcijańskiego wzoru jest przez Chrystusa ustanowiony Kościół, pod opieką Ducha świętego zostający.

Chrześcijanin mocą chrztu świętego odpowiedzialny jest przed Bogiem za wychowanie i nauczanie, do celu prowadzić mające. A teraz porównajmy istniejące austriackie ustawy szkolne. Zaraz pierwsze paragrafy tych ustaw z 25 maja 1868 r. brzmią:

§. I. „Najwyższe kierownictwo i dozór nad wszelkiem wychowaniem i nauczaniem przysługuje państwu“.

§. II. Bez naruszenia tego najwyższego prawa, pozosta-

wia się kierunek i bezpośredni dozór nad nauką religii i ćwiczeń pobożnych, w szkołach ludowych i średnich miejscowemu kościołowi lub zgromadzeniu zakonnemu“.

„Inne przedmioty naukowe są niezależne od wpływu jakiegokolwiek kościoła lub zgromadzenia zakonnego“.

Czy tu dziecię nie jest uważane, jako złożone z dwóch różnych, sprzecznych ze sobą istot: Bożej i ziemskiej? Atmosfera chrześcijańska, którą wszyscy bezwiednie oddychamy, sprawczynią jest jedyną, że istniejący przedział nie jest ogólniejszym, że jaskrawiej się nie uwydatnił.

Przypuściwszy nawet pewną życzliwą neutralność, dopatrzeć się w niej musimy braku jedności we wzajemnem stosunku nauki do wychowania. Chrześcijańskie dziecię nie może być dobrze wychowane, jak tylko w atmosferze na wskroś chrześcijańskiej. Takiej rękojmi domaga się chrześcijańska rodzina i domagać się musi chrześcijański Kościół.

Dostojni zgromadzeni! Jeżeli na takich zasadach się opierając, otwarcie wypowiecie żądanie chrześcijańskiej, wyznaniowej, katolickiej szkoły dla katolickich dzieci, natenczas stawicie żądanie ze wszech miar słuszne, rozumem nakazane (oklaski), domagać się będziecie tylko praw waszych nieprzedawajnych. (Huczne oklaski). Dopełniacie pierwszego i najważniejszego obowiązku jako chrześcijanie i katolicy, a tem współdziałaniem przyczynicie dobra duchowego i wiekuistego dzieciom waszym, które wam Bóg na stwierdzenie swej szczególnej miłości powierzył. (Oklaski). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! (Zgromadzeni odpowiadają: Na wieki wieków Amen“).

Ostatni przemówił

Książe Alojzy Liechtenstein.

Miedzy dwiema najmłodszymi gałęziami wiedzy ludzkiej, ekonomią polityczną a nauką socyalną istnieje historyczne przeciwieństwo. Ekonomia polityczna, jak ją sobie liberalizm do miary przykroił, była jedynie nauką o dobrach stworzonych przez pracę. Nauką socyalną o człowieku, który dobra

produkuje, zajęło się dopiero to stronnictwo, które się przeciw liberalizmowi podniosło. Ekonomia polityczna przed 25 laty liczyła człowieka, dającego pracę i żyjącego z niej, tylko do kosztów przedsiębiorstwa, po odciągnięciu których pozostaje czysty zysk. Dla niej więc była cała pracująca warstwa przedmiotem subtrakcyi. W walce przeciw błędom i jednostronności ekonomii politycznej powstała nauka socyalna, zrazu tylko protest przywódców klasy gnębionej, stawiany w sposób bystry lub uczony, ściśle dowodowy, lub namiętny.

Jednak dziś jest ona czemś więcej, niż protestem pracujących. Nauka socyalna stała się wspólnem mieniem wszystkich wykształconych, o ile ci powrócili do świadomości chrześcijaństwa, jako podstawy naszej cywilizacyi.

Dla nas jest nauka socyalna niezmienną chrześcijańską moralnością, zastosowaną do praw, które normują podział owoców pracy i produkcję dóbr stosownie do każdorazowego stanu technicznych środków pomocy; dla nas jest ona przedewszystkiem chrześcijańską nauką, ponieważ nie będzie nas uczyła niczego, coby nie było już zawarte w pojedynczych prawdach, które Zbawiciel podczas swego na ziemi pobytu objawił uczniom, biednym rybakom, wieśniakom lub rzemieślnikom. Dla nas jednak jest ona także polityczną nauką, gdyż żaden mąż stanu już jej nie pominie, a żadne stronnictwo nie powinno jej lekceważyć.

Przed 12 laty miałem zaszczyt w imieniu naszej partyi tu na tem miejscu rozwinąć program socyalny. Dziś możemy z zadowoleniem spełnionego obowiązku spojrzeć na naszą działalność w parlamencie od tego czasu. Nasze stronnictwo nigdy od swego programu nie odstąpiło — i owszem — zaczęło go urzeczywistniać na wszelkich polach życia ekonomicznego. Drugi wiec katolicki w przedłożeniu sekcyi socyalnej uchwalił nietylko powtórzony, lecz i szczegółowo obrobiony program wiecu pierwszego. A to moi panowie ma więcej niż teoretyczne znaczenie. Wiec katolików nie może wprowadzić ustawy uchwalać; w parlamencie jest miejsce, gdzie powołani reprezentanci ludu stwarzają prawa; ale obok prawodawstwa socyal-

nego, tylu musimy zajmować się zadaniami wychowawczymi, religijnymi, politycznymi i nacyonalnymi, tyle przesądów trzeba zwalczać, tyle jawnych i skrytych nieprzyjaźni zwyciężać, tyle kompromisów musi się zawrzeć, żeby w ogóle o krok pójść naprzód, iż wśród tego bardzo łatwo mógłby być kierunek prawodawstwa socyalnego zmieniony, gdybyśmy nie mieli pewnego forum, na któremby bez ubocznych wpływów i cel i droga do celu dokładnie ustalonymi być mogły.

W ten sam sposób, moi panowie, budowało społeczeństwo średniowieczne swoje świątynie. Pobożni mieszczanie składali grosz po groszu, skromni budownicy wnosili i spajali kamień po kamieniu. Klęski elementarne albo wojny przerywały częstokroć rozpoczęte dzieło. Ale, moi panowie, plan architektury wyprzedzał jeszcze położenie kamienia węgielnego, a wiernie przechowywany w budowniczej chacie, był zawsze wydobywany, gdy synowie brali się dalej do dzieła tam, gdzie ojcowie byli zmarli przed spełnieniem ślubu.

Przynosimy wam więc powtórzenie programu i szczegółowe jego opracowanie; a jeżeli wolno reasumować myśli wyrażone w sekcji socyalnej, chciałbym powiedzieć co następuje: Kwestyę socyalną w jej dzisiejszym stadyum uważamy za zbieg dwóch doniosłych faktów. Pierwszym jest niezmierny postęp techniki maszyn, który zawdzięczamy wielkim wynalazcom z przed 80 lat. Te wynalazki oszczędzają czasu i trudu, a Opatrzność skierowała bez wątpienia ku nim ducha ludzkiego, aby człowiek przez zwiększoną władzę nad siłami natury, mógł tu na ziemi bardziej wolne, godne i doskonałe życie prowadzić. Drugim faktem jest ostateczny przełom i zgubne, niestety, zwycięstwo rzymskich zasad prawnych w ustawodawstwie ekonomicznem naszych czasów. Takie poglądy prawa rzymskiego, zastosowane do pogańskiej cywilizacji z przed 2000 lat, opierają się na pojęciu absolutnej własności, i przyjmują z góry niewolę albo do niej nazad prowadzą. Między tendencją postępu maszyn, a zamiarami ekonomicznego prawodawstwa istniał więc już pierwotny rozbrat, i im konsekwentniej się obie rozwijały, tem prędzej prowadziło to do zupełnego przeciwieństwa. Dziś stoimy

już w rozstrzygającej chwili walki, gdzie albo techniczny postęp osłabnąć, albo prawodawstwo nawrócić musi. Krótkie porównanie, paralela między stosunkami starego Rzymu a dzisiejszych czasów, powinny to wykazać. Porównajmy naprzód pracujące warstwy ze sobą. W Rzymie była ziemia podzieloną na latyfundia, na średnie i małe posiadłości, jednak wszystkie były przeważnie niewolnymi siłami roboczymi zagospodarowane. Także całe wielkomiejskie rękodzielnictwo było w rękach właścicieli, posługujących się niewolniczą robotą. Ogół więc pracy, która zaopatrywała ludność rzymskiego państwa w odzienie, mieszkanie i żywność, był pełniony przez niewolników lub półniewolników wszelkiej kategorii. Charakterystyczne znamię położenia ekonomicznego tej klasy polegało na tem, że dla siebie nigdy nic nie zachowywało, ponad to, co ściśle do życia było potrzebne, że dla niej założenie i utrzymanie rodziny materyalnie nadzwyczajnie było utrudnione, że wreszcie cały czysty zysk z jej pracy właścicielom gruntu, rękodzielnego materiału i pieniężnych kapitałów przypadał.

Moi panowie! W XIX wieku pracujące warstwy są wolne, to prawda, ale zbywa im albo bardzo wnet utracą owe istotne warunki wolności, bez których ta ostatnia staje się próżnem słowem i gorzką ironią. Mówią tu o ekonomicznej samodzielności i owej nadwyżce ponad to, co do życia konieczne, a która jedynie umożliwia założenie i utrzymanie uczciwej rodziny, jakoteż jej cywilizacyjny postęp.

Stan włościański, ta najpierwotniejsza forma wolnego gospodarstwa rolnego, do dziś dnia już w wielu krajach Europy zaginął, a wszędzie zacieśnia się jego terytorjum. To, co dziś pozostaje, jest to tylko odpowiedzialny wyrobnik na własnym gruncie, którego dochodem dzieli się państwo i wierzyciel. Stan rzemieślniczy jest zgubiony, jeśli tak dalej pójdzie; kapitaliści, choć się rękodzielnictwa nie uczyli, odbierają mu jednak siłę pomocniczą, odbyt i chleb, a potem ze spokojem ducha oczekują chwili, w której nędza zmusi większą część oddać swoją zręczność, pilność i doświadczenie w służbę tym,

którym tych wszystkich przymiotów brak. Natomiast najemny robotnik przemysłu fabrycznego jest typem, w którym się dzisiejsze społeczeństwo najwięcej do starożytnych wzorów zbliża. Pozbawiona majątku, aż do koszuli, którą nagość swoją okrywa, aż do kilku groszy na śniadanie dnia następnego, nie jest ta klasa nawet w stanie sama ze swoich szeregów się uzupełniać, albowiem kobieta, oderwana od kołyski dziecka i ogniska, stoi przy maszynie, i dzieci źle żywione, a wcale nie strzeżone umierają młodo lub wczesnie się starzeją; a strejki i wolne przenoszenie się z miejsca na miejsce, najniebezpieczniejsze illuzye wolności, obostrzają tylko zależność tych warstw.

Teraz, moi panowie, porównajmy panującą klasę bogaczy starożytnego Rzymu a XIX wieku. W Rzymie, za świetnych czasów Rzpłtej, to nawzajem znosiły się, to spierały dwie grupy panującego stanu: urzędnicza szlachta rodów senatorskich, w której się także i dawni patrycyusze znajdowali, i stan rycerski — *equites* — najzamożniejsi i najpotężniejsi obywatele italskich municipiów. Obie te grupy były wyłącznie natury plutokratycznej bez żadnej przymieszki feudalnej, albowiem najdawniejsze powstanie ludu wzmiankowane przez rzymską historję, było skierowane przeciwko ich okropnej lichwie.

Prawda, że organizacya państwa rzymskiego i jego zdobywcza polityka zmuszały plutokrację do wielostronnej działalności. Ona wydawała sędziów, dowódców, namiestników, prawodawców, ale uszlachetniający wpływ publicznych czynności nigdy nie wytepił w tej plutokracji jej pierwotnych instynktów. Prawda, że było prawo, *lex Flaminina* z roku 217 przed Chr., które zakazywało senatorom i ich synom zajmować się handlem i interesami pieniężnymi, jednak często je przekraczano, a zwykle obchodzono, nawet przy najnieuczciwszych spekulacyach. I tak surowy Cato przez swego wyzwolénca Quintio, tak bohater wolności Brutus przez swoich agentów Scaptiusa i Javiusa, tak i wielki Pompeius, nawet wtedy gdy piastował wysokie urzęda, przez rycerza Cluviusa. Stan rycerski zaś, który przez census w razie wojny do służby

jezdnej był obowiązany, ten już na własny rachunek. lub też z polecenia senatorów pozwalał pieniądзом nieść procenta.

Moi panowie! I my w XIX w. mamy naszą plutokrację, senatorów, rycerzy, finansowych baronów wszelkiego kalibru, począcwszy od wielkich domów handlowych, aż do gorliwych matadorów giełdowej coulissy. Nie starają się oni o wielostronność rzymską, w kawaleryi nie służą, gardzą kurulnymi godnościami, równie obcą im jest chęć sławy i miłość ojczyzny. We właściwym się cali koncentrują powołaniu: w zysku pieniężnym.

Kiedy narody na polach bitew krew przelewają, im pozostaje zwycięstwo i łupy. Zysk przed wypowiedzeniem wojny na pożyczce mobilizacyjnej, zysk po zawarciu pokoju na odszkodowaniu wojennem. Niech się narody w pokoju zadłużają, do ich to drzwi zapukają mężowie stanu, prosząc o zaliczkę na potrzebę najbliższego kwartału.

A teraz napowrót do Rzymu! Zmęczyłoby to was, moi panowie, gdybym chciał wyliczać wszystkie te opłaty i obrywki, które rzymski stan rycerzy na państwie, na ludziach zarabia, jako dostawcy — *municipes*, jako dzierżawcy państwowych dóbr i podatków — *redemptores vectigalium*, *publicani*, jako przedsiębiorcy z polecenia państwa i na jego rachunek.

Wystarczy, moi panowie, jeśli wspomnę, że jako dostawcy, niekiedy ale rzadko wspaniałomyślni, najczęściej po hultajsku do rzeczy się brali. Że np. w r. 212 przed Chr. całą swoją wojenną flotę transportową wysoko u państwa asekurują, potem, wypróżniwszy ją ze swoich niewolników, o jakąś skałę morską rozbijają i łupią. Wystarczy, jak sądzę, jeśli wspomnę, że na forum co 5 lat licytowali dzierżawy żółdu, danin z dawnych kartagińskich prowincyj, cel — *pastoria*, dziesięcin — *decumae*, opłat z pastwisk — *pascua* albo *scripturae*, że o wiele wyższe sumy z uciśniętego ludu wyduszali, a bezkarność ze strony namiestników przekupstwem sobie zdobywali.

Moi panowie! W XIX w. wydzierżawiają państwa swoje dochody tylko w bardzo rzadkich wypadkach. Ale najważniejsze, najlepsze, najnaturalniejsze dochody niestety z rąk

swych wypuścili. Wszystkie wielkie drogi komunikacyjne na lądzie i na morzu obsadził ruchomy kapitał, a jego śrubą podatkową — taryfy.

Jego są banki, które dowolnie zmieniają wartość pieniędzy będących w obiegu, jego są szlachetne metale, które poza Oceanem *en gros* kupuje, a tu *en detail* sprzedaje, jego w ostatnim czasie nawet nasza zdawkowa moneta się stała — miedź; jego jest olej skalny z Kaukazu, który nas oświeca, jego są węgle z najobfitszych kopalni, które nas ogrzewają. Narody płacą im cła — *pastoria*, dziesięciny — *decumae*, a ruchomy kapitał obie półkule wypasa — *pascua*.

Jeszcze bardziej pouczającym moi panowie jest porównanie czysto pieniężnych spraw w Rzymie, a dzisiaj.

Do Rzymu wpływały opłaty i podatki z całego świata; w Rzymie był też dlatego pieniądz tani; za czasów Cicerona przynosił tylko 4%. Temu nadmiarowi w Rzymie odpowiadał niedostatek pieniężny na prowincyi. Mieszkańcom prowincyi utrudniano wszelkimi środkami zaciąganie pożyczek wprost z Rzymu, a prawo trybuna Gabiniusa z r. 67 przed Chr. nawet im tego zabroniło, i wszelki oblig dłużniczy mieszkańca prowincyi wystawiony w Rzymie, został ogłoszony za nieważny.

Ażeby jednak niedopuszczyć naturalnego odpływu pieniędzy w drodze zapłaty gotówką za towary, ograniczył Cicero, członek rzymskiego stanu rycerskiego i jego poplecznik, w najważniejszym porcie Puteoli, handel tylko na samą zamianę towarów, a zakazał wywozić do Grecyi złoto i srebro. Cóż stąd powstało? Oto świetny interes dla rzymskich rycerzy, bo mogli w Rzymie bardzo tanio dostać pieniądze, żeby je potem umieścić po prowincyach za jak najokropniej lichwiarskimi procentami; z różnicy sobie żyli.

I w XIX wieku, moi panowie, stał się kredyt zupełnie sztuczny.

We wielkich instytucjach koncentrują się pieniądze tanio oprocentowane, a tylko w bardzo rzadkich razach wracają z tych instytucyj wprost do produkcji, żeby ją wzbogacić.

Mały kupiec zajmujący się w rzeczywistości przemianą towarów, rzemieślnik lub gospodarz rolny dostają kredyt dopiero z drugiej lub trzeciej ręki, niezmiernie podrożają. Proszę sobie tylko przeczytać, o ile to dostępne, w złotych księgach naszych finansowych instytucji listę tych firm, które w łasce stoją u cenzorów. Zawsze, moi panowie, przynajmniej najczęściej znajdzie się tam tylko protegowane koterye, zwykle do jednej jedynej handlowej należące narodowości, które wielkie a regularne i tanie pobierają kredyty, do których społeczeństwo, rzeczywiście produkujące, zwracać się musi, i które, jak rzymscy rycerze, z dyferencyi żyją. Rzymscy prokonsulowie, gdy się na prowincję udawali, likwidowali zwykle cały swój majątek, ażeby na nowem namiestnictwie lichwą mogli się zajmować: niektórzy brali pieniądze z kas wojskowych i pozwalali za to legionom rabować. Brutus, ów nieprzyjaciół tyranów, ów prototyp wszystkich bohaterów wolności z r. 1789, wypożyczył senatowi miasta Salamis na Cyprze za 48% pewną sumę pieniężną, a zwlekających dłużników ze swymi kohortami obległ i głodem wymorzył. Brutus i Pompeius w spółce wyzyskali smutne położenie finansowe nieporadnego króla Kappadocyi, Ariobarzenosa, i wydusili od tej biednej ofiary w przeciągu 6 miesięcy jeden 100, drugi 200 talentów. Rzymski rycerz Siticus zaciągnął również wielkie długi na rzymskim targu, żeby z króla Maurytanii Hiempsala pompować pieniądze. I teraz widzicie panowie, jak się wszystko na ziemi w przeciągu tysięcy lat powtarza. Hiempsal z Maurytanii i Ariobarzenes z Keppadocyi, ci biedni barbarzyńcy, którzy nie umieli sobie poradzić, czyż w XIX wieku nie znajdują towarzyszków w sultanie, w Khedywie egipskim, w beju tuniskim? Jak niegdyś Rzymianie swoje kohorty, tak chrześcijańskie narody posyłają dziś swoje wojska w kraje Moslamitów, by egzekwować polecenia lichwiarskich syndykatów.

Przytem rzymska plutokracja jedynie naprzeciw swojej ofiary, ludów uciśniętych i wyciśniętych solidarną była, wewnątrz tej klasy zaś panowało od dawien dawna nielitościwe prawo mocniejszego. Senat i stan rycerski kolejno piastowali

urząd sędziowski. i wykonywali go nawzajem przeciwko sobie, jako vendettę na osobistym nieprzyjacielu. Gdzie stronnictwo trybunałów nie wystarczało, lub ich praca była za powolna, tam chwytano się wygnań i zbiorowych konfiskacyi, jak za Mariusa, Sulli, i podczas obu triumwiratów. Moi panowie! O ileż to lepiej w XIX w. Wiek ten jest obyczajny i ludzki. Przecież żyjemy w erze bezkrwawej proskrypcyi, która tylko w majątek przeciwnika godzi, a życie jego, niemające wartości, oszczędza.

Ale nigdy nie było, moi panowie, tak wielkich, tak rozgałęzionych, tak nagłych zmian majątkowych, jak właśnie dziś. Każdy nowy połów ryb na giełdzie, dobywa na brzeg setki rzucających się w ostatnich podrygach istot, każdy targ, każdy krach, każda kryzys doprowadza całe zastępy bogaczy i zamożnych, winnych i niewinnych do żebraczego worka — a zawsze końcowym aktem takich społecznych dramatów jest zaokraglenie największych majątków.

Bo też mają te przestrzenne, ogniotrwałe kasy, taką siłę przyciągania na pełne pularesy, jak tylko najsilniejsze magnesy na okruchy żelaza. Tak więc, moi panowie, w tym strasznym kontraście nędzy ogółu, a szalonego bogactwa kilku nielicznych, leży podobieństwo nowoczesnego i starożytnego świata.

Ale, moi panowie, istnieje uwagi godna różnica, która podniesioną być musi. Cywilizacja rzymska znajdowała się w stanie trwałej równowagi. Stojąc tysiąc lat na miejscu, spróchniała przez wewnętrzny rozkład, a jednak trzeba było kilkakrotnych wstrząśnień z zewnątrz, nim się zapadła i zagięła. Cywilizacja, która się wzniosła na technice maszyn przed 80 laty, już równowagę straciła i napróżno sili się odzyskać punkt ciężkości.

Różne są tego przyczyny. Ludność robocza w starym Rzymie, choć niewolna i pozbawiona majątku, była przecież zaopatrzona. Położenie jej było niegodne, ale zapewnione. Stan naszych robotników przeciwny. Drugi powód tego braku równowagi w naszej cywilizacji jest następujący: W starożytności zdarzały się przesilenia pieniężne — my jedni posiadamy

i przesilenia produkcji; przemysł maszyn, oszczędzający czasu i pracy, rzuca ciągle zastępy rezerwowe robotników na targ. co podaż usług roboczych podnosi, płacę zaś zniża, a z płacą zmniejsza i zdolność konsumcyjną, możność kupowania u nas, właśnie wtedy, gdy podwyższona produkcja szuka szerszego zbytu. Dlatego to, moi panowie, następują przesilenia produkcji zrazu w dłuższych, potem coraz krótszych przeciągach czasu po sobie, a od r. 73 stały się one chroniczną zarazą produkcji. Przechodzę teraz do trzeciego powodu, dla którego nie stoimy w równowadze: Rozszerzone prawo głosowania, wolność prasy i słowa, wolność zgromadzania się, coraz to trośkliwsze i ogólniejsze zakładanie szkół ludowych, słowem wszystkie te instytucje dzisiejszego życia, które mają wyrównać warunki życia między bogatym a ubogim, są nie do pogodzenia z takim położeniem gospodarskim, który klasom pracującym za intensywniejsze produkowanie tylko nędzę i niepewność dać może.

Równie niezgodnym z takim stanem rzeczy, z przyczyn, których już nawet dalej omawiać nie potrzebuję, jest powszechny obowiązek służby wojskowej. Pod karą śmierci więc musi sobie nasz dzisiejszy świat nową ekonomiczną i społeczną organizację wytworzyć i przystąpić też już do tego. Ale, moi panowie, na jakiej podstawie? Na tej, na której sam przedtem zbudowany został.

Panowie! Narody europejskie zdobyły sobie wyższość nad resztą ludzkości nie od dzisiaj i nie od czasu powstania techniki maszyn; ta wyższość nastąpiła z chwilą, w której się nasze narody do religii Chrystusa przyznały, a wyższość ta wzrosła w tej mierze, w jakiej duch chrześcijaństwa przeniknął obyczaje i zwyczaje, a zwłaszcza ekonomiczne prawodawstwo. Ów duch chrześcijaństwa, jak czarodziej, stworzył u schyłku średnich wieków pierwszy ekonomiczny i społeczny rozkwit narodów Europy; tenże duch ma siłę i drugi raz tego samego cudu dokazać.

Inne wyznania i inne teorye moralne starczą na pewien czas albo dla pewnej grupy krajów lub ludów, po krótkiej

zaś chwili obumierają lub kamienieją. Jedne jedyne chrześcijaństwo jest podstawą, na której nieskończony da się prowadzić postęp. Chrześcijaństwo stosuje się przecież do najprostszych stosunków, a i najmędrszego dorasta. Biedni pasterze mogą w swoim pustkowiu doskonale według jego zasad żyć, ale równie dobrze może doń się zastosowywać i wielkie światowe miasto, w którego bogatym życiu bije serce wielkiego ruchu świata. Chrześcijaństwo jest na wszystkie czasy i dla wszystkich miejsc, a błogosławi ono *urbi et orbi*. Przewodnie myśli ekonomicznego i społecznego życia średnich wieków były nie-liczne, nadzwyczajnie proste, mianowicie następujące: własność i praca są organicznie i nierozdzielnie ze sobą związane, albowiem własność tylko przez pracę dostaje swoją sankcję, a praca tylko przez własność staje się samoistną.

Każda własność ma prawa, ale ma i obowiązki; obowiązki i prawa muszą nawzajem się równoważyć.

Wreszcie, panowie, każde powołanie, pracę za sobą pociągające, jest urzędem powierzonym przez społeczeństwo nie jednostce, lecz wszystkim członkom naszego stowarzyszenia razem, którzy jednostką się opiekują, ale też od niej wymagają posłuszeństwa.

Panowie, te same myśli mogą być zastosowane i do dzisiejszego świata, albowiem tylko proporcye ekonomicznego i społecznego życia się zmieniły, a wcale nie zmieniły się zasadnicze potrzeby ludzkości. W średnich wiekach wojny graniczne i rozdrobnienie na małe państewka, tudzież brak dróg i ich niepewność ścieśniły produkcję do bardzo małego zakresu; i choć można było tak łatwo potrzebę tego przeoczyć, to jednak nie pozostawiono przypadkowi regulowanie produkcji, jak się to dzieje dziś, lecz ustaliły tę regulację surowe i skomplikowane prawa. Co wówczas w wielu małych kółkach się udało, to dziś trzeba się starać urzeczywistnić w nielicznych wielkich, i słabe możnaby mieć wyobrażenie o organizacyjnym uzdolnieniu naszego wieku, gdyby się nam to nie miało powieść. Warunkiem wstępnym wszelkiej socyalnej reformy jest dokładne i silne odgraniczenie terytoryów produkeyjnych, więc

system cel ochronnych. Jestto pocieszającym objawem czasu, że się narody na całym świecie od teoryi wolnego handlu odwróciły, a zbliżyły się znowu do zdrowej zasady cel ochronnych.

Jeżeli ten wstępny warunek spełniony, można przystąpić do organizacji poszczególnych stanów zawodowych. Rolnemu gospodarstwu i stanowi włościańskiemu musi być przedewszystkiem danem prawo spadkowe i naturze tego stanu odpowiedni kredyt. Owa rezolucya o przepisach spadkowych, którąśmy na ubiegłej sesyi uchwalili, jest dobrym początkiem w tym kierunku, i odpowiada zasadom, które teraz na całym świecie zwyciężają. Możliwość zadłużania się chłopów musi w rozumnej mierze być ograniczoną, a istniejące długi trzeba złagodzić przez niewypowiedzialność, a przez annuitety umorzyć. Ze względów historycznego pietyzmu broni się w naszych czasach majoratem znakomite rodzaje szlacheckie od nieszczęść losu; rody włościańskie, panowie, są może najstarsze, a w każdym razie najzdrowsze w społeczeństwie, albowiem twarda walka z naturą i bezpośrednie z nią zetknięcie każde pokolenie na nowo hartuje, one są rodowem mieniem, one nietykalnym pniem każdej narodowości, one są pierwotną siłą, żywiącą ziemię, one zbiornikiem, z którego w każdym narodzie energia i rozum, talent i geniusz przez wszystkie warstwy społeczeństwa, aż do wyżyn sławy się przebijają.

Rękodzielnictwo, panowie, jest dziś w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Prawda, że nasze prawo przemysłowe z dobrych wychodzi zasad i zapowiada początek reform; ale jest ono jeszcze bardzo niewystarczające, aby ratować nasz stan rzemieślniczy. Wszelkie ważne postanowienie rządu w sprawach przemysłowych następuje dopiero po porozumieniu się z Izłą handlową i przemysłową, a jej ocena jest niestety zwykle skierowana przeciw interesom drobnego przemysłu, bo wielki kapitał posiada tu przeważną większość. Dlatego muszą być Izby handlowe i przemysłowe od siebie oddzielone, a rękodzielnictwu musi być wreszcie dana prawdziwa, nie sfalszowana reprezentancya jego interesów, wolna od wszelkich szkodziących i podstępnych wpływów. Także i to robi położenie

nieznośnem, jeżeli tym samym przemysłem, z jednej strony stowarzyszenie za wykazem uzdolnienia, z drugiej właściciele wielkich składów, wyrobów, bez wykazu uzdolnienia, lub z fałszywym, fabrycznie zajmować się mogą.

Stowarzyszenie bez pieniędzy, bez maszyn, bez władzy nad swoimi członkami stoi już z góry w rozpaczliwie niekorzystnem położeniu naprzeciw osób prywatnych, które mu robią konkurencyą, uzbrojoną w maszyny i pieniądze.

Zupełnie nie myślę rozszerzeniu się przemysłu maszynowego w rękodzielnictwie kłaść tamę lub opóźniać je, ale musimy pragnąć i domagać się, aby w korzyściach przemysłu maszynowego i stowarzyszenia uczestniczyły. Obecnych właścicieli fabrycznie uprawianych rzemiosł nie chcemy ukrócić w już nabytych prawach, ale żądamy, aby zakładanie nowych zarobkowych rzemiosł bez wykazu uzdolnienia, przez ustawę zabronione, a przyjęcie ich w przemysł stowarzyszeń przez ustawę ułatwione było.

Pragniemy, ażeby uprawianie rękodzielnictwa poza granicami stowarzyszeń, jak najprędzej ustało.

Dla stowarzyszenia pragniemy wszystkich istotnych atrybucyj dawnego cechu. Ma ono z władzą i prawomocnie postanawiać, jak długo i za jaką płacę się pracuje, ile się wytwarza, ile i za jaką cenę się sprzedaje; stowarzyszenie ma postanawiać, jaka część produkeyi ma przypadać na pojedyncze potrzeby kupujących, a jaka na zamówienia *en gros*; stowarzyszenie ma być jedynie uprawnione do ustanawiania składów i sklepów surowych materyałów.

A teraz, panowie, na zakończenie parę słów jeszcze o organizacyi przemysłu. W dzisiejszym stanie, nie wiem kto ma więcej do znoszenia, czy fabrykant, który z trzech, dwa lata ze stratą pracuje, czy też robotnik fabryczny, którego smutne życie jest przeplatane, już to gnuśnięciem a wymuszonym próżniactwem, już też bezustannem zapracowaniem się. Nie ma wątpliwości, panowie, że mnóstwo kwestyj z ustawodawstwa ochrony robotników musi być uregulowanych na drodze międzynarodowej, a tylko rządowi wolnej Szwajcaryi trzeba po-

winszować, że już kilkakrotnie w tym względzie do rządów innych państw się zwrócił. Bezwątpienia także i w kartelach wielkich przemysłowców, mimo potępienia godnych dodatków, można wykazać początek uregulowania produkcji w naszym znaczeniu. Nie można wątpić, że ubezpieczenie od wypadków i chorób, zaopatrzenie inwalidów i starców, normalny dzień pracy, ograniczenie pracy kobiet i dzieci, pracy niedzielnej i nocnej, najbardziej rażącej nędzy w życiu robotnika zapobiegnie.

Ale przez te reformy, moi panowie, w sam rdzeń sprawy się jeszcze nie trafi. Skoro jednak przemysł fabryczny zorganizuje się w stowarzyszenia, orzekające pod mocą prawa, ile ma się wytwarzać, ile i za jaką cenę sprzedawać, a które według pewnej skali produkcję pomiędzy członków będą rozdziałały, wtedy uprawa wielkiego przemysłu z aleatorycznej stanie się ciągłą i wolną od przesilen, a corocznie będzie wydawała łatwo dającą się oznaczyć sumę produktów; potem dopiero będzie na czasie, żeby ze strony stowarzyszeń i państwa przystąpiono zrazu do ustalenia taniej płacy minimalnej, sukcesywnie do podwyższania tych płac, aż warstwa fabrycznych robotników stanie się znowu zdolną do konsumpcji, i zamiast być przyczyną społecznego zakłopotania, w dźwignię dobrobytu narodowego się przemieni.

A teraz, moi panowie, spojrzycie w tył na nasze skromne zaczątki przed 12 i 14 laty. Jakażemy drogę odbyli w publicznej opinii wykształconych, w prawodawstwie państwa i w sercach ludu? Te warstwy narodu, które od początku wiernie na nasz sztandar przysięgły, teśmy utrzymali po naszej stronie przez myśl socjalnej reformy. Te zaś warstwy, które jeszcze przed 12 laty zdawały się zgubione i zatopione w religijnej obojętności, częścią dały się nam przez idee socjalnej reformy pozyskać, a częścią się do nas zbliżyły.

Panowie! sądzę, że możemy być zadowoleni, ale odpoczywać nie będziemy: albowiem wraz z pogłębieniem się, rozszerzeniem i zwycięstwem naszych idei, rośnie także odpowiedzialność i wysiłek tych, którzy tymi ideami są przejęci. Prze-

cież my nie walczymy dla nas samych, ani dla jakiejś kasty, ani, jak nas o to oskarżają, dla jednej narodowości lub stronnictwa, lecz my walczymy za ekonomiczną niezależność i wolność całego chrześcijańskiego ludu.

Panowie! Właśnie dlatego chętnie do nas lud przystępuje, albowiem czuje instynktownie to, że my pobocznych celów nie znamy. Nawet nasi polityczni przeciwnicy, gdy nadaremnie próbowali podstawić nam nogę, widzą się zmuszeni w przyzwoitej odległości z tyłu za nami iść; mruczą i protestują wprawdzie, ale idą przeciw. W dotychczasowych domenach liberalizmu, w wielkich miastach, a zwłaszcza w pięknej stolicy Wiedniu, która was tak gościnnie przyjęła, odwraca się rozzaczarowany lud od liberalizmu i od jego rozpaczliwej, ekonomicznej nauki, manchesterskiej szkoły. — jego rola już skończona. Na widownię świata wstąpił on, jak Mądry Natan, cały skąpany w brzasku oświaty, szczęście ludzkości głosząc. Lecz bardzo prędko popadł z wyuczonej w naturalną rolę, w naturalną rolę starego Schyłoka, który upiera się przy swoim rewersie i funta mięsa z naszego ciała się domaga. Nic dziwnego, moi panowie, że chrześcijański lud grzeecznie, ale stanowczo takie żądania odrzucił.

(Mowa ta przerywana była co zdanie, czasami niemal co słowo burzliwymi oklaskami i okrzykami, tak, że książę raz po raz gestem i słowem błagać musiał o uspokojenie się. Pod koniec entuzjazm wzrósł do najwyższego stopnia).

Prezes hr. *Blome* uprasza J. Eminencję ks. arcybiskupa wiedeńskiego o udzielenie zgromadzonym apostolskiego błogosławieństwa; wszyscy klękają, a kardynał *Ganglbauer* ich błogosławi.



WNIOSKI PRZEDŁOŻONE NA KONGRESIE.

Wnioski sekeyi szkolnej.

I. Szkoła ludowa.

1) Zważywszy, że prawo rodziców do wychowania dzieci jest nietykalnem i najświętszem prawem;

zważywszy, że rodzina chrześcijańska w najściślejszym stoi związku z Kościołem;

zważywszy, że Kościół, w skutek posłannictwa od Boga mu danego, ma obowiązek ludy uczyć i wychowywać, — i że Kościół tylko ma potrzebne do tego środki i powagę;

zważywszy dalej, że w skutek naszych socyalnych stosunków znaczna większość ludności potrzebuje do wychowania i wykształcenia dzieci pomocy szkoły ludowej, przez co szkoła ta ma dla rodziny, Kościoła i państwa największe, a nawet decydujące znaczenie;

zważywszy wreszcie, że przymus szkolny jest prawem wprowadzony;

katolicy są w sumieniu zobowiązani, a zatem i uprawnieni do żądania od państwa, jako ich najświętszego prawa, tych gwarancyj, dotyczących religijnego wychowania młodzieży, które w obecnych okolicznościach są potrzebne, a które są możliwe do osiągnięcia jedynie przez wprowadzenie szkoły wyznaniowej.

2) Zważywszy, że gruntowne rozwiązanie kwestyi szkolnej jest jedynie możliwe w drodze prawodawczej, uznaje więc katolicki jako obowiązek:

a) napomnieć usilnie katolickich obywateli, aby przy wyborach do izb ustawodawczych starali się i usiłowali przeprowadzić wybór

mężów, dających dostateczną gwarancją, że wszystkich swych sił użyją celem wprowadzenia szkoły wyznaniowej;

b) obecnym członkom katolicko-konserwatywnym Wys. Rady Państwa wyrazić uznanie i podziękowanie za obranie tej drogi, w skutek czego kwestya wprowadzenia szkoły wyznaniowej bliższą znacznie się stała konkretnego rozwiązania; a niemniej prosić ich gorąco i na przyszłość, aby wszelkiego wpływu i siły, dla dopięcia wzniesłego tego celu użyli.

Wnioski centralnej dyrekcyi katolickiego związku szkolnego.

Zważywszy, że działalność katolickich związków na polu szkolnictwa do pożądanego doszła skutku przez założenie zakładów wychowawczo-naukowych o ściśle katolickim duchu, i że nadal w tymże celu działać będzie;

zważywszy, że działalność katolickich związków zdolną jest do wywarcia skutecznego wpływu w sprawie rozwiązania prawnego kwestyi szkolnej, uznaje i poleca więc katolicy jak najgorętsze popieranie wszelkich tego rodzaju związków, a mianowicie:

katolickiego związku szkolnego dla Austrii, katolickiego związku uniwersyteckiego w Salzburgu, stowarzyszenia przyjaciół dzieci w Salzburgu, katolickiego stowarzyszenia wychowawczego voralberskiego stowarzyszenia dla wychowania katolickich nauczycieli w Strebersdorf.

II. Szkoła średnia.

1. Katolicki wiec austriacki wymaga w interesie rodziny, aby w szkołach średnich:

- 1) młodzież pobierała nietylko naukę, lecz też i wychowanie;
- 2) aby w celu wychowania istniejące przepisy były stosowane nietylko do zewnętrznej karności, ale także z uwzględnieniem wyrobienia charakteru;
- 3) aby dla jednostajności wychowania system nauczycieli klasowych miał przewagę, o ile to być może w niższych przynajmniej klasach, nad systemem nauczycieli fachowych.

II. Katolicki wiec austriacki wymaga w interesie państwa:

- 1) aby w młodzież był wszczepiany szacunek i miłość dla ojczyzny i domu panującego, i aby był rozwijany za pomocą książek szkolnych i służących do rozrywki;

2) aby prawdziwy patriotyzm nie był zastąpiony zbyt jednostronnym nacjonalizmem.

III. Katolicki wiec austriacki wymaga w interesie nauki:

1) aby w miejsce uczenia paralelnego przedmiotów szkolnych było wprowadzone uczenie stopniowe;

2) aby w miejsce rozległej lecz powierzchownej nauki wprowadzono większą jej gruntowność;

3) aby w miejsce przygnębiającego balastu naukowego wprowadzono prawdziwe podwyższenie poziomu naukowego.

IV. Zważywszy, że religia jest podstawą rodziny, państwa i nauki, jakoteż wychowania, patriotyzmu i oświaty, wymaga katolicki wiec austriacki:

1) aby w zasadzie szkoła średnia była wyznaniowa;

2) wniosek pana Jana Popiela;

3) a) aby w praktyce państwo tworzeniu szkół średnich wyznaniowych prywatnych: czy to gimnazyów, czy szkół realnych, seminariów nauczycielskich, czy szkół przemysłowych, nie tylko przeszkód nie stawiało, lecz nawet takowe wspierało, — tembardziej, że dla państwa byłoby to znaczną ulgą;

b) aby w istniejących szkołach średnich:

α) nauka religii była zaprowadzoną w wyższych klasach szkół realnych i przemysłowych;

β) wniosek pana Jana Stadnickiego o zaprowadzeniu religii przy maturze;

γ) aby w interesie wychowania i wykształcenia, przy wyborze nauczycieli, a zwłaszcza kierowników szkół średnich odpowiednio uwzględniano chrześcijańskie i patriotyczne usposobienie rodziców i uczniów;

δ) aby znoszeniu, a względnie wprowadzaniu chrześcijańskich i katolickich instytucyj, jako to Krucyfiksów, modlitwy szkolnej, Mszy szkolnej, św. Sakramentów, ćwiczeń duchownych, uwzględniano i brano w rachubę przeważną większość uczni i rodziców katolickich;

ε) aby przy układaniu i zatwierdzaniu książek szkolnych i rozrywkowych w miejsce trwożliwego wykluczania wszelkich katolickich ustępów, wykluczano antychrześcijańskie, a w skutek tego i nienaukowe ustępy;

η) aby zakaz należenia do związków i stowarzyszeń, zawarty w prawie szkolnem, nie był rozciągany na wyłącznie religijne, a przez Kościół zatwierdzone stowarzyszenia, — jak to obecnie ma miejsce wbrew intencji prawodawcy, a także wbrew prawom uznanego przez państwo Kościoła katolickiego.

III. Szkoła wyższa.

1) Zważywszy, że austriackie uniwersytety, które, wszystkie prawie założone jako wyższe zakłady naukowe katolickie, z biegiem czasu ducha wyznaniowego utraciły, uznaje więc katolicki utworzenie wolnego katolickiego uniwersytetu w Austrii za rzecz bezwarunkowo potrzebną. To też uważa za konieczne i nakazane dołożyć wszelkich starań — zachęconych zwłaszcza i popartych przez Ojca św. Leona XIII w brewe z 4 maja 1885, aby zniesiony w r. 1810 uniwersytet salzburski ustanowionym był napowrót jako wolny i katolicki. Wiec katolicki ośmiela się N. N. Biskupom przedłożyć prośbę, aby przedsięwzięli środki jakie uznają za najodpowiedniejsze do uzbierania potrzebnych do tego sum pieniężnych.

2) Wiec katolicki wyraża głęboki żal, i uznaje za szkodliwy do najwyższego stopnia interesom państwa i Kościoła dzisiejszy stan rzeczy, w którym fakultety świeckie austriackich uniwersytetów coraz częściej przez niekatolików obsadzane bywają, zwłaszcza, że katedry takie jak prawo kościelne lub narodów, bezwarunkowo chrześcijańskiej wymagają nauki.

3) Wiec katolicki uważa za obowiązek sprawiedliwości ze strony państwa, w obec swych wiernych poddanych katolickich, którzy stanowią przeważną część ludności, ustanowienie przy wszystkich wydziałach filozoficznych austriackich uniwersytetów katedry filozofii tomistycznej.

Wiec katolicki wyraża życzenie, aby przy współdziałaniu Najprz. Episkopatu, mogły być wyrobione młode siły naukowe, łączące kierunek ściśle naukowy z duchem chrześcijańskim.

Wnioski sekeyi socyalnej.

I. Zawodowo korporacyjna organizacya.

Drugi ogólny austriacki katolicki wiec uważa, że środkiem istotnym do zapobieżenia dzisiejszym socyalnym brakom jest korporacyjna organizacya klas zawodowych.

II. Kwestya włościańska.

Drugi ogólny austriacki katolicki wiec uważa za jedno z najważniejszych zadań prawodawstwa austriackiego: wyszukanie środków opiekuńczych i ratunkowych dla szybko upadającego stanu chłopskiego — a to z powodu, że zachowanie i rozwój kwitnący tego stanu jest pier-

wszorzędnego znaczenia dla interesów politycznych, ekonomicznych i moralnych państwa i społeczeństwa.

Wiec uważa w szczególności jako potrzebne:

a) ograniczenie wolnego podziału gruntu chłopskiego i ochronę przed zlewaniem się z większymi kompleksami gruntów, tam, gdzie takowe nie okazują się potrzebne dla kulturno-gospodarczych powodów;

b) zapobieżenie przeciążeniu gruntów chłopskich przez prawnie oznaczone granice obdłużenia, i usunięcie obecnego obdłużenia takowych przez ogólne, według zasad chrześcijańskiej sprawiedliwości przeprowadzone, uwolnienie od ciężarów gruntowych.

Oprócz tego wiec wyraża pragnienie wynalezienia odpowiednich środków zaradczych do obrony własnych produktów ziemskich w obec konkurencyi zagranicznej, tak przez cła opiekuńcze, jak i przez politykę taryfową, prawnie oznaczyć się mającą. Następnie ogólne wykształcenie autonomicznych i obowiązkowych korporacyj zawodowych, z zadaniem podnoszenia i kształcenia świadomości stanu, wzajemnej pomocy i wreszcie wspólnej pieczy nad interesami włościańskimi.

III. Kwestya rękodzielnicza.

Drugi ogólny austriacki katolicki wiec wita z radością środki prawne, jakich w ostatnich latach w Austrii użyto w interesie stanu rękodzielniczego, i wyraża uznanie, iż dzięki tym mężom, którzy rękę przyłożyli do przyjscia do skutku praw, mających na celu ratunek i podniesienie poziomu stanu rzemieślniczego.

Wiec uznaje nagłą potrzebę dokładnego przeprowadzenia i dalszego rozwoju prawodawstwa opiekuńczego nad sprawą rzemieślniczą, a przede wszystkim popiera usiłowania patronów, mające na celu ciągły rozwój stowarzyszeń rzemieślniczych.

Wiec wyraża pragnienie, aby:

a) wpływ patronów, na wykształcenie pojedynczych korporacyj, z natury rzeczy przypadający im w udziale, prawnego doznał ubezpieczenia i opieki;

b) aby punkta statutu, dotyczące warunków przyjęcia, były zmienione, a to mianowicie przez wprowadzenie prawa protestu odnośnie do uzyskania świadectwa uzdolnienia, i przez wprowadzenie egzaminu na majstra; egzamin ten ma być unormowany przez stowarzyszenie;

c) aby wspólną przemysłową działalność poszczególnych stowarzyszeń ułatwić i przez ulgi podatkowe wspierać, usuwając przeszkody

zawarte dotychczas w paragrafie 115 ustępie 2-gim ustawy przemysłowej z dnia 15 marca 1883;

d) aby pojedyncze stowarzyszenia rękodzielnicze znosić się z sobą mogły przez utworzenie izb przemysłowych samodzielnych z łona stowarzyszenia przez wolny wybór powstałych; następnie, aby izby te miały na wzór istniejących już handlowych i przemysłowych izb prawo publicznego zastępstwa interesów przemysłowych.

Prócz tego poleca wiec katolicki rozszerzenie obowiązku wykazania się świadectwem uzdolnienia na zajmujących się przemysłem fabrycznym rękodzielników; — następnie prawne ograniczenie pracy przemysłowej po domach karnych, szkodliwie z wolną rękodzielniczą pracą konkurującej; — wreszcie zaprowadzenie takiego postępowania przy wymierzaniu podatków zarobkowego i dochodowego, któreby przemysłowców dostatecznie ochroniło przed podejrzliwymi i fałszywymi denuncjacjami, i któreby dostatecznie im zapewniło odpowiednie uwzględnienie uprawnionych żądań.

IV. Kwestya robotników.

Zważywszy, iż rozwiązanie kwestyi robotników zależy przede wszystkim od usunięcia zasady bezgranicznej konkurencyi, która oparowała dzisiejszą produkcję, uważa drugi ogólny wiec katolików austr. za niezbędne, ażeby tę bezgraniczną konkurencyę zniesiono, tak za pośrednictwem międzynarodowych układów, jako też w kraju za pomocą uregulowania domowej produkcji, z zachowaniem wszystkich usprawiedliwionych interesów, przy pomocniczej działalności odpowiednich cel ochronnych.

Wiec katolików upatruje jedno z najważniejszych uprzednich przygotowań ku temu uregulowaniu, w organizacyi zawodowych stowarzyszeń wielkiego przemysłu. Zadania przypadające z natury rzeczy tej organizacyi, będą:

- a) wprowadzenie zdrowego stosunku między produkcją a popytem;
- b) ochrona przeciw zmonopolizowaniu produkeyi przez małą ilość producentów;
- c) zapobieżenie niesłusznemu wyzyskiwaniu sił roboczych;
- d) zabezpieczenie trwałego zatrudnienia dla robotnika, przy stopniowem podwyższeniu wynagrodzenia za takowe, a wedle możliwości przy podwyższeniu stopnia zajęcia;
- e) jak najdalsze, o ile możliwości, trzymanie kobiet od roboty w fabrykach;

f) zapewnienie odpowiedniej powołaniu płacy dla wieku podeszłego i niezdolności fizycznej robotników, jakoteż ich wdów i sierót.

Jako najbliższe cele prawodawstwa robotniczego w Austrii uznaje więc katolików:

1) Prawne wymagania pewnych wykazów, z którymi ma się łączyć na przyszłość dopuszczanie do nowych przedsięwzięć przemysłowych; a mianowicie co się tyczy następujących punktów:

a) Trwałości, gospodarczej podstawy i zdolności dalszego prowadzenia przedsiębiorstwa;

b) prawnej nienaganności przedsiębiorcy i kierownika przedsiębiorstwa;

c) ażeby nowe przedsiębiorstwo nie pozbawiało, przez bezpośrednie wejście w życie, całe klasy ludności zajęcia i chleba.

2) Dalsze zmniejszenie maksymalnego dnia pracy ze względu na pojedyncze rodzaje prac przemysłowych.

3) Rozszerzenie ustanowień o maksymalnym dniu roboczym na robotników zajętych w zakładach transportowych i zakładach ruchu.

4) Ścisłejsze ograniczenie prawa uwalniania u władz administracyjnych, co się tyczy maksymalnego dnia roboczego.

5) Prawo wspólnego nadzoru przez robotników, celem przeprowadzenia ochronnych praw dla robotników za pośrednictwem zastępców z ich grona wybranych.

6) Ogólne obowiązkowe wprowadzenie robotniczo-fabrycznych sądów rozjemczych.

7) Zupełny zakaz pracy nocnej we fabrykach dla roboty kobiet i o ile możliwości ograniczenie tejże dla roboty męskiej.

8) Zakaz używania najemników w miejsce kwalifikowanych robotników pomocniczych przy wielkim ruchu przemysłu rzemieślniczego.

9) Ochronę obyczajności robotników za pomocą możliwego rozdzielania płci w fabrycznych obszarach, rozszerzenie paragrafu 132-go austriackiego prawa karnego na przedsiębiorców przemysłowych i tychże urzędników.

10) Prawne zobowiązanie się przedsiębiorców do starania się wspólnie ze swymi robotnikami o urządzenie i utrzymanie kalek i zakładów dla utrzymywania dzieci, gdzie i jak długo jeszcze nie ustala praca fabryczna zamężnych kobiet.

Wobec katolików wzywa rząd, aby surowo nad tem czuwał, iżby istniejące ochronne prawa o robotnikach, szczególnie o maksymalnym dniu roboczym i o zakazie systemu druku, w pełni utrzymywano.

V. Kwestya spoczynku w niedzielę i święta.

VI. Kwestya mieszkań.

(Wnioski dotyczące obu tych kwestyj umieszczone są pod rubryką: „Kwestya socyalna“. Pierwsze posiedzenie).

Wnioski sekeyi prasowej.

Zważywszy wielki i potężny wpływ, jaki za dni naszych prasa na wszystkie klasy społeczeństwa wywiera;

zważywszy, że potrzeba i pragnienie czytania coraz bardziej się zwiększa, i odczuwa ją każdy stan w każdym wieku życia;

zważywszy dalej zastanowienia godną prawdę, że loże masońskie z fanatyczną gorliwością i z poświęceniem znacznych środków pieniężnych rozszerzają czasopisma i druki, boleśnie urażające uczucia religijne i patryotyczne po większej części chrześcijańskiej jeszcze ludności, a zasiew niewiary i niemoralności roznoszące;

zdaje się, że jest rzeczą usilnie nakazaną, aby chrześcijańskie żywiły wszystkich stanów, zjednoczone, odpowiednio do celu zespolone, prowadzone pod tym samym znakiem, w duchu chrześcijańskim stanęły do walki przeciw usiłowaniom, zarówno Kościołowi jak i państwu niebezpiecznym, masońskich łóż.

Wiec katolicki uznaje tedy:

1) Za rzecz konieczną, aby katolickie związki prasowe, w wielu już miejscach istniejące i skutecznie działające, zakładane były we wszystkich, o ile to być może, dyecezyach, a to pod opieką Najprz. Episkopatu. Szczególnie zaś zaleca się ustanowienie austriackiego katolickiego związku prasowego w Wiedniu.

2) Wiec katolicki, rozważając oplakane dziś stosunki prasowe, wyraża przekonanie, że koniecznem jest, w celu skutecznego zwalczania prasy liberalnej, danie silniejszej materyalnej i moralnej pomocy prasie katolickiej. Zarówno jako rzecz potrzebną uznaje i poleca powiększenie tej prasy, zwłaszcza przez wydawanie w większych miastach peryodycznych pism, mających za zadanie omawianie poszczególnych interesów wszystkich klas.

3) Wiec katolicki uznaje przerobienie i powiększenie w Wiedniu istniejącej prasy katolickiej, jako gwałtownie odczuta i konieczną potrzebę, a przypomina, że powinnością i punktem honoru każdego katolika jest popierać o ile możliwości i utrzymywać tę prasę.

Z uznaniem głębokiej wdzięczności za dotychczasową działalność tej prasy dla dobra Kościoła i Państwa łączy życzenie powstania wielkiego organu, z rozszerzonym programem, tak, aby nie tylko żądanom królestw i krajów austriackiej monarchii uczynionem było zadosyć, ale też, aby wszystkie żądania czytającej publiczności katolickiej, przez omawianie spraw politycznych, moralnych, ekonomicznych i literackich, były zadowolone. Skoro wydawcy wiedeńskiej gazety *Vaterland*, podobne przekształcenie dziennika zamierzają, poleca się takowe jak najgoręcej wszystkim katolikom.

4) Wniosek ks. Chotkowskiego :

Zważywszy, iż otrzymywanie dokładnych informacji co do położenia współwyznawców w innych krajach jest w interesie katolików ;

zważywszy następnie, iż w ostatnich dziesiątkach lat wydarto Kościołowi przemocą całe dyecezye katolickie, oraz ze względu na usilne staranie celem zupełnego wytępienia Kościoła katolickiego :

zważywszy ostatecznie, iż obowiązkiem katolików jest w braku innej pomocy dawać takową uciemnionym chrześcijanom przez wspólną modlitwę —

oświadcza drugi wiec katolicki za pożądane, aby prasa katolicka w Austrii podawała dokładne wiadomości o smutnych stosunkach katolików w poszczególnych krajach.

5) Wiec katolicki zwraca uwagę tych wszystkich, którzy dla spraw Kościoła publicznie słowem lub pismem występują, na należyne szacunek i posłuszeństwo dla powagi Ojca św. i Episkopatu w sprawach wiary i moralności, jakoteż we wszystkich sprawach dotyczących duchownego Kościołem kierownictwa.

Zarazem przypomina, jak bardzo leży w interesie sprawy katolickiej, aby dziennikarze ożywieni byli wzajemnym szacunkiem i miłością w sporach i sprawach bieżących. Prócz tego poleca wiec katolicki częste, regularne zebrania katolickich publicystów austriackich, o ile takowe dążą do zaprowadzenia jedności i jednolitego kierunku, i o ile są użyteczne ze względu na materalne interesa dziennikarstwa.

6) Wiec katolicki uznaje jako rzecz wielce pożądaną, aby szybko odpowiadano tak często rozszerzanym przez prasę religijnym fałszom, jakoteż i innym błędnym wiadomościom. Dlatego też poleca wprowadzenie odpowiedniej do tego celu organizacji.

Wnioski sekeyi nauk, sztuki i literatury.

Podsekcyja: Sztuka.

I. Zważywszy nader wielki pokup zagranicznych przedmiotów sztuki, a częstokroć pozbawionych wszelkiej artystycznej wartości, i częste kupna surogatów mniejszej wartości dla użytku kościelnego — co zdarza się zwłaszcza dzięki działalności przedsiębiorców i robotników, niepowołanych, a często nieobznajomionych na polu tworzenia i restauracji przedmiotów, do kultu służących;

zważywszy szkodę z tego wynikłą nie tylko dla przedmiotów sztuki, ale też dla artystów i robotników;

poleca więc katolicki przeprowadzenie następnych rezolucyj:

1) W poszczególnych krajach i dyecezyach powinny utworzyć się stowarzyszenia, wywierające wpływ na tworzenie lub odnawianie przedmiotów kościelnych; winny one mieć na czele komitet egzekucyjny, a przyjazne zachowywać stosunki, z organem państwowym dla sztuki i pomników historycznych, tj. z c. k. komisją centralną.

2) Wice katolicki zwraca się z prośbą do Wiel. Ordynaryatów biskupich o popieranie tych stowarzyszeń, używanie ich rady, i polecenie ich klerowi.

3) Do tworzenia kościelnych dzieł sztuki winny być fachowo wygotowane plany, według których przedsięwzięcie mogłoby być do kładnie zbadane. Uprasza się biskupie Ordynaryaty plany te przedstawiać do zbadania kościelnemu stowarzyszeniu sztuki, a względnie c. k. komisji centralnej.

II. Zważywszy, że zbiory kościelne, zwłaszcza przy stolicach biskupich, dopomagają do utrzymania kościelnych starożytności historycznych i artystycznych, co zawsze jest staraniem kościelnych i państwowych organów:

zważywszy, że zbiory te mają cel nie tylko konserwatorski, ale również naukowy, mianowicie pomagają do studium kościelnej archeologii, historii dyecezy, Kościoła i sztuki;

zwraca się więc katolicki z prośbą do W. Ordynaryatów, aby zechciały przyprowadzić do skutku założenie muzeów dyecezyalnych dla kościelnej historii i sztuki, aby zaś istniejące już popierały i wszelkimi sposobami rozszerzały, i w tym celu, aby klerowi zakazały przedmioty takowe w cudze puszczać ręce, a poleciły, aby przy restauracjach i odnowieniach muzeum dyecezyalne miały na względzie.

IV. Zważywszy, że Kościół już od czasów Soboru Trydenckiego (Sessio XXII) często a jasno o muzyce kościelnej orzekał;

zważywszy, że potrzeba reformy muzyki kościelnej w duchu przepisów liturgicznych ogólnie jest przyznana;

poleca więc katolicki związek lubowników muzyki kościelnej, któreby pod opieką i z pomocą Najprz. Episkopatu zajęły się reformą, a najprzód założeniem kościelnych stowarzyszeń muzycznych, wykształceniem muzycznym młodego kleru, organistów i śpiewaków;

poleca im się, aby z osiągniętych skutków zdali sprawę na przyszłym wiecu katolickim.

Podsekcyja: Oświata i literatura.

I. Zważywszy, że brak głębszej znajomości katolickiego dogmatu i naukowego uzasadnienia tegoż u ludzi świeckich wykształconych nawet i uczonych, głównym jest powodem, dla którego nieprzyjazna wierze literatura obwinia ją o przeciwieństwo z prawdziwą nauką, i mylnie oskarża Kościół o nieprzyjazne w obec tej nauki stanowisko, zważywszy dalej, że dla tegoż powodu oskarżenia te tak łatwy znajdują popyt i wiarę;

poleca więc katolicki gorliwą naukę i studyowanie chrześcijańskiej filozofii i apologetyki, jakoteż katolickiego dogmatu.

II. Ze względu na tak rozpowszechnione a mylne zapatrywanie jakoby rezultaty nauk przyrodniczych stały w przeciwieństwie z nauką wiary, co niezmierną jest szkodą dla wiary w wszelkich klasach ludności;

zważywszy, że jest Boskiem powołaniem Kościoła, jako od Chrystusa ustanowionego nauczyciela narodów, starać się o zniweczenie tych tak szkodliwych i do materializmu prowadzących błędów naszego wieku;

zważywszy, że Kościół najłatwiej dopiąć może celu tego, zwłaszcza w obec katolików słabej wiary, jakoteż w obec ludzi wręcz wierze przeciwnych, za pomocą przyrodników, zarówno głęboko wierzących, jak i na wysokości nauki i na równi z innymi uczonymi stojących;

zważywszy, że z biegiem czasu wszelkie środki naukowe, jakoto uniwersytety, instytuty, zbiory, laboratoria i t. d. Kościołowi wydarte zostały, składa drugi ogólny austriacki katolicki wiec u stóp Jego Świętobliwości Ojca św. Leona XIII najpoddającą prośbę:

aby raczył utworzyć papieski instytut dla nauk przyrodniczych.

Wzywa zarazem katolików świata całego, aby wspólnymi siłami dopomogli Ojcu św. do utworzenia tego instytutu.

III. Zważywszy ważność hasła *Viribus unitis* na każdym polu ludzkiej działalności:

zważywszy, że nieprzyjaznym wierze prądom udało się po części skutek osiągnąć, dzięki rozdzielaniu i rozdrabnianiu sił naukowych katolickich, z czego wielka i oplakana dla silnych katolickich przekonań wynikła szkoda;

wysoce ceniąc głębokie skutki wynikłe z jednoczenia się i łączenia w towarzystwa dla katolików, tak w naszej monarchii jak i zagranicą; — widząc w tym ruchu rękojmię lepszej przyszłości;

wyraża więc katolicki nadzieję i pragnienie, aby wszyscy na chrześcijańskim gruncie stojący uczeni Austrii, występowali najściślej z sobą złączeni, w celu obrony i podnoszenia zasad chrześcijańskich na wszystkich polach nauki.

IV. Zważywszy wielką liczbę utworów literatury beletrystycznej, które rozsiewają, rozszerzają i wzmacniają nieprzyjazne chrześcijańskim zasadom, liberalizujące i materyalizujące prądy dni naszych;

zważywszy, że wcale nie brak na dziełach literackich i czasopismach na katolickim gruncie opartych;

uważa drugi ogólny austriacki wiec katolicki za obowiązek, najusilniej wszystkim katolikom przypomnieć, że nieprzyjazne wierze i moralnie niebezpieczne utwory literackie do chrześcijańskich rodzin dostępu mieć nie powinny, w obec zaś potrzeby lżejszej lektury poleca im gorąco czytanie i wspieranie chrześcijańskich książek i czasopism;

dalej poleca wiec katolicki zakładanie i rozszerzanie katolickich czytelni, bibliotek parafialnych i ludowych dla dobra mniej zamożnych klas.

W tym samym celu uprasza wiec katolicki związki i stowarzyszenia, zajmujące się propagowaniem dobrych książek, aby szczególną zwróciły uwagę na zakładanie i wyposażenie dobrych bibliotek ludowych.

V. W obec wielkiej wagi, jaką kłaść należy na specjalną i lokalną historję kościelną, i w obec okoliczności, że podobna literatura istnieje wprawdzie, lecz że przy niezmiernem bogactwie materyałów wcale nie jest wyczerpująco opracowaną, nadto skoro wiele jeszcze jest pytań niedostatecznie objaśnionych i wiele jeszcze w tym względzie luk się znajduje;

poleca wiec katolicki:

1) aby pracowano nad historją Kościoła w pojedynczych królestwach i krajach monarchii, jak też i nad historją poszczególnych biskupstw, diecezji, klasztorów i seminariów;

2) aby uzupełniano schematyzmy dyecezyalne dodaniem krótkich historycznych notatek o dziejach parafij;

3) aby pracowano nad biografiami austriackich ksiąząt Kościoła;

4) aby wygotowano rejestra ważnych historycznych aktów i dokumentów znajdujących się w archiwach biskupich, dyecezyalnych, kapitulnych, parafialnych i klasztornych.

VI. W obec tak ważnego zwyczaju nadawania pewnych Świętych jako patronów Kościołów parafialnych i klasztornych;

poleca więc katolicki, aby zwracano uwagę na nadawanie pewnych w głęboką starożytność sięgających Świętych jako patronów kościelnych, jakoteż na rozszerzanie czci różnych Świętych w ich miejscach i okolicach pochodzenia.

Wnioski sekcji: O życiu i stowarzyszeniach katolickich.

Podsekcya: O politycznych stowarzyszeniach katolickich.

I. Zważywszy, iż w państwie konstytucyjnym wywierają rozmaite parlamentarne ciała zastępcze wpływ na stosunki religijne, polityczne, gospodarcze, finansowe, społeczne i różne inne w gminie, kraju i państwie;

zważywszy, iż od wyborów do tych ciał zastępczych zawisło dobro lub nieszczęście milionów;

zważywszy, iż rozsądną i skuteczną organizację dobrych wyborów można najłatwiej i najpewniej osiągnąć pielegnowaniem właściwych towarzystw;

zważywszy, iż w tych stowarzyszeniach nadarza się sposobność omawiania najrozmaitszych piękących kwestyj i żądania prawdziwego ich rozjaśnienia, jakoteż wywoływania korzystnego usposobienia dla religii i patriotyzmu;

zważywszy, że niejednokrotnie powagi tak kościelne jak i polityczne położyły wielką wagę z jednej strony na wielką odpowiedzialność wyborów, z drugiej strony na ważność wielką takich stowarzyszeń;

przylacza się drugi ogólny wiec katolików austriackich do tych poważnych wskazówek, napomina nagle do należytego, ku celowi prowadzącego wykonania praw obywateli państwa, mianowicie wykonania prawa wyborczego, i zaleca najgoręcej zakładanie, popieranie i wspieranie politycznych stowarzyszeń.

II. Drugi ogólny wiec katolików austriackich daje wyraz przekonaniu, iż regularne powtarzanie wieców katolickich jest bardzo pożądanem w interesie całej sprawy. Dlatego walne zgromadzenie wybiera komisarza, który przedsięwzięcie potrzebne kroki, celem zwołania trzeciego wiecu katolików austriackich. Równocześnie poleca drugi wiec katolików austriackich katolikom Austrii według krajów lub obszarów krajowych przygotowywać, i odbywać zgromadzenia na większą skalę.

Podsekcya: Życie katolickie.

I. Zważywszy, iż za dni naszych tak w prywatnem, jako też i w publicznem życiu, przy wychowaniu dzieci, przy rozrywkach młodzieży, przy towarzyskich zebraniach ludzi jednego stanu, przy zawieraniu małżeństw, przy załatwianiu sporów honorowych, przy pielęgnowaniu chorych i umierających, przy pogrzebach umarłych coraz więcej zaniedbuje się zasad chrześcijaństwa, a nawet się wprost przeciwko nim występuje;

zważywszy, że zaniedbywanie i zwalczanie zasad chrześcijańskich czyni nie tylko wątpliwem doczesne i wieczne dobro jednostek, lecz także sprowadza największe niebezpieczeństwa dla całego społeczeństwa, a nawet mu teraz niezliczone szkody wyrządziło;

zważywszy, iż Jego Świątobliwość Papież Leon XIII wskazał na te wszystkie szkody, ale zarazem także na najskuteczniejsze zaradczkie środki ku temu i to niejednokrotnie w sposób najwięcej naglący:

poleca drugi ogólny wiec katolików austriackich:

1) Ażeby katoliccy rodzice i opiekunowie nie oddawali swych dzieci lub też pupilów do niekatolickich szkół, instytucjów, pensjonatów, konwiktów i innych tym podobnych zakładów.

2) Wstrzymanie się od udziału, popierania i wspierania takich instytucyj, które pod pozorem ludzkości dążą do celów antyreligijnych.

3) Wstrzymanie się od takich rozrywek, przy których uczestnikom jest niemożliwem w niedziele i dnie świąteczne wypełniać swoje obowiązki chrześcijańskie, jak to się dzieje np. przy pewnym rodzaju wycieczek dla rozrywki.

4) Żąda on, ażeby w tej części państwa istniejący zakaz zakonu wolnych mularzy surowo traktowano i przeprowadzano.

Równocześnie zaleca drugi ogólny wiec katolików austriackich:

1) Udział i popieranie religijnych stowarzyszeń i bractw, mianowicie jednak trzeciego zakonu św. Franciszka, bractwa św. Michała, podróży odpustowych i pielgrzymek, w szczególności przemawia on za częstem powtarzaniem pielgrzymek do grobów ŚŚ. książąt Apostołów.

2) Zakładanie i popieranie związków stanowych wszelakiego rodzaju, mianowicie katolickich stowarzyszeń młodzieńców i dziewic, stowarzyszeń ojców i matek, stowarzyszeń robotników, terminatorów, czeladników i majstrów, kupieckich stowarzyszeń katolickich i t. d.

3) Poszanowanie, utrzymanie i popieranie katolickich zakonów i kongregacji.

4) Częstsze i częściej powtarzane odbywanie ćwiczeń duchownych (także ćwiczeń nauczycielskich) i misyj dla ludu.

5) Wspieranie i popieranie kościelnych towarzystw budowniczych.

6) Wspieranie kapłańskich i świeckich seminariów.

7) Wreszcie żąda on nagłaco, ażeby przy wielkiej wystawności zewnętrznej, będącej obecnie w użyciu przy pogrzebach, nie zaniedbywano też i uczynków miłości za dusze zmarłych.

II. Zważywszy, iż w Austrii od szeregu lat stają się coraz częstszymi najsmutniejsze wypadki odstępstwa od prawdziwej wiary, a mianowicie u młodzieży;

zważywszy, iż w Austrii nie posiada Kościół katolicki zupełnej wolności udzielania Sakramentów, ponieważ specjalnie nie można udzielić najważniejszego i najpotrzebniejszego ze wszystkich Sakramentów Chrztu św., nikomu, znajdującemu się w wieku 7 do 14 lat, a nawet i wtedy nie, jeżeli rodzice i dzieci o to proszą, a biskup orzekł według praw kanonicznych o zupełnej przypuszczalności udzielenia Sakramentu;

zważywszy, iż takie zjawiska, stojące wprost w sprzeczności z prawem Boskiem¹, stały się możliwymi przez nadzwyczaj poważne zapoznanie, pogardę i zarzucenie stanowiska chrześcijańskiego;

uskarża się drugi ogólny wiec katolików austriackich najmocniej na prawne uregulowanie apostazy i uprasza wszystkich parlamentarnych przedstawicieli katolików austriackich, aby użyli swego całego wpływu, ażeby w prawodawstwie chrześcijański punkt widzenia zajął znowu odpowiednie stanowisko, i ażeby Kościół w całym mu należącym zakresie odzyskał napowrót należną mu wolność w przeprowadzaniu swej doskonałości zwierzchniczej i wypełnianiu obowiązków przelanych nań przez Chrystusa, szczególnie, co się dotyczy udzielania świętych Sakramentów.

Podsekcyja: Misye katolickie.

I. W uznaniu obfitej w skutki działalności i znakomitych wyników rozmaitych katolickich towarzystw misyjnych wypowiada drugi ogólny

¹ Patrz Mat. 10, 33 i 28, 19.

wiec katolików austriackich wszystkim założycielom, popierającym i członkom tychże stowarzyszeń najzupełniejsze uznanie i zasłużoną podziękę.

II. Zważywszy jednak, że przy polityce kolonialnej, prowadzonej przez europejskie państwa kulturowe, zwraca się wielką uwagę na odległe części świata, że szczególnie naszej monarchii w skutek jej geograficznego położenia, rozwoju historycznego i politycznego stanowiska przypada ważna misja na Wschodzie ;

zważywszy oraz, że w skutek tych zmienionych stosunków czasowych stawia się też wyższe wymagania od stowarzyszeń misyjnych, którym one jednak dopiero wtedy odpowiedzieć mogą, jeżeli się dla nich pozyska szerokie kręgi ludności katolickiej;

zważywszy, że przy swojej obecnej organizacji zdają się mniej temu celowi odpowiadać ;

występuje drugi ogólny wiec austriackich katolików z najuniżeńszą prośbą do Najprzewielebniejszego Episkopatu: tenże raczy katolickie stowarzyszenia misyjne, jak dotychczas, także i nadal otaczać swoją szczególniejszą łaskawą pieczołowitością, i nadać im organizację, liczącą się z ich teraźniejszymi potrzebami.

III. Przyznając wreszcie, iż stowarzyszenia misyjne, jak tego doświadczenie uczy, wydają tam najpłodniejsze skutki, gdzie przewielebny kler zajmuje się nimi z czynną miłością, i że zewnętrzne sprawy misyj okazują się oraz wyborynym środkiem do popierania chwały Boskiej, zbawienia dusz, jakoteż do ożywienia życia wiary we własnej ojczyźnie ;

uprasza drugi ogólny zjazd austriackich katolików: Przewielebny kler zechce w swej chwalebnej gorliwości nie ustawać w kierownictwie i pielęgnowaniu tych stowarzyszeń i popierać je wszystkimi, ku temu właściwymi środkami.

Podsekcya: Stowarzyszenia dobroczynne.

Zważywszy, iż wykonywanie dzieł miłosierdzia odpowiada drugiemu głównemu przykazaniu miłości ;

zważywszy, iż Kościół katolicki przedstawia się przez wielkoduszność, z jaką jego dzieci wypełniają dzieła chrześcijańskiej miłości bliźniego, w cudowny sposób jako Oblubienica swego Boskiego Oblubienca, który w swej nieskończonej miłości zupełnie się ofiarował za ludzkość ;

zważywszy, że udział w chrześcijańskich stowarzyszeniach dobroczynności jest potężnym środkiem do uświęcenia samego siebie :

zważywszy, że podjęte i dokonane z chrześcijańską roztropnością dzieła cielesnego i duchownego miłosierdzia wielu biednych nie tylko wstrzymują od zwątpienia, odwrócenia się od Boga i od zbrodni, lecz także przywodzą ich na powrót do Boga i Kościoła, do dobrego i do cnoty;

poleca drugi ogólny wiec katolików austr. zakładanie i popieranie chrześcijańskich towarzystw dobroczynności, odnoszących się do wszystkich rodzajów cierpień i utrapień, które nawiedzają ludzkość, a mianowicie poleca:

1) Stowarzyszenie św. Wincentego, którego konferencji nie powinno brakować w żadnym mieście i żadnej większej miejscowości.

2) Działalność św. Franciszka Regisa w większych miastach dla wykorzeniania coraz bardziej niestety powiększającego się w ubogiej ludności konkubinatu.

3) Popieranie owych stowarzyszeń i zakładów, które służą dobru sierót, kalek, chorych wszelakiego rodzaju, szczególnie chorych nieuleczalnych (dom miłosierdzia w Wiedniu), poległych w boju (zakład św. Antoniego), starców (przysłusko dla starców w Währing), rannych i t. d.

4) Działalność kardynała Lavigerie celem uwolnienia biednych niewolników, negrów afrykańskich.

Wniosek JO. Księcia Karola Löwensteina.

Drugi ogólny wiec austr. katolików raczy postanowić wybór komitetu z poleceniem zbierania składek dla pozostających w największej nędzy zakonnie zniesionych we Włoszech klasztorów.

POWODY.

Okolo 700 żeńskich klasztorów zniósł rząd włoski; pensye wyznaczone zakonnicom w zamian za odjęte im mienie klasztorne są zupełnie niewystarczające, i często nie są w stanie zadowolnić najpięszych potrzeb życiowych.

Ojciec św. i prywatne osoby czynią wiele dla złagodzenia nędzy, istnieje także w Rzymie komitet damski w tym celu, a *Civiltà catholica* gromadzi składki, przecież tym sposobem zebrane środki wcale nie odpowiadają nędzy.

Różnorodne braki i potrzeby we własnym kraju nie powinny nas powstrzymać pomódz także i tam według sił naszych, gdzie należy nietylko wykonać czyn chrześcijańskiego miłosierdzia, lecz także uznać podziwiania godną wierność powołania i uczcić ją, a zarazem podnieść protest przeciwko bezmiernej niesprawiedliwości i srogości, z jaką rząd włoski uciska niewinne kobiety, oblubienice Chrystusa.

Podsekcya: Katolickie korporacje studenckie.

Poddawszy rozwazde tę okoliczność, że religijne usposobienie studenta katolickiego w skutek stosunków panujących w szkołach wyższych naraża się często na niebezpieczeństwo ochłodnięcia, jeżeli już nie zupełnego zatracenia się; z uwagi na korzyści, które przynosi ściśle związek katolickich słuchaczy szkół wyższych dla każdego pojedynczego słuchacza;

wziąwszy pod uwagę tę okoliczność, że studenci w swem późniejszym stanowisku życiowem powołani są do tworzenia ważnego czynnika w życiu publicznem;

zważywszy wreszcie trudności, z którymi mają do walczenia katolickie korporacje studenckie z powodu powszechnie jeszcze o nich panujących przesądów;

przemawia drugi ogólny wiec austriackich katolików do serca wszystkich powołanych sfer gorąco, aby zalecały z całym naciskiem przystępowanie do istniejących już korporacyj studenckich, czy to są stowarzyszenia, czy też barwę noszące związki, i wnosi celem podniesienia katolickich korporacyj studenckich, jak również w celu ożywienia i pokrzepienia katolickiej świadomości między studentami szkół wyższych:

1) Jako uprzedni warunek zakładanie mariańskich kongregacyj w szkołach średnich naszej monarchii.

2) Ponowne wprowadzenie akademickiej służby Bożej w niedziele i święta.

3) Zakładanie katolickich korporacyj studenckich; tam jednak, gdzie katolicka korporacja studencka nie miałaby widoków pomyślnego rozwoju, zakładanie czytelni akademickich, których kierownictwo należy powierzać rękom prawowiernych katolików.

4) Utorowanie drogi ściślejszemu związkowi wszystkich katolickich korporacyj studenckich.



SPIS RZECZY.

Kongresy katolickie	Str. 1
-------------------------------	-----------

Kongres wiedeński:

Posiedzenie wstępne dnia 29 kwietnia	14
Mowa hr. Blome	26
„ dra Luegera	32
„ hr. Tarnowskiego	35
I. Posiedzenie uroczyste dnia 1 maja	44
Mowa Ks. Kan. Müllera	46

Sekeya szkolna:

I. Posiedzenie: O szkołach średnich	69
Mowa O. Abel'a T. J.	69
II. Posiedzenie: Uniwersytety katolickie	91
III. Posiedzenie: Szkoły ludowe	94

Sekeya socyalna:

I. Posiedzenie: Świątce niedziel, mieszkania robotników	101
II. Posiedzenie: Kwestya robotnicza	103
Mowa O. W. Kolb'a T. J.	104
III. Posiedzenie: Dalszy ciąg poprzedniej	116
IV. Posiedzenie: O stowarzyszeniach S. Rafała	119
V. Posiedzenie: Kwestya włościańska	120
Mowa Wł. Kozłowskiego	126

Sekeya prasowa :

I. Posiedzenie: O rozszerzaniu prasy katolickiej	135
II. Posiedzenie: O dzienniku <i>Vaterland</i>	139
III. Posiedzenie: O towarzystwach assekuracyjnych dla dziennikarzy i ustanowieniu biur informacyjnych	142
Mowa Ks. Prof. Chotkowskiego	143

Sekeya nauk, sztuki i literatury :

I. Posiedzenie: O badaniach nad lokalną historią kościelną; o filozofii chrześcijańskiej i apologetyce	149
II. Posiedzenie: O dyecezyalnych muzeach, o muzyce i sztuce kościelnej; o naukach przyrodniczych	153
Mowa Dra Pertnera	156
III. Posiedzenie: O wrogiej wierze i moralności belletrystyce	173

Sekeya: O życiu i stowarzyszeniach katolickich :

I. Podsekcyja: Stowarzyszenie dobroczynne	178
II. Podsekcyja: Katolickie stowarzyszenia studentów	180
III. Podsekcyja: Misye katolickie	181
IV. Podsekcyja: O życiu katolickiem	182
Mowa Ks. Prof. E. Skrochowskiego	183
V. Podsekcyja: O politycznych stowarzyszeniach katolickich	196
I. Walne zebranie uchwalające wnioski d. 1 maja	197
Mowa Ks. Piurko	197
II. Walne zebranie uchwalające wnioski d. 2 maja	200
II. Posiedzenie uroczyste d. 2 maja	203
Mowa Księcia Liechtensteina	206
Wnioski przedłożone na kongresie	221

